

MICHAŁ
GOŁKOWSKI



stalowe + szczerzy

KÖNIGSBERG

fabryka słów®

Michał Gołkowski

Königsberg

*Madame ich lieb Sie seit vielen Wochen
wir haben manchmal auch davon
gesprachen was nutzt das alles
mein Pech dabei ist das ach!
ihr Herzchen leider nicht mehrfrei ist*

Kocham Cię czule, o piękna Pani
Już ponad miesiąc mówię o uczuciu dla Niej
Lecz me wyznania pech prześladuje
Ach! serce Twoje inny wciąż zajmuje

Richard Tauber
Ich kusse Ihre Hand, Madame

PROLOG

Lato 1915 roku, front Bzura-Rawka

Huk odległego wystrzału przetoczył się echem po całej okolicy, odbił od ściany lasu i wrócił głuchym pomrukiem, niczym grzmot nadciągającej burzy. Idący płytką transze Fiodor aż podskoczył, wpatrzył się z napięciem w zdradziecko czyste, błękitne niebo.

– Uwaga, nadlatuje! – krzyknął ile sił w płucach, jednocześnie zrywając się do biegu.

Czarna kropeczka, która dosłownie przed chwilą podniosła się ponad linię widnokrzęgu, teraz rosła w oczach. Ludzie w najbliższej okolicy zaczęli w pośpiechu opuszczać stanowiska: żołnierze wyskakiwali z płytkich ziemianek, gramolili się z okopów i odrzucając broń, biegli jak najdalej. Panika udzieliła się kilku dalszym posterunkom; Fiodor widział, jak ucieka załoga stojącej w pozornie bezpiecznej odległości haubicy. Nogi za pas wzięli też łącznościowcy z polowego bunkra.

Nie teraz, nie dziś! Dlaczego akurat to?! – pomyślał, pędząc przed siebie zygzakującym rowem na drugiej linii umocnień. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w górę – i aż sapnął z niedowierzania.

Latający kufer pędził wprost na niego.

Ryjąc obcasami wyschniętą na piach ziemię, Fiodor zahamował, zawrócił niemal w miejscu i popędził w drugą

stronę. Widział kątem oka, jak stalowy, trzystupięciomilimetrowy walec zbliża się ku ich pozycjom, lecąc nieśpiesznie, niemalże leniwie przez gorące, lipcowe powietrze, więc postarał się jeszcze przyspieszyć kroku... Ale i tak wiedział, że nie zdąży.

Ziemia jęknęła, gdy dwustuosiemdziesięciokilogramowy pocisk zarył w glebie, podnosząc w górę czarnobure tsunami darni, piachu i kamieni. Fiodor zdążył tylko zaczerpnąć powietrza, zacisnąć oczy i osłonić głowę rękami, gdy pędząca fala gruntu ścięła go z nóg i nakryła ciężkim całunem.

Zapadła absolutna cisza.

Ludzie w schronach siedzieli bez ruchu tak, jak wskoczyli w ukrycia – skuleni, zwinięci w sobie, z rękoma na głowach, nasuwając wołokowe czapki jak najgłębiej na oczy i wtulając się w szorstkie bierwiona ziemianek. Pył i kurz powoli osiadał, dryfując w niosącym ze sobą letnią spiekotą zefirku.

– Bwahaaa! – Fiodor wyskoczył spod warstwy ziemi, poderwał się na nogi, zaczął desperackimi, psychotycznymi ruchami otrzepywać włosy i twarz, zrzucić brud z munduru. Potoczył dokoła błędnym wzrokiem, zaszlochał kilka razy spazmatycznie, w końcu krzyknął: – Niewybuch! Niewybuch, do cholery jasnej! Aaaaaa...!

Z okopów zaczęli nieśmiało wyglądać żołnierze, zegnając się trwożliwie od prawej do lewej i całując wysupłane spod lnianych koszul prawosławne krzyżyki.

– Niewybuch! *Pustyszka, pustyszka, bratcy!* – poniósł

się po liniach radosny okrzyk. – *Slawa tiebie, Gospodi!*

Fiodor złapał za saperkę, szarpnięciem odpiął sprzączkę i popędził w kierunku zwałów burej ziemi – tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się wysunięte stanowisko cekaemu, a teraz było tylko rumowisko porzuczanych belek i potrzaskanych dranic. Odskokczył do miękkiego, sypkiego gruntu, zaczął jak oszalały robić łopatką, potem rękami, rozrzucając dokoła siebie piach.

– Tu ludzi zasypało! Na pomoc! – Wyprostował się i zaraz znów pochylił, gdy natrafił na słabo poruszającą się nogę w mundurze.

Złapał za nią obiema rękami i zaczął ciągnąć, szarpać i znów kopać, kawałek po kawałku odsłaniając drugą nogę. Wokół niego nagle pojawiło się kilkanaście par rąk, zaczęły zgrzytać saperki, rozległy się głosy i nawoływania, ktoś przyniósł linę, zjawili się sanitariusze. Spod zawału, jednego po drugim, wyciągnięto zasypanych kaemistów, kaszlących, plujących ziemią, jęczących z bólu połamanych żeber – ale przynajmniej żywych!

Fiodor otarł pot z czoła, odsunął się, pozwalając innym przejąć pracę. Zataczając się i kulejąc, przeszedł ku miejscu, gdzie spadł pocisk, popatrzył na dno wystającego z ziemi walca i wyoraną w ziemi bruzdę wielkości niedużego okopu.

– Dawajcie tutaj desek, oblicujemy na szybko i kolejna transzeja będzie! – zawołał do pracujących ludzi, wskazując na gigantyczny pocisk. – Niech sobie Niemiec nie myśli, że jego przzerośnięte zabawki mogą nas wystraszyć...

Wiwat *batiuszka* Car!

– Wiwat Car! Niech mu Bóg błogosławi! – podniosły się okrzyki, ludzie zaczęli zrywać papachy i podrzucać ku górze. Niedawne przerażenie szybko zamieniało się w okopach wojny w euforię... jeśli tylko umiejętnie nim pokierować.

Fiodor odszukał w zwałach ziemi swoją czapkę, otrzepał. Wyciągnął manierkę, odszpuntował lekko trzęsącą się ręką; było blisko, niebezpiecznie i głupio blisko... I to jeszcze właśnie teraz!

– *Jessaul* Fiodor Grigoriewicz Wielikow? – zasalutował przed nim młodziutki poślaniec, jeszcze zupełnie dziecko.

– Ja... – sapnął Fiodor, płucząc usta podłą frontową gorzałką. Dopiero co zdążył usiąść, miał nadzieję, że chłopaczyna biegnie do kogoś innego. Ze on będzie miał jeszcze chwilę spokoju pomiędzy niedoszłą, skrajnie idiotyczną śmiercią a rzuceniem się głową naprzód w wir nieznanego.

No cóż – nie tym razem, nie dziś.

– *Wasze wysokobłagarodie*, jesteście wzywani do sztabu generalnego! Polecono mi...

– Wiem, wiem. Już idę przecież. – Odcharknął, splunął na ziemię. Naciągnął na czoło brudną czapkę i ruszył w kierunku nadrzecznej skarpy, na której zielenił się otaczający podmiejski dworek ogród.

Szedł przez rozkrzewioną, zdziczałą zieleń, chciwie wdychając zapach kwiatów. Tam, na dole, był tylko piach,

kurz i sucha trawa; tutaj Fiodorowi zdawało się, że znalazł się w zupełnie innym świecie, że Wojna została gdzieś daleko... A mimo to poprzez koronę wiekowej jabłoni widać było wciąż dymiący dach na klasztorze dominikanów i wypalone okna ratusza, kilka rosnących na skraju skarpy potężnych wiązów nosiło ślady niedawnego ostrzału z minomiotów, pomiędzy wijącymi się korzeniami powstawało kilka na chybcika wykopanych stanowisk strzeleckich.

Obrócił się i przysłonił oczy od słońca, patrząc na pozycje rozlokowanych po drugiej stronie rzeki Niemców. Bateria haubic dała akurat ognia, wykwitając białymi, niepozornymi chmurkami daleko za linią okopów nieprzyjaciela. Po chwili do jego uszu doleciała seria cichych, niepozornych i odległych puknięć, a kilka sekund później grad pocisków zapalających spadł na zabudowania drewnianego miasteczka.

Dym i płomienie pojawiły się niemal od razu, szybko rosnąc i przybierając na sile; artylerzyści musieli trafić prosto w stojące nieopodal głównego placu domki żydowskiej biedoty. Postawione z byle czego na sypkim, marnym gruncie rozległej „kurzawki”, drewniane chatynki jakimś cudem zdołały przetrwać cały ten czas, aż w końcu i na nie przyszedł koniec.

W odpowiedzi z ich brzegu odezwały się trzycalówki ustawione na wysokiej skarpie przy klasztorze, ale nawet nie chciało mu się patrzeć, czy uda im się cokolwiek zdziałać: pociski nieodmiennie nie donosiły, ledwo prze-

latując za drugą linię okopów wroga.

Przedzierając się głębiej przez ogród, carski oficer niespodziewanie wyszedł na dwóch kozaków, wysypujących w radośnie trzaskające ognisko całe skrzynie dokumentów z kancelarii. Papiery na chwilę przytłoczyły i zdusiły ogień, więc jeden z brodatych Ukraińców jak gdyby od niechcienia cisnął na górę przyniesioną z domu lampę naftową.

Płomienie buchnęły z nową siłą i strzeliły ku górze, błyskawicznie spowijając stos.

Nie zwrócili nawet na Fiodora uwagi, przypalając papierosy-samoskrętki wyciągniętymi z ognia, ręcznie kaligrafowanymi kartami.

Zostawił po lewej stronie budowaną przez tyle długich tygodni banię, z której nikt nie miał już nigdy skorzystać. Westchnął do własnych myśli, wspominając tamten zimowy wieczór, gdy skrzyknęli co ładniejsze dziewczęta z okolicy, a potem pobiegli wszyscy nago przez zasypany śniegiem ogród, żeby wykapać się w przeręblu... Szkoda, szkoda tego wszystkiego. Szkoda też tonącego w objęciach bluszczu dworku o pobielonych ścianach, szkoda mieszkających w nim kiedyś ludzi, którzy po przejściu frontu pewnie nie będą mieli nawet do czego wrócić.

Stanęli sztabem właśnie tutaj, bo był to najładniejszy dom w okolicy; do niejakiego chorążego Michaiła Jakowlewicza Kozłowskiego wysłano nawet list z osobistymi podziękowaniami za okazaną przez jego rodzinę gościnność.

A teraz wszystko to miał trafić szlag.

Fiodor wszedł na ocieniany przez potężną lipę drewniany ganek, schował się w pachnącą chłodem i lekko wilgotnym drewnem sień. Zastukał w drzwi po prawej, nie czekając na pozwolenie, nacisnął klamkę i wkroczył na pokoje.

Naczelny wódz sił zbrojnych i głównodowodzący frontem zachodnim, wielki książę Nikołaj Nikołajewicz Romanow stał pochylony nad rozłożoną na stole mapą, wpatrując się z natężeniem w wyrysowane na niej linie, jak gdyby samą siłą woli chciał zmienić ich bieg.

– *Wasze Impieratorskoje Wysocziestwo!* – Fiodor zasalutował i stuknął obcasami. – *Jessauł* Wielikow melduje się na rozkaz!

– Podejdźcie, podejdźcie, Fiodorze – mruknął wielki książę, nie podnosząc nawet wzroku.

– Czyli wycofujemy się? – Żołnierz stanął o krok za dowódcą, zaglądając mu przez ramię.

– Ano, wycofujemy... Przecież nie damy rady tu zostać.

– Jeżeli *Wasze Wysocziestwo* wyda rozkaz, to ludzie...

– Nie „ludzie” Fiodorze – przerwał mu Nikołaj Nikołajewicz. – Ty na pewno, to wiem. Ale samym tobą nie wygramy tej wojny. Jeszcze nie dziś, w każdym razie.

Na chwilę zapadła cisza, w której słychać było tylko dudnienie niemieckich dział – coraz bliższe, coraz wyraźniejsze, z godziny na godzinę coraz bardziej natarczywe.

– Pamiętasz szczegóły swej misji, Fiodorze?

– Tak jest. *Wasze Wysocziestwo!*

– Dobrze. Tam jest już przygotowany dla ciebie mundur. Bądź tak dobry, przebierz się i wróć.

Wielikow wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie na drewnianym stojaku wisiały brudne, porwane spodnie i upstrzona burymi plamami koszula wraz z kompletem bielizny. Nie odczuwając ani obrzydzenia, ani niechęci, zdjął swój mundur, złożył go pieczołowicie w kostkę na stole, potem naciągnął cudze kalesony i koszulę. Jak obca skóra, pomyślał.

Wciągnął szare spodnie, przewiązał onuce, wzuł zupełnie inaczej układające się na nogach buty, na koniec nałożył na to również szarą, postrzępioną bluzę mundurową bez paska.

Wsunął na palec nieco przyduży sygnet z nieznanym herbem, przejrzał się w lustrze. Tylko ręce i twarz należały do niego. Reszta... reszta była obca.

Na razie.

– *Wasze Wysocziestwo!* – Wróciwszy do sali, zaszalutował, strzelił obcasami. Nawet podkute buty wydawały inny dźwięk.

Wielki kniaź zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, porównał z trzymanym w ręku zdjęciem. Pozwolił sobie na lekko drwiący uśmiezek.

– Niemal jak w tym urodzony. W kieszeni znajdziesz nieśmiertelnik, nie zapomnij go założyć, żeby byli w stanie cię zidentyfikować.

– Zidentyfikować, *Wasze Wysocziestwo?* Przełożył

przez głowę rzemień, schował blaszkę pod koszulą. – Chyba dam sobie radę z moim niemieckim...

– Jak wiele jesteście w stanie zrobić i znieść dla Cara, Boga i Ojczyzny, Fiodorze Grigoriewiczu? – spoważniał nagle książę.

– Wszystko, *Wasze Wysocziestwo!* – Fiodor uśmiechnął się szelmowsko.

– To dobrze. – Wielki książę Nikołaj Nikołajewicz pokiwał głową, po czym wyciągnął z kabury rewolwer i strzelił mu w pierś.

Dosłownie kilka godzin później

– Naprzód, naprzód! *Schnell!*

Gefreiter Gerhard Keller wyskoczył zza zwałonego przez ogień artylerii drzewa i puścił się biegiem przez pusty teren, oddzielający go od zbocza skarpy. Wokół huczała kanonada dział, świstały kule, na górze rwały się pociski moździerzy... Potknął się i upadł, gdy na prawo od niego fragment rzeczywistości eksplodował ogniem i dymem, zasypując go szarym, wciskającym się w nos i oczy deszczem ziemi.

– Osłaniajcie mnie! – krzyknął w płonnej nadziei, że ktokolwiek go usłyszy i wykona rozkaz, po czym poderwał się na nogi i pobiegł dalej.

Dopadł do wzniesienia, rzucił przodem karabin. Zaczął wdrapywać się na górę, chwytając rękami dosłownie wszystkiego, o co tylko dał radę zaczepić. Starał się nie

myśleć, nie zastanawiać się, że ktoś może tam...

Nagle pałace słońce zasłonił cień, ponad nim wyrosła sylwetka – niemal jednocześnie sucho trzasnął strzał i martwy Rosjanin osunął się po zboczu, wypuszczając z rąk karabin. Keller tylko podniósł rękę, dziękując któremuś z towarzyszy broni za uratowanie mu po raz kolejny życia. Uniósł z ziemi swego mauzera i od razu złożył się do strzału, wystawiając głowę ponad szczyt skarpy.

Ruch, sylwetka – strzał! Przykucnąć, przeładować broń, odskok dwa kroki w bok, podnieść się na nogach, policzek przyklejony do drewnianej kolby – strzał! W odpowiedzi zagdakał usadowiony w płytkim okopie karabin maszynowy, kosząc gałęzie i płatami zdzierając korę z drzewa za plecami Kellera. *Gefreiter* wtulił głowę w ramiona, czując, jak szczapy sypią mu się za kołnierz. Westchnął ciężko, odkręcił zawleczkę z ostatniego granatu, jaki zdołał donieść tak daleko.

– Oby było warto! – krzyknął, rzucając z szerokiego zamachu. Wirujący w powietrzu „tłuczek” poleciał ku stanowisku, a karabin od razu zamilkł – zauważyli! Zauważyli, więc miał szansę...

Absolutnie nie liczył na to, że na ślepo uda mu się wrzucić granat w wykop; wiedział jednak, że odruchy ludzkie są silniejsze od zdrowego rozsądku, każdy skuli się i schowa, widząc lecącą bombę.

Przeklinając się w myślach za to, że wcześniej nie doładował broni, wyskoczył zza skarpy i pobiegł prosto na celujący dokładnie w niego karabin.

Gdy granat detonował głuchym, szarym obłokiem trinitrotoluenu, Keller był już niemal przy stanowisku kaemu. W uszach zadzwoniło mu tysiąc dzwonów, pisk wypełnił całą głowę, a świat popłynął jak rozmazująca się na papierze farba wodna... Ale on już wymierzył broń i wystrzelił w pierwszego Rosjanina, kulącego się w wykopie.

Przeciwnik rozrzucił szeroko ręce i upadł na ziemię jak szmaciana lalka. Keller z rozpędu wleciał do okopu, uderzył ciałem o wyłożoną bierwionami ściankę tak, że aż pociemniało mu w oczach, zamachnął się i niezgrabnie przyłożył kolbę karabinu drugiemu z obsługi. Żołnierz krzyknął i odwrócił się, więc *Gefreiter* przerzucił broń i naparł na łożę całą swą masą, wbijając tamtemu bagnet w brzuch. Nieszczęśnik zagulgotał, dławiąc się własną krwią, ale w tej samej chwili na szturmującego Niemca wpadł trzeci z kaemistów.

Rycząc jak ranny tur, wielki, brodaty Rosjanin przewrócił go na ziemię. Zanim Keller miał szansę zrobić cokolwiek, tamten kopnął go ciężkim butem tak, że Gerhard aż usłyszał, jak trzeszcza mu żebra. W głowie zawirowało mu z bólu, jak przez mgłę zobaczył, że przeciwnik wyszarpuje z za pasa saperską łopatkę i wznosi ją nad głowę.

Teraz pójdzie szybko, smutna myśl przemknęła Kellerowi przez głowę, a potem Rosjanin przewrócił się na twarz. Za nim, na skraju ziemianki, stał z dymiącym karabinem w rękach Karl z kompanii Gerharda.

– Niech mnie kule biją, *Herr Gefreiter!* – wykrzyknął, repetując broń. – Już myślałem, że...

Nie wiadomo jednak, co myślał starszy szeregowy Karl Richter, bo dokładnie wtedy ukrywający się za drzewami w głębi ogrodu rosyjski *junkier* przestrzelił mu z mosina szyję, kładąc trupem na miejscu.

Keller podniósł się na nogi, złapał za karabin i wyszarpnął bagnet z ciała siedzącego pod oszalowaną ścianką kaemisty, który wrzasnął przeraźliwie z bólu i chyba tym razem umarł na dobre. Gerhard wyciągnął z ładownicy łódeczkę, trzęsącymi się rękami wsunął w magazynek mauzera. Dobrze wyliczył, w komorze był już ostatni nabój!

Wychylił się z okopu z bronią przy oku, wycelował i płynnym ruchem ściągnął spust. Bluznął ogień, chowający się za krzakami chłopaczek w rosyjskim mundurze posłańca krzyknął wysokim głosem i upadł na ziemię.

Gefrejter przeładował, przycelował jeszcze raz, widząc ruch pomiędzy czereśniami, dał ognia. Kątem oka dostrzegł, że reszta jego oddziału już podciąga do pozycji, więc nie było sensu się wysuwać... jeszcze nie, niech podejną bliżej po lewej... jeszcze nie... i...

– *Fur Kaiser, Gott und Vaterland!* – zawołał, wyskakując z okopu.

– *Preusen uber alles!!* – ryknęli nierównym chórem jego ludzie, zrywając się także do biegu i dając ognia ze wszystkiego, co tylko mieli pod ręką. Kilka ogników wystrzałów mignęło pomiędzy drzewami, ale Rosjanie podawali już tyły, cofając się w rozsypce i porzucając broń.

Keller biegł przez ogród, czując, jak smagają go po

twarży i łapią za mundur gałęzie; pomiędzy krzewami widać już było jaśniejące bielą ściany niedużego szlacheckiego dworku. Wtedy wyhamował, cofnął się ku dogasającym popiołom dostrzeżonego ogniska. Podniósł kawałek niedopalonej kartki, oczy mu błysnęły.

– Sztab! – krzyknął ile sił w płucach. – Tu był sztab! Nie niszczyć niczego w środku, brać jeńców...!

Po raz kolejny tego dnia skłął siebie w myślach: sam dopiero co zastrzelił tego dzieciaka, a przecież tamten na pewno mógłby coś powiedzieć! Szansa na to, że ktokolwiek z wrogów przeżyje ich dzisiejszy szturm, była, oględnie mówiąc, żadna: upojeni długo wyczekiwany przełamaniem frontu ludzie strzelali, żeby zabić... Ale nie darowałyby sobie, gdyby nie dopełnił formalności i nie wydał rozkazu.

Od strony domu huknęły wystrzały, więc czym prędzej ruszył w tamtą stronę, żeby w razie czego powstrzymać rozpalonych ogniem walki żołnierzy. W samą porę: Wilbert podbiegał do każdego okna po kolei i strzelał na oślep do środka, Ruckhof i Andzejsky katowali kolbami karabinów jakiegoś Rosjanina, który zakrywał tylko głowę rękoma, leżąc na ziemi.

– Co ja powiedziałem! – Doskoczył do swych żołnierzy, szarpnięciem odciągnął Andzejskiego na bok, walnął Ruckhofa na odlew w pysk tak, że tamtemu zadzwoniły zęby. – Brać żywcem! Jeńcy potrzebni!

– *Herr Gefreiter*, nie słyszeliśmy żadnego... – Ruckhof chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Keller znów strzelił go z

otwartej dłoni w twarz, aż tamten zatoczył się do tyłu.

– Nie niszczyć niczego! Żywcebrać! – huknął.

Wilbert wyczuł, co się święci, bo z miejsca ruszył na spotkanie nadciągającym od strony ogrodu żołnierzom, machając rękami: nie niszczyć, zachować! Zerkał przy tym kątem oka, czy aby *Gefreiter* widzi, jak gorliwie wykonuje jego rozkaz.

– Oportunistyczne świnię – mruknął Keller, uśmiechając się sam do siebie.

Z natury nie był skłonny do przemocy, ale wojna nauczyła go bardzo szybko, że same słowa nie dość głęboko zapadają ludziom w pamięć. Odczepił od karabinu wielki, niewygodny bagnet i ściskając go w ręku niczym tasak, podszedł do wejścia do dworku. Popchnął drzwi, które skrzypnęły niegłośno. Nikt do niego nie strzelił, w środku było cicho i pusto, więc zagłębił się w ciemną przestrzeń sieni.

Wewnątrz budynku panował chaos – widać było, że Rosjanie zbierali się w pośpiechu, wymuszonym tempem niemieckiego natarcia i przejścia przez rzekę.

Wszędzie poniewierały się papiery i przybory piśmiennicze, w otwartej kuchni wiatr przesuwiał i rwał duże, pozwijane płaty sadzy, które pozostały po palonych na szybko mapach sztabowych. Na stole stało niedopite wino w kryształowej karafce i kilka posrebrzonych kubków. Nadgryziony kawałek chleba ze smalcem leżał tak, jak go ktoś zostawił, na rogu zdobionego kredensu.

Przeszedł dalej, ostrożnie zajrzał do pokoju obok, po-

tem wrócił do salonu. Za oknami migały mu już sylwetki ludzi, obiegających dworek dookoła i pędzących w pościgu za uciekającymi Rosjanami; nieco dalej, przy ulicy, stał spokojnie zaprzężony do dwukołowej bryczki piękny kłusak, jak gdyby nigdy nic podszczypujący listki wystających ponad kamiennym płotkiem kwiatów.

Keller uśmiechnął się, widząc stojące pod ścianą pianino St. Goetze z odległego Petersburga. Nie mogąc się powstrzymać, stuknął w klawisz, potem drugi i trzeci; piękny instrument, aż dziw, że wytrzymał tak długo...

Obrócił się gwałtownie, słysząc – oddech? A może jęk? Ostatnie dźwięki pianina przebrzmiały i ucichły, a Keller uważnie wsłuchał się w ciszę. Stukając butami o modrzewiową podłogę, wyszedł przez podwójne drzwi do otwierającej się na ogródek przed domem świetlicy. Chyba mu się wydawało, ale...

Ostrożnie uchylił drzwi do ostatniego pokoju, zajrzał... Potem otworzył je szerzej, wpadł do środka, doskoczył do leżącej na deskach postaci w zalanym krwią mundurze.

– Sanitariusz! – wrzasnął ile sił w płucach. – Sanitariusza! Mamy tu rannego oficera!

– *Ich hin... da ja svoj, ne nado... wissen Sie... Ich brauch' Hilfe...* – mamrotał nieskładnie blady jak sama śmierć niemiecki oficer. Ręce miał skrepowane za plecami, widać było po śladzie krwi, że musiał się tu doczołgać albo przywleczono go do ciemnego pokoiku siłą.

Keller ostrożnie sięgnął nożem i przeciął więzy, na co tamten zareagował bolesnym jękiem. Przy każdym słowie i

oddechu w płucach świszczowało mu i rzeziło, stracił mnóstwo krwi, ale skoro przeżył tak długo, być może miał jeszcze szansę.

– Proszę nic nie mówić, już w porządku. – *Gefrejter* pokiwał głową, słysząc kroki nadbiegających sanitariuszy.
– Jest pan wśród swoich.

Oczy rannego błysnęły, jego twarz ściągnęła się nieoczekiwanym grymasem, ale potem rozluźnił się, uśmiechnął słabo.

– Jest pan wśród swoich – powtórzył Keller.

ROZDZIAŁ I

Rok 1917, Prusy Wschodnie

Zgrzytając i piszcząc hamulcami, sycząc i plując kłębami pary, pociąg wtoczył się na dworzec główny Königsberga. Po raz ostatni przeraźliwie jęknęły stalowe koła, skład szarpnął i zamarł w bezruchu. Tragarze podskoczyli ku wagonom, zaczęli otwierać drzwi i pomagać wysiadającym z przedziałów pasażerom pierwszej klasy.

Fahnenjunker Gerhard Keller przeciągnął się na peronie, złapał jeszcze ostatniego macha i wydmuchnął dym, który od razu uniósł delikatny zefirek. Ziewnął rozdzierająco. Rozleniwił się tak, siedząc na ławeczce w promieniach ciepłego, jarzącego się kojącą żółcią słońca i czekając na spóźniony jak zwykle ekspres z Berlina.

Wstał, zdusił cygaretkę w popielniczce i poprawił mundur, rozglądając się jednocześnie po tłumku wysypujących się z pociągu podróżnych. Kobiety w szerokich kapeluszach i bardziej praktycznych podróżnych czapczkach, dżentelmeni o wypomadowanych wąsach, modnisie w surdutach, w spodniach o wąskich, przykrótkich nogawkach... Żołnierze w pikielhaubach, kilku żandarmów.

– Teodor! – zawołał, podnosząc rękę. – Hej, hej! Tutaj!

Stojący na peronie oficer drgnął, obejrzał się – a potem zauważył go, rozciągnął twarz w szczerym uśmiechu radości. Gestem podziękował już zabierającemu się do jego bagażu tragarzowi, złapał walizę i szybkim, sprężystym krokiem ruszył ku Kellerowi.

– Teodor... *Herr Leutnant!* – Keller zasalutował i strzelił obcasami tak, że aż obejrzało się na niego kilka dam.

– *Herr Fahnenjunker...* Gerhardzie. – Podporucznik Teodor Grossmann rozłożył szeroko ręce, objął dawno niewidzianego przyjaciela w kordialnym uścisku. – Uff...! Uważaj, żebra jeszcze bołą, a tobie siły nie brakuje.

Keller odsunął się o krok, otaksował Grossmanna uważnie i niedowierzająco pokręcił głową.

– Mój dobry Boże! Ponad rok, odkąd się widzieliśmy, a ty nic a nic się nie zmieniłeś!

– Wszyscy się zestarzeliliśmy, Gerhardzie. Przybywa nam lat, blizn i przebytych mil.

– Front? – skrzywił się Keller. – Widzę, że i ty nareszcie dorobiłeś się swego Krzyża...

– Arras. – Grossmann kiwnął, jak gdyby ta odpowiedź wszystko wyjaśniała. – Wybacz, nie chcę o tym mówić.

– Rozumiem. Chodź, weźmiemy taksówkę i pokażę ci miasto!

– Zaczniemy może od koszar, jeśli pozwolisz. Jestem trochę zmęczony po podróży, nie spałem zbyt dobrze w pociągu.

– Naturalnie.

Wsiedli do wąskiego, niskiego automobilu, Keller podał kierowcy adres i ruszyli. Samochód podskakiwał i turkotał na kocich łbach, hamując i wymijając przebiegających przez ulice pieszych i kluczących bez jakiegokolwiek poszanowania zasad rowerzystów. Grossmann wychylił się przez okno, spojrzął w górę, na mijaną właśnie ścianę Zamku Królewskiego, zieleniącą się pysznym bluszczem.

– Pięknie tutaj u was. Chyba wreszcie raz w życiu wysłali mnie w jakieś rozsądne miejsce, co?

– Lepszego przydziału byś nie dostał, zapewniam cię!

Grossmann popatrzył na niego uważnie, cmoknął z dezaprobatą i pokręcił głową.

– Gerhard... Nie miałeś chyba z tym nic wspólnego, prawda?

– Absolutnie, nic a nic! – szelmowsko uśmiechnął się Keller. – Ale przyznasz sam, że chciałeś tu trafić?

– No wiesz, po tym, co napisałeś mi o tutejszych kobietach...

– Ty stary draniu! – roześmiał się *Faunen junker*, objął przyjaciela ramieniem, potrząsnął. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

– Ja też, Gerhardzie. Ja też.

Zajechali pod Defensionskaserne Kronprinz. Keller sięgnął do kieszeni po pieniądze, żeby rozliczyć się z taksówkarzem, ale Grossmann uprzedził go, podał kierowcy kilka monet.

– Dziękuję, reszty nie trzeba.

– Rozrzutny się zrobiłeś – mruknął Gerhard, gdy wysiedli i ruszyli ku budce wartownika. – Aż tak bardzo odkułeś się na awansach?

Teodor wzruszył ramionami.

– Jestem na urlopie, nie mam pojęcia, kiedy znów mnie wezwą na front. Kiedy mam te marne grosze wydać, jeśli nie teraz?

– Oj, nie zabraknie ci okazji, zobaczysz! – Keller parsknął śmiechem, wyciągnął przepustkę i podał wachmanowi; ten pobieżnie zerknął na dokumenty, zasalutował i ponownie wbił wzrok w pustkę.

Przeszli przez wewnętrzny dziedziniec koszar, potem ich kroki zadudniły po parkiecie korytarza budynku kancelaryjnego. Gerhard zastukał do drzwi sekretariatu, nacisnął klamkę.

– Ach, pan *Fahnenjunker* Keller. – Kancelista podniósł głowę. – Jak mogę panu pomóc w ten piękny dzień?

– Kapralu, jest tu ze mną podporucznik Grossmann, który dostał do nas przydział tyłowy na czas urlopu. Przydałoby się wydzielić jakąś kwaterę...

– Königsberg wita miłych gości, panie podporuczniku. Coś się znajdzie, oczywiście; mogę prosić o dokumenty?

Grossmann wręczył papiery urzędnikowi. Czekaając, aż ten przestudiuje wszystkie wpisy i pieczęcie, oparł się o drewniany parapet i wyjrzał za okno. Kompania żołnierzy w pikielhaubach i pełnym regulaminowym oporządzeniu maszerowała przez plac defiladowy, nieco dalej kolejny oddział ćwiczył składanie się do salw w dwuszeregu:

przedni rząd klęczący na jednym kolanie, tylny gotów dać ognia ponad głowami towarzyszy broni. Prychnął, pokręcił głową.

– Nedorzeczność...

– Oj, pan generał von Pappritz nie zgodziłby się z panem podporucznikiem – rzucił znad swych papierów kancelista.

– Słucham?

– Widzi pan, przywiązujemy tutaj w Königsbergu dość dużą wagę do kwestii dyscypliny. Słynny pruski dryl, rozumie pan podporucznik. Maszerowanie w nogę, zwroty wykonywane zwartą formacją i takie tam inne podręcznikowe manewry.

Grossmann popatrzył na skrobiącego coś w księgach kaprala. Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale wychwycił spojrzenie Kellera i uśmiechnął się wyrozumiale: faktycznie, lepiej mieć w kancelarii gadatliwego sprzymierzeńca niż niepotrzebnego wroga. Westchnął tylko, pokręcił głową.

– Chciałbym ich zobaczyć, jak utrzymują ten szyk, kiedy pełźnie na nich brytyjski *Panzer*.

– Musi pan wiedzieć, że nasz generał nie wierzy w czołgi, *Herr Leutnant*. Nie wierzy też w żarty i w posiadanie własnego zdania. Przez innych, rzecz jasna. – Kancelista przycisnął dokument suszką kołyskową i podał go Teodorowi. – Proszę, oto pański przydział kwaterunkowy.

– Dziękuję. Oznaczenia znajdę na budynkach?

– Zaprowadzę cię – zaoferował się Keller. – Dzięku-

jemy, kapralu Scheyenbach.

Urzędnik kiwnął głową, puścił porozumiewawczo oko.

– Zawsze do usług, *Herr Fahnenjunker!*

Przeszli przez podwórzec, kierując się do północnego skrzydła budynku koszarowego. Zaciekawiony Grossmann rozglądał się dokoła, taksując wzrokiem dwupiętrowe budynki z czerwonej cegły i równusieńko przystrzyżone rabatki na klombach. Przyglądał się też mijanym żołnierzom.

– Masz tu chyba dość dobre, hm... układy, nieprawdaż? – zwrócił się do Kellera, gdy wspinali się na piętro kazarmy numer sześć. – Moja przypadkowa alokacja na wcale nie krótki urlop, a teraz stosunki z tym kapralem, które też trudno uznać za służbowe.

– Arthur Scheyenbach to porządny młody człowiek... a że nasi rodzice znali się przed wojną, cóż poczniesz?

Tutaj się urodziłem, to moje miasto. Staram się żyć dobrze ze wszystkimi, nikomu nie wadzić. – Keller rozłożył ręce.

– Pochwały godna postawa życiowa.

Stanęli przed drzwiami kwatery opatrzonej numerem sześć osiem, Keller przekręcił w klucz w zamku. Lokum nie było szczególnie duże – „przytulne” cisnęło się samo na usta – ale czyste i schludne: stół i dwa krzesła, pojedyncze łóżko, nieduża szafa, jakimś cudem zabłąkana kozetka, w rogu umywalnik z emaliowanymi naczyniami. Wystarczy.

– Rozpatrz się w tym wszystkim, zamelduj u dowo-

dzącego garnizonem – poradził Keller. – Odpocznij trochę przede wszystkim, odetchnij świeżym powietrzem. Wpadnę po ciebie – no, jakoś tak koło szóstej.

– Planujesz coś szczególnego?

Gerhard wyszczerzył się w uśmiechu.

– Wypadałoby uczcić twój przyjazd, więc muszę pokazać ci miasto. Ze wszystkimi jego... atrakcjami. Zobaczysz, że mamy tu tego niemało.

– Dziękuję. – *Leutnant* Teodor Grossmann uścisnął rękę kolegi, poklepał go po plecach, po czym, gdy tamten odszedł, zamknął drzwi i szczęknął zasuwką.

Jessaul Fiodor Grigoriewicz Wielikow szczęknął zasuwką, odwrócił się tyłem do drzwi i odetchnął głęboko, z ulgą. Podeszedł do okna, popatrzył już z innej perspektywy, niemalże innymi oczami na wewnętrzny dziedziniec. Zobaczył jeszcze, jak Keller zbiega po schodkach, a potem rusza swoją drogą. Zakonotował w myślach rozkład budynków, jednocześnie rozpinając niewygodne, cisnące haftki pod szyją. Prawie dwa lata w tym mundurze, a jeszcze się do tego nie przyzwyczaił!

Odpiął Krzyż Żelazny, chciał odrzucić na stół, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i ostrożnie, nawet z pewną czcią, odłożył zaszczytne odznaczenie. W końcu pamiętał, ilu żołnierzy z jego oddziału zginęło w tej akcji, gdy...

Nie! Potrząsnął głową, ścisnął skronie rękoma. Nie jego oddziału! To nie był JEGO oddział, to nie był ON!

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze, przeciągnął dłońmi po mundurze. Tylko ręce i twarz należały do niego.

Reszta... reszta była naciągniętą maską, która ostatnio zaczynała przylegać tak szczelnie, że sam zaczynał się w tym gubić.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko raz i drugi. Przechylnął się szeroko, od prawej do lewej, po prawosławnemu.

Miał tu misję do wykonania.

– Zobacz, jak to wygląda. Tylko zobacz.

Grossmann pokiwał głową, spoglądając na panoramę nocnego Królewca. Nie mógł się nie zgodzić: miasto było naprawdę ujmująco piękne.

Stali we dwóch z Kellerem na Kottelbrücke, jednym z siedmiu osławionych mostów Königsberga, spoglądając wzdłuż rzeki w kierunku portu. Dokładnie po ich prawej stronie stała bryła ratusza na Knipawie, który dopiero co minęli w swym tournée po piwiarniach i przybytkach miasta.

Nieco za mostem wznosiła się wysmukła, zupełnie ciemna o tej porze katedra, zdająca się z wyniosłym milczeniem spoglądać na bawiący się już od kilku godzin Königsberg. Jeszcze dalej, pomiędzy budynkami, wprawne oko wypatrzyłoby nową synagogę, jakby nieco drwiąco popatrującą z przeciwległego brzegu rzeki na przybytek młodszych braci w wierze.

Ulica po lewej stronie oficerów prześlizgiwała się obok pięknego budynku giełdy o delikatnej architekturze i dosłownie wbijała się w fasadę zabudowań otaczających położony nieco dalej plac Jarmarczny, po którym nawet o

tej porze kręcili się ludzie. Sam szpital Świętego Jerzego generował spory ruch, jako że nieustannie spływali do niego lżej i ciężej ranni oficerowie, przenoszeni tutaj na urlopy rekonwalescencyjne z bliższych frontu lazaretów i sanatoriów.

Pobrzękując dzwonkiem na spóźnionych przechodniów i turkocząc kołami na łączeniach szyn, po Zielonym Moście przed Kellerem i Grossmannem przetoczył się tramwaj – mżące blaskiem żarówek, przysadziste, prostokątne pudełko z cienkiej blachy.

– Nadal nie mogę się przyzwyczaić, że nie ma przed nimi koni – mruknął Teodor. Gerhard popatrzył na przyjaciela, zdziwiony, ale nie powiedział nic;

tramwaje elektryczne były przecież w miastach Cesarstwa na porządku dziennym.

Pojazd wjechał pomiędzy zabudowania Knipawy i zniknął; wysoki, dźwięczny trel sygnału niósł się jeszcze jakiś czas po ulicach, odbijając echem od zdobionych fasad. Nad rzeką znów zapanowała ciemność, tylko na odległym moście Kolejowym migotały czerwone punkciki lampek, ostrzegające idące po Pregole spóźnione łodzie.

Dalej widać było światła nabrzeża towarowego, zwanego też holenderskim, oraz stoczni po lewej stronie; na dobrze widocznym zakręcie rzeki jarzyły się jupitery przy kejach magazynów wojskowych, do których nawet teraz zawijały niskie, przysadziste barki transportowe.

Potem Pregola toczyła swój leniwy, zielonkawy nurt, rozlewając się coraz szerzej i szerzej, aż wreszcie prze-

chodziła niemal niezauważalnie w szeroki, spokojny akwen Frisches Haff, po którym za dnia przesuwały się ciężkie, krępe łodzie rybaków i wąskie, wysmukłe czółna płynących w swoich sprawach miejscowych. Wystarczyło tylko przepłynąć kanałem przy Pillau i było się na otwartych, bezkresnych wodach Bałtyku – a tam człowiek niemal czuł, że może wyruszyć, dokądkolwiek tylko dusza zamarzy.

– Pięknie tutaj – szepnął Keller bardziej do siebie niż do stojącego obok podporucznika. Grossmann kiwnął głową, chłonąc całym sobą widok i atmosferę stolicy Prus Wschodnich.

Dzwon na katedrze uderzył raz, krótko i jakby nieśmiało pośród mroków nocy, obwieszczając tym, co jeszcze nie spali, że dziś właśnie zamieniło się w jutro.

– Możemy już iść? – odezwała się rozkapryszonym tonem brunetka w karmazynowej sukni.

Dwie dziewczyny – chociaż żaden z towarzyszy nie miał cienia złudzeń, że mają do czynienia z kobietami w pełnym tego słowa znaczeniu – opierały się o zdobiony, żeliwny filar przy wejściu na most, bynajmniej nie kryjąc swego znudzenia tak marszrutą, jak i nastrojem wycieczki. Posągowej urody blondynka ziewnęła demonstracyjnie i pstryknęła niedopałkiem, posyłając żarzący się punkcik lukiem za barierkę.

– No właśnie, chodźmy wreszcie... Zimno tutaj. – Schowała ręce w miniaturową mufkę, wtuliła głowę w ramiona. Faktycznie, choć formalnie zaczynało się lato,

noce potrafiły jeszcze zaskoczyć chłodem. – Jeszcze trochę, chłopcy, i zupełnie przemarznę. A wtedy nie zagrzeję się aż do rana...

Grossmann szturchnął Kellera w bok, uśmiechnął się i pokazał ruchem głowy. Mruknął:

– Nasze znajome się niecierpliwia. Może naprawdę powinniśmy iść?

– Poczekają. – Gerhard machnął ręką. – Kobiet mam tu pełno, a ciebie szmat czasu nie widziałem.

– Nie wypada tak ich trzymać. Mogą odebrać to jako afront.

Keller uśmiechnął się, klepnął przyjaciela w ramię.

– Niestrudzony z ciebie rycerz, co? Nie martw się, szeleszcząca i brzęcząca nadzieja pozwoliłaby im tak stać do samego świtu. Ogrzejemy je potem jak należy...

– Gerhardzie, naprawdę, nie przystoi tak mówić.

– Ech wy, oficerowie prosto z frontu! Ktoś mógłby pomyśleć, że będziecie zachowywać się jak psy spuszczone z uwięzi, a tymczasem zawsze potrzebujecie czasu, żeby wywietrzały wam z głowy propagandowe slogany. Chodźże, zrobimy ci płukanę spirytusową na mózg...
Moje piękne panie, już do was ruszamy!

Keller stuknął pięścią w barierkę i odwrócił się. Kobiety ożywiły się od razu, zachichotały jak na zawołanie, gdy ruszył ku nim, kordialnie rozkładając ręce i udając, że chce objąć obie naraz. Grossmann patrzył z uśmiechem, jak niezbyt przekonująco warczący i porykujący na podobieństwo niedźwiedzia towarzysz ugania się to za jedną, to

za drugą. One zresztą też niezbyt się wysilały, aby mu umknąć, skacząc to tu, to tam po śliskim bruku i stukając obcasami o żelazne płyty pokrycia mostu.

– Dobry wieczór, obywatele! – lekko schrypnięty, zgrzytliwy głos wciął się w śmiechy i nawoływania. – Proszę o dokumenty, godzina policyjna obowiązuje... O, przepraszam panów oficerów najmocniej!

Grossmann miał już się odezwać, ale uprzedził go Keller, który w jednej chwili zmienił się na twarzy, jakby jego wesołość i szarmanckość były tylko cienką, kruchą powłoką.

– Co to za ton? Jak śmiecie zwracać się tak do niemieckiego oficera!

– Przepraszam, nie zauważyłem... – Stary żandarm skulił się instynktownie, jak gdyby w oczekiwaniu na cios, ale Teodor zastąpił Gerhardowi drogę, przytrzymał kolegę za ramię.

– Kontrolujcie się, panie *Fahnenjunker*. Co pomyślą sobie nasze damy...?

– Hm, masz rację. – Keller zreflektował się, obejrzał na kobiety, które ucichły nagle, spłoszone.

Idźcie przodem, ja się tu rozmówię i was dogonię. – Grossmann pokazał szyld na nieodległym budynku. – Tak jak mówiłeś, tam na piętrze? Zostaw tylko dla mnie jakiś soczysty kąsek.

Keller rozpromienił się, uśmiechnął szelmowsko. Prawie dało się dostrzec, jak w jednej chwili zimna agresja wyparowuje z niego, jakby nigdy jej nie było.

– Chodźmy, moje panie! – Podszedł do kobiet, objął obydwie w pasie i poprowadził po moście. – Niech mój przyjaciel wdraża się do życia tutaj, w Königsbergu, a ja tymczasem rozgrzeję was trochę, żeby on nie musiał się tak bardzo starać...!

Odeszli, chichocząc i stukając obcasami. Grossmann wyjął cygaretkę, wyciągnął otwartą papierośnicę w kierunku żandarma.

– Dziękuję pokornie panu podporucznikowi. – Policjant uchylił czapki, pospiesznie pstryknął zapalniczką, podał ogień najpierw wojskowemu, dopiero potem odpalił sam.

Herr Leutnant wybaczy, ale noc, ciemno... A moje oczy już nie te.

Grossmann pokręcił głową, wyjął z kieszeni i podał złożone na czworo dokumenty. Zaciągnął się i wydmuchnął obłoczek dymu ku nocnemu niebu.

– Nie ma o czym mówić. Każdy ma swoją pracę, a tutaj, na tyłach, wasza jest bez mała ważniejsza od naszej.

Żandarm przejrzał papiery pod światło, oddał i zasałutował.

– Oj, nie wie nawet pan podporucznik, jak rzadko się to słyszy. Wojna wyciąga z ludzi samo najgorsze.

– To prawda. Dużo kłopotów?

– Zdarza się. Wie pan podporucznik, najgorsi są... – Żandarm wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale chyba się zreflektował.

– Najgorsi są podpici oficerowie na urlopach? –

Teodor pokiwał głową ze zrozumieniem. – I to jeszcze tacy jak my, z Krzyżem Żelaznym pod szyją. Niestety, muszę się z panem zgodzić.

– Ależ, *Herr Leutnant*...

– Proszę przyjąć przeprosiny w imieniu przyjaciela i moim. Miał pan absolutną rację, wylegitymowując mnie w tym miejscu i o tej porze... Dlaczego jednak pozwolił pan odejść mojemu koledze i tym dwóm damom? Skąd pan wie, że nie było pośród nich szpiega?

– Pan podporucznik raczy żartować...

– To karygodne zaniedbanie, kwalifikujące się do przedstawienia pana do raportu karnego. Teraz ja zmuszony jestem poprosić o pańską legitymację i dokumenty.

Było ciemno, ale i tak dało się zauważyć, że żandarm zbladł.

– Ja...

– Pańskie dokumenty, *Herr Gendarm*.

Policjant trzęsącymi się dłońmi odpiął kieszeń i podał papiery Grossmannowi, który tymczasem wyciągnął nieduży notatnik i ogryzek ołówka.

– A więc panie... Gerhardzie Dorfmeister... – Teodor podniósł wzrok znad swojego kapownika. – Tak się składa, że jest pan imiennikiem mojego nieco nazbyt porywczego przyjaciela, *Fahnenjunkra* Kellera. Myślę, że potraktujemy to jako okoliczność łagodzącą, tym bardziej że mój ojciec, święć Panie nad jego duszą, też był policjantem. I zdaje się, że byłby akurat teraz w pana wieku. My, mundurowi, musimy trzymać się razem, co?

– Tak jest, panie podporuczniku. Dziękuję, panie podporuczniku. – Żandarm sapnął z ulgą, chowając odebrane dokumenty niczym najcenniejszy skarb.

– Dopilnuję, żeby *Fahnenjunker* Keller też złożył stosowne wyjaśnienia, również co do tożsamości tych dwóch... – Teodor zawahał się, puścił porozumiewawcze oko. – Powiedzmy, że dam. A na przyszłość proszę nikomu nie przepuszczać.

– Tak jest, *Herr Leutnant!* – Policjant zasalutował, strzelił obcasami schodzonych butów i odmaszerował dalej tropić szpiegów i sabotażystów w uliczkach śpiącej Kni-pawy.

Jessaut Fiodor Wielikow spojrzął za odchodzącym i przymknął na chwilę oczy, aby twarz spotkanego żandarma na dobre zapadła mu w pamięć. Nieledwie dwanaście godzin, a pobyt już zaczynał dawać pewne efekty... Potem odetchnął głęboko zimnym, lekko wilgotnym powietrzem i spojrzął na Königsberg – ale już oczami *Leutnanta* Teodora Grossmanna.

Wnętrze klubu dosłownie uderzyło go ścianą wilgotnego gorąca, gęstego powietrza przesyconego siwawym dymem, hałasu pomieszanych rozmów, śmiechu i muzyki, zapachu wina, piwa i wódki. Uśmiechnął się, gdy obok niego przepłynęła ubrana w niewiele więcej niż strusie pióra i brokatowy gorset tancerka kabaretu, która obdarzyła go spojrzeniem tak powłóczystym, że mógłby owinać je sobie wokół szyi jak najsolidniejszy, konopny sznur...

– O, widzę nową twarz, zawsze rozpoznaję nowe

twarze. – Zążywna, postawna jejmość, zapewne matrona przybytku, podniosła się do niego z sofy w rogu. – Pan podporucznik pozwoli, mamy tu wszystko, czego tylko dusza zapragnie, a w oczach widzę, że pan dawno...

– Hola, hola! – W głębi sali poderwał się Keller. – *Frau* Białetzki, to mój towarzysz broni... Co ja mówię: przyjaciel! Już ja się nim zajmę, niechże go pani tam nie czaruje!

– Ależ gdzieżbym śmiała...

Grossmann skłonił się, ucałował koniuszki palców podanej mu upierścienionej dłoni.

– Teodor Grossmann, do pani usług... *Enchante, madame*, jak to mawiają Francuzi.

– Mój Boże, prawdziwy dżentelmen! – Kobieta kokieteryjnie przysłoniła usta wachlarzem, zatrzepotała umalowanymi rzęsami. – Nie do wiary, że w tych czasach upadku obyczajów i moralności ktoś jeszcze wie, jak traktować kobietę.

– Ohoho, on już wie aż nadto dobrze, niech się pani o to nie martwi. – Keller wyszczerzył się, ciągnąc Grossmanna za sobą.

Blondynka i brunetka już rozłożyły się na miękkiej, karmazynowej sofie i sączyły teraz szampana z wysokich kieliszków; patrząc na ich skąpy ubiór, ciężko było się dziwić, że narzekały na nocny chłód. Keller podał przyjacielowi kieliszek.

– To co, staruszkę? Wypijmy wreszcie porządnie za twój powrót do normalnego świata!

Grossmann podniósł kryształ, popatrzył na musujący, lekko bursztynowy płyn. Takiego koloru była zimna, pozbawiona cukru herbata, którą dostawali w okopach...

– Za zwycięstwo. – Wychylił duszkiem. Poczuł, jak trunek drażni przełyk i od razu wgryza się w ścianki żołądka; zerknął na Kellera, który ledwo zauważalnie skinął głową. Czyli jego przyjaciel nadal zaprawiał szampana spirytusem...

Gerhard też opróżnił swój kieliszek jednym haustem, objął i przyciągnął do siebie kobiety.

– Noc jeszcze młoda, moje drogie, a ja muszę uczcić to, że znów mam przy sobie przyjaciela! Jesteście obydwie tak śliczne, że nie potrafiłbym się zdecydować, którą zjeść najpierw, ale... Ale to jego noc, jego urlop! Nuże, zaciągnąć mi go na parkiet!

Uszczypnął brunetkę, klepnął blondynkę w tyłek i posłał obydwie ku Grossmannowi, a sam opadł z powrotem na miękkie oparcie kanapy.

Teodorowi wydało się, że jego przyjaciel nagle spoważniał, odprowadzając ich jakby nieco melancholijnym wzrokiem. Prowadzony pod ramiona ku grającej orkiestrze i płynącym w oparach dymu sylwetkom rzucił jeszcze pytające spojrzenie: coś się stało? Ale Gerhard machnął tylko ręką: później.

– Co to za jedna?

Lekko zaczerwienione, zmęczone oczy Kellera w pierwszej chwili zdawały się nie wyrażać nic.

– Która, blondynka czy brunetka?

– Nie żartuj, Gerhardzie. Mogłem cię nie widzieć prawie rok, ale znam dobrze. Kim ona jest?

Nad kanałami Königsberga podnosiła się lepka, szarawa mgiełka przedświtu. Tuman wpływał długimi pasmami w brukowane ulice i wspinał się na fasady domów, zostawiając na kwadratowych szybkach pasma rosy. Niebo na wschodzie rozświetlał już pierwszy, wąski pasek różu, mającego wkrótce rozbłysnąć pełną krasą wiosennej jutrenki; ptaki budziły się w gniazdach pod okapami wiekowych domów, a ich jeszcze nieśmiałe trele niosły się po pustych ulicach, którymi okazjonalnie tylko przemykała dwukółka mleczarza. Mijali właśnie piekarnię na rogu Kalthofische i Stiftstrasse, więc obydwaj odruchowo przełknęli ślinę, gdy owionął ich zapach ciepłego, świeżego Chleba.

Keller westchnął ciężko.

– Gerhardzie, ponawiam pytanie. Co to za kobieta?

– Ech... aż tak bardzo to widać?

– Bawiłeś się tego wieczora, jakby cię sam diabeł opętał. Gonileś co rusz do szynkwasu, narzucając takie tempo, jakbyś to ty wrócił właśnie z frontu i chciał zapomnieć o tym, co widziałeś.

– To jeszcze nic niezwykłego – wyszczerzył się Keller, błyskając zawadiacko oczami.

– Co nie zmienia faktu, że najpierw ledwo pozwalałeś mi się odezwać do tych dwóch gracji, a potem nagle posmutniałeś. Sam pchnąłeś je w moje ramiona... I dopiero kilka głębszych pozwoliło ci zapomnieć i wrócić do daw-

nej formy, a ja zostałem z jedną... towarzyszką na wieczór. Między nami mówiąc, wcale nie tą ładniejszą. Wnoszę zatem, że jest jakaś kobieta, która zalała ci za skórę. Chodzi o tę samą wyniosłą piękność, która nagle pojawiła się w twoich listach, a potem równie gwałtownie z nich zniknęła?

– Zawsze miałeś dobre oko – mruknął Gerhard, udając, że jest bardzo zajęty studiowaniem detali architektonicznych mijanego frontonu. – No ale nawet jeśli, to co? Co z tego, he?

Grossmann wzruszył ramionami.

– Nic. Ale twoja alteracja pozwala myśleć, że może jednak coś.

– Jest jedna taka. – Keller zaciągnął się ostatni raz papierosem, wrzucił niedopałek w ciemną bramę. – Ale to temat na dłuższą opowieść. Nie na dziś, nie na tę noc.

– „Dziś” zostało już za nami, Gerhardzie. Właśnie wkraczamy w jutro.

Wyszli spomiędzy zabudowań na otwartą przestrzeń otaczających koszary pól Herzogs-Acker, z rzadka tylko porośniętych młodymi brzózkami i pokrywającymi się drobnym liściem krzewami bzu. Zabłąkana sarna uniosła głowę znad skubanej trawki, po czym zerwała się w skok i zniknęła im z oczu.

– Naprawdę pięknie tu u was... – powtórzył o wiele wcześniejszą myśl Teodor, chcąc ściągnąć na weselsze tory myśli przyjaciela. Ten pokiwał głową, uśmiechnął się kwaśno.

– Pięknie, to fakt. Ale musisz uważać, Teodor.

Wielikow, skryty pod przebraniem munduru Grossmanna, drgnął, zmusił ciało do lekceważącego uniesienia brwi.

– To znaczy?

– Tutaj wszystko wydaje się oczywiste i możliwe do objęcia wzrokiem. – Keller wskazał ruchem ręki przestrzeń wokół koszar. – Widzisz piękną, smukłą łąkę pośrodku otwartego pola, myślisz sobie: łatwa zdobycz. Ale pod spodem drzemią takie rzeczy, że... Czasem lepiej nie zagłębiać się w to zbytnio i po prostu iść dalej.

Faktycznie – z ich perspektywy, z perspektywy całego miasta, pejzaż wyglądał niewinnie, wręcz sielankowo, gdy tak szli drogą w szpalerze drzew ku wzniesionej z czerwonej cegły bramie do koszar.

Ale pod cienką warstwą idealnie przystrzyżonej trawy i nasypanej ziemi kryły się tam poterny biegnące do składów pełnych amunicji i podziemne ujęcia wody, piętrowe koszary dla wojska i półokrągłe sklepione pokoje sztabowe; w trzewiach porozrzucanych koncentrycznie fortów drzemały cielska stalowych armat fortecznych i wąskie żądła karabinów maszynowych, skrytych za kurtynami pancernych płyt.

Okolica zdawała się idealnie cicha i niemal wymarła. Gdzieś tam paliło się tylko mdłe światło i bulgotała na małej kuchence kawa dla strażników, których baczne oczy obserwowały dwie postacie, podchodzące o tak nietypowej porze do jednostki.

– Spij dobrze i wypocznij, Teodorze. – Keller zatrzymał się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jak to, a ty?

– Ja idę do siebie, do domu. Przecież mówiłem ci: ja tutejszy jestem, mieszkam na przedmieściu, w domu po rodzicach. Spacer przed snem dobrze mi robi, przewietrzę się.

– Zglupiałeś? Pół nocy włóczyliśmy się po mieście, ja już nóg nie czuję!

– Mittelhufen nie jest daleko – z uśmiechem skłamał Keller.

Grossmann popatrzył na przyjaciela z powątpiewaniem, ale ten tylko podszedł bliżej, uścisnął mu rękę, potem objął go i poklepał po plecach.

– Cholernie się cieszę, że przyjechałeś, Teodorze. To będzie piękne lato.

Porucznik odsunął się, raz jeszcze popatrzył na tak dawno niewidzianego towarzysza broni. Uśmiechnął się, zasalutował i strzelił obcasami, a potem wykonał przepiśowy w tył zwrot i pomaszerował w kierunku powoli budzącego się Królewca.

ROZDZIAŁ II

Manfred von Hohenfurst – *k.u.k. Auswartige Dienst auserordentlicher Gesandte*, czyli Nadzwyczajny Wyśłannik Cesarsko-Królewskiej Służby Spraw Zagranicznych – zdjął płaszcz i kapelusz z wieszaka, otaksował wzrokiem biuro.

– To wszystko na dzisiaj, *Fraulein Arner*. Idę już, dobranoc.

Sekretarka podniosła wzrok znad przepisywanego listu i obdarzyła przełożonego lekko roztargnionym uśmiechem.

– Dobranoc, panie konsulu!

Von Hohenfurst zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodkach, gdzie już czekał samochód. Kierowca skinął głową, otworzył drzwiczki automobilu.

– Na przyjęcie, panie konsulu?

– Tak – westchnął Mannfried, sadowiąc się w skrzypiącym skórą, ciemnym i miękkim wnętrzu maszyny. Ile dałby, żeby móc się teraz zdrzemnąć... Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, żeby kazać Karlowi pojechać drogą dookoła, przez Steindamm, ale szybko zdusił tę chwilę słabości.

Samochód zawarczał i ruszył, podskakując i turkocąc na nierównym bruku Königsberga. Kołysanie i szum działały kojąco, świat lekko pływał z lewa na prawo, po

obydwu stronach drogi przesuwwały się światła stojących w równych odstępach lamp. Jednostajny rytm uspokajał, wciągał w siebie jakąś wijącą się na granicy słyszalności kołysanką...

Von Hohenfurst poderwał gwałtownie głowę. Czując, że zaraz zaśnie, przetarł twarz ręką i zmusił się do ziewnięcia. Oczy nie chciały złapać ostrości, obraz rozjeżdżał się i tańczył, powieki ciążyły w dół, nie chcąc się rozkleić. Uszczypnął się w wewnętrzną stronę dłoni, ale ból nie przyszedł tak mocny i wyraźny, jak miał na to nadzieję. Ze też akurat teraz zaczęło go morzyć! Ech, będzie wreszcie musiał kiedyś, jakoś, gdzieś, odespać.

Nie chodziło bynajmniej o to, że konsul von Hohenfurst prowadził jakoś szczególnie hulaszczy tryb życia, a dzień był dla niego tylko okresem pomiędzy jedną a drugą libacją i potańcówką. Bynajmniej, jakkolwiek nie gardził zacnym trunkiem i miłą muzyką ani towarzystwem ładnych kobiet, a tych w mieście było naprawdę sporo.

Nie był też typem zaharowującego się na śmierć pracoholika, który postrzega wieczór jako logiczne przedłużenie roboczego poranka i popołudnia i wierzy, że pracując odpowiednio dużo i ciężko, w końcu dogoni własny cień i kiedyś pojedzie na zasłużone wakacje.

Nie – pan konsul od pewnego czasu po prostu nie mógł spać.

Zaczął się jakoś od jego relokacji do Prus Wschodnich, na przełomie szesnastego i siedemnastego roku... a w zasadzie to dokładnie wtedy, gdy został w Berlinie we-

zwany przez swego zwierzchnika. Jego Ekszelencję ambasadora, który z bardzo poważną miną wręczył mu opieczętowaną kopertę. W środku znajdowały się dokumenty polecające założenie w Königsbergu ataszatu handlowego, mającego zarządzać sprawami rosnącej wymiany towarowej pomiędzy Cesarstwem Austro-Węgierskim a Królestwem Prus. Jednocześnie jednak drugą ręką ambasador podał mu inną, mniejszą kopertę, zawierającą zapisaną drobnym druczkiem instrukcję, opisującą prawdziwy cel jego misji.

W pierwszej chwili Mannfried poczuł się doceniony i wyróżniony. Wiedział, na co się pisze, zgłaszając wcześniej swój akces do spraw wymagających „szczególnego zaangażowania i oddania”, jak to ładnie ujmowało rozporządzenie; nie był więc zaskoczony, w każdym razie nie bardziej niż każdy, kto otrzymuje nie do końca jawne zadanie.

Po prostu... no właśnie. Nie stało się nic szczególnego, ale po prostu nie mógł od tamtej pory spokojnie zasnąć.

Gdyby w grę wchodziła regularna działalność wywiadowcza w jednym z państw ententy, to może nie poruszyłoby go to aż tak dogłębnie. Nie było w końcu tajemnicą – a w każdym razie wszyscy się tego domyślali – że skonfliktowane mocarstwa uciekać się będą do różnych, zarówno mniej, jak i bardziej jawnych środków celem uzyskania przewagi. Gazety niemal regularnie donosiły o procesach i egzekucjach szpiegów i sabotażystów, na łamach dzienników pojawiały się zmanipulowane zdjęcia

okrucieństw, jakich rzekomo dopuszczały się armie przeciwnika podczas działań wojennych. Wzajemne oskarżenia o łamanie konwencji były na porządku dziennym.

Ale to wszystko stanowiło poniekąd przedłużenie i kontynuację powszechnie znanej polityki obu stron, dokładnie tak, jak ujął to Clausewitz. Do tego klasyczny szpieg działał na terytorium wroga. Jemu natomiast powierzono misję wywiadowczą na terytorium państwa, które w trwającej już ponad trzy lata wojnie było ich – bądź co bądź – sojusznikiem.

Misję, której cel i zasadność budziły jego poważne wątpliwości.

– Dojechaliśmy, panie konsulu.

Głos kierowcy doleciał jak przez mgłę. Von Hohenfurst z trudem otworzył półprzymknięte oczy, kiwnął głową i wymamrotał jakieś ogólne słowa aprobaty; najbardziej nienawidził właśnie tego stanu półdrzemki, bo wydawało mu się wtedy, że myśli logicznie i po prostu ciągnie pewien wywód – a tymczasem wychodziło na to, że to złudzenie wywołane przez nadchodzący sen.

Wstrząsnął się, wciągnął haust i drugi chłodnego, rześkiego powietrza. Poprawił muchę pod szyją, a gdy tylko Karl otworzył drzwiczki, wysiadł energicznym, sprężystym ruchem.

W oczy uderzył go blask płonących światłem okien rezydencji, muzyka spłynęła z piętra falą jazgotliwego szumu, w którym dopiero po chwili odróżnił niższe i wyższe tony składające się na linię melodyczną.

Konsul Mannfried von Hohenfurst westchnął w skrytości ducha, po czym przywołał na twarz wyuczony przez lata pracy w dyplomacji uśmiezek; rozdając na lewo i prawo skinienia i pozdrowienia, wszedł na górę po wyłożonych czerwonym dywanem schodach.

Ściągnął z tacy przechodzącego obok lokaja kieliszek, opróżnił duszkiem i odstawił na pierwszy lepszy stolik.

Po czym ruszył po prostu przed siebie, lawirując pomiędzy stojącymi w grupkach i przemieszczającymi się w zupełnie losowy sposób ludźmi. Damy w rozłożystych sukniach ciągnęły za sobą treny i równie ciężki jak one zapach wieczorowych perfum, dżentelmeni przerzucali się ulatującymi w obłoczkach dymu replikami, które zawisały wokół kryształowych żyrandoli zwiewną, szarawą mgiełką.

Wszyscy uśmiechnięci, pomyślał konsul, taksując twarze i notując w myślach konstelacje rozmówców.

Był na tej placówce od stosunkowo niedawna, więc zdążył poznać tylko kluczowych graczy lokalnej *societe*; dopiero teraz powoli i mozolnie wgryzał się w zawiłości układów personalnych, zależności biznesowych i podległości służbowych, które składały się na oplatającą Königsberg pajęczynę wpływów oraz intryg. Gdzieś pod warstwą pozłoty i blichtru leżał tutaj zupełnie inny świat, w który musiał prędzej czy później wkroczyć... Było tylko do tej pory zdążył wyrobić sobie przynajmniej pobieżne pojęcie o jego topografii.

Przywitał się z włoskim wysłannikiem handlowym,

zamienił parę słów z dziekanem Albertiny, skomplementował kapelusz szacownej małżonki radcy Angelmaiera, który stojąc w cieniu wybranki serca, wyglądał jak przycupnięty pod rozłożystym muchomorem ogrodowy krasnal. Wypił jeszcze pół kieliszka, zapalił cygaretkę i dopiero wtedy poczuł, że zaczyna odbierać rzeczywistość mniej więcej tak, jak należało. Senność i ośpienie nie ustąpiły definitywnie, ale cofnęły się gdzieś na tył głowy, przyczaiły w oczekiwaniu na dogodny moment do ataku.

Konsul podszedł bliżej podium dla orkiestry, popatrzył z zaciekawieniem na strojących instrumenty muzykantów o lśniących od brylantyny włosach. Białe marynarki kontrastowały wyraźnie ze śniadą skórą twarzy, ciemne dłonie o jaśniejszych paznokciach biegały z wprawą po klawiszach wypolerowanych na lustro trąbek; jeden z Mulatów podniósł głowę i uśmiechnął się do von Hohenfursta, który mimowolnie się wzdrygnął, widząc jego nienaturalnie duże i białe zęby.

– Panie konsulu, jakże niewymownie się cieszę! – Przez tłum przecisnął się ku niemu graf Maximilian von Hantzsch, gospodarz przyjęcia. Niski, żwawy i chudy arystokrata był zupełnym przeciwieństwem wyobrażenia o pruskiej szlachcie, przeważnie rysowanej w karykaturach jako byki bądź odyńce; graf przypominał raczej igłę z nasadzonymi na czubek drucianymi binoklami. – Jakże bardzo, ale to bardzo się cieszę, że zechciał pan przyjąć zaproszenie i uświetnić wieczór swą obecnością!

– Ależ doprawdy, drobiazg. – Mannfried nieopatrznie

podał rękę na powitanie. Po zwyczajowym męskim uścisku spróbował wyciągnąć dłoń z objęć grafa, ale ten potrząsał nią tak intensywnie, aż cały przy tym podskakiwał.

– Naprawdę, naprawdę to dla nas wielka przyjemność, że zaszczycił nas pan konsul odwiedzinami!

– No cóż... tak. – Von Hohenfurst w końcu wyswobodził dłoń, od razu złapał lampkę szampana i wystawił przed siebie, żeby zapobiec kolejnym atakom wylewności.

– Moja matka dobrodziejka, świeć Panie nad jej duszą, była spod Lilienfeld! Rozumie pan konsul?

– Tak – skłamał dyplomata, dla którego zapamiętywanie nazw własnych nigdy nie było najmocniejszą stroną.

– No więc, więc jesteśmy z panem konsulem prawie jak rodzina! – rozpromienił się von Hantzsch. – Gdy dowiedziałem się, że moja druga ojczyzna zdecydowała się otworzyć u nas, w Königsbergu, ambasadę...

– Ataszat handlowy – poprawił odruchowo Mannfried, ale graf nawet tego nie zauważył.

– ...to od razu pomyślałem sobie: Maximilian, mój drogi, szczęście się do ciebie uśmiechnęło na starość! Może wreszcie będzie gdzie się zatrzymać, gdy przyjdzie ci groby przodków odwiedzić, a może i znajdzie się miejsce, by swoje kości w ziemi złożyć! Ja już nie mówię zresztą, żeby do kogoś pojechać, panie konsulu, ale chociażby GDZIEŚ. Mamy, rozumie pan konsul, grobowiec rodzinny na wiedeńskim Zentralfriedhof, a ja...

Von Hohenfurst spojrzał badawczo na grafa, ten pokikiwał głową.

– Rodzina, panie konsulu, to największy skarb, ale i najgorsza plaga. Gdy moja mateczka starowinka zamknęła oczy w dziewięćdziesiątym drugim, to jej przyrodni brat tak poprowadził sprawy spadkowe, że...

Mannfried uniósł tylko rękę.

– Proszę nie mówić ani słowa więcej, *mein Herr Graf*. Polecę, aby sprawdzono, jaki jest obecny stan prawny nieruchomości, i w miarę możliwości podjęto niezbędne kroki.

– Mój dobrodzieju! – Von Hantzsch wyszczerzył się tak szeroko, że gdyby nie uszy, to zapewne odpadłaby mu górna połowa czaszki. – Jak ja się panu konsulowi odwdzięczę?

Dyplomata upił łyk szampana, gratulując sobie w myślach dobrej intuicji do ludzi. Może nie będzie to aż tak znów haniebnie zmarnowany wieczór.

– Absolutnie nie ma o czym mówić – powiedział tak, aby jego gospodarz nie miał nawet cienia wątpliwości, że jest wręcz odwrotnie. – Niech mi pan graf opowie na razie o tej młodej damie, przez którą całe to zamieszanie.

Oczy grafa błysnęły zauważalnie, a Mannfried od razu poczynił w myślach kolejną notatkę: kobiety. Wartość starego von Hantzscha jako osobowego źródła informacji rosła dosłownie z minuty na minutę.

– *Miss Jennifer* – mlasnął arystokrata, celowo przeciągając i jak gdyby smakując zgłoski. Mannfried uniósł brew, zdziwiony obcym brzmieniem imienia.

– Amerykanka?

– Tylko z paszportu! – zaśmiał się graf. – Po ojcu i matce to rodowita Niemka z dziada pradziada, rodzina emigrowała do Stanów jeszcze po wojnie duńsko-pruskiej, ale nigdy nie utracili poczucia przynależności... Powiadam panu, prawdziwa duma dla *Vaterlandu*!

– Pan graf wybaczy, ale duma zakłada chyba pozostanie w swym kraju, a nie robienie kariery na obczyźnie.

– Ależ, ależ, niech się pan konsul nie unosi. – Von Hantzsch nachylił się poufale. – Powiadam panu, że ta dziewczyna to skarb, prawdziwy skarb. Urodzona artystka. Gdy zaczęła się wojna, obudził się w niej uśpiony patriotyzm. Wypowiedzi dla gazet, rozumie pan konsul, rozmowy na przyjęciach po tamtej stronie oceanu... No a teraz wróciła na ojczyzny łono, żeby w ten sposób wyrazić wsparcie dla naszych chłopców walczących na froncie!

– Pochwały godne, faktycznie – mruknął tylko Mannfried, mający już wyrobione zdanie na temat podobnych uśpionych tendencji, gwałtownie przebudzonych z powodów rzecz jasna altruistycznych. On określał je jednym, krótkim mianem: oportunistów. Postanowił zmienić temat, żeby nie drażnić gospodarza: – A pan graf trafił na nią poprzez...?

– Najkrócej mówiąc, z polecenia znajomego. – Znów ten sam lubieżny błysk w oku. – Pomyślałem sobie, że stary, poczciwy Königsberg jest przecież nie mniej piękny od dowolnego innego miasta Cesarstwa, a i nam też należy się odrobina kulturalnej rozrywki.

– Bardzo to wspaniałomyślne z pana grafa strony. –

Mannfried pokiwał głową, próbując jednocześnie chociaż w przybliżeniu skalkulować koszt ściągnięcia śpiewaczki wraz z całą jej świtą z Berlina, w którym ponoć wcześniej bawiła.

Z drugiej strony dla kogoś, kto mógł pozwolić sobie na podróż transoceaniczną w imię patriotyzmu – prawdziwego bądź też udawanego – pieniądze musiały mieć znaczenie drugorzędne, więc równie dobrze „Miss Jennifer” mogła potraktować tournée do Königsberga jako drobną wycieczkę.

Przygasły światła. Tłum zafalował, przesuając się bliżej sceny. Ludzie wyciągali głowy i usilnie starali się zobaczyć, czy gwiazda wieczoru już stoi na estradzie.

– Zaczynają! – szepnął podekscytowany von Hantzsch, też posuwając się ku przodowi. Von Hohenfurst został tam, gdzie stał, sącząc szampana i spod oka obserwując przesuających się ludzi.

Uderzyła perkusja, zaraz po niej odezwała się jedna trąbka, potem druga. Lampy rozbłysły rześzystym światłem, otworzyły się podwójne drzwi i do wtóru pierwszych taktów muzyki na salony wpłynęła Gwiazda.

Jak one to robią? – pomyślał Mannfried.

Kobieta w długiej wieczorowej sukni zdawała się dosłownie unosić ponad parkietem, niemal nie dotykając stopami ziemi. Tłum samoistnie rozstępował się przed nią, a ona nie zauważała nikogo ani niczego, patrząc wielkimi, błękitnymi oczami prosto przed siebie i sunąc ku orkiestrze. Wspięła się zwinnym, kocim ruchem na podest,

błyskając jednocześnie obcasem buta i doskonale wyrzeźbioną łydką; stanęła przed publiką jak gdyby onieśmielona, z dłońmi splecionymi na podołku i wstydliwie spuszczo- nymi oczami skrytymi za firanami gęstych, czarnych rzes. Muzyka spłynęła kaskadą w dół, cichnąc prawie do szep- tu...

A potem *Miss Jennifer* podniosła wzrok, uśmiechnęła się i zaśpiewała.

Jej głos popłynął ponad głowami zebranych, odezwał rezonans w kryształowych żyrandolach, owinał wokół marmurowych posągów na postumentach, dźwięcząc w wysokich kieliszkach i skrząc się iskierkami bąbelków musującego wina. Czterej Mulaci grali z przymkniętymi oczami, z odchylonymi do tyłu głowami, uśmiechnięci ta- jemniczo do siebie tylko znanych myśli; praktycznie od niechcienia wydobywali z instrumentów szepczące dźwię- ki, jak gdyby melodia była tylko mało istotnym tłem.

Von Hohenfurst w końcu poddał się nastrojowi chwili, pozwalając, żeby muzyka i głos zlały się w jego duszy w jedno. Nie rozumiał słów, ale nie były tu istotne: przed oczami stanął mu rodzinny dom, ciepłe popołudnia szczę- śliwego dzieciństwa, przeświecające przez koronę rozło- żystej lipy sierpniowe słońce...

– Marzenie – odezwał się ktoś półgłosem. Mannfried zamrugął, odwrócił głowę.

– Słucham? – Popatrzył na stojącego obok oficera.

– Marzenie – powtórzył tamten. – O takiej kobiecie marzyliśmy w okopach Pasde-Calais. W zasadzie to ma-

rzyliśmy o jakiegokolwiek... Ale taka byłaby ideałem.

– Nie tylko w okopach chyba, jak zresztą widać. Przepraszam, ale nie przypominam sobie...

Mundurowy uśmiechnął się półgębkiem, odwrócił do konsula i skinął głową w geście przywitania.

– *Leutnat* Teodor Grossmann. Świeża relokacja urlopowa po froncie zachodnim.

– Manfred von Hohenfurst, c.k. konsul handlowy w Königsbergu. Pańskie nazwisko wydaje mi się...

– Tak. Ale proszę, nie mówmy o tym. Jestem tu, żeby odpocząć.

– Naturalnie, panie podporuczniku. – Dyplomata odwrócił się ponownie do sceny, akurat by zobaczyć, jak *Miss Jennifer* powoli przykłada dłonie w rękawiczkach do ust, patrząc błyszczącymi oczami na swą publiczność niczym podlotek, któremu nieopatrznie wyrwało się wyznanie miłości. Muzykanci ucichli, instrumenty umilkły – a potem zerwał się huragan oklasków.

– Brawo! – Na scenę wskoczył graf von Hantzsch, głośno cmoknął śpiewaczkę w urękawicznioną dłoń. – Brawo! Przed państwem niezrównana *Miss Jennifer Zoransky*, nasza gwiazda zza oceanu i prawdziwa córka niemieckiej ziemi!

Artystka uśmiechnęła się tak, że kilka wiszących pod zdobionym stiukami sufitem żyrandoli aż przygasło, przychyliła do von Hantzscha – nawet bez obcasów byłaby od niego wyższa o kilka cali – i powiedziała coś, czego przez wiwaty i okrzyki nie dało się usłyszeć, ale po czym

graf aż spąsował z zadowolenia i zaczął klaskać jeszcze intensywniej.

– Mówiłem panu, *Herr Leutnant*, że warto będzie przyjść – szepnął na ucho Teodorowi stający za nim Eugen Klaucke, dzięki któremu on i Keller zostali w ostatniej chwili dopisani do stosunkowo wąskiej i mocno arystokratycznej listy gości. – Przyzna pan chyba?

– Mhm... – mruknął Grossmann z aprobatą.

Klaucke był ich niegdysiejszym kolegą z regimentu, był też, podobnie jak Keller, rodowitym królewiecczaniem. W odróżnieniu jednak od rycerskiego i honorowego Kellera Klauckego znano jako szeroko pojętego kombinatora, który jeszcze na froncie trudnił się drobnym przemytem i sprzedażą papierosów na sztuki.

Naprawdę lukratywnym zajęciem okazał się dla niego dopiero handel zbieraną na ziemi niczyjej, jak sam to określał, „bizuterią” – chociaż natura znoszonych przez niego do ziemianki towarów musiała być raczej paskudna, bo torba okazjonalnie potrafiła przesiąknąć od dołu krwią, a kilku chłopców awanturowało się, że znaleźli w swoich posłaniach czyjeś srebrne i złote zęby.

Ale teraz wszystko to było przeszłością. Klaucke zakręcił się na twarzy i wyglądał nie do poznania w uszytym na miarę grafitowym smokingu z czarnymi wyłogami. Tylko charakterystyczny tik prawego oka i maniera lekkiego przeciągania końcówek słów pozwalały rozpoznać w nim tego samego szeregowca, przygarbionego i z głową wtuloną w ramiona, nieustannie przemykającego gdzieś po

okopach. Tamten człowiek jakby zniknął, pozostało tylko jego oko i stukanie laseczki, która częściowo zastępowała mu zgruchotane przez australijską kulę kolano.

– A tamta, co to za jedna? Przy tym tłustym przemysłowcu? – Grossmann ledwo dostrzegalnym ruchem dłoni pokazał na posągowej urody brunetkę, wiszącą na ramieniu postawnego jegomościa w nieco przyciasnym fraku.

– E, pan podporucznik raczy żartować? – Klaucke popatrzył na niego niedowierzająco. – Przecież w porównaniu z Amerykanką to tej by chyba trzeba założyć na głowę...

– Tylko pytam, szeregowy.

– Caroline Oppermann, panie podporuczniku. Ale musi pan uważać, bo stary Oppermann jest zazdrosny jak jasna cholera, więc to śliska sprawa.

– A co, zastrzeli mnie? Nie tacy jak on próbowali – zaczepnie mruknął Grossmann.

– Oppermann? Chyba że z luku, panie podporuczniku; przecież to handlarz drewnem. Ale kilka razy się zdarzyło, że patrzących zbyt długo na jego żonę pobili nieheblowanymi deskami nieznanymi sprawcy. Jeśli ma pan podporucznik chęć wybrać się na polowanie na prawdziwą zwierzynę, to proponowałbym zacząć od wycieczki po porządnym zoo...

– Rozumiem, szeregowy Klaucke, że wiecie, od kogo kupić bilety. Podobno macie tu, w Königsbergu, zacny *Tiergarten*?

– Jeśli będzie pan podporucznik czegoś potrzebował,

to ja zawsze tenteges – wyszczerzył się Klaucke, demonstrując imponującą kolekcję złotych zębów.

– Powiedźcie mi jeszcze tylko, kogo tutaj unikać? Kto mógłby nasłać ludzi nie z deskami, a bronią ze swego składu?

Klaucke pokazał ruchem ręki, żeby Grossmann poczekał; złapał ze stolika dwa kieliszki, podał jeden rozmówcy. Upili po łyku, odchodząc nieco na bok.

– Najwięcej tego towaru to pewnie u Kallweita będzie, ale to stary kawaler, więc nieistotny – zaczął półgłosem wymieniać Klaucke. – Przy armii kręci się jeszcze von Didschus, a jego synowie mają dobry gust do żon... Ale i do broni, ludzie powiadają, że Siebenthalera to właśnie najmłodszy von Didschus załatwił.

– Jakaś głośna sprawa? – machinalnie zapytał Teodor, zajęty obserwowaniem wycięcia sukni na plecach Amerykanki i kaskady spływających pomiędzy odsłonięte łopatki płomiennorudych włosów.

– No przecież, całe miasto o tym przy Wielkiejnocy gadało! – Klaucke tak wciągnął się w rolę przewodnika po towarzystwie, że nawet nie zauważył tego punktowego spadku uwagi swego interlokutora. – Siebenthalera znaleźli na schodach jego własnego domu, całego we krwi i z przestrzelonym płucem. Kuła od pistoletu, i to wojskowego, a w rękę ktoś mu włożył czerwoną różę. Czerwoną różę, rozumie pan podporucznik? W kwietniu! Wszyscy wiedzieli, że miał chrapkę na młodą Reini von Didschusową, więc na pewno się pojedynkowali z Leopoldem i

tamten go zastrzelił.

– Tak? – Grossmann słuchał jednym uchem. *Miss Jennifer* jak gdyby poczuła, że ktoś się jej przygląda, bo odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła delikatnie, puszczając jednocześnie oko. Nagłe zrobiło mu się gorąco.

– No przecież mówię panu podporucznikowi. Nie odzyskał przytomności, na drugi dzień zmarł z upływu krwi. A jeszcze lekarz z posterunkowym znaleźli na jego rękach ślady prochu, musiał się *Siebenthaler* z kimś strzelać. Na sto procent to *von Didschusowi* chłopcy go wykończyli.

– A powiedzcie mi jeszcze, szeregowy *Klaucke*...

Urwał, bo *Amerykanka* znów odwróciła się do niego, ale tym razem już zupełnie otwarcie. Obok niej stali konsul *von Hohenfurst* i graf *von Hantzsch*. Ten pierwszy dał spojrzeniem do zrozumienia, że *Teodor* powinien podejść. *Grossmann*, niewiele myśląc, wypił jednym haustem resztkę szampana, wcisnął kieliszek *Klauckemu* i ruszył zawiadaniackim krokiem ku grupce.

– *Miss Zoransky*, pani pozwoli, że przedstawię: podporucznik *Teodor Grossmann*, nasz bohater z frontu! – odezwał się konsul *von Hohenfurst*. – Panie podporuczniku: *Fraulein Zoransky*, nasza gwiazda; graf *von Hantzsch*, niezrównany gospodarz tego prześwietnego wieczoru.

Teodor skinął głową, strzelił obcasami, skłonił się i ucałował koniuszki palców podanej mu dłoni.

– *Leutnant Grossmann*, sługa uniżony. – Odwrócił się

do mężczyzny. – *Mein Herr Graf*, dziękuję pokornie za zaproszenie; to wielki zaszczyt móc trafić na pańskie salony.

– Tak, tak, panie podporuczniku, witamy! Nie mogliśmy się obejść tego wieczora bez pańskiej obecności, taki splendor, cała przyjemność po mojej stronie! – Von Hantzsch zdawał się nie dotykać podłogi, unoszony na niesłabnącej fali własnego entuzjazmu. Można było powątpiewać, czy w ogóle zarejestrował nazwisko gościa i ma chociażby mgliste pojęcie, kim tamten jest. – Jako się rzekło, panie konsulu, to dla mnie doprawdy, doprawdy...

– Jest pan bohaterem... – głos *Miss Jennifer* otulił i stłumił urywane gdakanie grafa, jak jedwabny szal głuszy bzyczenie natrętnej muchy.

– Ekhm, pozwoliłem sobie nieopatrznie napomknąć naszej gwiazdzie... – Von Hohenfurst spojrzał na Grossmanna na poły przeprasząco.

– Doprawdy, *Fraulein Zoransky*, proszę nie przesadzać. Jestem tylko jednym z wielu żołnierzy walczących na froncie. – Teodor lekko skłonił głowę, czując jednocześnie gwałtowny ucisk w piersiach. – Bohaterką wieczora jest tu wyłącznie pani.

Miss Jennifer uśmiechnęła się, błyskając rzędem olśniewająco białych zębów. Sięgnęła leniwym ruchem do torebki kopertówki, wyciągnęła wsadzoną w lufkę cygaretkę i nie spuszczając wzroku z Teodora, zamknęła idealnie wykrojone, karminowe usta na ustniku.

Podporucznik pstryknął zapalniczką, podał usłudźnie

ogień; gdy przymknęła oczy i zaciągnęła się z lubością, a następnie powoli wypuściła spomiędzy półotwartych warg obłoczek gęstego dymu, rozmowy w ich bezpośrednim sąsiedztwie zauważalnie przycichły.

– Jest pan szarmanckim rycerzem, jak widzę. Ach, jak bardzo ja się stęskniłam za prawdziwymi mężczyznami!

– Czyżby za oceanem byli mniej prawdziwi, panno Zoransky? – Konsul von Hohenfurst uniósł brew.

– Za oceanem... Drogi panie konsulu, nie ma pan nawet pojęcia, jak dalece odeszła Ameryka od swych korzeni! Tutaj, w Starym Świecie, wszystko jest takie... *genuine*... Ojej, panowie wybaczą, ale brakuje mi czasem słów. Jak to powiedzieć...

– Autentyczne. – Grossmann pokiwał głową z powagą.
– Nieudawane.

– Dziękuję panu! Widać od razu, że szczególnie tu, w Prusach Wschodnich, każdemu co na sercu leży, to na twarzy ma wypisane. Żadnej fałszywości, moi drodzy panowie; tylko kryształowo czyste intencje, kamienne twarze, żelazne spojrzenia i... nie tylko one...

Graf von Hantzsch chciał chyba coś powiedzieć, ale zakrztusił się upijanym akurat łykiem, poczerwieniał i parsknął sobie w rękaw, nie chcąc ryzykować uchybienia śpiewaczce i poplamienia jej sukni; von Hohenfurst skoczył ku niemu, złapał pod rękę i odprowadził gdzieś na bok, uśmiechając się przepaszająco.

– Zostaliśmy tylko we dwoje – skonstatowała *Miss Jennifer*, odgarniając z czoła kosmyk niesfornych, pobły-

skujących roztopioną miedzią włosów.

– Widzę, że nie uważa pani reszty gości na przyjęciu za towarzystwo zdolne sprostać jej wymaganiom?

Teodor pokazał ruchem ręki na kłębiący się wokół nich tłum.

– Zawsze porównuje się pan do innych, podporuczniku?

– Nie porównuję się nigdy do nikogo.

– Jest pan typem aspołecznym?

– Samotnikiem z wyboru.

– Jak na samotnika, jest pan zaskakująco wyszkolony w niełatwej sztuce konwersacji... – Miss Jennifer wzięła go pod rękę i poprowadziła w kierunku parkietu, na którym już wirowało kilkanaście par. – Czy równie dobrze radzi pan sobie w tańcu?

– Jak na osobę, która nigdy nie była w ojczystym kraju, ma pani niemal podręcznikowy niemiecki akcent. Proszę mnie sprawdzić.

Jej oczy błysnęły drapieżnie.

– Nie omieszka.

Skłonił się, gdy orkiestra zagrała pierwsze takty walca angielskiego; delikatnie ujął podaną mu dłoń w długiej rękawicze, a potem zdecydowanym ruchem przyciągnął kobietę do siebie.

– Lubi pan prowadzić – szepnęła mu w ucho, gdy popłynęli wokół sali. – Tego się pan nauczył na froncie?

Nie odpowiedział; poczuła tylko, jak obejmuje ją jeszcze mocniej i chyba wysiłkiem woli powstrzymuje się,

by nie ścisnąć jej ręki. Uśmiechnęła się rozkosznie, przy-
mykając oczy.

Na swoje szczęście nie widziała wtedy wyrazu jego
twarzy.

Nad Königsbergiem wisiała granatowa, gwiazdzista
noc. Księżyc przeglądał się w tafli leniwie toczącej swe
wody Pregoty, od czasu do czasu zerkając ciekawsko w
okna śpiących mieszczan.

Teodor zwolnił kroku, stukając podkutymi butami o
bruk, podszedł do oddzielającej ulicę od koryta rzeki ba-
rierki. Nie miał dostępu do dokładnych danych z raportu
lekarza sądowego, ale wiedział, że topielca znaleziono
właśnie tutaj, pomiędzy Armenhausem a magazynami soli.

N.N. – bo tak figurowało w dokumentach, które prze-
słano do zarządu cmentarza publicznego – był mężczyzną
lat około czterdziestu, z niedużym wąsikiem, brunetem.
Ubrany w brązowe spodnie i taką samą marynarkę, miał
szaro-granatowy płaszcz z futrzanym kołnierzem, koszulę
w kolorze szarym oraz buty męskie.

Zgon nastąpił nocą z dwunastego na trzynastego
marca, pomiędzy godziną dziesiątą wieczorem a drugą w
nocy. O piątej piętnaście ciało wypatrzył pośród unoszącej
się na wodzie kry jadącej ulicą mleczarz, który powiadomił
policję. Po wyłowieniu w kieszeni denata znaleziono
składany kozik, trochę drobnych oraz otwartą paczkę pa-
pierosów i zapalki. W dokumentach jako najbardziej
prawdopodobną przyczynę śmierci wpisano utonięcie w
stanie pomroczości. Udziału osób trzecich nie stwier-

dzono.

Jako że po ciało nikt się nie zgłosił – a denat dokumentów przy sobie nie posiadał, więc dalsza identyfikacja była niemożliwa – szczątki miały zostać pogrzebane na cmentarzu komunalnym na koszt miasta; w ostatniej chwili jednak decyzję zmieniono, przekazując je pod zarząd Instytutu Medycznego.

Przysłano zatem półciążarówkę, która przewiozła lekko już woniejące resztki do gmachu laboratorium patologii, gdzie delikwenta sprawnie rozebrano, umyto, ogolono, a następnie pocięto na małe kawałeczki w ramach sesji poglądowej dla studentów czwartego roku. Rozczłonkowane ciało trafiło do aluminiowej skrzyni, a z niej wrzucono je do wielkiego gara z wrzątkiem. Kości wyłowiono i pozwiązywano drutem, tworząc w ten sposób kolejny przepiękny eksponat dla wydziału anatomii, zaś wywar zarzucono czerstwym chlebem i kaszą, które następnie ze smakiem spałaszowały pilnujące kampusu psy.

Był człowiek – nie ma człowieka.

Tak to wyglądało, a w zasadzie NIE wyglądało dla tych, którym prawdziwa tożsamość denata nie była obca – ci jednak nie wychylali się ze swoją wiedzą. Przyczyna po temu była prozaiczna: anonimowy topielec oficjalnie nazywał się Dado Gablenz i zajmował się prowadzeniem zakładu kaletniczego na Wagnerstrasse; nieoficjalnie natomiast nazywał się Stiofan Awdiejewicz Jermakow i zajmował się prowadzeniem działalności szpiegowskiej na rzecz obcego mocarstwa, z którym Królestwo Prus pozo-

stawało w stanie wojny. Wojny długiej, zacieklej i bezlitosnej, w dodatku ostatnimi czasy przebiegającej dla rzezonego mocarstwa mocno niekorzystnie.

Jak udało się ustalić pewnym osobom, których tożsamość lepiej przemilczeć, tego feralnego wieczora Stio-pan Awdiejewicz zamknął swój zakład około godziny dziewiętnastej, po czym udał się do jednego z miejsc, których jego towarzysze z wywiadu Jego Imperatorskiej Wysokości Cara używali jako punktów spotkań.

Tam spotkał się z mężczyzną, który otrzymał od niego zaszyfrowany meldunek do bezzwłocznego nadania, po- czym nie dopijając piwa, opuścił lokal i ruszył w kierunku nieznanym. Wtedy to po raz ostatni ktokolwiek widział Stio-pana Awdiejewicza wśród żywych – a w każdym razie tak można to literacko ująć.

Bo nie ulegało wątpliwości, że Stio-pan Awdiejewicz z kimś jeszcze się potem spotkał. Z kimś, kto musiał go wciąż żywego, ale zamrozonego, do rzeki wepchnąć – lub już martwego wrzucić. Nie ulegało to wątpliwości – bo tajni agenci nie wpadają ot, tak sobie, po pijaku do rzeki. A już na pewno nie kilka godzin po nadaniu meldunku, który po odszyfrowaniu i odczytaniu poruszył cały Wydział Tajny Głównego Dowództwa Sztabu Generalnego w Pe- tersburgu.

N zbudował cudowną broń STOP może odmienić losy wojny STOP potrzebne wsparcie STOP

Oczywiście, nikt nie miał wątpliwości, że „N” to za- równo „Niemiec”, jak i „nieprzyjaciół”. Borykającej się z

trudnościami narastających konfliktów wewnętrznych Rosji taka cudowna broń – skuteczniejsza niż budowane jeszcze do niedawna pokraczne czołgi i pancerne pociągi – była bardzo, ale to bardzo potrzebna.

Gdy pozostali agenci z Königsberga najpierw donieśli, a potem potwierdzili, że Stiofan Awdiejewicz nie żyje, podjęto decyzję o cofnięciu z dalekiej placówki najlepiej zakonspirowanego uśpionego agenta, na którego mogło liczyć jeszcze imperium rosyjskie.

Który stał teraz oparty o barierkę i patrzył w zadumie na nieruchomą taflę wody.

Jermakow alias Gablenz. Człowiek, o którym wywiad nie umiał powiedzieć – albo bezpiecznie przekazać, co na jedno wychodziło – dokładnie nic, co mogłoby się Wielikowowi przydać. Jego misję zawarto w jednym krótkim zdaniu, które przekazał mu w przyfrontowym szpitalu opatrujący nogę felczer: „Jedź do Königsberga, znajdź *Wunderwaffe*”.

Oczywiście, skorzystał ze wszystkich dostępnych kontaktów i pociągnął za wszystkie sznurki, byle tylko się tu dostać. Zresztą wiele robić nie musiał: kilka umiejętnie zredagowanych listów do Kellera i okazało się, że to tamten namawia przyjaciela, by odwiedzić go w rodzinnym mieście. Akurat potem przyszedł awans, odznaczenie i zasłużony po akcji na froncie urlop...

Zacisnął oczy i wpił palce w zimną barierkę, czując nagły przypływ paniki. Nie. Nie obejrzy się, nie spojrzy w prawo... Nie wytrzymał, zerknął spod oka. Uliczka była

pusta, to tylko nocny tramwaj huczał i dudnił, przejeżdżając gdzieś dalej. Fiodor Grigoriewicz wsłuchał się w ciszę, czekając, czy wiatr nie przyniesie echa wrzasków i terkotu karabinów, ale tylko jakiś zbłąkany pies zaszczekał w oddali.

Westchnął, potrząsnął głową. Odetchnął głęboko świeżym, wiosennym powietrzem, popatrzył ze smutkiem na unoszące się w zatoczce śmieci.

– *Ruhe in Frieden, mein Kamerad* – mruknął pod nosem.

Był już kilkadziesiąt kroków dalej, gdy dotarło do niego, w jakim języku to powiedział.

ROZDZIAŁ III

Dzień dobry, *Herr Fahnenjunker!*

Zamiatający peron dozorca uchylił czapki, więc Keller też odruchowo zasalutował, odwzajemniając uśmiech. Czekające w podcieniu dworca dwie dziewczyny nachyliły się do siebie, jedna szepnęła coś drugiej na ucho; zachichotały, patrząc na niego ukradkiem.

Wiedział, że wygląda doskonale w świeżo wypranym i odprasowanym mundurze. Był pewien, że nawet jeśli gdzieś po drodze na jego butach osiadł jakiś pyłek kurzu, to zdmuchnie go z idealnie nawoskowanej i wypastowanej powierzchni najłżejszy zefirek. Nie wątpił też, że balwierz wykonał dziś dobrą robotę, goląc go tak dokładnie, jak on sam nigdy nie dałby rady. Było to wszystko warte wstania jeszcze przed siódmą, po to, żeby zjawić się tu, na peronie, przed dziesiątą.

Bo dziś po raz kolejny przyjeżdżała Ona.

Wyjął z kieszeni zegarek w kopercie, otworzył i popatrzył z wyraźną dezaprobatą na tarczę. Wskazówki zdawały się ani drgnąć, mimo że ostatnio sprawdzał godzinę... no, jakiś czas temu. Potrząsnął czasomierzem, przyłożył do ucha: chodził. Wychylił się i popatrzył na zegar na budynku dworca – i to punktualnie.

– Przyjedzie, niech się pan fanenjunker nie martwi. Oboje przyjadą: i pociąg, i ona.

Gerhard westchnął ciężko i odsunął się, gdy ciec, nieustannie robiący miotłą z witek brzoźowych, podszedł bliżej, żeby wymieść nieistniejące brudki z jego kąta. Ze strony *Fahnenjunkra* nie był to wyraz irytacji, a raczej... no właśnie, sam nie wiedział do końca czego.

– Skąd pan wie, że czekam na kogoś? – zagadnął, nie chcąc wyjść na gbura.

– Stoi pan fanenjunker na dworcu i patrzy na zegar. – Dozorca zdjął czapkę i otarł czoło przedramieniem, sięgnął do kieszeni po cynową papierośnicę i wyciągnął do Kellera. Ten jednak podziękował ruchem ręki. – Zresztą przeważnie widuje się tu ludzi, którzy czekają; ci, co się doczekali, zazwyczaj odchodzą albo odjeżdżają.

Wyciągnął samorobnego papierosa, wsadził w usta i odpalił zapalką, potem zdmuchnął ogienek i położył na wpół zwęglony patyczek na parapecie okna. Widząc zdziwiony wzrok Kellera, wzruszył ramionami i wyjaśnił:

– Wyrzucę na ziemię, to będę musiał potem i tak podnieść. Chyba że podejdzie pan ze mną o tam, na ławeczkę? Wyrzuci się do kosza, przysiądę i ja, i pan. Nogi już mi, z pana fanenjunkra przeproszeniem, w tyłek wrosły.

– Ale pociąg... – Gerhard znów chciał sięgnąć po zegarek, jednak powstrzymał się.

– Przyjedzie, zawsze przyjeżdżają. Szybciej przyjedzie, jak pan usiądzie.

Przeszli do stojących w cieniu rozłożystego kasztana drewnianych ławeczek; po drodze kilkukrotnie przystawali, bo stary nie umiał chyba iść, jednocześnie nie zamiata-

jąc. Dozorca usiadł pierwszy, szeroko się rozparłszy, przodem do torów i peronu; zreflektował się i poderwał, chciał zaszalutować.

– *Herr Fahnenjunker!* Pan wybaczy, ja...

– Ależ doprawdy. – Keller siadł obok, zrobił ręką uspokajający gest. – Spokojnie, panie...

– Wichter. Starszy kapral Wichter, panie fanenjunker.

– Dozorca znów usiadł i założył rękę na oparcie. Musiało to być jego miejsce chyba od zawsze, bo idealnie wpisał się w wytarty na połysk ślad. – Jak ja panu zazdroszczę. Ech, znów być młodym, czekać na dziewczynę...

– A może czekam na kolegę?

Dozorca uśmiechnął się.

– Na kolegę czekał pan fanenjunker ostatnio, a teraz przyjeżdża kobieta. Tak, tak, też znałem kiedyś jedną piękność z Pillau...

Keller aż się wyprostował, popatrzył na dozorcę wielkimi oczami. Ten pokazał na zegar.

– Teraz przyjeżdża tylko ten z Pillau, więc musi stamtąd być.

– Może skądś po drodze? Pociąg przecież zatrzymuje się na kilku stacjach – nie ustępował Gerhard.

– Neuhauser, Fischhausen, Kaspershöfen, Peyse, Po-wayen, Lindenau, Seerappen, Metgethen – wyliczył z kamiennym spokojem cięć, po kolei zaginając najpierw pałce prawej, potem wszystkie lewej ręki.

Wszystkie, bo miał je tylko trzy. – Ale pan fanenjunker czeka tu na piękność, a nie na wiejską dziewczuszkę.

– Gdyż...?

– Gdyż dla żadnej innej nie niósłby pan fanenjunker naręcza kwiatów.

– Ach... – Keller popatrzył, lekko zmieszany, na ściszaną w rękę wiązanekę. – Rzeczywiście. Wyszedłem na durnia.

– Bynajmniej, *Herr Fahnenjunker*. Po prostu pozwolił pan, że tak powiem, poprowadzić się tam, gdzie chciałem... W sobie tylko wiadomym celu.

– A jaki to cel zatem, panie kapralu?

– Pan fanenjunker liczył na to, że będzie w tym jakaś tajemnica, sekret mojej rzekomej wiedzy. – Dozorca rozłożył przepaszająco ręce. – A ja chciałem tylko skrócić mu czas oczekiwania.

– No właśnie... – Keller sięgnął po zegarek, ale w tej samej chwili rozległ się gwizd nadjeżdżającego pociągu. Podskoczył jak oparzony, rzucił przez ramię kilka słów pożegnania i szybkim krokiem ruszył ku platformie peronu.

Lokomotywa strzelała na boki kłębami białej pary i pluła burym dymem, powoli wtaczając się na tor dojazdowy.

Gdy tylko skład stanął, z trzaskiem zaczęły otwierać się drzwiczki do wagonów; podróżnych nie było może tak wielu, ale większość stanowili przybywający na czwartkowy targ przekupnie. Ludzie wyciągali z przedziałów torby i toboły wyładowane towarami na sprzedaż, wypakowywali klatki pełne rzucających się, trzepoczących

skrzydłami i gubiących wszędzie pierze gęsi i kur; nawoływali się i kręcili po peronie, onieśmieleni wielkością i splendorem miasta, wprowadzając o wiele więcej zamieszania i rozgardiaszu, niż można by się spodziewać.

Dla Kellera byli tylko postaciami, zaledwie masą głów i migających twarzy, a cała ta barwna scenka rodzajowa nie interesowała go w najmniejszym stopniu. Dla niego liczyła się dziś wyłącznie...

– Erika! – Uniósł rękę i pomachał na powitanie.

Tak, to była ona. Wszędzie poznałby te kruczoczarne pukle, ściągnięte w warkocz i skręcone w lśniący, pyszny kok. Odwróciła się, a gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuł, że żywiej zabiło mu serce.

Boże, zakochałem się jak byle sztubak, pomyślał w głębi duszy, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Stali tak przez chwilę naprzeciwko siebie, w końcu to on ruszył ku niej.

– *Fraulein* Erika. – Strzelił obcasami, wręczając jej bukiet. – Königsberg wita najgoręcej, jak tylko potrafi.

Wysmukłe, drobne palce przelotnie musnęły jego dłoń, gdy odebrała kwiaty; miał wrażenie, jakby ktoś przepuścił mu przez rękę prąd, w głowie zawirowało. Dziewczyna zanurzyła twarz w czerwone tulipany, wciągnęła głęboko zapach i podniosła firany czarnych rzęs, a Keller poczuł, jak tonie w tych ogromnych, orzechowych oczach.

– Dzień dobry, panie Gerhardzie. Który z dwóch przemiłych prezentów zawdzięczam komu?

– Dwóch?

– Kwiaty to jeden. Pana obecność drugi.

Uśmiechnął się, podnosząc z ziemi walizę i podając ramię czarnowłosej. Ruszyli niespiesznym krokiem wzdłuż peronu.

– W zasadzie są trzy: pogoda jest na koszt miasta – zaczął, gdy skręcili pomiędzy budynek dworca a mieszkania dla maszynistów, kierując się w kierunku Ostendorfstrasse. – Ja zostałem przysłany tutaj przez profesora, aby upewnić się, że bezpiecznie pani dojechała.

Rzuciła mu obrażone spojrzenie, wydeła policzki.

– Phi! A już myślałam, że przyszedł pan mnie przywitać z własnej woli.

– ...ale byłbym tutaj i tak, żeby sprawić jej przyjemność. Tak przynajmniej mam czelność sądzić. A kwiaty są ode mnie i tylko ode mnie.

Raz jeszcze powąchała bukiet, spojrzała na Kellera z ukosa i uśmiechnęła kącikiem ust.

– No dobrze, niech będzie. Zdołał się pan wytłumaczyć, panie fanenjunker.

– Myślałem, że byliśmy po imieniu. – Keller przychylił się do niej, ale ona odwróciła głowę, pokazała palcem.

– O, jakie piękne petunie ktoś ma na oknie! Zawsze chciałam mieć mieszkanie na piętrze i co rano wystawiać doniczki na parapet.

– Śliczne, to prawda – zgodził się Gerhard. – Z tego, co mi wiadomo, to jedna część pani marzenia już zrealizo-

wana.

– O, do tego jeszcze długa droga. Zanim wysprzątam rzeczy po ciotce, wyremontuję... Nie wiem, jak sobie sama z tym dam radę.

– Kto powiedział, że sama?

Erika patrzyła prosto przed siebie, ale zaplotła mu wokół ramienia też drugą rękę.

– A pan fanenjunker jest władny to zmienić?

– Kto wie...

Siedzieli we dwoje w jednej z kafejek przy Neuer Markt, sącząc chłodną kawę. Kelner o wypomadowanych włosach podchodził do ich stolika już kilkukrotnie, ale Gerhard za każdym razem grzecznie dziękował mu za troskę i zapewniał, że zawołają go, jak tylko coś będzie jeszcze potrzebne.

W końcu Erika nachyliła się do swego towarzysza, pociągnęła za rękaw.

– Chodźmy już może, bo w tym tempie nigdy nie do-
trzymy do tej całej Friedrichstrasse. Muszę się jeszcze
rozpakować, wywietrzyć, posprzątać... A jutro do pracy
będę stąd miała o wiele dalej.

– Profesor z pewnością wykaże się zrozumieniem –
zasugerował Keller, ale wiedział aż nadto dobrze, że to
tylko słowa. Podniósł palec do góry, gdy kelner po raz
kolejny przechodził w pobliżu, zapłacił, zostawiając suty
napiwek. Westchnął ciężko. – Chodźmy zatem, *Fraulein*
Scharfe. Słowo panienki jest dla mnie rozkazem.

Dzień trafił się naprawdę przepiękny. Ciepłe, ostre

czerwcowe słońce zalewało fasady budynków kaskadami światła. Ludzie, przyzwyczajeni przez długą i nieustępliwą zimę, a następnie dżdżystą wiosnę do futer i grubych płaszczy, teraz z niedowierzaniem zdejmowali kapelusze i rozchełstywali koszule. Co odważniejsi ściągali nawet marynarki, przerzucając je na jednym palcu przez ramię i całymi sobą dając do zrozumienia, że chłód im niestraszny. Siedzący na ławeczkach pod domami staruszkowie pukali się na to w czoło i komentowali tę lekkomyślność, ale potem kiwali ze zrozumieniem głowami: wiek ma swoje prawa, co poniekąd grzeje jeszcze młodość. Ptaki świergotały w gniazdach pod okapami domów, obwieszczając wszem wobec, że nareszcie nadchodzi pełne, ciepłe lato.

– To chyba tutaj. – Erika wskazała jeden z domów, porównując na wszelki wypadek adres z trzymaną w ręku karteczką. – Dziękuję, panie fanenjunker...

Chciała odebrać Kellerowi bagaż, ale gdy ujęła trzymaną przez niego walizkę, ten zamiast ją oddać, pociągnął dziewczynę na siebie. Panna Scharfe zachwiała się, poleciała na Gerharda, a on objął ją wpół.

– Obawiam się, panno Scharfe, że tak łatwo się ode mnie *Froulein* nie uwolni. – Nachylił się do niej, ale ona wykręciła mu się tylko jak fryga, skoczyła na kamienne schodki.

– To w takim razie proszę na górę: ścigamy się! Zaraz zobaczymy, jaki z pana żołnierz!

Popędził za nią, wpadł do ciemnej sieni i załomotał

butami po drewnianych schodach, płosząc baraszkujące na półpiętrze koty.

Gdy dowlókł się, ciężko sapiąc, na drugie piętro, Erika mocowała się jeszcze z wejściem. Przekręciła raz i drugi solidny, żelazny klucz, w zamku coś zgrzytnęło i trzasnęło, ale gdy nacisnęła klamkę, drzwi ani drgnęły.

– Aaaa! – zapiszczała, podskakując ze złości w miejscu. – Nienawidzę! Już żałuję, że tu przyjechałam...

Keller odstawił pioruńsko ciężką walizę – co ciekawe, dopiero teraz zwrócił na to uwagę – i delikatnie, ale stanowczo odebrał jej pęk kluczy. Popatrzył, przymierzył do zamka. Przekręcił w obydwie strony, nacisnął na klamkę. Nic.

– To trzeba, moja droga panienko, rozumem... – Uśmiechnął się, po czym z całej siły uderzył w drzwi barkiem. Coś chrupnęło w futrynie, a skrzydło otwarło się na całą szerokość, dosłownie wlatując do wewnątrz.

– Ech, ci mężczyźni. – Panna Scharfe pokręciła głową i wniosła walizę do środka. Spojrzała na podnoszącego się z ziemi Gerharda. – Nieporadni jak dzieci, wszystko trzeba robić samemu... A poprosić o pomoc, to od razu się cali utyflają, utyrmolą. I jeszcze coś zepsują na dodatek.

Keller otrzepał spodnie i bluzę z kurzu, z godnością podniósł czapkę. Podeszedł do drzwi, poruszał nimi. Zawiasy byty nieco odporne, ale nie aż tak! Przesunął rygiel zasuwy w jedną i drugą stronę, ale zamek też chodził normalnie.

– Do odważnych świat należy. – Wyszczерzył się i

zanim Erika zdążyła zareagować, z impetem zamknął drzwi.

– No i co pan najlepszego narobił! Teraz jesteśmy tu uwięzieni.

– To chyba nic złego... – Keller spojrział na nią zawa-
diacko. Erika spłonila się, ale szybko odzyskała rezon i
popatrzyła mu hardo w oczy.

– Proszę mi tu nie mędrkować, tylko otworzyć drzwi.
Natychmiast!

Gerhard wydał pogardliwie policzki, złapał za klamkę.

– To żaden... – nacisnął i pociągnął. Pociągnął moc-
niej. – Problem... O, do diaska...

– Powiedziałam, teraz to pana odpowiedzialność –
rzuciła Erika, wnosząc walizę głębiej w czeluści mieszka-
nia.

Keller próbował z drzwiami i tak, i siak, szczekał
zamkiem, dociskał klamkę... W końcu zauważył przybity
gwoździemi kuty uchwyt, złapał i pociągnął. Skrzydło
niechętnie, ale ustąpiło.

– Wygląda na to, że taki urok tego zamka – zawyro-
kował. – Wcześniej tak nie było?

– Może i było, nie pamiętam! – odkrzyknęła z pokoju
obok Erika. – Ostatni raz widziałam cioteczkę... No, ostatni
raz to przy zamykaniu trumny, ale nie byłam tutaj... Oho-
ho! Z dziesięć lat!

– Ani razu? – zdziwił się.

Dziewczyna wyszła na korytarz tylko po to, żeby za-
nurkować do kolejnego pomieszczenia. Po chwili dał się

słyszeć odgłos odsłanianych kotar, a po nich donośne kichnięcie: ilość zalegającego wszędzie kurzu zatrzymała.

– Cioteczka była... specyficzna. Jak widać zresztą. – Przeszła z pokoju do pokoju, trąc zaczerwieniony nos. – I jakoś się nie składało, wołałam bliżej Instytutu przemieszkiwać. No a jako że Gretchen wybrała mężczyznę ponad przyjaciółkę, to cóż... Wołałam wrócić do domu.

Nie chcąc wyjść na obiboka, Keller otworzył na całą szerokość podwójne drzwi do salonu, ruszył w zielonkawy półmrok, chcąc też odsłonić kotary. Na dobry początek wpadł na stolik, z którego posypały się ustawione w stosach książki, potem nadepnął na (chyba) poduszkę, a w końcu potknął się o ciężki jak nieszczęście podnózek i prawie wyłożył jak długi.

Sycząc z bólu w stłuczonej kostce, dobrnął w końcu do okna, pociągnął za zwisający spod sufitu sznur. Ciężkie, pluszowe zasłony pojechały na boki, zalewając słonecznym światłem zagracony ponad wszelkie pojęcie pokój.

– Bynajmniej, nie dziwię się wcale! – zawołał do niej. – Na szczęście jakoś się ułożyło i jesteś znów tutaj. Profesor będzie przeszczęśliwy, nareszcie mając pod ręką swoją ukochaną asystentkę.

– A ty, Gerhardzie? – Stała w drzwiach.

– Ja... – zaczął Keller, czując nagły ucisk w żołądku. Po raz pierwszy od miesiący mówili do siebie na „ty”... Erika tylko machnęła ręką.

– Chodź, pomożesz mi odkręcić wodę. Nie mam pojęcia, jak się to robi, a krany nie działają.

Kilka godzin później siedzieli w kuchni i świętowali, popijając pierwszą ugotowaną herbatę i przegryzając znalezione w jakiejś dawno zapomnianej puszczone, lekko zwietrzałe herbatniki maślane. Keller pozbył się bluzy, jego włosy jakby przyprószyła siwizna, a do niedawna śnieżnobiała, idealnie wyprasowana koszula była teraz pomięta, umorusana, pokryta kurzem i strzępkami pajęczyn.

Zdołali doprowadzić do stanu użytkowego kuchnię, toaletę i jeden malutki pokój. Na więcej nie starczyło sił.

– To jakiś koszmar, czysty koszmar – pokręciła głową Erika. – Zawsze czułam, że spadki po krewnych to jakieś straszliwe oszustwo.

– Nie jest tak źle. Jeszcze kilka dni wytężonej pracy i da się tu nawet wejść bez przeszkód, jakiś miesiąc i można będzie zaprosić gości...

Popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem. Keller dopił herbatę, uśmiechnął się trochę smutno.

– Mógłbym i chętnie zostałbym tu z panią chociażby do nocy, *Fraulein* Scharfe... Ale obowiązki mnie wzywają, profesor na pewno już się niepokoi. I to bynajmniej nie o mnie.

Erika zrobiła nadąsaną minę.

– Skoro ma mnie pan już dosyć, fanenjunkrze Keller, to nie będę pana próbowała zatrzymać. Niech pan wie, że ani trochę nie będzie mi smutno, jak zostawi mnie pan tu zupełnie samą w tym ogromnym, pustym mieszkaniu. I nawet gdy będę leżeć nocą sama w łóżku...

Urwała nagle, jak gdyby pomiędzy nimi coś przesko-
czyło – niemal dostrzegalna, wyczuwalna iskra ładunku
elektrycznego. Mocujący się z guzikami bluzy Keller za-
marł w pół ruchu, czując, jak nagle łomocze mu w uszach
krew.

– Pójdę już, Eriko – wykrztusił, chwytając pas z
oparcia krzesła.

Nie odezwała się ani słowem, kiedy schodzili na dół.
On też nie wiedział, co powiedzieć, bo pomimo całego dnia
pracy, pomimo stacji, peronu i pociągu, pomimo lekko
duszącego zapachu kotów na klatce, cały czas wydawało
mu się, że łowi w powietrzu delikatny zapach jej perfum.
Czuł tylko jej smukłą dłoń pod ramieniem i miał wrażenie,
że sam nie dotyka stopami ziemi.

– Do widzenia, *Herr Fahnenjunker*. – Erika odwróciła
się do Kellera, gdy stanęli w sieni na dole. – Dziękuję raz
jeszcze za pomoc, i do zobaczenia.

– Eriko, ja...

Wspięła się na pałce i ucałowała go delikatnie w po-
liczek. Potem po prostu obróciła się na pięcie i niespiesz-
nym, lekkim krokiem, jak gdyby nigdy nic, weszła na górę.

Jej kroki na trzeszczących, drewnianych schodach
stawały się coraz cichsze, aż wreszcie zanikły; w końcu
szczęknął zamek, jęknęły otwierane i zamykane drzwi,
stuknęła zasuwa.

A on cały czas stał na samym dole i czuł, że ślad jej ust
płonie żywym ogniem.

Z drogi przez miasto nie pamiętał nic.

Nogi zdawały się nieść go same, bruk ulic dosłownie przesuwał się pod nim, domy i gmachy przelatywały obok, jak podczas jazdy motocyklem. Wszyscy ludzie uśmiechali się do niego, więc i on uśmiechał się do nich. Kłaniał się przekupkom, gestem ręki pozdrawiał śmiejących się do niego z drugiej strony ulicy handlarzy, wystawiał twarz ku promieniom słońca, które grzało tak pięknie, tak cudownie, wiewając w jego serce czystą, niczym niezmaconą radość.

Nadłożył drogi, by obejść fasadę zamku od południa, potem zrobił rundkę po Königsgarten, gdzie wrzucił do kapelusza rzępolącego na akordeonie weterana wszystkie drobne z kieszeni. Poszedł specjalnie małymi uliczkami, by popatrzeć na kolorowe afisze przy Theaterplatz, zahaczył o zawsze kolorowe kramy na Neumarkt... I wszędzie ludzie uśmiechali się do niego, a on uśmiechał się do nich.

Zycie było piękne.

– Nie może pan tak wejść! – okrzyknął go woźny, gdy Keller był już w ogromnej sieni gmachu głównego Institut für Ingenieurmathematik. Zatrzymał się w pół kroku, popatrzył szczerze zdziwiony na wstającego zza blatu szatni staruszka.

– Przecież ja...

– Ale przecież jak pan fanenjunker wygląda! – załamał ręce tamten, podprowadził Kellera do wiszącego na ścianie obok lustra.

Faktycznie – wyglądał, jakby... No, jakby przez kilka godzin przesuwał meble i ścierał kurze w zapuszczonym mieszkaniu. O ile bluza i czapka były jeszcze od biedy

czyste, o tyle na kolanach i udach miał ciemne plamy kurzu, a już twarz... Fanenjunker popatrzył z ukosa na woźnego, ten bez słowa wskazał mu łazieneczkę na tyłach swej kanciapy.

Obmyty i doprowadzony z grubsza do porządku *Fanenjunker* Gerhard Keller wyłonił się kilka minut później z ciasnej, ciemnej i niskiej toalety. Skinął w podzięcie woźnemu i już z nieco czystszą i spokojniejszą głową ruszył na górę po schodach.

W uszach jeszcze szumiała mu rozpalona krew i śpiewały chóry anielskie, więc raz i drugi pobłądził w ciichych, ciemnych już o tej porze korytarzach. Przystawał, wracał się i rozglądał niepewnie na skrzyżowaniach, ale w końcu, po kilku próbach, zdołał dotrzeć do właściwego skrzydła.

Stanął przed potężnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, zapukał i nacisnął klamkę.

– Dzień dobry... to jest dobry wieczór, profesorze! – zawołał od drzwi.

Faktycznie, za oknami zapadał już zmrok, powoli rozjarzały się lampy gazowe na nieodległym kampusie *Physikalisches Institut*. Kellerowi odpowiedziała tylko cisza. Zamknął za sobą drzwi i wszedł dalej, starając się nie stąpać nazbyt głośno po trzeszczących klepkach podłogi. Profesor nigdy nie zostawiłby laboratorium otwartego, a wszystkie klucze zawsze nosił przy sobie, więc musiał gdzieś tu być.

Minął przedsionek, zatrzymał się na chwilę przy sto-

jącym z boku biurku asystentki. Teraz było ono ledwo widoczne spod nagromadzonych pudeł i stosów papierów; zakurzone krzesło stało odsunięte na bok, na skórzanym obiciu dało się dostrzec ślady ubłoconych butów. Osierocony czajnik i rozkompletowany serwis do herbaty wyglądały nieśmiało z zupełnie losowych miejsc w kredensie, a na fusach zalegających w filiżance postawionej na samiusieńkim rogu blatu zdążyła narosnąć, umrzeć i wyschnąć na wiór imponująca kolonia różnokolorowej pleśni.

Widać jednak było, że ktoś tu czasem sprząta, bo podłoga przynajmniej przy wejściu nosiła ślady nieśmiałego mycia. Zapewne pod nieobecność profesora to woźny musiał otwierać pracownię kluczem zapasowym, ryzykując nie tylko posadę, ale i zdrowie; mimo tego w rogach zdążyła się już nazbierać warstwa kurzu. Gdyby taka sytuacja miała potrwać jeszcze jakiś czas, laboratorium matematyka zamieniłoby się powoli w ogród botaniczny.

Keller przeszedł kilka kroków dalej. Chciał zawołać ponownie, ale zauważył sączącą się spod drzwi smugę światła. Delikatnie uchylił skrzydło, zajrzał do jednego z gabinetów.

Profesor siedział zgarbiony, pochylając się nad stołem roboczym. Na blacie przed nim leżało kilkanaście otwartych zegarków, każdy z nich w specjalnie przygotowanej, oddzielnej przegródce opatrzonej numerem ewidencyjnym. Pióro w ręku naukowca zadrgało ledwo zauważalnie, stawiając szereg zrozumiałych tylko dla niego znaczków w skomplikowanej tabeli pomiarowej, a potem znów zamarło

w bezruchu.

Keller aż wstrzymał oddech, tak przytłaczająca była panująca w gabinecie cisza; jedynym w niej dźwiękiem było miarowe, rytmiczne cykanie czasomierzy.

Cyk-cyk-cyk-cyk-cyk.

Tik-tik-tik-tik.

Tik-tak, tik-tak...

– Witaj, Gerhardzie – odezwał się profesor Nemmersdorf. Mówił powoli, jakby zastanawiając się przed każdym słowem. Widać było, że cała jego uwaga skupiona jest na otwartych mechanizmach. – Panna Scharfe, jak wnoszę, w dobrym humorze.

Keller szybko odbił piłeczkę:

– Piękna pogoda była.

Nemmersdorf odłożył pióro, wyprostował się i popatrzył na swego młodego podopiecznego; tkwiąca w prawym oczodole łupa zegarmistrzowska powiększała źrenicę naukowca do jakichś przerażających, groteskowych rozmiarów. Gerhard odruchowo wyprężył się, niczym sztubak przed obliczem dyrektora szkoły.

Znał profesora praktycznie od dziecka. Przychodził do tego gabinetu jeszcze z ojcem, przedwcześnie zabranym z ziemskiego łez padołu przez epidemię grypy ósmego roku. Od tamtej pory nauczył się wiele sam, jeszcze więcej przekazał mu Nemmersdorf – w tym zamiłowanie do szermierki słownej i pasję do szachów.

Nierzadko toczyli swe dysputy całymi tygodniami – po kawałku, na raty. Każda rozmowa z jego mentorem

przypominała grę w szachy, ale prowadzoną co drugi ruch, gdzie zdania przeskakiwały całe poziomy logicznego wnioskowania.

– Mam nadzieję, Gerhardzie, że nie poświęciłeś całego dnia tylko na własne przyjemności. Od jutra panna Scharfe będzie miała dość dużo pracy tutaj.

– Dokładnie dlatego wysprzątałem jej mieszkanie, żeby z kolei ona mogła jutro poświęcić się temu samemu w pracowni pana profesora.

– Sugerujesz, Gerhardzie, że zamiast ściągać ją tutaj z Pillau, powinienem był zatrudnić ciebie jako pomoc?

– Podaję tylko fakty, *Herr Professor*. Implikacje są odczuciem subiektywnym dla każdego odbiorcy.

Profesor uśmiechnął się zdawkowo, zamykając pudło ze swymi egzemplarzami laboratoryjnymi. Większość naukowców eksperymentowała na zwierzętach, ale on zawsze powtarzał, że maszyny są bardziej miarodajne.

– Załóżmy, że się wybroniłeś, Gerhardzie. Ale uważaj z odnoszeniem się do równie subiektywnych odczuć natury estetycznej jako wytłumaczenia dla swoich działań. Szczególnie gdy mowa o powierzonych twojej pieczy osobach tak cennych, jak panna Scharfe.

Keller nie skomentował, patrząc, jak Nemmersdorf składa i chowa dokumentację do jednej z setek przegródek na dokumenty.

Idealnie uporządkowany i pedantyczny w pracy, profesor zupełnie celowo i świadomie nie zwracał uwagi na rzeczy będące dla większości ludzi solą życia – jak cho-

ciażby sprzątanie czy mycie okien. Odkąd Erika odeszła, mentor Kellera konsekwentnie i uparcie odmawiał przyjęcia kogokolwiek chociażby na dłuższy staż, więc pozbawione tak zwanej kobiecej ręki laboratorium stało się nieco zaniedbane.

– Bez panny Scharfe faktycznie chyba nie miałbym wyboru, tylko nająć się u pana profesora – mruknął pod nosem. – Jak długo miał *Herr Professor* zamiar jeszcze wytrzymać?

– W polityce i nauce nie ma trzeciego trybu warunkowego, Gerhardzie. To, co się nie stało, nie stało się. Nie ma sensu rozpatrywać wariantów przeszłości, która nie zaistniała. Dokończymy partię?

– Naturalnie.

Przeszli do stolika z wyrysowaną szachownicą, Keller wyciągnął z szuflady zestaw figur z kości słoniowej.

– Która? – Popatrzył wyzywająco na Nemmersdorfa. Ten zastanowił się chwilę, potem uśmiechnął zjadliwie.

– Zatoczyliśmy koło, Gerhardzie. Ostatnia przed jej odjazdem.

Keller drgnął, ale nie dał po sobie nic poznać. Sięgnął pamięcią wstecz, starając się odtworzyć ustawienie figur w trakcie jednej z nielicznych niedokończonych partii, jakie rozegrali przez te lata, po czym zaczął rozstawiać figury. Profesor patrzył na to krytycznie, od czasu do czasu krzywiąc się z dezaprobatą i przesuwając pionki na właściwe pozycje.

– Ćwicz umysł, Gerhardzie. Jeden niewłaściwie

ustawiony element i zaburzasz obraz całej sytuacji. Potem nic już nie pasuje tam, gdzie powinno, bo zakłócenia interferują ze sobą i wypaczają twoje postrzeganie rzeczywistości. Pierwszy błąd staje się jedynym i zarazem ostatnim... A teraz trzy ruchy wstecz.

Keller zawahał się; potrafił w zasadzie przypomnieć sobie, jak wyglądała sytuacja w partii, którą mieli teraz kontynuować, ale na tym się kończyło. Profesor westchnął, sam zaczął po kolei cofać figury.

– Do każdego z możliwych ustawień prowadzi tylko jeden łańcuch przyczynowo-skutkowy, Gerhardzie. Tak, owszem: możliwe jest osiągnięcie takiego samego wyniku poprzez wiele różnych działań...

Chcący już coś wtrącić Keller zagryzł wargę: Nemmersdorf zbijał jego argumenty, zanim on zdążył je w ogóle wysunąć.

– ...co nie zmienia faktu, że konkretną sytuację osiągasz nie poprzez nieskończoność różnych, a przez jeden bardzo konkretny ciąg ruchów. Wystarczy mieć jedną daną wejściową, żeby twój model nabrał cech prawdopodobieństwa; dwie, by móc odtworzyć go w przybliżeniu; trzy, aby stał się wierną kopią. Nie musisz zatem reprodukcować całości ustawienia. Wystarczy tylko, że pamiętasz ruch początkowy i dwa punkty po drodze, aby odtworzyć całą sekwencję... Popatrz sam.

Keller pokiwał głową z ponurym podziwem: faktycznie, tak wyglądała ich szachownica, gdy wychodził od Nemmersdorfa tamtego ostatniego wieczora, zanim Erika

złożyła u profesora wypowiedzenie. Z pewnością na jej decyzję wpłynęły też kwestie mieszkaniowe, ale on wiedział doskonale, że nie chodziło tylko o to.

– Sam pan profesor użył trzeciego okresu warunkowego. – Przesunął swego gońca i odezwał się, pozornie bez związku z całą sytuacją. Nemmersdorf drgnął, spojrział na niego z ukosa i uniósł brew.

– Słucham?

– Mówił pan profesor, że nie ma sensu rozpatrywać wariantów przeszłości w trzecim trybie warunkowym; tymczasem sam na początku naszej rozmowy pytał, czy powinien być zatrudnić mnie zamiast panny Scharfe.

Profesor nie odpowiedział, patrząc z natężeniem na planszę, po czym wysunął jeden ze swoich pionków przed sypiącą się już linię, prosto na bicie królowej Kellera.

– Czasem zdobycz potrafi faktycznie być zdobyczą, Gerhardzie, ale kiedy indziej jest tylko przynętą na coś większego. To dobrze, że rozumujesz i analizujesz, bo to daje wiedzę na przyszłość; ale twoim problemem jest to, co gnębi wszystkich ludzi inteligentnych.

– To znaczy? – Keller zignorował wystawionego piona i przesunął swego konia w bok i do przodu, zasadzając się na jedną z wież Nemmersdorfa.

– Jesteś mądry po fakcie, Gerhardzie. Twój mózg znajduje dobre, wręcz błyskotliwe rozwiązania i odpowiedzi, ale jest już przeważnie za późno. Co z tego, że teraz udowadniasz mi braki logiczne w wypowiedzi, skoro wtedy nie uzyskałeś odpowiedzi na zadane pytanie?

Pion przesunął się o kolejne pole do przodu, goniec przemieścił niebezpiecznie blisko wieży, chronionej jednak przez wrogiego skoczka.

– A czy nie jest tak, że wytykając mi błędy przeszłości, próbuje pan profesor dezawuować mój obecny sukces?

– Dlaczego miałbym to robić, Gerhardzie?

– „Dlaczego”, panie profesorze... – dama przejechała przez całą długość szachownicy, zsuwając z planszy gońca – czy może „po co”? Szach.

– Mat w czterech posunięciach. Znów przegrałeś, Gerhardzie – skwitował Nemmersdorf, odsuwając planszę.

– Ale...

– Twoim zadaniem domowym jest przewidzenie, w jaki sposób do tego doprowadzę. Czekam na ciebie jutro po służbie, przyjrzymy się kilku interesującym wielomianom.

Keller westchnął ciężko i pokręcił głową, ale skinął tylko profesorowi i zebrał się do wyjścia.

Nemmersdorf potrafił być chimeryczny, jego maniery pozostawiały wiele do życzenia, a zachowania najłatwiej było sklasyfikować jako całkowicie nieprzewidywalne: w jednej chwili zapraszał kogoś na kawę, by w następnym momencie stracić zainteresowanie gościem, bo jego umysł zdążyło zaabsorbować coś zupełnie innego. Zapewne jednak taki był już przywilej geniusza; przebywanie w jego towarzystwie Gerhard nieustannie poczytywał sobie za zaszczyt.

– Dobranoc, panie profesorze! – odezwał się od drzwi. Odpowiedziała mu cisza, w którą powoli, ale nieubłaganie

wgryzało się cykanie dziesiątków zegarów.

ROZDZIAŁ IV

Dzień dobry, chciałbym oddać koszulę do zwężenia.

Krawiec podniósł wzrok znad maszyny, popatrzył na Grossmanna znad drucianej oprawki okularów.

– Pan podporucznik jest pewien? To piękna robota, widać, że materiał doskonały... Ja mogę nie mieć igieł i nici na tyle dobrych. O, pan popatrzy: francuska sygnatura!

– Nalegam. – Teodor uśmiechnął się. – Mamy krawca w jednostce, ale jest zawałony zamówieniami, a ja potrzebuję koszuli na bal. Jestem tu na urlopie, rozumie pan...

Rzemieślnik rozłożył koszulę, popatrzył na materiał, poskrobał nici paznokciem. Widać było, że w jego duszy zmagają się profesjonalna uczciwość i świadomość konieczności zarobienia na chleb.

– Hm, hm.

– Chętnie zapłacę, ile potrzeba. Nawet na te nici i igłę do maszyny.

– Ba, żeby to było takie proste! – skrzywił się krawiec. – Trzeci rok wojny, panie podporuczniku, wszystko rekwirują na potrzeby armii przecież. Ja już zaczynam spruwać nici ze starego płótna, żeby guziki przyszywać. No nic, spróbuję... Pan podporucznik z daleka przyjechał? Pewnie z frontu prosto?

Grossmann nagle poczuł, jak jego nogi odrywają się od ziemi, a cały malusieńki pokoik zaczyna drgać i trząść

się, podskakując i rzucając się do wtóru ryku motorów i ogłuszającego huku toczącego się metalu. Schoelss po raz kolejny wrzasnął przeraźliwie, potem zniknął za krawędzią maszyny tylko po to, żeby wyłonić się kilka metrów za nią, wprasowany w rozmiękłe błoto, niczym szmaciana lalka...

– Arras – wykrztusił, przełknął ślinę.

Na szczęście rzemieślnik zajął się koszulą, więc nie zwrócił uwagi, że Teodor otarł z czoła lodowaty pot.

– No proszę, to naprawdę kawał drogi... Podobno straszne rzeczy się tam dzieją, na zachodnim froncie?

Grossmann uśmiechnął się wymuszenie.

– Proszę nie wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach. A pan?

– Oblężenie Ossowitz, panie podporuczniku. Ech, wtedy jeszcze myśleliśmy, że to szybko pójdzie z tą wojną. Puściliśmy gaz, Ruskie nawet masek nie mieli, więc marli jak muchy... Siedem mil, a my słyszeliśmy ich wrzaski. I potem ten obłąkany szturm, gdy my poszliśmy jak po swoje, a tamci wstali z grobów. Zakrwawieni, wykasłujący własne płuca, po prostu wyszli na nas z bagnietami. Uwierzy pan?

– Uwierzę.

– Ja wtedy postrzał dostałem, gangrena się wdała. Bogu dzięki, że w nogę: wycięli mi kawałek uda, ale ręce sprawne zostały. No, zrobię panu, zrobię tę koszulę, przecież wojna wojną, a pracować trzeba...

– Proszę, oto zadatek. – Grossmann położył na blacie aż nadto wystarczającą sumę. – Niech mi pan jeszcze po-

wie, bo chciałem też w pasku dziurki wybić: ten kaletnik obok to na urlopie?

– Pan Gablenz? Na wiecznym, świeć Panie nad jego duszą... Paskudna sprawa.

– Zmarł?

– Ha, żeby tylko tak... Zaszlachtowali go, bandyci. Coraz więcej tych szumowin, za kilka groszy zabijają człowieka.

– Słucham? – Grossmann popatrzył na krawca, ale tamten tylko pokiwał głową.

– Ano, tak było, tak było... Mówili co innego, żeby paniki nie wzbudzać. Rozumie pan, że niby w mieście przestępczości nie ma, spokojne zaplecze dla walczących na froncie. A ja przecież go znałem, biedaka. W życiu alkoholu do ust nie brał, nie spóźniał się, ułożony i porządny był, jak należy. To mnie zdarzało się u siebie światło gasić wedle tego, jak on zamykał.

– Hm, szkoda człowieka, faktycznie. Pewnie nie zna pan żadnych z jego znajomych po fachu?

– Oj, kilku kaletników się zna, polecę kogoś. Ale czy jego znajomych... To typ odludka był, rozumie pan podporucznik: siedział tylko u siebie na górze, mało kto do niego w ogóle zaglądał. Raptem paru stałych klientów miał.

– Trudno. Zapisze mi pan adresy jego innych kolegów po fachu?

Podczas gdy krawiec kaligrafował na skrawku papieru nazwiska i nazwy ulic, Grossmann rozglądał się po za-

kładziku. Wąska, niska kliteczka o ścianach zasłoniętych skończonymi i na wpeł zszytymi marynarkami i płaszczami, ponad ramieniem właściciela widział wejście do budki na górę. Sąsiedni zakład musiał mieć bliźniaczy układ pomieszczeń, więc również mieszkanie Gablenza mieściło się na piętrze.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się, skinął głową. – Na kiedy się pan wyrobi?

– Ech. Niechże przyjdzie pan podporucznik jutro po południu, będzie już gotowa i wyprasowana. Kołnierzyk od razu przesyję, widać, że już nic się zaczęła siepać.

Pożegnał się, wyszedł na ulicę. Tam wyciągnął i zapalił papierosa, przeszedł na drugą stronę, oparł się o ścianę i popatrzył w zadumie na kamienicę. Faktycznie, okna nad zamkniętym zakładem były ciemne i szare, szyby zmatowiały od kurzu, więc istniała szansa, że nikt się tam nie zasiedlił.

Warto było spróbować.

Do wieczora nie było już daleko, więc ruszył nieśpiesznym krokiem ku głównej ulicy. Tam złapał tramwaj, który podzwaniając wesoło, powiózł go przez Sackheimer, a następnie Bulowstrasse w kierunku wschodniej granicy miasta. Wsiadł na wysokości intendentury i poszedł coraz bardziej znajomymi uliczkami ku koszarom.

Dni w Königsbergu mijały mu szybko, aż nazbyt szybko. Poświęcił się bez reszty pracy szkoleniowej, do której zgłosił się wkrótce po swym przyjeździe; o ile z początku dowództwo patrzyło krzywo na to, że jakiś

świeżo upieczony oficer próbuje udowodniać im, że lepiej od wąsatych, brzuchatych pułkowników zna się na wojnie, to jednak nieustępliwość i żelazna konsekwencja Grossmanna wkrótce dały efekty. Teraz jego wykłady były oblegane przez młodych podoficerów, którzy z wypiekami na twarzy słuchali opowieści o przetaczających się po froncie zachodnim potwornościach i całymi sobą chłonęli schematyczne rysunki maszyn wroga.

– Nie bójcie się „tanku”! – powtarzał im jak mantrę. – Może wyglądać przerażająco, może być wielki i sprawiać groźne pozory, ale to tylko bezduszna maszyna! Maszyna, której najslabszym ogniwem jest zawsze człowiek. Wyobraźcie sobie, co myślą zamknięci w tej żelaznej, ciasnej, nagrzanej puszcze ludzie. Zrozumcie, czego by chcieli, a czego się obawiają. I zróbcie to, czego tamci boją się najbardziej.

Patrzył uważnie w ich twarze, starając się wychwycić najlżejsze nawet drgnienia mięśni, cokolwiek, co mogłoby zwiastować, że wiedzą na temat technologii, maszyn i badań więcej, niż powinni. Pozwalał zagadywać się, odpowiadał na pytania i niezauważenie prowadził swych rozmówców na interesujące dla siebie tory – ale na razie wszystko to ograniczało się do teoretycznych dywagacji.

Wielu miało swoje przedziwne teorie na temat tego, nad czym może pracować teraz armia, ale nikt nie potrafił poprzeć ich chociażby najmniejszym dowodem. A on czekał, czekał cierpliwie, ale czuł też, że czas przepływa mu między palcami, podczas gdy jego towarzysze na

froncie...

Drgnął, gdy z wartowni wyłonił się strażnik w pi-kielhaubie; powstrzymał się siłą woli, by nie sięgnąć ręką do kabury. Na szczęście lata treningu pozwoliły mu utrzymać kamienną twarz, gdy tamten sprawdzał jego papiery.

– Pan podporucznik Grossmann... To pan opowiada te historie o czołgach? Mój syn jest zafascynowany tymi machinami.

Teodor zacisnął dłoń w pięść, spychając myśli Wielikowa na dno jaźni. Przywołał na twarz wyćwiczony uśmiech.

– Młody, inteligentny człowiek? Chętnie bym go poznał.

– Naprawdę? – Strażnik zsunął hełm na tył głowy, szczerze zaskoczony. – Ojej... Ale pan podporucznik pewnie zajęty mocno jest, a przecież mojego małego tu nie wprowadzę.

– No, musimy utrzymać pewną dyscyplinę. – Grossmann puścił oko.

– Ano, ano... I co ja tutaj...

– Do której dziś macie wartę, *Herr Obergefreiter*?

– Jeszcze dwie godziny, panie podporuczniku. Panie podporuczniku, ja tutaj, niedaleko, na Kaplitzerstrasse, więc gdyby chciało się panu...

– Nie ma o czym mówić. Tylko załatwcie mi potem powrót, żebym nie musiał pod bramą spać.

Żołnierz rozpromienił się cały.

– *Herr Leutnant!* Kwiatami i czerwonym dywanem będą pana tutaj witać, już ja wszystko...

– Wolałbym po cichu i wyrozumiale. Będę za dwie godziny.

Zostawił w stróżówce uśmiechniętego od ucha do ucha kaprała, przeszedł szybkim krokiem przez dziedziniec ku swemu budynkowi. Jednorazowo się udało, ale na przyszłość będzie potrzebował kwaterunku na mieście, żeby nie być przywiązany do systemu przepustek, ewidencji wejść i wyjść, a przede wszystkim przypadkowych oczu.

Zamknął drzwi i z miejsca położył się na łóżku, chcąc złapać chociaż tę odrobinę snu przed intensywnie zapowiadającą się nocą.

– *Bernhard, Kageneck, Andres! Naprzód!*

– *Panie sierżancie, nie damy rady! Nie damy...*

Ostatnie słowa Kagenecka zginęły w huku detonacji, w której echo po chwili wdarło się jednostajne, suche dudnienie karabinu maszynowego. Z nieba spadła na nich przemieszana z kamieniami ziemia, mokra i ciężka od przelanej w ostatnich dniach krwi.

– *Naprzód!* – ryknął, wyskakując jako pierwszy z prowizorycznego okopu. Grunt pod nogami drżał i pływał, jak gdyby gdzieś w pobliżu toczył się gigantyczny skład pociągu towarowego; w uszy wdzierła się kakofonia jęków, pisków i zgrzytów. Gryzący w oczy, białobłękitny opar spalin niósł się ogromną chmurą, w której od czasu do czasu błyskały płomienie wylotowe działa i karabinów.

Przeskoczył do pobliskiego leja po detonacji, wtulił się

w ziemię, gdy nad głową zagwizdały mu pociski, po czym od razu poderwał i przebiegł dalej, chcąc dopaść do ułamka ceglanego muru, który wciąż jakimś cudem stał wśród tego pustkowiecia błota i śmierci. Po jego lewej stronie klęczał na ziemi Schoenert, patrzący z przerażeniem na tkwiący mu w brzuchu fragment belki.

– Panie sierżancie, chyba mnie trafili – wyszeptał żołnierz, a potem seria z karabinu maszynowego szarpnęła nim w tył, orząc w piersiach krwawe jamy. Ciało osiadło i przechyliło się, opierając na tylnym końcu drewnianej krokwi na podobieństwo średniowiecznych grafik, ilustrujących okrucieństwa władców barbarzyńskich krajów. Ta kraina jednak nie miała władcy, a okrucieństwo nie było zamierzone: przez ostatnie miesiące stało się po prostu integralną częścią ich życia.

Miał zamiar przypaść do ściany i przyczaić się, ale kątem oka zarejestrował lecący w kierunku linii przeciwnika granat trzonkowy. Rzucony zapewne przez kogoś z jego własnych ludzi „tłuczek” już minął najwyższy punkt lotu i teraz spadał, ciągnąc za sobą strużkę dymu, prosto ku niemu...

Grossmann zaklął paskudnie i przesadził murek na chwilę przed tym, jak ładunek odbił się od ścianki, stoczył po gruzie i eksplodował, zalewając go falą dzwoniącej ciszy.

Teodor szarpnął się, poderwał, ale znów opadł na poduszkę. Poleżał chwilę, czekając, aż uspokoi się łomoczące serce, odetchnął kilka razy głęboko.

Sen. To tylko sen.

Usiadł na brzegu łóżka, schował w dłoniach zlaną potem twarz. Wstał, umył ręce i ochlapał się trochę wodą. Spojrzał w lustro, chcąc przypomnieć sobie, kim naprawdę jest – ale z odbicia patrzyła na niego obca twarz. Zamknął oczy, policzył do dziesięciu, wyciągnął z kieszeni czasomierz. Popatrzył na tarczę zegarka, chcąc skoncentrować się na procesie, na wyznaczonym mu zadaniu.

Gdy wyszedł z koszar na dziedziniec bramny, kapral już czekał – rozpoznał Grossmanna, chociaż ludzie w cywilu byli zupełnie niepodobni do swoich mundurowych alter ego. Teodor uśmiechnął się, zasalutował żartobliwie do czapki cyklistówki.

– No, pan podporucznik to jak w zegarku, widzę...! – ucieszył się kapral. – Klaus, chodź no tutaj!

Młody wartownik wyjrzał ze stróżówki, kiwnął głową.

– To jest pan podporucznik Grossmann. Wpuściecie pana podporucznika, jak będzie wracał. Zrozumiano? Tylko bez służbistości mi tam żadnych!

– Się wie, *Herr Obergefreiter*. Bezwarunkowo.

– No, widzi pan podporucznik? To ja proszę tędy, poprowadzę na skróty, żeby czasu pana podporucznika nie marnować.

Przeszli obok Wagenhausu, potem boczną furtką wśliznęli się na teren cmentarza. Kapral przez większość czasu zagadywał, żeby jego starszy rangą gość nie czuł się nieswojo; Grossmann raczej milczał, zapamiętując drogę.

– No bo wie pan podporucznik, jak to jest. Każdy

próbuję jakoś przeżyć. – Jego przewodnik rozłożył ręce. Teodor na szybko odtworzył z pamięci kilka ostatnich zdań rozmowy, ale zawczasu profilaktycznie kiwnął głową. – No i co ja poradzę, że żołd nie za wysoki? Służba nie-szczególnie trudna, a przynajmniej się w domu nie siedzi po próżnicy. Przecież i sorty dają nowe, i wyżywienie jest, rodzinę się odciąży.

– Tak, łatwo nie jest... kapralu.

– Lotze jestem, panie podporuczniku. Jurgen Lotze, jakby pan podporucznik szukał kiedyś.

– Więc mówiliście, kapralu Lotze, że zajmujecie się poza tym – handlem, tak?

– No, „handel” to dużo powiedziane... Ale sprzedaje się to i owo, zna się ludzi. O, to już tutaj, na trzecim piętrze. Ja przodem pójdę, bo ciemno.

Grossmann otaksował wzrokiem stojącą w wąskiej uliczce kamienicę. Zaułek z jednej strony wychodził na szpital, z drugiej na cmentarz. Niezbyt pokrzepiające miejsce do życia, ale faktycznie, co poniektórzy nie mieli wyboru. Weszli do środka, wspięli na górę po stromych i wąskich schodach.

– Hildie, kochanie, wróciłem! Mamy gościa! – zawołał już od drzwi kapral, jak gdyby uprzedzając wszelkie pytania małżonki.

Pani Jurgenowa Lotze faktycznie zdawała się nie-szczególnie ucieszona z niezapowiedzianych odwiedzin, więc kapral zgarnął swoją nielichą dolę subtelnych przy-mówek i wbijanych półgłosem szpilek, ale potem przeko-

nała się do Grossmanna – szczególnie gdy ten wziął na kolano ich najmłodszego, pięcioletniego synka i zaczął opowiadać zgromadzonej wokół niego dziatwie o Wojnie.

Czwórka młodych Lotze słuchała z rozdziawionymi ustami, przy czym widać było, że najstarszy, dwunastoletni syn kaprała rzeczywiście jest oblatany w temacie: chwalił się, że czyta wszystkie artykuły w gazetach, że nawet zapisał się na kółko matematyczne w szkole, bo sam też będzie kiedyś konstruował czołgi. Kaprałowa zrobiła herbatę, pojawiły się nawet ciastka, ale gdy doszło do grzecznościowej propozycji kolacji, Teodor równie kurtuazyjnie odmówił.

– Zabrałem już państwu zbyt wiele cennego czasu. Młodzież zapewne ma jutro szkołę, a mąż też musi wstać, by pomóc pani w obejściu. Dziękuję, ale muszę zrezygnować. Kaprału Lotze, jeśli będzie pan kiedyś czegoś potrzebować...

– Ależ gdzieżbym śmiał, panie podporuczniku! – Lotze poderwał się, aby podać gościowi bluzę i czapkę z wieszaka. – To gdyby pan podporucznik kiedykolwiek, czegokolwiek...

– Dobranoc.

Zszedł na wpół po omacku po schodach, popchnął skrzypiące drzwi na dwór. Było już późno, w zasadzie zupełnie ciemno. Idealnie.

Skręcił w lewo, ku koszarom, ale potem zamiast przejść przez cmentarz krótszą drogą, odbił w bok, na południe. Przesadził niewysoki parkan, obciągnął bluzę i

spokojnym, niespiesznym krokiem ruszył przez miasto.

Zanim dotarł do Wagnerstrasse, minęła dziesiąta. Przespacerował się obok zakładu krawca, popatrzył w mżące światłem okna po prawej i sąsiadujące z nimi martwe, szare prostokąty szyb w mieszkaniu Gablenza.

Chciał sięgnąć po papierosa, ale zrezygnował: nie było sensu zdradzać swojej obecności żarzącym się punkcikiem i zapachem dymu.

Ciemna, wąska brama wyprowadziła go na zaśmieczone podwórko; od tej strony zakład Gablenza chroniły solidne, zamykane od środka okiennice, których sforsowanie nie wchodziło w rachubę – nie bez narzędzi i ryzykowania niepotrzebnego hałasu. Za to rosnąca przy samym domu stara grusza wyglądała obiecująco.

Teodor wspiał się sprawnymi ruchami na drzewo, dzięki czemu znalazł się na wysokości parapetu na piętrze.

Dokładnie widział, jak w oknach po lewej przesuwa się ciemniejsza sylwetka krawca; gdyby tamtemu przyszło do głowy wyrzeć teraz przez okno, to Grossmann mógłby zasłaniać się wyłącznie ciekawością co do losów swej drogocennej, francuskiej koszuli.

Wymacał butem wykruszoną cegłę w murze, robiąc podkutym czubkiem, jeszcze pogłębił niszę, po czym złapał się za parapet prawą ręką. No, jeśli to się nie uda, to... Jednym płynnym ruchem wybił się z drzewa, przenosząc jednocześnie ciężar ciała na prawą nogę, podciągnął na rękach i zarzucił kolano na parapet.

Przez krótką chwilę trwał tak w stanie kruchej rów-

nowagi – gdyby powiał najłżejszy chociaż wiatr, jak nic spadłby na sam dół – ale potem zebrał się w sobie, podciągnął jeszcze kawałek i złapał lewą ręką za krawędź uchylonego lufcika. Ufff...

Powoli, nie wykonując żadnych zbędnych ruchów, w windował się w górę, przechylił przez krawędź wąskiego okienka i spuścił głowę w dół po drugiej stronie. Robili takie numery w latach jego młodości nie raz i nie dwa, ale teraz – teraz lata chyba były już nie te, bo cały oblał się potem.

Staął na parapecie, ciężko dysząc, i wspinając się na palce, odpiął firankę, którą następnie przerwał na pół i okręcił buty, żeby nie stukały po drewnianej posadzce. Odsapnąwszy kilka chwil, ruszył na eksplorację mieszkania.

„Mieszkania”. Raczej klitki – na lokum Gablenza alias Jermakowa składały się jeden pokoik, maciupcia kuchenka i sypialnia. Grossmann, a w zasadzie Wielikow, nie przyjechał tu jednak podziwiać architektury, więc rozpatrzywszy się w planie sytuacyjnym, wziął się do powolnego, acz metodycznego przeszukania.

Regał, szuflady, łóżko, klosze żyrandola... Istnieje ograniczona liczba miejsc, w jakich ludzie próbują chować cenne przedmioty; znając pewien schemat myślenia i działania człowieka, można je prędzej czy później znaleźć.

No właśnie – to „później” trochę Grossmanna irytowało. Wszędzie było pełno kurzu, bo mieszkanie stało zamknięte już od paru miesięcy, więc i on wkrótce poza-

łował, że nie zabrał rękawiczek. Poza tym wszystko w lokum Gablenza było wręcz drażniąco zwyczajne. Nic nie świadczyło o tym, że jego lokator mógłby zajmować się czymkolwiek poza działalnością rzemieślniczą.

– O proszę – mruknął Grossmann, patrząc w bladym świetle księżycy na jedną ze stojących na półce książek. Wszystkie były sczytane mniej więcej w tym samym stopniu, a ta jedna wręcz zajeżdżona: przegięty grzbiet, wytarte okładki, sfilcowane rogi. Zupełnie tak, jakby czytano ją co najmniej raz dziennie.

Pstryknął zapalniczką i przy jej pełgającym blasku przekartkował tomik, zatrzymując się przy stronach z pozaginаныmi rogami i patrząc na ślady ołówka na marginesie. Ktoś popełnił nieostrożność, zostawiając ślad, gdy liczył na konkretnych stronach linijki i litery. A więc tomik wierszy był tak naprawdę książeczką szyfrów do odczytywania tajnej korespondencji...

Obrócił głowę, nasłuchując. Coś zmaćiło niemal idealną ciszę mieszkanka. Nie był to odgłos z zewnątrz ani zza ściany, lecz dobiegający z dołu, z pracowni; Teodor sięgnął po pistolet, ale potem zmienił zdanie, wyciągnął z kieszeni rozkładany nóż. Podsunał się bliżej ku prowadzącym na parter schodom, odsunął wiszący w przejściu koc.

Cisza. Tylko odgłos uderzeń jego własnego serca, w uszach wyłącznie szum krwi. Oddech, który nagłe brzmiał niczym sto miechów kowalskich; zielone i czerwone plamy latające przed oczami, mózg podsuwający usłudnie doznania i wizje, których spodziewa się świadomość.

Grossmann przełknął ślinę, ostrożnie zrobił krok niżej... jeszcze jeden... kolejny... znów zamarł w bezruchu.

Na dole ktoś był.

Nie chodziło nawet o odgłosy, a raczej ODCZUCIE czyjejś obecności. Ktokolwiek krył się w ciemnościach na dole, musiał teraz też stanąć i nasłuchiwać. Snajperzy na froncie nazywali to „grą w kamienie” – gdy dwóch strzelców wyborowych spotykało się przypadkiem na polu bitwy, potrafili leżeć naprzeciwko siebie nieruchomo przez całe godziny, usiłując wypatrzeć wroga... Aż jeden z nich w końcu nie wytrzymał i musiał się poruszyć. On teraz też czuł, że płuca domagają się powietrza, ale musiał kontrolować się do granicy wytrzymałości, bo jeden głośniejszy oddech...

A potem pod jego nogą skrzypnęła deska.

Rzucił się naprzód po schodach, wpadł do pomieszczenia i od razu potoczył po podłodze, przewracając stolik i rozsypując narzędzia. Huknął strzał – strzał! – i drugi, podporucznik skoczył wprost na źródło dźwięku, kopnięciem pod kolano przewrócił ledwo widocznego w ciemności przeciwnika. Tamten nie pozostał dłużny.

Uderzył Grossmanna w splot słoneczny i od razu poprawił drugim ciosem od góry w ucho. Ale Teodor zasłonił się przedramieniem, wyprowadził kontrę od dołu, potem złapał przedramię napastnika, chcąc wykręcić mu rękę, ten jednak wywinął się bokiem.

Kolejny wykwit ognia, błysk i huk: kula musiała trafić w szybę, bo z brzękiem posypało się szkło. Nieznany

przeciwnik spróbował uderzyć Grossmana pistoletem (czyżby już pustym?!), ale ten uprzedził ruch, podbił przedramię wroga i wyłuskał mu broń z ręki, potem jednym płynnym ruchem podciął napastnika i popchnął na rozstawione stelaże.

– Stój, bo strzelam! – huknął.

Jego wróg poderwał się z podłogi, cisnął w niego płatem skóry i skoczył ku oknu. Teodor ściągnął spust, pistolet bluznął ogniem i ołowiem, ale tamten już wpadł w otwarte okno, przeturlał przez parapet i zniknął w ciemnościach.

– *Donnerwetter* – zaklął Grossmann, rzucając się śladem intruza. Wypadł na podwórko, popędził przez bramę, rozejrzał... Sylwetka właśnie zniknęła za rogiem. – Szlag by to trafił!

Rozejrzał się szybko: lada chwila będzie tu patrol, krawiec na pewno też już ledwo żyje ze strachu, tylko patrzeć, jak wszędzie pozapalają się światła. Miał już ruszyć w stronę przeciwną niż ta, którą uciekł jego nocny adwersarz, ale zatrzymał się, pochylił i dotknął ciemniejszej plamy na bruku: krew. Czyli jego refleks nie jest taki aż zły, tamten był ranny.

Poderwał się i pobiegł, słysząc zbliżające się gwizdki żandarmów.

Krawiec spojrzał na Grossmanna ciężkimi, podkreślonymi oczami.

– O, już pan podporucznik? A ja jeszcze mam do wszycia guzik jeden.

– Ciężka noc? – zapytał z głupia frant Grossmann, czując jednocześnie, jak potwornie rwie go na ciągnięte ścięgno w nodze. Zbliżający się bal nie miał być potańcówką jego życia.

– Włamanie nocą było, uwierzy pan? W takiej okolicy spokojnej.

– Nie? Do pana, tutaj?

– Gdzie tam. – Krawiec machnął ręką i odgryzł nitkę wytartymi w trójkątną szczerbę zębami. – Do mieszkania po Gablenzu, świeć Panie nad jego duszą. Dłuższy czas już musieli planować, okazało się, że po kawałku podpłowywali listwę i zdołali wytrych wsunąć, żeby haczyki podważyć. Ot, do czego to doszło...

– Coś poważnego?

– Nie, tylko rumoru narobili, i tyle. Podobno nic nie zginęło, nie wiem, pobili się o zdobycz albo nawet i bez zdobyczy. Proszę, pańska koszula.

Grossmann odebrał, przymierzył: faktycznie, pasowało jak ulał, stary rzemieślnik miał dobre oko do wymiarów. Oczywiście podporucznik starał się rozbierać tak, żeby tamten nie zauważył fioletowych sińców. Podziękował, pożegnał się, wyszedł na ulicę. Korciło go, żeby zajrzeć w bramę, ale co miał tam znaleźć? Okno pewnie zabito deskami i tyle, nie zobaczy nic.

Aż dziwne, że krawiec niczego nie usłyszał. Strzelali przecież za ścianą, nie mógł nie usłyszeć... Więc co, zataił prawdę? Przed Grossmannem to może jeszcze, choć po jaką cholere, ale przed policją? Bzdura, przecież nie miałyby

powodu, żeby to robić. A może powiedział, jak było, i dostał uprzejmą radę, żeby zmienić zeznania? Jak to sam mówił: „że niby spokojne miasto”? Bo przecież jego wersja o śmierci samego Gablenza też nie do końca pasowała do tego, co głosiły źródła oficjalne.

Teodor skrzywił się, utykając na lewą nogę. Będzie potrzebował dużo wódki, żeby o tym zapomnieć.

ROZDZIAŁ V

Gabinet profesora Nemmersdorfa odmienił się nie do poznania. Gdy Gerhard zapukał i wszedł do środka, poczuł, jak z kroku na krok ulatuje z niego zwyczajowa śmiałość i odwaga. Wcześniej pracownia przypominała legowisko, w którym ścieżki komunikacyjne powstawały z czystej konieczności, a słowa takie jak „porządek”, „ułożenie” czy „katalog” były bytami abstrakcyjnymi.

W ogóle kwestie utrzymania porządku sprowadzały się w rozumieniu profesora do bardzo ogólnie zakreślonych kierunków, wytyczanych przez niedbałe machnięcie ręką, na zasadzie: gdzieś tam. Słowem, była to pracownia taka, jaką mógł wyobrazić sobie każdy mężczyzna: miejsce do pracy, środowisko twórcze pradawnego chaosu, z którego dopiero miał się wyłonić cud Stworzenia.

Teraz Keller odniósł wrażenie, że wchodzi do świątyni.

– Dzień dobry, panie fanenjunker. Mogę zaproponować panu herbatę?

Zamrugnął, patrząc na przepływającą po świeżo wypastowanej podłodze Erikę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że stoi przed nią z otwartymi ustami. Zamknął je. Popatrzył jeszcze trochę, jak dziewczyna wiruje niczym w tańcu, ustawiając na półkach segregatory z dokumentami i pozornie bez wysiłku przenosząc pudła pełne książek.

– Ale pomóc toby pan mógł. Albo chociaż drzwi zamknąć... Przywitać się przynajmniej! – fuknęła na niego, odstawiając skrzynię na parapet. Zreflektował się, wymamrotał jakieś przywitanie i bez pytania złapał za kolejne pudło, podczas gdy ona poszła nastawić czajnik.

– Widzę, Gerhardzie, że już zdążyłeś podpaść naszej *Fraulein Scharfe* – odezwał się profesor od drzwi swego gabinetu. – Dobrze cię widzieć. Potraktuję twoją tu obecność jako długo wyczekiwaną odsiecz.

– Jak pan profesor czuje się obelżony, to w dowolnej chwili może najeźdźców zwolnić! – wtrąciła Erika z kuchni.

– Widzisz sam. – Nemmersdorf pokiwał głową. – Strach się odezwać, Gerhardzie... Ale najwyraźniej brak prawa do wyrażenia swej opinii jest ceną ładu i porządku. Cenzura wkroczyła w nasze życie.

– Na razie w życie pana profesora...

– „Na razie”, Gerhardzie?

Keller uśmiechnął się kwaśno, pokiwał głową. Nemmersdorf jak zwykle zdołał go podejść, tym razem symulując beztroską, przypadkową rozmowę.

– Mata nie było – rzucił, by zmienić temat, gdy gospodarz zaprosił go gestem na swe pokoje.

– Nie? – zdziwił się uczoney. – Wyjaśnij, proszę.

– Nie udowadnia się też negatywnych, *Herr Professor*. Nie było.

– Jesteś pewien, że sprawdziłeś wszystkie kombinacje? Na pewno był możliwy w czterech ruchach.

– Mat możliwy jest zawsze, profesorze.

Nemmersdorf rozparł się wygodnie w fotelu, założył ręce pod brodą. Keller nie mógł nie zauważyć na jego przedramieniu trzech zegarków... identycznych zegarków.

– Mów dalej, Gerhardzie.

– To wszystko. Jeśli mam udowodnić, że do czegoś dojdzie, to z całą pewnością to zrobię. Jeżeli jednak mam symulować ruchy własnego przeciwnika, to dążąc do realizacji konkretnego założenia docelowego, tracę wiarygodność.

– Zawsze?

Keller zastanowił się chwilę.

– Na pewno w fazie otwarcia i początkowych kilku ruchach, gdzie jeszcze nie ograniczają nas pola bicia już wystawionych figur. Jeśli wyjdziemy z błędnych przesłanek, otrzymany skażony rezultat.

Nemmersdorf pokiwał z aprobatą.

– Jaki z tego wniosek?

– To już nie nauka, profesorze... To manipulacja.

– A zatem sugerujesz, Gerhardzie, że przeprowadzając eksperyment, wpływamy na jego wynik?

– Sugeruję, że zadający pytanie wpływa na odpowiedź. Nic więcej.

Weszła Erika, odłożyła tacę z imbryczkiem i dwiema szklankami, uśmiechnęła się ciepło do Kellera, stawiając przed nim spodeczek.

– Cukier dla pana fanenjunkra już dodany. No, chyba że zmienił pan upodobania?

– Ja... nie, nie. W żadnym względzie.

– Dokładnie o tym sam chyba mówiłeś, Gerhardzie? – zagaił Nemmersdorf, gdy za panną Scharfe zamknęły się drzwi. – Zadana informacja wprowadzona, która predefiniuje wynik równania?

Keller na chwilę zamilkł, popatrzył na profesora badawczo.

Naukowiec zawsze działał i pracował w rytmie sinusoidy, na zmianę popadając w okresy beczynnej apatii i niemal niszczycielskiej hiperaktywności. Późna wiosna upłynęła mu pod znakiem narzekania i obalania tez kolegów po fachu, ale gdy Gerhardowi przypadkiem wyrwało się w rozmowie, że Erika wraca do miasta, profesor zareagował niemal euforycznie i kazał mu za wszelką cenę sprowadzić ją z powrotem na posadę do Instytutu.

Gerhard specjalnie po to pojechał do Pillau, bo wiedział, że ona nie odbierze listu.

Dotarł na miejsce, po adresie znalazł dom, a potem po prostu zapukał do drzwi – powodując zapewne mały skandal towarzyski, bo wyglądało to tak, jakby absztyfikant zjawił się na progu panienki nie tylko bez zaproszenia, ale nawet zapowiedzi. Po wstępnej awanturze, dwóch trzaśnięciach drzwiami i mediacji starszej pani Scharfe udało mu się w końcu porozmawiać z Eriką.

Ta, dowiedziawszy się, że Nemmersdorf oferuje jej poprzednią posadę, rzuciła sumę tak absurdalną, że nawet jej rodzona matka poczerwieniała ze wstydu.

Gerhard zadzwonił do Instytutu z lokalnego urzędu

pocztowego i zreferował rozmowę. Nemmersdorf od razu przystał na wynagrodzenie, stawiając tylko jeden warunek: panna Scharfe podejmie pracę w ciągu dwóch tygodni.

Keller rozejrzał się teraz po jego gabinecie: minęło raptem kilka dni, a miejsce lśniło czystością. Idealnie uporządkowane stosiki dokumentów, zapisane równiutkim drobnym pismem Nemmersdorfa tablice, ulubiony fotel profesora i nieodłączny stolik ustawione tak, jak lubił, nieco bokiem do zachodniego okna... Wszystko doskonale ułożone. Gotowe.

– Pan profesor pracuje nad czymś nowym – oświeciło go. Profesor uniósł brew, uśmiechnął samym kącikiem ust.

– Nieustannie nad czymś pracuję. Czy „nowym”, to kwestia dyskusyjna, Gerhardzie: wszystkie równania i wyliczenia mają już określony z góry wynik, my możemy tylko do nich dotrzeć. Nic nie jest „nowe”, o ile nie pochodzi spoza układu... A jak tam twój przyjaciel?

– Słucham? – Przeskok z tematu na temat był duży, nawet jak na Nemmersdorfa, więc Keller musiał zastanowić się dobrą chwilę, zanim zrozumiał, do kogo odnosi się profesor. – Ach, Teodor?

– Cóż, chyba tylko o nim tak się wyrażałeś. Podobno już zdążył narobić w mieście niezłego galimatiasu.

– Tak?

– Nawet do mnie doszły wieści, że to prawdziwy amant. Ponoć na pierwszym przyjęciu już tańczył i flirtował z jakąś gwiazdą zza oceanu... Powinieneś pilnować panny Scharfe, Gerhardzie.

– Erika nie jest moją własnością, *Herr Professor* – odpowiedział Keller może nieco ostrzej, niż tego chciał. Nemmersdorf nie zareagował; tylko jego skupione spojrzenie pozwalało domyślać się, że jak zwykle analizuje rzeczywistość. Keller poruszył się w fotelu, odchrząknął. – Proszę wybaczyć, źle to zabrzmiało.

– Nie wszystko w życiu udaje się tak, jak byśmy sobie życzyli. Przygotowałeś mi próbki, o które cię prosiłem?

– Oczywiście. – Keller sięgnął do teczki, wyjął plik papierów i położył na stoliku obok. – Tak jak pan profesor sobie życzył. Zakładam, że może wystąpić pewna powtarzalność, chociażby z racji wykształcenia i środowiska...

Gdy dwa dni wcześniej do Kellera przybiegł zaafektowany kancelista, prosząc go natychmiast do pilnego telefonu, to przed oczami stanęło mu bez mała widmo przełamania frontu na wschodzie albo desantu z morza... Tymczasem gdy przyłożył do ucha lejek głośniczka, z aparatu odezwał się rozgorączkowany głos profesora, proszącego – żądającego wręcz! – by dostarczył mu on zapisane różnymi rodzajami szyfrów jedno i to samo zdanie. Zdanie miał wymyślić on, zaś sposób jego zaszyfrowania dwadzieścia nieznających się nawzajem osób.

Nemmersdorf przejrzał pobieżnie kartki, zatrzymał się nad jedną i drugą, już teraz konotując coś w myślach.

– Powtarzalność, Gerhardzie, jest właśnie podstawą znalezienia reguły. Mając odpowiednio dużą grupę przypadków do przebadania, jesteśmy w stanie wyodrębnić charakterystyczne dla niej zasady i wzorce. Jeśli jest ona

reprezentatywna dla całości zbioru, to wchodzimy na poziom uniwersalny. Wtedy badamy nie efekt pewnego procesu, a same jego prawa... zbliżając się o krok do pracowni Wielkiego Architekta.

– Czyli rozumiem, że będzie pan profesor potrzebować więcej materiału badawczego. Znajomi już i tak uważają mnie za dziwaka...

– Obchodzi cię zdanie znajomych, Gerhardzie? Albo w ogóle czyjekolwiek poza własnym?

– Zawsze przecież... – zaczął Keller, ale Nemmersdorf przerwał mu ruchem ręki.

– Bez białych kłamstw, Gerhardzie. Tutaj zawsze rozmawiamy wyłącznie otwarcie, jak w nauce przystoi.

– Nie – skwitował krótko Keller.

Nemmersdorf uśmiechnął się, odchylił na oparciu fotela.

– Doskonale. Ach, jeszcze jedno: wybierasz się na przyjęcie u Koechlinga dziś wieczorem?

– Słucham? – *Fahnenjunker* po raz kolejny tego dnia spojrzał na Nemmersdorfa, jakby tamten był przybyszem z innej planety. Uczony lekceważąco machnął dłonią.

– Nieważne. Zatem wróćmy do naszych ciągów liczbowych...

– Widział twoją twarz? – Mężczyzna z cerą pooraną bliznami po ospie nachylił się nad siedzącym w krześle kolegą. Byłby go złapał za ramię i potrząsnął, gdyby nie to, że cyrulik właśnie kończył zaszywać paskudną, poszarpaną ranę po kuli. – Widział?!

Ranny syknął, spojrzął na konowalę z dezaprobatą. Wziął szklanekę ze stołu i upił łyk wódki, potrząsnął grzywą płowych włosów.

– Nie widział.

Dziobaty machnął w powietrzu rękami, odszedł dwa kroki, po czym zakręcił się na pięcie i znów doskoczył do krzesła, wsparł rękami o podłokietniki.

– Na pewno? Horst, pomyślże! Jesteś pewien?

– Mówię ci, że nie widział.

– Nu, towarzysze, ja was proszę, na wszelkie świętości zaklinam. – Cyrulik spojrzął na obydwu błagalnie. – My tutaj o grubość palca jesteśmy od tętnicy ramienia! Mnie jeszcze kilka minut potrzeba, zaszyję, bandaż założę, a potem przesłuchujcie się do woli, a?

Nerwowo przechadzający po pokoju mężczyzna podsunął się bokiem do okna, uchylił zasłonę i ukradkiem wyjrzał na ulicę.

– Awramie Jakowlewiczu, długo jeszcze? – warknął opatrywany.

– Aj waj, aj waj... Światło słabe, może gdyby odsłonić...

– Żadnego odsłaniania! – Dziobaty wznosił ręce nad głową. – Przecież tutaj może się roić od gehajmpolicajów! Wystarczy zdradzić się najmniejszym ruchem i od razu... trach!

Ranny blondyn wyrwał cyrulikowi bandaż z ręki, na szybko okręcił zalaną gencjaną ranę, zębami rozerwał końcówkę na dwoje i zawiązał. Popatrzył na pejsatego, ten

pokiwał głową na boki: ujdzie.

– *Geheimpolizei* ma inne rzeczy do roboty niż sterzenie w slumsach i czekanie, aż łaskawie wyjrzysz na ulicę – rzucił blondyn, podnosząc z ziemi zmiętą i pokrzwawioną koszulę. Rozłożył, krytycznie obejrzał przestrzelony rękaw. – Poza tym, gdyby za mną szli, to właśnie by...

Ktoś załomotał do drzwi. Zamarli wszyscy trzej, przerażeni. Postrzelony sięgnął na szafkę, wziął do ręki rewolwer i odwiódł kurek.

– ...pukali. Kto tam?

– To ja, Iwan. Otwórzcie.

Cyrulik trzęsącymi się rękami odsunął zasuwkę, uchylił drzwi. Stojący w progu zwalisty brodacz popchnął je, bezceremonialnie władował się do środka i zatrzasnął zamek za sobą.

Nu, co wy tak... – zaczął, ale urwał, widząc ramię Horsta. – O, *bliadź*.

Ranny pokiwał głową, wciągnął na grzbiet świeżą koszulę i powiedział:

– Mniej więcej tak to można ująć, towarzyszu. Okazuje się, że nie tylko ja wybrałem się dziś nocą po zaległe zamówienia od towarzysza Gablenza... To jest Jermakowa.

– Kontrwywiad? – zapytał rzeczowo Iwan.

– Raczej nie, bo działał sam. Niewykluczone, że to ten nasz agent, którego miał ściągnąć Jermakow... Albo podstawiony na jego miejsce tajniak, to też możliwe. Afanasij, udało ci się coś z tego wyciągnąć?

– Znalazłeś? – ożywił się brodac. Dziobaty popatrzył na leżący na stoliku notes, machnął tylko ręką.

– To bzdury! Jakieś brednie bez składu, losowe słowa. Bełkot czysty, bez grama sensu. Pomyśleć, że prawie się dałeś za to zastrzelić.

– Szyfr – mruknął Horst. – Trzeba to rozgryźć jak najszybciej, bo przecież od dwóch miesięcy kręcimy się w kółko. A co do tego agenta, to był w mundurze oficera. Lepszy ptaszek, z mojej własnej broni prawie mnie załatwił.

– Straciłeś pistolet?! – Afanasijowi najwyraźniej znów puszczały nerwy.

– Tak, straciłem pistolet! – Horst poderwał się, huknął pięścią w stół, aż podskoczyły szklanki. – Co wy jesteście, baby albo dzieci?! Jeszcze mi brakuje, żeby któryś tu zaraz zemdlał lub się popłakał!

Powiódł po nich wzrokiem, potem przeciągnął dłońmi po włosach, zagarniając płową grzywę do tyłu.

– Dobrze – powiedział już nieco spokojniej. – Działyśmy jak poprzednio, bez gwałtownych ruchów. Iwan, sprawdź mi wszystkich nowych, którzy przyjechali do miasta przez... powiedzmy, że miesiąc. Tylko podoficerowie i oficerowie, resztę zignoruj. Afanasij, daj ten notes młodemu Wernbauerowi, on trzymał się z Jermakowem blisko i nadawał meldunki, może zrozumie, o co w tym chodzi. Ach, i znalazłem tam jeszcze coś...

Sięgnął do kieszeni i wyjął skórzaną bransoletkę, na której w równym rytmie cykały dwa identyczne zegarki.

Lato właśnie się zaczynało, sezon towarzyski osiągał swój najwyższy punkt. Krótkie i ciepłe noce przepęniały śmiechy, po wodach Pregoly niosły się dźwięki muzyki, mającej pozwolić chociaż na chwilę zapomnieć o trwającej już trzeci rok wojnie.

Wieczorny raut u radcy miejskiego Markusa Kochlinga zdążył rozkręcić się już w najlepsze, zanim Grossmann dotarł na miejsce. Wpraszenie się na przyjęcia i bale szło mu coraz łatwiej, w miarę jak poznawał nowych ludzi i stopniowo wgryzał się w śmietankę królewieckiej *societe*. Orientował się już, kto jest kim, teraz pozostawało odpowiednio porozstawiać figury na szachownicy miasta i wpleść własne ruchy w jego wielką grę.

Przecisnął się pomiędzy stojącymi na ganku ludźmi, machnął niedbale lokajowi zaproszeniem i wszedł w labirynt kręcących się par, ludzkich pleców i stolików z przystawkami.

– O, zjawił się pan jednak! – przywitał go z uśmiechem i kieliszkiem sam gospodarz. – A już myślałem, że obowiązki nie pozwolą.

– Nie śmiałbym zmarnować takiego zaproszenia. – Grossmann strzelił obcasami i skłonił głowę. – U nas na zachodzie mawiają, że odrzucenie pierwszej propozycji to zakończenie znajomości, zanim się zaczęła.

– Ha, trafne! Niemniej mam nadzieję, że sprowadziło pana tutaj nie tylko poczucie obowiązku...

– Nie tylko, bynajmniej. – Teodor uśmiechnął się znacząco, oglądając za mijającą ich właśnie kobietą w

koronkowej sukni.

– Ależ, niech pan podporucznik smakuje noc powoli! – roześmiał się Koechling.

– Na froncie człowiek zmuszony jest pościć, panie radco. Königsberg natomiast, jak widzę, to prawdziwa uczta.

– Zatem proszę używać do woli, *Herr Leutnant*. Na tych kilka godzin mój dom jest pana domem.

Grossmann skinął głową w geście podziękowania, ruszył dalej w tłum.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że miasto praktycznie co nocy bawiło się tak, jakby jutro miało nie nadejść: był tu nieledwie dwa tygodnie, a zapewne gdyby chciał, każdy wieczór mógłby spędzić na innym przyjęciu lub balu.

Przemysłowcy, szlachta, wyżsi rangą oficerowie, bogaci mieszczanie, właściciele ziemscy – wszyscy oni, niczym w czytanej ongiś opowieści grozy, starali się dźwiękami muzyki i strzelającymi korkami od szampana zagłuszyć dudnienie dział i stukot kół wagonów, wiozących coraz to nowe regimenty na frontową rzeź. Każdy, kto miał szczęście nie być akurat w pierwszej linii okopów, czerpał z życia pełną garścią, wiedząc, że jutro do jego drzwi może zastukać listonosz z wezwaniem do mobilizacji.

– O, widzę, że i pan podporucznik zaszczycił nas swoją obecnością! – w geście powitania kieliszek uniósł kapitan Hoerwig, z którym poznali się jeszcze u grafa von Hantscha. Grossmann zasalutował, strzelił obcasami.

– *Herr Hauptmann!* Przyjemność i zaszczyt jest w całości po mojej stronie.

– No, no, po co od razu tak oficjalnie. Moi państwo, przedstawiam wam nowego gościa w naszym pięknym Königsbergu, prawdziwego bohatera frontu zachodniego: pana podporucznika Grossmanna.

Zgromadzeni w kręgu zamruczeli aprobowując, kilka osób uśmiechnęło się do Teodora, kiwnęło na przywitanie. On zwracał się do wszystkich też ze swym najbardziej czarującym uśmiechem na twarzy: każda zawarta teraz znajomość mogła okazać się nieoceniona w późniejszym czasie.

– To pana pokazywali w gazetach, prawda? – Brzuchacz o wypomadowanych włosach dmuchnął dymem w jego stronę.

– Owszem, podobno kilka dzienników zamieściło zdjęcia.

– Zupełnie pan niepodobny do siebie. – Brzuchacz zdawał się perorować na pokaz przed uczepioną jego ramienia blondynką o zbyt mocno umalowanych ustach. – Mówię państwu, ten cały wizerunek fotograficzny to tylko chwilowa moda, która zapewne przeminie, ani się obejrzymy. Wystarczy przypomnieć sobie to zamieszanie wokół lokomotyw bezogniowych, które rzekomo miały wyprzeć węgiel. I co? I co? I nic, moi państwo!

– Pan podporucznik zapewne walczył na froncie, prawda? – zagadnęła Grossmanna wyraźnie próbująca ukryć swój prawdziwy wiek dama o obfitym biuście. Miał

już na końcu języka ciętą ripostę, ale przełknął gorzką pigułkę i zamiast powiedzieć to, co myśli, przytaknął tylko:

– Tak jest, *madame*. Podobnie jak wszyscy żołnierze, spłacam dług zaciągnięty wobec naszej Ojczyzny-żywicielki.

– Tak bardzo chciałabym zobaczyć front. – Kobieta najwyraźniej nie wiedziała, kiedy przestać. Wnosząc po tym jak jej sąsiad wymownie spojrział na trzymany przez nią kieliszek, nie mógł to być jej pierwszy szampan tego wieczora. Ani piąty. – To musi być niezmiernie ekscytujące: tylu młodych ludzi, z dala od domu, poza nawiasem prawa i moralności, marzących na jawie i we śnie tylko o jednej jedynej rzeczy...

– Buty – rzucił z przeciwnej strony typ z fajką.

– Och... słucham? – Dama wyraźnie zaczerwieniła się, a jej wachlarz zatrzepotał spazmatycznie. – Doprawdy, nie jestem pewna, co pan ma na myśli...

– Buty – powtórzył tamten. – Ludzie w okopach frontowych marzą o butach. Nowych czy starych, to nieważne. Porządnie uszytych butach. Dobrze nawoskowanych. A przede wszystkim suchych butach. Nie tak, panie podporuczniku?

– Trafnie pan to ujął, panie...

Typ przepchnął się między ludźmi, podszedł do Grossmanna i bezceremonialnie jako pierwszy wyciągnął rękę.

– Traut. Henning Traut. Wyroby skórzane, ładownice, kabury, pasy, ale przede wszystkim buty. Jakość za roz-

sądną cenę.

Teodor uściskał podaną dłoń. Korzystając z wygodnego pretekstu, odłączył się od dziwnego towarzystwa i oddryfował nieco na bok, stając za plecami nadmiernie egzaltowanej damy z biustem i jednocześnie mając na widoku większą część sali.

– Jest pan zatem przemysłowcem, panie Traut?

– Była Dziewiąta Armia, Dwudziestu Piąty Rezerwowi. Gdybyśmy wtedy, jeszcze w czternastym roku, mieli porządne buty, to dziś bylibyśmy pod Moskwą. A tak... zresztą, co ja będę panu opowiadał. – Machnął fajką. – Jak się wylizałem z ran, wróciłem do swojej manufaktury i postanowiłem sobie, że przynajmniej tyle jeszcze zrobię dla kolegów z oddziału. I tak potem samo się potoczyło.

Grossmann schował uśmiech w kieliszku wina. Patrząc po złotej dewizce zegarka i bursztynowych spinkach do mankietów, Traut nie był raczej człowiekiem, który miałby zadowalać się jedynie tym, co życie da mu samo i z tak zwanej pańskiej łaski. Ale na głos powiedział:

– Tylko zamówienia dla wojska czy indywidualnie też? Chętnie sprawiłbym sobie nowe buty, szczerze mówiąc.

– Wyłącznie wojsko, panie podporuczniku. Nie da się obsługiwać i jednego, i drugiego tak, żeby obu nie pokpić. Natomiast chętnie podaruję panu parkę...

– Dziękuję, ale prezent to zbyt wiele. Wolę, żeby dostał je ten, komu będą naprawdę potrzebne. Dużo jest tutaj

w ogóle przemysłu produkującego dla wojska?

– Pyta mnie pan prywatnie czy zawodowo?

– Zawodowo, bo interesuje mnie to jako oficera; prywatnie, bo sam lubię broń i interesuję się jej rozwojem. Natomiast tutejsi głównodowodzący wydają mi się... hm, konserwatywni.

– Co pan nie powie! – prychnął Traut. – Nie wyobraża pan sobie, jaka była dyskusja na temat wdrożenia w końcu krótszych trzewików. A kiedy koledzy po fachu zaczęli usuwać zdobione mankiety przy bluzach mundurowych... Ohoho! „Zamach na dumę i godność żołnierza”, wyobraża sobie pan podporucznik? Jakby nikt nie pamiętał już, że przecież w czternastym roku byliśmy ubrani jak banda cyrkowców, a Ruscy do nas strzelali jak do kaczek.

– Dlatego właśnie wolę zapytać kogoś, kto się na tym zna.

– Hm, hm. – Traut odchrząknął, wyraźnie połechtany.
– Wie pan, jest tu kilka ciekawych zakładów, w mieście i okolicach...

– Z wielką chęcią zwiedzę pańską manufakturę. Mówię zupełnie poważnie: zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób to dokładnie powstaje. I jeśli znajdzie pan dla mnie pasującą parę, to z wielką przyjemnością kupię ją po takiej cenie, jaką płaci za nią armia.

Przedsiębiorca zachnął się niemal z teatralną przesadą.

– Absolutnie nie wchodzi to w rachubę! Buty dla bohatera frontu, panie podporuczniku? Przecież to zaszczyt sam w sobie!

– Dobrze. Zatem zezwoli pan, że w ramach rekompensaty pozwolę sobie wskazać kolejnym razem, że to właśnie pańskiego wyrobu buty nie zawiodły mnie w trudnej chwili...

Traut błysnął okiem, ale zdołał stłumić emocje, potrząsnął głową przecząco.

– Nie śmiałbym o to prosić, panie podporuczniku.

– Nalegam. A skoro już tak dobrze się pan orientuje w lokalnym towarzystwie, niech mi pan jeszcze powie: kto tutaj lubi polować?

Przemysłowiec odstąpił o krok, zmierzył Grossmanna zdziwionym wzrokiem.

– No nie chce mi pan podporucznik chyba powiedzieć, że on też... – Sapnął, rozciągnął twarz w uśmiechu.

– Nałogowo. Widzę, panie Traut, że znajdziemy niejeden wspólny temat. Proszę dać mi znać, kiedy moglibyśmy obejrzeć pana zakład. Zapiszę tylko panu, jak się ze mną skontaktować.

Wyciągnął pióro, na szybko skreślił kilka słów. Traut chuchnął na inkaust, schował kartonik do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– No, panie Grossmann! Pokażę panu, co naprawdę jest do zobaczenia w Königsbergu!

– Dziękuję. Chociaż powiem panu, że częściowo sam już widzę...

Zostawił Trauta, który zapewne zachodził w głowę: jak to ludzie mogą się tak przypadkiem spotkać w tłumie i dogadać? Prawda była taka, że wytwórca butów międlił w

zębach fajkę o główce rzeźbionej w poroża z wpisanymi krzyżami, najbardziej chyba typowymi symbolami świętego Huberta, patrona myśliwych właśnie. Co do samych polowań natomiast, Grossmann zauważył po prostu szansę, którą należało wykorzystać. Nie interesowały go one w najmniejszym stopniu – no, chyba że szło o naprawdę szlachetną zwierzynę, taką jak...

– *Miss Zoransky*.

– Ależ to pan *Oberleutnant* Grossmann! – Karmazyn warg, biel uśmiechu, pożoga włosów i dwie gwiazdy błyszczących oczu w głębokiej czerni makijażu. – Widzę, że to miasto nie istnieje bez pana.

Musnął ustami podaną dłoń, skłonił się szarmancko.

– *Enchante*, po raz kolejny. Nie wiem jednak, czym zasłużyłem sobie w pani oczach na awans?

– Och, czyżbym coś pokręciła? Pan wybaczy, te wszystkie stopnie, epolety, pagony, krzyże z przeróżnych metali...

– *Leutnant*, za pani pozwoleniem, na przyszłość. Nie zdążyłem jeszcze nacieszyć się stopniem, szkoda byłoby go od razu zmieniać.

Panna Jennifer spojrzała na niego spod zasłon rzęs, ledwie dotykając ustami musującego w wysokim kieliszku płynu.

– Doprawdy?

– Nie – przyznał z rozbijającą szczerością.

– A zatem nawet i rycerz bez skazy da się skusić odrobili.) blichtru! – Przytuliła się do ramienia Gross-

manna tak, że aż poczuł jej ciepło przez sukno munduru. – Cieszę się, że znalazłam w panu bratnią duszę.

– Tak szybko wnioskuje pani o ludziach. *Miss Jennifer?*

– Powiem panu, że... – zaczęła, ale urwała. – Ze gorąco tutaj. Przespacerujmy się.

– Naturalnie.

Przeszli przez salon, zostawili po lewej odpoczywających muzyków i strojącego właśnie fortepian solistę, a potem podwójne drzwi wyprowadziły ich na ogrody. Było tu nie tylko zdecydowanie chłodniej, ale i ciemniej – jedynie okna i kilka zewnętrznych lamp rzucały długie cienie, kładące się ciemnymi pasmami na przystrzyżonej równo trawie i powycinanych w fantazyjne kształty żywopłotach. *Miss Jennifer* naciągnęła na szyję przerzuczonego wcześniej przez ramię lisa, wyjęła z torebki nieodłączną firkę z wąskim, długim papierosem.

– No proszę, a jednak prawdziwy dżentelmen – mruknęła, gdy Grossmann błyskawicznie pstryknął zapalniczką.

– Spodziewała się pani kogoś innego? Gbura i prostaka?

Spojrzała na niego rozbawiona, wydmuchnęła strużkę dymu prosto w twarz.

– Nie, ale jest pan... inny. Inny niż wszyscy tutaj.

– Jesteśmy w Prusach, a ja urodziłem się w Magdeburgu. To chyba sporo tłumaczy.

– Nie. – Pokręciła głową. – Byłam w Berlinie, niech

pan nie zapomina. Napatrzyłam się na tamtejszych. Śpiewałam dla Hindenburga i von Ludendorffa na linii Zygryda, widziałam i poznałam ich wszystkich. A pan jest... tak bardzo, wręcz uroczo nieniemiecki. W tym dobrym słowa znaczeniu, podporuczniku, więc proszę się nie obrażać.

– Czyli jednak szybko wnioskuje pani o ludziach. Szczególnie jak na kogoś, kto większą część życia spędził za granicą.

– Widzi pan? Dokładnie o tym mówię, podporuczniku. Większość tutejszych nie pojęłaby znaczenia słowa „uszczypliwość”, nawet gdyby wyskoczyło ze słownika i wydrapało im oczy. Nie mówiąc już o drobnym sarkazmie czy kalamburze... Poza tym dla mnie jest to raczej przewaga niż wada; patrzę na to wszystko z boku, moja percepcja nie jest niczym skażona.

– Sugeruje pani, że my, Niemcy, jesteśmy czymś skażeni?

Stała, odwróciła się do niego gwałtownie, tknęła palcem w pierś.

– Proszę nie próbować mnie tu paternizować, podporuczniku Grossmann. Jestem Niemką tak samo jak pan i wypraszam sobie takie aluzje. Pan trzyma swoją gardę wysoko, zasłaniając się honorem oficera i dumą narodową, ale od czasu do czasu wygląda spod tej maski... ktoś inny.

I tego kogoś chciałabym poznać.

Stali tak chwilę, a potem ona położyła mu dłoń na piersi, delikatnie przesunęła w dół i wbiła palce w materiał

munduru. Spojrzała prosto w oczy, zalotnie przekrzywiając głowę... Nachylił się, chcąc ją pocałować, ale ona tylko wywinęła się jak fryga i śmiejąc, umknęła w bok. Wskoczyła zwinnym ruchem na schody i wpadła pomiędzy ludzi, zniknęła w zalanych światłem salach bankietowych.

Grossmann pokręcił głową, patrząc jej w ślad. Kto powiedział, że poważnego, surowego zadania nie można było okraszyć odrobiną słodkiego lukru?

ROZDZIAŁ VI

Horst zapukał do pracowni zegarmistrza. Odczekał chwilę, zastukał jeszcze raz.

– Zamknięte już! – rozległo się ze środka.

– To ja, Horst. Wpuść mnie, jest sprawa.

Szczęknięta zasuwka, drzwi uchyliły się. Młody Wernbauer zmrużył swoje oczy krótkowidza, poznał koleżkę.

– Ach, to wy, towarzyszu... Wchodźcie, mistrz już poszedł.

Wnętrze zakładu było ciemne i ciasne, ledwo mieścili się w środku we dwóch. Wernbauer przesunął się za kon-tuar, wyjrzał za okno i zasunął kotarę.

– I co? – zagadnął Horst. Młody czeladnik skrzywił się, pokręcił głową.

– Nie za dużo, towarzyszu. Udało mi się odcyfrować część zapisków, ale jakoś od połowy coś się zmienia w szyfrze i nie potrafię tego w ogóle ugryźć. Im dalej, tym bardziej skomplikowane, ostatnie wpisy są robione każdy innym kodem.

– Pokaż.

Horst przejrzał podane mu kartki. Skrzywił się, widząc, jak tekst stopniowo ustępuje miejsca nieczytelnym ciągom liter i cyfr. Wpatrzył się w urwane zdanie odszyfrowanego zapisu.

– Co to, tutaj? – Pokazał palcem. Wernbauer nachylił się nad kartką, przysunął do ćmiącej przy stoliku żaróweczki.

– Trudno powiedzieć. „Wielików dar Boży” albo „wielkie w darze Bożym”. – Szyfrant wzruszył ramionami.

Horst zamyślił się. Na spisanej przez Iwana liście przybywających do Königsberga oficerów było raptem kilku, który zwrócili jego uwagę.

– „Dar Boży”... Czyli Bożydar, a po grecku Teodor. A to jest napisane razem, więc ma być „Wielików”. Jeśli przeczytać to bez znaków specjalnych, to wyjdzie nam...

– Wielików – pokiwał Wernbauer. – Myślicie, towarzyszu, że jeśli przełożyć to na niemiecki, to wyjdzie...

– Panowie pozwolą, że przedstawię: pan podporucznik Grossmann, znawca dobrej zwierzyny i bohater frontowy.

Teodor strzelił obcasami, ale pokręcił jednocześnie głową z rozbawioną dezaprobatą.

– Ależ proszę nie zaprzeczać! *Herr Leutnant*: moi dobrzy znajomi, powiem wręcz, przyjaciele!

Kiedy Traut dokonał prezentacji, stojący półkolem, ubrani w absurdalne stroje myśliwi też po kolei przedstawili się Grossmannowi. Ten w zasadzie puszczał ich nazwiska i bombastyczne tytuły mimo uszu. Interesował go I tutaj jeden człowiek, a nie był nim nawet sam gospodarz.

– Arthur Heilenstein – przedstawił się średniej budowy szpakowaty brunet. – Więc to o panu tyle słyszałem.

Grossmann uniósł brwi, jednocześnie konotując sobie w myślach, że Traut musi być potworną paplą.

– Doprawdy? – Uśmiechnął się. – Nie wiem, co można by o mnie takiego powiedzieć.

Heilenstein machnął ręką.

– Proszę, bez fałszywej skromności. Nawet do mnie, również przyjeźdnego, zdążyły dotrzeć słuchy o męstwie pana podporucznika. Ta akcja, o której pisały gazety...

– Nie mówmy o tym – uciał Grossmann.

Jego rozmówca na chwilę się speszył, ale zaraz odzyskał rezon.

– Oczywiście, jak tylko pan chce. Cóż zatem sprowadza pana tutaj?

Grossmann popatrzył na mężczyznę uważnie, powiedział:

– Dokładnie to, co pana.

Heilenstein drgnął. Właśnie takiej reakcji Teodor się po nim spodziewał: zaskoczenia, niedowierzania, odrobiny nerwów. Jak to u człowieka, który nie mówi wszystkiego.

Podporucznik zwrócił na niego uwagę kilkanaście dni wcześniej, na jednym z szeregu niezliczonych przyjęć królewskiego establishmentu przemysłowego. Arthur Heilenstein kręcił się od jednej grupki do drugiej, zagadywał, wyraźnie zarzucał przynętę i... czekał. Nawet pobieżne rozpytanie pośród coraz to szerszego kręgu znajomych potwierdziło odczucia Grossmanna: przybyły aż spod śląskiego Troppau przemysłowiec czegoś szukał.

A wkrótce okazało się, że ma być także na polowaniu organizowanym przez Trauta dla całej śmietanki lokalnej zbrojeniówki. Okazji po prostu nie można było przegapić,

więc Teodor czym prędzej przypomniał się niedawno poznanemu wyznawcy świętego Huberta, zaopatrzył w strój oraz flintę i zdecydował poświęcić cały dzień na sprawdzenie tego tropu.

Heilenstein zawahał się, ale potem uśmiechnął. Będzie kłamać, bezbłędnie odczytał mimikę Grossmann.

– Też szuka pan kontaktów biznesowych? – Przemysławiec pokręcił głową. – Coś gęsto się tutaj zaczyna robić w takim razie, może obydwaj źle trafiliśmy.

– Nie sądzę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Heilenstein odpuścił jako pierwszy, poprawił kapelusik.

– Jest pan podporucznik niepokojąco tajemniczy. Cóż, zatem darz bór!

– Darz bór... – powtórzył jak echo Grossmann, ładując nabój do sztucera. Heilenstein odszedł kawałek, obejrzał się; Teodor wciąż uporczywie wpatrywał mu się w plecy.

Ruszyli w las, skradając się każdy jak umiał najlepiej. Większość z uczestników hałasowała tak, że chyba tylko głuchy, śpiący niedźwiedź by ich nie usłyszał. Było jednak też kilku zawodowców, którzy szybko odsadzili większą część grupy, wysforowując się naprzód w poszukiwaniu jak najlepszej zdobyczy.

Grossmann trzymał się za nimi. Dokładniej: trzymał się Heilensteina.

Wydawało się mocno wątpliwe, żeby tamten nie miał w Königsbergu nic konkretnego do zrobienia. Równie mało prawdopodobne było, żeby szukał tutaj, tak daleko od

domu, możliwości dobitcia z kimkolwiek targu. Tym bardziej że z większością liczących się graczy już się spotkał... Czego zatem mógł chcieć?

Podporucznik był przekonany, że może znać odpowiedź.

Heilenstein z każdym krokiem, niezauważenie, ale konsekwentnie, odchodził w bok, prac w gęsty, ciemny starodrzew. Kiedy w końcu idący przez las bezszelestnie niczym duch przemysłowiec zniknął w gęstwinie zarośli, Grossmann odetchnął głęboko. Teraz zaczynało się prawdziwe polowanie.

Wiedział, że musi się wystawić. Tłamsząc instynkt samozachowawczy, wyprostował się na cały swój wzrost i niedbale zarzucił karabin na ramię. Jeśli Heilenstein zniknął o, tam, to zapewne przekradnie się w bok, aby mieć go na oku z tamtych krzaków... I nawet tamto zwalone, omszałe drzewo nadawałoby się idealnie, aby położyć na nim karabin.

Ruszył szybkim krokiem przez pokryty plamami światła las, niemalże czując, jak jeżą mu się włosy na karku. Wyobrażał sobie, jak leżący w wysokiej trawie przeciwnik wprowadza nabój do komory sztucera, składa się do strzału, poprawia, spasowuje muszkę i szczerbinę na jego sylwetce. Oddech, drugi, trzeci. Palec wskazujący zaczyna delikatnie ściągać spust... i...

Błysk ognia mignął i zgasł, a liście zafalowały, szarpnięte gwałtownym podmuchem. Grossmann rzucił się na ziemię dosłownie o ułamek sekundy za późno.

Arthur Heilenstein pędził przez las, jakby go sam diabeł gonił. Zgubił już gdzieś po drodze kapelusik z piórkiem, a teraz walczył sam ze sobą, żeby nie rzucić w krzaki dymiącego sztucera.

Do jasnej cholery! Akurat teraz, kiedy był już tak blisko, musiał się napatoczyć ten tajniak! Łażący za nim krok w krok idiota, goguś pod srebrzonymi naramiennikami, wciskający się na wszystkie przyjęcia zbrojeniówki debil!

Wypadł na przecinkę, rozejrzał w lewo i prawo, popędził najkrótszą drogą w kierunku polany przed domkiem myśliwskim Trauta.

Spanikował! Najzwyczajniej w świecie spanikował, dał plamę, zrobił coś zupełnie idiotycznego. Strzelił do człowieka!

Przypuszczał, że prędzej czy później jego niezdrowe zainteresowanie pewnym bardzo specyficznym obszarem zbrojeniówki spowoduje reakcję niemieckiego wywiadu... Ale aż tak bezczelną?

I że on zareaguje tak głupio?!

Wyleciał spomiędzy zarośli, doskoczył do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Odpalaj! – zakrzyknął na drzemiącego z przodu kierowcę, który teraz podskoczył na fotelu. – Odpalaj i jedziemy do miasta, ale to już!

Pozostali szoferzy patrzyli ze zdziwieniem, jak ich kolega po fachu w pośpiechu kręci korbą, uruchamiając silnik, a potem skrzypiąc resorami wozu, wykręca na nie-

równej łące i pędzi w kierunku drogi na Königsberg.

Potężny rogacz z łbem podpartym na pniaku patrzył nieruchomymi, szklanymi oczyma prosto w migawkę aparatu. Szczycący się tytułem króla polowania Edmund Hoecke stał nad nim w dumnej pozie zwycięzcy, prezentując potomnym trofeum i broń, która położyła tak wspinały okaz. Ustawieni rządkiem z tyłu mniej szczęśliwi koledzy starali się robić dobrą minę do złej gry.

– I uwaga... już! – Fotograf błysnął magnezją, kłęb dymu wzniósł się w niebo.

Traut zerknął na zegarek kieszonkowy: od zakończenia polowania minęło już dobre pół godziny. Popatrzył pytająco na Beckmanna.

– No dobrze, ale... gdzie panowie Heilenstein i Grossmann? Przecież nie będzie ich na fotografii!

Myśliwi zaszemrali, spoglądając jeden na drugiego. Rzeczywiście, wyglądało na to, że obaj goście po prostu zniknęli – od sygnału rozpoczynającego polowanie nikt ich nie widział.

– Heilenstein odjechał – w końcu powiedział któryś, po tym, jak usłużny szofer szepnął mu coś na ucho.

– A co z Grossmannem?

Ciemny las szumiał tajemniczo i wyniośle.

Ciemnobordowy automobil przemknął uliczką, hucząc po bruku kołami i wznosząc za sobą tuman kurzu. Jakiś dziadek pogroził pięścią piratowi drogowemu, stojące w bramie dwie jejmoście w kwiecie wieku przeżegnały się zabobonnie: statki parowe na kanale były tu może co-

dziennością, ale żeby człowiek miał się poruszać z aż taką prędkością? Obrza boża...

– Ciekawe, dokąd tak pędzi? – zastanowiła się Erika, siedząca tyłem do ściany, a więc mająca przez wypucowaną witrynę kawiarni doskonały widok na całą Steindammrechtstrasse.

Keller odwrócił się od szyby, uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Może spieszy się do swojej ukochanej – wyraził przypuszczenie; – Albo wiezie niezwyklej wagi depeszę do rąk samego generała von Pappritz, który uzbrojony w nowo pozyskaną wiedzę poprowadzi nasze regimenty...

Dziewczyna parsknęła dźwięcznym śmiechem, pokręciła głową.

– Generał von Pappritz? Pan fanenjunker raczy żartować.

– Chyba tak – zgodził się Gerhard.

Dzień był przepiękny, życie było przepiękne. Profesor musiał udać się w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie do swojego kolegi na drugi koniec miasta, więc zostawił ich w pracowni z listą zadań do wykonania. A jako że nic nie pomaga w dobrej pracy umysłu tak, jak świeże powietrze i ruch, to zdecydowali, że muszą się do zleconych im prac odpowiednio przygotować i pokrzepić – najlepiej dobrą, powoli paloną kawą od Weisskopfa na rogu.

Siedzieli tak we dwoje, sączyli aromatyczny napar i dłubali srebrzonymi widelczykami w deserach na talerzykach, rozmawiali zupełnie o niczym. Coraz częściej, coraz

bardziej wymownie patrząc sobie w oczy. Na zewnątrz płynęło życie, przejeżdżały zaprzęgi konne i przechodzili ludzie, przekupnie zachwalali swoje towary, czasami przemaszerował jakiś regiment kadetów w świeżo wyprasowanych mundurkach – a oni po prostu trwali, zawieszani w bąblu własnego szczęścia.

– Będziemy musieli zaraz iść – zdecydowała w końcu panna Scharfe. – Pan profesor przywykł do tego, że otaczają go ludzie mniej pracowici od niego. O ile jednak może jakoś przeżyć, że nie zrobiliśmy nic, to wpadnie we wściekłość, jeśli odkryje, że nawet nie mieliśmy zamiaru.

Fanenjunker westchnął, sięgnął po portfel.

– Niestety, masz rację. Ze też muszę dzielić się tobą z tyloma innymi ludźmi...

– A co, chciałbyś mieć mnie tylko dla siebie?

Spojrzała na niego zadziornie, a Kellera aż coś ścisnęło za gardło. Miał tak straszną ochotę teraz, właśnie w tej chwili powiedzieć jej wszystko, co czuł i co myślał! Dziewczyna jakby zobaczyła to w jego oczach, bo dodała szybko:

– Pan profesor nie byłby zadowolony, że podbierasz mu tanią siłę roboczą. Zresztą nie jestem w twoim życiu jedyna.

Keller zamrugął, autentycznie zdziwiony.

– Jest przecież ten twój kolega... Grossmann. Ściągnąłeś go do miasta, podobnie jak mnie, a teraz zostawiłeś na pastwę losu. Nieładnie, panie fanenjunker, tak porzucić przyjaciela. Gdzie pański honor?

– Teodor jest dorosły. – Gerhard machnął ręką. – Bywał na froncie, widział takie rzeczy, że... Da sobie radę.

Zapłacił, dopili kawę. Erika wzięła go pod rękę, wyszli razem z kawiarni na nagrzaną słońcem miejski bruk.

– Mhm... – Kiwnęła w zadumie. – Ale mimo wszystko uważam, że powinieneś go trochę... dopieścić. A co, jeśli jest ranny i właśnie się gdzieś wykrwawia? A ty trwonisz tu czas ze mną? Ja mogę poczekać.

– Na dopieszczenie? – nie mógł sobie odpuścić tej uwagi.

Spojrzała na niego z ukosa spod gęstych rzęs. I uśmiechnęła samym kącikiem ust.

– Panie konsulu, interesant do pana.

Mannfried von Hohenfurst podskoczył w swoim fotelu, wymamrotał coś nieskładnego i machnął dłonią w geście, który z założenia miał być przyzwoleniem.

Śniło mu się właśnie, że jechał na swoim bicyle z górki w ogrodzie stryja i nie mógł się zatrzymać. Dwukołowa machina pędziła coraz szybciej, a on nie miał zupełnie kontroli nad tym, co się dzieje, więc w końcu przechylał się na bok i spadał, spadał, spadał... I w tym właśnie momencie weszła panna Arner, budząc go.

Siorbnął z filiżanki zimnej herbaty, przetarł oczy. Miał tylko nadzieję, że nie było po nim widać, jak bardzo nie potrafi zebrać myśli do kupy.

– Witam, panie... – Zaczął wstawać, ale drzwi dosłownie odskoczyły na boki, gdy do jego gabinetu wpadł lekko szpakowaty brunet w myśliwskim ubraniu.

– Azyl! Azyl, proszę o azyl...! – wysapał przybyły, po czym złapał się rękoma kamiennego blatu, jak gdyby ten był ostatnią deską jeszcze utrzymującą go na wzburzonym oceanie po katastrofie transatlantyku.

Konsul von Hohenfurst zerknął ponad ramieniem mężczyzny na stojącą w wejściu asystentkę, ale ta tylko rozłożyła ręce: najwyraźniej sama nie wiedziała wiele więcej. On też nie do końca radził sobie z odbiorem rzeczywistości, więc postanowił, że zagra na czas.

– Zaczniemy od początku, jeśli pan pozwoli, panie...?

– Heilenstein...! Arthur Heilenstein...

– ...panie Heilenstein. Napije się pan herbaty, kawy czy może czegoś mocniejszego?

Gość kiwnął, nie mogąc wydusić z siebie nawet pół słowa więcej. Mannfried pokazał gestem panie Arner, żeby przyniosła coś adekwatnego do poziomu wzburzenia jego gościa, po czym usiadł i popatrzył uważnie na cokolwiek niecodziennie ubranego przybysza.

– Zatem, panie Heilenstein, pragnie pan, abyśmy udzielili panu azylu. Czy jest pan obywatelem państwa trzeciego, nieznajdującego się z Monarchią w stanie wojny, a pańskie działania przeszłe ani obecne nie stanowią dla ładu cesarsko-królewskiego bezpośredniego zagrożenia?

– Jestem... – wysapał tamten – obywatelem... Austro-Węgier...

Konsul rozłożył ręce gestem bezradności.

– A więc niestety nie możemy udzielić panu azylu. Bardzo mi przykro. Czy mogę panu pomóc w czymś in-

nym?

Heilenstein wytrzeszczył oczy, chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zakrztusił się i rozkasłał, aż spąsowiał. Von Hohenfurst poczekał spokojnie, aż jego gość się uspokoi, podziękował skinieniem głowy asystentce, która wniosła i zostawiła srebrną tacę. Nalał do dwóch szklanek po odrobinie trunku z karafki, ujął jedną w rękę i upił niewielki łyk.

– Rozumie pan, nie możemy udzielić azylu naszemu własnemu obywatelowi – wyjaśnił. – To jest, o ile faktycznie jest pan obywatelem Austro-Węgier. Ma pan przy sobie dokumenty, prawda?

Jego gość pokręcił głową, ale poklepał się odruchowo po wewnętrznych kieszeniach myśliwskiej bluzy.

– Tak właśnie myślałem, mało kto bierze paszport na polowanie...

– Urodziłem się w Bennisch, mieszkam w Troppau – wycharczał Heilenstein. – Mam tam zakład metalurgiczny, sprawdźcie! Moje dokumenty są w hotelu „Deutsches Haus”, pod numerem dwadzieścia osiem...!

Konsul westchnął, zapisał adres w notatniku.

– Panie Heilenstein, proszę się uspokoić. Jeśli ma pan powody do obaw, a widzę, że tak, to naturalnie nasz konsulat może zapewnić panu tymczasowe schronienie. Oczywiście zweryfikujemy pańską tożsamość, a do tego czasu... Tak, panno Arner?

Asystentka wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

– Panie konsulu, jeszcze jeden petent do pana.

– Dobrze, zaraz! Widzi pani przecież, że rozmawiam...
Więc, panie Heilenstein, pomożemy panu. Ale proszę mi
powiedzieć, co takiego się stało?

– Zabiłem człowieka.

Hohenfurst wciągnął gwałtownie powietrze, wychylił
duszką resztkę trunku. Sprawa była poważniejsza, niż
mu się początkowo zdawało.

– Panie Heilenstein – zaczął ostrożnie – rozumie pan
zapewne, że natura sprawy, o której pan mówi, jest nie
tylko delikatna, ale też, najogólniej rzecz ujmując, gar-
dłowa...

Szpiega... albo agenta! – wyrzucił z siebie Heilenstein.

Konsul bez słowa dolał sobie z karafki, wypił. Robiło
się naprawdę ciekawie. Zastanowił się chwilę, po czym
rzucił ofertę:

– Udzielimy panu azylu, nie wydamy lokalnym wła-
dzom. Ale musi mi pan powiedzieć, co dokładnie się stało!

– Byliśmy... na polowaniu. – Heilenstein sięgnął po
szklanekę, ale nie był w stanie utrzymać jej w palcach. – On
rozpytywał, wiem, że też się interesował... Szukał. Intere-
sowała go broń.

– „Też”?

– Tak. I szedł za mną, więc ja...

– Panno Arner, mówiłem, że potem! – zakrzyknął
konsul, widząc ruszającą się kłamkę u drzwi. – Nie rozu-
mie pani, że... O, przepraszam najmocniej.

– To ja przepraszam pana konsula.

Heilenstein wzdrygnął się, słysząc ten głos. Bał się

odwrócić na krzesło, bo wiedział, że w drzwiach stoi Grossmann.

– Przepraszam, że tak bez zapowiedzi. – Oficer uśmiechnął się. – Czy mogę zająć panu konsulowi trochę jego cennego czasu?

– Panie podporuczniku, jak pan zapewne widzi, mam w tej chwili interesanta. Proszę poczekać...

– Panie konsulu, dosłownie chwilę.

Heilenstein siedział jak słup soli. Von Hohenfurst powiedział coś przepaszającego i wyszedł do Grossmanna, nie skrywając niezadowolenia. Arthur został sam, ze szklanką w ręku i kłębiącym się huraganem myśli w głowie. Gdy kroki obydwu mężczyzn oddaliły się, a potem szczęknęły za nimi drzwi do sąsiedniego gabinetu, Arthur po prostu poderwał się i wybiegł z pomieszczenia. Przeleciał obok zdumionej sekretarki i wypadł na zewnątrz, zbiegł po schodach i wyskoczył przez furtkę.

Stojący na piętrze Grossmann uchylił firankę, patrząc na wsiadającego do samochodu przemysłowca.

– Chyba przeszkodziłem panu konsulowi w spotkaniu.

Von Hohenfurst wyjrzał na ulicę, sapnął.

– Co...? Ale przecież dopiero co sam do mnie wpadł! I to jeszcze mówiąc, że... – Zreflektował się, umilkł. Przypomniawszy sobie, jak twarz Heilensteina drgnęła, gdy usłyszał głos podporucznika. – Co się panu stało w kark?

Grossmann dotknął opatrunku, schowanego pod kołnierzykiem munduru.

– Zaciąłem się przy goleniu, błażostka. Przepraszam

raz jeszcze, że wpadłem tak bez zapowiedzi. Co też pan konsul musi sobie teraz o mnie myśleć!

– Nie, nie, w porządku, ja... – Von Hohenfurst nagle poczuł się jak w czasach szkolnych, gdy kilku kolegów zmawiało się, żeby zrobić mu niewybredny żart. – O czym chciał pan ze mną mówić?

– Nie mam czelności zawracać panu teraz głowy, panie konsulu. Raz jeszcze proszę pokornie o wybaczenie!

– Nie, nie ma o czym mówić...

Grossmann strzelił obcasami, skłonił się i wyszedł, zostawiając von Hohenfursta samego w południowej bawialni. Jego kroki zadudniły na schodach, potem skrzypnęły drzwi wyjściowe. Po chwili widać go było, jak zmierza pomiędzy dwoma pięknie utrzymanymi klombami do furtki, skręca na ulicy w lewo i znika za rogiem sąsiedniej kamienicy.

Von Hohenfurst pokręcił głową, uderzył ręką o rękę.

O co w tym wszystkim chodziło...?

– Panno Arner! – wrzasnął tak, że aż zadzwoniły szyby. Asystentka nieśmiało uchyliła drzwi. – Panno Arner, proszę mi sprawdzić, kto urządzał dziś polowanie! I to na jednej nodze!

– Polowanie? Na jednej...?

Spojrzał na nierozgarniętą sekretarkę takim wzrokiem, ta umilkła w jednej chwili i zniknęła jak zdmuchnięta.

Coś było na rzeczy. Grossmann, ten cały Heilenstein... Przypomniał sobie przyjęcie, na którym po raz pierwszy spotkał się z podporucznikiem. Kto ich sobie przedstawił?

Chyba nikt, jakoś tak samo wyszło, że zaczęli rozmawiać.

I teraz ten człowiek wpada tutaj chwilę po tym, jak spanikowany przemysłowiec, przybyły do Königsberga też nie wiadomo po co, chce się przyznać do morderstwa...

Konsul Mannfried von Hohenfurst przeszedł zwawym krokiem do swojego gabinetu, wyciągnął z szuflady teczkę i zaczął wypisywać adresy, na które wyśle depesze z zapytaniami.

Dojdzie do sedna tej sprawy. Nie od razu, nie dziś, ale dojdzie.

Grossmann wrócił na swoją kwaterę, po drodze zamienił kilka słów ze strażnikiem w wartowni i zajrzał do sekretariatu, gdzie czekały na niego dokumenty kwaternkowe do podpisu. W końcu wdrapał się na piętro, zamknął za sobą drzwi – i niemal osunął na podłogę.

Zwichnięta kostka odezwała się bólem jeszcze wtedy, gdy biegł przez las, próbując nadrobić cenne minuty, gdy leżał bez świadomości po – prawie – celnym strzale Heilensteina. Cały kark pulsował i palił bólem, bo kuła boleśnie musnęła ścięgna, zrywając wąski i długi płat skóry po lewej stronie szyi.

Rozpiął koszulę i syknął, odklejając od rany opatrunek. Paskudnie to wyglądało, ale i tak miał dużo szczęścia – trochę w bok i tamten byłby mu przestrzelił tętnicę. Strój myśliwski nadawał się chyba tylko do wyrzucenia, całe lewe ramię i fragment pod szyją zalane krwią... Całe szczęście, że nie pojechał tylko z jednym kompletem ubrania – w sakwach motocykla miał nie tylko mundur, ale

też cywilne ubranie i wyjałowione kompresy. Ot tak, na wszelki wypadek.

I ten „wszelki wypadek” nastąpił.

Gdy doszedł do siebie po postrzale, nie miał nawet czasu pomyśleć o bólu – po prostu zerwał się i pobiegł, mając nadzieję, że dogoni idiotę Heilensteina, nim ten zrobi coś naprawdę katastrofalnego w skutkach. Na całe szczęście gdy Teodor dopadł do swego pojazdu, ślad jadącego automobilem Heilensteina był jeszcze świeży. Potem była tylko chwila nerwowej szamotaniny ze zmianą ubrania, gdy niedoszły zamachowiec już wpadł do konsulatu... Kilka głębszych oddechów dla uspokojenia się, maska spokoju na twarz – i skok głową naprzód w nieznaną sytuację.

Zrządzeniem opatrzości Heilenstein nie zdążył powiedzieć dyplomacie nic istotnego. Gdyby stało się inaczej... No cóż, Teodor brał pod uwagę i taką ewentualność, a pistolet ciążył w kaburze podczas rozmowy. Skończyło się na nerwach. Oraz, oczywiście, postrzale w szyję i chyba ponownie zwichniętej kostce.

Mogło być gorzej.

Z niemałym strachem ściągnął but i obmacał nogę, ale kontuzja się nie odnowiła. Chociaż tyle dobrego... Przemył ranę, zmienił opatrunek. W końcu obejrzał dokładnie, czy przesączająca się przez opatrunek krew nie poplamiała kołnierzyka koszuli. To była jego ostatnia.

Musiał być gotowy na wieczór. Postrzał swoją drogą, a obowiązki nie będą czekać... Jeszcze teraz pozostawała

kwestia wyjaśnienia i zdecydowania – co dalej z Heilensteinem?

Zagryzł zęby i naciągnął but z powrotem. Zapiął koszulę, poprawił włosy przed lustrem i próbując nie zważać na pulsującą bólem kostkę, żwawym krokiem wyszedł z kwatery.

Miss Jennifer Zoransky otworzyła oczy w swoim ogromnym łóżku na najwyższym piętrze „Hotel de Prusse”. Wyciągnęła ręce wysoko nad głowę, przeciągając się niczym wyspana kotka, po czym zachichotała i skopała kołdrę na podłogę. Poleżała chwilę bez ruchu na skołtunionym prześcieradle, czując, jak parne gorąco snu ulatnia się z jej ciała i głowy.

Zerknęła na stojący na szafce zegarek: dochodziła już czwarta. Czwarta po południu, żeby nie było wątpliwości! Jej matka zawsze powtarzała, że długi sen to przywilej i obowiązek damy, która musi wyglądać adekwatnie do swej pozycji w społeczeństwie.

Jennifer zsunęła nogi na podłogę, odgarnęła z czoła niesforny kosmyk rudych włosów. Zdecydowanym ruchem wstała i podeszła do okna, rozsunęła ciężkie kotary, wpuszczając do pokoju kaskadę światła. Piękne, czerwcowe słońce płynęło wysoko ponad dachami Königsberga. Złapała za klamki i otworzyła oba skrzydła na pełną szerokość, pozwalając, żeby otulił ją gwar i aromat miasta.

Stała tak chwilę, wdychając powietrze pełną piersią. Dopiero potem uświadomiła sobie, że gapią się na nią chyba wszyscy kominiarze, dekarze i gołębiarze miasta, a

ona ma na sobie wyłącznie bransoletki i łańcuszek na kostce. Zaśmiała się na głos, odwróciła na pięcie i pozwoliła ciału polecieć bezwładnie w przód, niczym kłodzie drewna.

Wyćwiczone mięśnie rąk zamortyzowały i przyjęły upadek, tak że jej kształtny nosek zatrzymał się dosłownie dwa centymetry ponad włoskami grubego, puszystego dywanu. Podskoczyła, przechodząc z rozczapierzonych palców na kostki dłoni, a potem zaczęła ćwiczyć: miarowo, szybko, na wdech-wydech, utrzymując idealnie wyrzeźbione ciało w linii prostej i licząc w myślach. Piętnaście, szesnaście, siedemnaście... Dwadzieścia, dość!

Przekręciła się na brzuch, wsunęła stópki pod łóżko i zaatakowała serię brzuszków, szybkich i gwałtownych. Potem chwila przerwy w leżeniu na wznak, żeby nie ściągnąć mięśni podbrzusza... I jeszcze raz. I rozciąganie, potem pajacyki, wymachy nogami, znów chwila przerwy. Kilkadziesiąt sekund forsownego biegu w miejscu z kolanami wysoko, następnie skłony, aż czoło dotknie do kolan, kilka pozycji rozluźniających i rozciągających, które pokazał jej mentor, i... dość.

Otarła z czoła pot, zamknęła okno. Zerknęła w diariusz, próbując rozczytać własne gryzmoły: ach, znów ten podporucznik. Grossmann, tak? No cóż, przynajmniej był przystojny i zabawny, w odróżnieniu od większości spotykanych przez nią aktywów.

Wskoczyła do wanny, błyskawicznie umyła się i dokładnie ogoliła w ledwo ciepłej wodzie. Popatrzyła na

własne odbicie w lustrze, złożyła usta do buziaczka i przycisnęła do zimnej tafli, zostawiając wyraźny ślad. A co, niech pokojówki mają o czym plotkować!

Zapięła pas, naciągnęła pończochy i wsunęła nogi w butki na obcasie: o tak, teraz zaczynała czuć, że żyje. Wbiła się jeszcze w specjalnie sprowadzoną z Paryża brassierkę, sapiąc i fukając przy tym jak rozzłoszczona kotka. Co za idiotyzm, żeby kobiety miały przykrywać swoje ciało czymkolwiek poza dobrze skrojoną suknią! Następnie naciągnęła kreację przygotowaną już na ten wieczór.

Odsunęła skobelek, uchyliła drzwi do sąsiedniego pokoju i zawołała:

– Edwin!

Rosły Murzyn wsunął się do pokoju, stanął z rękoma założonymi na piersiach i zamruczał basem:

– Panienska wzywała.

– Edwinie, pomóż mi się pozapinać. – Odwróciła się do niego tyłem. – Potem zejdziesz na dół, zamówisz jakąś lekką kolację. Coś z owocami morza.

– To nie Francja, panienko. Tutaj z owoców morza mają tylko rybę albo rybę. Jest jeszcze zapewne ryba.

– Och... – Przewróciła oczami. – To coś lokalnego w takim razie, ale nie za dużo.

– Ptaki zagryzane na śmierć zębami – mruknął Murzyn, z zaskakującą wprawą sznurując wiązanie sukni palcami niczym sękate konary.

Odwróciła się, zaintrygowana.

– Co takiego?

– Miejscowi łapią ptaki w sidła ze sznurków. Te czarne, lądowe, i białe, znad wody – wyjaśnił Edwin. – Nie ukręcają im łbów, ale miażdżą czaszkę bocznymi zębami. O tak.

Zademonstrował, ilustrując dodatkowo sugestywnym dźwiękiem. Jennifer zdawała się, wbrew jego wysiłkom, zachwycona.

– Ależ to najczystsze barbarzyństwo! – Klasnęła w dłonie. – Czy podają to w hotelowej restauracji? Muszę, muszę tego spróbować!

Murzyn dowiązał ostatni węzeł i odstąpił pod ścianę, znów zakładając ręce na piersiach.

– Wątpię, panienko. Niech zabierze na nie panienkę ten niemiecki oficer.

– Licz się ze słowami, Edwinie! – *Miss Zoransky* błysnęła złym okiem. – Nie twoja sprawa, z kim będę spędzać czas... Albo i nawet sypiać, jeśli taką mam na to ochotę!

Twarz pokojowca nie wyrażała nic, niczym czarny, wiekowy pień baobabu.

– Służyłem pani ojcu, a mój ojciec służył jego ojcu. I tak bez końca wstecz, póki pamięci – zadudnił Edwin. – Była krew, dużo krwi, po obu stronach. Były czasy dobre i czasy złe. Teraz służę panience, a po mnie będzie jej służyć mój syn. Wszystko, co panienki dotyczy, dotyczy też mnie.

Rysy Jennifer zmiękły jak wosk. Przez chwilę była tą samą pyzată dziewczynką o marchewkowych włosach, którą Edwin trzymał na kolanach przed ich domem, daleko,

za oceanem... Położyła mu dłoń na przedramieniu, oparła się czołem o jego bark.

– Przepraszam cię, Edwinie. Czasami sama nie wiem, co mówię...

Murzyn uniósł dłoń, dotknął jej włosów ostrożnie, jak gdyby bojąc się, że samym dotykiem może ją skrzywdzić. Trwali tak przez chwilę, a potem on delikatnie odsunął ją od siebie, uśmiechnął się.

– Panienska jest już teraz dorosła. Panienska pewne dorosłe rzeczy robić może... A inne znów musi.

– Masz rację. – Pokiwała, siąknęła noskiem i otarła nie wiadomo kiedy zawisłą na rzesach łzę. – Pewnie rzeczy zrobić muszę, bo liczą na mnie inni. Po to tu jesteśmy, prawda?

– Tak, panienko Jennifer. Właśnie po to.

Keller stał na dworcu, po raz kolejny czekając na pociąg.

Zaczynało mu już chyba wchodzić w krew, że jako pełnomocnik i rzecznik profesora Nemmersdorfa przyjmował i żegnał wszystkich, którzy do Königsberga przybywali albo z niego wyjeżdżali. Większość gości odwiedzających profesora była Gerhardowi głęboko obojętna – ale myśl o spotkaniu z właśnie tym jednym wywoływała u niego przyjemne mrowienie kory mózgowej.

Rozpoznał naukowca od razu, gdy tylko ten wysiadł z wagonu: okrągłe okulary, nieduży, zadbane wąsy i fala zaczesanych ku górze włosów.

– Panie doktorze! – Uniósł rękę i ruszył w kierunku

stojącego bezradnie z walizami mężczyzny, którego już flankowało kilku tragarzy i nagabywaczy. Okrzyknięty z wyraźną ulgą podziękował szczególnie namolnemu dostawcy usług wszelakich i wyszedł Gerhardowi naprzeciw.

– Och, to zapewne pan fanenjunker Keller! Wiele o panu słyszałem.

Uścisk dłoni Scherbiusa nie był szczególnie mocny, ale zdecydowany i pewny siebie – podobnie jak jego obliczenia i rewolucyjne wynalazki. Silniki asymetryczne, poduszki elektryczne, ceramiczne nagrzewnice i turbiny wodne były nieledwie wierzchołkiem góry lodowej możliwości tego wybitnego, niespełna czterdziestoletniego naukowca. Gerhard strzelił obcasami i uśmiechnął się absolutnie szczerze.

– Panie doktorze, witam pana w Królewcu w imieniu profesora Nemmersdorfa i własnym! To prawdziwy zaszczyt móc poznać pana osobiście.

– Ależ, doprawdy. – Scherbius machnął ręką. – Niechże pan nie przesadza z komplementami, bo się jeszcze zarumienię. Jesteśmy w mieście Immanuela Kanta, tutaj tylko jego nazwisko można i należy wymawiać w postawie zasadniczej.

– Pańskiej skromności, doktorze, dorównuje wyłącznie pańska sława w świecie nauki.

– Bah, panie fanenjunker! Gdyby jeszcze wynikało z tego coś więcej...!

Keller wziął walizę oraz torbę podróżną Scherbiusa i poprowadził uczonego przez budynek dworca, w kierunku

czekającego na nich automobilu. Uczony niósł tylko proste, prostokątne pudło – wnosząc po jego posapywaniu i czerwieniejącej twarzy, dość ciężkie.

– Sugeruje pan brak zainteresowania jego konstrukcjami? – zagadnął Gerhard wprost, pomny otrzymanych od Nemmersdorfa wytycznych. Scherbius po raz kolejny machnął ręką, ale tym razem był to gest rozczarowania i braku złudzeń.

– Niech mi pan nic nie mówi. Sami wiecie, panie fanenjunker, jak bardzo konserwatywna jest armia. A przecież proponowane przeze mnie rozwiązania mogłyby tak bardzo usprawnić procesy produkcyjne! Jednak lobby producentów silników parowych jest zbyt silne, wiąże się z tym cały ogromny przemysł: kopalnie, tartaki, huty żelaza... Dziesiątki, tysiące miejsc pracy. Wojna to nie czas na rewolucję, tak mi powiedzieli.

– Wojna to przede wszystkim czas na rewolucję, doktorze. Jeśli kiedykolwiek mają powstać wynalazki, które odmienią bieg historii, to właśnie teraz.

– Maszt cumowniczy dwa dwieście na sterburcie! Zwiększyć ciąg do jednej trzeciej, stery poziome powoli trzy stopnie północ! Przygotować się do podejścia pod wiatr!

– Jest, ciąg jedna trzecia!

– Jest, stery poziome trzy stopnie północ!

Komandor Ernst Wilhelm Arnold von Hoepfner wsparł się dłońmi o wypolerowaną na błysk rurkę relingu w gondoli dowodzenia i przymknął oczy, wsłuchując się z

lubością, jak mosiężne rury komunikatorów pokładowych grają melodią głosów. Silniki warczały równo i pewnie, manometry w sterach poziomych postukiwały z cicha zaworami grzybkowymi, upuszczając nadmiar gazu do obwodów zapasowych. Niemal słyszał, jak w przedziale łączności stuka igła radiotelegrafu, zbierającego komunikaty pogodowe od rozsianych po całych Prusach Wschodnich stacji meteorologicznych.

Powoli, jakby od niechcenia pejzaż pod nimi przesunął się, gdy cała maszyna weszła w ledwo odczuwalny trawers. Von Hoepfner nie musiał tego widzieć, ale czuł, jak silniki zmieniają tempo i melodię, a stery poziome łapią wiatr, delikatnie, ale nieubłagane ustawiając sterowiec dziobem do bryzy.

Wychylił się i spojrział na cień, kładący się na ziemi potężną, ciemną plamą setki stóp poniżej.

Luftkriegsschiff Lieth-Thomsen 01 „Kaiser Wilhelm”, najpotężniejsza i najbardziej zaawansowana technologicznie jednostka latająca, jaką posiadało w Luftkriegsmarine Cesarstwo Niemieckie. Sześćdziesiąt dwa tysiące metrów sześciennych łatwopalnego wodoru, zakłętego w bez mała siedmiusetstopowej, sztywnej powłóce z lotniczego aluminium; trzydziestu jeden marynarzy załogi stałej plus dwie drużyny abordażu powietrznego po dziesięciu ludzi każda. Osiem potężnych silników Maybacha, zdolnych dać jego ukochanemu dziecięciu moc prawie trzynastu tysięcy koni mechanicznych.

Gdy stanęło się na mostku dowodzenia, poczucie

władzy było upajające. Poczucie odpowiedzialności natomiast aż gniotło duszę.

– Już widać Allenstein – odezwał się stojący zaraz obok niego Hermann von der Lieth-Thomsen. – Spójrz, tam jest kościół, widać też komin piekarni... O, sarny! Ależ cudne stado, tylko zobacz!

Komandor uśmiechnął się półgębkiem. Jego przyjaciel i towarzysz broni, a od niedawna również szef sztabu – oraz konstruktor maszyny, na której pokładzie się znajdowali – nie przestawał z istic dziecięcą radością przeżywać każdej chwili spędzonej w powietrzu. Kiedy nie wpatrywał się w zmieniające się niczym w fotoplastykonie widoki, przechadzał się po pokładach, zagadywał do marynarzy i ogólnie cieszył lotem podniebnego krążownika tak bardzo, jak tylko potrafi lecący na jednostce wojskowej człowiek, który nie będzie brał udziału w prowadzonych z jej pokładu działaniach bojowych.

– Widziałeś? – powtórzył jeszcze raz von der Lieth-Thomsen. – Och, możliwości, jakie daje taki okręt! Jak bardzo ja wam zazdrozczę...!

– Naprawdę? – powątpiewająco zapytał von Hoepfner.

Hermann zawahał się chwilę, po czym, speszony, spuścił głowę. – Zazdrościć jest czego, przyjacielu, dopóki wszystko mamy tylko na papierze. Czyste, czarno na białym, bez emocji. A to jest wojna, tutaj jest brud i krew, swąd spalonego ciała... Ale rozumiem cię doskonale. Ja też to kocham, tylko na swój sposób.

Wieża cumownicza, z początku malutka i ledwo widoczna, rosła w oczach. Von der Lieth-Thomsen starał się jak mógł, żeby nie okazać strachu: przecież gdyby stalowa iglica rozdarła powłokę sterowca, wszystkich czekałaby niechybna śmierć... Ale von Hoepfner i jego załoga wiedzieli, co robią, maszyna gładko podeszła do gniazda cumowniczego, poleciały liny, zawarkotały wyciągarki. Sterowiec zadrżał ledwo zauważalnie, a potem silniki uspokoiły się i przeszły na jałowy bieg, pozwalając, żeby powietrzny okręt kołysał się swobodnie na wietrze.

– Trap rzuć! Do zejścia na ląd, gotuj się! – zakomenderował von Hoepfner w komunikator. – Będziesz chciał obejrzeć, jak wygląda infrastruktura w warunkach naprawdę polowych?

– Ależ oczywiście!

– Dobrze. Bosmanie, oddaję wam pieczę nad okrętem. Doprowadzić do stanu wyjściowego, uzupełnić paliwo i zapasy. Wyruszamy za trzy dni.

Zarośnięty, wytatuowany żołnierz zajrzał na mostek, skinął i błysnął jedynym okiem.

– *Jawohl, Herr Kommodore!* – Uniósł głowę i warknął zupełnie innym głosem na kogoś, kogo nie widzieli przez obręb włazu: – Rudiger, co to za porządki? Zrefować mi tę cumę równo, bo pošę was na linę od razu w pierwszym skoku! Młody, nie pałętać się pod nogami! Jak ja was zaraz oćwiczę, to rodzona matka nie pozna!

– Twój bosman nie patyczkuje się z ludźmi – zauważył von der Lieth-Thomsen, gdy schodzili po kratownicy trapu

na ażurową wieżę.

Komandor zatrzymał się i popatrzył na gigantyczny okręt z czułością.

– Na pokładzie to nieuniknione i konieczne. Kto wie, może i oni kiedyś będą dowodzić swoimi własnymi okrętami? Może i ich udziałem stanie się płomiennej chwały blask?

Obsztorcowany chwilę wcześniej przez bosmana, ciągnący przewód elektryczny chłopaczek drgnął, zatrzymał się i obejrzał. Spoglądał za oboma mężczyznami, aż znikli na spiralnych schodach. Potem poprawił ciężki, wrzynający się w ramię kabel i zanurzył w pachnące smarem i żelazem trzewia podniebnej bestii.

Gdy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju w hotelu, do którego ledwo zdążył się przeprowadzić, Heilenstein już wiedział, że nie powinien otwierać. Mimo to podszedł, ujął za rączkę zamka i zapytał słabym głosem:

– Kto tam?

– To my, panie Heilenstein. Chcieliśmy sprawdzić, czy wszystko u pana w porządku.

Poznał głos, ale nie wiedział, co zrobić dalej – więc po prostu otworzył. Na progu stał Traut, za nim zaniepokojony Wilbach... I oczywiście Grossmann.

– Źle się poczułem... – jęknął Heilenstein, zastanawiając się, czy to już ten moment, kiedy powinien zaśmiać się głupkowato i wyskoczyć przez okno. – Musiałem szybko opuścić panów kompanię, a wtedy... potem...

– Wtedy pomogłem panu i zaprowadziłem go tutaj, do

hotelu.

Heilenstein popatrzył na Grossmanna, nie rozumiejąc już zupełnie nic. Przytaknął, nie do końca pewny, czy robi krok w kierunku grobu, czy właśnie jedną nogą z niego wychodzi. Wszyscy trzej władowali się do jego pokoju, zaczęli doradzać i wypytywać, więc wymyślał na bieżąco coraz to bardziej fantastyczne objawy.

– Lekarza! Musimy wezwać lekarza. – Nie wiedzieć czemu zadowolony z siebie Wilbach zatarł ręce. Po raz kolejny jednak Heilensteinowi przyszedł w sukurs Grossmann.

– Od tego zaczęliśmy, jak tylko przywiozłem tu pana Arthura.

Heilenstein zamrugał, autentycznie zaskoczony. Już otwierał usta, żeby zaproponować, powiedzieć, że wcale go tu przywiózł, że on sam, że...! Ale spojrzał w lodowato zimne oczy tamtego i słowa uwięzły mu w gardle. Tymczasem Grossmann uśmiechnął się promiennie i kontynuował: Panowie, nie popadajmy w przesadę. Doktor zalecił spokój i odpoczynek, to zwykłe przemęczenie pracą.

Proponuję, aby dać naszemu choremu trochę miejsca i powietrza.

Od słowa do słowa, Teodor zdołał wyprosić pozostałych za próg.

– Ależ, panie podporuczniku... – chciał zaproponować Traut.

Zapewnił o swojej trosce.

– Dziękujemy, że nas pan tu przyprowadził. To do-

prawdy szczęśliwy zbieg okoliczności, że spotkaliśmy się przy wejściu – pokiwał Wilbach.

Obiecał, że będzie dzwonić, jeśli tylko cokolwiek się wydarzy.

– Do widzenia, panie...

Zamknął za nimi drzwi. Przekręcił klucz. Odwrócił się do Heilensteina.

– To był... wypadek... – zabełkotał Arthur, w zasadzie zaczynający już wierzyć w tę wersję wydarzeń.

– Ależ oczywiście. Sam postrzeliłem się z własnej broni.

– Naprawdę? – zapytał z nadzieją Heilenstein, ale potem zdał sobie sprawę z niedorzeczności swych nadziei.

– Czego pan... dlaczego pan to robi?

Grossmann przysiadł naprzeciwko niego na łóżku, zaplótł ręce. Popatrzył bardzo, ale to bardzo uważnie na przemysłowca, a ten aż zadrżał: w pewnej chwili wydało mu się, że przez wpatrzone w niego oczy wygląda ktoś zupełnie inny.

– Bo chcę wyjaśnić to pożałowania godne nieporozumienie – powiedział ukrywający się za fasadą niemieckiego oficera mężczyzna. – Wyjaśnić... ostatecznie. Znalezienie pana tutaj było proste. Tak samo szybko znajdę pana gdziekolwiek indziej, a tam przypadek już nie ześle panu tych dwóch głupców.

Heilenstein przełknął ślinę, patrząc na odpiętą kaburę pistoletu. Jeśli naprawdę Traut i Wilbach spotkali tego człowieka, gdy już wchodził do hotelu, to chyba należało

dać na mszę dziękczynną.

– Czy rozumiemy się dość precyzyjnie?

Heilenstein drgnął.

– T-tak... – wydukał.

– Dobrze. Czego szukał pan w Königsbergu?

W czarnym tunelu jego świata pojawiło się światełko; należało jeszcze wyjaśnić, czy nie była to czołowa lampa pociągu pancernego.

– No więc ja, ja... Chciałem...

– Czego pan chciał, *Herr* Heilenstein? Tylko proszę odpowiadać zgodnie z prawdą!

– Łodzie... – jęknął Arthur, rozumiejąc, że jego nadzieje biznesowe właśnie idą na dno.

– Jakie łodzie? Proszę mówić jaśniej, *mein Herr*. Nie mam czasu na pańskie zagadki.

Arthur zamknął oczy, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem;

– Nowy typ łodzi podwodnych do desantowania ludzi, które mają być produkowane w Elbing. Montownia znajduje się w dopiero co ukończonym tajnym doku na wybrzeżu, w pobliżu Rauschen. Mój kolega dostarczał tam zbrojenia i profile dla odlewów...

– Po co to panu? Jest pan przecież przemysłowcem, chyba że szpieguje dla wroga!

– Łodzie! Czy ty nie rozumiesz, człowieku?! – zawołał w desperacji Heilenstein. – Czterdzieści metrów korpusu z litej stali! Dwieście ton wyporności! Silniki, tłoki, wręgi, elementy kadłuba, poszycie...! Setki ton żelaza, miliony

Pepiermarek!

Grossmann poczuł, jak robi mu się na przemian zimno i gorąco. Właśnie trafił na trop... I prawie dał się zabić przez chciwość jakiegoś dorobkiewicza. Heilenstein był w tej grze zaledwie płotką. Teraz natężyło go przekonać, żeby odpłynął na spokojniejsze wody i dał polować drapieżnikom.

Wstał i sięgnął do kabury. Heilenstein zbladł, ale Teodor tylko poprawił uwierający pas.

– Radzę panu, aby powściągnął swoją ciekawość. Sprawy znaczenia strategicznego dla Cesarstwa to śliski temat... Szczególnie kiedy przy okazji próbuje się zastrzelić oficera odznaczonego Krzyżem Żelaznym.

– Ale... przecież powiedział pan, że... – Heilenstein zapowietrzył się, ale po chwili oklapł jak przekłuty balon. – Dobrze. Oczywiście. Rozumiem, *Herr Leutnant*.

– Proszę wrócić do siebie, do domu, i zająć się czymś uczciwym. I niech się kolega modli, kiedy usłyszy o czwartej w nocy pukanie do drzwi, żeby byli to złodzieje.

Grossmann widział w oczach przemysłowca, że ten zrozumiał i już jutro nie będzie go w Königsbergu. Wyszedł bez słowa, zostawiając za sobą człowieka na gruzach marzeń.

– *Miss Zoransky*.

– *Leutnant* Grossmann, cóż za niespodzianka! Schodząca ze schodów gmachu Neues Schauspielhaus Jennifer podała podporucznikowi dłoń do ucałowania i uśmiechnęła się promiennie. Zapach perfum owionął go i zamknął w

sobie, niczym żelazna dłoń w jedwabnej rękawicy; na chwilę aż zakręciło mu się w głowie. Widział, jak kręcący się jeszcze po wieczornej rewii ludzie pokazują ich sobie palcami i szepczą coś na ucho, gdy wręczał jej nieduży bukietik frezji.

– Myślała zatem pani, że nie przyjdę – skwitował jej słowa. – A ja cały dzień nie robiłem nic, tylko myślałem o pani... To jest o spotkaniu z nią.

Jennifer wzięła go pod ramię, ruszyli niespiesznym krokiem przed siebie.

– Pan podporucznik, jak widzę, zaczyna wieczór od komplementu. Strach pomyśleć, jak chce go skończyć...

– Wyłącznie z panią. Jak dzisiejsze przedstawienie? Mam nadzieję, że po scenach Berlina i Wiednia poczciwy, lekko zaściankowy Königsberg jeszcze pani nie znudził.

Spojrzała na niego z udawaną naganą w oczach, zmarszczyła czoło.

– Panie poruczniku! Jak pan nawet śmie tak mówić! Przecież to miasto wydało na świat chociażby takie sławy jak Jarosław Dworsky. Zresztą jego syna, pana Jaro Młodszeo, spotkałam tej wiosny w Berlinie. Niesamowity talent, absolutnie zjawiskowy tenor, powiadam panu. A plakaty z jego podpisami do dziś wiszą w Metropolitan Opera w Nowym Jorku! Podobno młody Dworsky chciał początkowo studiować medycynę, ale ojciec wybił mu to z głowy... Och. Rozgadałam się, a pana to na pewno nudzi!

Grossmann pokręcił głową.

– Bynajmniej. Lubię dowiadywać się nowych rzeczy,

a pani wiedza jest doprawdy imponująca. Przygotowała się pani do przyjazdu tutaj.

– Doprawdy, kolejny komplement. Niech mi pan podporucznik powie... czy oficer ma prawo rozkazywać lekarzowi?

– To zależy. O co konkretnie pani pyta?

Panna Zoransky nadała się i wydeła karminowe usteczka.

– Tak bardzo chciałam zaśpiewać na deskach królewskiego Stadttheater. Jechałam tu właśnie z tą nadzieją, a okazuje się, że zrobili tam jakiś lazaret! Wyobraża pan to sobie? Tak zbezczścić teatr!

– Wyobrażam, panno Jennifer – głos Grossmanna nagle stwardniał. – Wojna ma swoje prawa, a życie żołnierza jest cenniejsze niż zabawa cywila...

Zerknęła na niego, zaskoczona, ale on patrzył prosto przed siebie, jak gdyby było tam coś, czego ona nie widziała i zapewne zobaczyć nie mogła. Dotąd spokojny, luźny krok nabrał sprężystości, niczym mierzony taktem niewidzialnego werbla, mięśnie szczęki nagle zagrały, usta zacisnęły się w wąską kreskę.

Zaklął paskudnie i przesadził murek na chwilę przed tym, jak ładunek odbił się od ścianki, stoczył po gruzie i eksplodował, zalewając go falą dzwoniącej ciszy.

Próbował podnieść się, ale ręce nie chciały się słuchać, kończyny jak gdyby należały do kogo innego. Ze zdziwieniem patrzył na szary materiał munduru, na owinięte paskami tkaniny piszczele i podkute trzewiki. W ręku

ściskał czarny, kanciasty pistolet samopowtarzalny, ale gdzie podział się jego przydziałowy rewolwer Naganta? Przede wszystkim gdzie czapka? Jessauł zawsze powinien mieć na głowie czapkę...

– Panie sierżancie, żyje pan?! – Niemiec dopadł do niego, złapał za poję munduru, obmacał szybko, szukając ran. – Rany boskie, już myślałem, że pana zabiłem!

...dziewczyna podskoczyła i cmoknęła go w policzek, a potem szybko odwróciła się, uciekła spojrzeniem w bok. Poczowała jeszcze tylko, że drgnął cały, niemal wzdrygnął się, niczym przebudzony z koszmaru człowiek.

– Miss Jennifer... Przepraszam, ja...

Zatrzymała się, zachodząc mu drogę. Spojrzała w oczy.

– Zaprowadzi mnie pan tam, do tego lazaretu. Do Stadttheater Königsberg, rozumie pan? A ja tam zaśpiewam. W przeciwnym razie obrażę się na pana tu i teraz. Zrozumiano?

Uśmiechnął się, pokiwał głową:

– Jawohl, mein Fraulein.

Gdy taksówka wysadziła ich na Paradeplatz, słońce zaczynało już muskać dachy domów, więc większa część placu spowita była kładącymi się coraz dalej i głębiej cieniami. Wokół zamienionego w szpital teatru kręciło się kilkanaście osób, lekarz oglądał wyprowadzanych z ciężarówki rannych i przydzielał im sanitariuszy do pomocy.

Teodor nie miał zamiaru nikogo o nic prosić. Bezceremonialnie wziął łapiducha na stronę, zażądał, aby po-

prowadzono ich do obecnie pełniącego dyżur.

– Jesteśmy w środku – szepnął do idącej obok panny Zoransky, gdy wspinali się na górne piętro po schodach. Ona kiwnęła tylko, pochłonięta kontemplowaniem wnętrza, któremu nawet trzy lata Wielkiej Wojny nie potrafiło odebrać blichtru i przepychu, tak charakterystycznego dla budowli stawianych z czystej próżności i umiłowania sztuki. Mimo że ściany do wysokości ramienia dorosłego mężczyzny pomalowano farbą olejną, ponad odciętym tul sznurka pasem szarości na tynku pyszniły się bukiety kwiatów i kolorowe wstęgi, ze sklepień spoglądały postaci antycznych bohaterów i półbogów. Gdy zapukali do wskazanych drzwi, z wnęki w ścianie patrzył na nich uśmiechnięty zagadkowo satyr.

Lekarz zawiadujący okazał się jowialnym, korpulentnym wyznawcą nie tylko Eskulapa, ale i miłośnikiem wszystkich siedmiu muz. Po krótkiej i bynajmniej nie burzliwej rozmowie z Grossmannem, dla którego *Miss Jennifer* robiła wyłącznie za urzekająco uśmiechnięte tło, zapadła decyzja: tak, mogą wejść na główną salę. Naturalnie, madame nie tylko może, ale i musi zaśpiewać!

Dopiero gdy otwarły się drzwi i wkroczyli pomiędzy rzędy łóżek, w tę wielką, ciemną przestrzeń pełną zapachu karbolu, odgłosów kaszlu i jęków, przesyconą wonią ropy z jęczących się ran, wsączającej się w deski podłogi, wibrującą wrzaskami amputacji i chrzęstu piły wgryzającej się w kość – dopiero wtedy panna Zoransky straciła pewność siebie.

Wczepiła się w Grossmanna, z każdym krokiem coraz bardziej wtulając w jego ramię, odprowadzana spojrzeniami przykutych do łóżek inwalidów. Gdy doszli do podestu dawnej sceny, teraz podzielonej przegródkami z desek i materiału na kilka salek zabiegowych, spanikowała do końca.

– Ja nie potrafię – szepnęła, przytrzymując się ręką pierwszego i jedyne go rzędu krzeseł. – *My good Lord*, ci wszyscy ludzie... Nie dam rady, muszę stąd wyjść. Proszę, niech mnie pan stąd zabierze.

Złapał ją za ramię, ścisnął mocno.

– Musi pani. *Miss Jennifer*. Teraz nie ma pani wyboru... Przecież oboje jesteśmy aktorami, pani i ja. Proszę robić swoje.

Przełknęła ślinę i kiwnęła, patrząc mu w oczy.

Pomógł jej wejść po schodkach, a potem jeszcze pokazał gestem: dokładnie tak trzymać, jest świetnie. Jennifer wzięła się w garść, wyszła na środek zwężonego podestu. Opuściła głowę i splotła ręce na podołku. Bez świateł reflektorów, bez całej oprawy, wyglądała na niepozorną, szarą i nijaką w tym wnętrzu...

Jej głos zdawał się więc należeć do zupełnie innej istoty.

Grossmann słuchał, zauroczony, pozwalając melodii porwać się bez reszty, zabrać z tego miejsca, poprowadzić w zupełnie inne czasy i okoliczności... Idealnie czysty, dźwięczny głos rezonował pod stropem i wibrował w łukach konstrukcji, niosąc się tak, jak dziesięciolecia temu

zamyślili sobie dawno już nieżyjący architekci.

Czuł to on, czuli to też ludzie, bo na sali na tych kilka krótkich minut zapanowały idealna cisza i bezruch. Lekarz trzymający do połowy wciśnięty tłoczek strzykawki, pacjent z urwanym na półnucie jękiem bóleści, zastygła z naręczem czystych prześcieradeł siostra – wszyscy słuchali i patrzyli, nie wierząc, że taki głos może dobywać się z tak niepozornej postaci.

Miss Jennifer skończyła, a potem szybko, nieco zbyt nerwowo zeszła ze sceny.

Jak debiutantka po pierwszym przesłuchaniu, pomyślał Teodor, jako pierwszy zaczynając klaskać.

Kolejni słuchacze przyłączali się powoli do aplauzu, jakby wyrwani ze snu, aż w końcu piosenkarka musiała zawrócić, stanąć przed nimi jeszcze raz, skłonić się i posłać w powietrze całusa. Kilku pacjentów podniosło się z łóżek, kolejni zaczęli wstawać, aż po chwili każdy, kto tylko mógł utrzymać się na nogach i miał dwie ręce, bił brawo. Leżący na posłaniach pokrzykiwali radośnie, ktoś nowomodnym zwyczajem gwizdał na palcach.

Grossmann uniósł sceptycznie brew: dla niego zawsze było to wyrazem pogardy, ale widać czasy się zmieniały.

Podał dłoń gwieździe, pomagając jej zejść ze sceny. Kilka sióstr od razu podbiegło z zamiarem zdobycia autografu, jeden z pacjentów przykuśtykał, niosąc w ręku przedwczorajszy numer „Königsberger Tageblatt”, aby podpisała mu się pod zdjęciem. *Miss Jennifer* uśmiechała się do wszystkich, słuchała z uwagą, kiwała, odpowiadała

na pytania... A do Teodora coraz bardziej docierało, że to wszystko tylko fasada.

W końcu podsunęła się do niego tyłem, niepostrzeżenie ujęła jego dłoń i ścisnęła mocno. Zrozumiał doskonale.

– Szanowni państwo, piękne panie, koledzy weterani – odezwał się głośno. – Niestety, musimy już państwa opuścić, ale mamy nadzieję, że ten skromny występ pozwolił przywołać uśmiech na wasze twarze... *Hoch Wilhelm! Gott strafe England!*

– *Hoch Kaiser! Er strafe es!* – odkrzyknął chór nieskładnych, ale mocnych głosów.

Dopóki maszerowali przez korytarze w asyście gwardii honorowej pielęgniarek i pacjentów, Jennifer trzymała się idealnie w swej roli – ale jak tylko wyszli z gmachu, zwisała na jego rękę, jak gdyby zamierzając lada moment zemdleć. Grossmann czym prędzej podprowadził ją do najbliższej ławki i posadził, gotów w każdej chwili skoczyć z powrotem do lazaretu po lekarza.

– Nie trzeba – szepnęła nadał słabym głosem. – Już dobrze... Przepraszam pana porucznika, nie wiem, co mi się stało...

Uśmiechnął się i zdjął czapkę, żeby powachlować jej przed twarzą.

– Podporucznika, już mówiłem. Czy mogę zaproponować panience coś do picia?

Spojrzała z wdzięcznością, więc skoczył do najbliższej kawiarni i wrócił po chwili ze szklanką pełną zimnej wody. Jennifer upiła kilka łyków, powoli odzyskując właściwy

kolor twarzy. Odstawiła w końcu szkło, pokręciła głową i pokazała palcem na lokal, z którego dopiero co wrócił Teodor.

– Nie będę pić wody jak jakieś zwierzę, panie podporuczniku. Proszę kupić mi coś, żebym znów poczuła się jak dama.

Teodor wziął szklanekę w jedną rękę, drugą objął wciąż lekko słaniającą się kobietę. Usiedli przy stoliku na dworze, błyskawicznie zjawił się kelner. On zamówił, ona zapaliła.

– Wojna to przerażająca rzecz, panno Zoransky – powiedział po prostu Grossmann. – Pani reakcja jest zupełnie naturalna. Nie była pani nigdy w szpitalu wojennym?

Wydmuchnęła dym, patrząc gdzieś w przestrzeń.

– Byłam. Ale takie wizyty zawsze są zorganizowane, ustawione. Czyste, wykrochmalone fartuchy, świeże opatrunki. Uśmiechnięte pielęgniarki... Inwalidzi i kalecy pochowani w dalszych rzędach. A ja chciałam zobaczyć, jak to wygląda naprawdę.

– Wykorzystała mnie pani – skonstatował Grossmann. – Użyła, żeby dostać się do szpitala poza oficjalnym programem. Po co? Chodziło o wrażenia? Dreszcz ekscytacji, taki, jaki odczuwały antyczne damy, schodząc do klatek gladiatorów po walce?

Żachnęła się.

– Jest pan niesprawiedliwy, *Herr Leutnant!*

– Jestem wyłącznie logiczny, *Fraulein Zoransky*. Byłem na froncie i nie pozwolę, żeby moich towarzyszy broni

oglądano jak...

Zaciął się, urwał i zacisnął pięść, aż pobielaly mu kostki palców. Jennifer chciała chyba powiedzieć coś złośliwego, ale zauważyła zmianę na twarzy Grossmanna. W końcu Teodor odetchnął głęboko, uśmiechnął nieszczercze.

– Proszę o wybaczenie. *Miss* Jennifer. Moja uwaga była nieadekwatna i niegodna oficera. Za pozwoleniem, opuszczę jej towarzystwo.

Wstał, szurając głośno krzesłem, nałożył czapkę i strzelił obcasami. Chciał już odejść, ale dziewczyna położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Niech pan zostanie, Teodorze. Proszę pana.

Zawahał się, w końcu usiadł. Uniósł filiżankę do ust, ale odstawił, widząc, jak drży mu ręka.

– Był pan ranny na froncie – bardziej stwierdziła, niż zapytała Jennifer. – Czytałam o tym. To ja pana przepraszam, nie powinnam była o to prosić.

– Szpital połowy to potworne miejsce, panno Zoransky. Nawet w porównaniu z oblędem bitwy. Ten tutaj to... to nic w porównaniu z miejscami, w których byłem. Czas mija, rany zablizniają się, ale trauma zostaje, wgryza się głęboko w duszę.

Wyciągnęła do niego rękę nad stołem.

– Puści pan moją intrygę w niepamięć?

Ujął jej dłoń, ucałował koniuszki palców.

– Wyłącznie, jeśli pani zrobi to samo z moim wybuchem. Pozwoli się pani zabrać na przebłągalny spacer po *Tiergarten*?

– Zastanowię się nad tym. Ale jedyną pana szansą jest kupienie *mi fairy floss*.

– Słucham?

Jennifer przewróciła oczami, uśmiechnęła przeproszająco.

– Och, nieważne. To rodzaj słodczy, jakby... jakby wata, ale zrobiona z cukru. Co się kupuje dzieciom w Königsbergu?

Wstał i podał jej ramię w geście zaproszenia.

– Nie mam pojęcia. Sprawdźmy?

Ogród zoologiczny spowijał już półmrok, ale ubłagali jeszcze dozorcę, żeby sprzedał im dwa ostatnie bilety.

Weszli w świecące pustkami alejki, próbując wypatrzeć w ciemnych klatkach błyszczące oczy zwierząt.

Jennifer spojrzała w niebo, na którym zapalały się już mrugające chłodno gwiazdy.

– Moja ulubiona pora dnia.

– Podobno pod wieczór drapieżniki wychodzą na żer.

– Grossmann schylił się, przechodząc pod zwieszającym się nisko krzewem bzu. – Uważa się pani za jednego z nich?

– Być może. A jakim jestem zwierzęciem, pana zdaniem?

Otaksował ją wzrokiem od góry do dołu. Zastanowił chwilę.

– Nietypowym – zawyrokował. – Bardzo chciałaby pani być uważaną za osobę o wiele... prostsza niż w rzeczywistości.

– *Herr Leutnant*, jestem niebieskooka, rudowłosa i leworęczna. Czytałam gdzieś, że to najrzadziej występujący zestaw cech w przyrodzie. Nie mogę być prosta, nie wypada mi wręcz!

– Może zatem inaczej: stara się pani stworzyć wrażenie, że jej charakter jest oczywisty i sztamowy, aby dzięki temu ludzie przyjmowali pani osobowość sceniczną jako prawdziwą. Aby myśleli, że ją rozumieją.

– A jest inaczej?

Kiwnął głową.

– Tak. Nie jest pani tą głupią Amerykanką, na jaką się próbuje kreować. Nie jest też pani próżna, a na pewno nie aż tak zaślepiona patriotyzmem, żeby przez niego zostać wydaloną z ojczyzny.

– Moją jedyną ojczyzną są Niemcy! Moi przodkowie pochodzili stąd, z Prus Wschodnich, a ja jestem Niemką z duszy i ciała.

– Nie. Właśnie teraz udowodniła mi pani, że nie... Bo wcześniej nawet się o tym pani nie zająknęła. Ale nie potępiam tego ani nie oceniam. Ma pani prawo do swojej scenicznej maski.

Ujęła go mocniej pod rękę, wsparła głowę na jego ramieniu.

– A pan? – zagadnęła. – Kogo pan udaje, podporuczniku Grossmann?

Westchnął ciężko.

– Ja, panno Zoransky, udaję samego siebie. Człowieka, który ma być bohaterem, ale wcale się za takiego nie

uważa. Kogoś, kto ma dla każdego uśmiech i dobre słowo, kto zawsze wie, co, komu i kiedy powiedzieć. Ale, jak pani powiedziała, to tylko maskarada.

Wydawało mu się, że kątem oka zauważył ruch w alejce, którą dopiero co przeszli. ZNOWU zauważył, mówiąc bardziej precyzyjnie, bo raz już widział sylwetkę, chowającą się za drzewami. Jak gdyby ktoś szedł za nimi, próbując jednocześnie nie zostać zauważonym.

– Co jeszcze pan udaje, podporuczniku? Czy udaje pan, że... interesuje się mną?

– Nie. To jest prawdziwe.

Zatrzymali się, stanęli naprzeciwko siebie. Jego dłoń przesunęła się na jej talię, ona położyła mu rękę na ramieniu... Nachylił się, ona stanęła na palcach. Ich usta zetknęły się na krótką chwilę.

Tak, teraz widział go dokładnie: cień, który nieopatrznie wyszedł zbyt szybko z za zakrętu, a potem skoczył w bok, w gęstwinę krzaków.

– Panie podporuczniku... – mruknęła *Miss Jennifer*, zaplatając mu ramiona na szyi. – Nie spodziewałam się, że taki dżentelmen jak pan...

– Teodor. Mówmy sobie po imieniu.

– Jenny – szepnęła, a potem pocałowała go jeszcze raz, tym razem głęboko i namiętnie. Jej usta były tak cudownie jędrne i świeże, zapach skóry był niczym powiew wiosny pośród pustkowiec jego duszy. Grossmann aż usłyszał, jak serce uderza mu szybciej i mocniej. Ona też musiała to poczuć, bo przysunęła się bliżej, wplotła dłoń we włosy.

Odsunął ją od siebie delikatnie, ale stanowczo.

– To nie pora i nie miejsce. – Pokręcił głową. – Poza tym masz jeszcze dziś jeden występ.

Jennifer sapnęła, kopnęła czubkiem pantofelka żwir.

– Faktycznie. Na śmierć zapomniałam! Która godzina?

Wyciągnął z kieszeni czasomierz i popatrzył na lśniące fosforem wskazówki.

– Dochodzi ósma. Jeśli złapiemy taksówkę, to jeszcze zdążymy.

– Nie mam zamiaru nigdzie się spieszyć. – *Miss Zoransky* znów ujęła go pod ramię. – Pójdziemy spokojnie. Beze mnie i tak nie zaczną!

Dotarł na swoją kwaterę jakieś trzy kwadranse później, odprowadziwszy Jennifer do kabaretu, gdzie dawała tej nocy koncert. Celowo wrócił do koszar piechotą, żeby upewnić się, że nie miał zwidów – postać to pojawiała się, to znikwała z widoku, ale ktoś za nim szedł.

No cóż, nie pierwszy i nie ostatni to raz. Mieszkanie tutaj miało jednak swoje zalety, bo ktokolwiek go śledził, nie zdoła prześliznąć się obok strażników. Grossmann zabrał po drodze z garażu skórzaną torbę od motocykla, w którą wcześniej – tego samego dnia! – tyle się stało... – upchnął strój myśliwski, i poszedł do łaźni, żeby się umyć i od razu sprać krew.

Czuł, że powoli nachodzi na niego senność, dzień był potwornie męczący. Po prysznicu zgasił światło w pokoiku, otworzył okno i przysiadł na parapecie, żeby dokładnie

wszystko przemyśleć. Musiał powoli zacząć układać wszystko w logiczną całość. I zacząć działać.

Jeszcze ten szpital dla weteranów. I ten pocałunek. Niczym dotknięcie ustami gorącej lufy pistoletu...

– *Panie sierżancie, żyje pan?! – Niemiec dopadł do niego, złapał za połą munduru, obmacał szybko, szukając ran. – Rany boskie, już myślałem, że pana zabiłem!*

Zamrugął, nie mogąc rozpoznać twarzy ani pozbierać myśli.... A potem tożsamość Grossmanna wróciła do niego, uderzyła w potylicę niczym obuchem siekiery. Mundur, sytuacja, ludzie – wszystko to nagle stało się nie obce, a jego.

– *Bernhard, zebrać ludzi i dogonić cel! Ja z drugą grupą uderzę bokiem, przetniemy im drogę!*

– *Tak jest, Herr Spiess!*

Podniósł się na nogi, lekko chwiejąc, oparł o murek, rozejrzał... Jego kompania już podciągała bliżej. Po prawej odzywały się karabiny maszynowe dwudziestej piątej, która miała za zadanie utrzymać dolinę pomiędzy dwoma wzgórzami. Co prawda w pierwszych chwilach natarcia ostro dostali od haubic, ale powinni się jeszcze utrzymać.

– *Do mnie!* – *Machnął do biegnących nieopodal ludzi.*

– *Do mnie i naprzód! Gott strafe England!*

– *Er strafe es!* – *odpowiedziało mu kilkanaście głosów.*

Znał tych ludzi jak samego siebie: bał lepiej niż samego siebie. Był w stanie z intonacji wyczuć, że są na skraju paniki, że wściekłość miesza się w ich duszach ze zwierzęcym przerażeniem, że osiągnęli już absolutną gra-

nicę tego, ile człowiek potrafi przyjąć i znieść, nie tracąc samego siebie. Jego zadaniem jako dowódcy było teraz nie popchnąć, a przeciągnąć ich o ten jeden, ostatni krok dalej.

Ruszył najpierw truchtem, potem cwałem pomiędzy muldami i wykrotami, przeskoczył starą linię okopów, kilkakrotnie dając ognia w kierunku przemykających na krawędzi widzenia sylwetek. Nie miał pewności, czy nie strzela do swoich, ale tutaj różnicę pomiędzy wrogiem a sojusznikiem określał wyłącznie kierunek, w którym ktoś biegł.

Gwizdnął przelatujący górą szrapnel, a potem huknęło i jęknęło donośnie. Kłęby ścielącego się dymu rozświetlił gwałtowny blask płomienia: odłamki musiały trafić w którąś z maszyn przeciwnika, w jednej chwili zamieniając pełznące przez bezkres błota żelazne pudło w poskręcaną masę płonącego metalu. Kilku żołnierzy krzyknęło radośnie, ale on wiedział, że to, co właśnie widzieli, było wyłącznie łutem szczęścia. Szansa na bezpośrednie trafienie była bliska zera, nie mieli co liczyć na ślepy traf.

– Bagnet na broń! – krzyknął. Sama komenda była równie archaiczna, co nie na miejscu, ale przyzwyczajenie było silniejsze. Jego ludzie musieli wiedzieć, co zaraz będzie się działo.

W samą porę.

Dostłownie wbiegli w posuwającą się w chmurze dymu grupę żołnierzy przeciwnika, którzy musieli usłyszeć zawołanie i teraz przywitali szturmujących bezładnym

ogniem karabinów. Ktoś krzyknął rozdzierająco, biegnący niemal równo z nim Ratzke potknął się i upadł, brocząc krwią, paru innych odruchowo rzuciło się plackiem na ziemię. Ale większość nie wystraszyła się i skoczyła do walki wręcz.

Grossmann szarpnął się, spazmatycznie łapiąc powietrze ustami. To sen, sen! Był tu i teraz, siedział na pokrytym chłodną rosą parapecie okna w Defensionskaserne Kronprinz. Na zewnątrz biała mgła podnosiła się znad wypełnionej wodą fosy, wpełzała długimi jęzorami na łąki szkoleniowe. Czerwcowy księżyc świecił zimnym, obojętnym światłem. Gdzieś daleko kołysała się żółtym punkcikiem latarnia w ręku wartownika, obchodzącego wały fortu.

Zamknął okno, czując, że zdrętwiał mu kark. Jeszcze tego brakuje, żeby miało go zawiać! Szybko przebrał się w bieliznę do snu, złożył i rozwiesił mundur. Wsunął się już pod zimną kołdrę, ale potem przypomniał sobie o czymś, więc odrzucił ją na bok, uklęknął przy łóżku.

Zaglądający przez okno ciekawski księżyc błysnął na srebrzeniach leżącego na stole Krzyża Żelaznego.

– *Oszczje nasz, Iżje jest na Njebiosach...* – zaczął modlitwę.

ROZDZIAŁ VII

Herr Fahnenjunker, prosimy pana do nas na chwilę.

– Widzisz? Mówiłem, że i tak się zorientują, że tu jestem. – Keller uśmiechnął się i puścił oko do Eriki, a głośniejszym głosem dodał: – Już idę, panie profesorze!

Obydwaj uczeni siedzieli w prywatnym gabinecie, używanym tylko na takie specjalne okazje. Dokładnie tak, jak Gerhard zostawił ich wczoraj wieczorem, gdy za oknami zapadał już zmrok: Scherbius w bardziej swobodnej pozycji, z brodą wspartą na pakach lewej ręki; Nemmersdorf w swoim fotelu, pod kątem do okna.

– Prędkość rotacji nie może być uzależniona od wzajemnego sprzężenia – powiedział Scherbius, patrząc w pustkę.

Keller wiedział, co się dzieje. Obserwował już tak Nemmersdorfa kilkakrotnie podczas tego, co z Eriką nazywali „cichymi popołudniami”. Od czasu do czasu profesor pokonywał swoją przemożną mizantropię i sam zapraszał kilku fizyków albo inżynierów na debatę. Polegało to przeważnie na tym, że zamykali się w jednym pokoju z hektolitrami herbaty i skrzynią tytoniu, po czym godzinę kłócili się i wrzeszczeli na siebie, wyzywając od imbecyli i nieuków, a potem uspokajali się i zapadali w stan letargu kontemplacyjnego.

Od czasu do czasu któryś z nich rzucał tylko pozornie

losową frazę, na przykład „dwumian nieokreślony w kwadracie” albo „sieczna kąta przecina oś obrotu”. Reszta wtedy albo kiwała poważnie głowami i zasepiała się jeszcze bardziej, albo zmieniała pozycję, wygłaszała jakąś równie enigmatyczną replikę i znów zapadała w milczenie. Taka milcząca, wirtualna dyskusja potrafiła trwać godzinami, tocząc się równolegle w głowie każdego z nich i w jakiejś przedziwnej, eterycznej przestrzeni kolektywnych rozmyślań.

– Prędkość rotacji nie może być zależna od wzajemnego sprzężenia – z naciskiem powtórzył wynalazca.

– Gerhardzie, potrzebny nam jest... arbiter. – Nemmersdorf zdawał się nie zwracać uwagi na kolegę. – Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek sprzężeń zwrotnych.

– Naturalnie, *Herr Professor*.

– Powiedz mi, Gerhardzie: jaki szyfr jest najskuteczniejszy?

– Oczywiście – wypalił od razu Keller, a potem pożałował. Mógł przecież powiedzieć coś bardziej uczzonego! Jednak Scherbius uniósł głowę, popatrzył na niego uważnie. Nemmersdorf kiwnął, splatając palce dłoni pod brodą.

– Rozwińcie myśl, fanenjunker Keller. Jaki szyfr jest najbardziej oczywisty?

– Taki, którego istnienia nikt nie podejrzewa. Szyfr, zamaskowany jako coś zupełnie innego.

– Jaki zatem symbol najskuteczniej zamaskuje, dajmy na to, literę A?

Tym razem Keller pomyślał chwilę, ale odpowiedź nasunęła mu się niemal sama.

– Inne A, panie profesorze. Zanim ktokolwiek weźmie pod uwagę możliwość, że klucz celowo pominął jeden symbol w szyfrowaniu, będzie musiał sprawdzić wszystkie inne opcje.

Nemmersdorf skrzywił się i machnął włochatą ręką, dając mu do zrozumienia, że nie jest już potrzebny. Gerhard skłonił się, mimo wszystko zaszczycony, że dopuszczono go do tak intymnego sporu. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Zmieszali cię z błotem? – zagadnęła Erika.

– W zasadzie to nie, ale chyba któremuś z nich podpadłem. Nie jestem tylko pewien któremu. – Keller wzruszył ramionami.

– Powiedziałeś to, co uważałeś za właściwe. Profesor nie traktowałby cię tak, gdyby wiedział, że będziesz mu tylko potakiwać.

Gerhard zaśmiał się.

– Ba, gdybym chociaż wiedział, jak można to zrobić! Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy potrafią odnaleźć się w każdej sytuacji, wiedzą, co powiedzieć...

– Hipokrytom i oportunistom? – prychnęła z pogardą Erika. – Nie podejrzewałam pana o to, panie fanenjunker! Poskarżę się podporucznikowi Grossmannowi... Chyba że wstydzi się pan przedstawić mnie koledze!

Keller podszedł do niej od tyłu, a gdy podniosła się na palcach, żeby wsunąć pudło z papierami na wyższą półkę,

delikatnie położył jej ręce na talii. Erika zamarła bez ruchu, wstrzymała nawet oddech.

– Proszę nawet tak nie mówić, *Fraulein Scharfe* – szepnął na ucho, czując, jak kręci mu się w głowie od zapachu jej włosów.

Trwali tak chwilę, a potem na korytarzu trzasnęły drzwi. Podskoczyli obydwój, niczym przyłapani na schadzce nastolatki. Keller odchrząknął, dziewczyna wepchnęła pudło na miejsce, zakręciła się, nie patrząc mu w oczy, schowała w pokoiku obok.

– Herbata? – rozległ się po chwili jej głos, jak gdyby nigdy nic.

Keller wzniósł oczy w geście bezradności. Nigdy nie radził sobie z tego typu sytuacjami towarzyskimi.

– Ja... tak, poproszę.

Wyszła, niosąc tacę, na niej imbryczek i dwie filiżanki na porcelanowych spodeczkach. Cukier, mleczko, nawet powidła... Pokręcił głową.

– Nie dziwię się, że profesor nie dawał sobie bez ciebie rady.

– Profesor jest nazbyt rozpieszczony przez komplementujących go znajomych i uczniów. – Erika naląła herbaty, nie pytając Gerharda, posłodziła i dodała mleka. – On jest jak duże dziecko. Zabiera sobie tyle przestrzeni, na ile mu pozwolić. Wystarczy ustalić pewne reguły i nie ma problemu.

– Ze też nikomu poza tobą to się nie udaje...

Erika uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami.

– Nikt nie próbuje, najwyraźniej. Ja też nie próbuję, tylko po prostu to robię. Powiedz mi, Gerhardzie, czy to wypada? Żeby kobieta miała o coś prosić trzeci raz?

– Absolutnie nie. Jeszcze dzisiaj spotkam się z Teodorem i umówimy jakieś podwójne rendez-vous.

– Podwójne?

Keller kiwnął głową, uśmiechnął się kącikiem ust.

– Tak. Wygląda na to, że nasz przyjaciel...

– TWÓJ przyjaciel, Gerhardzie. Naprawdę chcesz mnie zdenerwować?

– ...że podporucznik Grossmann to prawdziwy amant. Słyszałem, że ponoć widziano go, jak późnym wieczorem spacerował po mieście z tą amerykańską śpiewaczką, jak jej tam...

– *Miss Jennifer!* – Erika aż zapiszczała z radości. – Zna ją? Naprawdę? Och, to cudownie! Koniecznie, koniecznie musimy się z nimi spotkać w takim razie! Dasz radę to załatwić? Proszę, proszę, proszę...

Gerhard ujął jej dłoń, pocałował, patrząc dziewczynie głęboko w oczy.

– Dla ciebie wszystko.

– Rozumiem. Tak, dziękuję bardzo, panie radco. Polecam się łaskawej pamięci.

Konsul von Hohenfurst odwiesił słuchawkę telefonu na widełki i odchylił się w fotelu. Kolejna rozmowa i zupełnie zero jakichkolwiek przydatnych informacji.

Najpierw sprawdził tego całego Heilensteina na lewo i na prawo, łącznie z tym, że zadzwonił do znajomego w

Breslau, akurat znającego tamte rejony. No tak, owszem, jest taki ktoś w tym całym Troppau. Rzeczywiście, ma kilka zakładów, robi interesy wszędzie i z każdym. Jest u was, w Königsbergu? No proszę, pewnie wyczuł pieniądze nosem, ha, ha. Stal, głównie stal i maszyny, ale nic szczególnego.

Natomiast Grossmann... Ten zdawał się jedną wielką niewiadomą.

Cały jego regiment zginął w trakcie ofensywy piętnastego roku, on jakimś cudem uchwycił się w rosyjskiej niewoli. Odnaleziony, odratowany i odkurowany w szpitalu dla weteranów pod samym Baden-Baden, następnie na własne życzenie przekierowany na front zachodni. Same pozytywne opinie dowódców, akty bohaterstwa w szturmach i obronie, awanse i pochwały, w końcu brawurowa akcja jedenastego kwietnia tego roku. Krótka rekonwalescencja, zamieniona następnie na urlop zdrowotny. Akurat tutaj, w odległym Königsbergu... Dlaczego?

Konsul von Hohenfurst nie miał cienia wątpliwości, że w sytuacji, której był świadkiem, to właśnie odznaczony Krzyżem Żelaznym bohater bitwy pod Arras grał pierwsze skrzypce. Heilenstein jest przerażony, chce się do czegoś przyznać – a potem pod błahym pretekstem wchodzi Grossmann i tamten ucieka.

Ucieka z miasta, jak się okazało – bo przemysłowiec wyprowadził się z hotelu i podobno wyjechał z Prus w kierunku swego rodzimego Śląska. Równie nagle, jak przyjechał, tak i zniknął!

Mannfried raz jeszcze przejrzał listę znanych powiązań Heilensteina w Królewcu. Niby nic tych ludzi nie łączyło... a jednak...

Wyjrzał przez drzwi, polecił sekretarce zawołać szyfranta. Gdy Braunfeld wszedł i przysiadł, swoim zwyczajem, na brzeżku krzesła, podsunął w jego kierunku dwie teczki dokumentów.

– Mam dla pana zadanie, *Herr Braunfeld*. Mam tutaj profile ludzi. Trzeba sprawdzić, co ich łączy.

Szyfrant skrzywił się ledwo zauważalnie, ale wziął dokumenty, przejrzał.

– To robota dla wywiadu, panie konsulu... Co ja mogę? Tu trzeba pracę operacyjną pewnie jakąś zrobić, z kimś na mieście pomówić. A ja siedzę tylko w mojej klitce pod schodami, nawet słońca czasami nie widzę. Teraz też przecież mam zaległe depesze, po tym zamieszaniu z Zimmermannem...

Konsul westchnął, pokiwał głową: rzeczywiście, wiosna tego roku była co najmniej brzemienna w wydania. Ich niemieccy sojusznicy już jakiś czas romansowali na odległość z Meksykiem, który skutecznie zachował Stany Zjednoczone, nieśmiało smalące cholewki do państw enty. Minister spraw zagranicznych Zimmermann zdecydował, że pora podgrzać atmosferę, wysyłając do ambasadora w Meksyku tajną depezę: Niemcy proponowały Meksykowi sojusz, pomoc i wsparcie dla roszczeń terytorialnych wobec USA, jeżeli te w obliczu planowanej totalnej wojny podwodnej jednak przystąpią

do konfliktu.

Złota zasada zalotów na odległość: nigdy nie wysyłaj swoich fotografii nieznanym. Szczególnie TAKICH.

Oczywiście okazało się, że Brytyjczycy już od pewnego czasu muszą czytać ich szyfry, więc rzekomo tajna depeza wypłynęła na pierwszych stronach gazet. Paradoksalnie, doprowadziło to do wręcz odwrotnego skutku do zamierzonego – USA z pełną pompą dołączyły do koalicji, śląc na front żołnierzy, lotników i zaopatrzenie. Zaś Meksyk coraz głębiej grzązł w odmętach wojny domowej. Minister Arthur Zimmermann jeszcze trzymał się swego stołka, ale jego dni były policzone, zaś zamieszanie w służbach dyplomatycznych sięgało zenitu.

– Ja wszystko rozumiem, panie Braunfeld. Ale potrzebuję, żeby popatrzył na to właśnie pan. Świeżym okiem, że tak powiem. Da pan radę?

Szyfrant kiwnął, pokazał tylko w kilka miejsc.

– No dobrze. Ale ja bym poprosił, żeby wszystkie personalia zamazać. Podstawić, nie wiem, ikсы i igreki albo coś takiego.

Von Hohenfurst zdziwił się.

– Po co?

– Bo to czysta matematyka, panie konsulu. – Tamten rozłożył ręce. – Jak wyciąć nazwiska, to łatwiej się myśli, bez uprzedzeń. Nie sugeruje się człowiek niczym. Z szyframi podobnie jest, że trzeba z czystą głową zaczynać.

Von Hohenfurst pokiwał, przekazał teczkę sekretarzowi i zdawkowym ruchem pokazał, że w takim razie

szyfrant może już iść. Gdy za Braunfeldem zamknęły się drzwi, zapalił papierosa i z zadumą spojrzął w okno.

– Jak wyciąć nazwiska, to człowiek się niczym nie sugeruje – powtórzył sam do siebie.

Wyciągnął z teczki archiwalnej numer tegorocznej gazety ze zdjęciem Grossmanna na pierwszej stronie. Przyłożył do tego kopię zrobionej jeszcze w pierwszych miesiącach wojny fotografii z archiwum wojskowego.

Zamrugnął i potrząsnął głową.

Gdy mężczyzna podszedł do stolika, Grossmann uśmiechnął się, wstał i wyciągnął rękę na powitanie:

– Podporucznik Teodor Grossmann, Ósma Dywizja Drugiego Korpusu Piechoty. Bardzo mi miło pana poznać.

– Pan podporucznik nie musi się przedstawiać. – Korpulentny bankier uśmiechnął się. Miało się wrażenie, że w jego uśmiechu było o dobrych kilka zębów więcej, niż powinno mieścić się w ustach. – Matthias Fohn, Schweizerische Bankgesellschaft, kanton Zug. Dziękuję bardzo, że odpowiedział pan na moje zaproszenie. Rozumiem, że ma pan podporucznik prawo do odrobiny spokoju podczas zasłużonego urlopu...

Teodor pokazał ruchem ręki na kapiące od wykwintnych zdobień wnętrze „Bellevue” – jednej z najlepszych, a na pewno najdroższej restauracji ścisłego centrum Königsberga.

– Panie Fohn, doprawdy! Jeśli to nie jest odpoczynkiem, co innego miałoby nim być?

Pojawił się kelner, podał im menu i zniknął.

– To wyłącznie przynęta, panie podporuczniku. – Bankier nasadził na nos staromodne binokle i odsunął od siebie kartę, próbując rozczytać kaligrafowane litery. – Jakoś musiałem pana tutaj zwabić, prawda?

Grossmann uśmiechnął się, lustrując wybór dań. Gdy na przyjęciu dwa dni temu zagadnął go von Hantzsch, od razu poczuł, że coś jest na rzeczy. Graf w typowy dla siebie, egzaltowany sposób począł tłumaczyć mu, że musi, absolutnie, nieodwołalnie musi poznać pewnego człowieka! Bo tamten, drogi panie podporuczniku, bo tamten to przecież taki finansista, że ach! I och, uch, ech oraz kilkanaście innych eksklamacji, którymi hojnie szafował stary von Hantzsch, podskakując przy tym i zacierając ręce.

Teodor nie miał nawet cienia wątpliwości, że rzeczony bankier musiał już zawczasu sownie odwdzińczyć się za pośrednictwo, bo co innego miałyby tak dobrze przekonać grafa do występowania w roli swatki?

No tak, były jeszcze kobiety.

Zamknął i odłożył kartę.

– Zdążył pan już dogłębnie poznać atrakcje Königsberga, *Herr Fohn*?

Finansista błysnął okularami, uśmiechnął pod prostokątnym wąsikiem.

– Powiedzmy, panie podporuczniku, że staram się raczej smakować miasto po trochu. Za dużo wrażeń naraz potrafi sprawić, że człowiek zapomina o celu, z jakim w dane miejsce jechał.

– To prawda, Królewiec potrafi cokolwiek oszołomić.

Znów zjawił się kelner, więc zamówili jedzenie i picie, przy czym Fohn wybrał absolutnie najdroższą butelkę reńskiego wina z ostatniej dekady ubiegłego stulecia. Rozmowa zesłała na standardowe tematy towarzyskie: pogoda, architektura, ludzie, wojna... Kobiety. Tymczasem pojawiły się wykwintne dania, więc przystąpili do konsumpcji: bankier wgryzł się w swoją sztukę mięsa, Grossmann wprawnymi ruchami filetował rybę.

– ...moje sprawy z Königsberger Sparkasse, jak pan rozumie, wymagają pewnych, hm, znajomości. – Fohn ciągnął przydługawą już myśl. – Stąd właśnie trafiłem na grafa von Hantzscha, który, naturalnie, opowiedział mi o znajomości z panem...

– Naturalnie – powtórzył Grossmann, uśmiechając się znacząco.

– ...więc widzę, że obydwaj mamy o grafie podobne zdanie. Podobnie dobre, rzecz jasna. I pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, to nie mogę sobie odmówić takiej okazji i nie spróbować przy okazji załatwić pewnej... prywaty.

Teodor pokręcił głową, cmoknął.

– Jestem zdruzgotany. Już miałem nadzieję, że spotykamy się czysto towarzysko, a pan naprawdę zainteresowany jest moimi przewagami wojennymi.

– Szwajcaria to kraj neutralny, podporuczniku. Wojna jest dla nas wyłącznie...

– Okazją – odpowiedział Grossmann. Bankier po-

trząsnął głową, rozbawiony.

– Wydarzeniem, powiedziałbym. I w związku z tym chciałem przekazać panu coś, co sądzę, że stanie się przyszłością. Rzeczą nieodzowną zarówno dla was, walczących, jak i dla nas, neutralnych.

Fohn wyjął z torby i podał mu pięknie zapakowane pudełeczko z lakierowanego drewna, wyłożone w środku szarym sukniem. Wewnątrz leżał...

– Zegarek. Jestem, doprawdy, zawstydzony. – Grossmann wyjął podarek, obrócił w rękach z prawdziwym zachwytem. – Nie mam nawet jak się panu odwdzięczyć, Herr Fohn. Więc uważacie, że wojna tak bardzo wpłynie na trendy życia cywilnego?

– Zegarki kieszonkowe, *Herr Leutnant*, to przeżytek. Ten natomiast będzie pan mógł mieć ze sobą zawsze i wszędzie.

Grossmann przymierzył chronometr na nadgarstek, chwilę pomęczył się z paskiem, aż w końcu udało mu się przełożyć go przez sprzączkę. Na próbę uniósł rękę do oka, popatrzył. Opuścił, uniósł jeszcze raz, zamknął wieczko, potem otworzył. W końcu przyłożył dłoń do serca.

– To naprawdę przepiękna rzecz, *Herr Fohn*. Srebrny rolex, w dodatku z imiennym grawerunkiem... Nie wiem, czy mógłbym sobie pozwolić na taki zbytek z mojej skromnej pensji oficera. To może wywołać niepotrzebne pytania.

Bankier rozłożył ręce w geście bezradności.

– Proszę odpowiadać zgodnie z prawdą, że dostał go

pan od firmy właśnie po to, żeby inni o niego pytali. Jak mawia mój znajomy: niech mówią, co chcą, byleby nazwisko poprawnie wymawiali.

– Aluzję zrozumiałem. Postaram się, aby firma nie pożałowała inwestycji. Oczywiście wiozł go pan specjalnie dla mnie?

– Ależ oczywiście. – Fohn uśmiechnął się kwaśno. – Cieszę się, że można z panem podporucznikiem rozmawiać otwartym tekstem. To bardzo rzadka cecha w dzisiejszych czasach.

– Skoro już do tego dotarliśmy, to w jaki sposób ja mógłbym odwdzięczyć się panu?

– Mógłby pan wybrać deser. Herbata czy kawa? A może coś mocniejszego?

Grossmann uniósł brew, ale nie powiedział nic. Bankier najwyraźniej chciał wyrobić sobie kredyt wdzięczności na przyszłość – no cóż, miał do tego prawo. Zastanawiające jednak było to, że to on poprosił o spotkanie, w dodatku wyznaczył tak luksusowe miejsce i... i nic. Albo miał zamiar poprosić kiedyś o jedną rzecz, ale za to dużą, albo taki miał już styl.

Była też trzecia możliwość, która najmniej się Grossmannowi podobała: że było coś, czego w tej chwili nawet się nie domyślał. Fohn mógł wyglądać jak typowy rozrzutny finansista, ale pozory zawsze, bez wyjątku, w każdym wypadku myliły.

Pogawędzili jeszcze jakiś kwadrans o wszystkim i o niczym, a potem Grossmann zasłonił się obowiązkami

służbowymi, podziękował za obiad i pożegnał się. Fohn nie wyglądał na niezadowolonego ani tym bardziej zawiedzionego: znać było, że dokładnie taki przebieg spotkania sobie zaplanował.

Teodor wyszedł na ulicę, machnął na pierwszą taksówkę.

– Defensionenkaserne Kronprinz – rzucił, pełen złych przeczuć. – Tylko szybko!

Starając się nie pokazać wzburzenia, zameldował się na wejściu, po czym od razu zapytał oficera dyżurnego, czy nikt nietypowy nie wchodził do budynku. Na wszelki wypadek przejrzał jeszcze rejestr wejść i wyjść, zakonotował w myślach trzy nazwiska osób, które przewinięły się, podczas gdy on rozmawiał ze Szwajcarem.

Udając, że nie może znaleźć klucza w kieszeni, dokładnie obejrzał drzwi do swojej kwatery. Wątpliwe, żeby ktoś próbował otwierać je siłą bądź wytrychami, ale...

W środku też nic nie znamionowało próby czy to włamania, czy nawet przeszukania. Poza tym i tak nie posiadał w swoich rzeczach nic, co mogłoby wzbudzić chociażby cień podejrzenia. Wszelkie informacje niejawne już dawno nauczył się trzymać poza zasięgiem postronnych, czyli we własnej głowie.

Co nie zmieniało faktu, że tamtej nocy z Jennifer ktoś go śledził. I teraz ta dziwna rozmowa... Nie było wykluczone, że z jakiegoś powodu trafił w orbitę zainteresowania Abteilung IIIb, niemieckiej służby wywiadowczej.

Usiadł przy biurku, odkręcił pióro wieczne i sięgnął po

czystą kartkę. Postanowił, że zadziała uprzedzająco i napisze do dowództwa raport z przyjęcia takiej to a takiej korzyści materialnej od obywatela państwa trzeciego. Jeśli nawet spotkanie z Fohnem było częścią jakiejś intrygi, to zawsze będzie miał odpowiednią podkładkę, żeby się z tego wybronić.

A jeśli nie? No cóż, wtedy niech się o to martwi sam bankier.

ROZDZIAŁ VIII

Enchante, mademoiselle. – Keller strzelił obcasami, całując szczupłą dłoń panny Zoransky. Jennifer zatrzepotała rzęsami.

– Och, pan fanenjunker jest prawdziwym rycerzem. To tak uroczy zwyczaj, a tam, w Stanach, mało kto już tak robi. Cudownie jest być w Ojczyźnie!

– Panie podporuczniku. – Erika wyciągnęła rękę do Grossmanna. – Niemało o panu słyszałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *Fraulein* Scharfe. Mogę wyłącznie odwdziaczyć się pani pięknym za nadobne i powiedzieć, że od razu wyczytałem w oczach Gerharda, że będę musiał się nim z panią podzielić...

Keller roześmiał się, lekko zawstydzony, klepnął Grossmanna w ramię.

– Daj spokój, Teodor! Ostrzegłem już Erikę, że jesteś znanym konfabulantem, więc nie wolno dawać wiary połowie tego, co wygadujesz!

Rozsiedli się przy zarezerwowanym stoliku w „Palast-Cafe”, Keller wyciągnął papierośnicę, poczęstował Grossmanna, a po chwili wahania patrzącą też na niego wymownie Jennifer. Amerykanka wsunęła papierosa w długą, srebrną lufkę, poczekała, aż Teodor usłużnie pstryknie zapalniczką, dopiero wtedy zaciągnęła się i skomentowała:

– A jednak nie wszystko tu, w Europie, jest lepsze. Żeby kobieta musiała przymawiać się o papierosa!

Erika ostentacyjnie wzięła ciasteczko z tacki, pokazując całą sobą, że nie potrzebuje żadnych rewolucji obyczajowych.

– *Miss Zoransky* jest, jaki widzę, kobietą postępową. Ja zawsze uważałam palenie za obrzydliwy zwyczaj.

Keller zakrztusił się papierosem, czym prędzej zdusił go w popielniczce i wyszczerzył się uśmiechem do swej damy. To ona chciała się przecież spotkać z Amerykanką, a teraz laki początek rozmowy...! No cóż, nie mógł wymagać od kobiety, żeby myślała albo zachowywała się logicznie.

Jennifer rzuciła Grossmannowi powłóczyście spojrzenie, rozchyliła usta i wypuściła idealne kóleczo z dymu.

– Postęp to coś nieuniknionego – stwierdziła. – Wojna zmieniła dużo, a zmieni jeszcze więcej. Słyszeliście, co dzieje się w Rosji?

Erika i Gerhard pokręcili głowami, zaciekawieni. Teodor uniósł brew w doskonałe wyuczonym geście zaciekawienia.

– Jeśli ma pani na myśli rewolucję... – zaczął Keller, ale Jennifer przerwała mu ruchem ręki.

– Rewolucja to jedno, panie fanenjunker, ale zapewniam pana, że przewroty pałacowe najmniej mnie interesują. Niech zrobią z tym carem, co chcą, skoro tak nieudolnie nimi rządził...

Grossman zacisnął pięści pod stołem.

– ...ale tam dzieją się o wiele ważniejsze rzeczy,

przecież tylko patrzeć, jak kobiety będą służyć w ich armii na równi z mężczyznami! I niech mi pan tu nie próbuje pogardliwie parskać, panie Keller!

– Kobiety w armii? – wydał wargi Gerhard. – To przecież jakaś mrzonka, utopia. Nie to, żebym się z tego nie cieszył, bo naszym na froncie wschodnim przyda się trochę odpoczynku, ale... Nie uważa pani, że to zakłócenie porządku rzeczy?

Erika kiwnęła głową na znak, że zgadza się z powiedzianym i uważa kobiece bataliony za aberrację równie absurdalną, jak kobietę palącą papierosa. Spojrzała pytająco na Grossmanna, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie, zaraz po niej to samo zrobiła Jennifer. Każda z nich czekała, że to właśnie jej stronę weźmie podporucznik.

Ten powiódł po nich wzrokiem, wydmuchnął strużkę dymu w czyste, letnie niebo.

– Nie należy nie doceniać siły ludu, a to właśnie widać teraz w Rosji; to raz. Kobieta jest tak samo zdolna do noszenia broni jak mężczyzna, i nie mam co do tego wątpliwości, to dwa...

– Ha! – Jennifer klasnęła w ręce. – Widzi pan, *Herr Fahnenjunker!* Nawet pana starszy stopniem kolega...

– ...ale kwestia skuteczności kobiet w pełnowymiarowym starciu pozostaje sprawą otwartą. To nie to samo, *Fraulein*, co palenie papierosów albo noszenie spodni, tak jak robią to łączniczki na froncie zachodnim. Tak, tak, i nie patrzcie na mnie tak dziwnie. Jestem pełen podziwu dla

odwagi tych kobiet, niezależnie od tego, pod jaką flagą i przeciwko komu walczą, bo mają na tyle hartu ducha, by spróbować robić to, czym od wieków zajmują się mężczyźni. To tyle.

Umilkli, cokolwiek skonfundowani. W końcu panna Scharfe spróbowała innego podejścia.

– Nie sądzi pan jednak, będąc kawalerem Krzyża Żelaznego, że próbowanie nie może być cenione na równi z osiągnięciem?

Nigdy nie był w stanie przypomnieć sobie, co dokładnie się wtedy wydarzyło.

Pamiętał jakieś oderwane fragmenty, ale nijak nie potrafił poskładać ich w logiczną całość: ostrze łopatki uderzające o płytki hełm z rondem... czyjeś ręce, usiłujące sięgnąć mu do oczu... twardą, chropowatą rękonoż bagnetu, który wyrwał jednemu z wrogów, całą mokrą od krwi Bischoffa, który płakał już wtedy na ziemi, próbując zatamować sikającą z brzucha krew.

Pamiętał patrzącą mu w twarz lufę rewolweru, doskonale widział spadający kurek i prawie słyszał, jak iglica uderza w zbitą już wcześniej splotkę naboju. Potem wyraz złości i przerażenia na twarzy odrzucającego bezużyteczną broń oficera, a następnie tę samą twarz, ale już pozbawioną jakiegokolwiek mimiki, bo zamienioną w krwawą miazgę.

I to uczucie śliskości na dłoniach, pochlapanych krwią i mózgiem...

Coś drgnęło w twarzy Grossmanna, jak gdyby zabo-

lała go jakaś drzazga ukryta głęboko w duszy Przywołał uśmiech.

– Znałem wielu ludzi, których bohaterstwo nie do-
czekało się nagrody, bo nie było już kogo nagradzać. Je-
dyną moją zasługą jest to, że przeżyłem. Krzyż, który no-
szę, należy po części do wszystkich moich ludzi. Przede
wszystkim do tych, którzy w nagrodę dostali tylko dwa i
pół kroku ziemi.

– Dwa i pół kroku...? – zdziwiła się Erika, ale Keller
pospiesznie wyjaśnił:

– To taki żargon frontowy. W ten sposób mierzą
wielkość mogił: dwa kroki na szerokość, pół kroku dłu-
gości na każdego chowanego.

Umilkli wszyscy, w końcu *Miss Zoransky* znacząco
się uśmiechnęła.

– Może na tym zakończmy tematy wojenne, jeśli
państwo pozwolą. Zgadzą się co do tego, że czasy się
zmieniają, a to, jak na te zmiany reagujemy, jest wyłącznie
naszą indywidualną sprawą. Pokój?

Wyciągnęła rękę do Eriki ponad stołem. Ta, nieco
zawstydzona, potrząsnęła dłonią, ale po chwili hardo
uniosła głowę, spojrzała śpiewaczce prosto w oczy.

– Pokój. I przepraszam za moją uwagę, była nie na
miejscu. Zostałam wychowana w duchu mocno konser-
watywnym, ojciec był pastorem w Pillau. Gdyby wiedziała
pani, jaką urządził mi awanturę, gdy przyszłam kiedyś do
domu z umalowanymi ustami!

Jennifer pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Moi dziadkowie pochodzili z malusieńkiej miścinki pod Johannisburgiem, taka dziwna nazwa... Bialla bodajże. Pamiętam, jak dziadunio, już w Ameryce, oburzał się dosłownie na wszystko wokół: na czarnych, żółtych i śniadych, na elektryczność w domach, kinematograf...

– A mimo to został za oceanem? – wtrącił Keller.

– Tak, oczywiście! Nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej, podobnie moi rodzice i potem ja. Ale jakimś cudem trafiła mi w ręce ta gazeta, tam było zdjęcie: Hindenburg oglądający zdobyczne rosyjskie armaty na rynku jakiegoś malutkiego, prowincjonalnego miasteczka, i ten podpis: *Unser Hindenburg in Bialla*. Wtedy coś we mnie drgnęło, uświadomiłam sobie, że gdzieś tam daleko, na ziemi moich przodków, toczy się wojna.

Erika siorbnęła herbaty. Po początkowym okresie tarć, teraz niczym zaczarowana słuchała opowieści swej idolki.

– I wtedy zdecydowała pani, że wraca? – zagadnęła, Jennifer potrząsnęła rudymi lokami.

– Wstyd się przyznać, ale nie. Powinnam pewnie tak mówić, to lepiej wygląda w gazetach... Prawda jednak jest taka, że nie miałam żadnego nagłego olśnienia patriotycznego, po prostu wtedy zaczęłam o tym myśleć. Dojrzewało to jakiś czas, a potem, kiedy nasz... to jest amerykański rząd wypuścił ten bezczelny paszkwil przeciwko Zimmermannowi, nie dałam dłużej rady. Do tego ten incydent na moim koncercie...

– Niech pani nie mówi, że to prawda? – Keller wsparł się łokciami o stół. – To, co piszą o nagonce na Niemców?

– Absolutnie tak. Odmowa obsługi w sklepach, kilku naszych znajomych zmuszonych do rezygnacji z życia politycznego, ostracyzm społeczny. Stany okazały się krajem wolności tylko z nazwy... Podobnie jak Niemcy tylko w obiegowej opinii są pruderyjni i powściągliwi.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i puściła oko do Eriki. Widać było, że obie panie podzieliły już terytoria wpływów i zaczynały zadzierzgać więź. Keller nachylił się do Grossmanna, starając się puścić mimo uszu ostatnie zdanie, szepnął:

– Jak się trzymasz, staruszkule? Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem twoich podbojów...

– Bynajmniej. – Teodor uśmiechnął się kącikiem ust. – Jennifer nie jest zdobyczą, a ja nie prowadzę kampanii wojennej. Po prostu ułożyło się tak, że dobrze się dogadujemy.

– A to, że jesteście po imieniu, to czysty zbieg okoliczności – podsumował Keller.

– Zazdrościsz?

– A ty?

Grossmann zerknął na pannę Scharfe.

– Uważaj, bo jeszcze powiem prawdę. To ty upolowałeś sobie rzadkiej urody łanię, naturalną i świeżą jak rosa o poranku... Prawdziwą, a nie udawaną. I to jest w niej najpiękniejsze.

Jennifer zauważyła, że przyjaciele szepczą między sobą, więc stuknęła kostkami palców o blat.

– Wstyďte się, panowie! Panna Scharfe i ja doma-

gamy się pełnego ujawnienia treści waszych poufnych depesz!

– Wyłącznie chwaliliśmy urodę pięknych dam. – Keller rozłożył ręce w geście niewinności. – Mogę przysiąc na honor niemieckiego oficera.

– Tak było – potwierdził Teodor. Mogło mu się tylko wydawać, ale miał wrażenie, że przyłapał Erikę, jak ta kilka razy ukradkowo patrzyła na niego i błyskawicznie odwracała wzrok, gdy tylko Grossmann spoglądał w jej kierunku. Ech, kobiety...

– Piękny zegarek, panie podporuczniku. – Uśmiechnęła się w końcu do niego.

– Słucham? Ach... – Teodor podwinął rękaw munduru. – Tak, to prezent. Jeszcze się do niego nie przyzwyczailem, ale przyznaję, że pomysł jest nawet, nawet praktyczny.

Zdjął czasomierz, podał Ericę, która z wyraźnym zaciekawieniem obejrzała kopertę, pstryknęła blokadą wieczka i przyłożyła do ucha, żeby posłuchać miarowego szumu mechanizmu.

– Więc również pan przyłącza się do koterii zmian i rewolucji? – Przekazała zegarek Jennifer, która wprawnym okiem oceniła wagę srebra, jakość zdobień i grawerki, a potem podała go Kellerowi.

– Nie mam wyboru, jak się okazuje. Nowoczesność dogania mnie nawet na urlopie.

Gerhard pokiwał z uznaniem, bardzo ostrożnie oddał chronometr przyjacielowi.

– Przepiękny, profesor byłby zachwycony. Jeśli to nie

tajemnica, kto przywiózł do Königsberga takie cacko?

– Tajemnica żadna, w zasadzie proszono mnie właśnie, bym wszem, wobec rozpowiadał, że to wyraz uznania od Rolexa... Nie jestem tylko pewien, za co.

– *Product placement*. – Miss Jennifer zgasła papierosa. – W Stanach to już standard: firmy dają znanym ludziom swoje produkty, żeby ci pokazywali się z nimi na mieście. Tyle wystarczy. Właśnie zrobił pan Rolexowi darmową reklamę.

Grossmann zapiął pasek na rękę, uśmiechnął się powątpiewająco.

– Nie jestem pewien, czy do końca darmową. A odpowiadając na twoje pytanie, Gerhardzie: niejaki Matthias Fohn. Przyjechał tutaj na rozmowy z królewiecką kasą oszczędnościową, wydaje mi się jednak, że planuje upiec przy jednym ogniu co najmniej kilka pieczeni...

Zaśmiali się, potem Jennifer zagadnęła Erikę o osobliwości lokalnej kuchni i rozmowa zeszła na inne tory. Uwadze Grossmanna nie uszło jednak zainteresowanie Kellera zegarkiem i wzmianka o jego pryncypale, profesorze Nemmersdorfie. Czyżby Szwajcarowi chodziło właśnie o niego? Ale czego finansista miałby chcieć od naukowca?

– ...musimy, koniecznie! Teodorze, nie będziesz miał chyba nic przeciw?

– Hm? – Grossmann drgnął, wyrwany z zamyślenia.

– Panie podporuczniku, udzielam panu nagany. – Jennifer dmuchnęła na niego chmurką dymu z kolejnego

papierosa. – Mógłby pan przynajmniej udawać, że interesuje go nasze towarzystwo. Jeśli jest inaczej, to fanenjunker Keller pojedzie na wycieczkę z dwiema damami...

Erika zachichotała, zaś Keller chrząknął znacząco i kopnął Teodora w kostkę pod stołem.

– Absolutnie pojedziemy – zapewnił Grossmann. – Tylko dokąd?

Kocie oczy *Miss Zoransky* błysnęły ekscytacją.

– Bałga! Pierwszy zamek Teutonów na tych ziemiach, miejsce, gdzie wszystko się zaczęło! To ponoć właśnie tam wylądował pierwszy chrześcijański misjonarz, zabity bestialsko i bez powodu przez pogańskich Prusów...!

– To nie do końca tak – nieśmiało wtrącił Keller. – Święty Wojciech raczej nie lądował akurat tam, bo zginął zupełnie w innym miejscu, bodajże pod... Erika, poratuj mnie.

– Reichenbach – bez zastanowienia rzuciła panna Scharfe.

Jennifer zacisnęła usta i zmarszczyła brwi w udawanym gniewie.

– Proszę nie psuć mi nastroju ekspedycji! Pojedziemy tam i zobaczymy ruiny zamku, które na pewno będą pełne starożytnych tajemnic i niewyjaśnionych, mrocznych zagadek przeszłości!

– Na pewno nie zabraknie tam krwi. – Grossmann pokiwał głową. Popatrzyli na niego, zaskoczeni. – Skąd to zdziwienie? To przecież tereny podmokłe, bagienne. O tej porze roku komary zjedzą nas żywcem.

Miss Zoransky chyba chciała się mu odgryźć jakimś ciętym tekstem, ale zamiast tego ujęła go pod ramię, kładąc głowę na pagonach.

– Na szczęście mamy tu rycerzy, którzy obronią nas przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Jesteśmy więc umówieni?

ROZDZIAŁ IX

Zamek rzeczywiście robił wrażenie – potężna, prostokątna budowla z cegły wznosiła się nad samym brzegiem morza, rozbijającego się fala za falą o kamienistą zatokę dawnej przystani.

Czas i ludzie zrobili jednak swoje: czerwona dachówka trzymała się wyłącznie na zupełnie niedostępnej dla szabrowników północnej wieży, okna i drzwi pozostały tylko nieregularnymi otworami w murach. Widać jeszcze było osmalone miejsca po niegdysiejszych paleniskach kominków i odznaczone w murach stopnie schodów; tu i ówdzie z wyblakłej polichromii spoglądała pełna zadumy twarz świętego albo rycerza z dawnych czasów.

Było gorąco, wręcz parno. Świerszcze grały tak, że aż dudniło w uszach, rechot żab niósł się echem nad zarosniętymi trzcina rozlewiskami. Wysoko nad morzem krążyły białe mewy, wijące gniazda w załomach umocnionego gładzi nabrzeża.

– Ufff... – Grossmann odstawił koszyk z jedzeniem, rzucił na ziemię koc i otarł mokre od potu czoło. Popatrzył na panie, wlokące się brukowaną drogą, dzielnie prowadzone i podtrzymywane na duchu przez Kellera. Ten ostatni uśmiechał się wymuszenie i usilnie starał się pokazać, że ma jeszcze siłę. – Chodźcie, tu w cieniu jest trochę chłodniej! Czuję już wiatr od wody.

– Pięknie tutaj, ale ja już mam dość. Możemy wracać – sapnęła Jennifer, bez cienia scenicznej gracji klapnąwszy na przydrożnym kamieniu. Erika oparła się o mur, całą sobą chłonąc rześki chłód wilgotnej cegły. Stała tak chwilę, potem uśmiechnęła się do Kellera, też zlanego potem.

– Nie no, skoro już jednak dotarliśmy... Szkoda byłoby nie zrobić tego pikniku.

– Odpoczniemy tutaj, choćby miało nas to zabić – Grossmann twardo powtórzył już raz rzucone hasło. Złapał za kosz, zarzucił niemiłosiernie grzejący koc na ramię. – No już, moi mili państwo! Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków dzieli nas od zbawiennej rześkości morskiej bryzy.

Wybrali się z Kellerem na wycieczkę w pełnej glorii i chwale mundurów, czego pożałowali już w pociągu, nagrzanym od szybko pnącego się po niebie słońca. Gdy wysiedli na stacji w Quilitten, starszy stopniem Grossmann zarządził rozluźnienie dyscypliny i rozpięcie bluz mundurowych.

Część drogi podwiózł ich jadący furą chłop, ale potem musieli maszerować po wyślizganym bruku kilkusetletniej drogi, przebiegając przez wiszące w powietrzu słupy komarów i oganiając się przed wszędobyłskimi gzami, więc również i solidne, wełniane bluzy mundurowe na podszewce szybko trafiły najpierw na ramiona, a potem pod rękę.

Po kolejnej mili marszu panowie poddali się z krete-
sem, zakasali rękawy i porozpinali koszule pod szyją, za-

zdroszcząc wyletnionym paniom zwiewnych sukienek. One z kolei utyskiwały na szatański wynalazek obcasów, nieustannie grzęznących pomiędzy kamieniami i ślizgających się na byle nierówności.

Oczywiście wszystko było dobrze, dopóki nie zaatakowały ich, porozbieranych, zgrzanych i spoconych, roje komarów.

Gdy w końcu ponad koronami drzew pokazały się postrzępione, porośnięte trawą i krzakami szczyty czerwonych ścian. *Miss Zoransky* wyglądała, jakby miała ochotę się popłakać ze szczęścia.

Teraz weszli pomiędzy potężne mury, zadzierając głowy i osłaniając oczy od słońca. Temperatura zauważalnie spadła, zasypane piwnice i podziemia tchnęły chłodem, liząc po kostkach jęzorami wilgotnego powietrza. Przynajmniej w wypadku obydwu pań, bo zarówno Keller, jak i Grossmann byli przecież w wypastowanych na glanc wojskowych butach do łydki, teraz pokrytych warstewką matowego, gorącego kurzu.

– Tutaj zostajemy – zawyrokował Teodor, gdy wyszli pod potężny, rozłożysty dąb, rosnący przy samej wieży, tuż nad skarżą.

Widok był oszałamiający.

Za sobą mieli mury średniowiecznej twierdzy, po lewej i prawej nierówną linię poszarpanego wybrzeża, porośniętego krzywymi od wiejących tu wiatrów sosnami i powoli, piędź po piędzi osypującego się w wodę – a przed sobą, tak daleko, jak okiem sięgnąć, tylko morze. Bałtyk.

Szarobłękitny i jednolity, zabarwiający się odcieniami zielonkawego ołowiu, niegościnnie i wyniosły. Marszczący się równymi wałkami fal, od wieków gnanych ku brzegom, powoli, nieustępliwie podgryzających skarpe, która kiedyś runie w wodę, pociągając za sobą cały zamek i setki lat jego historii... Ale jeszcze nie dziś, nie teraz. Nie tamtego pięknego, upalnego, lipcowego dnia.

Rozesłali koc, w końcu wyciągnęli z koszyka cokolwiek już zaparzone kanapki, ciągnący się ser i wędliny. Panowie znieśli butelkę wina na dół, umocowali pomiędzy kamieniami w wodzie i korzystając z okazji, opłukali ręce, twarze i nogi. Wrócili na górę, skacząc bosy po kamieniach i niosąc dyszące gorącym, wilgotnym powietrzem oficerki w rękach.

– Panowie, no to już prawdziwa nieobyčajność! – Jennifer klasnęła w ręce. – Tylko patrzeć, jak i nas zaczniecie rozbierać. Pozwolimy na to, *Fraulein Scharfe*?

Erika zarumieniła się, ale odpowiedziała hardo, trzymając się obranej roli.

– To zależy od tego, kto miałby to robić.

Widać było, że atencja ze strony gwiazdy estrady mocno jej schlebiała, a ona sama nie zawaha się nawet przed naruszeniem konwenansów towarzyskich, byleby dorównać wyzwolonej Amerykance – przynajmniej w rozmowie.

Grossmann pokręcił głową z udawaną dezaprobatą, przysiadł na pobliskim kamieniu. Przymknął oczy, czując, że trawa przyjemnie łaskocze go w stopy. Ostatni raz po-

zwolił sobie na taki luksus... Mój dobry Boże, kiedy to było? Chyba jeszcze w poprzednim życiu, w innej skórze.

– Sugeruję, żeby poczekały panie z takimi rozmowami przynajmniej, aż otworzymy wino – doradził. – W ten sposób będziecie miały chociaż jakąś wymówkę.

– Kobieta nie potrzebuje wymówek – prychnęła Jennifer, również zzuwając botki.

Erika wzięła się do rozstawiania talerzyków, wyjęła sztućce i kubki, w końcu wyciągnęła z koszyka dziwnie wyglądający, metalowy cylinder.

– O, termos – skwitowała Jennifer, jak gdyby posiadanie czegoś takiego było rzeczą co najmniej oczywistą. Keller jęknął, pokręcił głową.

– To przecież kolba Dewara! Eriko, chyba nie zabrałaś jej z pracowni profesora?

Panna Scharfe wzruszyła ramionami, odkręciła wieczko i zajrzała do środka. Potrząsnęła zawartością.

– Wygląda na to, że przynajmniej część lodu jeszcze się nie rozpuściła. Dawajcie tutaj tę butelkę, panowie. Już jej wystarczy moczenia się.

– A ja się dziwiłem, co w tym koszu jest tak ciężkiego!
– zaśmiał się Grossmann.

Ruszyli z Kellerem na dół, skacząc i balansując po kamieniach. Gdy byli mniej więcej w połowie drogi, ponad skraj urwiska wychyliła się Jennifer.

– Nie spieszcie się zbyt! Mamy tutaj z Eriką kobiece sprawy do obgadania!

Zanim zdążyli chociażby kiwnąć czy coś powiedzieć.

Amerykanka już zniknęła. Keller pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Teo, gdzie ty ją znalazłeś? Ta dziewczyna to przecież czysty dynamit!

– Sam się dziwię – mruknął Grossmann. – Wygląda na to, że twoja Erika mocno chce jej dotrzymać kroku.

Zeszli na sam dół, usiedli na kamieniach tak, żeby fale omywały im stopy. Keller zapatrzył się dal, westchnął ciężko.

– Ona nie jest moja, wiesz? Kiedyś była, ale skrewiłem sprawę. I walczę mocno, żeby ją odzyskać...

– Ona pracuje u tego twojego profesora, jak mu tam? Nemmersdorfa? – postanowił skorzystać z okazji Grossmann.

– Tak, to właśnie tam się poznaliśmy. Czasami wydaje mi się, że gdyby nie ona, to moja znajomość z profesorem mogłaby nie dojść do skutku. Nigdy nie rozumiałem, czemu on ma do niej taką słabość.

– A czemu ty ją masz?

Gerhard machnął tylko ręką, podniósł z plaży kamień i rzucił w wodę.

– Poznaliśmy się u niego – mruknął. – Z początku nie było w niej nic szczególnego. Dopiero potem, z czasem zrozumiałem, dlaczego tak przypadła mu do gustu. I nie, nie patrz tak na mnie! To te oczy, oczy i to, co się za nimi kryje, rozumiesz? Czysty intelekt, ta zdolność rozumowania logicznego, tam, gdzie...

– Pięknie uciekasz od pytania, Gerhardzie. Ze spraw

serca przejść na przymioty umysłu, ha! I nadal nie być w stanie powiedzieć, co się naprawdę czuje.

– Bo sam nie wiem – przyznał Keller. – Ale wiem, że dla niej gotów byłbym...

– Rozumiem. Ona, jak mniemam, nie do końca odwzajemnia uczucie?

– Teodor, weź ty się odczep! Czy ty zawsze musisz być taki cholernie przenikliwy i zasadniczy? – zachnął się fanenjuncker, ale po chwili zreflektował: – Wybacz, nie powinienem był.

Grossmann uśmiechnął się wyrozumiale.

– Podobno serce nie sługa.

– Nie tylko ono... – mruknął Keller. Ich spojrzenia skrzyżowały się, na ustach zadrgały uśmieszki i po chwili obydwaj wybuchli śmiechem.

– Ty draniu! – Grossmann klepnął go w ramię. – To ja już byłem gotów ci współczuć rozterek sercowych, a ty...

Gerhard otarł łzę rozbawienia z oka.

– Ech... Ale tak na serio, to był błąd. Naprawdę.

– Błędem było to, że ona się dowiedziała, Gerhardzie. Nie myl przyczyny ze skutkiem.

– Widzisz, problem polega na tym, że Erika... to bardzo porządna dziewczyna.

– Domyśliłem się już, nie musisz mówić więcej. Bierz to wino i idziemy, bo gotowe nam jeszcze uciec.

Wdrapali się z powrotem na górę i dosłownie onie mieli. Keller sapnął, popatrzył na Grossmanna, jakby czekając, co zrobi przyjaciel. Podporucznik z kolei uniósł

pytająco brew, uśmiechnął się szelmowsko.

Wedle standardów krawiectwa epoki obydwie panie były nagie.

– Co to... – Gerhard jako pierwszy odzyskał głos.

– Kostiumy kąpielowe! – zapiszczała radośnie Erika, podrywając się z koca. – Patrz, Jennifer wzięła jeden specjalnie dla mnie! Czy nie jest piękny?!

Keller zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i z powrotem, mając trudności ze zdecydowaniem się, która partia ciała najbardziej przyciąga jego uwagę.

– Jest...

– Jest dokładnie taki, jakie będzie się nosić w tym sezonie na Revere Beach. – *Miss Zoransky* wstała, przeciągnęła się leniwym ruchem, aby obydwaj mieli czas przyjrzeć się szczegółom kroju. – Z pozdrowieniami z pracowni Annette Kellermann. Erika i ja idziemy się kąpać. Zajmijcie się, panowie, winem i przynieście nam po kubeczkę na dół.

Stali tak jak dwa słupy soli, gdy damy wyminęły ich i drobiąc na kamieniach, zaczęły schodzić ku plaży.

– Czy mnie się tylko wydaje, że ona musi się... – Keller szepnął do Grossmanna, gdy obie gracje zniknęły za klifem, odprowadzane ich uważnymi spojrzeniami.

– Tak. Na pewno pod pachami, i na przedramionach też. To zauważyłem już wcześniej.

– Ale nie wiesz, czy...

– *Herr Fahnenjunker*, przywołuję was do porządku.

– Tylko pytam przecież.

Woda była zimna, a dno kamieniste i porośnięte dziwnymi, śliskimi glonami – ale i tak bawili się setnie. Butelka wina skończyła się nie wiadomo kiedy. Słońce grzało niemiłosiernie, więc w głowach zaczęło mocno szumieć... W końcu przenieśli się z powrotem pod dąb, żeby trochę ochłonać i wyschnąć przed drogą powrotną – pociąg odchodził kwadrans po piątej, więc nie mogli się spóźnić.

– Panna Scharfe ma bardzo kształtne łydki. – *Miss Zoransky* przekręciła się na brzuch, żeby lepiej widzieć stojących w pewnym oddaleniu Erikę i Gerharda. – Byłaby z niej dobra tancerka do rewii.

– Jennifer, doprawdy. Czy aby nie przesadzasz ze swoim libertynizmem?

Popatrzyła na siedzącego obok Teodora, przeciągnęła palcem po ustach.

Może trochę... Ale Erika to też niezłe ziółko, zapewniam cię. Nie jest pewna, który z was dwóch podoba jej się bardziej.

Grossmann popatrzył na nią, cokolwiek zaskoczony.

– Taka jest prawda. – Jennifer zaciągnęła się papierosem. – Możesz mi wierzyć albo nie, Teodorze. Ja na jej miejscu nie wahałabym się ani chwili.

– I wzięłabym sobie was obydwu! – zaśmiała się śpiewaczka. – Jesteście przecież przyjaciółmi, służyliście razem. Na pewno nie takie rzeczy zdarzało się wam robić wspólnie.

– Panienska chyba przecenia intensywność mojej

przyjaźni z fanenjunkrem Kellerem.

Spojrzała mu w oczy tak, że Grossmanna aż przeszły ciarki.

– Doprawdy, Teodorze? Może zatem należałoby sprawdzić, ile jesteście naprawdę warci?

Nachylił się nad nią, czując słabą nutę wciąż trzymających się perfum. Delikatnie musnął jej usta swoimi, szepnął przez ściśnięte podnieceniem gardło:

– Może zacznijmy metodą małych kroczków?

Objęła go ramionami, przyciągnęła bliżej i pocałowała mocno, namiętnie. Sięgnął ręką do tej talii, przejechał po skrytym pod ledwie jedną warstwą materiału biodrze, wrócił ku górze, wiodąc palcami po wyraźnie wyczuwalnych pod napiętą skórą żebrach. Jennifer zachichotała i uciekła mu z objęć, a Teodor poczuł, jak jej usta układają się w mimowolny uśmiech.

– Mam łaskotki, uważaj...!

Zerknął spod oka na Kellera i Erikę. Tamci musieli zauważyć, że pod dębem dzieje się coś nie do końca uwzględnionego w podręcznikach savoir-vivre'u, bo stanęli tyłem do nich, udając, że podziwiają widok. Gerhard obejrzał się ukradkiem, szepnął coś na ucho pannie Scharfe. Ta pokręciła głową, powiedziała coś i pokazała mu na odległy element pejzażu.

– Chyba zgorszyliśmy naszych przyjaciół – mruknął Grossmann. Jennifer przeciągnęła się i odpowiedziała, skubiąc go zębami za dolną wargę:

– Zamiast się boczyć, powinni przyjść i dołączyć do

zabawy...

Pokręcił głową z niedowierzaniem, pocałował ją jeszcze raz i usiadł prosto, żeby Keller na pewno dostrzegł, że już można podejść.

– Musimy wybrać się na taki piknik, ale sami – szepnął do niej, gdy Erika i Gerhard ruszyli w ich kierunku. Jennifer odparła, poprawiając włosy:

– Kusi mnie pan, podporuczniku. Ale też koniecznie nad morzem, podoba mi się tutaj.

– Jakieś konkretne zamówienia?

– Słyszałam, że Rauschen jest piękne.

Rauschen. Na całe szczęście Keller podszedł z panną Scharfe i zagadnął o coś Jennifer, więc Grossmann nie musiał silić się na wymyślanie ciągu dalszego rozmowy.

Ze wszystkich miejscowości na wybrzeżu wybrała właśnie tę! Przypadek? Najwyraźniej, ale w głowie zapaliła mu się od razu lampka ostrzegawcza: panna Zoransky miała umysł ostry niczym brzytwa i bardzo wyczulony zmysł obserwacji. Jeśli podczas potencjalnej wycieczki miał sprawdzić informacje od Heilensteina o montowni nowych łodzi podwodnych, będzie musiał to naprawdę umiejętnie poprowadzić.

Czas płynął nieubłaganie, więc w końcu zwinęli koc, spakowali do kosza naczynia i pustą butelkę – Erika nalegała, żeby rzucić ją z urwiska na kamienie, ale Grossmann stanowczo zaprotestował – pożegnali się z Bałgą i ruszyli w drogę powrotną.

Paradoksalnie, pomimo popołudniowego skwaru,

komarów i błyskawicznie puchnących w butach stóp, Quilitten okazało się być jakieś dwa razy bliżej, niż wskazywałyaby na to długość poprzedniego spaceru. Szybko pokonywali kolejne zakręty, znajome już mostki nad strumieniami i chatynki jedne po drugich wyłaniały się zza drzew. Gdy w końcu dotarli do małej stacyjki, dzwon na wieży kościoła pobliskiego Heiligenbeil bił właśnie na piątą.

Pociąg podjechał punktualnie co do minuty. Władowali się do nagrzanego, pachnącego drewnem i farbą przedziału, otworzyli na całą szerokość wszystkie okna. Gdy skład ruszył, patrzyli jeszcze, jak budynek stacyjki i chowająca się w drzewach droga powoli odsuwają się na bok, a potem znikają w oddali, zasłaniane przez coraz to szybciej migający krajobraz.

Słońce i wino zrobiły swoje, więc oczy kleiły się i szczypały, jakby ktoś sypnął w nie piachu. Erika jako pierwsza przysnęła z głową na ramieniu Kellera, wkrótce fanenjunger też oparł się skronią o ramę okna i zamknął oczy.

– Jak w okopach – szepnął Grossmann i pokazał na niego ruchem głowy. – Zawsze tak spał: przy samym wyjściu, na siedząco. Nigdy się nie kładł.

– Mhm.

Jennifer też ledwo już się trzymała, ale gdy Teodor spojrział na nią, rozkwitła wyćwiczonym uśmiechem. Tylko czerwone, szkliste oczy świadczyły o tym, że mało co ogarnia z otaczającej ją rzeczywistości. Grossmann

objął dziewczynę ramieniem, przyciągnął do siebie.

– Zdrzemnij się, ja popilnuję.

– Mhmmm...

Pociąg stukał o szyny, jednostajny rytm kołysał i zachęcał do snu. Wpadający przez okna wiatr delikatnie muskał włosy, przyjemnie chłodził twarz... Ale Teodor nie potrafił zasnąć. Nie umiał, nie mógł się do tego zmusić, więc siedział tak, pomiędzy jawą a snem, patrzył na przeplatujące za oknem domki i wieże kościołów, przyglądał się stacyjkom i ciągnącym po brukowanych drózkach wozom.

Dotknął loków śpiącej Jennifer, popatrzył na wtuloną w Gerharda pannę Scharfe. Wszyscy troje wydawali się tak niewinni, tak spokojni. Jakże cudownie pozbawiony trosk i myśli był ten dzień! Gdyby tylko Grossmann mógł sobie na to pozwolić, to może w innych czasach, w innym życiu...

Skład szarpnął, zapiszczały hamulce. Jennifer poruszyła się niespokojnie, ześliznęła po ręku i ułożyła z głową na jego kolanach, ufna i spokojna niczym dziecko. Teodor spojrział za okno: chyba musiał przysnąć, bo słońce zniżało się już ponad dachami przedmieść Königsberga, a przecież chwilę wcześniej jechali przez las. Pociąg zwalniał, aż w końcu stanął zupełnie pośród rozjazdów i zwrotnic, gdzieś na wysokości Nasser Garten.

– Co się dzieje... Już, dojechaliśmy? – mruknęła Amerykanka, prostując się na siedzeniu i nawet nie otwierając Grossmann przechylił się do wciąż otwartego okna, odsunął zasłonkę, żeby wyrzeć na zewnątrz.

– Nie, jeszcze nie. Spij.

Przed nimi przetaczał się skład: potężna lokomotywa, za nią ciągnące się długim sznurem lawety z brezentem, przykrywającym kanciasty ładunek. Ale uwagę Teodora przykuł drugi wagon od tyłu: nisko zabudowany, na nim dwa zakryte materiałem, podłużne kształty – działka przeciwlotnicze! Spod plandeki wyglądały niedbale przykryte lufy karabinów w otwieranych strzelnicach, żołnierz siedzący na burcie ćmił papierosa, dyndając zwieszonymi w dół nogami.

Grossmann popatrzył na śpiących znajomych, po czym ostrożnie wstał, po cichu otworzył drzwiczki i wyskoczył z pociągu. Popatrzył w lewo, w prawo, wyciągnął z kieszeni papierosa i niedbałym ruchem wsunął w usta. Ruszył w kierunku czoła pociągu pasażerskiego, cały czas lustrując przejeżdżający transport.

– Odpali pan? – zagadnął stojącego na schodkach maszynistę. Ten kiwnął głową, otworzył drzwiczki do buzującego żarem pieca i na chwilę wsunął do środka po-grzebacz. Wyciągnął rozpalony do czerwoności kształt, ostrożnie przysunął do Grossmanna, który na chwilę przytknął końcówkę cygaretki, pyknął raz i drugi. – Dziękuję serdecznie. To tak zawsze?

– Gdzie tam! – Wąsaty kolejarz otarł pot z czoła. – Pierwszy raz tak! Znowu coś wiozą, tylko do tej pory na nocnych przeganiali. Tym razem na nas trafiło...

Z węglarki wyjrzał czarny od pyłu palacz, może czternastoletni łepek z grzywą płowych włosów.

– Podobno to czołgi jadą, panie oficerze!

Grossmann uśmiechnął się, jednocześnie kątem oka spoglądając w bok, żeby nie stracić rachuby lawet.

– Czołgi, powiadasz?

– On wszędzie czołgi widzi, panie podporuczniku. – Maszynista rozłożył przepraszająco ręce. – Myślałby kto, dzieciak ze mną na kolei od szóstego roku życia, powinien na maszynach się znać.

– Czołgi byłyby większe i bardziej kanciaste, to prawda. Ale coś tam wiozą, niezaprzeczalnie, więc młody człowiek może częściowo mieć rację. Mówi pan, że to regularne transporty?

– Koledzy mówili, że od czasu do czasu któregoś z naszych przyblokują na tej trasie. Przetaczają, przepinają, kombinują... Teraz będzie dobrze, jak nas puszczą od razu, bo może być i tak, że będzie wracać lokomotywa i te dwa pancerne wagony. O, widzi pan? Jest i końcowy!

Na końcu składu jechał kolejny wagon pancerny – obudowane stalowymi płytami pudło, osłonięte rozciągniętą na wysięgnikach plandeką, pod którą widać było wystrzyżone na krótko głowy i czerwone od słońca karki.

Grossmann zasalutował przejeżdżającym, ktoś w środku musiał go zauważyć, bo po chwili nad burtą pokazało się jeszcze kilka twarzy. Część żołnierzy pospiesznie naciągała czapki polowe, inni nałożyli nagrzone, stalowe hełmy... na dwóch widać było plamy burobrązowego kamuflażu witrażowego, charakterystycznego dla oddziałów szturmowych frontu zachodniego. To byli weterani, podobnie jak on ściągnięci tu przez pół Europy do wykonania

bardzo konkretnych i odpowiedzialnych zadań. On swoje znał – a teraz naprawdę zainteresował się tym, co mogli robić tu oni.

– Ten tor prowadzi do Guterbahnhof, zgadza się? – rzucił z głupia frant pierwszą lepszą nazwę. Maszynista, zgodnie z oczekiwaniami, zachnął się:

– No gdzieżby jeszcze! Nie do stacji towarowej, tylko w kierunku Zeughaus Bahnhof idzie, a potem się rozdziela na dwa.

– Ach, no tak. Jedna odnoga to bocznicą towarową przy zbrojowni, a ta druga pewnie prowadzi do części gospodarczej?

Kolejarz pokręcił głową z dezaprobatą, więc Grossmann nachylił się bliżej, całym sobą wyrażając zainteresowanie. Najlepszą przynętą na ludzi było zawsze stworzenie wrażenia, że mogą być od kogoś mądrzejsi.

– Ten jeden tor, pan podporucznik dobrze mówi, biegnie do starej zbrojowni...

– I tam właśnie jedzie ten pociąg?

– Nie! – wtrącił się chłopaczek, zapewne wstrząśnięty niewiedzą tak poważnie wyglądającego wojskowego. – On tam na bok jedzie, na tę zamkniętą bocznicę!

– A ty skąd wiesz? Idź zawory lepiej sprawdź, bo przecież kocioł gorący! – fuknął na niego kolejarz.

Młody wyśliznął się z kabiny, ale po chwili zajrzał i rzucił jeszcze:

– Chłopcy mówili, że tam stoi! Tam się bawią, włożą przez taką dziurę. Żołnierze na nich krzyczą, ale Karl

kiedyś przyniósł prawdziwy nabój do karabinu, jak tam znalazł...

– A no, poszedł! A kysz!

Łepek zniknął jak zdmuchnięty.

– Widzi pan podporucznik, skaranie boskie z tym szczeniakiem. Gada tylko, o wszystko pyta... O, pan patrzy, będziemy ruszać!

– Ciekawość w tym wieku to skarb. – Grossmann uśmiechnął się, zasalutował do czapki. – Dziękuję za ogień.

Lokomotywa sapnęła, jęknęła i powoli ruszyła z miejsca. Teodor rzucił papierosa na tory i zaczął iść, chciał przyspieszyć, żeby zdążyć dobiec do ich wagonu, ale potem pacnął się w czoło. Stał po prostu i poczekał, aż skład sam przesunie się na jego wysokość, podbiegł, złapał się poręczy i wskoczył na stopień.

– Cóż za entree, panie podporuczniku... – mruknęła Jennifer, wyglądająca przez okno. – Zostawił mnie pan tylko po to, żeby brawurowo wrócić?

Zamknął drzwiczki, usiadł obok dziewczyny. Odgar-
nął kosmyk włosów na bok, nachylił się do niej i szepnął,
muskając ustami płatek ucha:

– Powroty do ciebie to czysta rozkosz.

Jennifer uśmiechnęła się, błysnęła kocimi oczami.

– O rozkoszy jeszcze zdążymy pomówić...

Teodor miał ochotę pociągnąć wątek dalej, ale siedząca po drugiej stronie Erika obudziła się, gdy wagon stuknął na zwrotnicach. Popatrzyła na nich, potem na

Kellera. Wyprostowała się, odsunęła od fanenjunkra, udając, że przed chwilą wcale nie wtulała się w jego ramię. Przetarła zaspane oczy, ziewnęła i zapytała:

– Staliśmy gdzieś... A pan podporucznik wychodził, prawda?

Jennifer pokiwała głową, patrząc na Grossmanna znacząco.

– Mówiłam ci, Teodorze. Ona brunetka, ja ruda, doskonale uzupełnienie... I charaktery bardziej podobne, niż Erika miałyby odwagę się przyznać.

– Rozumiem. – Grossmann kiwnął, uśmiechając się szelmowsko. – Następnym razem mam albo nie wychodzić wcale... albo na dłużej.

Panna Scharfe pokręciła głową, ale jej oczy aż błysnęły.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

– I bardzo dobrze – skwitował Teodor. – A teraz niech spróbuje pani delikatnie obudzić fanenjunkra Kellera. Za-raz będziemy dojeżdżać do Königsberga.

– Jest ta rozmowa, panie konsulu. Przełączam do pana.

– Dziękuję, *Fraulein* Arner. – Von Hohenfurst poczekał, aż sekretarka zamknie drzwi, i zdjął słuchawkę z widełek telefonu. – Mannfried von Hohenfurst przy aparacie, słucham.

– Dzień dobry, Wasza Ekscelencjo! Dziękuję niezmiernie za zainteresowanie moją skromną osobą. To dla mnie wyróżnienie, że stałem się obiektem zainteresowania...

Von Hohenfurst westchnął, ujął dwoma palcami za nasadę nosa i przymknął oczy, słuchając tej wiernopoddańczej tyrady. Nadał nie był w stanie zrozumieć, dlaczego większość ludzi właśnie w taki sposób reagowała na kontakty z urzędnikami wyższego szczebla. Bo właśnie tym przecież był: urzędnikiem swojego państwa. Poza tym głos w słuchawce, dodatkowo zniekształcony przez odległość, był tak monotony... Poczuł, jak zaczyna dryfować na niezbadane wody snu.

– Ja też się cieszę – przerwał bezceremonialnie, czując, że zaraz utraci zdolność rozumienia ze słuchu. – Jestem wdzięczny, że zareagował pan na nasze zapytanie. Spieszę jednocześnie zapewnić pana, że monarchia zapewnia pełną poufność przekazanych jej informacji.

– Tak, naturalnie! Ekscelencja może być pewny, że ze swej strony też gwarantuję pełną poufność! To doprawdy zaskakujące, że trafiliście państwo na jego ślad. Ja straciłem już nadzieję, a tutaj nagle taka wiadomość! Czy przekazał już mu pan, że skontaktowaliście się ze mną?

– N-nie. – Von Hohenfurst zawahał się, nie tyle co do istoty, ile raczej sposobu sformułowania odpowiedzi. – To sprawa dość, rozumie pan, delikatna. Staramy się nie wikać w kwestie handlowe obywateli państw trzecich, ale jako że wynikła ta sytuacja, to poczuliśmy się w obowiązku pana poinformować.

– Za co jestem Waszej Ekscelencji niezmiernie wdzięczny! To dla mnie niezmiernie istotne, przecież ile ja się naszukałem już sam! Koszty stałe, rozumie pan konsul,

do tego dochodzi niemożność jakiegokolwiek zmiany formy prawnej, bo jeśli nie mam potwierdzenia, że współnik nie żyje, to żaden notariusz...

Von Hohenfurst przykrył słuchawkę dłonią i ziewnął rozziewając. Lato zapowiadało się upalnie, a jego willa była równie piękna, jak duszna. Nawet nie zmrużył oka tej nocy, a sen, jak na złość, zaczął morzyć go równo wtedy, gdy dozorca otwierał furtkę konsulatu o dziesiątej rano.

– Konsulat jest gotów pokryć koszty pana przyjazdu tutaj, do Königsberga. Będę wdzięczny, jeśli opowie się pan w tej sprawie jak najszybciej – rzucił, nie słuchając, co mówi jego rozmówca.

W słuchawce zapadła cisza.

– No wie pan, Ekscelencjo, to dla mnie cała wyprawa. Ciężko jest tak wszystko zostawić, musiałbym pomyśleć, zastanowić się...

– Na przykład już.

Kolejna cisza.

– Oczywiście, przyjadę z chęcią. Jeśli mógłby tylko pan konsul...

– Moja sekretarka uzgodni z panem szczegóły. Do zobaczenia wkrótce.

– Do widzenia, dziękuję jeszcze raz za...

Von Hohenfurst odwiesił słuchawkę. Wbił tryumfujący wzrok w pokryty chaotycznymi zapiskami notatnik i zamasztyłym ruchem zakreślił jedno z szeregu imion i nazwisk. Nareszcie! Po ponad tygodniu bezskutecznego poszukiwania w końcu jakiś konkretny ślad. I żywy świa-

dek.

Do tej pory Grossmann był dla niego nieprzeniknioną zagadką. Obwieszony orderami człowiek znikąd, odznaczone Krzyżem Żelaznym widmo z przeszłości, zupełnie pozbawione żywych znajomych, krewnych czy nawet zdolnych opowiedzieć cokolwiek użytecznego sąsiadów. Gdyby nie to stare zdjęcie, cudem ocalałe w archiwum startego z powierzchni ziemi pułku...

ROZDZIAŁ X

Grossmann wyskoczył z auta, sięgnął na tył.

– To tyle, dziękuję bardzo.

– Panie podporuczniku, może ja pomogę z walizkami?

– Młody kapral chciał wysiąść z szoferki, ale Teodor powstrzymał go gestem. Samochód warknął silnikiem i odjechał, zostawiając go samego przy wejściu w malusieńki zaułek przy Lastadienstrasse.

Niespiesznym krokiem przeszedł głębiej, patrząc na numery domów i z ciekawością zaglądając w okna na parterze. Nie była to okolica, w której chciałby mieszkać szanujący się żołnierz, co zresztą dobitnie wyłuszczył mu kancelista w garnizonie. „To nie jest okolica, w której lokujemy oficerów” – powiedział Scheyenbach, podpisując dokumenty kwaterunkowe. „Ale jeśli pan podporucznik chce naprawdę poczuć, czym jest Królewiec, to trafił we właściwe miejsce”.

A on dokładnie tego chciał. Poznać to miasto, przeryć je od podszewki, wgryźć się w sam miąższ. Poznać głęboko skrywane tajemnice.

Główną wadą jego nowej kwatery okazał się rozmiar: wąski, ale dziwacznie wysoki korytarz prowadził do pojedynczego pokoiku, niewiele większego od pokoi w koczarach. Miał tutaj co prawda własną łazienkę z bieżącą wodą, ale dzielące go od głównej rury wodociągu dwa

piętra oznaczały, że będzie musiał wstawać wcześniej rano, aby cokolwiek doleciało jeszcze do jego kranu.

Wyjrzał przez strzeliste okno. Po dachach spacerowały gołębie, białymi plamami znacząc połacie czerwonej dachówki. Na dole bawiły się i hałasowały dzieci, w domu naprzeciwko jakaś babcia siedziała w gęstwinie doniczkowych pelargonii i astrów, baczynym okiem lustrując okolicę. Wbiła w niego badawcze spojrzenie, a gdy skłonił się w geście przywitania, łaskawie skinęła mu głową.

Tak, dokładnie takiego lokum potrzebował.

Rozpakował swój nieduży majątek, zawiesił mundur wyjściowy w szafie: dziś nie będzie mu potrzebny. Zamiast tego wyjął z samego dna walizy zawinięty w szary papier pakunek przewiązany sznurkiem. Rozwiązał paczkę i otworzył z niemal nabożną czcią, dotknął szorstkiego, znoszonego materiału. Przeciągnął palcami po miejscu, w którym widniała dobrze zacerowana, ale wciąż widoczna dziura po kuli od belgijskiego lebela.

Jego mundur polowy. Zachowany wbrew regulaminowi, wywieziony z linii frontu, przemycony aż tutaj. Prosty, minimalistyczny krój, bez zdobień i dodatków, zielone guziki zamiast złota. I tylko świeżo naszyta czarna wstęga przy dziurce guzika świadczy, że właściciel jest kawalerem Krzyża Żelaznego.

Tyle wspomnień. Tyle potu, krwi i łez, które wsączyły się w szarozielone sukno rdzawymi plamami.

Dziś w nocy znów poczuje, jak to jest.

Zasłonił okno i nastawił budzik na jedenastą wieczno-

rem. Teoretycznie wcześniej miał spotkać się z Kellerem i jakimiś jego kolegami, ale jeszcze z garnizonu zadzwonił i odwołał swoją obecność: musiał być wypoczęty do akcji.

Ułożył się na plecach z rękoma pod głową, przymknął oczy.

Nigdy nie był w stanie przypomnieć sobie, co dokładnie się wtedy wydarzyło.

Pamiętał jakieś oderwane fragmenty całości, ale nijak nie potrafił poskładać ich w logiczną całość: ostrze łopatkii uderzające o płytki hełm z rondem... czyjeś ręce, usiłujące sięgnąć mu do oczu... twardą, chropowatą rękoność bagnetu, który wyrwał jednemu z wrogów, całą mokrą od krwi Bischoffa, który płakał już wtedy na ziemi, próbując zatamować sikającą z brzucha krew.

Pamiętał patrzącą mu w twarz lufę rewolweru, doskonale widział spadający kurek i prawie słyszał, jak iglica uderza w zbitą już wcześniej sponkę naboju. Potem wyraz złości i przerażenia na twarzy odrzucającego bezużyteczną broń oficera, a następnie tę samą twarz, ale już pozbawioną jakiegokolwiek mimiki, bo zamienioną w krwawą miazgę. I to uczucie śliskości na dłoniach, pochlapanych krwią i mózgiem...

„Bojcy, za mnoj!” – chciał zakrzyknąć, ale zamiast tego z ust wyrwały się szorstkie słowa w obcym języku:

– Folgt mir, Krieger!

Biegli jak obłąkani, przeskakując tylko kolejne linie transzei i porzuconych zasieków, aż w końcu pokazał gestem: tędy! Zeskoczyli w częściowo zasypyany okop, schy-

lając głowy jak najniżej, popędzili przed siebie zygzakującym korytarzem, czując, jak ziemia coraz bardziej wy-czuwalnie trzęsie się pod nogami, o w uszach narasta huk nadciągających bestii wojny.

Przypadli do ścianki korytarza, wczółgali w pobliski blindaż.

– Jezu, Jezu, zmiążdżą nas, zmiążdżą! – zajęczał Ehr-ler. – Sierzancie, nie róbnmy tego...!

– Cicho! – ofuknął go kryjący się zaraz obok Winterfeldt.

Teodor nie zwracał na nich uwagi. Teraz wyłącznie nasłuchiwał, koncentrował się na narastającym dudnieniu i łomocie, na zbliżającym się terkotaniu karabinów ma-szynowych i ryku motorów. Byli dokładnie, dokładnie na trasie.

– Zaraz... spokojnie... Heyser, do mnie! Głębiej!

Kulący się w płytkim leju po bombie Heyser pokręcił gorączkowo głową, ścisnął jeszcze mocniej karabin. Roz-warte zwierzęcym przerażeniem oczy odcinały się bielą od jego szaroczarnej, umorusanej brudem twarzy, zbyt duży żelazny hełm wystawał ponad poziom gruntu jak kopuła zagrzebanej świątyni.

– Heyser, tutaj! Zmiążdży cię! – zawołał któryś z od-działu, ale tamten tylko skulił się jeszcze bardziej. – Herr Speiss! Pójdę po niego, bo przecież...

– Zostać! Zostać i przygotować się, bo zaraz...

– O mamusiu – jęknął wychylający się za krawędź transzei Kliemann.

Z dymu i mgły prosto na nich toczyło się monstrum.

Grossmann rzucił się na łóżku, usiadł i rozejrzał obłąkanym wzrokiem. Przetarł mokrą od potu twarz, potem sięgnął ręką i wyłączył terkocący zegarek. Opadł na poduszkę, zakrył twarz dłońmi.

Ostrzegali ich przed tym, uprzedzali. Nikt z nich nie chciał wtedy wierzyć, każdy śmiał się i wydymał pogardliwie usta. „Nostalgia wojenna”, „drażliwość serca”, „nerwica frontowa” – to, co go prześladowało, miało wiele imion i jeszcze więcej postaci, ale większość weteranów nigdy nie mówiła o swych przypadłościach. Tylko w oczach napotykanym ludzi widać było, kto z nich naprawdę otarł się o głębię potworności i horroru Wielkiej Wojny.

On przynajmniej starał się myśleć o prześladowających go koszmarach jako swego rodzaju błogosławieństwie. To dzięki nim tak łatwo dostał urlop, a lekarz sztabowy tylko pokiwał głową ze zrozumieniem, widząc skierowanie do odległego Königsberga. „Bardzo dobrze, panie podporuczniku” powiedział wtedy. „Odpocznie pan trochę, zapomni o tym. Popatrzy na normalnych ludzi”.

Nie mógł, biedaczysko, mieć pojęcia, po co Teodor naprawdę tam jechał.

Grossmann spuścił nogi na podłogę, poruszał karkiem, potem rękoma. Dotknął starej rany postrzałowej na wysokości czwartego żebra po prawej stronie, pomacał nalaną na kości cystę. Tyle innych było przecież po drodze, a tylko ta nie chciała się wygoić, jak należy.

Dzięki niej pamiętał, kim naprawdę jest.

Przebrał się w stary mundur, nacisnął na głowę lekko postrzępioną czapkę. Wszystko pasowało idealnie, jak druga skóra, tylko ten lekki luz na bluzie... Ściągnął talię pasem, wzuł buty i wyszedł z mieszkanka.

W zapadającym powoli zmroku przeszedł pomiędzy domami, zbliżył się do rzeki na wysokości przeprawy promowej i skręcił ku kładce pod mostem kolejowym. Mógł teoretycznie przeprowić się na drugą stronę o wiele wygodniejszym promem, ale z jakiegoś powodu nie miał ochoty na towarzystwo ludzi.

Tej nocy miał działać sam, więc już teraz wprawiał się w sztuce ukrywania przed ciekawskimi.

Gdy dotarł na drugą stronę Pregoly, zdążył już na powrót przyzwyczać się do miękkości porządnie rozchodzonych, okopowych butów. Nie miał zamiaru podchodzić aż do zabudowań Ostbahnhofu, na którym wciąż jeszcze kręcili się podróżni, więc minął budynki magazynowe i odbił w prawo. Przeszedł przez przeplatające się tory, idąc w kierunku ciemnych alejek Wilhelmspark.

Park, niegdyś będący miejscem kulturalnych schadzek i spotkań towarzyskich, nieco podupadł po trzech latach wojny. Alejki zarosły, niepodcinane krzewy rozpleniły się ponad miarę, a trawa zamieniła w wysokie po pas łany chwastów. Grossmannowi wydało się, że czuje zapach dymu: nie pomylił się, gdzieś pomiędzy drzewami migotało ognisko, wokół którego pewnie rozsiedli się młodziaki z Königsberga – nie na tyle jeszcze dorośli, by trafić na li-

stę poborowych, ale już wystarczająco dojrzali, by szukać mocniejszych wrażeń.

Wszedł głębiej pomiędzy drzewa, czując, jak odruchowo zaczyna się garbić i kulić, gdy tak kluczył od pnia do pnia i rozglądał się na boki; rzadko zdarzało im się tam, na froncie, operować w terenie zielonym, ale nawyki pozostawały.

Sięgnął do pasa, sprawdzając, czy bagnet dobrze wychodzi z pochwy... I niemal wpadł na przycupniętą w krzakach chatynkę, skleconą z desek, cegieł i kawałków blachy.

Czyli jednak nie złota młodzież, a włóczędzy, pomyślał. Weterani, którzy nie mieli do czego wrócić, albo ci niezdolni do zwykłego wtopienia się z powrotem w społeczeństwo. Ludzie bez rąk i nóg, z oszpeconymi twarzami, nierzadko z poodrywanymi przez odłamki nosami albo całymi szczękami. Zbędni na froncie, zawadzający na tyłach. Odrzuceni przez wojskowych i cywilów, więc szukający pocieszenia w alkoholu.

Przypomniał sobie dzisiejszy sen i zrobiło mu się nieswojo. Czy też był już kaleką umysłowym, czy jeszcze trzymał się po właściwej stronie drzwi hospicjum? Może i jego oczekiwał, prędzej czy później, taki właśnie los? Zużyty, wykorzystany, wyciśnięty do końca niczym ścierka, a więc niepotrzebny.

Potrząsnął głową: to nie był czas na takie myśli.

Doszedł do biegnącej nad samym brzegiem promenady Wallstrasse, popatrzył ponad kanałem na przysadziste

umocnienia wyspy Friedrichsburga. Mury wyrastały bezpośrednio z lustra czarnej jak smoła, nieruchomej wody, gdzieś za nimi czaiły się kazarmy z zapasami amunicji i broni dla garnizonów miasta.

Czy to tutaj mógł zmierzać pancerny pociąg, który widział wczoraj po południu? Wątpliwe, tym bardziej w świetle tego, co powiedział dzieciak od maszynisty. Popatrzył po migających na wieżach rozdzielni kolejowych światłach, w myślach określił swoją przybliżoną pozycję w terenie. Teraz powinien kierować się na południowy zachód, aż trafi na kolejną nitkę torów.

Noc była piękna i ciepła. Żaby rechotały tak, że aż echo niosło się po wodzie, na łąkach wokół miasta odgrywały swój letni koncert świerszcze. Nad horyzontem powoli, jak gdyby nieśmiało podnosiła się połówka tarczy księżycy, zapalały się pojedyncze gwiazdy.

Teodor szedł równym, miarowym krokiem. Pod nogami okazjonalnie chlupotała mu woda, zbierająca się tu i ówdzie na podmokłym terenie Altengarter Wiesen, a potem znów wychodził na wyżej położone, bardziej suche wysepki, porośnięte oszałamiająco pachnącymi krzewami głogu i czeremchy.

Spojrzał w niebo, wyszukał znajome konstelacje gwiazd i nawet uśmiechnął do siebie: jedno i to samo niebo, tak samo piękne na froncie i w spokojnej prowincji, identyczne dla cywilów i mundurowych.

Oraz szpiegów.

Wokół niego pojawiły się stare, zapuszczone sady i

resztki pól uprawnych, które niegdyś zapełniały cały Nasser Garten nierówną szachownicą łąnów. Minał ruiny czerwonego domku i zabudowań gospodarczych, zagłębił się między zdziczałe śliwy, poprzerastane samosiejkami topoli. Teraz miejsce rolnictwa zajmował przemysł; większość ziemi jeszcze przed wojną wykupili prywatni przedsiębiorcy, a po niedawnej, przymusowej renacjonalizacji planowano rozbudowę w tę stronę zaplecza doków towarowych.

Idąc tak, zgodnie z oczekiwaniami dotarł do nasypu, po którym biegły tory. Szeroki łuk ciągnął się od mającej na tle nieba wieży zwrotnicowej, pobłyskując światełkami odbitymi w wypolerowanej przez koła powierzchni. Dokąd mógł jednak prowadzić? Nie było go na żadnej mapie, co znaczy, że powstał raczej niedawno.

Teodor przeszedł na wewnętrzną stronę krzywizny: lepiej nie trafić w światła, jeśli miałyby przejeżdżać akurat jakiś skład. Mało prawdopodobne, ale... nie mógł sobie pozwolić na ryzyko. Wypatrując oczy w ciemność, ruszył wzdłuż torów.

Stado saren wyskoczyło mu spod samych stóp. W jednej chwili ich tam nie było, a w drugiej ciemność wokół zakotłowała się, szare cienie popędziły w mrok, wierzgając kopytami i świecąc białymi plamami na zadach. Grossmann złapał za kaburę pistoletu, przypadł do ziemi na jednym kolanie – i wtedy noc przed nim rozbłysła blaskiem reflektora. Snop światła przejechał z lewa na prawo, omiół morze traw, na chwilę zatrzymał się i przesunął dalej,

śledząc uciekające zwierzęta.

Teodor zamarł, klęcząc w płytkiej wodzie i bojąc się nawet odetchnąć. Plama światła przesunęła się po nim, miał już wrażenie, że strażnik na wieżycy go widzi... Ale potem lampa zgasła i znów zapadła atramentowa, przetykana zielonymi i czerwonymi plamami powidoków czerń.

– Hubert, co tam znów? – rozległo się zza nasypu.

– Jelenie, panie kapralu – odpowiedział głos z wieżycy wartowniczej. – Podłóżą cały czas... Wystrzelać by trzeba.

– Aha, w środku miasta. Z karabinu maszynowego pewnie, co? Chodź lepiej tu na dół, daj odpalić, bo znów zapalniczki nie wziąłem.

Zaskrzypiały szczeble drabiny pod ciężkimi butami. Grossmann powoli, ostrożnie opuścił się na czworaka i zaczął pełznąć, próbując jak najmniej poruszać wysokimi zaroślami. Strażnik zszedł na dół, zatupał po przerzuconych do nasypu deskach. Zachrząścił żwir i rozległy się głosy, tym razem równo na wysokości Teodora, po prawej. Jeśli było ich tylko dwóch, miał szansę się prześliznąć.

Ciemniejszy cień wieżycy zamajaczył na tle nieba. Wydało mu się też, że widzi stojących na torach żołnierzy... Tak, błysnął ogienek zapalniczki, na chwilę oświetlając pochyloną twarz z papierosem i wyciągając z mroku kontur drugiego mundurowego.

Palenie na warcie to zgubny nałóg. Przekonał się o tym pół roku temu jego ordynans, który nocą wyszedł na szybkiego szluga i już nie wrócił: czujny snajper z okopów

przeciwnika musiał zauważyć pomarańczowy punkcik żaru i wsadził mu kulę prosto w mostek.

Grossmann nie miał jednak zamiaru nikogo zabijać. Bezszelestnie ominął wieżyczkę po lewej stronie, po czym znów zagłębił się w morze traw.

Widział już przed sobą kontury budynków, tu i ówdzie paliło się słabe światełko lampy semafora. Kompleks stacji musiał przejść niedawno gruntowną renowację, bo żwir nasypu nie zdążył jeszcze pociemnieć od rdzawego pyłu i zarosnąć trawą. Dotarł do budki zwrotnicowego, ominął ją w bezpiecznej odległości, jednocześnie konotując w pamięci, że przy bramie stało dwóch kolejnych wartowników. Podeszedł bliżej do ogrodzenia, na wpół po omacku obmacał przeszkodę: żelazna siatka wchodziła w ziemię, górą puszczo drut kolczasty. Co to mówił ten łepiek w lokomotywie...?

Poszedł wzdłuż płotu ku lewej stronie, co jakiś czas stając i nasłuchując. Pomimo późnej pory na ogrodzonym terenie coś się działo: paliły się światła, skład z dwóch wagonów właśnie wyjeżdżał z magazynu, stukając i zgrzytając na skrzyżowaniach torów. Kilku ludzi z bronią przyglądało się bez szczególnego zainteresowania, jak ktoś mocuje się z przekładnią zwrotnicy.

– Zaganiaj i kończymy! – doleciał do Grossmanna głos. – O czwartej ma kolejny być, trzeba jakoś to upchnąć.

Jeden z obsługi coś odpowiedział, ale tego już Teodor nie słyszał, bo schował się za oddzielający go od głównego placu skład z czerwonej cegły. Z kolei ten budynek miał

już swoje lata, więc widać, że wykorzystano tu i zaadaptowano starszą infrastrukturę na nowe potrzeby. W sumie całość pasowałaby do kompleksu magazynów i warsztatów wokół zbrojowni, ale wjeżdżające na teren pociągi pancerne świadczyły dobitnie, że znajduje się tu coś szczególnej wagi.

Nagle trawa przed Teodorem rozstała się i podporucznik wyszedł na wąziutką, prawie że niewidoczną w zaroślach przecinkę wydeptanej ścieżki. Więc to tędy dzieciaki kolejarzy musiały zakradać się do środka! Skręcił ku ogrodzeniu, przedarł się przez wysokie po pas pokrzywy, po czym wczołgał pod niemiłosiernie kolczasty krzew głogu pyszniący się przy samej ścianie magazynu. Mocny aromat wiercił w nozdrzach.

Rzeczywiście, gałęzie wrosły w siatkę, częściowo rozginając i unosząc ogniwa, pomiędzy którymi powstała dziura. Rozmiaru raczej szczupłego chłopca niż mężczyzny, ale Grossmann wcisnął się w nią jakoś, przekładając najpierw jedną rękę, potem głowę z ramieniem, drugie ramię... W końcu przeczołgał się na drugą stronę, oparł plecami o ceglana ścianę.

Udało mu się, dostał się do środka. Pytanie: co dalej?

Przeszedł wzdłuż ściany do węgła, ostrożnie wyjrzał: znajdował się na tyłach jednego z magazynów. Pod ślepa ścianą wyrosło swoiste składowisko części zapasowych albo zwyczajnie niepotrzebnych, których wyrzucić szkoda, a użyć nie ma do czego. Po lewej od niego była lokomotywnia, w której wciąż paliły się światła trzeciej zmia-

ny, nieco dalej dostrzegł charakterystyczną sylwetkę wieży ciśnień i pompę do zalewania kotłów. Magazyny po przeciwległej stronie stały ciemne i ciche, więc pociąg musiał już wjechać na miejsce.

Przez chwilę obserwował teren, a potem szybkim truchtem przebiegł do ściany budynku obok i przesunął pod rzędem okien, w których pełgało słabe światło.

Podszedł do drzwi. Chwilę wahał się, czy próbować wchodzić do środka, ale zrezygnował: w mokrym, ubłoconym mundurze polowym od razu zwróci na siebie uwagę, a nie wiedział, ilu ludzi może tam być. Teoretycznie zawsze miał szansę się wyłgać, ale niepotrzebne ryzyko było... no, niepotrzebne.

Minął tablicę z instrumentami gaśniczymi i skręcił za róg; wolał trzymać się z dala od otwartej przestrzeni.

Niskie zabudowania gospodarcze powinny zapewnić niezbędną anonimowość, podczas gdy on...

– E, no przecież było mówione: trzymajcie się transportu!

Grossmann odwrócił się na pięcie, sięgając do kabury. Wychodzący właśnie z komórki wąsacz w mundurze kolejarza uniósł ręce uspokajającym gestem.

– E, e, e! Spokojnie tylko, no... Co się pan oficer tak nerwuje?

– Kibla szukam. – Teodor rzucił pierwszą rzecz, jaka przyszła mu na myśl. Wąsacz zamknął drzwiczki, zapiął kłódkę i machnął ręką.

– Tam przecież jest. E, i pospieszy się pan oficer,

przecież za pół godziny jedziecie.

– Jasne – mruknął Grossmann, czym prędzej kierując się we wskazaną stronę, aby jak najszybciej zejść kolejarzowi z oczu. Skręcił za róg, czując charakterystyczny zapach dołu kloaczego, minął przysadzisty budynek latryny. Przystanął.

Snop światła padł w poprzek torowiska, gdy masywne wrota jednego z magazynów zaczęły się otwierać, aby wypuścić czekający już w gotowości pociąg. Wyciągnęły się długie cienie semaforów i zwrotnic, a potem lokomotywa sapnęła i buchnęła kłębem dymu, ze zgrzytem pociągnęła wagony naprzód.

Uwaga wszystkich skupiona była teraz na wyjeżdżającym z hangaru pancernym kolosie, który pluł na boki strugami pary, jęczał i ciężko dudnił kołami na łączeniach torów.

Grossmann nie czekał ani chwili. Oderwał się od ściany i szybkim, zwawym krokiem przeszedł na skos przez cały plac, schował przed światłem rozjarzającego się reflektora przedniego za stojącym na boczniczy wagonem, po czym wspiał się na rampę rozładunkową i zniknął w cieniu.

Pociąg wytoczył się na środek placu, lokomotywa jęknęła, zgrzytnęła i stanęła. Drzwi znowu zasunęły się, jedynie snop światła z reflektora wycinał z mroku trójkąt przestrzeni przed pociągiem i kręcących się wokół maszyny mechaników, sprawdzających zawory i jeszcze raz oliwiających tłoki przed podróżą. Nikt nie zwrócił uwagi na

stojącą w podcieniu magazynu sylwetkę.

Grossmann obserwował to wszystko, oddychając głęboko i powoli, żeby uspokoić kołaczące w piersi serce. Miał stąd dość dobry widok, więc przymknął oczy, próbując utrwalić w pamięci rozkład budynków i ilość torów, nadając im w myślach robocze nazwy: skład, magazyny, parowozownia, stróżówka... Wszystko to przyda się, gdy w końcu, kiedyś, spíše raport.

Kiedy nareszcie wyrównał oddech, ruszył wzdłuż rampy, patrząc uważnie na rozsuwane drzwi do przeładowni i wymalowane na tabliczkach oznaczenia: same cyfry i litery, trudno z nich wnioskować o czymkolwiek. Jedne z wrót zdawały się uchylone, więc na próbę pociągnął. Niechętnie, ale ustąpiły, potem odsunęły się jeszcze o kilkanaście cali. Rzucił okiem w lewo i prawo, po czym zanurkował w pachnący kurzem i żelazem mrok.

Dłuższą chwilę stał nieruchomo, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności. Kilka zakratowanych okienek wpuszczało przez pokryte kurzem szyby trochę księżycowego blasku, w którym Grossmann powoli zaczął odróżniać zarysy skrzyń i kontury stojących pod ścianami regałów.

Ostrożnie ruszył głębiej, dotykając pudeł i usiłując zgadnąć, co mogą zawierać pakunki, ale szybko uświadomił sobie, że nie tego szuka. Tutaj wszystko pokrywała warstewka kurzu, a transporty przychodziły na bieżąco. Bez wycieczki do głównego magazynu się nie obejdzie.

Wyszedł na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi. Popra-

wił bluzę munduru i tak spokojnym krokiem, na jaki tytko mógł się zdobyć, przeszedł po rampie. Mżąca rdzawym światłem lampa była coraz bliżej, potem na chwilę oświetliła jego twarz i została z tyłu. Następna nie działała, do kolejnej miał jeszcze kilka kroków, więc gdy przechodził pod nią, jego cień najpierw wyciągnął się w przód i zlał z ciemnością, potem pojawił za nim, mignął pod nogami i po raz kolejny uciekł daleko w nicość.

Grossmann zszedł po schodkach.

Do lokomotywowni zostało mu raptem kilkanaście metrów, potem wystarczy przejść pod ścianą i już będzie przy tym, co roboczo ochrzcił mianem magazynów.

Zerknął w prawo: wokół pociągu powoli gromadzili się żołnierze z obstawy, kilku maruderów dopiero wychodziło z bocznych drzwi ceglanego budynku, przeciągając się i ziewając głośno. Zapewne była tam noclegownia i umywalnia, więc kursy wykonywały wahadłowo dwie ekipy. Ale co mogli tu zwozić?

Zajrzał przez szczelinę pomiędzy deskami wrót: kawałek w bok stało potężne cielsko uśpionej teraz lokomotywy, kilka lamp pod sufitem zalewało ogromne pomieszczenie mdłym blaskiem. Cicho, pusto, tylko dym snuł się jeszcze pasmami przy wylotach rur odprowadzających.

Z bijącym mocno sercem podszedł do kolejnego, nieco niższego budynku, do którego prowadziła z płataniny szyn i zwrotnic pojedyncza nitka torów. Jeśli gdzieś miały zawijać wjeżdżające bramą pancerne składy, to właśnie tutaj

– lokomotywa najpierw odpinała się, o tam, przy boczniccy, przejeżdżała na drugi koniec składu i wpychała go tutaj, a następnie podjeżdżała pod pompę i zsyp węgla... Tak, zgadza się! Więc to tutaj kryło się – no właśnie, co?

Fasada była ślepa, z wyjątkiem centralnych, rozsuwanych wrót, a więc wejście musiało znajdować się z boku, po drugiej stronie budynku. Grossmann zerknął na zegarek: dochodziła pierwsza w nocy, jego czas nieubłaganie się kurczył. Jeszcze góra dwie godziny i zacznie robić się jasno, musiał działać szybciej. Cofnął się do lokomotywowni i obszedł ją dookoła, wyjrzał zza rogu w kierunku o wiele krótszego, bardziej przysadzistego magazynu. A gdyby tak...

Żelazna drabinka miała swoje lata, ale powinna jeszcze wytrzymać. Okręcił buty specjalnie na tę okoliczność przygotowanymi szmatami, żeby gwoździe podeszew nie zgrzytały. Podskoczył, złapał się najniższego szczebla, podciągnął i zaczął wspinać na górę.

Przesadził niewysoki cokolik, ostrożnie stanął na wysmołowanym dachu. Wzdłuż krawędzi przeszedł do bocznej ściany, zerknął w dół. Nie było tak wysoko, powinno się udać. Spuścił w dół nogi, potem przytrzymał się na łokciach, opuścił jeszcze niżej i w końcu zeskoczył, modląc tylko o to, żeby po raz kolejny nie odezwała się kontuzja kostki.

Stuknęły głucho buty, jęknęła belka stropu, ale dach wytrzymał. Teodor przez chwilę nasłuchiwał, czy jego akrobacje nie wzbudziły ciekawości nikogo w środku, ale

chyba udało się nie zaalarmować strażników, o ile jacyś byli.

Przeszedł do jednego, drugiego komina wentylacyjnego, posłuchał niosącej się z kwadratowych przewodów ciszy. W końcu przykucnął nad klapą: rozsądek sugerowałby jakoś zabezpieczyć tę drogę dostania się do środka budynku.

Sznur, łańcuch, zwykły gwóźdź przesunięty przez ucho skobla...

Podważył klapę i pociągnął, a ona po prostu ustąpiła. Nie dowierzając swemu szczęściu, zdjął ją na bok i zajrzał w ciemne wnętrze poddasza. Wsunął w otwór nogi, opuścił się na rękach: nie było wysoko, może półtora metra. Zsunął się w ciasny mrok, macając przed sobą w kurzu, zaczął powoli przesuwać się naprzód, szukając zejścia niżej.

Prawie już stracił nadzieję, gdy nareszcie trafił na drzwiczki. Nacisnął klamkę i pociągnął, a one niechętnie, ale puściły, skrzypiąc cicho. Wyjrzał na wiodące do ciasnego korytarzyka schodki. Z przeciwległego końca przejścia sączyła się słaba poświata, pozwalając zorientować się w przestrzeni, więc ostrożnie zszedł po trzeszczących stopniach i krok po kroku ruszył w tamtą stronę.

Kolejne, tym razem ceglane schody zaprowadziły go do przestronnej hali głównego magazynu. Pośrodku pomieszczenia wznosiła się rampa rozładunkowa, wbiegające pod wrotami tory kończyły się pod potężnym, drewnianym odbojnikiem. W karnym szeregu stały wózki transportowe, kilka dźwigów suwnicowych czekało pod sklepieniem na

kolejną partię towarów.

Były też skrzynie. Skrzynie, ustawione rzędami pod ścianą pakunki, przykryte brezentem kanciaste kształty – podobne do tych, jakie Teodor widział na platformach pociągu pancernego.

Ostrożnie, rozglądając się i nasłuchując, zszedł na dół.

Raptem dwie żarówki ćmiły się w zakurzonych kłoszach, więc hala w większości tonęła w cieniach, ale więcej światła nie potrzebował. Podeszedł do pierwszego z brzegu pakunku, wsunął rękę pod plandekę. Wymacał zimny, obły i podłużny kształt – butla! I jeszcze jedna, kolejna... Zajrzał do następnej otwartej skrzyni: to samo.

Gaz? Czyżby szaleni naukowcy Kaiserreichu planowali powtórzyć hekatombę spod Ypres i Ossowitz? Ale w takim razie po co trujące chemikalia tutaj, w Królewcu? Nie, to musiało być coś innego.

Podeszedł do przykrytych materiałem kształtów, stojących w rzędzie jeden obok drugiego. Uniósł brezent: działko? Tak, ale nietypowe, bo krótkie i pękate, w dodatku osadzone na obrotowej podstawie... I ten przedziwny bęben poniżej z nawiniętą stalową liną, to przecież wyciągarka!

Działko harpunowe, tutaj? Przecież wielorybów na Bałtyku nie ma od lat!

Zajrzał jeszcze do kilku skrzyń i pakunków, czując narastający w głowie mętlik. Cokolwiek Niemcy tu zwozili, nie szczędzono na to kosztów ani wysiłku, otaczając nadzwyczajną pieczę i ochroną, a potem... Potem trzymano

w zwykłym magazynie!

Otworzył żelazne pudło. To było coś innego: broń podobna do pistoletu, ale bez widocznego miejsca na magazynek. Tylko chwyt i spust, długa, wąska lufa i na jej końcu zawór, dwie obejmujące, pozwalające zamontować w uchwycie jakiś rodzaj cylindra na... sprężone powietrze? Po co jednak komuś...

– Stój, kto tam?! – rozległo się echem.

Grossmann zamarł, czując, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. Na tyle zatracił się w domysłach, że przestał zwracać uwagę na otoczenie!

– Ręce do góry!

Powoli uniósł dłonie nad głowę, odwrócił przodem do trzymającego go na muszce strażnika. Spojrzał ponad lufą karabinu w oczy może dwudziestoletniego młodzika, odezwał się:

– Jestem niemieckim oficerem. Mam w kieszeni dokumenty.

Blefował, rzecz jasna, bo nie miał tam nic z wyjątkiem kurzu i brudu. Ale musiał zyskać na czasie.

– Ręce za głowę! – szczerknął tylko żołnierz. – Na kolana, potem twarzą do ziemi! Żadnych głupot, bo... *Herr Leutnant*, to pan?

Grossmann drgnął, przyjrzał się twarzy strażnika. Zmrużył oczy, patrząc pod światło.

– Heinicke?

– Pan podporucznik! – Heinicke aż sapnął, poznając swojego wykładowcę z kursów szkoły podoficerskiej. –

Skąd się pan podporucznik tu wziął? Tu przecież nie wolno być.

Grossmann odetchnął, rozłożył ręce i podszedł bliżej.

– Heinicke, mówiłem wam przecież: mam przy sobie dokumenty.

Strażnik opuścił broń, pokręcił głową, wciąż zaskoczony.

– Ale jak? Przecież tutaj nie można się... uhmpf... dostać...

Zamrugął. Skłonił głowę, z niedowierzaniem popatrzył na sterczącą mu spod żeber rękojeść bagnetu. Zadrżał, wypuścił karabin i kurczowo złapał Teodora za połą munduru.

– Wybacz, Rolf – warknął Grossmann, przekręcając ostrze tak, żeby sięgnąć serca. Heinicke zatrzepotał rękami, złapał otwartymi ustami powietrze, niczym ryba wyrzucona na brzeg, szarpnął się i oklapł, osunął na ziemię.

Rolf Heinicke, urodzony dwudziestego siódmego sierpnia – usłużna pamięć podsunęła fakty. Za dwa miesiące świętowałyby dwudzieste urodziny. Mieszkał gdzieś w okolicach Rossgarten, często wspominał, że ma piękny widok na zamek ponad wodą Schlossteichu... Bystry umysł, wnikliwy słuchacz, zaangażowany i pracowity. Mówił, że marzy o tym, żeby jak najszybciej trafić na front i dowodzić drużyną zwiadu zmotoryzowanego, stąd też zainteresowanie maszynami i służba wartownicza po godzinach. Za trzy dni miał mieć egzamin końcowy z taktyki

boju ofensywnego.

A teraz nie zrobi już żadnej z tych rzeczy, bo nie żyje.

Grossmann bez jakichkolwiek emocji popatrzył na leżące u jego stóp ciało. Wyszarpnął kawałek brezentu ze skrzyni, podłożył pod trupa, żeby rozlewająca się krew nie zostawiała śladu na posadzce, po czym złapał go za nogi i przeciągnął na bok, w kierunku torów. Wrócił pod skrzynię, sypnął na plamę piaskiem, roztarł nogą: była szansa, że nikt tego od razu nie zauważy.

Rozejrzał się po magazynie, myśląc intensywnie. Nie mógł zostawić trupa nigdzie tutaj, szczególnie miał też jak go ukryć... W końcu zaciągnął martwego chłopaka w najdalszy kąt hali, upchnął w pustej skrzyni. Najdalej za tydzień ciało zacznie się rozkładać i śmierdzieć, ale do lej pory jego ślad już ostygnie.

To jest, o ile da radę się stąd wydostać.

Przeszedł się po hali, zajrzał do pustej stróżówki. W szafce znalazł kilka kluczy, któryś powinien pasować do drzwi wejściowych, więc może sytuacja nie była taka znów beznadziejna. Na szybko przetrząsnął szuflady biurka, ale nie znalazł żadnych dokumentów: musieli trzymać je gdzie indziej, a on nie miał już zamiaru ryzykować wchodzenia do innych budynków.

W magazynie stał stary, rozklekotany wózek towarowy na trzech kółkach. Grossmann spojrział bystro: kto wie, może da radę jeszcze zatrzeć ślady nieostrożnej zbrodni? Gdyby ciało udało się schować, to może nie będzie zmuszony uciekać z miasta. Załadował skrzynię z

trupem, przepchnął w pobliże wyjścia i zaczął gmerać kluczami w zamku.

W końcu w mechanizmie szczęknęło, drzwi uchyliły się. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Skład jeszcze stał na torach, ale lokomotywa rozgrzewała się już do odjazdu, większość żołnierzy z obstawy siedziała na platformach.

Przytrzymał skrzydło barkiem, wytoczył wózek na zewnątrz i pchając go przed sobą, szybko przeszedł wzdłuż fasady magazynu. Skręcił za róg, tam wyciągnął trupa i zarzucił sobie na ramię. Przytrzymując bezwładne ciało jedną ręką, a w drugiej niosąc szpadel, doszedł do ślepego zaułka przy lokomotywni.

Ziemia była tam wilgotna i ciężka, pełna tłustych roślin. Wykopał płytki grób, przysypał ciało ziemią i udeptał. O ile ktoś nie będzie go tu szukać, to po dwóch-trzech tygodniach zarośnięte wysokimi pokrzywami miejsce powinno być nie do znalezienia.

Otarł pot z czoła, odsapnął. Nie tak to miało wyglądać...

Słyszając już nawoływania maszynisty, wepchnął wózek z powrotem do magazynu, biegiem dotoczył na miejsce, gdzie stała wcześniej skrzynia. Szarpnął drewniane, puste pudło i dosłownie zrzucił na ziemię, kopnął ze złością: lokomotywa gwizdnęła krótko dwa razy, domagając się otwarcia bramy.

Puścił się cwałem ku wyjściu, słyszając już narastające, przyspieszające sapanie tłoków parowych. Wybiegł z magazynu, chrzęszcząc butami po żwirze i stukając o

drewniane podkłady, popędził za odjeżdżającym składem. Ktoś z boku zawołał coś do niego, ale Grossmann nie słuchał, tylko przyspieszył i ściął łuk torów, skracając dystans do ostatniej lawety, na której stał w rozkroku wachman z karabinem.

– Pomóż! – zawołał do wartownika, dobiegając już do tylnych buforów. Ten przykleknął i wyciągnął dłoń, więc Grossmann złapał się kryzy bufora, podskoczył i chwycił żołnierza za rękę, zaczepił samym czubkiem buta o żelazną poprzeczkę, podciągnął się i w końcu przewalił przez krawędź.

Wąsaty, stary żołnierz z dystynkcjami sierżanta pomógł mu podnieść się na nogi, poklepał po ramieniu.

– Pan podporucznik coś spóźnialski – zauważył. – Ulala, ależ się *Herr Leutnant* uświnił! Prosto z frontu?

Grossmann spojrział na ciemną plamę, smugą znaczącą rękaw munduru.

– Oddałem wyjściowy do prania. No i nie poczekaliście na mnie, co?

– A mieliśmy czekać? To zażalenia tam, o. – Żołnierz pokazał kciukiem za siebie, w kierunku wagonu pancernego zaraz za lokomotywą. – Ja tu tylko pilnuję, panie podporuczniku.

Przetoczyli się przez bramę, światło reflektorów liźnęło wagony, na chwilę zaświeciło im w twarze. Grossmann przysłonił oczy dłonią, wachman tylko odwrócił się w bok, jednocześnie sięgnął do kieszeni.

– Zapali pan?

Teodor kiwnął głową, wyjął zapalniczkę. Usiedli obaj na skraju platformy, tyłem do lokomotywy, patrząc, jak tory uciekają im spod nóg.

– *Homo animal sociale est* – sentencjonalnie stwierdził wartownik, dmuchając dymem w rozgwieżdżone niebo.

– „Człowiek jest zwierzęciem towarzyskim”?

Wąsacz pokiwał poważnie, pogładził sumiastego wąsa.

– Jak to miło wiedzieć, że jeszcze da się spotkać w tych czasach człowieka wykształconego. Nie zastanawiał się pan podporucznik czasem, jako to dziwnie się losy plotą?

Grossmann zerknął kątem oka na gadatliwego sierżanta, jednocześnie luzując w pochwie bagnet. Nie miał ochoty bez konieczności zabijać po raz drugi, ale też nie zawahałby się, gdyby zaszła taka konieczność.

Tymczasem tamten ciągnął dalej, zadowolony, że ma z kim pogadać:

– No bo spotykamy się tak, w środku ciemnej nocy. Ja pana podporucznika nie znam, pan nie zna mnie. Widzimy tylko to, co ucieka za nami w przeszłość, żaden z nas nie wie, dokąd nas ten pociąg wiezie. No, to znaczy: ja wiem, ale to taka przerośnia była... Nie ma pan podporucznik przypadkiem granatu?

Zdumiony Grossmann pokręcił głową przecząco, a strażnik westchnął ciężko.

– Ech, tak myślałem właśnie. Dali mi niby tę flintę, o, ale jaki z tego pożytek? Ja mam, rozumie pan podporucz-

nik, oczy słabe. Powiniennem pewnie pana *Ausweis* sprawdzić, ale co mi po nim, jeśli i tak nie przeczytam? A tak, granatem to chociaż szansa by była, że się kogoś trafi. Pan podporucznik miejscowy pewnie?

– Przyjezdny.

– O, to tak jak i ja. Gówniana, za przeproszeniem pana podporucznika, ta robota, takie jeżdżenie w tę i we w tę. Ale lepsze to niż kopanie tuneli na froncie...

Grossmann popatrzył na niego zaskoczony. Sierżant tylko pokiwał.

– Tak, tak, panie podporuczniku. Gaz nam wpuścili w wykop, jedynie nas czterech z całego plutonu zdołało się wygrzebać. Mnie oczy poparzyło, więc zaproponowali: pojedźcie, mówią mi, na wschód, tam spokojnie się wykurujecie przy innej służbie. A ja siedzę na tym wagonie i nie mogę przestać myśleć, że gdzieś tam się szrapnele rwą, lecą bomby, moździerze grają... A mnie tam nie ma! Wozimy nie wiem co i po co, to nocą, to dniem, w rękę tylko jakiś, pożał się Boże, pięcionabojowy pogrzebacz. I nic, jak ta kaczka na strzelnicy! Ani kawałka pancerza, nawet fragmentu kolczugi nie pozwalają założyć. A ja się nagi i bezbronny czuję, jak dziecko, mimo że piąty krzyżyk na karku. Rozumie pan...?

Obejrzał się, potem poderwał i rozejrzał, zaskoczony. Laweta była pusta, wachman siedział sam. Wokół panowała nieprzebrana cisza i czerń, tylko koła sunącego przez noc pociągu stukały na łączeniach szyn, oświetlanych przez czerwone światło lampy tylnej.

Splunął, przeżegnał się. Wzruszył ramionami i oparł o burtę, patrząc w rozgwieżdżone niebo.

Nie takie rzeczy się widziało.

Grossmann szedł przez wysoką trawę, patrząc, jak ciągnący za sobą pióropusz jaśniejszego dymu pociąg znika w odmętach nocy. Może przed zeskoczeniem z lawy powinien był się pożegnać z sierżantem-gadułą, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ale nie chciał odjeżdżać zbyt daleko od miasta. W końcu musiał jeszcze wrócić na kwaterę i spróbować się przespać. Jutro też był dzień.

ROZDZIAŁ XI

Pociąg sapnął i szarpnął wagonami, ruszając z miejsca. Keller uniósł rękę w geście pożegnania, patrząc, jak wiozący Artura Scherbiusa skład wyjeżdża z dworca, a potem robi się coraz mniejszy i mniejszy, w końcu chowając za zakrętem torów.

– Wreszcie... – mruknął do siebie.

Prawie dwutygodniowa wizyta naukowca dała mu się mocno we znaki, poza niedawnym piknikiem nie miał praktycznie ani dnia wolnego. Scherbius biegał po mieście, odwiedzał biblioteki i zakłady przemysłowe, spotykał się z pracownikami katedr uniwersyteckich, których istnienia Gerhard nawet nie był świadom – a wszystko to, rzecz jasna, pod czujnym okiem Nemmersdorfa. Profesor wyraźnie zażyczył sobie, żeby Keller spełniał każdą zachciankę doktora, więc nie było wyjścia.

– Dzień dobry, panie Wichter! – przywitał dozorcę, nieodmiennie zamiatającego płyty peronu.

– O, toż to *Herr Fahnenjunker!* – ucieszył się weteran.
– Dawno coś pana nie widziałem. Jak tam młoda dama?

Keller uśmiechnął się do własnych myśli, sięgnął po papierosy. Poczęstował dozorcę, wyciągnął jednego dla siebie.

Kwitnąco. – Odpalił, podał ogień byłemu kapralowi. Zaciągnęli się obaj z lubością, patrząc na przetaczający się

akurat skład towarowy.

– Dobrze. – Wichter pokiwał głową z uznaniem. – Ofierskie, czuć po aromacie. Coraz ciężej dobry tytoń dostać, ech.

– Już niedługo.

Zaciekawiony weteran zerknął z ukosa.

– Wczoraj znajomy z dowództwa mówił mi, że we Francji zbuntowała się ichnia armia. – Keller ściszył głos. – Dywizje przyjeżdżają na front bez uzbrojenia, żołnierze w sztok pijani. Podobno były przypadki odmowy wykonania rozkazów i zbrojnego oporu wobec oficerów, padły strzały. Jeszcze miesiąc, dwa, i będzie po wojnie.

– Ruscy też już dupą dech łapią... to jest ledwo zipią – poprawił się dozorca.

– Rząd Tymczasowy zamiast cara, też tak słyszałem. A o Londynie pan wie?

– Nie?

Keller uśmiechnął się wrednie.

– Nasze bombowce dalekiego zasięgu weszły z zaskoczenia w ich przestrzeń, podobno aż trzy dziesiątki maszyn. Za dnia! Londyn w ogniu, doki zbombardowane, gildii lityczna skala zniszczeń. I to bez strat własnych, uwierzy pan?

No co pan fanenjunker nie powie... To może faktycznie tylko patrzeć, jak koniec będzie?

– To by było coś. – Gerhard dmuchnął dymem w bok. – Normalne życie, wreszcie będzie czas na trochę zabawy. Znowu otworzą teatry, wróci kinematograf, przestaną ra-

cjonować żywność. Można będzie się zająć ważniejszymi sprawami.

Dozorca uśmiechnął się porozumiewawczo, puścił oko. Keller dopalił, zgniótł papierosa w żelaznej puszcze popielniczki, pożegnał się i ruszył w kierunku placu.

Riksza dowiozła go w okolice ogrodu botanicznego, gdzie kupił bukiet kwiatów, a potem piechotą przeszedł Sternwartstrasse aż do kampusu. Rozsiadł się na ławeczce pod rozłożystym kasztanem, czekając, aż zegar na wieży wybiję piątą, a profesor pozwoli Erice iść do domu.

Wyłoniła się z potężnego wejścia do gmachu katedry mechaniki równo siedem po: tyle zajmowało jej uporządkowanie biurka, pozamykanie okien i zejście na dół. Stała, przysłaniając oczy od słońca i rozglądając w lewo i prawo; umówili się przy wejściu, a jego nie było nigdzie widać.

Chciał w pierwszej chwili podnieść się i zawołać, ale zmienił zdanie.

Obserwował ją, jak robi dwa kroki to w jedną, to w drugą stronę i przystaje. Było coś – coś dziwnie podniecającego w patrzeniu na nią, jak kręci się bezradnie, nie wiedząc, co się dzieje. Wyobraził sobie, jak wyglądałaby z zasłoniętymi oczami. Wtedy on podszedłby do niej od tyłu, położył dłoń na karku i...

– Tu jesteś! – Erika w końcu dostrzegła go. Keller przełknął ślinę i wstał, poprawił poły munduru. Czar fantazji może i prysnął, ale ucisk w gardle pozostał. – Scho-wałeś mi się!

Nadstawiała policzek do pocałunku na przywitanie. Gerhard musnął ustami jej skórę, poczuł, jak odurzający zapach perfum wwierca się w mózg.

– Pięknie wyglądałaś tak w słońcu.

Wręczył jej kwiaty. Chciał objąć w talii, ale ona wzięła go pod rękę i potrząsnęła znacząco głową.

– Profesor może patrzeć. Na pewno patrzy.

– Przyzwoitka... – westchnął ciężko.

– Możliwe. Ale jest starszy i mądrzejszy od nas, poza tym daje mi zatrudnienie. To chyba niezbyt wygórowana cena?

– Absolutnie nie – zgodził się Keller. – Jak sytuacja po wyjeździe Scherbiusa?

Erika wolną ręką rozpuściła spięte w ciasny kok włosy, które posypały się w dół czarną kaskadą. Odetchnęła z ulgą, potrząsnęła głową i poprawiła fryzurę.

– Profesor w amoku. Kazał narobić sobie kanapek i mówi, że będzie pracować całą noc... Zajdziemy po drodze na pocztę? Mam tutaj całą paczkę listów do fabryk, rozrzuconych chyba po połowie Europy.

– Fabryk?

Kiwnęła głową, wyciągnęła z torebki plik kopert i powiedziała – Hanower, Monachium... Charlottenburg... Szwecja?!

Erika wzruszyła ramionami.

– Powiedziałaś przecież: amok. Scherbius najwyraźniej sprawdził w praktyce coś, nad czym pracował koncepcyjnie profesor. Teraz szukają zakładów zdolnych

podjąć się produkcji.

– Planują zostać przemysłowcami?

– *Herr Fahnenjunker*, naprawdę muszę zwrócić panu uwagę. – Erika zmarszczyła nosek w udawanym grymasie niezadowolenia. – Słaby z pana towarzysz, jeśli jego trzecią z rzędu wypowiedzią w rozmowie jest pytanie!

– Przepraszam, ale to... naprawdę mocno niespodziewane. Nawet jak na standardy profesora Nemmersdorfa.

Weszli do urzędu pocztowego na Tragheimer Kirchplatz, Erika wykupiła znaczki i nadała listy. Keller tymczasem skoczył do pobliskiej kawiarni, zamówił im stolik. Gdy panna Scharfe wyszła, kelner właśnie nakładał ciastka.

– Pan, panie fanenjunker, chce mnie utuczyć! – roześmiała się. – Żeby móc z czystym sumieniem rozglądać się za innymi kobietami!

Keller uśmiechnął się wymuszenie, ale jego oczy nagle posmutniały. Śmiech zamarł na ustach Eriki. Odchrząknęła, uciekając w bok wzrokiem.

– Przepraszam, to było niemiłe.

– Nikt nie mówił, że życie będzie miłe, Eriko. – Przykrył jej dłoń swoją ręką. – Niestety, masz prawo tak mówić... A przynajmniej powiedzieć raz.

Pałce ich dłoni splotły się, zacisnęły mocno. Erika potrząsnęła głową, uśmiechnęła smutno.

– Nie mam zamiaru. To stało się wtedy w dużej mierze z mojej winy, nie powinnam była zachowywać się tak zaborczo i samolubnie.

Gerhard odwzajemnił uśmiech, mimo że instynktownie wyczuł drugie dno ukryte pod tymi słowami. „Nic nie dzieje się bez przyczyny” – powiedział mu kiedyś profesor Nemmersdorf. A teraz nagle Erika między wierszami dała mu znać, że... że co?

Zdecydował się zmienić temat na bezpieczniejszy.

– Co porabiasz w niedzielę? Myślałem, że może wybierzemy się do ogrodu zoologicznego...

– Doskonały pomysł! – podchwyciła błyskawicznie. – Zabiorę Jennifer na zakupy, pójdziemy w identycznych kapeluszach! Ależ będzie skandal!

„...we dwoje, tylko ty i ja” – nie zdążył dodać. Przełknął gorzką pigułkę, zagryzł ciastkiem i popił herbatą. Pomilczał chwilę, potem rzucił dobrze mierzoną odpowiedzią:

– Chcesz, żebym nie wiedział, którą z was mam się zajmować bardziej?

Popatrzyła na niego, zdziwiona i zniesmaczona.

– Gerhardzie, co za szokujący pomysł. To oczywiste, że będziemy musieli znaleźć jej jakiegoś towarzysza.

Jakiegoś, pomyślał sobie Keller. Nie wiedzieć czemu wrażenie, że wybór będzie prosty. Zawężony do aż jednego kandydata.

Teodor potoczył wzrokiem po twarzach słuchaczy w audytorium szkoły wojskowej, gładko prześliznął się po pustym miejscu, na którym przez ostatnie półtora miesiąca zasiadał Heinicke.

– To tyle, panowie podoficerowie – zakończył. –

Dziękuję wam za uwagę, życzę powodzenia na egzaminie pojutrze.

Zaszurały odsuwane krzesła, załomotały składane siedzenia. Kadeci i żołnierze powoli wychodzili z sali, wymieniając się uwagami i pokazując sobie wyrysowane na tablicy kształty. Kilku podeszło do katedry, żeby o coś jeszcze zapytać; Grossmann odpowiadał, jak umiał, cierpliwie i wyczerpująco. Na pożegnanie uściśnął im ręce.

– Nie spieszcie się na front – poradził. – Ale gdy już tam traficie, to nie próbujcie za wszelką cenę wrócić. Nie warto.

Zaczął ścierać tablicę, udając, że nie widzi lekko łyśiącego jegomościa, siedzącego w przedostatnim rzędzie. Szwajcar wszedł jakiś kwadrans przed końcem wykładu, a teraz najwyraźniej czekał, aż Grossmann skończy ze swoimi sprawami.

– Przyszedł pan doksztalcić się w zakresie najnowszych technologii pola walki, *Herr Fohn*? – zagadnął w końcu. – Obawiam się, że nie toleruję spóźniałskich. Będę musiał wystąpić do rektoratu o udzielenie panu nagany.

Bankier klasnął w ręce, zaśmiał się, pokazując swój przerażająco bogaty garnitur uzębienia.

– Ha, ha! Wyborne, doprawdy...! Ale nie, nie po to tu jestem.

Teodor skończył ścierać tablicę, ułożył kredy równo w pudełku, uporządkował papiery. Fohn ciężko zszedł po schodkach, stanął pod mównicą.

– Coś pan podporucznik się nie wyspał – zawyroko-

wał, przyglądając się Teodorowi. – Widać, że ciekawa noc była. Mam doskonałe krople do oczu, przyniosę panu następnym razem.

Grossmann akurat odwrócił się do niego tyłem, więc mógł pozwolić sobie na przymknięcie powiek. Czy to możliwe, żeby Szwajcar wiedział o jego nocnej eskapadzie?

I jeszcze fakt, że pojawił się właśnie tutaj, na wykładach... Zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział najspokojniej jak umiał;

– Będę zobowiązany. W czym mogę pomóc, *Herr Fohn*? Czyżby przybył pan po swoją własność?

Bankier w pierwszej chwili nie zrozumiał, dopiero potem Teodor uniósł nadgarstek i pokazał zegarek. Fohn potrząsnął głową, nieodmiennie rozbawiony.

– Gdzieżbym śmiał! Posądza mnie pan, jak widzę, o same najgorsze przywary. A ja przychodzę tylko zapytać, czy nie ma pan podporucznik planów na dziś wieczór.

– Planów... To zależy, jaka jest dalsza część propozycji.

– Otóż... – Fohn pochylił się i zniżył głos: – Nasz wspólny znajomy, graf von Hantzsch, organizuje nieduże przyjęcie. Zamknięte, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Rozumiem doskonale. Słucham dalej.

Bankier sięgnął za pazuchę, wyciągnął dwie małe koperty.

– No i tak się złożyło, że miałem przyprowadzić dwóch znajomych, ale obydwaj mają akurat coś ważniej-

szego. Chociaż, powiem panu, że osobiście nie rozumiem, co może być ważniejsze od dobrze wyszykowanej, soczystej...

– Imprezy – uśmiechnął się Grossmann.

– Dokładnie tak. Więc pomyślałem, że pozwolę sobie zaproponować je panu porucznikowi.

– Czuję się wyróżniony. Ile jestem panu winien, *Herr Fohn*?

Szwajcar wydał policzki, machnął ręką.

– Nie ma o czym mówić. Poza tym chyba nie sądzi pan, że nasz kraj wzbogacił się na spekulacji zaproszeniami?

– Nie, raczej nie.

– No więc zostawmy rolę koników tym, którzy mają czas i chęci na takie drobnostki. Proszę przyjąć je jako czysty gest dobrej woli.

Grossmann skłonił głowę, uścisnął dłoń bankiera.

– Jestem zatem oficjalnie pańskim dłużnikiem, *Herr Fohn*.

Gdy Szwajcar wyszedł, Teodor otworzył jedną z kopert i wyciągnął ręcznie kaligrafowaną kartę in blanco. Popatrzył na drzwi, w których zniknął bankier; bardzo, ale to bardzo wątpił, żeby zaproszenia były początkowo przeznaczone dla kogokolwiek innego, bo wtedy figurowałyby na nich nazwiska. Więc z założenia miały trafić do niego i... Kellera? Najwyraźniej tak, ale dlaczego?

No cóż, najwyraźniej będzie musiał to po prostu sprawdzić.

– Panie podporuczniku! Jakże bardzo, bardzo się cieszę, że pana tutaj widzę!

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Grossmann podał rękę von Hantzschowi. Graf spróbował nią potrząsnąć, ale równie dobrze mógłby starać się poruszyć knagę cumowniczą. – Jaśnie pan graf pozwoli, że przedstawię: *Fahnenjunker* Keller, mój towarzysz broni i serdeczny przyjaciel.

– Witam, witam również pana fanenjunkra! – Von Hantzsch zaatakował dla odmiany Gerharda, który, nieprzygotowany, przejął od gospodarza dużą część drgań towarzyskich. Kiedy w końcu dał radę wyzwolić dłoń z uścisku, graf zawołał na przechodzącego akurat kelnera, ściągnął z tacy dwa wysokie kieliszki i podał nowo przybyłym gościom. – Panowie, bawcie się, bawcie, ile sił! Wszystko dla ludzi, używajcie życia!

Podziękowali, ostrożnie ruszyli w pstrokaty tłum.

Wokół nich kłębili się mężczyźni we frakach i mundurach, błyszczący złotą biżuterią i lśniącymi się od brylantyny włosami. Kobiety w wydekoltowanych sukniach przepływały przez salę, ciągnąc za sobą smugi wiszących w powietrzu perfum, rozdając na lewo i prawo perliste uśmiechy. Na podwyższeniu sceny wirowały tancerki w kostiumach z siateczki i piór, solistka śpiewała skoczną piosenkę pod melodię ostatnio popularnego utworu, z werwą odtwarzanego przez schowaną nieco z boku orkiestrę kameralną.

Keller z mieszaniną niedowierzania i rozbawienia ro-

zejrzał się po sali jednego z najlepszych klubów nocnych Königsberga.

– „Małe przyjęcie”? Jesteś pewien, że tak powiedział?

– Nie ma tu więcej niż pół setki ludzi – mruknął Grossmann.

– Gości, może tak! Dolicz do tego obsługę, dziewczyny... Nie wiem, czy byłoby nas we dwóch stać na jedną lampkę tego szampana!

Teodor dopił, mimo protestów przyjaciela odebrał też jego kieliszek i odstawił obydwu na tacę kelnerki, tylko po to, żeby wziąć dwa kolejne.

– No i popatrz, właśnie dwukrotnie podnieśliśmy stopę życia. Wypijmy za piękne panie!

– O tak... – Keller obejrzał się za mijaną właśnie zjawiskową brunetką. – Jest za kogo. Myślisz, że spotkamy tu twoją Amerykankę?

– Jennifer? Nie sądzę, ma dziś wieczorem występ. A czemu pytasz?

Gerhard wychylił duszkiem pół kieliszka, wypuścił powietrze przez zęby. Nie zdążył zjeść kolacji, więc alkohol szybko wchodził do głowy.

– Bez powodu.

Grossmann popatrzył uważnie na przyjaciela, ale nie powiedział nic.

Już gdy spotkali się w przelocie poprzedniego dnia, miał wrażenie, że Keller czegoś mu nie mówi, gryzie się z myślami... Mimo to przekazane dosłownie w ostatniej chwili zaproszenie na wspólne wyjście przyjął wręcz

ochoczo, a wiadomość o tym, że idą sami, nawet z zadowoleniem. I teraz to dziwne pytanie o Jennifer. No nic, poczekamy, dowiemy się.

Podeszli do stolika ruletki, przez chwilę patrzyli, jak brodaty przemysłowiec obstawia pola. Wisząca mu na ramieniu blondynka z lekko krzywym nosem chichotała i klaskała w ręce, wyraźnie podekscytowana nie tyle samą grą, ile lekkością, z jaką jej towarzysz przepuszcza fortunę. Brodacz sapał i czerwienił się, zupełnie nie przejmując się kolejnymi przegranymi... W końcu Grossmann pociągnął towarzysza za ramię.

– Chodź, nic tu po nas. Ślepy traf nigdy się do żadnego z nas nie uśmiechnął.

– Skoro tak twierdzisz.

Odeszli na bok, chwilę poflirtowali ze stojącymi przy barze tancerkami z rewii. Keller cały czas unikał wzroku Teodora, niemal ostentacyjnie odwracając się, gdy ten rozmawiał z kobietami. W końcu podporucznik nie wytrzymał i zapytał:

– Gerhard, co się dzieje? Tylko szczerze i bez mataczenia, proszę cię.

– Od razu zarzucasz mi krętactwo? – Keller wykrzywił się pustym, nieswoim uśmiechem, jego oczy załśniły zimnym, drapieżnym blaskiem.

Grossmann pokiwał głową ze smutkiem.

– Dokładnie o tym mówię, mój przyjacielu. Niech zgadnę: chodzi o kobietę, a ja zrobiłem coś nie tak. Zgadza się?

Twarz fanenjunkra drgnęła, zmiękła i zniknęła z niej obca, chłodna obojętność. Westchnął.

– Znasz mnie zbyt dobrze, Teodor.

Usiedli na obitych czerwonym pluszem kanapach w rogu. Keller zapalił i zaciągnął się, patrząc gdzieś w pustkę. Teodor czekał.

– Erika się... zmieniła – wyrzucił w końcu z siebie Keller.

– Na lepsze czy na gorsze?

– Po prostu zmieniła. Powinienem był zauważyć wcześniej rzuciło mi się to w oczy dopiero tam, na Bałdze...

Grossmann pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Więc o to chodzi. No już, wyrzucić to z siebie wreszcie.

– Mam wrażenie, że jej się podobasz, Teo.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, potem Grossmann odchrząknął, upił łyk szampana. Sięgnął do kieszeni i też wsunął w usta papierosa.

– To nic zdrożnego – mruknął, pstrykając zapalniczką.

– Ona też mi się podoba. Tobie podoba się Jennifer.

Keller zarumienił się, chciał zachnąć, ale powściągnął emocje.

– Wiesz, o czym mówię.

– Wiem – potwierdził Grossmann. – I dokładnie dlatego nie do końca rozumiem twoje wzburzenie. Chyba że aż tak bardzo się zakochałeś, Gerhardzie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – warknął Keller.

– Gratuluję.

– To znaczy...?

– Odnoszę po prostu wrażenie, że z wzajemnością. *Fahnenjunker* westchnął po raz kolejny.

– Chciałbym w to wierzyć. Ale mówię ci, Teodor, że ona patrzy na ciebie, a ja...

– A ty jesteś zazdrosny.

– Tak!

– Posłuchaj mnie, Gerhardzie. – Grossmann nachylił się, położył rękę na sercu. – Daję ci słowo honoru, że panna Scharfe interesuje mnie wyłącznie o tyle, o ile wiąże się to z twoim szczęściem. Tylko w tym zakresie. Ona nie jest w moim typie, rozumiesz?

– Ty ostatnio wolisz rude – uśmiechnął się Keller.

– Tak, wolę rude. Drapieżne, umalowane, niekryjące się z tym, czego chcą i jak chcą. Nawet nie spojrzę na twoją Erikę, chyba że sam mnie o to poprosisz. Zadowolony?

Keller kiwnął, poklepał Teodora po ramieniu.

– Zawsze mogłem na ciebie liczyć. Dziękuję.

– O, toż to pan podporucznik Grossmann! – rozległ się okrzyk. Przez tłum przeciskał się w ich stronę Matthias Fohn. – Zakładam więc, że to musi być fanenjunker Keller... Witam panów!

Wstali, przywitali się. Teodor dokonał prezentacji:

– *Herr* Fohn, to mój przyjaciel *Fahnenjunker* Keller. Gerhardzie, poznaj naszego dobroczyńcę, dzięki któremu spędzamy wieczór w tak szalony sposób.

Bankier poczęstował cygarami, ale odmówili. Pokazał

na trzymane przez nich kieliszki.

– Szampan, panowie? No chyba żartujecie! Hola, piękna! Coś mocniejszego dla panów mundurowych!

Próbowali nieśmiało protestować, ale Szwajcar był nieugięty: wypili po sznapsie, a on od razu zamówił kolejnego. Grossmann popatrzył badawczo: czyżby Fohn próbował go upić? Zerknął na zegarek, pilnując czasu, który upłynął od ostatniego kieliszka. Darczyńca wydawał mu się coraz bardziej podejrzany, trzeba było mieć się na baczności.

– O czym pan podporucznik tak myśli? – zagadnął go Fohn. Grossmann przywołał na twarz uśmiech.

– Zastanawiałem się, co trzeba zrobić, żeby znaleźć się na pana miejscu.

Bankier zdziwił się.

– Słucham?

– Zostać bliskim przyjacielem Rolexa. Możliwość podarowania czegoś takiego znajomym... Tylko pozazdrościć.

– Ach. No cóż, myślę, że gdyby chciał pan podporucznik zostać ambasadorem marki...

– Tylko żartuję.

– A ja bym chętnie – odezwał się Keller, którego wypity alkohol rozebrał zdecydowanie mocniej. – Są jakieś wakaty?

– O proszę, *Herr Fahnenjunker* jest miłośnikiem czasomierzy? Co za zbieg okoliczności! – ucieszył się Fohn.

– Ja jak ja, ale profesor...

– Profesor? Przepraszam, ale chyba nie wiem, o kim mowa?

Z wyjaśnieniami pospieszył Grossmann;

– Fanenjunker Keller jest... wybacz określenie, Gerhardzie, ale podopiecznym profesora Nemmersdorfa. Z tego, co mi mówił, to...

– TEGO profesora Nemmersdorfa? – przerwał mu Fohn. – Ludwiga Nemmersdorfa? *Przypadki stochastyczne w analizie...* O, do diaska. *Analiza przypadku...*

– *Analiza przypadku stochastycznego w studiach empirycznych*, tak! Jego słynna publikacja w „*Wochenschrift fur die Fortschritte*”, ale nie chce pan chyba powiedzieć, że zna prace naukowe profesora? – zdziwił się Keller.

Szwajcar plasnął dłonią o udo.

– Pytanie! Panie fanenjunker, przecież ja z wykształcenia jestem matematykiem! Nawet pan sobie nie wyobraża, jaką burzę wywołała jego ostatnia krytyka inwolucji w algebrze Boole'a, a z kolei poprzednia praca o transpozycjach macierzy...

– Pan wybaczy, ale muszę mu przerwać. – Grossmann uniósł ręce, widząc żywe zainteresowanie na twarzy Kellera.

– Tak? A to czemu? – zdziwił się Fohn.

– Po prostu muszę panu przerwać. Ja jestem prostym żołnierzem z pierwszej linii frontu, nie dla mnie wasze rozważania teoretyczne.

– Nonsens! – Keller klepnął go w ramię. – Panie Fohn,

Teodor to najlepszy kompan i przyjaciel, jakiego można sobie wymarzyć, klnę się na honor! A pana, jeśli pan chce... Mogę umówić na spotkanie z profesorem.

– Nie!

– Tak. Mogę i zrobię to.

– Nie śmiałybym przeszkadzać... Naprawdę, nie mam czelności.

– Profesor Nemmersdorf będzie przeszczęśliwy, mogąc porozmawiać z kimś, kto zna jego badania... I do tego sam kocha zegarki.

– Proszę mi zatem uwierzyć, że nie przybędę z pustymi rękami.

– Proszę się czuć zaproszonym. – Keller wzniosł kieliszek.

Fohn spuścił wzrok. Grossmann nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bankier zrobił to wyłącznie po to, by ukryć błędzący po ustach uśmiezek zadowolenia.

ROZDZIAŁ XII

Wyprowadził się z koszar, wziął przydział mieszkania gdzieś na mieście. Tyle wiemy na razie.

Horst podniósł głowę znad talerza, popatrzył ciężko na Afanasija.

Wszyscy trzej agenci siedzieli w jadłodajni na Jahrmarktsplatz, stłoczeni przy niewygodnym, zbyt małym stoliku. Wokół kłębili się robotnicy portowi, powietrze było aż ciężkie od dymu papierosów i zapachu doków, ale – paradoksalnie – tłum zapewniał anonimowość. Wszyscy śmiali się, rozmawiali głośno i przekrzykiwali, gwar dudnił i łomotał w uszach, czyniąc niemożliwymi jakiegokolwiek próby podsłuchania siedzących obok.

– Zgubiliście go, towarzyszu – skonstatował. – Prosiłem was, żebyście go pilnowali... A wy daliście się wykiwać jak dziecko.

Twarz dziobatego pokraśniała nierównymi białymi i czerwonymi plamami. Zacisnął pięści, ale nie powiedział nic.

– Iwan, jak się nazywał ten twój informator?

Brodacz siorbiący mętne piwo otarł usta i zadarł głowę.

Zamrugnął, patrząc w sufit.

– Klaucke – rzucił w końcu nazwisko. – Eugen Klaucke. Ale nie jest tani, trzeba będzie go umiejętnie

podejść.

– Skontaktuj się z nim, niech zdobędzie adres tego Grossmanna.

Iwan i Afanasij poparzyli na Horsta. Ten wyskrobał resztkę wodnistej zupy, wytarł talerz skórką od chleba i odsunął od siebie.

– Mam dość tych podchodów. – Wstał, założył czapkę.
– Trzeba to po prostu załatwić. Raz, a porządnie.

– Och tak... tak...! Taaaakk...!

Jennifer wygięła plecy w łuk, odrzuciła głowę w tył i wbiła paznokcie w skotłowaną kołdrę. Przez całe jej ciało przebiegł niekontrolowany spazm. Zacisnęła zęby, wypuściła powietrze przez ściśnięte gardło, a potem opadła bezwładnie na bok, osunęła się na łóżko.

– Mmmmm.. – Przeczłoła się po pościeli, wtuliła w ramię dyszącego ciężko, zlanego potem mężczyzny. – To było absolutnie, niewiarygodnie niesamowite. Brakowało mi tego.

Fraulein Zoransky... – wysapał tylko *Generalleutnant* gubernator Gunter Otto Friedrich von Pappritz, nie do końca chyba kojarzący, co się właśnie wydarzyło. Jennifer nachyliła się nad nim, położyła palec na ustach i pocałowała.

– Ćśśś... Proszę nic nie mówić. Wytrzymałość i umiejętności niemieckiego kawalerzysty nie bez powodu uchodzą za legendarne. Zaraz wrócę, skoczę tylko przypudrować nosek.

Zsunęła się z ogromnego łóżka, puściła oko do pa-

trzącego na nią skołowanym wzrokiem gubernatora i kręcąc biodrami, ruszyła w kierunku ulokowanej przy prywatnym apartamencie wojskowego łazienki. Na chwilę stanęła w drzwiach, oparła się o futrynę i wysłała mu przez powietrze pocałunek, a potem zniknęła w środku, przyomykając za sobą drzwi.

Stanęła przed lustrem i westchnęła ciężko, przeciągając po twarzy rękoma. Z początku wzięła się do zmywania makijażu, ale potem zmieniła zdanie: po prostu weszła pod prysznic i otworzyła wodę na cały zycher.

Namydliła się, myjąc dokładnie, pieczołowicie, niemal pedantycznie. Potem wzięła gąbkę i szorowała ciało: długo, mocno, prawie że do bólu. Przestała dopiero, gdy skóra zaczerwieniła się i zaczęła palić żywym ogniem.

Odetchnęła głęboko i przekręciła dźwignię do oporu w lewo, a potem stała pod lodowatym strumieniem wody tak długo, aż zaczęło brakować jej tchu. Jednym ruchem zamknęła zawór, wyskoczyła spod prysznica i wytarła dokładnie wielkim, mięsistym ręcznikiem.

Wyjrzała do pokoju: zapach wypitego piwa i wódki był aż nadto wyczuwalny w powietrzu, generał leżał na łóżku i chrapał.

Uśmiechnęła się do siebie. Okręciła się niedużym kawałkiem płótna i klapiąc bosymi stopami po zimnej, kamiennej posadzce przeszła przez ciemną sypialnię do salonu, a stamtąd do gabinetu.

Usiadła po ciemku za biurkiem von Pappritza, namała stojącą na blacie lampkę i włączyła światło.

Wysunęła pierwszą z brzegu szufladę.

Wyjęła i otworzyła teczkę dokumentów opatrzonych klauzulą „poufne”.

Umówili się z Jennifer przed dworcem.

Grossmann zjawił się za pięć jedenasta, idąc równym krokiem od strony Kaiserstrasse. Rozejrzał się, stanął w cieniu drzew i zapalił papierosa, patrząc na spacerujących ulicą ludzi i przejeżdżające wozy.

Rozsiadł się wygodnie na ławce i zerknął na godzinę, wciąż dziwiąc się ludzkiej pomysłowości: niby takie proste, nikt na to do tej pory nie wpadł, zegarek na rękę zamiast w kieszeni! Wskazówka minutowa właśnie minęła szczyt tarczy, ale nie miał zamiaru się przejmować. Kobiety od tego są kobietami, żeby wolno im się było leciutko spóźnić.

Gdy czerwony automobil nadleciał z hukiem po ulicy i zahamował z piskiem opon, było już dwadzieścia po. Jennifer wyskoczyła z wozu niczym wystrzelona z procy, machnęła tylko Grossmannowi ręką: biegniemy!

Przelecieli pędem przez cały dworzec i wpadli na peron, gdzie zawiadowca unosił już chorągiewkę do odjazdu. Począł chwilę, aż spóźnialska para wgramoli się do wagonu, potem zagwizdał, dając sygnał do startu. Szczęknęły zamykane drzwi, lokomotywa sapnęła i ruszyła z miejsca, wioząc ich w kierunku Rauschen.

– Przepraszam cię najmocniej! – Jennifer roześmiała się głośno, otwierając okno i wystawiając twarz do wiatru.
– Ale byłam przekonana, że wyrobię się szybciej! Ten

przeklęty dyrektor to taki gaduła, że...

Grossmann cały ten czas tylko wpatrywał się w nią, na jego ustach igrał ledwo dostrzegalny uśmiezek. *Miss Jennifer* urwała, też wbiła w niego badawcze spojrzenie.

– Ale ty się nie gniewasz, prawda? Mężczyzna potrafiący zrozumieć kobietę i jej fanaberie to skarb.

Nachyliła się i pocałowała go. Soczyście, namiętnie, głęboko...

– Nie. – Teodor pokręcił głową, gdy dziewczyna odsunęła się już i opadła na swoje siedzenie, wachlując twarz kapeluszem. – Nie gniewam się w żadnym razie.

– Uff, jeden problem mniej w tym szalonym dniu. Co ja bym teraz dała za kieliszek zimnego białego wina!

Teodor bez słowa sięgnął do torby, wyjął butelkę i korkociąg. Jennifer wybuchnęła perlistym śmiechem.

Pociąg toczył się powoli i niespiesznie. Za oknami przelatywały budyneczki malutkich stacyjek i pojedyncze perony, migały czerwone dachy skrytych w zielonej gęstwinie domów i poustawiane na rozległych, żyznych polach chatynki dla pracujących przy płonach robotników. Od czasu do czasu przejeżdżali przez skrzyżowanie z brukowaną albo bitą drogą, tu i ówdzie wznosił się ponad koronami drzew strzelisty dach kościelnej wieży z nieodłącznym gniazdem bocianów na szczycie.

– Pięknie tutaj. – Jennifer upiła łyk z cynowego kubeczka.

– Jesteś w domu.

Pokręciła głową.

– Nie, wcale nie. Dziadek nigdy nawet nie był w tych okolicach; a mimo to wszystko wygląda dokładnie tak, jak mi opowiadał. Po prostu czuję, że dobrze mi tutaj. Dobrze mi w tym wagonie, dobrze mi z tobą.

Grossmann spojrział na nią pytająco, dziewczyna tylko wzruszyła bezradnie ramionami.

– Tak już jest, przecież nie będę okłamywać ciebie ani siebie. Nie zakochałam się jeszcze, ale jestem na dobrej drodze.

Pokręcił głową, zdumiony.

– Amerykanie zawsze są tak bezpośredni w mówieniu o uczuciach?

– Nie jestem Amerykanką, *Herr Leutnant*. Nie jestem też Niemką, więc muszę być chyba po prostu sobą... Och, jaki piękny! Jak sądzisz, ile może mieć lat?

Teodor popatrzył na stojący na wzgórzu potężny dąb, pod którego rozłożystą koroną chowało się przed prażącymi słońcem stado krów. Pastuch przysiadł pod przekrzywionym, kamiennym krzyżem, pamiętającym zapewne jeszcze czasy świetności Zakonu.

– Co najmniej z pięćset... A może i tysiąc, kto wie? Jeśli stoi pod nim krzyż, to kiedyś mógł na jego miejscu znajdować się jakiś pogański bałwan. Prusy były ostatnim bastionem prawdziwego pogaństwa, na dobrą sprawę nie wiemy, co się tu działo przed czternastym wiekiem. Po Jaćwingach przecież nie zostało żadnych zapisków, kronik, nic.

– To smutne – szepnęła Jennifer. – Kiedyś mieszkali tu

ludzie, mieli swoje domy, świątynie, język i kulturę... A teraz nie został po nich nawet ślad. Ale po nas przecież coś zostanie, jak sądzisz?

– Historia lubi sinusoidę. Najpierw półdzikie plemiona, potem cywilizacja... Kolejną rzeczą po nas znów przyjdą barbarzyńcy, zburzą nasze zamki i zamienią kościoły w obory. Może nastać taki czas, że po Königsbergu nie zostanie nawet ślad. Zapadnie się pod wodę, niczym Atlantyda północy, i tylko stare kroniki będą wspominać, że kiedyś było tam piękne, bogate miasto...

Jennifer potrząsnęła głową.

– Proszę przestać, *Herr Leutnant!* To straszne, co pan mówi.

– Przepraszam. – Grossmann się skrzywił. – To nie ja, to Wojna mówi przeze mnie. Widziałem na froncie miejsca, w których były wsie i miasta... BYŁY jest tu słowem kluczowym.

Miss Zoransky wyciągnęła do niego rękę, uśmiechnęła się perliście.

– Cieszymy się zatem tym dniem. Nie chcę widzieć ani jednego smutnego spojrzenia do samego wieczora, czy to jasne?

– Tak jest! – Teodor żartobliwie zasalutował.

Wysiedli w Marienhof na uroczej, niemalże miniaturowej stacyjce, tonącej w bujnej zieleni drzew i krzewów. Pociąg pojechał dalej w kierunku Fischhausen, a oni stanęli przed wypłowiętym rozkładem jazdy, szukając połączenia do Rauschen.

– Mam tylko nadzieję, że coś jednak będzie – powiedział w końcu Grossmann, rezygnując z prób odcyfrowania ledwo widocznych liter. Jennifer rozejrzała się, zadarła głowę ku idealnie czystemu, lazurowemu niebu i uniosła ręce.

– Tutaj też jest pięknie. Powiem więcej: tutaj jest po prostu piękniej! – zawołała. – Och, mogłabym kupić sobie nieduży domek gdzieś tu na wsi i wychodzić co rano tylko po to, żeby słuchać świergotu ptaków! Świeże mleko od krowy, ciepłutkie bułeczki prosto z piekarni...

– Raczej ciemny chleb z własnego pieca. Najbliższa piekarnia musi znajdować się dobrych kilka kilometrów stąd, nie mówiąc już o wodociągu. Odśnieżanie zimą, rąbanie drewna jesienią, naprawy obejścia wiosną, żniwa latem, i tak w kółko. Wychowałem się na wsi, wiem, co mówię.

– Phi. – Jennifer odwróciła się do niego tyłem. – Pan podporucznik zawsze taki przyziemny i pragmatyczny!

Grossmann objął ją w talii, wciąż stojącą tyłem przyciągnął do siebie i delikatnie pocałował w szyję. Nie protestowała, odchyliła nawet głowę w bok i przymknęła oczy.

– Za to panienka tak bardzo rozpuszczona i przyzwyczajona do śniadania w łóżku... – mruknął, zanurzając Iwarz w jej włosach. Chciał złapać ustami płatek ucha, ale Jennifer zachichotała, wykręciła mu się i pokazała palcem.

– Chodźmy tam! Przespacerujmy się, rozprostujemy nogi!

Pokręcili się trochę wokół maciupciej stacyjki, aż w końcu, po prawie godzinie, nadjechał kolejny pociąg: mały i krótki, też jak zabawkowy, ciągnięty przez niemal za-
bytkową, wymalowaną na błękit lokomotywę. Skład za-
trzymał się, jowialny konduktor o sumiastych, siwych wą-
siskach z pełną powagą przyjął groszową opłatę, wydał z
zawieszanej na pokaźnym brzuszysku torby dwa bilety i
zaprosił do wolnego wagoniku.

– Nie zaprzeczam, to musi być piękne, spokojne życie.
– Grossmann wyjrzał przez okienko. – Jedna i ta sama trasa
dzień w dzień, taka absolutna pewność jutra. Ci ludzie tutaj
zdają się nigdzie nie spieszyć, od niczego nie muszą
uciekać.

Jennifer oparła się o jego ramię.

– Pan też by tak chciał, podporuczniku?

– Chciałbym – przyznał po chwili namysłu. – Ale
wiem, że nie potrafię.

Gdy w końcu pociąg wtoczył się na stację w Rauschen
i oboje stanęli na peronie, od razu obsiedli ich naganiacze i
tragarze, próbujący za wszelką cenę pomóc z torbą, za-
proponować coś, cokolwiek. „Pięknej pani i szanownemu
panu oficerowi pokoik! Na tydzień, na dwa dni, na jedną
noc...! A może chociaż na godzinkę? No nie, dla pana
mundurowego to dwie godziny co najmniej...” Jennifer
wszystko to zdawało się setnie bawić, więc i Grossmann
starał się robić raczej wesołą minę, mimo że jednemu ze
szczególnie namolnych naciągaczy gotów był już dać w
pysk.

Minęli jednak magiczną linię wyjścia z dworca i tamci zniknęli jak zdmuchnięci. Stojący przy słupie ogłoszeniowym policjant uchylił czapki i życzył miłego dnia w Rauschen. Przestrzegł też, żeby nie próbowali schodzić do morza bocznymi ścieżkami, bo w zeszłym tygodniu „jeden taki mądry” się potknął i złamał nogę.

Miasteczko było przeurocze – zbudowane i utrzymane właśnie tak, aby podobać się przyjezdnym. Skryte pod koronami starych klonów i pokrzywionych od wiatru sosen cieniste alejki kluczyły w górę i w dół po nadmorskich klifach. Uroczę, wyszukane wille pochowane za murkami porośniętymi bluszczem i dzikim winem kusiły niskimi cenami pokoiów i domowym śniadaniem. Z ogródków niosły się fragmenty rozmów i śmiechy, od strony morza ciągnął zapach świeżo smażonych ryb.

Uprzejmi kelnerzy o wypomadowanych włosach uśmiechali się, zapraszając gestem i zachęcającym słowem do kafejek i restauracji, pokazywali na wypisane przy drzwiach menu i kartę napoiów.

– Pani, pani daj, powrózę... – Siedząca na rogu ulicy Cyganka wyciągnęła w ich kierunku upierścienioną dłoń. – Niedużo wezmę, pani. Dobry pan oficer nie pożałuje, a ja prawdę powiem.

Jennifer uśmiechnęła się do Teodora, ten przyzwalająco kiwnął głową, jednocześnie sięgając do kieszeni po drobne. Amerykanka usiadła na niskim stołeczku, podała kobiecie prawą dłoń.

– Lewą daj, piękna pani. Lewa od serca, ona nie

skłamię.

Cyganka ujęła delikatną, białą dłoń Jennifer, przejechała pomarszczonymi palcami po skórze. Przymknęła oczy, potem wbiła wzrok gdzieś w pustkę.

– Ludzi widzę – powiedziała powoli. – Dużo, dużo ludzi. Światła i muzykę. Kraj jak swój, ale nie swój; miasto pełne wrogów, którzy są przyjaciółmi.

– Ojej, to przecież Königsberg! – pisnęła Jennifer. Cyganka syknęła, uciszyła ją ruchem ręki.

– Wodę widzę, wodę i niebezpieczeństwo. Strzeż się łodzi, która tonie, ale pływa, bo tam może czyhać śmierć. Koło ciebie czarny mężczyzna, on daje pewność, ale musisz liczyć na siebie... I nie ufaj nikomu, dokoła tylko zdrada. Czarny orzeł krąży nad tobą, strzeż się czarnego orła.

Teodor zauważył, że twarz Jennifer drgnęła, ale potem śpiewaczka uśmiechnęła się od razu, zarzuciła włosami.

– Ten czarny to pewnie mój lokaj, Edwin – wyjaśniła.
– Morze i woda to podróże. Teodor, teraz ty!

Grossmann pokręcił głową.

– Nie wierzę we wróżby.

Jennifer wstała, pociągnęła go za rękaw.

– No już, nie bądź taki! Siadaj!

Dał się w końcu posadzić, podał Cygance lewą dłoń. Ta wbiła w nią badawcze spojrzenie, uśmiechnęła się zagadkowo.

– Tak, tak, dobry pan oficer. Bardzo, bardzo piękna pani... Ale i duże niebezpieczeństwo widzę, wielki żelazny

smok na długich łapach. I wałka pod sztandarem: swoim, ale cudzym. Krzyż, wielki, żelazny krzyż, pod którym ugina się kark. Zmieniające się słowa i imiona, które znaczą co innego, ale nadał to samo. I wszędzie zmiany, dużo zmian: orzeł czarny, któremu dwie głowy zlewają się w jedno, zieleń pod szarością poła skryta. Ogniste włosy zmieniają się w ciemne, a potem jest ręka z bronią... i...

Urwała, zamrugła. Popatrzyła na Teodora, na Jennifer. Zabrała rękę spod dłoni Grossmanna.

– Nic więcej nie ma, dobry pan.

– Ale przecież nie dokończyła pani mówić. – Jennifer była wyraźnie zawiedziona. – Proszę powiedzieć, co jeszcze.

– Nie ma nic! – warknęła stara.

Teodor wstał, podał Jennifer ramię. Chciał dać Cygance kilka monet, ale ta zachnęła się, odsunęła, jakby miały przynieść jej nieszczęście. Wzruszył tylko ramionami, położył pieniądze na murku obok.

– Przedziwna ta wróżbitka – Jennifer odezwała się dopiero po kilkudziesięciu krokach. – Nie zrozumiałam ani słowa z tego, co mówiła o mnie. A potem nie dokończyła o tobie...

– Wydawało mi się, że po prostu skończyły jej się pomysły. Tacy szarlatani za kilka groszy powiedzą wszystko i nic.

– Ta pieniędzy nie wzięła – trzeźwo zauważyła Jennifer, oglądając się, ale Cyganka już zniknęła za rogiem ulicy.

– Nie zwracałbym na to uwagi.

– Słusznie. – Śpiewaczka przegarnęła włosy, wystawiła twarz do słońca. – Pańska uwaga, *Herr Leutnant*, ma być zwrócona wyłącznie na mnie!

Doszli do stacyjki kilkuosobowych wagoników zjeżdżających nad morze. Teodor zatrzymał się, popatrzył pytająco, ale Jennifer pokręciła głową.

– Nie, tam będzie zbyt tłoczno. Przejdźmy się gdzieś dalej, może znajdziemy dziką plażę?

– Może... tam? – Grossmann wskazał ręką. Już wcześniej zauważył na mapie, że tory kolejki dochodzą do Rauschen, omijając łukiem nieduży cypel na wschodzie; na jednej ze starych sztabówek wybrzeża znalazł napis sugerujący, że kiedyś mieściła się tam kopalnia bursztynu, Jeśli w pobliżu miasteczka dałoby się coś schować, to wyłącznie tam.

– No... niech będzie – przytaknęła Jennifer. – Myślałam co prawda, żeby pójść w drugim kierunku, ale panu podporucznikowi nie można się oprzeć.

Po lewej mieli urwisty, poszarpany klif wybrzeża i szumiące w dole na piasku fale, po prawej gęstwinę zieleni i wyglądające z niej białe, żółte i czerwone domki ze ścianami dzielonymi na prostokąci muru pruskiego. Zatrzymali się po drodze w pijalni. Teodor wziął jasne, lekko mętne piwo, Jennifer skusiła się na mrożoną herbatę ze sznapssem. Przsiedli na ławeczce, kontemplując sunący po szarobłękitnej toni żaglowiec.

Piosenkarka uśmiechnęła się łobuzersko i patrząc na

statek, powiedziała:

– Zapomniałam kostiumu. Będę kąpać się nago.

Teodor zakrztusił się piwem, rozkaszał. Gdy odzyskał zdolność normalnego oddychania, popatrzył na nią czerwonymi oczami.

– Na litość Boga, kobieto! Przecież nas aresztują...!

– Dlatego musimy odejść odpowiednio daleko. No już, pij to piwo szybciej, bo mi gorąco. Mam ochotę popływać.

Dzwon z wieży kościoła wybił trzecią, ruszyli dalej. Wkrótce zostawili za sobą ostatnią uliczkę Rauschen i weszli na wąską, wijącą się ścieżynkę, biegnącą po umownej granicy pomiędzy podmiejskimi ogrodami a ziemią niczyją, dzielącą domenę ludzi od żywiołu wody.

Było gorąco i parno, mimo że od morza wiała chłodniejsza bryza; świerszcze cykały jak obłąkane, pokrzywy nachylały się nad wydeptaną dróżką, próbując sięgnąć do kawałka odsłoniętego ciała. Gdy Jennifer po raz kolejny pisnęła i pokazała rosnące na łydce bąble oparzeń, Grossmann po prostu wziął ją na ramię i przeniósł nad najgorzszym fragmentem zarośli.

– Dziękuję, panie podporuczniku. – Cmoknęła go w policzek, potem przejechała dłonią po spoconym karku, musnęła jego usta... Zwarli się w pocałunku, Teodor wplótł dłoń w jej włosy, ona zamruczała, wygięła się w tył, żeby mężczyzna mógł przejechać dłonią po jej szyi. Grossmann chwycił ją wpół i sięgnął ku pośladkom...

– Nie tutaj – wydyszała, obejmując go mocno rękoma.
– Jeszcze trochę dalej od ludzi. Chcę znaleźć naszą wy-

marzoną, tajemną plażę. Chodź, pobiegniemy!

Chciał złapać ją, przytrzymać, ale ona już pokłusowała naprzód, śmigając pomiędzy krzakami i z zaskakującą gracją przebiegając pod nisko wiszącymi gałęziami drzew. Teodor ruszył za nią od razu, ale mignęła mu tylko na zakręcie, potem zobaczył, jak wpada pomiędzy krzewy.

– Kobiety... – Pokręcił głową. Przystanął na chwilę, zgrzany. Rozpiął bluzę od munduru, a potem popędził dalej.

W końcu wybiegł na otwartą przestrzeń, ale Jennifer już tam nie było. W dół prowadziła wąska, wdeptana w piaszczysty grunt ścieżka, wydawało mu się, że na dole mignęła mu jej sukienka... Natomiast zainteresowało go zupełnie co innego.

Prostopadle do urwistego brzegu stał płot. Solidny, wysoki płot z betonowych palików, pomiędzy którymi rozciągnięto stalowe linki, a na nich zapleciono drut kolczasty.

I na nim tylko mała, lakoniczna tabliczka: *Eintritt verboten! Militarischer bereich.*

– „Wstęp wzbroniony, strefa wojskowa” – szepnął sam do siebie. Czyżby jego podejrzenia okazały się słuszne? Będzie musiał sprawdzić to później, bo teraz... Teraz prócz poczucia obowiązku buzowały w nim inne, o wiele silniejsze emocje.

Zszedł na dół, miejscami ześlizgując się po piachu I przytrzymując trawy, stanął na niedużej plaży i rozejrzał. Nigdzie nie było widać Jennifer... chociaż... Podeszedł do

sterty ogromnych głazów, leżących zaraz przy linii wody. Podniósł jej sukienkę. Rozejrzał się, przytknął materiał do twarzy i głęboko wciągnął powietrze. Od zapachu kobiety, potu i perfum aż zakręciło mu się w głowie. Niewiele myśląc, zerwał z siebie bluzę, ściągnął przez głowę koszulę i zaczął rozbierać.

Woda była tak zimna, że aż bolały palce. Kamienie wbijały się w nogi, po nierównym dnie trudno się szło, więc zamoczył się do pól uda, a potem nabrał powietrza i dał nura, chowając się z głową w lekko zielonkawą, rześką toń. Wynurzył się kilkanaście metrów dalej, złapał oddech i znów zanurkował pod falę, czując, jak nad nim przewala się masa wody. Potem wyłonił się na powierzchnię i nie czekając, aż sól przestanie piec w oczy, zaczął płynąć wprost przed siebie.

Zawrócił do brzegu dopiero, gdy poczuł, że płuca odzywają się bólem, a ręce słabną. W końcu wyczołgał się na płyciznę, wygramolił na kamienie, splunął słoną wodą, wytarł twarz.

Sukienka leżała tak, jak ją zostawił. Nigdzie nie było Jennifer.

Wyszedł na brzeg, rozejrzał się.

– Jennifer! – zawołał. – *Fraulein Zoransky!*

Odpowiedziała mu cisza i szum fal.

Usiadł na piasku, patrząc w morze. Jeśli gwiazda zza oceanu po prostu się utopiła, to... to będzie miał trudności z wytłumaczeniem, jak mógł do tego dopuścić. Westchnął ciężko.

– Halo, *Herr Leutnant!* – rozległo się wołanie. Rozejrzał się, zmrużył oczy i przysłonił je od światła. Jennifer machała do niego z wody, z przeciwległego końca plaży. Westchnął, podniósł się i poczłapał w jej stronę.

– Panie podporuczniku, jestem zawiedziona! – zawołała już z daleka pluskająca się na płyciźnie Amerykanka. – Jak mógł pan zostać w pantalonach?! To uwłacza odwadze niemieckiego oficera!

– Jennifer, czy ty naprawdę... – zaczął, ale słowa uwięzły mu w gardle, gdy śpiewaczka odwróciła się tyłem i po prostu wstała. Woda sięgała jej nieledwie do ud, więc wszystko powyżej ich linii było... i to dokładnie wszystko, jak na dłoni.

– Ojej, parostatek! – Pokazała palcem i podskoczyła, a razem z nią skoczyło serce i kilka innych ważnych organów Grossmanna. – Patrz, widzisz? Ma dwa kominy! Myślisz, że nas widzą?

Teodor wzniósł oczy ku niebu, dziękując w duchu opatrności, że dziewczyna stoi akurat tyłem do niego, po czym pospiesznie wszedł w wodę i usiadł na kamieniach. Tymczasem Jennifer zamachała rękami do odległej jednostki.

– Heeej! Panie kapitanie, niech no pan przystanie! Dziurę załata w kadłubie, brud z komina wydłubie!

– Jeśli ktoś tam ma dobrą lornetkę, to muszą się teraz zabijać o to, kto następny – mruknął Grossmann.

– Tak? A dlaczego? – Jennifer odwróciła się znów do niego. Zakryła się, oczywiście, rękami, a Teodor szybko

zamknął oczy, ale widok i tak wypalił mu się po wewnętrznej stronie powiek. – Ojej, przepraszam, hi, hi! Czyżbym cię zgorszyła?

– Nie...

– No to doskonale. Przepełniemy się? Tam dalej jest płytyczna z miękkim piaseczkiem.

Nie czekając na jego odpowiedź, zanurkowała pod wodę, wynurzyła się i zaczęła miarowo robić rękoma w kraulu, od czasu do czasu wzburzając nogami białą pianę.

– Walkiria – westchnął Grossmann i poszedł w jej ślady. – Jak mi Bóg miły, szalona bachantka-walkiria.

Od płytyczny popłynęli do cypla, od cypla do skałek, na skałkach był ledwo wystający ponad powierzchnię zatopiony kuter... Kiedy nareszcie wrócili na plażę, Grossmannowi już poważnie zaczynały doskwierać słabnące ramiona i coraz krótszy oddech – dawało znać o sobie przestrelone lata temu płuco. Jennifer natomiast zdawała się w pełni sił, mięśnie na ramionach grały pod skórą, dziewczyna wręcz tryskała energią.

– Teraz mój rycerz na stalowym rumaku pójdzie i przyniesie mi ręczniczek – zdecydowała, zostając po obojczyki w wodzie.

– Nie wierzę, że nie odważysz się sama. – Grossmann chciał się popisać dowcipem, ale zaraz pożałował, bo Jennifer prychnęła jak obrażona kotka i po prostu ruszyła do brzegu.

Ponad wodą pokazały się jej plecy, talia, pośladki... I wszystko poniżej... kolana, potem łydki, gdy zaczęła ska-

kać po leżących na brzegu kamieniach. W końcu wyskoczyła na piach, naga jak ją Pan Bóg stworzył, doskoczyła do swojej torby i wyszarpnęła z niej białą płachtę płótna.

– A teraz zostaniesz tam za karę! – zawołała do Teodora, okręcając się rącznikiem. – A ja sama wypiję resztę wina! Chyba że... och.

Teodor wyszedł z wody, patrząc jej prosto w oczy. Widział, że Amerykanka mocno wałczyła ze sobą, ale raz i drugi jej spojrzenie uciekło w dół... Potem usiadł obok niej na piachu, wyjął z ręki butelkę i wyciągnął zębami korek, nalał im po kubku wciąż zimnego trunku.

– Za nas. – Wzniósł kubek w toaście.

– Za nas – przytaknęła Jennifer.

– Często kąpiesz się nago? Wydawało mi się, że nawet w Stanach to zakazane...

– Pierwszy raz w życiu – przyznała. – Ale zawsze o tym marzyłam. Zdążyłam zrobić już niemało, na to się jakoś nie złożyło... Dzięki tobie spełniłam kolejne marzenie.

Nachyliła się do niego, pocałowali się dłużej, namiętniej... ale potem Jennifer delikatnie, ale stanowczo odsunęła od siebie Teodora, który już chciał ją objąć ramieniem.

– Mam się nie spieszyć, bo chcesz smakować każdą chwilę? Zgadłem?

– Mmhmmm. – Śpiewaczka przysunęła się do niego. – Teodor, zapytam cię o coś, ale odpowiedz szczerze.

– Obiecuję.

– Nie, nie obiecuj. Słowo tak łatwo złamać... Nie obiecuj nic, po prostu powiedz: ile miałeś kobiet?

Grossmann spojrział na nią z ukosa. Dość nietypowe pytanie na pierwszej randce... Z drugiej strony, właśnie pływali nago, więc może to taki styl?

– Wiele – odparł zgodnie z prawdą.

– No widzisz. Ja też sporo mężczyzn, a mimo to... Z nikim nie czułam się tak blisko. Nie wiem dlaczego, ale nie chcę się spieszyć. Nie chcę tego zepsuć, rozumiesz? Oczywiście, że mógłbyś zedrzeć ze mnie ten ręczniczek, potem rzucić na nagrany piach, złapać mocno za nadgarstki i zmusić, żebym była twoją bezwolną zabawką...

Grossmann odchrząknął, przełknął ślinę. Jennifer popatrzyła na niego, zachichotała.

– ...ale to takie oczywiste, nie sądzisz? Szybki numer na plaży, potem zbieramy się, po drodze rozmawiamy o niczym. W pociągu ja zasypiam, ty myślisz, co powiedzieć jutro swoim kursantom... Potem spotykamy się na jakiejś losowej imprezie i albo znów lądujemy w łóżku, albo udajemy, że między nami nic nie było. To takie...

– ...trywialne – dokończył za nią Grossmann. – Co proponujesz?

Jennifer przeciągnęła się, pocałowała go w ramię.

– Jest już prawie siódma, a my cały dzień na słońcu. Nie wiem jak tobie, ale mnie zdrowo przygrzało... Zobacz, już mi wychodzą piegi na nosie!

Popatrzył: faktycznie, na nosie i pod oczami widać było występujące brązowawe plamki.

– Cudowne. – Uśmiechnął się.
– Nie cierpię ich, są paskudne!
– Są absolutnie wspaniałe, dziewczęce i uwodzicielskie. Żądam, żebyś i ty je lubiła.

– No dobrze – zgodziła się Jennifer. – A teraz rozpijmy wino, a potem wracamy. To był absolutnie cudowny dzień, Teodor. Niech właśnie taki zostanie.

Pokręcił głową, ale w duchu wiedział, że dziewczyna ma rację.

Ona ubrała się pierwsza, stając do niego tyłem. Grossmann wykorzystał ten moment i cisnął swoją czapką daleko pomiędzy kamienie, a potem wrócił do naciągania skarpet; nie zauważyła nic. Wspięli się na górę i ruszyli z powrotem, mrużąc oczy w blasku świecącego przez krzaki słońca.

Gdy dotarli z powrotem do Rauschen, na ulicach kładły się już długie cienie. Szli objęci w pól, niczym klasyczna para zakochanych, rozmawiając o wszystkim i o niczym zarazem, śmiejąc się co chwila i pokazując sobie co ładniejsze detale architektoniczne mijanych domów. Po drodze kupili jeszcze sznur obwarzanków, bo gdy zaleciał ich zapach z cukierni, zreflektowali się, że w sumie to nie jedli obiadu.

Doczłapali w końcu na stację, Teodor kupił dwa bilety na bezpośredni do Königsberga. Jennifer ściągnęła buty i bezceremonialnie chodziła boso po skraju nagrzanego peronu, odprowadzana zdziwionymi i oburzonymi spojrzeniami innych oczekujących.

Pociąg w końcu nadjechał, ustawił się drzwiczkami akurat naprzeciwko nich. Grossmann otworzył je i przytrzymał dla Jennifer, ale ta spojrzała na niego, zamrugła zdumiona.

– Ojej, ale gdzie twoja czapka?

– Moja... moja czapka! – Teodor złapał się za głowę. – Musiała zostać na plaży!

– No trudno, przecież nie będziesz teraz... – zaczęła Jennifer, ale Teodor przerwał jej.

– Nie mam wyjścia, moja piękna. Zgubienie czapki to dla oficera... No nie, nie, po prostu nie.

– Ale jak wrócisz?

– Dam sobie radę, nie przejmuj się. Wracaj do miasta, nie martw się o mnie! Jutro odezwę się, żebyś wiedziała, że wszystko w porządku.

Lokomotywa gwizdnęła, wypuściła kłęb pary. Jennifer wsiadła do wagonika, ale było widać, że się waha. Gotowa była w każdej chwili wysiąść i zostać...

– Kocham cię. – Słowa pojawiły się same i szeptem wyskoczyły mu z ust, nim Teodor miał czas chociażby pomyśleć. Od razu poczuł się źle, bo wiedział, że wykorzystuje do granic swoją pragmatyczną, wyrachowaną naturę. Ale z drugiej strony to zdanie już tam było, czekało tylko, żeby je wypowiedzieć. Nie zachował się fair, ale i nie powiedział całej prawdy.

Jennifer jakby piorun strzelił. Zamrugła tymi wielkimi oczami, uniosła dłoń do twarzy... Któryś z pasażerów sięgnął i zatrzasnął drzwiczki, pociąg ruszył. Grossmann

widział jeszcze przez szybę, jak dziewczyna układa usta w kształt odpowiedzi: „Ja ciebie też”, a potem skład przyspieszył, buchnął parą. Okna zamieniły się w jednolitą, szeroką, rozmazaną kreskę i pociąg odjechał w dal.

Teodor zamknął oczy i stał tak, mając w głowie absolutną pustkę.

Czy tak wstrząsnęło nim to, że skłamał? Nie. Kłamał codziennie od ponad dwóch lat, kłamał, przedstawiając się i żegnając, kłamał, salutując i śpiewając hymn cudzej ojczyzny. Całe jego istnienie było jednym wielkim oszustwem, więc to jedno kłamstwo więcej nie było już w stanie poruszyć jego serca.

Może chodziło o to, że zrobił to wobec kobiety? Też nie. Kobieta, mężczyzna, młody, stary, cywil, żołnierz – to tylko rzeczowniki, przedmioty. Nie definiowały w żaden sposób sposobu wykonania zadania, nie wpływały na jego decyzje.

Czy problemem okazało się to, że Jennifer była piękna, a on jej pożądał? Nie, w żadnym razie nie. Wykorzystać można człowieka na wiele różnych sposobów, a on umiał radzić sobie z emocjami... Przynajmniej aż do tej chwili.

Bo czemu tak bardzo waliło mu serce, skąd suchość w gardle, ucisk w piersiach? Dziwne łaskotanie w żołądku?

Chyba tylko stąd, że powiedział prawdę.

Odetchnął głęboko, potrząsnął głową i otworzył oczy. Pociąg już zniknął, zostało zanurzające się w chłód po upalnym dniu Rauschen. I jego czapka, leżąca kilkaset metrów od ogrodzonego obiektu wojskowego.

Zaszedł do pierwszego z brzegu hoteliku, wynajął pokój do jutra i zapłacił z góry. Do miasteczka wróci pewnie późną nocą, więc musi mieć miejsce, gdzie będzie mógł się porządnie wyspać. W mijanym wcześniej sklepie ze starzyzną kupił byle jaki cywilny łach, upchnął w torbę i szybkim krokiem ruszył ścieżką, którą wcześniej tego dnia już dwukrotnie przemierzył z Jennifer.

Przebrać się zamierzał dopiero na plaży. Dziwnie będzie się czuł w takim ubraniu, ale wiedział, że to konieczne: jeśli ktokolwiek go zauważy, będzie miał szansę salwować się ucieczką. Potem ukryje się w labiryncie uliczek miasteczka, wciągnie mundur oficera i będzie mieć nadzieję, że w zapadającym półmroku nie rozpoznają jego twarzy.

Gdy dotarł do siatki z tabliczką, słońce niemal zachodziło. Idealnie: poczeka jeszcze z pół godziny i będzie mógł przekradać się na drugą stronę. Na razie chciał jednak znaleźć czapkę, żeby potem nie zapomnieć jej zabrać.

Zszedł na dół, uśmiechnął do niedawnych wspomnień. Tam siedziała, na tamtych kamieniach. Ciekawe, gdzie też pływała tak długo?

Ech, taka dziewczyna, taka kobieta, a on pozwolił jej po prostu pojechać do miasta! Mógł przecież poprosić ją, żeby wynajęła dla nich dwojga pokój, potem wrócić i... Nie. Nie, emocje nie mogą dyktować planu działań. Odesłał ją do Königsberga, w ten sposób czyszcząc sobie pole do szykującej się nocnej eskapady. Teraz tylko musi pomyśleć, jak dostać się do...

Zajrzał za kamienie i zamarł: czapki tam nie było. Obszedł miejsce dookoła, przykucnął, popatrzył pod skały: zniknęła! A mimo to dokładnie widział, że właśnie tu spadła! Fale jej nie porwały, a przecież nie mogła po prostu zapaść się pod ziemię.

– Tego pan szuka, *Herr Leutnant*?

Odwrócił się, odruchowo wyszarpnął z kabury broń. Zza skałek wyłoniła się *Miss Zoransky*, ubrana wyłącznie w jego założoną na bakier oficerską czapkę.

trzymająca w dłoni dwustrzałowy, damski pistolet, który spoglądał Teodorowi wprost między oczy.

ROZDZIAŁ XIII

Tego szukasz, Teodorze? Czy jak tam naprawdę masz na imię? Grossmann ujął pewniej lugera, mając jednak niejaki problem ze skupieniem się na przyrządach celowniczych. Gerhard miał rację, ona naprawdę się cała goli, na gładko...

– Daj spokój, Jennifer. – Pokręcił głową. – To bez sensu. Czemu jesteś naga?

– Słaba próba, Teodor. To ty lepiej rzuć broń. Wiem, że do mnie nie strzelisz, a ja się nie zawaham. Rzuć broń.

Podniósł pistolet lufą do góry, uniósł też drugą dłoń. Może będzie jeszcze szansa się z tego wyłgać...

– Znalazłaś moją czapkę. Mogę dostać ją z powrotem? Zrobił krok w jej stronę, ale dziewczyna cmoknęła z dezaprobatą, pokręciła głową.

– Jeszcze kawałek, Teodorze, a będę musiała cię zastrzelić. Z żalem, ale zrobię to. Powiedz mi teraz, dlaczego interesuje cię ten dok?

I wtedy w głowie Grossmanna coś przeskoczyło. Kawałki układanki same ułożyły się na miejscu: amerykańska śpiewaczka wraca do ojczyzny... spotkanie u Hantzscha... jej propozycja, żeby pojechać do Rauschen... zwawy krok i doskonale wyćwiczone ciało. Fakt, że dała radę cały dzień nosić ukryty, zapewne w torebce, pistolet – i w końcu to, że jeszcze nie zrobiła z niego użytku.

Powinna była już go zastrzelić. Chyba że... Mogła mieć na względzie tylko jedną jedyną okoliczność, która przemawiałaby na jego korzyść.

Tak bardzo nieprawdopodobną, że aż uśmiechnął się szeroko.

– Dla kogo pracujesz, Jennifer? – zapytał po prostu, wypuszczając z ręki broń. Pistolet upadł miękko w piach.

– Ty pierwszy, Teo. – Odwzajemniła jego uśmiech. – Ty pokaż mnie, ja pokażę tobie.

Otaksował ją wzrokiem od góry do dołu. Zaczerwieniła się minimalnie, pierś zafalowała; robiło się już chłodno, jej ciało reagowało na zmianę temperatury w absolutnie uwodzicielski sposób.

– Zdaje się, że już pokazałaś – mruknął.

– Zatem twoja kolej – odparowała, a potem po prostu podeszła i pocałowała go. Namiętnie, soczyście, z prawdziwą pasją. Odsunęła się i trzymając go cały czas ręką za kark, wcisnęła pod brodę pistolet. Przygryzła wargę, jej oczy błyszczały absolutnie nieskrywanym podnieceniem. – Mów, bo zrobię ci coś takiego, że...

Teodor wplótł rękę w jej włosy, odciągnął głowę w tył. Jęknęła przez zaciśnięte zęby, odrzuciła pistolet i chwyciła rękami za poły jego munduru. Szarpnęła, aż z trzaskiem rwących się nitek poleciały guziki.

Chciała rozerwać mu też koszulę, ale złapał ją za nadgarstek, wykręcił rękę za plecami i obrócił tak, że musiała stanąć do niego tyłem. Poczul, jak jej paznokcie orzą mu bruzdy w karku, nachylił się i wpił zęby w jej obojczyk.

Krzyknęła urywanie z bólu i rozkoszy zarazem, przyłgnęła do niego, wykręcając głowę na alabastrowej szyi. Przywarła do niego całym ciałem, spojrzała dzikimi oczami.

– Weź mnie – szepnęła gorącym powietrzem.

Wziął ją tam, na piasku i kamieniach. W zapadającym zmroku, na brzegu szumiącego Bałtyku, nad głową mając tylko ciemniejące niebo i białe kreski krzyczących donośnie mew. Ich dłonie wypełniał dotyk gorącego, pełnego pożądania ciała, usta zlały się w jedno. Ciała pracowały w jednym rytmie, drapieźnie i gwałtownie sycąc się niespodziewaną bliskością.

Była idealna. Teodor widział i znał przez te lata wiele kobiet, ale takiej – takiej jeszcze nigdy. Doskonale wyrzeźbione ciało, bez grama tłuszczu czy zbędnej skóry. Gęste pukle ogniście czerwonych włosów tańczące wokół twarzy, kilka świeżych piegów, a poza tym idealnie gładka skóra, bez najmniejszej skazy, niczym mleko.

Obleczona w wymarzone szaty doskonała maszyna do przyjemności, zaklęty w formę kobiety z krwi i kości pierwotny żywioł.

Ona należała do niego, a on był jej panem. Czuł to od pierwszych chwil: że Jennifer lubi walczyć i zwyciężać, ale naprawdę pragnie właśnie zostać zwyciężoną. Kobieta walczyła, wiła się, gryzła, drapała i stawiała opór, ale w końcu ulegała, poddawała się jego dłoniom i biodrom, śmiejąc się i jęcząc na zmianę, wskakując na niego tylko po to, żeby za chwilę zostać rzuconą twarzą w dół, przygniecioną do wilgotnego piasku.

Przepelniało go pożądanie tak wszechogarniające, że momentami bał się, że mógłby ją skrzywdzić. Była silna i wysportowana, знаła granice i możliwości swego ciała, ale on cały czas walczył sam ze sobą, żeby nie użyć pełnej siły – Już za chwilę... – wydyszała mu w końcu do ucha, ujeżdżając go niczym amazonka. – Chcę cię poczuć, daj mi to z całej siły... i... achhh...

Leżeli później obok siebie długo, złani potem, a ich ciała parowały w wieczornym powietrzu. Nad nimi przesuwaly się podświetlone ostatnimi promieniami słońca fioletowe chmury, morze szumiało jednostajnie, piach szybko tracił ciepło. W końcu Jennifer uniosła się na łokciu, szepnęła Teodorowi do ucha:

– Kłamczuch. – I pocałowała go w szyję.

– Nie... Boję się, że nie. – Teodor potrząsnął głową. – I to mnie trochę w tej sytuacji przeraża.

Dziewczyna uśmiechnęła się, poprawiła skołtunione włosy. Syknęła, przeciągając dłońmi po biodrach i pośladkach, na których wyraźnie rysowały się czerwone pręgi i ślady po jego palcach... Przejechała dłońmi wyżej, objęła kształtne piersi, sięgnęła ku szyi z wyraźnym śladem ugryzienia. Zadrżała i spojrzała na Grossmanna tak, że ten szybko podniósł się i powiedział:

– Absolutnie nie wchodzi to w rachubę, moja nimfo. Nie teraz.

– Ale ja chcę jeszcze... – mruknęła, łaszac się do niego niczym kotka.

Teodor przewrócił oczami, pogładził ją po policzku.

– Potem, moja piękna. Mamy tu do sprawdzenia obiekt wojskowy... Prawda? Bo dlatego właśnie chciałaś tu przyjść?

Kiwnęła, musnęła ustami jego policzek.

– Widzisz? A ja i tak wynająłem w Rauschen pokój na noc. Nic straconego, ale najpierw obowiązki.

– Umowa stoi. – Wyciągnęła do niego rękę, uścisnęła mocno.

Teodor zaczął powoli zbierać ubranie, które ściągnęła... w zasadzie zdarła! z niego Jennifer. Bluza była do połowy mokra, bo wylądowała przy samej wodzie, dłuższą chwilę szukał halsztuka. W tym czasie Amerykanka schowała się za kamienie, po chwili wyłoniła w czarnym, jednoczęściowym kostiumie pływackim, bardziej podkreślającym niż skrywającym jej kształty. Pokazała ręką.

– Tam zostaw swoje ciuchy. Dobre miejsce jest, nie widać. No nie, nie mów mi, że wystąpisz w tym!

Grossmann narzucił i z godnością zapiął nieco przykrótką, wyświechtaną cywilną kurtkę, strzepnął i założył wygniecione jak nieszczęście bure spodnie. Jennifer pokręciła głową, podniosła z piachu i przeczyściła pistolecik, następnie wsunęła go w specjalnie przygotowaną kieszonkę stroju.

– Wyglądasz jak żebrak. Z tym mogę sobie jeszcze poradzić... – wzięła się pod boki, patrząc na niego krytycznie ale nie będziesz chyba w tym pływał?

– Pływał? – zdziwił się Teodor. – Miałem zamiar dostać się tam łodem.

– Wodą najbliżej, byłam już pod samym wejściem do tunelu. Od strony morza nie pilnują.

– W takim razie dzielimy się robotą pół na pół – zdecydował. – Ty sprawdź wodę, ja zobaczę, co mają na powierzchni. Spotykamy się tutaj, najpóźniej o północy. Jakby co, pokoik na Wichertstrasse pod numerem dwanaście, na nazwisko Grossmann.

Jennifer przekrzywiła głowę, patrząc na niego badawczo.

– A jak ty się naprawdę nazywasz? Bo ja mam chociaż prawdziwe imię i nazwisko.

Wzruszył ramionami, zapinając pas z kaburą.

– Ja w zasadzie też, tylko że język nie ten.

– Powiesz mi kiedyś? – Podeszła do niego, stanęła na palcach i pocałowała delikatnie. – Może... kiedy skończy się Wojna? Spotkamy się w jakimś normalnym miejscu, zobaczymy, czy mówienie prawdy wyjdzie nam równie dobrze jak kłamstwa.

– Tak. Chciałabyś tego?

Kiwnęła głową, a potem odwróciła się i ruszyła w morze. Obejrzała się jeszcze przez ramię i zawołała;

– Nie dłużej jak do północy, pamiętaj! Potem znajduję sobie innego oficera!

Pokręcił głową, patrząc, jak chowa się w wodę, potem wynurza i zaczyna płynąć. Wkrótce skryła się za skałkami, znikając mu z oczu. Odetchnął głęboko, pokręcił głową: nigdy, przez tyle lat służby, nie zdarzyło mu się nic nawet w przybliżeniu podobnego.

A zatem *Miss Zoransky* była szpiegiem, podobnie jak on. Amerykanie zapewne już od jakiegoś czasu szykowali się do włączenia w wojnę, więc przerzucili dziewczynę przez ocean, odpowiednio rozstawiając pionki na szachownicy. Historia śpiewaczki była idealnie spójna, nie musiała nikogo udawać, była po prostu sobą... A jako że pięknym kobietom wolno więcej, miała dostęp do miejsc i osób znajdujących się poza zasięgiem zwykłych, szarych ludzi. Nawet mundurowych.

Przypomniał sobie jej ciało, zapach, dotyk i smak. Przymknął oczy, a potem odwrócił się i szybkim krokiem ruszył pod górę klifu. Nie mógł w końcu pozwolić, żeby Jennifer zupełnie wyręczyła go w wykonaniu zadania.

Wspiął się prawie na sam szczyt i najpierw wyjrzał za krawędź: do ogrodzenia miał może sto metrów. Nie było sensu próbować pokonywać płotu od strony morza, bo tam postawiono go na wychodzącej daleko ponad urwisko betonowej główce. Musiał przekraść się gdzieś głębiej od lądu.

Westchnął, wspominając długie miesiące spędzone w okopach na zachodzie – i zaczął się czołgać.

Miarowo, spokojnie robił na przemian łokciami i kolanami, kawałek po kawałku, piędź po piędzi przesuwał się naprzód. Ziemia wokół była jeszcze ciepła, śpiewały wieczorne ptaki, trawy pachniały oszałamiająco, łaskocząc w twarz i wwiercając się w nos pełną paletą aromatów lata. Wszystko wydawało się tak bardzo inne od błotnistych pól pełnych stali i śmierci, po jakich pełzał pod Arras, La-

Bassee i Cambrai – a zarazem nie różniło się niczym. I tam, i tu były zasieki, był wróg i było zadanie do wykonania.

Ogrodzenie rosło w oczach, coraz bliżej, aż prosto przed podporucznikiem pojawił się ciemny prostokąt słupa. Teodor podczołgał się bliżej, nasłuchując... Nie, na szczęście nie usłyszał niskiego, miarowego buczenia i ostrego potrzaskiwania przewodów na izolatorach. Gdyby druty znajdowały się pod prądem, to sprawy wyglądałyby w najlepszym razie krucho.

Ostrożnie wychylił głowę ponad trawy, rozejrzał w lewo i prawo. Jak okiem sięgnąć wszędzie była tylko równomierna, szarawa połać dzikiego pola. Błady sierp księżycy nieśmiało wyglądał ponad drzewami, na granatowym nieboskłonie powoli zapalały się gwiazdy.

Przecisnął się pomiędzy najniższymi drutami. Tak samo robili to podczas nocnych wypadów pod linie przeciwnika: powoli, spokojnie, bez gwałtownych ruchów.

Drut kolczasty miał tu zresztą pełnić tylko rolę odstraszącą, więc nie było go aż tyle, żeby poważnie utrudniał przejście... A mimo to kilka razy Teodor zacisnął zęby, czując, jak ostrza wbijają mu się w ciało nawet przez skórzaną kurtkę. Materiałowe spodnie trzasnęły, gdy szarpnął nieco mocniej, ale w końcu przedostał się na drugą stronę i zaczął pełznąć dalej.

Odczołgał się od płotu na jakieś sto metrów, dopiero wtedy pozwolił sobie na chwilę wytchnienia: położył na plecach, równoległe do linii ogrodzenia, i oddychał głęboko, miarowo, chcąc uspokoić walące serce.

Został mu jeszcze kawałek do szczytu niewysokiego wzniesienia, więc po krótkim odpoczynku postanowił, że dostanie się tam i rozpatrzy w sytuacji.

Pomiędzy budynkami dawnej kopalni właśnie powoli, jakby niechętnie zapalały się reflektory, na razie siąpiące tylko mdłym, pomarańczowym blaskiem. Od południa, a zatem ze strony nieodległego miasteczka Sassau, jechała ciężarówka, podnosząc na polnej drodze kłęby jaśniejszego kurzu. Światło lamp omiotło budkę wartownika, potem automobil zatrzymał się przed szlabanem. Kierowca wychylił się z szoferki, podał strażnikowi papiery. Ten poświecił latarką, machnął ręką: otwierać!

Samochód wjechał pomiędzy budynki, wykręcił przed hangarem i podjechał tyłem do wrót rozładunkowych. Wszędzie stały skrzynie i poukładane elementy rusztowań, na dwóch zupełnie nowych budynkach już kładziono dach. Widać było, że cokolwiek tu zbudowano, obiekt cały czas się rozrasta.

Teodor zsunął się po zboczku pagórka, wczołgał pomiędzy krzaki, porastające nieduży parów. Wyprostował się, potem przebiegł w lewo, bliżej ku morzu; stąd powinien mieć szansę podejść do głównych budynków, kto wie, może nawet zajrzeć do środka.

Strażników nie było zbyt wielu – dwóch dyżurowało przy bramie, jeden przechadzał się leniwie wokół zabudowań, świecąc latarką na okna i drzwi. Z jednej strony znaczyło to, że w środku nie powinno znajdować się nic aż tak cennego, ale z drugiej dawało szansę zbadania obiektu,

nim wprowadzą na nim pełne środki bezpieczeństwa.

Chyba że więcej ludzi jest w środku, pomyślał Grossmann, dochodząc do węgła zabudowań. Nie miał już wątpliwości, że jeśli prawdą jest – a wszystko wskazuje na to, że było! – to, co powiedział mu Heilenstein, to główna część kompleksu mieścić się będzie nie nad, a pod ziemią.

Wyjrzał ostrożnie za róg: wokół ciężarówki kręciło się kilku robotników wyładowujących skrzynie. Kierowca w mundurze oparł się o nadkole, niedbale ćmił papierosa i gwarzył z kolejnym strażnikiem. Co ciekawe, pracownicy byli wszyscy w cywilnych ubraniach, więc – więc może warto było spróbować?

Odetchnął głęboko, naciągnął czapkę głębiej na oczy i wyszedł z za budynku. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, wszyscy byli zajęci rozładunkiem ciężarówki. I tylko pistolet w kaburze uwierał go niemiłosiernie, tym bardziej, im bliżej podchodził do wartownika z karabinem... Minął w końcu żołnierza i podszedł od strony hangaru do kolejnej części ładunku, którą stojący na krypie przesunęli na skraj platformy.

– Dawaj. – Pokazał głową stojącemu obok robotnikowi. Ten skrzywił się z niechęcią, ale splunął w rękę, złapał za uchwyty od swojej strony. We dwóch ściągnęli okutą żelazem skrzynię na ziemię, przełożyli trzymanie i ponieśli ją dalej, w głąb hangaru.

Teodor próbował zrozumieć przeznaczenie budynków: nad tym, do którego właśnie wchodzili, wyrastała konstrukcja ażurowego kołowrotu, więc pewnie skrywał

dawny szyb kopalni. Po lewej stało coś na kształt administracji, nieco z prawej chyba kompleks mieszkalny, obok magazyny. Potem weszli przez wrota do środka; potężne ściany skryły krajobraz, kroki zadudniły echem pod wysokim sklepieniem.

W całej przestrzeni hangaru stały kawałki maszyn i żelazne elementy konstrukcji, drzemały potężne agregaty spawalnicze i stały karne rzędy nitownic. Za dnia musiał tu panować niezły ruch, teraz tylko charakterystyczny zapach powoli chłodzącego się metalu świadczył o tym, że sprzęty odpracowały już swoje.

– Nie guzdrać się, szybciej! – zawołał na nich stojący z kartami papieru nadzorca zmiany.

– Sam byś wziął i pomógł... – towarzysz Grossmanna od skrzyni warknął z mocnym akcentem. Teodorowi już wcześniej zdawało się, że robotnicy są nietutejsi, a teraz miał tego pewność: siłę roboczą ściągano z innych prowincji, żeby miejscowi nie rozgadali sekretów tajnej bazy.

Prze taszczyli skrzynię do szybu windy, ułożyli razem z innymi. Jeszcze kilku tragarzy weszło na platformę, ostatni zasunął siatkowe drzwi i przełożył wajchę. Na górze zahuczał silnik, klatka drgnęła i zaczęła powoli zjeżdżać w dół.

Na ścianie z boku wisiały ledwo ćmiące światłem lampy, Teodor zaczął Uczyć: dwie... trzy... Doszedł do pięciu, kiedy dźwig w końcu zgrzytnął, szarpnął i stanął. Byli dobre dwadzieścia metrów poniżej poziomu gruntu, dojechali na sam dół – ale czego?

Siatkowe drzwi odjechały na bok, a para robotników najbliżej wyjścia złapała za pierwszą z brzegu skrzynię, Zaczęli wynosić kontenery na betonowy plac, stanowiący część... Grossmann spodziewał się czegoś takiego, ale aż sapnął ze zdumienia: stali w ogromnej, podziemnej hali produkcyjnej.

Nad trzema suchymi dokami wyciągały się potężne ramiona na wpół znitowanych żurawi, widać już było zarys rusztowań, na których miał w przyszłości oprzeć się kil montowanej jednostki. Pod ścianami wznosiły się betonowe postumenty dla obrabiarek i wiertarek stacjonarnych, wrota w dalszej części zapewne były grodziami wodoszczelnymi, które selektywnie zalewały koryta, pozwalając wybranemu okrętowi przepłynąć dalej.

– Dalej, zwawo! – zakrzyknął na nich nadzorca. – Kończcie z tym i fajrant na dziś, ile można...!

Odciągnęli skrzynię na bok, ustawili rzędem razem z innymi. Teodor starał się oszacować przykładowy rozmiar podziemnej hali, ale przy tym ogromie wzrok płątał figle, nie potrafiąc właściwie objąć perspektywy. Pierwszy raz słyszał o tajnej fabryce łodzi!

– No już, ładować się!

Weszli z powrotem do windy, wjechali na górę. Pozostali robotnicy stali już przy wejściu do hangaru, przestępowali z nogi na nogę, popalali papierosy i wymieniali półgłosem jakieś uwagi. Grossmanna ukłuło niepokojące przeczucie...

– Do szeregu, po wypłaty!

Chcąc nie chcąc, ustawił się z innymi w nierównym rzędzie. Popatrzył na swoich sąsiadów po lewej i prawej.

– Jacob Bahr! – zawołał brygadzysta. Chudy, żyłasty robotnik podniósł rękę, drugą wyciągnął po pieniądze. Pomocnik podszedł, odliczył mu na dłoń sumę, po czym pracownik cofnął się dwa kroki, zadowolony z siebie.

– Wend Beurgerhoff!

Krępy, niski wąsacz kiwnął głową, odebrał swoją działkę i też zrobił krok w tył. Grossmann rozejrzał się, czując, jak narasta w nim niepokój.

– Dennis Brosch...!

– Hej, brzydalu – mruknął Teodor do stojącego obok ponurego typu. Ten spojrział na niego z ukosa. – No i czego się gapisz?

– He? – warknął tamten przez żółte od nikotyny zęby.

– Heinrich Storek!

Grossmann wysunął szczękę do przodu, ruszył pogardliwie głową.

– Czego się jopisz, pytam, chacie jeden ze wsi?

– Coo...? – Robotnik miał dość wolny zapłon, ale jego twarz już zaczęła nabiegać purpurą.

– Adam Gruebl!

– Poszedł na pole, kmiecie. Bulwę w parniku gotować albo buraki kopać... Won!

– Tyyy! – ryknął tragarz, biorąc zamach do ciosu.

Grossmann schylił się, a pięść niczym młot parowy zerwała mu tylko czapkę z głowy i trafiła prosto w ucho nic niepodważającego sąsiada z drugiej strony. Ten zatoczył

się, poleciał na kolejnego w rzędzie, ale od razu poderwał i rzucił na niespodziewanego napastnika.

– Aaa! – zawył ktoś jeszcze. Inny skoczył na pomoc, kolejny chciał rozdzielić szamoczących się kolegów, a potem zapanował pełny chaos. W zamieszaniu jeden z robotników pociągnął za kabel, zamocowany na trójnogu jupiter majestatycznie bujnął się, przechylił i roztrzaskał o ziemię, sypiąc na wszystkie strony snopami iskier.

Grossmann wyśliznął się z kręgu kotłujących się ciał i wyskoczył na zewnątrz hali. Minął zdążającego na pomoc brygadziście strażnika, a potem zsunął w gęstwinę rosnących w parowie krzaków.

Ześliznął się po stromym zboczu, zasłaniając twarz przed drapiącymi i kłującymi gałęziami, zaczął przedzierać głębiej, w kierunku trasy, którą dostał się na teren obiektu. Miał nadzieję, że nim ktokolwiek zacznie wnikać w przychyny bójki, on będzie już daleko.

Gdy czołgał się z powrotem przez wysoką, ciemną trawę, kilka razy bał się, że pomylił kierunki. Unosił głowę, próbując wypatrzeć cokolwiek w morzu szarej ciemności, ale wokół był tylko ten sam, jednolity krajobraz, lekko pofałdowany teren i okazjonalne krzaki, a wszędzie trawa, trawa, trawa... Starał się mieć światła bazy za plecami i pełził naprzód, żywiąc nadzieję, że w końcu do czegoś dotrze.

W końcu, gdy sięgał przed siebie, po prostu złapał za najniższą linkę ogrodzenia. Uniósł głowę, zdziwiony: płot jak gdyby wyrósł znikąd, w jednej chwili go nie było, a

potem pojawił się jak spod ziemi. Grossmann rozciągnął dwa druty, wsunął pomiędzy nie i bardziej siłą niż zwinnością przecisnął się na drugą stronę.

Nadal nie był pewien, w którym miejscu wyszedł, więc skręcił nieco w prawo, tam, gdzie powinno być morze. Raz i drugi oglądał się za siebie, niepewny, czy lada chwila nie usłyszy głosów nawołujących się strażników i świateł idącej jego tropem pogoni – ale nie, noc była czysta i jasna, tylko księżyc świecił ponad horyzontem.

Nareszcie dotarł do biegnącej nad brzegiem urwiska ścieżynki, dopiero wtedy odważył się podnieść. Otrzepał ubranie i dysząc ciężko, ruszył w kierunku plaży, na której umówił się z Jennifer.

Śpiewaczka siedziała na skałkach, trzymając głowę na podkurczonych pod brodę kolanach. Gdy usłyszała, że ktoś idzie, odwróciła się szybko; Grossmann miał wrażenie, że w jej rękę błysnęła stal pistoletu.

– To ja, Teodor! – zawołał niegłośnie, zbiegając po ostatnim kawałku stromej ścieżki na plażę. Jennifer zsunęła się z kamieni, podeszła i objęła go za szyję. Pocałowała, a potem powiedziała:

– Już myślałam, że o mnie pan podporucznik zapomniał. Co tak długo?

– Zawierałem nowe znajomości. Poczekaj, zmienię ubranie i wracamy.

Szybko przebrał się w mundur, zastanawiając się tylko, jak Jennifer najpierw przyniosła, a teraz schowała kombinezon pływacki. W torebce? Najwyraźniej tak, w

końcu ta akurat część damskiej garderoby cieszyła się sławą rzekomo bezdennej. Ubranie cywilne obciążył kamieniami i cisnął ze skałki w morze: nim wypłynie, sól i woda zrobią swoje.

Naciągnął na głowę czapkę oficera, chciał zapiąć bluzę. Popatrzył karcąco na pannę Zoransky.

– Tyle znalazłam. – Wyciągnęła przepraszająco dłoń, na której widać było trzy ciemne dyski guzików. – Resztę musieliśmy wgnieść w piasek. Przepraszam, ale chyba było warto.

Wziął od niej znaleźziska, schował do kieszeni. Będzie musiał przynajmniej te przyszyć, nim wróci do miasta. Wstyd pokazać się w takim stanie. Pokręcił głową, uśmiechnął się i objął Jennifer ramieniem.

– Ech... Było warto, Jenny, to prawda. Nadal jest.

Wspięli się na górę i zaczęli iść w kierunku miasteczka.

Jennifer z lekko mokrymi włosami, Teodor w pomiętym, sfatygowanym mundurze. Gdyby ktoś miał ich tak teraz zobaczyć, to mógłby wysnuć tylko jeden wniosek: para spóźnionych kochanków wraca spacerem po wieczornych igraszkach.

Rauschen było już ciemne i ciche, tylko w nielicznych oknach paliło się jeszcze światło. Para szpiegów szła w milczeniu, żadne z nich nie odzywało się ani słowem, chłonęli po prostu swoją obecność.

– A ty wiesz, w jaki dzień się spotkaliśmy pierwszy raz? – zagadnęła Jennifer. – Dwudziestego czwartego

czerwca. Dziadek mi zawsze opowiadał, że to szczególne święto dla zakochanych.

Grossmann przyciągnął ją bliżej, pokiwał.

– Świętego Jana. U nas mawiają, że w tę noc schodzą się razem utajeni kochankowie, którzy nie mogą otwarcie być razem. Podobno jeśli w taką noc jest się z kobietą, to uczucie przetrwa całe życie.

Jennifer oparła głowę o jego ramię, zamyśliła się. Potem jednak uśmiechnęła zalotnie.

– Spóźniliśmy się więc trochę, *Herr Leutnant*. Ale warto spróbować, może zaliczą nam, jeśli dopełnimy tradycji z odsetkami karnymi? Mam nadzieję, że zarezerwował pan pokój z ogromnym, puchowym łóżem?

– Nie sądzę... Ale jakoś damy radę.

– O tak. – Jej oczy błysnęły drapieżnie w półmroku. – To na pewno.

ROZDZIAŁ XIV

Gerhard czekał, aż Nemmersdorf skończy rozmawiać ze szwajcarskim bankierem. Zza dębowych drzwi dochodził szmer rozmowy, zegary na ścianach tykały miarowo. Za oknem świeciło słońce, wróble skakały po blaszanym parapecie.

Siedział sam jak palec. Erika musiała gdzieś pobiec, załatwić jakieś sprawy profesora, więc cmoknęła go na pocieszenie w policzek i obiecała, że wróci za kwadrans. Zerknął na potężny, stojący zegar: minęło już dobre trzydzieści pięć minut, a po niej wciąż ani widu, ani słychu.

Westchnął ciężko, przeciągnął dłonią po twarzy. Morzyła go senność, wczoraj znów zasiedział się z kolegami z jednostki w klubie... Teodor wykręcił się jakimś błahym pretekstem, wyjazdem za miasto czy czymś takim. No cóż, jego strata – albo zysk, wnosząc po tym, jak dziś czuł się Gerhard.

Bojąc się, że może usnąć, wstał i przeszedł się po gabinecie. Przeciągnął palcami po grzbietach stojących w równym rzędzie książek, dał prztyczka w nos stojącemu na postumencie popiersiu Kanta. W końcu oparł się kostkami pięści o parapet i wyjrzał przez okno na ludzi, kręcących się po zalanym światłem kampusie.

Każdy z nich dokądś idzie, pomyślał Keller. Czegoś pragnie, do czegoś dąży. W tym pozornym chaosie musi

być jakiś cel, prawidłowość. Jeśli dałby radę znaleźć do tego klucz, to...

Potrząsnął głową: nie mając takiego zamiaru, zaczął podświadomie roztrząsać zagadnienie teoretyczne, o którym tak zażarcie dyskutował wczoraj z Nemmersdorfem. Zawsze tak było, profesor potrafił wśliznąć się człowiekowi do głowy tylnymi drzwiami, rzucić niepostrzeżenie ziarno, które potem kiełkowało, zaczynało wyrastać i niczym perz oplatać, głuszyć własne myśli.

Tak, profesor był zaborczy, bez dwóch zdań. Ale był też niekwestionowanym geniuszem.

Szczęknięły drzwi, więc Gerhard odwrócił się, wyprostował.

– Raz jeszcze dziękuję za wizytę i tak szczodry dodatek do mojej kolekcji, *Herr Fohn*. – Profesor potrząsnął ręką bankiera, wychodząc razem z nim z gabinetu. – To dla innie czysta przyjemność, móc pomówić z człowiekiem o tak przenikliwym umyśle.

– To ja dziękuję, *Herr Professor!* – Finansista wyszczerzył się swym imponującym garniturem zębów.

– *Fahnenjunker* Keller odprowadzi pana do bramy Instytutu i pomoże złapać taksówkę. Gerhardzie, będziesz tak uprzejmy?

Keller miał ochotę się zachnąć: nie był przecież lokajem ani tym bardziej przewodnikiem! Zamiast tego jednak tylko uśmiechnął się oszczędnie, skłonił głowę.

– Oczywiście.

– Raz jeszcze dziękuję i do widzenia! – Fohn potrzą-

snął raz jeszcze ręką Nemmersdorfa, a potem skinął Kellerowi.

Wyszli przez labirynt korytarzy i sieni, Gerhard sprowadził gościa na dół, aż do recepcji. Szli w milczeniu, ale w końcu Keller przełamał się i odezwał pierwszy:

– Mam nadzieję, że wizyta przebiegła udanie?

– Rewelacyjnie, *Herr Fahnenjunker!* Mieć możliwość osobiście poznać tak znamienitego naukowca, zobaczyć miejsce, gdzie powstają te wszystkie koncepcje... Niemalże dotknąć jego myśli!

„Niemalże” – to ostatnie słowo z jakiegoś powodu zabolalo. „Niemalże” coś zrobić, „niemalże” być kimś i z czegoś skorzystać. Bankier, naturalnie, nie przyszedł do laboratorium Nemmersdorfa z pustymi rękami, więc profesor zapewne bawił się teraz nowiutkim szwajcarskim zegarkiem. Tak samo jak Grossmann, który swój chronometr dostał w zasadzie nie wiadomo dlaczego... Ach tak – za bohaterstwo i dla promocji.

I tylko Keller został w tym krótkim łańcuszku pominięty iście tanecznym krokiem. Przy- nieś-podaj-pozamiataj, potem odprowadź i zamów tak-sówkę.

Poczuł, jak gdzieś głęboko wzrasta w nim chłodna nienawiść do tego uśmiechniętego bufona. Na froncie szybko by się z nim rozprawili: albo nauczyłyby się szanować lepszych od siebie, albo skończył w jakimś błotnistym dole.

– To rzeczywiście musiało być wspaniałe uczucie,

Herr Fohn. – Uśmiechnął się samymi ustami.

– Tak! Wspaniały intelekt, niezwykle przenikliwy umysł. Jestem panu głęboko zobowiązany, że zechciał pan pomóc mi umówić się z profesorem na spotkanie.

– Nie ma o czym mówić. Zakładam, *Herr Fohn*, że fundusz reprezentacyjny pokrywa pańskie wydatki?

Bankier zaśmiał się, ale jak gdyby trochę nerwowo. Popatrzył na Gerharda pytająco.

– Mamy pewną pulę, tak. A czemu pan...?

– Ja też chcę taki zegarek – powiedział po prostu Keller, dziwiąc się łatwości, z jaką mu to przyszło. Niczym rzucenie garści okruchów chleba w wodę i czekanie, aż zjawią się spalone, żarłoczne karpie.

– Ależ, panie fanenjunker, zapewne rozumie pan, że...

– Naturalnie. Jest pan jednak, *Herr Fohn*, człowiekiem myślącym logicznie. Skoro stać było pana na zegarek dla mojego przyjaciela, podporucznika Grossmanna, to powinien był pan znaleźć jeden także dla mnie. W końcu spotkanie z profesorem i jego wiedzą jest tego warte, nieprawdaż?

W twarzy Szwajcara coś drgnęło i w tej samej chwili Keller zrozumiał, że trafił w sedno. Temu zębatego grubasowi od samego początku chodziło właśnie o to!

Fohn uśmiechnął się koncyliacyjnie i pokiwał głową.

– Oczywiście, panie fanenjunker. Proszę o wybaczenie, to czyste niedopatrzenie z mojej strony, po prostu zapomniałem go wziąć ze sobą! Niech pozwoli pan zaprosić się na przeprosinową kolację dziś wieczorem.

Keller westchnął ciężko, a potem złapał tłustego Szwajcara za poję surduta i pociągnął na bok, w wykusz bramy. Tamten chciał chyba wrzasnąć, ale Gerhard chwycił go za gardło ręką niczym stalowe kleszcze i ścisnął. Fohn zarzęził, jego twarz poczerwieniała. Wojskowy zajrzał mu w oczy, przysunął się do niego tak blisko, że aż poczuł zapach wody po goleniu.

– Jest pan śmieciem, *Herr Fohn* – szepnął Keller. – Tłustą larwą żerującą na innych. W dodatku przekonaną, że każdego można kupić. O to chodziło z zegarkiem dla Grossmanna, prawda? Żeby skontaktował pana ze mną? Tak naprawdę ma go pan za nic, podobnie jak mnie... I myśli pan, że ujdzie mu to na sucho?

Bankier zachrypiał, czerwieniejąc jeszcze bardziej. Żyły wystąpiły mu na czole, wybałuszone oczy patrzyły ze strachem – a sam Keller czuł, że dopiero zaczyna wszystko rozumieć, że łąda chwila zrobi to, co zrobić powinien.

Wyjął z kabury pistolet, podsunął pocącemu się Fohnowi pod nos; oczy tamtego zjechały w dół, zezując straszliwie na oksydowaną lufę... Gerhard wziął krótki zamach i trzasnął go rękojeścią w skroń, pozwolił ciału osunąć się na ziemię.

Zadowolony z siebie, popatrzył na leżącego u swoich stóp pasożyta.

– *Herr Fahnerjunker?* – z zamyślenia wyrwał go głos Fohna. – Jesteśmy umówieni?

Keller mrugnął, nadał patrząc na grubego finansistę, który jak gdyby nigdy nic szedł z nim ramię w ramię po

terenie Instytutu. Wizja była tak realna, że... Przełknął ślinę i powiedział:

– Naturalnie, *Herr Fohn*. Jestem pod wrażeniem pana... wielkoduszności.

Bankier machnął lekceważąco ręką.

– Och, *Herr Fahnenjunker*, bez przesady! Ja doskonale rozumiem, że wszystko ma swoją...

– ...cenę – gładko dokończył Keller. – Wszystko oraz każdy, prawda?

Fohn kiwnął z zagadkowym uśmieszkiem, a Gerhard uświadomił sobie, że chyba właśnie przystąpił – trudno powiedzieć, na ile świadomie – do jakiejś nie do końca jasnej rozgrywki ze Szwajcarem. Za kogo uważał go ten tłusty frant? Zapewne za nikogo właśnie, za ledwie kolejnego przekupnego pionka na swojej drodze. Czemu jednak tak łatwo zgodził się na zegarek? I jeszcze dorzucił kolację...

– Ach, *Fraulein Scharfe*! – zawołał Fohn, uchylając kapelusza. – A już bałem się, że będę musiał odejść, nie pożegnawszy się z panią!

Erika szła przez zalany słońcem plac, stukając obcasami o bruk. Obdarzyła ich obu promiennym uśmiechem, bankier cmoknął ją szarmancko w dłoń i powiedział:

– Dam sobie radę dalej już *sam*, *Herr Fahnenjunker*. Proszę się mną nie przejmować, a zamiast tego odeskortaować młodą damę do spokojnej przystani pracowni profesora. Moje uszanowanie państwu, ukłony dla pryncypała!

Pożegnali się z Fohnem, po czym Keller podał Ericę ramię i poszli już we dwoje do gmachu Instytutu Inżynierii. Erika obejrzała się przez ramię i zagadnęła:

– O czym takim rozmawialiście, że pan Fohn aż cały promienieje? Chyba że to jeszcze blask odbity po spotkaniu z profesorem?

Gerhard szybko przejrzał w myślach opcje odpowiedzi, zdecydował się na półprawdę.

– Ach, głównie o charakterach ludzkich. O słabościach i ułomnościach, konkretnie mówiąc.

– Intrygujące. – Przysunęła się do niego odrobinę bliżej. – Jakież szczegóły?

– Pan Fohn streszczał mi swoją teorię drabiny społecznej.

Erika pokręciła głową, zniesmaczona.

– Gerhardzie! Jeśli natychmiast nie powiesz mi całej prawdy, obrażę się na ciebie! I miej świadomość, że...

Keller westchnął ciężko. Fakt, zawsze była w stanie błyskawicznie przejrzeć jego kłamstwa, w dodatku miała absolutną awersję do jakichkolwiek prób dworowania sobie z jej osoby, nie mówiąc o uchylaniu się od odpowiedzi. Uwielbiał ją za to, ubóstwiał jej analityczny umysł i konsekwencję w myśleniu – ale tym razem czuł, że nie może powiedzieć prawdy.

Potrzebował dywersji. Odwrócenia jej uwagi.

Zatrzymał się, obrócił Erikę przodem do siebie i po prostu pocałował. Dziewczyna w pierwszej chwili spięła się cała, ale objął ją dłonią w tali, przyciągnął do siebie.

Poczuł, jak zaczyna odpowiadać na jego pocałunek, jej dłoń sięgnęła ku jego policzkowi... Oderwał usta od jej ust, uśmiechnął się ciepło.

– Kocham cię.

Zamrugnęła, oszołomiona tak nagłym wyznaniem.

– Gerhard, to... ja... – zaczęła mówić, ale potem słowa uwięzły jej w gardle. Odetchnęła kilka razy, odzyskała rezon i odsunęła się od niego. *Fahnenjunker* Keller, co pan sobie myśli? To nie czas i miejsce na takie... sceny! Jesteśmy w miejscu publicznym, tu są ludzie!

Keller pokręcił głową.

– Nie obchodzą mnie ludzie. Mam ich za nic – szepnął. Liczysz się wyłącznie ty.

Puknęła, zarzuciła włosami. Poprawiła niesioną na ramieniu torbę i ruszyła, drobiąc, w kierunku Instytutu Inżynierii i Matematyki.

– Jest pan niepoprawny! – rzuciła przez ramię do idącego krok za nią Gerharda.

– Tak – pokornie potwierdził Keller, cały czas myśląc o rozmowie z Fohnem.

Gdy weszli do pracowni Nemmersdorfa, profesor stał w oknie, wyglądając na dwór.

– Gerhardzie, proszę do mnie – rzucił krótko i schował się w swoim gabinecie.

– Widzisz, co narobiłeś? – syknęła Erika. – Widział nas! Co ja teraz będę przez ciebie miała...!

Keller spojrzał na nią wyniośle, zdjął czapkę i powiesił na haku przy drzwiach.

– Będzie dobrze.

Wszedł do Nemmersdorfa, zamknął za sobą drzwi. Profesor siedział za biurkiem, patrząc na leżący przed nim otwarty zegarek. Podniósł wzrok, spojrzął nad okularami i pokazał włochatą ręką na fotel:

– Siadaj, Gerhardzie.

Fanenjunker usiadł w fotelu przy szachownicy, założył nogę na nogę. Czekał cierpliwie, aż profesor odezwie się pierwszy.

– Goniec na L-2, bądź tak dobry. Co sądzisz o naszym nowym znajomym?

Keller drgnął, nieprzygotowany na taki scenariusz rozmowy. Sięgnął jednak do szachownicy i przesunął figurę, po drodze zgarniając piona.

Wobec profesora nie odważyłby się zataić prawdy... ale mógł podać ją w taki, a nie inny sposób.

– Podaje się za matematyka i finansistę. Nie jest co najmniej jedną z tych dwóch osób – odparł bez namysłu, wysuwając swojego pionka.

Nemmersdorf uniósł brew, oderwał się od kontemplowania trybików i sprężyn. Odchylił się w fotelu, zaplótł kościste palce i spojrzął na Kellera z zainteresowaniem.

– Rozwiń myśl, Gerhardzie. Laufer C-4, czekam na twój ruch.

– Finansista nie rozdaje na lewo i prawo wartościowych aktywów. – Keller przesunął wieżę dwa pola w bok. – Matematyk nie potrzebuje wręczać łapówek. O ile, naturalnie, nie rozważyć innej alternatywy: jest i jednym, i

drugim. Oraz czymś jeszcze.

Profesor pokiwał z uznaniem.

– Pionek G-5 na G-6, mat w dwóch ruchach. Jaka to alternatywa?

Gerhard uniósł figurę konia i po chwili zastanowienia cofnął za linię własnych pionków. Nemmersdorf pokręcił głową z dezaprobatą, ale Keller powiedział:

– Warto cofnąć się w rozumowaniu i rozpatrzyć inne opcje. A co, jeśli Fohn wcale nie trafił na mnie przypadkiem? Jego zamiarem mogło być od samego początku spotkanie się z panem profesorem. Mimo to nie przyszedł po prostu, tylko wolał zamaskować swoje ruchy. Pytanie brzmi zatem: do czego naprawdę dążył hipotetyczny przeciwnik?

– Nazbyt pochopnie wysnuwasz wnioski, Gerhardzie. Kim miałyby zatem być? Laufer na B-7, *gardę*.

Gerhard nachylił się nad szachownicą, długi czas analizował ustawienie figur. Zaczęli tę partię jeszcze w zeszłym tygodniu, a teraz, wedle ich standardów, parli do przodu jak burza. W końcu przesunął nieruszonego do tej pory pionka naprzód.

– Chociażby agentem obcego wywiadu, *Herr Professor*. Och, i przy okazji szach.

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie własnych słów.

Nemmersdorf zamrugał, popatrzył na niego jak obudzony ze snu. Podniósł się zza biurka, przysiadł w swoim fotelu i nachylił nad szachownicą. Sięgał już ręką, ale

zrezygnował, pokręcił głową. W końcu uśmiechnął się do Kellera, wziął swojego króla i przestawił o jedno pole w bok.

– Zbyt zagalopowałeś się w swoich założeniach, Gerhardzie. Ale przyznaję, że na szachownicy prawie ci się udało. To było interesujące ożywienie, a teraz pomówmy o...

– Osiągnąłem dokładnie to, czego chciałem, profesore.

Keller po raz pierwszy w życiu ośmielił się przerwać Nemmersdorfowi, więc ciszą, jaka zapadła po tych słowach, można by ciąć szkło. Twarz profesora stężała, ręce zacisnęły się, aż zbieleły mu paznokcie. Potem naukowiec jednak rozluźnił się, uniósł pytająco brew.

– Wyjaśnij, proszę.

– Nie zrealizował pan profesor swojego założonego mata w dwóch ruchach.

Matematyk wbił wzrok w szachownicę. W końcu pokiwiał głową.

– Faktycznie, Gerhardzie. Przyjmij moje gratulacje. A teraz wybacz, ale muszę wracać do pracy.

Keller rozchylił już usta, aby powiedzieć coś jeszcze, ale zmilczał. Podniósł się i na sztywnych nogach wyszedł z gabinetu profesora, zamknął za sobą drzwi.

– I co? – Erika szepnęła, przysuwając się bliżej. – O czym chciał mówić?

Gerhard pokręcił głową z niedowierzaniem.

– O... o niczym konkretnym.

Nadal nie wiedział, co oszołomiło go bardziej. Po raz pierwszy, po tylu latach znajomości i niezliczonych dyskusjach oraz sporach, Nemmersdorf otwarcie przyznał się do porażki. Częściowej, może i nieistotnej, ale mimo wszystko! Keller spodziewał się, że smak zwycięstwa będzie lepkosłodki, niczym ciężki, spadziowy miód, zebrany prosto z plastra... A tymczasem w ustach miał wyłącznie gorycz po niedociągniętej do końca myśli.

Tam, w gabinecie, gdy miał przed sobą krytyczny umysł profesora, wszystko było jasne, wyraziste i ostre! Potrafił bronić swoich tez i wysnuwać trafne wnioski, a potem – potem wychodził za drzwi i znów był tylko sobą. Pojawiało się zwątpienie, wahanie, kwestionowanie własnego osądu i niepewność. Nawet teraz to, co powiedział wcześniej, zdawało mu się niedorzeczne.

Uśmiechnął się do Eriki. Będzie musiał spokojnie to wszystko przemyśleć.

ROZDZIAŁ XV

Zanim Teodor i Jennifer wygrzebali się z pościeli, minęła już ósma. Nim wyzwolili się ze swoich łapczywych objęć, przeszła dziewiąta. Nim w końcu znaleźli i założyli na siebie wszystkie elementy porozrzucanej po całym pokoiku garderoby, zegar na kościele wybił dziesiątą.

– Nie no, ja nie mogę tak pokazać się na ulicy! – Jennifer wybuchła śmiechem, oglądając w lustrze czerwone ślady na szyi. – Dobrze, że nie widzą, co mam pod sukienką...

Grossmann podszedł do niej od tyłu, objął w talii i pocałował w ramię. Wygięła się do niego, zarzuciła ręce na szyję i lubieżnie przymknęła oczy.

– Damy radę, kupię ci apaszkę po drodze – szepnął jej na ucho. – Ale teraz musimy już iść, bo spóźnię się na wykłady. I to tak serio musimy.

– Ech wy, wojskowi, zawsze tacy zasadniczy.

Odczekali swoje na stacyjce, w końcu podstawili się pociąg z dumnym napisem „Königsberg” na salonce pierwszej klasy. Jako że byli w przedziale sami, to droga upłynęła szybko i radośnie – dopiero w Druhehnen władował się do nich jakiś sapiący, czerwieniący się i ogólnie od samego początku zgorszony jegomość. Jennifer parsknęła śmiechem za każdym razem, gdy brzuchacz spoglądał na nią z ukosa, przez co ich współpasażer czerwienił się

i pocił jeszcze bardziej.

– To niedopuszczalne! – zapiszczał, wysiadając nareszcie w Tannenwalde. – Obraza przyzwoitości! Jak państwu nie wstyd, rozpustnicy! Tfu...!

Gerhard sięgnął i zamknął drzwiczki, odcinając ich od pomstującego na peronie obrońcy moralności. Popatrzył na Jennifer i skrzywił usta w wyrazie rozbawionej bezradności.

– No, moja nimfo, ten już na twoje występy nie przyjdzie.

– Jego strata. – Jennifer wzruszyła ramionami, w końcu zdejmując z półki na bagaże wrzuconą tam wcześniej dosyć intymną część garderoby.

Teodor, oczywiście, spóźnił się na swoje wykłady. Słuchacze siedzieli już w pozach mocno zrelaksowanych, kiedy lekko zdyszany wpadł do audytorium. Z początku zawiedzeni, że prowadzący jednak się zjawił, potem podzielili się na dwie wyraźne grupy: zainteresowanych jego wykładem o rozwoju awioniki wojskowej oraz tych, którzy przeszeptywali się ukradkiem i uśmiechali pobłaźliwie.

– Są dwie rzeczy na tym świecie, którym nie sposób się przeciwstawić – zakończył przykrótką lekcję Teodor. Dobrze zaplanowany i przeprowadzony atak z powietrza... oraz kobieta.

Salwa śmiechu gruchnęła tak głośno, że kilka minut później wezwano go do biura dziekana na dywanik.

Miało się już dobrze ku wieczorowi, gdy Grossmann nareszcie dotarł do swojego mieszkania na Lastadien-

strasse. Wspinając się po wąskich schodach, marzył o tym, żeby nareszcie zdjąć przeupoconą koszulę. Na szczęście zdążył rano zejść w Rauschen do golibrody, ale aromat taniej wody kolońskiej już dawno utlenił się, zmieszał po drodze z perfumami Jennifer (śpiewaczka nosiła w torebce mały flakonik!) i uleciał, ustępując miejsca, delikatnie rzecz ujmując, naturalnemu zapachowi zdrowego, jurnego mężczyzny.

Pokrótce mówiąc; miał podstawy, aby podejrzewać, że śmierdzi.

Staął przed drzwiami, wyjął klucz i zaczął wpasowywać w lekko sfatygowaną dziurkę. Nagle jakiś cień przysłonił światło wpadające przez wąskie okienko na klatce schodowej. Teodor, wiedziony instynktem, sięgnął od razu do kabury, wyszarpnął pistolet...

– Nie mam broni. Chcę tylko porozmawiać – odezwał się schodzący z poddasza mężczyzna.

Grossmann pokręcił głową, nie spuszczając palca z języka spustowego.

– Przepraszam, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Pan mnie zna? Bo zawołam policję!

Nieznajomy uniósł ręce do góry, przy czym lewą trzymał niżej i z wyraźnym trudem, jak gdyby nie odzyskała jeszcze pełnej sprawności po niedawnej kontuzji... albo zranieniu.

– Mamy wspólnych znajomych – rzucił, zatrzymując się przy ścianie naprzeciwko. – Dado Gablenz. Czy to nazwisko coś panu mówi, podporuczniku?

Grossmann zmierzył obcego wzrokiem, po czym pochnął drzwi do mieszkania i pokazał ruchem ręki.

– Nic. Ale zapraszam mimo to.

Wpuścił tamtego przodem, nie spuszczając go z oka, zamknął i zaryglował drzwi. Przybysz stał tak, jak wszedł, z rękoma założonymi za głowę; nie zdziwił się nawet, gdy Teodor wolną ręką szybko przejechał mu po kieszeniach, wyciągnął zza paska krótki nóż.

– Środki bezpieczeństwa. – Wzruszył ramionami. – Mogę już opuścić ręce? Ramię nie do końca się zaleczyło, jeszcze mi szwy puszcza.

– Proszę. Miał pan wypadek?

Obcy z wyraźną ulgą opuścił dłonie, rozmasował biceps. Grossmann pokazał mu ruchem podbródka krzesło, sam stanął w futrynie drzwi.

– Może na początek się przedstawię, podporuczniku: Edwin Horst, do pana usług. A w ramię postrzelił mnie wojskowy, plądrujący nocami zakłady martwych kaletników. Możemy wreszcie normalnie porozmawiać?

– Być może, panie Horst. Skąd wiem, że mogę panu ufać?

– Nie może pan, *Herr Leutnant*. Podobnie jak ja nie mogę ufać panu, ale któryś z nas musiał wykonać ten ruch jako pierwszy. Ja jestem tylko małym, nieistotnym trybikiem wielkiej maszyny; nawet jeśli się pomyliłem, a pan mnie zastrzeli albo wyda w ręce katów pod cytadelą, to dużo to nie zmieni. Jeśli jednak mam rację, pan jest w tej rozgrywce o wielekroć ważniejszy i cenniejszy ode mnie.

Mogę sięgnąć do marynarki?

Grossmann kiwnął. Horst powoli, dwoma palcami wyjął z wewnętrznej kieszeni zawiniątko, rozwinął je i rozprostował: na wydrukowanej po rosyjsku ulotce leżała cienka, zeschnięta kromka czarnego chleba.

– Prosto z Piotrogradu, jedno i drugie – uśmiechnął się. – Kazali przekazać, że z piekarni Awdiejewa na rogu.

Grossmann... nie, już nie Grossmann. Wielikow sięgnął drżącą ręką, z niemal nabożną czcią ujął wyschnięty na wiór, twardy suchar. Powąchał i przymknął oczy, z lubością wciągając cały aromat dzieciństwa, radosnych zabaw nad brzegami kanałów, zimowego szaleństwa na zamrzniętej Newie i otaczających miasto wiekowych lasów, w których posępne, wyniosłe modrzewie szumiały groźnie i tajemniczo, jakby snując opowieść o minionych bitwach i zwycięstwach przodków...

Wytrzeł wierzchem ręki łzę, która nie wiadomo skąd i dlaczego zakręciła się w kącie oka, odłożył pistolet na blat stolika. O piekarni wiedziało raptem kilka osób z jego najbliższego otoczenia. Nie istniała możliwość, żeby ten człowiek był prowokatorem.

– To wy za mną potem chodziliście? – zapytał po prostu, przełamując chleb na pół i podając mężczyźnie drugi kawałek. Horst wstał, z szacunkiem przyjął poczęstunek i ugryzł z trzaskiem.

– Mhmm, wyborny. Prawdziwy chleb nie pleśnieje... My, my, kto by jeszcze? Nasi, znaczy się. Nie ja, boście mnie prawie trupem położyli u Jermakowa.

– Wy też z Pitera? – Wielikowa aż ścisnęło przy sercu, gdy Horst przeszedł na rosyjski.

– Gdzież tam, ja tutejszy jestem. Ale matka była spod Pińska, stąd język... Zresztą nie pora na to. Miło was poznać nareszcie, towarzyszu.

Wielikow miał ochotę się skrzywić, ale nie dał nic po sobie poznać.

Wnosząc po formie, jego gość musiał popierać rewolucjonistów, dążących do obalenia w Rosji caratu... Już teraz chodziły coraz głośniejsze słuchy o tym, że Rząd Tymczasowy może nie utrzymać się do końca roku, bo żądania bolszewików są coraz bardziej buńczuczne i wygórowane. Demonstracje i zamieszki co rusz wstrząsały Petersburgiem, wykrwawiony wojną kraj drżał w posadach, nie nadążając za tempem własnych przemian. Widmo nawet nie porażki, ale zupełnej klęski było coraz bardziej wyraźne – o ile ktoś nie pomoże wcześniej zakończyć Wojny.

– Co wiecie o mieście? – zapytał twardo i rzeczowo po niemiecku, już głosem Grossmanna.

– Wszystko. Najwięcej wiedział Stiopan Awdiejewicz, ale on nic już nie powie... *Gospodi, daj jemu Carstwo Niebiesnoje*. Tylko to nam się po nim zostało.

Horst położył na stole malutki, wyświechtany notesik. Grossmann przekartkował zapiski, pokiwał głową.

– Szyfr.

– Szyfr, towarzyszu, ale tyle wiemy już sami. Chłopcy łamią sobie nad tym głowę, już odkąd wyciągnąłem to ze

stolika w mieszkaniu Jermakowa, więc dużo chyba sami nie wymyślą. Pomożecie?

– Spróbuję. A co wiemy na pewno?

– Niemcy mają tutaj ogromną komórkę wywiadu. Nawet teraz budują pod miastem coś dużego...

– Na zachodzie, przy Nasser Garten? – zapytał Teodor, wspominając na stację przeładunkową.

– Nie... – Horst wyglądał na zdziwionego. – Za cmentarzami, jak klajnbanda idzie. Staramy się śledzić ich ruchy, ale tyle tam tego sprzętu jest, że trudno nadążyć. No i nie mamy nikogo w środku.

Kleinbahn, czyli wąskotorówka, opasywała miasto łukiem od północy, a potem faktycznie uciekała przez pola uprawne w kierunku Kalthof i Neudamm. Z umocnień koszar, w których jeszcze do niedawna rezydował Teodor, jak na dłoni widać było zielonoszare cmentarze miejskie: żydowski, reformatorski, ewangelicki, katolicki... Każdy odrębny, z innym ułożeniem i kształtem nagrobków, klimatem alejek – a mimo to z daleka prawie nierozróżnialne.

Cóż, może nadeszła pora, by odwiedzić stare kąty, zajrzeć do koszar?

– Zobaczę, co da się zrobić – zgodził się Grossmann. – Wiecie, z kim się Gablenz... to znaczy Jermakow, trzymał? Nie wiem... do kogo chadzał w gości, jacyś stali klienci? Moś nietypowy?

– Stiofan Awdiejewicz zamknięty był w sobie. Mało kto wiedział, co mu w duszy gra...

– Trudno. Przygotuję w takim razie dla was chociaż

meldunek, nadacie przy najbliższej okazji.

Horst skinął. Wstał i założył czapkę, wyciągnął do Grossmanna rękę na pożegnanie.

– Jakby co, szukajcie mnie przy Jahrmarktsplatz, przy jadłodajni. Albo ja, albo któryś z chłopców tam się kręcimy. Aha, i jeszcze prośba: wyjdźcie pierwsi przez drzwi, ja zaraz za wami będę.

Teodor popatrzył na Horsta pytająco, rosyjski agent rozłożył ręce.

– Iwanowi tam już pewnie ręce zgrabiały od trzymania dwururki. Jakbym to ja wyszedł pierwszy albo wy sami beze mnie, to miał was zastrzelić. Ot, taki niewinny środek zapobiegawczy.

ROZDZIAŁ XVI

To dla mnie prawdziwa przyjemność, móc nareszcie poznać pana konsula osobiście!

Konsul von Hohenfurst wstał, wyciągnął rękę. Tylko naprężone mięśnie szyi i zaciśnięte usta mogły zdradzić, że właśnie tłumił ziewnięcie.

– Dzień dobry, panie Freudenthal – powiedział po nieco zbyt długim milczeniu. – Również miło mi pana widzieć. Mam nadzieję, że podróż z Magdeburga nie była nadto męcząca?

Zasiedli przy stoliku w prywatnej rezydencji von Hohenfursta. Konsul nalał herbatę do filiżanek, zaproponował kawałek ciasta, sam wziął na talerzyk kilka owoców. Gość bez śladu skrępowania nałożył sobie od razu trzy rogaliki z lukrem, okraślił to dwiema łyżkami konfitury i sownie wrzucił cukru do herbaty. W końcu odezwał się, sypiąc okruszkami z ust:

– Szczerze powiedziawszy, koszmarna. Dwie przesiadki, te ciągłe przestoje w polu, wszędzie tylko wojsko i wojsko! Całymi kilometrami ciągną się jakieś bezsensowne transporty. Naprawdę, nie rozumiem, dlaczego oni tam, na tym froncie, potrzebują aż tyle wszystkiego. Na pewno mogliby być bardziej oszczędni.

Von Hohenfurst nie był typem militarysty. Szczerze mówiąc, do tej pory uważał się wręcz za pacyfistę, jak-

kolwiek od pamiętnego lipca czternastego roku nie obnosił się z tym poglądem. Teraz jednak poczuł gwałtowny przyływ sympatii prowojennych, związanych głównie z pukaniem do drzwi o czwartej nad ranem i pałowaniem malkontentów. Przełknął gorzką pigułkę razem z kawałkiem śliwki i gładko przeszedł do kolejnego punktu rozmowy:

– To niezwykle zajmujące. Cieszę się, że możemy wreszcie porozmawiać, bo komunikacja na odległość bywa utrudniona...

Walther Freudenthal pokiwał energicznie głową, siorbnął herbaty i odezwał się, przełknąwszy okazały kęs rogała:

– No przecież ja do pana próbowałem się dodzwonić już wcześniej! Jak tylko od radcy Kuerstena usłyszałem, że jest taka sprawa, to pomyślałem sobie: Walther, to trzeba koniecznie wyjaśnić! Nie zostawia się czegoś takiego, jeśli może być nawet ślad wątpliwości, jeśli jest chociaż cień szansy, że człowiek może żyć!

– Tak – dla zasady przytaknął von Hohenfurst, nie mając nawet cienia pojęcia, kim może być radca Kuersten.

Przydługawe wypowiedzi rozmówcy powodowały, że tracił i tak z trudem utrzymywany wątek rozmowy.

Oczy znów zaczynały się kleić, ostrość to rozjeżdżała się, to wracała bez widocznej przyczyny. Potrząsnął głową, po czym, aby skierować rozmowę na właściwy tor, rzucił krótko:

– Teodor Crossmann.

Ściągnięty z Magdeburga przedsiębiorca zakrztusił się, odkaszlnął i wypluł coś w serwetkę.

– Tak, właśnie tak, panie konsulu! Może pan w to uwierzyć? Po dwóch latach dowiaduję się, że mój wspólnik, druh, serdeczny przyjaciel jednak żyje! Opłakaliśmy go wszyscy, na tablicy pamiątkowej jego imię wyryli razem z resztą regimentu. Tyle łez, tyle cierpienia, co ja się musiałem...

– Sądowe przewłaszczenie jego udziałów w spółce poszło panu dość szybko – z przekąsem zauważył Mannfried, który właśnie zaczynał żałować, że ściągnął tego pajaca do Königsberga.

Byłby w stanie poświęcić swoją ciekawość i nigdy nie dowiedzieć się, jaka to mroczna tajemnica połączyła Grossmanna i przerażonego Heilensteina, gdyby tylko ktoś właśnie w tej chwili rozkwasił siedzącemu naprzeciw bufonowi nos jak śliwkę.

– No tak, pan konsul rozumie... Firma musi działać, a jeśli połowa głosów jest zawieszona w próżni, to ciężko o cokolwiek decydować. – Freudenthal uśmiechnął się nieszczerze. – Nie poszło wcale tak łatwo, o nie. Rozłożenie majątku było powiedzmy że nie do końca równe, więc musiałem ustalić...

Von Fiohenfurst wyłączył się na chwilę, koncentrując na tych ostatnich słowach. To o to chodziło, stąd błyskawiczna reakcja Freudenthala! Wkład finansowy Grossmanna był o wiele większy, więc jego partner zwyczajnie wzbogacił się na domniemanej śmierci wspólnika, przeje-

mując całość udziałów.

Konsul odchylił się w swoim krześle, zadowolony: nie będzie nic mówił temu odrażającemu typowi. Freudenthal powinien sam z siebie być wystarczająco zmotywowany, żeby powęszyć przy sprawie. Niech się pokręci wokół podporucznika, a Mannfried będzie wyłącznie obserwował rozwój sytuacji.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie.

– No więc, gdzie mogę znaleźć Teodora? Czy umówił pan konsul już może spotkanie?

– Spotkanie? – Von Hohenfurst popatrzył z udawanym zdziwieniem.

– No, bo przecież mówił pan, że Grossmann jest w mieście, więc myślałem, że pan...

Konsul uniósł rękę.

– Szanowny panie Freudenthal. Konsulat nie prowadzi działalności w zakresie ogłoszeń towarzyskich ani odnajdywania zaginionych partnerów biznesowych. Przyznaję, że akurat w tym wypadku tak wyszło, że mogliśmy pomóc i wskazać miejsce, gdzie przebywa osoba, mogąca – podkreślam: mogąca! – być pana współnikiem. Ale proszę nie wymagać ode mnie, żebym miał pana prowadzić za rączkę jak dziecko!

Podziałało. Przedsiębiorca zamarł z na wpół odgryzionym kawałkiem ciastka w ustach i zamrugał. Konsul pomyślał, że na ludzi pokroju tego błazna to może być skuteczna taktyka: kij i marchewka. Albo, w tym wypadku, ostre słowo i rogaliki.

– Ja, ja... – wybełkotał Freudenthal, wyraźnie spanikowany.

– Oczywiście, podzielę się z panem wiedzą, jaką zupełnie przypadkiem nabyliśmy w tym zakresie – uspokoił go von Hohenfurst, jednocześnie dokładając kolejny klocek do ewentualnego alibi; nie miał zamiaru kiedykolwiek przyznać, że podejrzewał drugie dno sprawy z Grossmannem. – Ale muszę prosić pana o pełną dyskrecję. Nie chcielibyśmy przecież, żeby wszyscy do mnie wydzwaniali, pytając o zaginionych na wojnie, prawda? Ha, ha.

– Tak, oczywiście. Nikomu ani słowa – gorliwie zgodził się przedsiębiorca.

Konsul upił łyk herbaty, żeby ukryć uśmiech. Być może właśnie udało mu się cudzymi rękami odwalić kawał porządnej, wywiadowczej roboty.

ROZDZIAŁ XVII

Przed Teodorem otworzyły się drzwi. Stojący w nich Keller ruchem pokazał przyjacielowi, żeby wchodził, jednocześnie potrząsnął trzymanym w rękę najświeższym wydaniem „Hartungsche Zeitung”:

– Teodor, słyszałeś? Czytałeś?

Ciężko mi powiedzieć, jeśli nie wiem, o czym mówisz... To jakaś nowa zabawa towarzyska? – Grossmann przestąpił próg, rozejrzał się po wnętrzu willi. – No, no, no. Rozumiem, dlaczego nie spieszyło ci się do powrotu na front.

Zaabsorbowany ponad miarę Keller machnął lekceważąco, prowadząc go dalej w chłodne, zacienione wnętrze po jego rodzicach stał w jednej z najstarszych dzielnic willowych Königsberga, pośród wiekowych lip i potężnych kasztanów, porośnięty bluszczem tak, że niemal niewidoczny w jednolitej ścianie zieleni.

Było tu cicho i spokojnie, tylko na sąsiedniej uliczce okazjonalnie turkotał przejeżdżający tramwaj. Ptaki świergotały w koronach drzew, spasiona koty wygrzewały się leniwie w promieniach powoli podnoszącego się nad czerwonymi dachami słońca.

– Daj spokój, nie czas na żarty. Tylko to zobacz! *Frau Lemke*, poproszę już tę herbatę.

Gerhard rzucił na stół gazetę, przesunął ją ku Teodo-

rowi. Wiekowa, zażywna gospoia wychynęła z kuchni, uśmiechnęła się do Grossmanna i wprawnymi ruchami zaczęła rozstawiać zabytkową porcelanę ze srebrnymi, aż czarnymi ze starości łyżeczkami.

– „»Kaiser Wilhelm« przybywa do miasta”. – Grossmann odczytał wykaligrafowany wielkimi, gotyckimi literami tytuł na pierwszej stronie. – „Zwycięstwo w wojnie z Rosją dzięki...”

Zaciął się, urwał i odchrząknął. Poczł, jak robi mu się gorąco pod kołnierzykiem koszuli.

– „...dzięki cudownej broni wizjonerskiego konstruktora!” – dokończył za niego Keller. *Wunderwaffe*, rozumiesz? Tutaj, w naszym spokojnym Königsbergu!

Grossmann przebiegł oczami cały tekst. Najnowszy sterowiec Luftkriegsmarine miał dokonać w Królewcu ostatecznego dozbrojenia i dać załodze odpocząć, a następnie polecieć w kierunku linii frontu na wysokości Dwińska, żeby tam poprzez brawurowe uderzenie.... Potem następował typowy, propagandowy pismacki bełkot. Teodor niemal widział oczyma duszy, jak doskonale przygotowany i wyszkolony oficer łącznikowy dyktuje to z pamięci, uśmiechając się pod wąsem, a siedzący naprzeciw niego dziennikarzyna spija mu wygładzone słowa z ust.

– Kiedy przylatują? – zapytał, próbując nie pokazać po sobie poruszenia.

– Za trzy dni! Słuchaj, absolutnie musimy tam być...!

– Popieram – przytaknął Teodor. – Absolutnie musimy, In może być bardzo ciekawe. Może ten twój znajomy,

jak mu było... Scheyenbach, mógłby pomóc.

– Niegłupia myśl. Albo to, albo znów zaangażować Klauckego. Chociaż z drugiej strony nie wiem, na ile daleko sięgają jego lepkie paluchy.

– Ewentualne koszty dzielimy na pół. To co, pokażesz mi wreszcie tę swoją posiadłość?

– Nie przesadzaj, to nic takiego. Zwykły stary dom.

– W zwykłym starym domu to mieszkam ja. – Grossmann uśmiechnął się, wspominając swoje lokum. – Nigdy się nie chwaliłeś, że jesteś posiadaczem willi.

Keller sięgnął po kawałek ciasta, upił herbaty.

– Na froncie raczej nie zjednałoby mi to sympatii, sam przecież wiesz. Nawet tutaj, w mieście, nie obnoszę się z tym za bardzo. Ojciec całe życie ciulał grosz do grosza, ale nigdy nie żyliśmy wystawnie. Dopiero kiedy otworzyli testament, okazało się, że tych groszy uzbierało się naprawdę sporo.

– Erika wie? – zapytał Teodor.

– Podobnie jak ty: że mieszkam w tej okolicy. Ale nie mówiłem jej nic więcej.

Grossmann pokiwał głową ze zrozumieniem: o ile zdążył poznać charakter panny Scharfe, to wieść o majątności jej absztyfikanta mogłaby raczej Gerhardowi zaszkodzić, a nie pomóc.

Keller westchnął, wyjął papierośnicę i poczęstował Teodora, sam też zapalił.

– Jak wojna się skończy, to wtedy... – Zrobił ręką nieokreślony ruch. – Wtedy przyjdzie pora na poważne

decyzje. Marzę o tym, wiesz, Teodor? Żeby ją tu przyprowadzić, pokazać to wszystko. Móc jej powiedzieć, że... Że chcę, żeby to właśnie ona...

– Nie mów nic więcej, *mein Kamerad*. Ani słowa. Siedzieli tak chwilę, milczący i poważni, wsłuchując się w tykanie zegara. W końcu Gerhard zmiął papierosa w kryształowej popielnicy, wydmuchnął ostatni obłoczek dymu i gestem zaprosił Grossmanna na pokoje.

– No chodź, pokażę ci ten wielki, pusty pałac. Ale ani słowa nikomu!

Teodor zapewnił:

– Będę milczał jak grób.

ROZDZIAŁ VIII

Jennifer poprawiła kapelusz z szerokim rondem, rozejrzała się z lewa na prawo.

– To kuriozalny pomysł, ale jest w nim coś perwersyjnie ekscytującego – powiedziała, uśmiechając się do Teodora zza okularów o ciemnych —szkłach.

– Proszę cię, moja muzo, nie zaczynaj znów... Nie w takim miejscu.

– Dlaczego? To przecież tylko miejsce. Spacer jak każdy inny.

– No nie do końca właśnie.

Szli pod ramię przez zarośnięte drzewami alejki cmentarza, mijając wiekowe, omszałe nagrobki i masywne, przysadziste gmachy mauzoleów, w których spały snem wiecznym całe pokolenia obywateli Königsberga. Był piękny, ciepły dzień, słońce przeświecało pomiędzy listowiem, kładąc się mozaiką ruchomych plam na kamiennych płytach z wyrytymi nazwiskami i tańcząc blaskami na wydeptanych ścieżkach.

Było pusto, spotkali raptem kilka osób – głównie ubrane na czarno, zasuszone babcie, doglądające miejsc kwaterunku wiecznego małżonków z równym pietyzmem, z jakim pilnowały mieszkań doczesnych, oraz miejscowego grabarza, podmurowującego sypiący się ze starości pomnik. Dominowały tu zielenie, szarości i brązy, więc

Jennifer w swojej pomarańczowej letniej sukience i z burzą rudych loków świeciła się z daleka niczym żarówka.

– Stamtąd powinno być dobrze widać. – Wskazała ruchem głowy. – Ja zostanę tu, a ty ruszaj.

Teodor kiwnął, odebrał od niej torbę piknikową i poszedł dalej, w kierunku krzaka dzikiej morwy, rozrośniętego na opadającym skłonie pagórka. Obejrzał się raz i drugi: Amerykanka stała na widocznym miejscu, przytrzymując kapelusz dłonią i rozglądając się dokoła, jak gdyby szukała jakiegoś konkretnego grobu.

Schował się pomiędzy krzewy, wyciągnął z torby wojskową lornetkę i przytknął do oczu. Przez chwilę lustrował panoramę, potem znalazł nitkę kolejki wąskotorowej, zabudowania, strumień... Wyregulował ostrość i wpatrzył się w las masztów radiotelegraficznych, wystających nad ukrytym pod poziomem gruntu fortem.

Widać było, że dawny przyczółek obrony Królewca zaadaptowano już do innych celów: odkryte kaponiery połączono dodatkowymi korytarzami, na wale ziemnym stało kilka budynków z czerwonej cegły, które na pewno nie pełniły funkcji strategicznej. Grube wiązki przewodów telegraficznych i linii napięcia krzyżowały się i przeplatały w pozornie chaotycznym tańcu, spinając anteny albo zwieszając się z poziomych wysięgników.

– Stacja nasłuchowa... – mruknął sam do siebie Teodor.

Słyszał już wcześniej, że położony w strategicznym punkcie wybrzeża Königsberg był miejscem szczególnie

ważnym dla niemieckiego wywiadu, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo nie docenił tej informacji.

Kompleks był po prostu ogromny. Potrójne ogrodzenie okalało teren o wielkości dobrego kilometra kwadratowego, pomiędzy rozstawionymi w równych odstępach wieżami obserwacyjnymi przechadzali się strażnicy. Oddzielna bocznicą prowadziła przez podwójną bramę prosto w zamknięty pancernymi wrotami magazyn, obok wybrukowaną drogą dojazdową nawet teraz turkotał samochód z wojskowymi oznaczeniami.

Nikt nie próbował nawet tego ukrywać. Wszystko na widoku, oczywiste. Mógłby siedzieć tutaj i obserwować aż do samego końca wojny – ale i tak nie zobaczyłby nic istotnego, bo prawdziwe sekrety niosły się na niewidocznych falach eteru.

Obejrzał się na Jennifer, w samą porę, bo śpiewaczka zdjęła kapelusz i wachlowała się nim, dając mu sygnał, że ktoś nadchodzi w ich stronę. Czym prędzej schował lornetkę, wyszedł z krzaków drugą stroną i niespiesznie ruszył w jej stronę.

– Już myślałam, że o mnie zapomniałeś – rzuciła pozornie niedbałe, gdy w końcu się z nią zrównał. – A ja tu stoję i macham, macham... Zobacz sam.

Zerknął: faktycznie, w pobliżu jego stanowiska człowiek w mundurze policjanta kładł właśnie na nagrobku wiązanek kwiatów.

– Niezastąpiona. – Pocałował ją w policzek.

– No, przynajmniej tyle. Możemy już iść?

– Tak, w zasadzie tak.

Miss Zoransky zgodziła się mu pomóc, mimo że nie była szczególnie entuzjastycznie nastawiona do pomysłu. No bo co niby mogłoby być interesującego w radiotelegrafii? Misja, z jaką wysłano ją do Königsberga – mimo że nic na ten temat Grossmannowi nie powiedziała – zdawała się dość jasna: sprawdzić wszystko, co tylko miało związek z łodziami podwodnymi.

Nic innego nie interesowało Jennifer, która zresztą się z tym nie kryła. Nawet gdy poprzedniego dnia Teodor tłumaczył jej, że łączność ma dla jednostek pływających pierwszorzędne znaczenie, ziewała i przewracała oczami.

– Wojny, panie podporuczniku, nie wygrywa się gadaniem – powiedziała wtedy w pokoju hotelowym, siadając mu na kolanach okrakiem. – Wojna jest kobietą, więc lubi zdecydowane decyzje i mocną rękę.

Siłą rzeczy po takim dictum Teodorowi trudno było dyskutować – szczególnie że usta miał zajęte czymś zupełnie innym.

Teraz również Amerykanka nie kryła się z tym, że jest zadowolona z końca cmentarnej eskapady.

– Coś ciekawego? – zapytała.

– Trudno powiedzieć z tej odległości. Z jakiegoś powodu ta instalacja interesuje moich... mocodawców.

Jennifer wzniosła oczy ku niebu.

– Mógłbyś wreszcie powiedzieć to otwarcie, Teo. Nie mamy szczególnie dużego wyboru, no chyba że pracujesz dla jakiejś efemerydy, jak królestwo Hidżazu albo Japonia.

No prroszę...

Grossmann, rozbawiony, pokręcił głową.

– Nie. Możemy wymieniać się informacjami...

– ...i płynami ustrojowymi – usłużnie dodała Jennifer.

– ...owszem. Ale sama wiesz, że pewnych rzeczy po prostu mówić nie należy.

– No wiem, wiem – przyznała niechętnie. – Ale to takie ekscytujące! Dwoje szpiegów, każdy pracujący dla innego wywiadu, którzy spotykają się przypadkiem w Königsbergu! To jak... jak z powieści!

– Może ktoś o tym kiedyś napisze, moja nimfo. A na razie my musimy robić swoje.

ROZDZIAŁ XIX

Herr Kommodore, mamy kontakt z Königsbergiem. Wszystko gotowe, czekają na nas.

Von Hoepfner oderwał się od studiowania mapy, popatrzył na stojącego w drzwiach gondoli radiowca. Kiwnął głową.

– Rozpocznijcie manewr podejścia.

– *Jawohl!*

„Kaiser Wilhelm” sunął majestatycznie przez przestwór błękitu, pod sobą mając zielony, pocięty szachownicą pól uprawnych i sadów pejzaż Prus Wschodnich. Nieco w lewo od nich widniała wąska linia jaśniejszego wybrzeża, na którą nieustannie nabiegały białe kreseczki fal, załamujących się na płyciznach zalewu Frische Haff, potem jeszcze tylko wąziutki paseczek mierzei, a dalej szary bezkres Bałtyku.

„Bezkres”. Może dla wszystkich, ale nie dla nich! Von Hoepfner doskonale wiedział, że wystarczyło wydać jeden rozkaz, powiedzieć tylko kilka słów, a cała machina podda się jego woli i bez najmniejszego trudu pokona nawet tę trasę.

Za raptem kilka godzin mieliby przed sobą Gotlandię, ile to było – sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt mil morskich?

Fraszka! Niechby i przepływała wtedy pod nimi cała flota ententy, choćby każdy jeden pancernik i niszczyciel

imperium brytyjskiego miał bić do nich ze wszystkich dział...! Nikt nie był w stanie im przeszkodzić.

– Erneście, dolatujemy! – Von der Lieth-Thomsen zajrzał do jego kajuty. – Chodź, powinieneś być na mostku.

– „Powiniennem”?

– Ludzie tego oczekują. To nasza dziewicza misja bojowa, ludzie muszą mieć pewność, że dowódca jest przy nich w każdej chwili. Poza tym sam wiesz, że maszyna to czuje.

Komandor pokręcił głową, ale zwinął mapę i podniósł się od stolika. Nie próbował nawet dyskutować z konstruktorem sterowca, który zdawał się traktować potężną maszynę jak coś rozumnego, myślącego i niemal czującego każde wypowiedane słowo. Dla dowódcy „Kaiser Wilhelm” był przede wszystkim tym, czym go stworzono: potężną bronią.

Gdy wyszedł do gondoli dowodzenia, ludzie wyprężyli się na baczność, ale skinął głową: spocznij. Zerknął na busolę, sprawdził wskazania steru wysokości, dopiero potem wyjrzał przez szybę na zewnątrz.

Miasto leżało na wprost przed nimi: piękne, bogate, błyszczące w słońcu czerwienią dachówek i zielenią miedzi, połyskujące wstęgą rzeki i cieniutkimi z tej odległości nitkami torów kolejowych, opasujących je półkolistą wstęgą. Wieże katedr i kościołów wybijały się wysoko ponad dachy kamienic, niczym na wykreślonej mapie rysowały się wielokąty rozłożonych pierścieniem umocnień i wałów.

– Wieża cumownicza piętnaście stopni w lewo – rozległ się w rurach interkomu głos obserwatora z dziobu.

– Utrzymać kurs. Silniki na jedną czwartą mocy, przygotować i rozgrzać wszystkie agregaty.

– Jest, utrzymać kurs!

– Co zamierzasz? – zaniepokoił się Thomson. – Przecież powinniśmy już teraz wyrównać kurs i podejść delikatniej.

– Sam powiedziałeś, że ludzie oczekują czegoś spektakularnego. Pokażmy im w takim razie, co tak naprawdę ta maszyna jest warta. Przygotować się do wejścia w strefę burzową!

– Zamocować wyposażenie i sprzęt! – ryknął gdzieś ponad nimi bosman. – Przypiąć się, kto tylko może! Zamknąć wlewy, wszyscy na stanowiska! Ruchy, wy leniwe łajzy!!

Thomson złapał się kurczowo drewnianej poręczy przy bulaju, rozejrzał. Dokoła była tylko sielanka lipcowej pogody, jaka znowu burza?!

– Co... co chcesz zrobić?

Von Hoepfner błysnął okiem, nasunął czapkę głębiej na czoło.

– Pokazać im, na co nas stać.

Lotnisko dla sterowców przy położonym na północ od miasta Kleiner Amalienau było dosłownie po brzegi wypełnione różnobarwnym tłumem.

Mężczyźni, kobiety i dzieci, cywile i wojskowi, robotnicy i bankierzy – wszyscy jak jeden mąż wylegli tego

dnia na dwór i przebyli wcale nie krótką drogę, aby móc ujrzeć ten prawdziwy cud techniki. Najwytrwalsi już z samego rana przyjechali pociągami na najbliższą stację kolei, polem piechotą dostali się w pobliże jednostki i czekali na ul warcie bramy, nierzadko całymi rodzinami koczując na pledach. Co zamożniejsi przyjechali taksówkami albo nawet własnymi samochodami, stojącymi teraz w nierównych rzędach na poboczach wszystkich dróg; biedota dostała się tu rowerami lub przyszła na swoich nogach, niosąc na rękach płaczące pociechy.

Wszędzie jak okiem sięgnąć powiewały czarnobiało-czerwone flagi i wstęgi, część ludzi trzymała nawet wymalowane krzywymi literami transparenty. Co bardziej przedsiębiorczy sprzedawali kotyliony, na szybko klecone z bibuły. Cena kubka wody sięgała już równowartości pół butelki wódki.

Wszyscy czekali.

Grossmann i Keller stali wśród zaproszonych gości na trybunie, postawionej specjalnie na tę okazję przy hangarze.

Obaj patrzyli na rosnący w oczach kształt sterowca, który idąc obecnym kursem, nijak nie miał prawa trafić w stalową wieżę cumowniczą.

Nie tylko oni zauważyli, że coś jest nie tak. Technicy też pokazywali sobie coś rękami i rozmawiali nerwowo. Zaniepokoiłi się także widzowie, zapewne zastanawiając się, czy wciąż zniżający się statek powietrzny nie uderzy przypadkiem w hangar.

– Co on wyprawia? – mruknął Gerhard.

Huk silników i łopot śmigieł stawały się coraz głośniejsze cień podniebnego lewiatana nasunął się na tłum. Ktoś krzyknął, rozległy się zaniepokojone głosy: uderzy, zaraz uderzy w ziemię...!

Teodor uśmiechnął się drapieżnie.

– Popisuje się.

Nagle silniki ryknęły pełną mocą, maszyna zajęczała i zatrzeszczała. Kobiety zapiszczały przeraźliwie, jakiś oficer podskoczył i usiadł z wrażenia, gdy gwałtowny podmuch zerwał mu z głowy paradną czapkę z piórami i cisnął daleko w tył.

Cielsko było tuż, tuż, wydawać by się mogło, że łąda chwila spadnie prosto na patrzących w przerażonym oczarowaniu ludzi, zmiażdży i rozgniecie ich na papkę, posieka łopatami wirników... Ale sterowiec powoli, majestatycznie zahamował, zawisł raptem kilka metrów nad głowami ludzi, potem przechylił się na bok i wyjąc motorami, odpłynął w górę i do tyłu, ustawiając się dziobem do wiatru.

Ktoś przytomny zaczął klaskać, po chwili rozległy się okrzyki podziwu. Nie potrwało długo, a cały ten tłum, jeszcze przed kilkoma sekundami gotów rzucić się do panicznej ucieczki, bił brawo i wiwatował. Ludzie podrzucali czapki do góry, znów zafalowały proporczyki. Ktoś zaintonował słowa hymnu, po chwili wszyscy ściągnęli czapki z głów, śpiewając pełną piersią: *Heil dir im Siegerkranz, Herrscher des Vaterlands..!*

Podniebne monstrum dobiło do wieży cumowniczej. Szczęknął głośno zaczep centralny, poleciały liny, szybko montowane na stalowych knagach. Ostatnie słowa hymnu utonęły w radosnym szumie, który przerodził się w gromką owację. Stojący na trybunie generał von Pappritz otarł czoło jedwabną chustką, szepnął półgębkiem:

– Ufff, dzięki Bogu! Udało im się...

– Oczywiście, że się udało. – Stojąca *obok Miss Jennifer* wzruszyła ramionami. – To przecież zawodowcy, prawda? Och, nie uwierzysz. Papciu, jak bardzo podniecają mnie takie ogromne, obłe kształty!

Von Pappritz przełknął ślinę i raz jeszcze otarł czoło. Miał nadzieję, że nikt ze stojących obok oficjeli nie usłyszał, jak nazywała go kochanka... Patrzyli na niego już wystarczająco krzywo, że wprowadził na trybunę osobę postronną, ale co innego miał zrobić? Nie był w stanie odmówić tej kobiecie niczego.

Ku jego zgrozie Jennifer pokazała palcem o długim, czerwonym paznokciu na sam szczyt ażurowej wieży.

– Pójdziemy tam, prawda?

Generał otarł czoło po raz trzeci. Czuł się dobrze na poziomie gruntu, a najlepiej w ogóle pod nim, w bezpiecznym zamknięciu pancernych kazarm. Już teraz, stojąc na dwumetrowej trybunie, pilnował się, aby nie patrzeć w dół. Na sam widok kruchej, filigranowej konstrukcji zrobiło mu się autentycznie słabo.

– Pójdziemy? – powtórzyła Amerykanka, a w jej głosie zadźwięczała kapryśna nuta stali.

– *Fraulein* Jennifer, nie wypada, żeby generał biegał po drabinach... – jęknął słabo.

– Och, mój biedny weteran! – Pogładziła go po spocynym, siwym karku. – Zapomniałam o twojej ranie!

Von Pappritz spojrział na nią zdziwiony, ale potem przypomniał sobie o kłamstwie, wymyślonym na szybko kilka dni wcześniej.

– Jakiej... Ach tak. Tak.

– Ale możesz przecież rozkazać komuś, żeby mnie zaprowadził, prawda? Nie odważą się przecież nie wykonać twojego rozkazu!

– Nie wiem, kto...

– Na pewno ktoś się znajdzie. Znajdzie się, prawda?

– Tak – zgodził się von Pappritz, pokonany bez walki na własnym terytorium.

– Przepraszam, nie ma pan może ognia?

Grossmann zmierzył wzrokiem jegomościa z papierosem w rękę. Było w nim coś... nie potrafił określić co, ale jego ćwiczony latami instynkt odezwał się ostrzegawczym ściśnięciem w dołku.

– Naturalnie. – Sięgnął po zapalniczkę, pstryknął kółkiem o kamień, podał tamtemu.

Nieznajomy odpalił papierosa, ale jakoś nieumiejętnie – dopiero za trzecim razem żar załapał, jak należy, mężczyzna zaciągnął się krótko, nerwowo. W dodatku cały czas zerkał na Teodora z ukosa, jak gdyby obawiając się, że ten coś powie albo zrobi.

– Dziękuję. – Chciał już odejść, ale Grossmann przy-

trzymał go za rękę.

– Moja zapalniczka.

– Co... Ach tak. – Typ wyciągnął kształt na otwartej dłoni, lśniącej od potu. Było gorąco, owszem, ale nie aż tak. – Do widzenia.

– Do widzenia.

Teodor patrzył, jak obcy oddała się, powoli znikając w rozchodzącym się tłumie. Palacz obejrzał się jeszcze raz przez ramię, potem przystanął i patrzył z daleka, myśląc, że Grossmann go już nie widzi.

– Kto to był? – podszedł do niego Keller.

– Nikt. Tylko prosił o ogień.

Nie wiedzieć czemu, miał wrażenie, że właśnie rozegrało się coś niepokojąco istotnego.

– Rudiger, do mnie!

Kaperungsgefreiter Kurt Rudiger obrócił się na pięcie, podbiegł kłusem do bosmana Blumentritta. Zasalutował przepisowo, wyprężony niczym struna; jego przełożony kwiatki miał tylko w nazwisku.

– *Jawohl!* – szczechnął, patrząc w pustkę.

Blumentritt wyszczerzył się swoim szczerbatym uśmiechem. W połączeniu z bielmem na oku i tatuażami ten uśmiech wystarczał, aby większość ludzi na pokładzie przyprawić o ciarki.

– Rudiger, dostajecie ode mnie zadanie specjalne.

Kurt pożegnał się w myślach z kuflem piwa, pętem kiełbasy i wychodkiem. Dwa pierwsze gotów byłby przeżyć, ten ostatni był jego marzeniem już od dłuższej chwili.

– *Jawohl!*

– Mamy tu gościa. – Blumentritt pokazał kciukiem za siebie, na zjawiskowo piękną rudą laleczkę o wzroku głupiego cielęcia. – Macie oprowadzić panienkę po okręcie, opowiedzieć wszystko, pokazać wszystko. Jasne?

– *Jawohl!*

– Wykonać!

Kurt podszedł do kobiety, odchrząknął. Zasalutował.

– Kapral Kurt Rudiger, do panienki usług. Podobno interesuje się panienka sterowcami?

Popatrzyła na niego, jak gdyby dopiero teraz go zauważyła. Uśmiechnęła się czarująco, a jej oczy błysnęły zimną, chirurgiczną stalą. W tym momencie Kurt zrozumiał, że nie docenił tej rudej. Haniebnie nie docenił.

– Interesują mnie wyłącznie jako przejaw rozdmuchanego ego mężczyzn i nieudolna próba zbudowania protezy dla ich niepewnego poczucia własnej wartości – odparła gładko. – W wersji krótkiej: nie. Ale i tak chcę go obejrzeć. A pan mi w tym pomoże.

Rudiger odruchowo ściągnął czapkę. Mało brakowało, a szurnąłby nóżką jak sztubak.

– Jesteś pewna? Na pokładzie?

Jennifer wydmuchnęła strużkę dymu w kierunku sufitu, podała papierosa leżącemu obok w skołtunionej pościeli, zupełnie nagiemu Grossmannowi.

– Przecież mówię. Pokazywał mi miejsca, w których będą te działka harpunowe przykręcać, demonstrował, jak się otwierają łuki. Potem tłumaczył zasadę działania wy-

ciągarek.

– Abordaż ze sterowca? To przecież absurd!

Amerykanka uniosła się na łokciu, wbiła mu paznokcie w bok. Teodor syknął z bólu, ale nie poruszył się.

– No przecież mówię, że tak było! Przyznaj, że jest ci po prostu głupio.

– He?

– Bo myślałeś, że coś tam znalazłeś, na tej boczniczy kolejowej w Nasser Garten. Ze jesteś wielkim panem szpiegiem, skoro się tam zakradłeś nocą i grzebałeś po tych skrzyniach. A ja po prostu się zapytałam i wszystko mi powiedzieli, wytłumaczyli, jak byle głupiej blondynce. Zazdrościsz.

Grossmann zasepił się. Faktycznie, przecież sprzęt, który znalazł w magazynach kolejowych, dokładnie pasował do opisu Jennifer. To samo twierdziły gazety: „Kaiser Wilhelm” będzie się w Królewcu dozbrajał.

– Nie, nie do końca. – Pokręcił głową. – Zabiłem tam człowieka. Jak się okazuje, niepotrzebnie.

– Niemca?

– Mhm.

Jennifer wzruszyła ramionami.

– To żadna strata, i tak by ktoś musiał. Lepiej poza tym, że ty jego niż gdyby on ciebie.

Z początku chciał się zachnąć, ale potem przemyślał jej słowa na spokojnie. Miała rację, a on chyba zaczął podchodzić do swojej roli zbyt... osobiście.

– Będiesz nadawać o tym raport do swoich? – zapy-

łała. Teodor popatrzył na nią rozbawiony. Pokręcił głową i cmoknął z dezaprobatą. – Oj, no weeeź... Powiedz!

Pomyślał chwilę, ale w końcu potrząsnął głową, zdecydował:

– Nie powiem i nie będę nadawać.

Jennifer aż poderwała się w pościeli, uklękła nad nim z zaciśniętymi pięściami.

– Czemu?! Przecież oni na pewno coś planują! Taka informacja...

Przerwał jej:

– Jest dokładnie tym, na co liczą. Cały ten szum w gazetach, wielka feta na przyłot sterowca... To celowe, planowane działania. Przynęta, rozumiesz? Błyska na spinningu, żeby zwabić naprawdę dużą rybę.

Powoli, niepewnie pokiwała głową.

ROZDZIAŁ XX

Feta z okazji przybycia „Kaisera Wilhelma” do miasta nie ograniczyła się, naturalnie, tylko do przywitania jednostki na błoniach Königsberga. Wieczorne przyjęcie na salonach generała-gubernatora przyciągnęło dużą część miejscowej śmietanki, zarówno wojskowej, jak i cywilnej.

– O, pan podporucznik i pan fanenjunker! Moje uszanowanie panom oficerom!

– Dobry wieczór, szeregowy Klaucke – uśmiechnął się Keller. – Jak tam interesy w ten ociekający złotem wieczór?

Konik, paser i szeroko rozumiany załatwiacz spraw różnych w jednej osobie wyszczerzył się szeroko.

– Wszystko w jak najlepszym porządku, panie fanenjunker! Nie potrzebują może panowie biletów na jutrzejszą rewię? Ostatnie sztuki...

Keller pokręcił głową, popatrzył znacząco na rozmawiającego akurat z kimś Grossmanna.

– Dziękujemy, ale mamy inne dojścia.

– No tak, khem, obito mi się o uszy... – Klaucke mrugnął. – Pan podporucznik w ogóle jest w mieście ostatnio dość popularną osobą.

– Co macie na myśli, szeregowy?

Klaucke podniósł do ust kieliszek, pociągnął od razu dwa łyki.

– A nic, *Herr Fahnenjunker*, tak mi się jakoś powie-
działo. No nic, nie przeszkadzam już więcej.

Keller popatrzył w ślad za odchodzącym pomiędzy
ludzi Klauckem, wzruszył ramionami: nie będzie przecież
dociekał, co tamten miał na myśli.

– Panie fanenjunker, dobry wieczór! – Fohn wyłonił
się z tłumu niczym wielki, radosny wieloryb, na którego
potężnych fiszbinach utknęło jakieś pół cetnara krylu,
schwytanego w odmętach oceanu. – Jakże się cieszę, że
pana widzę!

– Witam pana również. – Keller skłonił się, uśmiech-
nął.

Szwajcar podał mu dłoń, uścisnął kordialnie na przy-
witanie i zapytał:

– Jak tam pana nowy przyjaciel?

Keller uniósł przedramię, zsunął rękaw i błysnął no-
wiutkim zegarkiem.

– Doskonałe, *Herr Fohn*. Równiutko, co do minuty...
A kolację wspominam do dziś!

Finansista poklepał się po brzuchu, wyraźnie zado-
wolony.

– Widzi pan, ile ja się muszę nacierpieć dla dobra
moich znajomych? Ba, co ja mówię: przyjaciół! Przecież
bez pańskiej pomocy...

Keller machnął ręką pobłażliwie, jednocześnie kątem
oka rozglądając się na boki. Pokazał Fohnowi gestem, żeby
odeszli na bok, w nieco spokojniejsze miejsce, po czym
zapytał dyskretnie:

– Nie ma o czym mówić, jestem pana dłużnikiem. Jak zatem mogę panu pomóc dalej?

Bankier zbystrzał, ale po chwili jego twarz rozplynęła się w uśmiechu.

– Panie fanenjunker, no co też pan wygaduje! Przecież nie śmiałbym...

– Nalegam – powiedział Keller, jednocześnie czując, jak flaki skręcają mu się w lodowaty supeł. Ciężko mu było uwierzyć w to, co mówi, a jednocześnie przychodziło to tak łatwo, że było aż przerażające.

Fohn nachylił się konfidencyjnie.

– Otóż... słyszałem, że pan profesor Nemmersdorf ponoć pracuje nad czymś interesującym. Byłbym zobowiązany, gdyby mógł pan uchylić mi rąbka tajemnicy...

Grossmann obserwował tę rozmowę z przeciwległego końca sali. Zauważył już wcześniej, że Keller również stał się posiadaczem nowego szwajcarskiego chronometru, a teraz Fohn wyraźnie kręcił się wokół niego w tańcu godowym. Czyżby gruby Szwajcar też miał swoje ukryte motywy? Niewykluczone. Co jednak miałyby wiedzieć Keller, do czego takiego mógłby mieć dostęp?

Zaciągnął się papierosem i rozejrzał w tłumie, wypatrując człowieka, z którym chciał zamienić tego wieczora kilka słów. Obiecał Jennifer, że podpyta generała rezerwy Weickego o kilka pozornie nieistotnych rzeczy, do których akurat Amerykanka nie mogła zdobyć dostępu swoimi sposobami. W końcu wypatrzył żadaną osobę, podszedł i zasalutował:

– *Herr Oberst!*

Weicke oddał honory, Teodor przedstawił się, zaczęli rozmawiać.

Im z kolei przyglądał się ze swego miejsca walczący z sennością von Hohenfurst, który pił tego wieczora już trzecią filiżankę kawy. Grossmann, pomyślał sobie pan konsul, był niezwykle zajmującym obiektem do obserwacji: niby cicha woda, nie wychyla się, a jednak wszędzie go pełno. Wybiera sobie punktowo osoby, którymi się interesuje, ewidentnie idzie jakimś tropem. Jakim? No cóż, to się dopiero okaże.

Wyciągnął zegarek z kieszeni, popatrzył na godzinę. Na chwilę poczuł, jak senność ustępuje: zapomniał całkowicie, że był umówiony piętnaście minut temu z tym idiotą Freudenthalem! Mieli spotkać się w konsulacie, a teraz tamten pewnie przestępował pod furtką z nogi na nogę, zachodząc w głowę, co też się stało...

Uśmiechnął się złośliwie, wychylił duszkiem niemiłosiernie kwaśną kawę. A niech sobie poczeka.

– Co o tym sądzisz. Kurt?

Rudiger wzruszył ramionami, wrzucił do ust od razu dwa pierożki z mięsem. Zalał je piwem, połknął, prawie nie gryząc.

– Czy ja wiem, Alois...? Jedzenie dobre, picie dobre. Impreza jak impreza.

– Stypa raczej – mruknął ze swojego kąta stolika i tak nazbyt optymistyczny w osądzie Langfeldt. Popatrzyli na niego zniesmaczeni.

– Nie przesadzajcie, szeregowy. Jeszcze nie umarliśmy, więc jeśli już, to może ostatnia wieczerza.

Langfeldt zajrzał do kufla, dolał piwa z dzbana. Niby mieli tutaj, na bankiecie, wszystko, czego dusza zapragnie – a mimo to pili właśnie piwo. Potoczył po kolegach wzrokiem i zapytał:

– A kto będzie Judaszem?

– Tfu! – Kurt splunął na ziemię. – Szeregowy Langfeldt, przywołuję was do porządku! Zapiąć guzik, założyć przepisowo czapkę!

Malkontent niechętnie, ale poprawił się w krześle, dopiął mundur.

– *Jawohl, Herr Kaperungsgefreiter.*

– A ty co powiesz, Willie? – Rudiger zwrócił się do siedzącego obok młodego podopiecznego. – Albo nie mów lepiej nic, skocz po coś do zarcia z dużego stołu.

Chłopak kiwnął głową, wstał i naciągnął czapkę. Ruszył przez salę, lawirując pomiędzy ludźmi.

– Nie podoba mi się ten gówniarz – warknął Alois. – Na sto procent sprowadzi na nas nieszczęście, milczek cholerny. I tylko się patrzy, a jak spojrzy na człowieka, to jakby ktoś po grobie przeszedł. Nie trzeba go było brać...

Twarz Kurta nagle drgnęła, syknął przez zęby:

– Nie wasza decyzja, *Kaperungsmatros* Smollich! Pan komandor sam wybierał załogę, a chyba nie kwestionujecie jego osądu?

Siedzący przy oddzielnym stoliku marynarze przycichli, popatrzyli na siedzącego u szczytu bosmana Blu-

mentritta. Ten jednak nawet nie uniósł głowy, przeżuwając miarowo kawałek mięsa.

– To dobry chłopak, ten Willie – mruknął Kurt, patrząc za młodym. – Robotny i porządny. Daleko zajdzie w życiu.

Lawirujący w tłumie młody rekrut dotarł do wysokiego stołu, tanecznym krokiem prześliznął się pomiędzy stojącymi w kłębach ciężkiego dymu postaciami w sukniach, frakach i mundurach. Zgarnął po drodze dwa zachęcające uśmiechy i jedno skinienie głową, ale nie zwracał na to uwagi: dostał przecież konkretne zadanie.

Dobił do zastawionego blatu, zgarnął w dłoń talerz i zaczął niemal niezauważalnymi ruchami przekładać na nieco bardziej soczyste kęski: nie za mało, ale i nie za dużo, żeby nie ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi. Złapał jeszcze dwa soczyste jabłka, okręcił się na pięcie, zamierzając wracać do spokojnej przystani macierzystego stołu...

– Hola, chłopcze! Uważaj, bo jeszcze kogoś pochłapiesz.

Grossmann popatrzył rozbawiony na może dwudziestoletniego majtka okrętowego w mundurze wojsk lotniczych. Chłopak podniósł wzrok i spojrzał na podporucznika; oczy miał błękitne, zimne i zupełnie obojętne, niczym samo niebo.

– Przepraszam najmocniej, *Herr Leutnant* – odezwał się idealnie wyważonym, spokojnym głosem. – Młodszy marynarz szturmowy Reinhardt prosi o pozwolenie oddalenia się.

– Jak długo planujecie zostać w mieście, *Herr Kom-*

modore?

– Tylko tyle, ile będzie to konieczne. – Von Hoepfner popatrzył na swojego rozmówcę uważnie, taksując wzrokiem potencjalnego przeciwnika. – Musimy poczekać na nieco mniej sielankową pogodę.

Młody *Hauptmann* uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zupełnie niewzruszone.

– Rozumiem. Gdybyście poczekali kilka dni dłużej, to będziecie mieli szansę spotkać się z *Oberstleutnantem* Nicolai.

Walter Nicolai, szara eminencja tajnych służb i samozwańczy ojciec służb kontrwywiadu *Deutsches Heer*. Człowiek, który w ciągu zaledwie kilku lat stworzył potężną siatkę agentów, twierdząc, że dla państwa równie ważna, a może i ważniejsza od szpiegowania sąsiadów jest wiedza o tym, co dzieje się wewnątrz jego granic.

Chodziły słuchy, że niesławne *Abteilung Illb* ma swoich ludzi na każdym balu i w każdym większym hotelu *Imperium*. Podobno ambicją ich szefa było nie tylko rozciągnięcie swoich wpływów na ważniejsze instytucje państwa, ale też bezpośrednia inwigilacja ludności... I wywieranie realnego wpływu na wdrażane przez armię najnowsze technologie.

– Pański przełożony przybywa do miasta? – Komandor uniósł pytająco brew.

– Dokładnie tak. Z tego, co mi wiadomo, mieliście panowie już przyjemność poznać się na froncie zachodnim.

Von Hoepfner kiwnął oszczędnie, zastanawiając się w

duchu, co jeszcze wiadomo młodemu kapitanowi wywiadu. Na głos powiedział jednak:

– Owszem, spotkaliśmy się raz i drugi. Rozumie pan jednak, że nie możemy zwlekać z wykonaniem misji bojowej.

Młodziak uśmiechnął się, obejrzał za przechodzącą kobietą.

– Naturalnie. Stacje meteorologiczne zapowiadają długotrwały wyż, więc *Oberstleutnant* Nicolai będzie zachwycony, mogąc po raz kolejny uścisnąć panu komandorowi dłoń.

ROZDZIAŁ XXI

Mam dla ciebie kilka nazwisk, zapiszesz czy zapamiętasz?

– Zapiszę. – Jennifer zaciągnęła się papierosem. ~ Nie każdy ma taką pamięć jak ty. Ach, dorzuć do nich trochę lodu i plasterek cytryny.

Siedzieli w kafejce nad wodą, zaraz za plecami mając masyw obrośniętego zielonym bluszczem zamku. Jennifer na zmianę zaciągała się papierosem i trzepotała koronkowym wachlarzem, próbując poruszyć zupełnie nieruchome, ciężkie od wilgoci powietrze. Teodor starał się cierpieć mężnie, w milczeniu. Wzdrygał się tylko, gdy strużki potu spływały mu po krzyżu.

Było upiornie, niewiarygodnie wręcz gorąco. Ani jedna chmurka nie zasłaniała palącego dysku sierpniowego słońca, ani jeden powiew wiatru nie mącił martwego bezruchu przyrody. Tylko jaskółki kręciły swoje podniebne piruety i skrzeczały wysoko ponad wieżami Königsschloss, pikując ku idealnie gładkiej powierzchni stawu, żeby zaczerpnąć kropelkę ożywczej wody.

Miasto czekało na deszcz.

– Przy tej pogodzie to wszystkie doki konstrukcyjne zaraz będą suche. – Grossmann zgasił papierosa. Nawet malutka kropka żaru na jego końcu zdawała się dodatkowo podgrzewać powietrze, coraz bliższe punktu samozapłonu.

– Powiedz mi lepiej, co z tą stacją nasłuchową?

– Chwilowo nic. – Pokręcił głową. – Moi mają robić tam jakieś podejście, ale wydaje mi się, że to lekkomyślna głupota. I tak nic nie znajdą, a mogą tylko dać się złapać... Spróbuję ich przekonać, żeby odpuścili.

Jennifer dłubnęła widelczykiem kawałek sernika, ale zmieniła zdanie i zamiast tego upiła jeszcze łyk wody mineralnej; potem powiedziała po prostu:

– Nicolai przyjeżdża.

Teodor drgnął, nachylił się nad stołem.

– Skąd wiesz?

– Wiem. – Wzruszyła ramionami. – Powiedział mi wczoraj jeden taki gadatliwy.

– W takim razie kategorycznie nie wolno im tego robić.

Miss Zoransky sięgnęła ponad stołem, uścisnęła jego dłoń.

– Porozmawiaj z nimi. Wpadną, a potem wsypią ciębie... Niech sobie odpuszczą.

– Tak zrobię. A ty co porabiasz wieczorem?

Uśmiechnęła się i przeciągnęła jak kotka.

– Nic... ale mam nadzieję, że coś na to zaradzisz.

Grossmann spotkał się z Horstem planowo, o dziewiętnastej pod wejściem do łaźni publicznej przy Jahrmarktsplatz. Gdy tylko zobaczył, że agent wchodzi w uliczkę, zanurzył w ciasne, ciemne wejście i stanął w ogonku oczekujących.

– Panie podporuczniku, proszę tutaj. – Kasjer machnął

na niego. – Mundurowi bez kolejki.

Teodor wykupił bilet, przeszedł do pomieszczenia szatni, stukając butami po kamiennej posadzce. Zdjął i złożył mundur, upchnął razem z butami w malutkiej szafce. Przepasał się płóciennym ręcznikiem, zawiązał sznurek z kluczykiem na nadgarstku i ruszył pod prysznicę.

Przerzucił potężną wajchę, a dysza nad głową plunęła strumieniem zimnej wody. Wystawił twarz ku górze, czując, jak spływa z niego pot i brud całego dnia.

– Starczy, nie za dużo – zadudnił pilnujący pomieszczenia woźny. – Musi dla wszystkich wystarczyć.

Posłusznie zakręcił wodę, przeczłapał do stanowisk mycia. Tutaj nie było mundurowych ani cywilów, więc czekali wszyscy razem: starzy i młodzi, sprawni i inwalidzi. Stojący przed nim wąsacz odwrócił się, przykrył głowę dłonią i zasalutował. Grossmann, zdziwiony, oddał honory.

– Znamy się? – zapytał.

– Swój swojego pozna – skrzywił się tamten, pokazał na skórzaną przepaskę, zakrywającą pusty oczodół i kawałek I warzy. – A do pana strzelali, i to z bliska. Sanitariuszem byłem, od razu się widzi takie rzeczy.

Teodor mimo woli opuścił wzrok, dotknął blizny po prawej stronie splotu słonecznego. Faktycznie, kawałki niespalonego prochu na zawsze wżarły się w skórę, znacząc brzegi nierówno zarośniętej rany czarnymi kropkami. Teraz, jak rzadko kiedy, była akurat w miarę porządnie wygojona, ale wiedział już z doświadczenia, że potrafiła otworzyć się w najmniej spodziewanym momencie.

– Dziewiąta Armia von Mackensena, po operacji łódzkiej. – Grossmann pokiwał głową.

– Naratsch See, Dziesiąta von Eichhorna – odpowiedział były sanitariusz. – Jak się wylizałem, od razu chciałem wrócić, ale nie pozwolili. „Trwale niezdolny” – wpisali w papiery.

Przesunęli się do przodu, gdy stojący na czele kolejki inwalida bez stopy przekuśtykał o kulach do wolnego stanowiska.

– I tak się człowiek od tamtej pory tłucze, to tu, to tam, Nie wiecie, *Kamerad*, czy komuś nie jest potrzebny pracownik? Do wiosny dorabiałem w kotłowni, ale teraz zmniejszyli zapotrzebowanie.

Teodor pokręcił głową.

– Przykro mi, jestem nietutejszy.

– No cóż, warto było spróbować.

Grossmann odczekał swoje, w końcu ułożył się na stoliku z drewnianą kratką. Pracownik łaźni namydlił go, a potem tarł szorstką gąbką tak długo, aż skóra zaczerwieniła się i zaczęła piec jak potraktowana ogniem. Teodor zwlókł się ze stanowiska, splukał znów pod prysznicem, czując setki mrówek biegających po całym ciele.

Wrzucił ręcznik na półkę i zanurzył w gęsty, wilgotny półmrok łaźni parowej. W pierwszej chwili aż zaparło mu dech, gdy gorące powietrze uderzyło w nozdrza. Oczy zapiekły, zaszczypały, ale po chwili uczucie minęło. Rozejrzał się, wybrał wolne miejsce na ławeczce u dołu i usiadł, zwiesiwszy głowę.

Przymknął powieki, pozwalając myślom płynąć własnym torem.

Była już połowa lipca. Przyjechał tu, do tego miasta, aby znaleźć *Wunderwaffe*, cudowną broń, wspomnianą w ostał nim meldunku od Gablenza. Przez ostatnie półtora miesiąca szukał, węszył, wkręcał się na przyjęcia i zawierał szemrane znajomości. Zinfiltrował kilka interesujących obiektów, pozyskał określoną ilość potencjalnie przydatnych informacji – ale nie przybliżył nawet o krok do wykonania zadania.

Udało mu się skontaktować z tutejszą komórką wywiadu, to był niewątpliwy plus. Zdekonspirował się, przy okazji dekonspirując też innego szpiega... Ten element łamigłówki wymagał głębszego przemyślenia, ale Grossmann celowo spychał go na bok, czując, że jego profesjonalny osąd ustępuje w tym wypadku popędowi zupełnie innej natury i... uczuciom?

Aż potrzęsnał głową, zaskoczony niedorzecznością myśli. Krople potu posypały się z mokrych włosów, poleciały wachlarzem dokoła.

– Przepraszam – mruknął do odsuwających się z niezadowoleniem sąsiadów. Podniósł się, wszedł jeden rząd ławek wyżej. Oparł o drewnianą kratkę i znów przymknął oczy.

...tak, jeśli idzie o Jennifer, to starał się o niej nie myśleć. Bardzo się starał. Nawet teraz zerknął w dół i na wszelki wypadek usadził tak, żeby nie zgorszyć nikogo siedzącego poniżej.

Nadal nie był w stanie znaleźć punktu zaczepienia w sprawie śmierci Gablenza. Nie ulegało wątpliwości, że do przedwczesnego zgonu kaletnika ktoś się przyczynił, być może wskazówka znajdowała się gdzieś w zaszyfrowanym notesie, który znalazł w mieszkanku denata Horst, ale co z tego? Nawet Teodor nie zdołał ugryźć przedziwnego szyfru, a nie był na tyle jeszcze zdesperowany, żeby prosić o pomoc kogokolwiek innego.

Przylot sterowca i magazyn na ukrytej boczniczy dworca okazały się fałszywym tropem. Prawdziwy był tylko leżący w płytkim, bezimiennym grobie Rolf Heinicke, którego bez sensu zadźgał. Tyle niepotrzebnych, głupich śmierci...

– *Heyser, tutaj!*

...tylu ludzi, tyle twarzy. W mundurach zielonych i szarych, o twarzach wąsatych i ogolonych. Tyle nazwisk, wdeptanych w rozmiękle od krwi błoto...

– *Heyser, tutaj! Zmiażdży cię przecież!* – zawołał któryś z oddziału, ale tamten tylko skulił się i odpętlął dalej.

– *Herr Speiss! Pójdę po niego, bo przecież...*

– *Zostać! Zostać i przygotować się, bo zaraz...*

– *O mamusiu – jęknął wychylający się nad krawędź transzei Kliemann.*

Z dymu i mgły prosto na nich toczyło się monstrum.

Najpierw pokazał się zadarty ku górze stalowy dziób, niczym u wylaniającej się z mgły galery. Potężne, kręcące się po jego bokach ogromne pasy żelaznych gąsienic rozrzucały wokół błoto, kawałki drewna i fragmenty drutu

kolczastego. Machina ryknęła silnikiem, jednocześnie osadzone w bocznym sponsonie działo bluznęło ogniem, posyłając pocisk w ledwo widoczną stąd linię umocnień gdzieś za nimi.

– Nie panikować! – ryknął na swoich ludzi Grossmann, widząc, że ci już z trudem utrzymują nerwy na wodzy.

Kryjący się w leju po bombie Heyser kwiknął z przerażenia i chciał poderwać się, widząc sunący prosto na niego kształt, ale było już za późno, więc tylko nakrył głowę rękami.

– Hermann, nieee! – wrzasnął ktoś z oddziału, widząc, jak gąsienica wtacza się na prowizoryczną kryjówkę kolegi. Ziemia osiadła, a spod kilkudziesięciotonowego cielska stalowego potwora wystrzeliła jeszcze tylko drgająca konwulsyjnie, drapiąca błotnisty grunt ręka, którą też zaraz wciągnęły pod siebie i przemielity ciężkie, żelazne ogniwa. Monstrum zaczęło powoli, metr za metrem, nadpełzać nad skrywający resztę ich oddziału blindaż...

– Pod drugą ścianę i ku środkowi! – krzyknął Teodor, widząc, że ziemia osiada, a wzmacniające transzeję belki trzeszczą i wyginają się niepokojąco.

Ludzie przetasowali się, pełznąć i przeskakując; ktoś krzyknął, kto inny zawołał coś, czego nie dało się rozróżnić we wszechogarniającym hałasie – a potem skryła ich ciemność.

Szarpnął się, wciągnął głęboko powietrze i potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Jakiś dziadek warknął coś,

niezadowolony, wstał i wyszedł z łaźni parowej, głośno trzaskając drzwiami.

Grossmann wytarł z twarzy pot, odetchnął głęboko: sen. Kolejny cholerny, niepotrzebny sen. Prześladowały go nadał, nawet tutaj, w mieście. Nie musiał udawać, nie musiał fingować choroby, aby dostać urlop zdrowotny. Wystarczyło, że przyznał się do wszystkiego, co tłumił przez tak długi czas. Tego, co po pamiętnym kwietniowym dniu stało się razem z Krzyżem Żelaznym częścią jego duszy.

Drzwi otwarły się i zamknęły, zjawił się Horst. Rozejrzał się, usiadł w rogu, nawet nie spojrzął na Teodora.

Czekali.

Dwóch mężczyzn weszło, jeden wyszedł. Ktoś zmienił miejsce, inny położył się plackiem na najniższej ławce. Kolejny zaczerpnął cynowym kubkiem wody, upił łyk, resztę wylał na głowę.

Horst przesiadł się na bok. Grossmann sapnął ciężko, zsunął z ławki.

– Można? – zapytał, pokazując na miejsce obok.

– Proszę.

Horst otaksował wzrokiem sytuację, przysunął się nieco bliżej i szepnął:

– Jutro w nocy wchodzimy na teren. Mamy załatwioną drogę.

– Zakazuję. – Teodor potrząsnął głową.

– Wszystko gotowe.

– Nie. Odwołać akcję. Nicolai przyjeżdża do miasta. Będzie zbyt gęsto.

Kiwnięcie było jedyną odpowiedzią ze strony Horsta.

– Co macie nowego? – zapytał Grossmann.

– Nic. Przyniosłem coś ze starych. Poproszę kluczyk, towarzyszu, będzie na waszej szafce.

Teodor odwiązał sznurek, niezauważalnym ruchem położył klucz na ławce. Wstał i niespiesznym krokiem przeszedł przez salkę, odetchnął głęboko. Policzył do trzech, otworzył drzwi i żwawym krokiem wyszedł na zewnątrz.

Nieruchoma, gładka toń basenu z zimną wodą była coraz bliżej – pięć kroków, trzy, dwa... Zaczerpnął powietrza, wybił się, podkulił nogi i plusnął w lodowatą głębię.

Dobre dwa kwadransy później wrócił do przebieralni. Było już prawie pusto, tylko w korytarzu ktoś wycierał głowę płótnem, jakiś młodzik kończył wiązać buty. Teodor przeciągnął ręką po wierzchu rzędu szafek, ku swojej uldze wymacał kluczyk. Otworzył drzwiczki, zaczął się powoli przebierać.

Pod ubraniami było coś jeszcze. Celowo powściągnął ciekawość, założył spodnie, naciągnął buty, potem koszulę... Wreszcie sięgnął pod złożoną bluzę.

Zegarek. Nawet więcej; dwa identyczne zegarki na skórzanej bransolecie.

ROZDZIAŁ XXII

O, toż to pan podporucznik! Dzień dobry, zapraszam.

Teodor schylił się, wchodząc do ciasnego, niskiego wnętrza zakładu krawieckiego przy Wagnerstrasse, sąsiadującego z zamkniętym na głucho warsztatem Gablenza.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się. – Miałbym do pana jeszcze jedną sprawę.

– Cokolwiek pan podporucznik sobie zażyczy. To jest, w miarę skromnych możliwości.

– Chciałbym zamówić u pana koszulę. Jestem bardzo zadowolony z tamtej, a mój urlop jeszcze się nie skończył, lato jest upalne. Potrzebuję jeszcze jednej, na zmianę.

– Panie podporuczniku – krawiec załamał ręce – skąd ja materiał wezmę? Nici, no to jeszcze, ale na dobrą koszulę to potrzeba ze dwa, dwa i pół metra bieżącego. Wszystko racjonowane teraz, dostawcy płaczą, że...

Urwał, gdy Grossmann położył na blacie przewiązaną konopnym sznurkiem paczkę w szarym papierze.

Drżącymi rękoma krawiec odwiązał supeł, uchylił opakowanie i z nabożną czcią dotknął bielusieńkiej surowki.

– Pierwsza jakość, prosto z magazynów wojskowych. Powinno być z naddatkiem, więc cokolwiek zostanie, jest dla pana. Da pan radę?

Krawiec kiwnął głową, wyprostował się. Zdawać by

się mogło, że ubyłoby mu z dziesięć lat.

– Naturalnie, panie podporuczniku! Uszyję panu taką koszulę, że... ech! Przed wojną się człowiek innych robót nawet nie miał, dopiero potem były chałtura przyszła. Ale tu będzie robota na fest!

Grossmann pozwolił zdjąć miarę, nie protestował nawet, gdy rzemieślnik na wszelki wypadek zaczął wszystko sprawdzać po raz drugi. Zakładał już koszulę, gdy w końcu odezwał się:

– Ach, przypomniałem sobie jeszcze. Nie wie pan, gdzie znaleźć w Königsbergu dobrego zegarmistrza?

– Zegarmistrz? Hm, to niełatwa sprawa, odkąd stary Graubner nie wrócił z frontu. On najlepszy był... Coś skomplikowanego?

– Nie, bynajmniej. Chcę tylko oddać zegarek do wyczyszczenia. Mógłby mi pan kogoś polecić? Może kogoś miejscowego, też z tej okolicy?

– A, to trzeba było tak od razu. Na równoległej do nas, na Rosenstrasse, jest zakład Prittwitza. Pan podporucznik powie, że ode mnie, to nie będzie problemów robił. On dziwny jest, Prittwitz, ale ponoć porządnie robi.

Teodor podziękował, dokończył się ubierać i zostawił zaliczkę. Zerknął jeszcze z ulicy na wiszącą przy drzwiach tabliczkę – do tej pory nawet nie miał pojęcia, jak krawiec ma na nazwisko! – i ruszył w kierunku sąsiedniego zaułka.

Zakład znalazł bez szczególnego trudu: okazałszy szyld z zegarem widać było już z daleka, chociaż gdy podszedł bliżej, nabrał wątpliwości. Szyby były pokryte warstwą

brudu, w środku chyba nawet nie paliło się światło. Na próbę nacisnął klamkę, ale o dziwo drzwi ustąpiły, otwarły się, skrzypiąc zastanymi zawiasami.

– Halo, dzień dobry! – odezwał się, rozglądając po zapłaconym wnętrzu.

W najciemniejszym kącie coś się poruszyło, znad zakurzonego dębowego kontuaru wyjrzała skołtuniona głowa. Lekko wodniste oczy za grubymi szklami okularów błysnęły spod krzaczastych brwi.

– Kto tam? – zaskrzeczał ochryply głos.

– Przyniosłem zegarek do naprawy. Przysłał mnie pan Rothkirch, krawiec.

Zegarmistrz poruszył się, wstał i podniósł na całą swoją wysokość, niemal zahaczając głową o sufit. Grossmann cofnął się, zdumiony: wielkolud musiał mieć dobrze pod dwa metry wzrostu! Wyciągnął do Teodora rękę, sięgając prawie do połowy szerokości pokoiku:

– Niech da. Da pan, mówię!

Grossmann położył wyłuskany z bransolety chronometr na dłoni wielkości łopaty do chleba. Sękate pałce zamknęły się niczym pręty klatki, potem cały zegarmistrz zaczął się składać się i zwijać w sobie jak mechaniczna konstrukcja, jakimś cudem mieszcząc nieproporcjonalne ciało na malusieńkim zydelku.

Podporucznik podsunął się bliżej, zafascynowany. Patrzył, jak malutkie szkło powiększające chowa się całe w zapadniętym oczodole, potem zegarmistrz nachylił się nad kopertą, wprawnym ruchem otworzył wieczko i wpił

chciwy wzrok w mechanizm.

– Lange i synowie – mruknął. – Piękna rzecz.

– Nie wie pan, czy ktoś w okolicy nie miał podobnego? – zaryzykował Teodor.

Zegarmistrz uniósł ogromną głowę i spojrzał prosto na niego.

– Nie pamiętam – zaskrzeczał. – Taka rana, w głowę.

O tu. Dwudziesty drugi lipca, piętnasty rok. Ostatnia data, jaką pamiętam, a potem każdy dzień od nowa. Pan się nie kłopotuje mówić nazwiska, bo i tak zapomnę. Który to rok mamy...

Zerknął na kalendarz naścienny, wskazujący wczorajszą datę. Grossmann usłużnie sięgnął i zerwał kartkę, tamten pokiwał.

– O, widzi pan? Wczoraj pewnie zapomniałem. Może i ktoś taki zegarek przynosił, a może nie... Nie wiem, nie pamiętam. Tutaj, o, mam całe swoje życie! – Stuknął w pokryty bazgrołami notes. – Widzi pan? Przyjęto do naprawy, naprawiono, wydano. I tyle, nic więcej. Zostawi pan?

– W zasadzie... tak, zostawię obydwu.

Teodor sięgnął do kieszeni i wyjął drugi, identyczny czasomierz. Zegarmistrz uniósł się na zydlu, niemalże chciwym ruchem zgarnął kolejny zegarek z blatu. Obejrzał, pokręcił głową.

– Kolejne numery seryjne. Bardzo, bardzo rzadkie. Może były już, te dwa? A może wcale nie. Zostawia pan?

– Tak. Proszę wyczyścić i przesmarować. Kiedy od-

biór?

– Za trzy dni.

Grossmann sięgnął po portfel, rzemieślnik wymienił sumę, zapisał w kajecie zamówienie. Teodor już wychodził, kiedy tamten zawołał w ślad za nim:

– Trzy dni! Pan pamięta, bo na mnie nie ma co liczyć, he, he!

– Gerhardzie, jak długo będziemy jeszcze tak się szwendać?

Keller zerknął na zegarek naręczny, ale tym razem w geście nie było ani cienia buty czy chęci pochwalenia się. Westchnął, obejrzał na budynek Instytutu Inżynierii.

– Zaraz powinni kończyć... Oby, bo gardło mi już wyschło na wiór, a koszulę mam, dla odmiany zupełnie mokrą. Wyżymać by ją można.

– Hm, kuszące... – Erika wzięła go pod ramię i przytuliła się, ale on tylko pokręcił głową.

– Nie działa, pot jest zbyt słony. Nie takie rzeczy ludzie próbują pić na froncie.

Pacnęła go w ramię, rozbawiona.

– Nie o tym mówię, panie fanenjunker! Fúj!

– Wybacz. – Uśmiechnął się. – Chyba słońce rzuca mi się już na mózg.

Od ponad czterdziestu minut kręcili się po nagrzanym niczym patelnia kampusie uniwersytetu, czekając, aż profesor Nemmersdorf zakończy spotkanie z podpułkownikiem Nicolai.

Szef Abteilung Illb niespodziewanie zaanonsował swą

wizytę z wyprzedzeniem niespełna kwadransa, przy czym – ku zdziwieniu zarówno Kellera, jak i panny Scharfe – jego wyraźnym życzeniem było, aby rozmowę z naukowcem przeprowadzić na osobności. Przywitał się z obojgiem współpracowników uprzejmie, wyraził swoje zadowolenie, że Erika znów pracuje, po czym równie gładko poprosił, aby poczekali za drzwiami. Och, nie za tymi za zewnętrznymi, jeśli to nie problem.

Co mieli zrobić? Popatrzyli po sobie, zmierzyli wzrokiem stojącego na warcie adiutanta i poszli na spacer.

– Nie wiem, o czym można tak długo rozmawiać – sapnęła coraz bardziej zła Erika.

– Pewnie o czymś ważnym. Zresztą powiem ci, że... Och, patrz: wyszli.

Rzeczywiście, podpułkownik Nicolai wraz z adiutantem właśnie schodzili po schodach. Rozejrzeli się, młodszy stopniem pokazał ręką kierunek i ruszyli ścieżką w cieniu kasztanów.

– Nareszcie. Chodź, schowajmy się w środku. Może chociaż profesor powie, o co chodziło.

Gdy wchodzili na górę, Nemmersdorf właśnie schodził – zbiegał w zasadzie! – na dół.

– Panno Scharfe, ze mną proszę! – zawołał tylko. – Gerhardzie, poczekaj na nas.

– Tak, panie profesorze – mruknął Keller pod nosem, gdy Erika rozłożyła bezradnie ręce i pokłusowała za pracodawcą po schodach.

Wdrapał się na górę, do pracowni. Zebrał i umył fili-

żanki, wytrząsnął papierośnicę. Zawahał się, ale nie starczyło mu odwagi, żeby zetrzeć tablicę: kto wie, co zapisał na niej naukowiec? Otworzył okna, żeby trochę tu przewietrzyć, po czym usiadł w swoim fotelu i zapalił.

Erika i Nemmersdorf wrócili po kolejnej półgodzinie: ona z naręczem dokumentów, on z uśmiechem na twarzy.

– Pomóż panie Scharfe, Gerhardzie. – Profesor wskazał dziewczynę ręką. – Nie wypada, żeby sama to wszystko niosła.

Keller podskoczył, złapał większą część papierów. Chciał odwrócić się, zapytać profesora, co dalej – ale za Nemmersdorfem tylko trzasnęły drzwi. Erika ubiegła jego pytanie:

– Nie mam pojęcia. Coś będą budować na dachu, właśnie zrobiliśmy tournée po całej administracji instytutu.

– Budować? – zdziwił się Keller. – Kolejne obserwatorium?

– Nie, to coś jakby... Nie wiem zresztą, wszystko jest tu, w dokumentach. To znaczy: będzie, jak tylko je wypełnię. Profesor napisał mi tutaj gdzieś, o co chodzi, są już jakieś plany nawet.

Keller wyciągnął kartkę z rysunkiem technicznym, popatrzył w zadumie. Na naszkicowanym dachu Instytutu Inżynierii i Matematyki wznosiła się przysadzista, ale pnąca się ku górze ażurowa konstrukcja podstawy masztu radiowego.

Mannfried von Hohenfurst otworzył notes, przebiegł wzrokiem po notatkach. Westchnął ciężko, przetarł twarz i

siorbnął zimnej kawy. Skrzywił się, ale podziałało, więc upił jeszcze łyk; może zacząć ją solić, zamiast dodawać cukru?

„Kaiser Wilhelm” wciąż stał w hangarze pod miastem, jego marynarze szwendali się po ulicach, wywołując wybuchy patriotyzmu oraz okazjonalne burdy. *Wunderwaffe, ha!* Dowództwo specjalnie zaprosiło ich na montaż pierwszego działka harpunowego, tłumacząc, co i jak. Urządzili nawet mały pokaz teoretyczny, podczas którego jeden ze szturmowców, ubrany w jarmarcznie niedorzeczny, aluminiowy pancerz i wielkie gogle, spadł z liny abordażowej i skręcił kostkę.

Nie, to bzdura – tego Hohenfurst był pewien. Piękna, chwalebna, technologicznie zaawansowana, epicko samobójcza bzdura. Co jednak innego miałoby skrywać to miasto?

Udało mu się przez koneksje starego von Hantzscha trafić do jednego z zamkniętych szpitali dla oficerów, gdzie ponoć testowano jakieś nowe urządzenia. Lekarz prowadzący z entuzjazmem właściwym psychopacie oprowadził go po oddziale, tłumacząc z obrazową szczegółowością wszelkie komplikacje przy przeszczepach urwanych dłoni i próbach operacji na otwartym mózgu.

Gdy dotarli do czegoś, co tamten nazwał „wlewami dokostnymi”, konsul chciał grzecznie podziękować, ale jego sugestia zakończenia wycieczki pozostała chyba niezauważona. Zmuszono go, by stał i patrzył, jak dwaj sanitariusze przywiązują wyjącego i rzucającego się Rosjanina

do stołu operacyjnego, a potem nad jego kolanem zostaje zamontowane coś, co w najlepszym razie przypominało stacjonarną wiertarkę do metalu.

Gdy wiertło dotknęło skóry i zaczęło wgryzać się w kość piszczelową, von Hohenfurst po prostu taktycznie zemdlął.

Co dalej? Był jeszcze poligon za miastem, na którym prowadzono w ścisłej tajemnicy testy czegoś, co wprowadzający go tam miłośnik nieletnich chłopców nazwał „sztucerem pancernym”, *Panzerbuchse*. Konsul w pierwszej chwili był przekonany, że chodzi o tarcze i hełmy dla snajperów – owszem, liźnął co nieco wiedzy fachowej – ale gdy zobaczył wielkość, a przede wszystkim kaliber amunicji oraz rozmiar samej broni, szybko zweryfikował swoje poglądy.

Patrzył, przerażony, jak strzelec składa się do potężnej kolby i bierze na ceł odległą o parędziesiąt metrów płytę pancerną.

– Czy nie powinienem przypadkiem zatkać... – zdążył tylko powiedzieć, a potem świat wokół podskoczył, kopnął go w pierś i klepnął w oboje uszu naraz.

Odprowadzili go do bramy, mówiąc coś, czego nie słyszał przez pisk w uszach. Szofer odwiózł go do rezydencji, a tam konsul upił się w sztok, przekonany, że stracił słuch na zawsze. Nad ranem oczywiście okazało się, że jednak słyszy – a do tego potwornie boli go głowa. Jediną korzyścią było to, że przespał całą noc... Chyba, bo nawet tego nie pamiętał.

No i był jeszcze podporucznik Teodor Grossmann. Grossmann, który wydawał się von Hohenfurstowi ze spotkania na spotkanie coraz bardziej podejrzany, mimo że teoretycznie nie robił nic niewłaściwego – a może dlatego właśnie? Konsul, oczywiście, był świadom, że podporucznik mógł pojawić się w Königsbergu z miliona różnych powodów, ale powziął graniczące z pewnością przekonanie, że przyjazd Grossmanna wiązał się z misją co najmniej zbieżną z jego własną.

Ciekawe, co też porabiał ten błazen Freudenthal? Miał kręcić się wokół Grossmanna, ale najwyraźniej po pierwszym podejściu stracił zapał. Owszem, podporucznik nie poznał go – ale to o niczym nie świadczyło, mógł nie zdążyć się przyjrzeć twarzy albo... albo cokolwiek innego. Zbyt wcześnie na wnioski, trzeba go popędzić.

Von Hohenfurst sięgnął po słuchawkę, sprawdził w notesie i wybrał numer do pensjonatu, w którym zatrzymał się Freudenthal. Recepcjonistka poszła po niego, zawołała do aparatu – czyli siedział, obibok jeden, w swoim pokoju.

Trzeba go trochę popędzić do roboty.

– Dzień dobry, panie Prittwitz. Przyszedłem po zegarek.

Zegarmistrz poruszył się w swoim kącie, zerknął na Teodora nieufnie.

– Dobry, może i dobry. A pan tu czego chciał? Ja nie znam pana, wyjść proszę...!

– Ja od Rothkircha jestem. – Teodor przypomniał sobie, co mówił krawiec.

– A, od Rothkircha. No dobrze, dobrze. Pan pewnie zegarek chciał naprawić?

– Odebrać. Na nazwisko Grossmann.

Właściciel zakładu zgarbił się, zaczął kartkować swoje zapiski.

– Grossmann, Grossmann... A, jest, rzeczywiście. Cztery dni temu... Widzi pan, ja nie pamiętam najlepiej. Rana głowy taka, o tu. Ostatnia data u mnie, dwudziesty drugi lipca piętnastego roku. A potem nic, od nowa co rano. Nawet dwa zegarki, jak widzę. No już, już daję.

Otworzył szufladę, wyjął dwa zawiniątka opatrzone karteczkami. Rozwinął, popatrzył zaskoczony.

– No, no... Lange i Synowie, dwa takie same. Przepiękna rzecz, rzadkość – mruknął. – I ja je miałem u siebie, a nie pamiętam, żeby pan przyniósł. Tylko to, o tutaj. – Stuknął sękatym paluchem w notes. – Pan poczeka, nastawię godzinę.

Teodor patrzył cierpliwie, jak groteskowo pokraczny Prittwitz delikatnie manipuluje pokrętłami, potem ustawia wskazówki i czeka, patrząc z napięciem na pełznącą wskazówkę swego wzorcowego czasomierza. Potem wcisnął obydwie główki, położył zegarki na blacie.

– Już. Niech pan nakręca regularnie, rano i wieczorem. Dziesięć obrotów starczy, sprężyny mocne.

– Dziękuję. – Grossmann skinął, zgarnął obydwie koperty. Chciał schować do kieszeni, gdy Prittwitz poderwał się.

– Nie! – zaskrzeczał, machając rękami. – Pan wyjmie,

pan wyjmie je!

Teodor aż podskoczył, ale szybko wyciągnął obydwie chronometry, odłożył na blat. Zegarmistrz trzęsącą się ręką odsunął jeden od drugiego, zajęczał:

– Co pan robi, co pan robi? Takie zegarki, taki skarb...

– Ale co się stało? – nie zrozumiał Grossmann.

– Nie razem! Nie wolno zegarków razem, nie obok siebie! Jeden pan wsadzi w jedną kieszeń, drugi w drugą!

Oddzielnie...

Teodor popatrzył na czasomierze oszołomiony. Prittwitz pokiwał głową.

– Osobno trzeba, jak chodzą. Nawet jak leżą, to przekładać trzeba, bo przeciwwaga się odkształca. Ale jak chodzą, to nigdy razem. Rozregulują się oba. Nie minie dzień, *a* będą zupełnie inne godziny pokazywać.

– Dzięk...dziękuję, panie Prittwitz. – wydusił z siebie Teodor, po czym wytoczył się na ulicę, odetchnął głęboko rozgrzanym powietrzem.

Różne godziny! Sięgnął do kieszeni, wyjął skórzaną bransoletę po Gablenie i wcisnął zegary w przygotowane lam gniazda, połączone od spodu paskiem metalu. Popatrzył na przesuwające się na razie równym rytmem wskazówki: teraz wystarczyło poczekać.

Był niemal pewien, że znalazł klucz do zaszyfrowanego notesu.

ROZDZIAŁ XXIII

John uśmiechnął się znad swojego talerza, ujmując w dłoń sztucę.

– No i jak, panie fanenjunker? Ma pan coś dla mnie ciekawego?

– Zapowiadają ochłodzenie i front burzowy, *Herr Fohn*. – Keller odwzajemnił uśmiech. – Ale docelowo wszystko zależy od kobiet.

Siedzieli w restauracji, za oknem mając widok na Pregolę i dachy katedry nad starym miastem. Panował tu względny chłód, pozwalający odpocząć od wszechobecnego żaru, niepodzielnie królującego w Königsbergu od prawie dwóch tygodni.

– Zależy od... ach, rozumiem. Mam nadzieję, że ten drobiazg pomoże przechylić szalę losu na naszą korzyść.

Szwajcar przesunął po stoliku w stronę Kellera wąskie, podłużne pudełeczko. Gerhardowi aż zrobiło się gorąco: ten bezczelny bufon tak po prostu, w biały dzień, wręczał mu łapówkę! Uchylił wieczko, zauważył żółtawy błysk złota i od razu zamknął.

– Zapewne. Czym zatem byłby pan zainteresowany, *Herr Fohn*?

– Och, panie fanenjunker. Doskonale domyśla się pan, że interesuje mnie zawodowo wszystko powiązane z... matematyką. Przede wszystkim z pewnym szczególnym

rodzajem kombinacji i permutacji.

– Szyfry.

Szwajcar upił z kieliszka odrobinę czerwonego wina, skrzywił się: trunek najwyraźniej nie spełniał jego oczekiwań.

– Można to i tak ująć. To doskonała gimnastyka dla umysłu, a ja zawsze uwielbiałem wszelkiego rodzaju łamigłówki i szarady. Zapewne czytał pan mój artykuł w „Zahlen und Fakten”?

– Nie – przyznał zgodnie z prawdą Keller. Istniało duże prawdopodobieństwo, że taka gazeta nawet nie istniała, a Fohn doskonale wiedział, że Gerhard nie da rady tego sprawdzić.

– To raczej artykułik, takie wypociny laika... Ale to moja pasja, *Herr Fahnenjunker*. Więc wszystko, co będzie mógł pan...

– Wzajemne sprzężenia – rzucił Keller. Fohn aż drgnął, kawałek mięsa spadł mu z widelca, rozchlapując na boki ciemnobrązowy sos.

Trafił! Trafił, bo przecież Fohn pojawił się w mieście niedługo po przyjeździe Scherbiusa... Czy to możliwe, żeby rzekomy bankier przyjechał właśnie jego śladem?

– Nie rozumiem. – Szwajcar pokręcił głową, ale Keller już wcześniej zauważył, że tamten był słabym aktorem.

– Och, bez wątpienia. Mam nadzieję, że mają tu lody?

– *Herr Kommodore*, nadchodzi front burzowy. Rozkazy?

Von Hoepfner uniósł głowę znad dziennika, popatrzył

na bosmana.

– Informacja potwierdzona, *Herr Kommodore* – uprzedził pytanie Blumentritt. – Dwie niezależne stacje. Poza tym Tomaschkego łamie w kościach, a ten człowiek to chodzący barometr.

Komandor odchylił się w swoim fotelu, przymknął oczy. Nadchodziła chwila prawdy.

– Szykować się do wylotu – powiedział półgłosem.

– *Jawohl Herr Kommodore!* – Blumentritt wyszczerzył się wilczym uśmiechem, zasalutował, odwrócił na pięcie i wymaszerował z kwatery.

Na ławeczce pod ścianą rozłożyło się kilku marynarzy, obserwujących uważnie tę nagłą krzątanicę.

– No, to lecimy – mruknął Rudiger do siedzącego obok na ławeczce Smollicha. Odprowadzili obydwaj Blumentritta wzrokiem, doskonale czując, co się święci. – A tak spokojnie było, ciepłutko.

Smollich podniósł się, przeciągnął i popatrzył w kierunku hangaru.

– Daj spokój, dość tego słońca. Jak zdejmę mundur, to od nadgarstków ręce brązowe, jakbym rękawiczki założył. Byłem dwa dni temu u dziwki, to dostała ataku śmiechu, kurwa głupia. Musiałem jej dopiero zatkać gębę swoim...

– Nie chcę tego słuchać, Alois. Chodź, trzeba przygotować okręt do wyjścia z hangaru. Cholera jasna, po co ja się na to pisałem.

– He? – zdziwił się Smollich. – Kurt, o czym ty mówisz? Przecież brali nas na ochotnika.

– Wysokości się boję, za stary na to jestem. To zabawa dla młodych... Willie, ruszaj się, dzieciaku! Tylko patrzeć, jak...

– *Matrosen, stehen auf!* – rozległ się ryk bosmana. – Zafajdane świnię, upaśliście się, rozleniwiliście na gorących brzuchach królewieckich kurew! Wstawać, do roboty! Nie minie tydzień, jak nasza wspólna kochanka przyćśnie was do swojego zimnego łona...!

– Po co on tak mówi... – jęknął Kurt, ale ruszył karnie truchtem w kierunku magazynu ze sprzętem.

– Wylatują, panie profesorze.

– Hm? – zainteresował się Nemmersdorf. – Ach, sterowiec. Rzeczywiście, przecież był komunikat.

Keller przemilczał tę uwagę, mimo że zdziwiła go niepomernie: jaki komunikat? Gdzie, kiedy? Informacja, z którą właśnie przybiegł do profesora, została mu dopiero co przekazana w sztabie, i to nie przez byle kogo, a kaprala Scheyenbacha – więc na pewno nie była dostępna publicznie.

– Pójdziemy popatrzeć, profesorze? Wiem, że na dach da się wyjść.

Profesor spojrział na niego krytycznie, uśmiechnął się półgębkiem.

– Oczywiście, że wiesz, Gerhardzie. W końcu to właśnie tam już od tygodnia trwają prace budowlane. Jak brzmi faktyczne pytanie?

Keller chyba zarumienił się nieco, ale udało mu się popatrzeć Nemmersdorfowi prosto w oczy.

- Chcę zobaczyć maszt, profesorze.
- To nie pytanie, Gerhardzie.
- Dobrze więc... Po co panu profesorowi wieża nasłuchowa?

Nemmersdorf uśmiechnął się zagadkowo, wyciągnął z kieszeni zegarek i pstryknął wieczkiem koperty.

- To twoje pytanie, Gerhardzie? Czy kazał ci o to spytać ktoś inny?

Mina Kellera musiała być w tej chwili wyjątkowo niemądra, ale na szczęście profesor nie patrzył akurat na niego, zajęty podziwianiem ruchu wskazówki sekundnika. Odchrząknął, nabrał powietrza i przytomnie odparował:

- Schopenhauer, *Sztuka prowadzenia sporów*: zadawaj wiele pytań naraz i obszernie, aby przeciwnik nie zorientował się, do czego dążymy.

Nemmersdorf zatrzasnął kopertę, pokiwał.

- Siedem sekund, Gerhardzie. Dobrze, bardzo dobrze, ale jeszcze zbyt długo. Poza tym to raczej Sokrates. Nasz niemal rówieśnik skompilował wyłącznie szereg znanych od zawsze metod. Idziemy? Panno Scharfe, dołączy pani do nas potem, tylko proszę zamknąć pracownię.

- Tak, panie profesorze – odezwała się Erika z pokoju obok.

Wyszli na schody, wspięli się na poddasze, a stamtąd na dach. Widać było, że do tej pory nieużywane przejście stało się ostatnio dość uczęszczanym szlakiem komunikacyjnym, o czym jasno świadczyły ślady butów na schodach. Brud częściowo przenosił się na dół nawet po-

mimo wysiłków Eriki, sprzątającej wszystko dwa razy dziennie.

Widok był piękny: dachy miasta wznosiły się i opadały jak wzgórza i doliny, nad nimi śmigały czarne punkciki jaskółek oraz białe, majestatyczne rybitwy. Ponad rzeką kołysał się las masztów i prężyły się pękate kominy, słońce świeciło oślepiająco.

Jednak powietrze było ciężkie i gęste, nawet jeśli już zrywał się wiatr, trwożliwie szeleszczący liśćmi. Od strony wschodu nad horyzontem rysował się ciemny, postrzępiony pas nadciągających chmur.

Keller zadarł głowę, przysłonił oczy i popatrzył na rosnący w oczach maszt radiowy. Konstrukcja była już w połowie ukończona, wyciągnięte przez dach kable czekały tylko na podłączenie do odpowiednich kłębów.

Olśniła go nagła myśl.

– Pan profesor... Czy pan profesor...?

Nemmersdorf podał mu lunetę, pokazał kierunek.

– Tam się podniesie. Zrobi rundę nad miastem, żeby nabrać wysokości, po czym odejdzie nad morze, żeby bezpieczniej wejść w strefę zmienionego ciśnienia. Jak brzmi pytanie, Gerhardzie?

Powiew wiatru szarpnął połą surduta Nemmersdorfa, zaświszczał w rusztowaniach. Keller nabrał powietrza i wyrzucił z siebie:

– Czy podpułkownik Nicolai wie, że pan profesor zamierza prowadzić nasłuch częstotliwości wojskowych?

– Oczywiście. – Nemmersdorf wzruszył ramionami. –

Nie sądzisz chyba, Gerhardzie, że stawiałbym coś takiego nielegalnie?

Keller pokręcił głową, przytknął do oka okular i wyregulował, próbując znaleźć wskazany punkt.

– Prawdziwa potęga, Gerhardzie, to właśnie wiedza. Wiedza, która nie jest już wykuta w kamieniu, odcisnięta znakami na glinianych tablicach ani wypisana na papierze. To wiedza, która otacza nas wszystkich, dryfuje swobodnie wokół głów i przenika tkanki mózgu, to fale radia i sygnały telegrafu. Wiedza, która pozwala nam dowiedzieć się, kim są w istocie rzekomo przypadkiem spotykani ludzie.

Gerhard opuścił lunetę, pokręcił głową. Nemmersdorf patrzył gdzieś ponad horyzont z zupełnie nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

– Pan profesor wie? – zapytał po prostu. – O tym Szwajcarze?

– Wiedziałem od samego początku, Gerhardzie. Byłem ciekaw tylko, w jaki sposób on podejdzie do mnie... I kiedy ty się zorientujesz. Ale nie martw się, znam cię dobrze i domyślam się motywów działania. Kiedy miałeś zamiar donieść o tym służbom?

Keller spuścił głowę, tym razem czerwieniąc się niczym sztubak.

– Ja... – zaczął, ale Nemmersdorf przerwał mu ruchem ręki.

– Nigdy się nie tłumacz. Nigdy nie zakładaj a priori, że masz do czynienia z ludźmi głupszymi od siebie, bo wtedy zaczynasz bazować nie na faktach, a własnych założeniach.

Nasz szwajcarski przyjaciel sprawia wrażenie naiwnego, tak – ale czy nie uważasz, że właśnie w ten sposób potrafi wyciągnąć od ciebie to, na czym mu zależy?

Fanenjunker zastanowił się, po czym niechętnie, ale pokiwał głową, zawstydzony.

– Widzisz więc sam. Och, panno Scharfe, prosimy do nas! Gerhardzie, ustąp Erice pierwszeństwa, niech popatrzy, jak technologia tryumfuje nad bezmyślnym żywiołem.

Keller podał lunetę dziewczynie, zerknął kątem oka na profesora. Nemmersdorf stał z rozwianym włosiem, patrząc na wznoszący się ponad widnokregiem kształt sterowca.

Teodor dotarł do klatki schodowej swego mieszkania, gdy pierwsze krople zabębniły o dachy i parapety miasta. Wbiegł szybko po schodach na górę, zaryglował za sobą drzwi. Wsłuchał się, czy nikt nie szedł za nim po schodach, po czym przyklęknął w rogu kuchni i wyciągnął spod obluzowanej deski w podłodze notes Gablenza.

Usiadł przy stoliku. Na dworze zrobiło się ciemno, więc zapalił lampę, położył na stoliku bransoletę z zegarkami i otworzył notes. Deszcz szumiał o dach, wzmagając się z minuty na minutę, niesiony porywistym wiatrem.

Wpatrzył się w notatki, próbując znaleźć jakąś regularność. Każda z nich była opatrzona z boku, na marginesie, rzędem cyfr: cyfra, apostrof, kolejne dwie, dwa apostrofy. Wszystkie pierwsze w zakresie od pięciu do dwunastu, drugie – od zera do pięćdziesięciu dziewięciu. Minuty i sekundy? Raczej godziny i minuty, oznaczające czas

od wyregulowania obu zegarków.

Zobaczmy więc, jaka jest różnica pomiędzy wskazaniami obydwu czasomierzy? Jeśli dalej przyjąć, że miałyby to wskazywać na przesunięcie liter w alfabecie... Teraz wystarczy znaleźć coś charakterystycznego, jak datę zapisu, i szukać regularności. Nie ma potrzeby odcyfrowywać od razu całego kodu, wystarczy rozgryźć jego kawałek.

Siedział tak, zgarbiony nad notesem, nie widząc poza nim świata. Na zewnątrz szalała burza. Ciężkie, basowe gromy przetaczały się pod kopułą niebios, błyskawice rozcinały szarogranatowe niebo, na krótką chwilę rozświeślały cały Königsberg upiornym, zimnym blaskiem, a potem pozwalały mu z powrotem zapaść w odmęty ciemności.

Ołówek w ręku Teodora tylko czasami poruszał się, kreślił kilka znaków albo liter, a potem znów na długi czas zamierał. Grossmannowi wydawało się, że rozgryził już kilka symboli, a potem kolejny okazywał się przeszkodą nie do pokonania. Wertował kartki, spoglądał cały czas na oba zegarki i pilnował rosnącej pomiędzy nimi różnicy czasu.

W okno uderzył szczególnie silny podmuch wiatru, Teodor drgnął, odruchowo zerknął w bok. Która to była godzina? Ach, dopiero wpół do dziewiątej, tylko na dworze zrobiło się zupełnie czarno. Podeszedł do szafki, wyjął butelkę wódki i nalał sobie pół szklanki. Dawno nie pił już wódki szklankami, a przecież wtedy o tyle lepiej się myśli.

Siedział tak, patrząc w szeregi zapisanych znaków. W pewnej chwili przyłapał się na tym, że wzrok mimo woli ześliznął się na dwa zegarki, które zapiął znów na nadgarstku. Zaraz obok nich był mankiet koszuli, prosta spinka i wyhaftowany monogram: „T.G”. Przez chwilę zastanawiał się, czemu nie jest to „F.G.”, ale potem przypomniał sobie: Teodor Grossmann, a nie Fiodor Grigoriewicz. To zaskakujące, jak dużo może kryć się pod jedną literą...

Jego oczy rozszerzyły się mimowolnie. Tak! Był jeden znak, który pojawiał się w notatniku z początku sporadycznie, a potem coraz częściej! Przewertował kilka kartek, wyszukując go praktycznie na każdej stronie, w każdym zapisie... Pojedynczy, duży znak z kropką. Niczym skrót.

„N” – to samo, które trafiło do ostatniej depechy nadanej przez Gablenza. Jeśli założyć, że ten znak w tym zestawie kodów oznacza po prostu literę N, to wtedy tutaj, na samym początku notesu, to może być...

– Październik... – szepnął Teodor. Długość słowa się zgadzała!

Jak szalony zaczął podstawiać wszędzie litery pod znaki, czując, że zrobił krok naprzód. Zatrzymał się przy pewnej notatce – krótkiej, składającej się tylko z jednego słowa, datowanego na... jeśli to będzie N, a tutaj podstawić wedle klucza R, to dwunastego października. Jedno jedyne słowo.

Zaczął zamieniać litery, dodawać, podstawiać... Tu łatwiej, bo podwójny symbol, charakterystyczna samo-

głoska, dalej...

Urwał, odsunął się. Popatrzył z niedowierzaniem na wyłaniające się słowo.

Nagły błysk rozświetlił całą uliczkę, chwilę po nim przyszedł trzask, basowy, dudniący łomot i huk, gdy fala dźwiękowa po uderzeniu pioruna poniosła się echem pomiędzy kamienicami. Budynek aż zadrżał, zakołysała się lampa pod sufitem. Gdzieś za ścianą zaczęło płakać małe dziecko.

Teodor podniósł drżącą rękę, dopisał jeszcze dwa znaki. Podkreślił słowo z notatki i odchylił na zydłu, przegarniając rękoma włosy.

„Nemmersdorf”.

ROZDZIAŁ XXIV

Po burzy miasto odetchnęło. Ulewny deszcz zmył do Pregoty ciężki, gorący pył, drzewa zazieleniły się na nowo, ulice i dachy znów błysnęły świeżością. Zmęczeni upałem ludzie wylegli na ulice, gwar i śmiechy ponownie napełniły place i skwery Königsberga.

Keller szedł pod ramię z Eriką, dumny w nowiusieńkim, wyprasowanym mundurze z dystynkcjami chorążego.

Zaległy awans nareszcie stał się faktem, odebrał go z rąk samego *Reserve Generalleutnant* Brodrucka, który przy okazji rozpoznał młodego podoficera po nazwisku. Zamienili, ku zazdrości pozostałych zgromadzonych, kilka słów, generał napomknął ciepłym słowem o Kellerze starszym i wspomniał wiele lat wspólnej służby w tym samym regimencie.

Naturalnie, nic nie zostało powiedziane otwarcie. Niemniej Gerhard miał uskrzydlające wrażenie, że już niedługo, może jeszcze w tym roku, wreszcie będzie mógł doszyć do kołnierza upragniony *Sergeantenknopf* – mały, niepozorny guzik, na pierwszy rzut oka pokazujący jednak, że jedną nogą jest już pełnoprawnym oficerem.

– Mój rycerz w lśniącej zbroi. – Erika mocniej ścisnęła jego ramię. – Jestem z pana dumna, *Herr Fahnrich!* Musimy to jakoś uczcić.

Gerhard przymknął oczy i odchylił głowę, zadowo-

lony. Sam był z siebie dumny.

– Popieram. Masz jakieś pomysły?

– No cóż, coś się znajdzie...

Usiedli w kawiarni przy moście nad Schlossteich, Keller zamówił im po wyszukanym drinku o obco brzmiącej nazwie. Autobusy i powozy turkotały radośnie po bruku, po nieodległym ogrodzie hotelu „Drei Kronen” przechadzały się pary, okazjonalnie rzucające kawałki chleba pływającym po zalewie łabędziom.

– Eriko, mam coś dla ciebie – zaczął Keller, sięgnął za pazuchę. – Miałem zamiar jeszcze trochę poczekać, ale nie wiem, czy znajdę lepszą chwilę.

Dziewczyna poczerwieniała, potem zbladła. Zamrugała.

– Gerhardzie, naprawdę, nie sędzę, żeby...

Keller popatrzył na nią zdziwiony. Wyjął z kieszeni podłużne pudełko przewiązane wstążką, przesunął po blacie w jej stronę.

– ...och. – Erika spojrzała na niego z trudną do odgadnięcia miną. – To... co to?

– Otwórz i zobacz. To dla ciebie.

Rozwiązała węzeł, uchyliła wieczko. Przyłożyła dłoń do piersi w wyrazie zaskoczenia.

– Ależ, Gerhardzie! To przecież jest...

Świeżo upieczony chorąży wstał, obszedł stolik i stanął za Eriką. Wziął złoty łańcuszek z wisiorkiem, założył kobiecie na szyję, zapiął.

Jej włosy pachniały odurzająco wiatrem i słońcem.

– Idealne – powiedział, patrząc na nią. – Dokładnie tak jak ty.

– Skąd miałeś... Gerhardzie, to przecież musiało kosztować fortunę! Nie życzę sobie tak ekstrawaganckich prezentów!

Keller uśmiechnął się czarująco, znów usiadł na swoim miejscu i założył nogę na nogę.

– A jednak dostajesz je i musisz z tym żyć. Ufam, że nie będzie ci to szczególnie niemiłe.

Pokręciła głową, wzięła żołnierza za dłoń i ścisnęła mocno.

– Jesteś niepoprawny. Ale właśnie takiego cię...

Zawahała się. Keller zauważył, jak nerwowo zacisnęła rękę, a potem dokończyła:

– ...poznałam.

Uśmiechnął się, upił łyk słodkiego alkoholu. Gorycz niespełnionego oczekiwania pozostała.

W tym samym czasie Grossmann siedział na ławce w spokojnym, chłodnym zakątku dziedzińca Instytutu Inżynierii i Matematyki. Zapalił kolejnego papierosa, spojrzął kątem oka w kierunku okien na drugim piętrze, za którymi mieściła się pracownia Nemmersdorfa: zero ruchu, jakby w środku nikogo nie było.

Ale miał pewność, że naukowiec tam jest. Siedział tam dzień w dzień, tylko w niedzielę robiąc przerwę na obowiązkową mszę o wpół do dziewiątej, spacer po mieście, obiad w jednej z restauracji i czytanie w alejkach ogrodu botanicznego. Życie profesora było niczym jego umysł:

doskonale wyliczone, zsynchronizowane, perfekcyjnie przewidywalne.

Jak zegarek.

Obserwował Nemmersdorfa już czwarty dzień i coraz bardziej przekonywał się, że tamten nie jest poślednim umysłem. Musiał więc stąpać bardzo ostrożnie, żeby nie spłoszyć zwierzyny. Teraz też usiadł w takim miejscu, żeby na pewno nie było go widać; ukrył się za rozłożystą koroną starego platanu i wyglądał tylko pomiędzy liśćmi. Nie mógł pozwolić sobie na ściągnięcie chociażby cienia podejrzeń.

– Dlaczego akurat tutaj? – rozległo się zza jego ramienia. To Horst usiadł na drugiej ławce, plecami do niego, i właśnie zapalał papierosa.

Teodor zawahał się. W pierwszej chwili chciał powiedzieć agentowi o swoim odkryciu, ale zmienił zdanie; nie było sensu przedwcześnie odkrywać kart.

– Spokojnie tu, cicho. Dobre pole widzenia, nikt nie podejrze nie zauważony.

– Mhm. Co macie na tę stację nasłuchową, towarzyszu?

– Nic aż takiego. – Grossmann westchnął w myślach: uwzięli się, wywiadowcy od siedmiu boleści! – Poznałem się przedwczoraj z człowiekiem, który odpowiada tam za zaopatrzenie. Na dniach powinien dać znać, czy mnie tam... oprowadzi.

Horst sapnął, niezadowolony.

– „Na dniach"! Z każdym dniem Niemcy rosną w siłę,

nie wiem, czy stać nas na jeszcze tyle zwłoki. Musimy zacząć działać, bo inaczej szala zwycięstwa może przechylić się zbyt mocno na stronę przeciwnika!

– Za kogo pan się uważa, Horst? – Teodor musiał powstrzymać się siłą woli, aby nie odwrócić do rozmówcy.

Oponenta, mignęła mu w głowie myśl.

– Słucham? – Tamten aż podskoczył, w jego głosie dało się wyczuć rodzącą się złość.

– Za kogo pan się uważa? – Grossmann powtórzył, starając się nadać głosowi uspokajające brzmienie. – Jest pan Rosjaninem, Niemcem? Czy może człowiekiem tu-tejszym?

– Ach... Nie myślę o tym, *Kamerad*. Mówiłem już wam, że urodziłem się i wychowałem w imperium rosyjskim, ale zawsze uważałem się tam za rosyjskojęzycznego Niemca. Wojna zmusiła mnie do weryfikacji stanowiska.

– Co do stacji nasłuchowej. – Grossmann zdecydował się zmienić temat. Sam nie miał ochoty odpowiadać na podobnie postawione pytanie. – Wstrzymajcie się jeszcze trochę. Wiem, że potrzeba nagli, ale nie wolno nam zaprzepaścić waszej pracy jednym nierozważnym ruchem.

Horst pomyślał, potem skinął głową.

– Zgoda. Ale nie dłużej niż dwa tygodnie, potem musimy zacząć działać. Rewolucja w kraju...

– Nie mówmy o tym teraz – uciął Grossmann. – Tu macie listę adresów ludzi służących na tamtej stacji.

Wsunął zwinięty w rulonik papier pomiędzy szczelki ławki. Horst zaczepił go palcem od swojej strony,

wyciągnął i schował do kieszeni spodni.

– Dziękuję, towarzyszu – mruknął Horst. – Udało wam się coś z tym szyfrem?

– Nie.

– Trudno. Uzgodnimy kolejne spotkanie dzień wcześniej.

Po prostu wstał, poprawił koszulę i ruszył przez dziedziniec w kierunku bramy. Grossmann odprowadził go wzrokiem, a potem znów przeniósł spojrzenie na budynek Instytutu. Na jego dachu wciąż uwijali się robotnicy, nitujący maszt radiowy.

ROZDZIAŁ XXV

Przepraszam, czy pan podporucznik Grossmann?

Teodor odwrócił się, otaksował wzrokiem idącego po ulicy mężczyznę. Miał wrażenie, że już kiedyś widział tę twarz.

– Znamy się? – zagadnął uprzejmie.

– T...to znaczy nie. – Nieznajomy wydawał się dziwnie przejęty. Ustały ustąpiły jakiś czas temu, a całe czoło zroszone miał potem. – Ja znam pana, owszem... Bo widzi pan...

Grossmann zauważył nerwowo ściskaną przez niego w rękę starą gazetę. Pokiwał głową ze zrozumieniem, jednocześnie próbując przypomnieć sobie, czy mogli się już widzieć.

– No tak. Owszem, to ja. Nie mam zamiaru się dłużej ukrywać, odkrył pan sekret mojej tożsamości.

– Naprawdę? – Mężczyzna zamrugął, zaskoczony.

– Oczywiście. To ja, podporucznik Teodor Grossmann.

– Yyy... Tak, tak. Bo ja miałem do pana taką prośbę...

Teodor drgnął, gdy pamięć nareszcie podsunęła właściwą scenerię dla twarzy: lotnisko, sterówce, tłum. Ten człowiek spotkał się z nim wcześniej... Może już wtedy próbował nieumiejętnie zagadać, a wstydził się po prostu?

– My się już widzieliśmy – przerwał mu Teodor. –

Podczas lądowania „Kaisera Wilhelma”. Prosił pan o ogień. Nie przypominam sobie tylko, żebyśmy wymienili się grzecznościami, panie...?

Tamten przełknął ślinę, jak gdyby mając trudność z odpowiedzią na tak banalne pytanie.

– Freudenthal – wykrztusił w końcu i wlepił w Teodora wyczekujące spojrzenie. Potem jak gdyby przypomniał sobie o czymś, podał mu rękę. – Tak, właśnie tak. Walther Freudenthal.

– Teodor Grossmann. Chciał pan o coś prosić, *Herr Freudenthal*?

Dziwny nieznajomy drgnął i rozejrzał się, jak gdyby oczekując skądś pomocy albo podpowiedzi. W końcu jego wzrok padł na gazetę, którą wciąż trzymał w ręku.

– Tak! Tak, czy mógłby pan podporucznik mi się tu podpisać? O tu, pod zdjęciem...?

Teodor rozprostował szpaltę, spojrzął na wyblakłą, nieostrą fotografię.

– *Teraz!* – zawołał Teodor, gdy czołg przetoczył się nad nimi.

Wyskoczyli z transzei, wpadając prosto w ciągnący się za maszyną obłok dławiących spalin, i popędzili za odjeżdżającym pojazdem.

Jako pierwszy do wozu dopadł Telgmann, złapał się lufy boczego działka, podskoczył raz i drugi, zaczepił w końcu nogą o wystającą płytę pancerną, zaczął wspinać dalej... W tym momencie armata huknęła, plunęła ogniem i dymem, a on spadł jak szmaciana lalka, poturlał ogłuszony

na bok. Do burty dopadli już dwaj kolejni żołnierze, jeden podsadził drugiego, wwindował towarzysza na górę, na szczyt pancерnej dobudówki.

Grossmann skoczył ku tyłowi maszyny, wspiął się po żelaznych płytach, czując, jak wibruje i podskakuje pancерz. Żelazo wyczuwalnie oddawało ciepło, w środku musiał panować nieopisany zaduch i upał, nie mówiąc o hałasie, który ogłuszał nawet na zewnątrz czołgu.

Teodor sięgnął po pistolet, ale kabura była pusta; przed oczami mignęła scena, gdy broń wypada mu z ręki, a on, szczepiony z przeciwnikiem, leci na plecy. Nie mając nic lepszego, sięgnął po tkwiący w pochwie u pasa bagnet; ostrze akurat zaklinowało się, więc zaczął szarpać się i miotać...

– Panie sierżancie, uwaga! – zawołał Schoelss, wdrapując się na pancерz i sięgając po granat. Odkręcił już zaślepkę i miał właśnie szarpnąć zapalnik, gdy czołgiem nagle szarpnęło i zarzuciło; stracił równowagę, wrzasnął przeraźliwie i spadł prosto pod gąsienicę.

– Herr Leutnant? Mógłby pan się podpisać?

Teodor zamrugał, niczym wybudzony ze snu. Popatrzył na podającego mu pióro... Freudenthala, tak? Freudenthala w zupełnie normalnym, cywilnym ubraniu, stojącego na całkowicie zwykłej, niezniszczonej ulicy.

– Tak, już – zachrypiał, odchrząknął. Gardło nagle wyschło mu na wiór, na plecach wystąpił pot. Odkręcił skuwkę i na szybko, starając się nie patrzeć, skreślił pod fotografią imię i nazwisko. Oddał, prawie że odepchnął od

siebie gazetę. – Dziękuję.

– To ja dziękuję, panie podporuczniku. Do widzenia.

– Do widzenia...

Teodor potrząsnął głową, odszedł na bok i oparł się o róg budynku. Wspomnienia i widoki z frontu kotłowały mu się w głowie, twarze ludzi z jego kompanii przelatowały w szalonym tańcu, jedna po drugiej zapadając się w odmęty ciemności.

Trzęsącymi się rękoma wyjął papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko, łapczywie.

Walther Freudenthal szedł tak szybko, że prawie truchtał. Obejrzał się przez ramię: na szczęście Grossmann nie patrzył w jego stronę, ćmiąc papierosa. Siłą woli powstrzymując się przed biegiem, skręcił za róg. Dopiero gdy stracił z oczu tego... człowieka... oparł się o ścianę i wytarł czoło, ciężko dysząc.

To nie mógł być on...! Inaczej się zachowywał, inaczej mówił, nawet charakter pisma... Zerknął na trzymaną w rękę gazetę: to nie był on!

A mimo to ta twarz, coś w oczach. Sposób trzymania głowy, może również mimika? Wojna podobno zmienia ludzi, a oni nie widzieli się prawie trzy lata. Grossmann mógł go po prostu nie rozpoznać. Ale czy zapomniałby nazwisko...? Jego partner biznesowy wyjechał na wojnę, z której, zgodnie z cichym życzeniem Freudenthala, nie wrócił – a teraz pojawił się zniecka, po takim czasie, w zupełnie innym miejscu.

Wszystko się zgadzało: imię, nazwisko, miasto, re-

giment, przebieg służby. Tylko że nie była to ta sama osoba, nie był to ten sam Teodor, z którym razem...

Freudenthal zadrzał: a co, jeśli to BYŁ on? Może Teodor tylko celowo udawał, że go nie zna, czerpiąc jakąś zboczoną, perwersyjną przyjemność z zadawanych katuszy? Popatrzył jeszcze raz na podpis pod zdjęciem: jednak był podobny, mimo wszystko cholernie podobny do tego, który widniał zaraz obok imienia i nazwiska współnika pod dokumentami założycielskimi spółki!

A może to Walthera zawodziła pamięć? Zamknął przecież tę sprawę ponad półtora roku temu, papiery leżały głęboko w szafie, zbierając kurz. Tylko firma złociła się coraz to nowymi dochodami, okazując się dla Freudenthala najlepszą inwestycją życia. Tak bardzo, absurdalnie, oszałamiająco nieproporcjonalnie opłacalną w porównaniu do wkładu.

Do dziś nie wiedział, czemu wtedy, w trzynastym roku, Grossmann nie odebrał mu jego udziału w spółce. Teodor od początku miał więcej do powiedzenia, pokrywał znaczną część wydatków i strat z własnej kieszeni, nigdy nie przecząc, gdy dzielili zyski po równo. Przecież po tamtej sprawie z młodziutką Hielscherówną...

Zadrzał ponownie, wspominając tamtą sprawę. Jeden jedyny raz pozwolił sobie na taką chwilę słabości, ale przecież Rosalie Flielscher była tak uwodzicielska, niewinna i słodka...

I tak bardzo, bardzo nieletnia.

A mimo to Grossmann pomógł mu zamieść to

wszystko pod dywan, odsunąć albo przekupić niewygodnych świadków, załagodzić cały skandal, który spokojnie mógł kosztować Freudenthala nie tylko fortunę, dobre imię i wolność osobistą, ale też głowę. I nigdy, przenigdy o tym nie wspomniał.

Aż do dziś.

„Chciał pan o coś prosić, *Herr* Freudenthal?" – te same słowa padły tamtego potwornego wieczora, gdy Walther, dobrze po północy, załomotał do drzwi domu Grossmanna w ich rodzimym Magdeburgu. Teodor zszedł na dół w szlafroku, usiadł na swoim fotelu przy kominku i dokładnie tak go zapytał. Freudenthal poprosił, Teodor kiwnął głową i... i wszystko zrobił. Nigdy, przenigdy o tym nie wspominając.

Aż do dziś.

Walther zacisnął pięści, aż jęknął z bólu. Więc o to chodziło! To był szantaż: bezczelny, zimny, cyniczny szantaż, próba zastraszenia go i zmuszenia, żeby oddał Grossmannowi jego udziały... Ba, mało tego – pewnie całą firmę!

Zagryzł wargę: nie pozwoli na to! Nie odda tego, o co sam jeden, bez niczyjej pomocy, dbał w tak trudnym wojennym okresie!

Nawet jeśli będzie to wymagało sięgnięcia po środki radykalne.

– Będę musiała wyjechać.

Teodor drgnął i spojrzał na siedzącą naprzeciw Jennifer. Śpiewaczka uśmiechnęła się do niego, ale jej oczy

były zupełnie poważne.

– Kiedy? – zapytał po prostu.

– Niedługo. Może za tydzień, góra dwa. Jestem tu, w Königsbergu, już zdecydowanie za długo, mój menedżer zaczyna się niecierpliwić.

Popatrzył na nią pytająco, dziewczyna machnęła dłonią trzymającą lufkę z papierosem.

– Człowiek, który... no, zarządza twoimi sprawami. Impresario. Przysłał mi wczoraj telegram, że mam już umówione kolejne występy.

– Niech zgadnę: Danzig?

Kiwnęła.

– Stamtąd będę miała dobrą bazę wypadową na całe wybrzeże, Elbing niedaleko... Nie wiem tylko, gdzie znajdę drugiego takiego partnera do wypraw.

– Mężczyzn wokół ciebie nie zabraknie – półżartem rzucił Teodor. Jennifer wydmuchnęła strużkę dymu, spojrzała na niego z lekkim smutkiem.

– To prawda. Ale żaden z nich nie będzie tobą.

Wyciągnęła do niego rękę, Teodor ujął jej dłoń i delikatnie ucałował.

– Będę tęsknić za tobą, moja Jenny.

– Wiem. A ja za tobą... Ale postaram się jeszcze tu zawitać. Bo ty zostajesz w Königsbergu, prawda?

Grossmann westchnął, pokręcił głową.

– Urlop kończy mi się w połowie września, potem muszę wracać na front.

Nie powiedziała nic, bo i nie było co. Oboje doskonale

rozumieli sytuację, wiedzieli, co może to oznaczać.

Jennifer zgasiła papierosa. Spojrzała na Teodora spod gęstych, czarnych rzęs.

– Ale jeszcze nie dziś, prawda? Dziś nadal możesz być tylko mój.

– Jeszcze nie dziś. – Uśmiechnął się, czując żywsze uderzenie serca.

– Schweikart, nie myśl, że cię nie widzę! Kiedy zapłacisz, złodzieju śmierdzący? Nie udawaj, że nie słyszysz! I ani mi się waż odchodzić...!

Egon uśmiechnął się krzywo i udając, że nie słyszy, przyspieszył kroku. Skręcił za róg, żeby zniknąć gderliwej, upierdliwej właścicielce czynszówki z oczu, obejrzał za mijaną właśnie paniusią, popatrzył wyzywająco na idącego obok niej wypomadowanego gacha. Wyjął ręce z kieszeni podniósł głowę wysoko, wystawiając twarz do promieni ciepłego, świecącego tylko dla niego słońca.

Co z tego, że był na przepustce raptem dwa dni, a raczej trzy noce, a zdążył już przepuścić większość uciulanego przez ostatni rok żołdu? Co z tego, że stara jędra nasłuchiwała jego kroków na klatce schodowej, domagając się zaległego za trzy miesiące czynszu? Zegar na wieży katedry nieubłaganie odmierzał czas, pozostający mu do końca zasłużonego urlopu frontowego – i co, co z tego? Podkute buty stukały gwoździami o gdański bruk, naramienniki elitarnego pułku grenadierów błyszczwały czerwienią i żółcią nici.

Danzig należał do niego.

Wyszedł na promenadę, całą swoją zbójecką duszą z lubością chłonąc gwar ludzi, kręcących się po najstarszej ulicy miasta. Przespacerował się pomiędzy straganami, zaszedł do pijalni u starego Ruckheimera, zamienił parę słów z dawno niewidzianymi znajomymi. Pstryknął drobną monetą chłopaczkowi, który złapał pieniądz w locie i podał mu świeżo wyprasowaną szpaltę gazety, po czym grenadier przysiadł na ławce jednego z cienistych, zielonych bulwarów.

– Cholerna wojna... – warknął, przebiegając oczami pierwszą stronę. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie była tylko ona: w tryumfalnie krzyczących literach nagłówków, w przerysowanych karykaturach władców wrogich monarchii, pomiędzy literami artykułów, bezustannie sączących w umysły ludzi tę samą, nijaką, niemającą nic wspólnego z rzeczywistością papkę.

Egon nie był, bynajmniej, typem człowieka sentymentalnego czy – nie daj Boże – miękkiego. Życie nigdy go nie rozpieszczało, więc i on nie rozpieszczał życia, odpłacając mu się pięknym za nadobne. Pierwszy nos złamał w wieku siedmiu lat, pierwszą krew mężczyzny przelał w wieku lat jedenastu, kobiety (wtedy jeszcze dziewczyny) rok później. Ach, to były czasy, młodość! Tamten obskurny stryszek, na który zakradli się razem z Dorką od Streunerów, żeby wspólnie posmakować owocu zakazanego... Pierwszego razu z kobietą się nie zapomina.

Podobnie jak i innych pierwszych razów.

Odruchowo dotknął leżącego w kieszeni spodni, wy-

służonego, naostrzonego na brzytwę rozkładanego noża.

Drugi, o wiele poważniejszy, tkwił bezpiecznie w kieszonce wszytej w cholewę wysokich, okopowych butów. *Grabendolch*, czyli nóż okopowy, jego najlepszy przyjaciel i jedyna pewna rzecz w huraganie obłędu i okrucieństwa Wielkiej Wojny.

To był ten moment, kiedy powinien się wzdrygnąć, wspominając okropności, które widział i których się dopuścił – ale nic takiego nie nastąpiło. Śmierć dla młodszego kaprała Egon Schweißkarta była czymś, co się zdarza. Zupełnie naturalnym, jak bolący ząb albo sraczka. Nikt nie szykuje się specjalnie na ich atak, bo i tak nie jest w stanie się zabezpieczyć. Przychodzą znienacka, zaskakując człowieka w nietypowych sytuacjach, przeważnie niechciane i nieproszone, i nic się na to nie poradzi.

Można było zrobić jednak dwie rzeczy: nauczyć się z nimi żyć, raz. A dwa, starać się, żeby dotykały raczej innych, a nie jego.

Pierwszego człowieka zabił w wieku czternastu lat, w zasadzie przypadkiem. Kolejnego pół roku później, i na tym kończyła się jego mentalna kartoteka. Potem przestał sobie zawracać głowę liczeniem, koncentrując się raczej na udoskonaleniu umiejętności, do której najwyraźniej predysponowała go natura.

Tak właśnie klarował mu to ich kapelan w sierocińcu: znajdźcie to, dzieciaczki, do czego dał wam smykałkę nasz Stwórca, i róbcie to najlepiej, jak tylko potraficie, na chwałę Bożą. Dla Jego radości, ku chwale Jego imienia.

Dokładnie tak postępował w życiu Egon... Z jedną tylko różnicą: nie zabijał dla Boga. Nie zabijał nawet dla pieniędzy.

Zabijał wyłącznie dla własnej przyjemności.

Złożył szpalte gazety na pół, potem na cztery, żeby ciągnący od strony morza wiatr nie łopotał cienką niczym opłatek kartą. Jego uwagę przykuło zdjęcie, a w zasadzie umiejętnie retuszowana grafika: potężny, jajowaty kształt sterowca, ziejącego ogniem na miniaturowe miasteczko daleko w dole.

– „„Kaiser Wilhelm«, pierwszy supersterowiec nowej konstrukcji, w swym dziewiczym rejsie właśnie opuścił Königsberg" – odcyfrował maciupcie literki.

Tekst poniżej pełen był nic nieznaczących frazesów propagandowych i peanów na cześć jakiegoś tam von Hoepfnera, który stanął ponoć za sterami tej rzekomo rewolucyjnej maszyny, mającej przyspieszyć zwycięstwo Niemiec w Wojnie.

Phi, sterowce! Wielkie, aluminiowe balony pełne gazu z bąków... Jego noga nigdy na czymś takim nie postanie.

Keller wkroczył do gabinetu Nemmersdorfa, strzelił obcasami.

– Pan profesor życzył sobie mnie widzieć.

Naukowiec uniósł wzrok znad skomplikowanego rysunku technicznego. Za plecami Nemmersdorfa piętrzyła się powoli zarastająca ścianę konstrukcja z żelaznych cylindrów, lamp, pokręteł i przetwornic, podłączona wiązką kabli do stojącej na dachu Instytutu anteny. Robotnicy

chcieli puścić przewody przez otwór wycięty w ramie okiennej, ale profesor twierdził, że każdy utracony decymetr kabla to straty na sygnale – więc po prostu wyliczyli najkrótszą drogę i wywalili dziurę w suficie.

– Siadaj, Gerhardzie. – Pokazał ruchem ręki na fotel. – Widzę, że bardzo wczuwasz się w nową rolę. Powiedz mi, czy awans cokolwiek zmienił w tobie jako takim?

Keller uśmiechnął się, wyczuwając już potencjalny kierunek rozmowy.

– Nie. Ale nowa forma oznacza też nowy zestaw filtrów, które wpływają na interakcję z otoczeniem, *Herr Professor*. Istota przekazu pozostaje jednakowa, ale będzie on widoczny w odmiennej postaci, definiującej zakres zdolnych do właściwego dekodowania odbiorców.

Nemmersdorf pokiwał głową, złożył rysunek. Wyjął z pudełka i obrócił w dłoniach wycięty z drewna dysk o zębatej krawędzi.

– Wiesz, co to jest, Gerhardzie? – zapytał.

– Wygląda na element większej całości, profesorze. Trudno wnioskować o zastosowaniu maszyny, widząc tylko jej element.

– Tak... dokładnie tak. Mimo to można wysnuć pewne wnioski, posiadając po temu predefiniowany zestaw uwarunkowań.

Keller poruszył się niespokojnie. Widział, czuł, że Nemmersdorf coś już sobie zamyślił, a teraz tylko powoli, konsekwentnie dążył ku realizacji założonego planu.

Naukowiec wyciągnął do niego koło zębate.

– Chcę, żebyś to wziął, Gerhardzie, a następnie sprawdził, ile będzie gotów za to zapłacić nasz wspólny szwajcarski znajomy.

– *Herr Professor...!* – sapnął Keller. – To przecież...

– To sposób na wysondowanie gruntu, Gerhardzie. Interesuje mnie głównie reakcja pana Fohna na ten pozornie niegroźny kawałek lipowego drewna. Nie musisz nawet brać od niego pieniędzy, ale sprawdź. Możesz to zrobić dla mnie?

– Mogę, panie profesorze.

Keller wziął dysk, obejrzał, jak gdyby bojąc się, że drewniana zębátka zacznie co najmniej wirować i pluć ogniem. Nemmersdorf patrzył na to z pewnym pobłażaniem, dając mu czas na oswojenie się z myślami.

– Tylko tyle, Gerhardzie – zastrzegł, po raz kolejny wyprzedzając pytanie.

– *Jawohl.*

Keller wstał, nałożył czapkę i wyszedł z gabinetu, czując pomiędzy łopatkami świdrujący wzrok spoglądającego nań znad zaplecionych dłoni profesora.

Grossmann zauważył kobietę od razu, jak tylko wszedł do kasyna dla oficerów.

Nie chodziło o to, że była szczególnie piękna czy wybitnie wyzywająca – w porównaniu z Jennifer większość kobiet wypadła w najlepszym razie blado. Nie była też jakoś wyjątkowo ubrana.

Natomiast zdecydowanie chciała zostać zauważona.

Obdarzyła Teodora powłóczystym spojrzeniem i

oszczędnym, ale znaczącym uśmiechem, gdy podszedł do stołu bilardowego i przywitał się z kilkoma znajomymi.

– O, pan podporucznik do nas zawitał! – ucieszył się kapitan Roesch. – Dawno pana tu nie było! Już się baliśmy, że cywilna kwatera i obowiązki domowe do reszty pana pochłonęły!

Paru stojących obok zaśmiało się z żartu. Roescha znano z ciętego języka, ale nie był typem złośliwca, więc Grossmann odpowiedział również bez cienia zjadliwości:

– Pan kapitan nie docenia zdolności niemieckiego oficera. Niejeden, nie wracając z frontu, potrafi spłodzić sobie syna!

Ryknęli gromką salwą śmiechu. Ci tutaj mogli się śmiać. Było ich na to stać, skwaterowanych w rodzimym mieście, w pobliżu domów, rodzin i żon. W okopach za taką krotoczwilę można było zapłacić w najlepszym razie płazowaniem bagnetami po gołych plecach.

Ktoś podał mu kufel z piwem, zagadnął o coś mało istotnego. Teodor zerknął kątem oka: kobieta wciąż na niego patrzyła.

Upił łyk trunku, popatrzył chwilę, jak koledzy wbijają po kolei bile.

– Mogę dołączyć? – zapytał, widząc, że gra zbliża się ku końcowi.

Nieznany porucznik z blizną skinął głową, przekazał mu swój kij i poszedł się napić. Grossmann uśmiechnął się do przeciwnika, rosłego majora o imponujących, zakręconych ku górze wąsiskach; ten pokazał na stojący przy

kijach pojemnik z rozerwanej gilzy artyleryjskiej.

– Zbieramy co łaska, na protezę dla kolegi z pułku.

Teodor bez chwili wahania sięgnął po portfel. Wyciągnął banknot z wysokim nominałem, zwinął w rulonik i wrzucił do puszeki. Kilku obecnych mruknęło z aprobatą i pokiwało głowami: takie gesty zawsze były mile widziane, szczególnie ze strony przyjezdnych. Major uniósł kieliszek.

– Zdrowie pana podporucznika, teraz możemy zagrać. To pan jest ten od czołgów?

– Grossmann, do usług.

– Rucksau, miło mi poznać. – Major nachylił się, przymierzył i krótkim, mocnym ruchem posłał bilę prosto w trójkąt, rozrzucając kule po całym stole. – To się komuś do czegokolwiek przyda?

– Słucham?

Major obszedł stół dokoła, wybrał bilę, uderzył.

– To, czego pan uczy naszych kadetów podoficerki. Czy przyda im się w realnym starciu?

– Nie. – Teodor odpowiedział bez chwili zawahania. – Ale nie będą się tak bardzo bać, gdy do niego dojdzie. Człowieka zawsze paraliżuje strach przed nieznanym, a ja pozwalam im go okiełznać, udomowić. Oswoić się z myślą o nieuchronnym.

– Zatem daje im pan fałszywe poczucie bezpieczeństwa? Bila zrykoszetowała od boku luzy, odbiła się od bandy i wróciła na stół. Major syknął niezadowolony, pokazał ręką: pana kolej. Teodor otaksował sytuację, prze-

jechał kredą po czubku kija i złożył się do strzału.

– Raczej przekazuję wiedzę w taki sposób, żeby na pewno im nie zaszkodziła. Staram się uczyć, czego mają nie robić, zamiast próbować lansować swoje teorie. Zresztą na ich potwierdzenie mam tylko pojedynczy przypadek z własnego doświadczenia, a więc zupełnie niemiarodajny.

– Więc twierdzi pan, że nie jesteśmy w stanie przyszkolić naszych chłopców do walki?

Grossmann oszacował trajektorię i delikatnie puknął bilę, która ledwie musnąwszy wybraną kulę, posłała ją łagodnym łukiem prosto w łuzę. Wyprostował się, wciąż patrząc na ustawione na zielonym suknie kolorowe kule, powiedział:

– Twierdzę wyłącznie, że cele naprawdę warte zdobywania bierze się przeważnie raczej odwagą i męstwem niż planowaniem i myśleniem. Nawet najlepszy podręcznik taktyki czy strategii powie nam wyłącznie, czego na pewno nie robić. W praktyce jest tak, że dowolny plan staje się bezskuteczny w momencie, gdy zgadzamy się go przestrzegać.

– Pfff. – Major wydał wargi. – Niech poda mi pan chociaż jeden taki przykład, a obiecuję, że...

– Kobiety – rzucił półgłosem Grossmann, zerknąwszy z ukosa na stojącą przy barze brunetkę. Ta uśmiechnęła się do niego delikatnie, upiła łyk z trzymanego w ręku kieliszka.

Chyba wiedział już, jak wykorzysta ten wieczór.

Major był dobry i wyraźnie lubił grać, ale Teodor nie

sprzedał skóry tanio. W końcu przeciwnik wbił ostatnią ze swoich bil, odebrał należny zwycięzcy uścisk dłoni; i tak nie chodziło o pieniądze, a o sam fakt wygranej. Tym samym Rucksau zakarbował kolejną wiktoryę, a Grossmann dodał kolejną twarz, kolejne nazwisko, kolejną znajomość do kalejdoskopu fragmentów, z których wyłaniał się coraz wyraźniejszy obraz jego misji w Königsbergu.

Przeszedł się po kasynie, zamówił niedużą przekąskę z karty dań, wziął do tego jeszcze kufel piwa. Stał pod filarem, nieopodal stolika do kart, przyglądając się, jak pułkownik Kriepitsch po raz kolejny przegrywa matą fortunę. Dokładnie takiego pokroju ludzie dowodzili jego pułkiem tam, na zachodnim froncie: głęboko przekonani o własnej nadrzędności, łasi na miąłkie pochlebstwa, ślepi na porażki. Przekonani, że jeśli rzucić na szalę odpowiednio dużo, to kapryśna Fortuna w końcu uśmiechnie się do odważnych.

Wojna już trzeci rok z rzędu udowadniała, że do odważnych tylko Kostucha szczerzy swoje żółte zębiska.

– Pan podporucznik sam nie gra? – aksamitny, nieco zbyt niski głos zza prawego ramienia nadpłynął razem z zapachem ciężkich perfum.

– Nie lubię kart. – Odwrócił się przez ramię, uśmiechnął do kobiety. – Wymagają zbyt dużo kombinacji.

– Woli pan prostsze gry. Sporty kontaktowe?

Była bardzo ładna, owszem. Przy tym mocno wyzywająca... Luksusowa dama do towarzystwa? Najwyraźniej.

– Niewykluczone. A pani?

– Jazda konno. – Dmuchnęła w górę dymem. – Ale wyłącznie chodzone ogiery, żadnych narowistych młodzików. Gorącokrwiste, rasowe. Wie pan, że klacz raz pokryta przez słabego osobnika już nigdy nie będzie pełnowartościowa?

Teodor miał już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale poczuł, jak jej dłoń prześlizguje mu się pomiędzy łopatkami i zjeżdża w dół po plecach. Kobieta uśmiechnęła się zagadkowo, rzuciła mu powłóczyście spojrzenie spod umalowanych rzęs i powoli, kręcąc biodrami, ruszyła pomiędzy stolikami w kierunku wyjścia.

Przełknął ślinę, sięgnął za pas i wyjął stamtąd klucz z brelokiem: hotel „König Albert”, pokój dwadzieścia osiem. Spojrzał na wychodzącą właśnie z kasyna nieznajomego.

Wyszedł na dwór, rozejrzał się: szła piechotą, stukot obcasów o bruk niósł się po pustej o tej porze uliczce.

Wszystko to było zbyt proste, zbyt oczywiste.

– Och, to przecież pan podporucznik! – Zatrzymała się, udając zdziwienie, gdy zrównał się z nią jakieś dwie ulice dalej. – Siedzi mnie pan?

Podniósł w dwóch palcach kluczyk.

– Odnoszę zgubę.

– Skoro już jest pan tak szarmancki... – uśmiechnęła się, przysunęła do niego bliżej – to może odprowadzi mnie pan do pokoju? Mam tam chyba jeszcze pół butelki szampana.

Zarzuciła mu rękę na ramię, przesunęła w górę, po karku. Potem jej palce ześliznęły się niżej, sięgnęły za

kołnierzyk koszuli i przejechały wokół szyi, tam i z powrotem.

Zbyt oczywiste.

– A więc?

Teodor uniósł dłoń, przeciągnął wierzchnią stroną po jej policzku, po ustach... Westchnęła, odchyliła głowę w tył i przymknęła oczy, gdy jego palce zamknęły się jej na szyi.

– Amazonka, co? – warknął jej nad uchem, walcząc z przemożną chęcią chwycenia za włosy. – To pewnie i palcat się znajdzie?

– Mhmm...

– U nas, w piechocie, nie było miejsca na takie luksusy. Za to było dużo czołgania się, wysiłku, potu i bólu.

Przywarła do niego całym ciałem, zaplotła nogę wokół jego łydki. Spojrzała w oczy z oddaniem.

– Więc będę się dla pana podporucznika czołgać...

– *Herr Fohn*. Dziękuję, że znalazł pan czas tak szybko.

– Ależ, panie chorąży! – Bankier machnął ręką z cygarem. – Nie ma o czym mówić! Dla pana jestem w staniej nawet zjeść drugą kolację! Zamówimy coś?

Keller potrząsnął głową.

– Dziękuję. Spotykamy się na szybko, gdyż chyba udało mi się znaleźć... coś.

Szwajcar nadstawił ucha, wyraźnie zainteresowany.

– Otóż podczas wizyty pana Scherbiusa okazało się, że zostawił on w pracowni profesora pewną część, czy może jej element. Nie wiem, nie znam się na tym. Nemmersdorf kazał mi to wyrzucić, ale pomyślałem, że skoro pan tak

ciepło o nim mówił... Może będzie pan tym zainteresowany w ramach pamiątki.

– Pamiątka! Tak, oczywiście. Dziękuję za domysłność. Może mi pan chorąży zdradzić, cóż to takiego?

– Oczywiście, że tak. – Keller uśmiechnął się, próbując skryć za uśmiechem prawdziwe emocje. Miałby ochotę strzelić Fohna prosto w te jego ogromne zęby, patrzeć, jak tamten pada na podłogę, pluje kośćmi i dławi się krwią. Stać nad nim w rozkroku i powoli odpiąć kaburę, wyciągnąć pistolet...

Takich jak on powinno się likwidować, pomyślał. Odstrzeliwać jak bezpańskie kundle, dla dobra całego społeczeństwa i czystości powietrza, którym się oddycha. Wprowadzić selekcję: najpierw przy urodzeniu, a potem testy co pięć lat. Wypalić ogniem brudy, wyrwać chwasty.

– No więc?

Fohn wyraźnie się niecierpliwił, bo oblizywał nerwowo usta i przebierał palcami. Keller sięgnął za pazuchę, wyciągnął koło zębate i położył na stoliku.

– Proszę. To dla pana.

Oczy Fohna rozszerzyły się w nieudawanym zdziwieniu.

Kobieta była dzika, wyuzdana i brutalna.

Dokładnie taka, jak się tego po niej Grossmann spodziewał, doskonale wyuczona, w którym momencie i w jaki sposób zarzucić włosami, jak odgarnąć je tak, żeby miał najlepszy widok na jej ciało, kiedy wygiąć plecy w łuk i jak rozchyłać usta. Podejrzewał, że musiała albo dużo

ćwiczyć przed lustrem, albo mieć naprawdę rozległe doświadczenie.

Niczym maszyna: idealnie zgodna z oczekiwaniami, zawsze na pełnej wydajności. Gorąca, dobrze nasmarowana. Zupełnie bezduszna.

Leżeli potem w jej pokoju hotelowym w rozwłóczonej pościeli, przy wyłączonym świetle. Teodor słyszał jej równy, głęboki oddech; sam oddychał równie miarowo i głęboko, patrząc szeroko otwartymi oczami w cień, rysowany na ścianie przez wpadający oknem poblask.

Czekał.

W końcu kobieta poruszyła się na próbę i zamarła, nasłuchując. Rytm jego oddechu nie zmienił się ani na jotę. Odsunęła się kawałek, znów chwilę poczekała. Zsunęła z siebie kołdrę, wysliznęła się z łóżka.

Widział na cieniu, jak podchodzi do jego bluzy, rzuconej na podłogę. Pochyliła się, sięgnęła zapewne do wewnętrznej kieszeni; tak, potem zaszedeścił papier rozkładanych dokumentów. Teraz wpatrzyła się w zapisany maczkiem *Ausweis*, nachylając przy oknie...

Pstryknął przełącznikiem lampki, jednocześnie wyszarpnął pistolet z kabury. Nie na darmo rzucił pas na szafkę nocną, zaraz obok łóżka! Kobieta krzyknęła i skuliła się, chyba chciała rzucić się ku drzwiom, ale on już ześliznął się z pościeli, podskoczył do niej i z szerokiego zamachu trzasnął na odlew w policzek.

Poleciała na ziemię i zaskamlała, zasłaniając się rękoma, ale on bezceremonialnie złapał ją za długie włosy,

szarpnął w tył. Wrzasnęła, oderwała ręce od twarzy. Spróbowała chwycić jego nadgarstek, ale wtedy puścił ją i z otwartej dłoni uderzył od góry prosto w twarz. Plasnęło i trzasnęło, gdy kobieta walnęła potylicą o parkiet.

Skuliła się, załkała, patrząc na dłonie pokryte lecącą z rozbitego nosa krwią.

– Kto?! – warknął Grossmann, łapiąc ją za gardło i podsuwając pod brodę pistolet. – Kto cię nasłał?!

– Nie, nie... ja... ja tylko...

Zamierzył się, markując, że chce uderzyć ją znowu. Krzyknęła, zasłoniła się rękami i zapłakała głośno, przejmująco. Zupełnie nieudawanie.

– Ty durna franco... – sarknął, prostując się.

Nie spuszczać oka z płaczącej dziwki, naciągnął bieliznę, spodnie i buty. Podszedł do niej znowu, nachylił się i rozkazał:

– Zabierz ręce od twarzy. Zabieraj, powiedziałem!

Gdy kiwnęła głową i odsunęła dłonie, złapał ją za nadgarstki i przydepnął gardło podkutym butem. Zacharczała, rzuciła się, bijąc rękoma i szarpiąc.

– Tak sobie to wyobrażałaś, głupia piczo? – syknął, nachylając się nad nią z pistoletem. – Zabawa na ostro? Ból i przemoc? Kto cię nasłał?!

– Ja... khyy.... – zajęczała, ale w tej samej chwili ktoś zastukał do drzwi. Teodor przyłożył palec do ust: cicho! Chowając broń za plecami, podszedł do wyjścia i szarpnięciem otworzył skrzydło.

– Szanowny panie, ja... – Kierownik hotelu zamrugnął,

widząc półnagięgo wojskowego z wyraźną pręgą po paznokciach biegnącą przez pierś. – Jeden z gości, eee... Podobno z państwa pokoju...

Grossmann uśmiechnął się przepraszająco.

– Wiem, trochę hałasujemy. To już się nie powtórzy, właśnie skończyliśmy. Proszę, to za fatygę.

Mężczyzna popatrzył na banknot. Puknął z wyższością, ale zainkasował łapówkę i obrócił się na pięcie, całym sobą demonstrując pogardę wobec takiego braku wychowania. Teodor poczekał, aż kierownik dojdzie do schodów, znów zamknął drzwi i odwrócił się do kobiety.

Ta leżała, jak ją zostawił, płacząc na podłodze. Podszedł do niej, pokręcił głową. Podniósł, posadził na łóżku, okrył pledem. Przysunął sobie krzesło, usiadł naprzeciwko.

– Kto cię przysłał? – zapytał już spokojniej. Potem pomyślał, że pistolet w ręku nie dodaje jej śmiałości, więc wsadził go za spodnie na plecach.

– Nie wiem... – siąknęła kobieta. Zapłakana, rozmazana, z rozbitym nosem i włosami w nieładzie, nie miała w sobie nic z rasowej suki, na jaką próbowała się kreować w kasynie. – Proszę, niech mnie pan już nie bije... Ja nic przecież nie zrobiłam...

– Kto?

– Nie wiem, nie przedstawił się... Kazał tylko sprawdzić, czy ma pan na karku znamię... Zapłacił, dobrze zapłacił. Ja nic nie zrobiłam przecież, drgnął, odruchowo sięgnął do karku. Nie miał tam nic, przecież wiedział, znał własne ciało! Więc skąd taki pomysł?

– Po co grzebałaś mi w dokumentach?

– Mówił, żeby sprawdzić... datę i miejsce urodzenia. Ja przepraszam, naprawdę. Niech mnie pan puści, ja nic nikomu nie powiem...

Teodor westchnął. Nie było sensu próbować się czegokolwiek dowiedzieć, na pewno nie teraz.

– Masz. – Sięgnął do kieszeni, podał jej jeszcze kilka banknotów. – Weź to i wyjedź z miasta. Na wieś, do znajomych, nad morze. Nieważne. Masz kogoś, kto ci pomoże?

Kiwnęła głową, ale w jej oczach czaił się strach. Nie wierzy mi, pomyślał Grossmann. Albo nie wie, czy bardziej bać się mnie, czy tamtego kogoś. Kobieta nie była przyzwyczajona do dostawania czegokolwiek za darmo, budziło to w niej podejrzliwość... Zatem trzeba przemówić do niej językiem, który na pewno zrozumie.

Błyskawicznym ruchem złapał ją znów za gardło, szarpnął i docisnął do pościeli. Kobieta rzuciła się, wierzgnęła nogami, ale on trzymał mocno. Nachylił się nad nią i szepnął:

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Pójdiesz do swojego gacha i powiesz mu, że podporucznik Grossmann to nie jego liga. Rozumiesz?

Pokiwała, przerażona. Teodor znów wyjął pistolet, przycisnął jej do warg:

– Otwórz. Otwórz usta, mówię, dziwko!

Płacząc, rozwarła zęby. Wsunął dziewczynie lufę lopera aż w gardło, po czym widząc, że ta walczy z odruchem

wymiotnym, syknął:

– A potem wynoś się z miasta, bo jak nie, to znajdę i zatlukę. *Verstehen?*

Nie czekając na potwierdzenie, zeskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Szybкими, wściekłymi ruchami naciągnął koszulę i bluzę, zapiął pas tak, że aż zatrzeszczały mu żebra. Nacisnął czapkę, wbił pistolet w kaburę.

Otworzył drzwi tak, że aż huknęły o ścianę, po czym, dudniąc butami o parkiet, przeszedł po korytarzu i zbiegł po schodach.

Popchnął drzwi wejściowe, uderzył barkiem stojącego mu na drodze odźwiernego i wyszedł na ulicę.

Maszerował po nocnym Königsbergu szybkim, miarowym, mocnym krokiem. Nieświadomie zaczął wyrzucać nogi dalej i mocniej, machając sztywno trzymanymi rękoma. Jak na paradzie: raz, dwa, raz, dwa... lewa!

Jak maszyna.

Idealnie równo, perfekcyjnie, zgodnie z założeniem. Doskonale zestrojony na trajektorii do celu. Kompletnie bezduszny.

Nienawidził tego miasta, nienawidził tej wojny.

Nienawidził siebie.

ROZDZIAŁ XXVI

Walther Freudenthal trzęsącymi się rękami zapalił papierosa, oparł ciężko o okno i zapatrzył w pejzaż wrześniowego Königsberga.

Grossmann przejrzał jego plan. Ale jakim cudem, skąd wiedział? Jak się zorientował?

Dziewczyna wydawała się idealna do tej roboty. Proste zadanie, proste wytyczne; sprawdzić, czy na karku osobnika podającego się za Grossmanna widnieje podłużne, ciemnobrązowe znamię.

I co? I nic! Nie przyszła na umówione spotkanie, a gdy Freudenthal ustalił w końcu jej adres, to drzwi otworzył mu jakiś wściekły drągal, który w niewybrednych słowach kazał mu się wynosić. Kobieta tylko mignęła mu w prześwicie, zapuchnięta i z sinym okiem. Jak to powiedziała? „Ten cały Grossmann to nie dla pana zawodnik, i nie dla mnie!” – o tak jakoś.

Następnego dnia mieszkanie stało już puste.

Czyli wychodziło na to, że to faktycznie był TEN Teodor Grossmann. Jego były wspólnik, który teraz pogrywał sobie z Freudenthalem w jakieś dziwne zabawy, ewidentnie mu grożąc.

Walther niemal podskoczył, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zerknął na zegarek: ach, rzeczywiście, przecież się umówili.

Otworzył, wpuścił do środka złotoustego typka o twarzy i zachowaniu łasicy w nuworyszowskim garniturku o przykrótkich nogaweczkach.

– W czym mogę panu pomóc, *Herr* Freudenthal? – Były szeregowy Eugen Klaucke uśmiechnął się nieszczęrze.

– Potrzebuję... – Freudenthal aż zająknął się, bojąc samemu tego, co chce powiedzieć. Już wcześniej rozważał taką ewentualność, a teraz sytuacja nie zostawiła mu żadnego wyboru. – Czy może mnie pan skontaktować z kimś, kto rozwiązuje problemy?

Klaucke rozejrzał się, usiadł na fotelu. Sięgnął po ciasteczko i uśmiechnął się.

– Ja rozwiązuję problemy. Chyba że chodzi panu o...

– Tak.

– Hmm. Pan myśli o rozwiązaniu definitywnym. O załatwieniu problemu, że tak się wyrażę, raz za zawsze.

Freudenthal kiwnął głową. Wiedział, że właśnie ociera się o sytuację noszącą znamiona czynu bardzo, ale to bardzo zakazanego i w zasadzie wyczerpującą definicję złamania co najmniej kilku paragrafów kodeksu karnego.

– No cóż... – Klaucke nie wydawał się w najmniejszym razie wstrząśnięty. – Ja sam nie jestem od tego. Rozumie pan, na froncie nie takie się rzeczy robiło, ale to na froncie. Znam jednak człowieka, który zna jednego takiego w Danzig... Wie pan, że to będzie kosztować?

Biznesmen znów pokiwał, bez słowa położył na stole portfel. Klaucke otworzył, wyjął banknoty, przeliczył.

Łaskawie wsunął kilka z powrotem, resztę schował do kieszeni spodni.

– Przyjdę z nim dziś wieczorem, zjemy na dole kolację – stwierdził po prostu. – Pan, oczywiście, też jest zaproszony. W końcu ktoś musi za to zapłacić, co nie? No, to do miłego.

Freudenthal zamknął za nim drzwi, ciężko kłapnął na łóżko. Sięgnął po najnowszą gazetę, przebiegł oczami artykułu na pierwszej stronie i szybko odłożył z powrotem. To miasto zaczynało go przerażać.

– Czy wyście, *Kamerad*, do końca zdurnieli?! Co ja wam mówiłem?!

Horst patrzył na Teodora zimnymi, pozornie spokojnymi oczami, ale widać było, że za nimi czai się ogień gniewu i wściekłości. Grossmann trzasnął dłonią w otwartą gazetę, potem cisnął płachtą agentowi w twarz. Odwrócił się, podszedł do okna i w bezsilnej złości uderzył pięścią w futrynę.

– Całe cholerne miasto o tym trąbi!

– Towarzyszu, przypominam wam, że...

– *Auf!* – ryknął Teodor. Horst poderwał się, wyprężył i zamrugął, sam zaskoczony, że posłuchał komendy. Grossmann podszedł do niego, podsunął palec pod nos. – Nie jestem wam towarzyszem, czy to jasne? Jestem oficerem armii carskiej!

Horst nie odpowiedział, jego twarz ściągnęła się, usta zacisnęły jeszcze bardziej.

– Czy to jasne? – zasyczał Grossmann głosem Wieli-

kowa, już po rosyjsku.

– *Tak toczna, wasze wysokobłagarodie!* – szczerknął Horst.

Po długich latach konspiracji słowa były tak nieoczekiwane, że Teodor aż zachwiał się, przytrzymał ściany. Przetarł twarz dłonią, potem popatrzył na agenta zmęczonym wzrokiem.

– Siadajcie. – Pokazał ruchem głowy na tapczan, sam kłapnął na zydlu. – I powiedzcie mi, *Kamerad*: co wam najlepszemu strzeliło do głowy?

Agent sapnął ciężko, odwrócił głowę ku oknu. Zaciśnął pięści.

– Chłopcy chcieli w końcu coś zrobić – wydusił z siebie. – Mieliliśmy trop, mieliśmy możliwość. A jako że sprawa Gablenza utknęła na...

Urwał. Teodor był pewien, że chciał powiedzieć „na pana linii” albo coś w ten deseń. Podporucznik stwierdził, że słusznie zrobił, nie mówiąc rosyjskim agentom, że trop ciągnął się do Nemmersdorfa; jeszcze gotowi by zrobić coś podobnie głupiego.

– *Herr* Horst, błagam pana. Dał się pan przekonać swoim ludziom, żeby wysłać ich na tę samobójczą misję?

– Ich argumenty były na tyle silne, że...

– Argumenty? *Mein Gott!* Może jeszcze powie mi pan, że podejmujecie decyzje na drodze demokratycznego, tajnego głosowania? Panie Horst, mamy wojnę! Władza ludu i mądrość kolektywna to mrzonka, chory wymysł rewolucjonistów i ich podżegaczy. Niech pan sam popa-

trzy, do czego doprowadziliście!

Podniósł z podłogi gazetę, rozprostował i pokazał na zdjęcie, na którym ze splątanych zwojów drutu kolczastego zwisało bezwładne ciało w zakrwawionej koszuli. W tle widać było wieże Königsberga, wokół stali policjanci i wojskowi; napis gotykiem głosił: „Szpieg zabity przez tchórzliwych współników”.

Teodor podetknął Horstowi gazetę pod nos.

– Który to? No który?! Chcę usłyszeć nazwisko!

– Wernbauer – warknął agent. – Nasz szyfrant. Zaplątał się w drut, kiedy uciekali, i tak był już ranny... Na szczęście Afanasij nie stracił zimnej krwi.

– Tak pan nazywa zastrzelenie jednego ze swoich? Może zacznie jeszcze mi pan cytować swojego ukochanego Włodzimierza Iljicza, dowodząc, że wielkie dzieło wymaga ofiar?

– *Herr Leutnant*, proszę pana, aby powstrzymał się przed uwagami natury osobistej – głos Horsta drżał ledwo powstrzymywaną wściekłością. – Moi ludzie zaryzykowali, jeden z nich zapłacił za to życiem. Na tym zakończmy, za pana pozwoleniem, ten temat!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, gotowi rzucić się sobie do gardeł. W końcu Grossmann kiwnął sztywno głową.

– Dobrze. Znaleźliście coś o tej kobiecie, która mnie próbowała sprawdzić?

Horst skrzywił się, uśmiechnął kwaśno.

– Margareta Sparbier, znana w pewnych kręgach jako

Greta Dżokejka. Uciekła z miasta, ale dotarliśmy do niej przez jej opiekuna. Swoją drogą, paskudnie ją sprawiliście, *Kamerad*. Z początku bała się rozmawiać, ale w końcu dała nam dość dokładny opis klienta, teraz go szukamy. Podobno miał nietypowy akcent, więc na pewno ktoś nietutejszy.

– Walther Freudenthal – westchnął Grossmann. – Sprawdźcie pod tym nazwiskiem, o ile nie podał mi fałszywego.

– Znacie się?

– Spotkałem go na mieście. Raz niby przypadkiem, potem znowu... Uważajcie, bo to może być ktoś z kontrwywiadu.

– Abteilung IIIb? To przecież niemożliwe, żeby za wami chodzili!

– Niby dlaczego? Ta stacja to część ich operacji tutaj, w mieście. Rozbudowują to od lat, sztandarowy projekt samego Nicolai. Jeśli teraz okaże się, że wsadziliście kij w gniazdo os, to wszyscy będziemy mieć problem.

Horst spochmurniał, chyba dotarła do niego powaga sytuacji. Teodor uznał, że nie ma sensu dalej naciskać, więc pochylił się i poklepał go po ramieniu.

– Współczuję wam straty towarzysza; sam wiem, jak to jest. Ale na tym poprzestajemy, dobrze? Koniec samowolnych akcji.

– Tak – zgodził się Horst.

Grossmann był niemal pewny, że tamten kłamie.

– *Herr Professor*. – Keller wszedł do pracowni

Nemmersdorfa, zamknął za sobą drzwi.

Naukowiec odwrócił się od swojej aparatury, kończąc właśnie zakładać papier do telegrafu. Przełożył wstęgę nad wałkiem farbowym, zawinał w dół i docisnął rolkę. Puścił dolny koniec, żeby zawisł luźno ponad na razie pustym pudełkiem na wydrukowane meldunki.

– Och, Gerhardzie! Dobrze, że jesteś, pomożesz mi w pierwszym rozruchu. Bądź tak dobry, podłącz zasilanie i sprawdź bezpieczniki.

Keller westchnął, ale posłusznie podszedł do stojącej na miejscu biblioteczki skrzynki rozdzielczej. Obejrzał dokładnie ceramiczne korki, popukał ostrożnie w obudowy, żeby upewnić się, że dobrze siedzą w gniazdach. Potem podszedł do hebla przełącznika głównego, ujął za izolowaną wajchę.

– Jest pan pewien, profesorze? – zapytał.

– Tak, tak! Włączaj.

Wzruszył ramionami i przełożył dźwignię, zamykając obwód.

Nie sypnęło iskrami, z oporników nie poleciał siny dym, izolatory nie strzeliły żywym ogniem.

Nie stało się nic.

– Nie rozumiem... – mruknął Nemmersdorf, opuszczając ręce, już rozłożone w geście tryumfu. Wyglądał na rozczarowanego. – Przecież wszystko podłączono, jak należy. Może ci robotnicy coś zrobili nie tak?

Keller westchnął. Profesor był doskonałym, wręcz wybitnym specjalistą – ale nie inżynierem, a matematy-

kiem. Naukowcem, więc teoretykiem. Jego niedawno przebudzona pasja do praktycznego wdrażania wynalazków była fascynująca, Nemmersdorf angażował się w pracę całym sobą – ale przy całym ogromie swej wiedzy musiał jeszcze nauczyć się, że praktyka miewa niewiele wspólnego z założeniami.

– Panie profesorze – odezwał się Gerhard. – Spotkałem się z Fohnem, tak jak pan sobie życzył.

Naukowiec nawet nie spojrzął na Kellera, zaabsorbowany własnymi myślami. Podszedł do maszyny, dotknął dłonią wiązki kabli i przeciągnął po niej palcem, próbując prześledzić, dokąd prowadzi.

– Mhm, dobrze. Dobrze. Zastanawiam się, czy brak zasilania wynika z wady wewnątrz, czy też zewnątrzsystemowej? To zaskakujące, jak pozornie proste układy wchodzą w nieoczekiwane synergie i... Hm, rzeczywiście. Co będzie antonimem do synergii?

Keller miał już ochotę rzucić jakimś tekstem na pograniczu złośliwości, ale potem tryby w jego głowie przekreśliły się o jeszcze pół obrotu: to nie tak, że Nemmersdorf nie słuchał albo ignorował.

Nemmersdorf już WIEDZIAŁ, co on ma do powiedzenia!

– *Herr Professor* nie jest zainteresowany przebiegiem mojego spotkania z Fohnem! – powiedział, wstrząśnięty do głębi. – Nigdy nie był!

Uczony oderwał się od swej maszynerii, popatrzył na chorążego z zaskoczeniem w oczach. Potrząsnął głową i

wzruszył ramionami.

– Ależ oczywiście, że nie, Gerhardzie. Czy interesuje cię reakcja przeciwnika na twój ruch w szachach? W żadnym razie. To nie ta gra, gdzie obserwuje się twarz współgra cza, jak się ona...

– Poker – podpowiedział Keller.

– Dokładnie. Reakcje oponenta są irrelewantne, liczy się tylko rozstawienie figur.

– Ten element, który zaniósłem Fohnowi. To podrzutka, prawda? Kukułcze jajo, żeby skierować jego mocodawców na złe tory.

Nemmersdorf zamarł w pół ruchu, obrócił do Kellera samą głowę. W jego oczach błysnęło coś niepokojącego, ale po chwili zgasło, zastąpione przez wypełzający na twarz gadzi uśmiech.

– Brawo. – Pokiwał głową. – Brawo, *Herr Fahnrich*. Muszę cię zupełnie szczerze i bez jakiegokolwiek podtekstu pochwalić, Gerhardzie. Twoja przenikliwość staje się niemal denerwująca. Będę musiał na przyszłość uważać, o co cię proszę.

– Ale... panie profesorze! Przecież jeśli ma pan uzasadnione podejrzenia, to należy powiadomić kontrwywiad!

Uczony wzruszył obojętnie ramionami, odwrócił się do swej maszyny.

– Po co? Jeden agent ganiający wokół własnego ogona jest wart więcej niż pięciu zakatowanych na śmierć przez oprawców z Abteilung IIIb. Zresztą dotrzemy i do pozostałych, Gerhardzie.

– Pozostałych, *Herr Professor*?

Ale Nemmersdorf już nie słuchał. Wsunął rękę głęboko za jedną z pancernych szaf, coś przesunął albo dopchnął. Instalacja nagle zahuczała niskim, basowym pomrukiem, tu i tam skoczyły i zatrzeszczały iskry wypalających się na stykach drobinek kurzu. Pięć równoległych aparatów radiotelegrafu zaterkotało chaotycznie, potem dwa umilkły. Pozostałe zaczęły miarowo, rytmicznie wystukiwać na wstęgach papieru ściągnięte z przestrzeni radiowej wiadomości.

Profesor ujął się pod boki, pokiwał głową.

– Tak, tak, Gerhardzie. Sami do nas przyjdą.

ROZDZIAŁ XXVII

O już pojutrze – uśmiechnęła się smutno Jennifer. – Szkoda. Będę tęsknić za tym miastem. U ciebie jakieś nowości?

Spacerowali po alejkach ogrodu botanicznego, delektując się aromatem kwiatów i ziół. To był ich ostatni spokojny dzień razem – jutro *Miss Zoransky* dawała pożegnalny koncert, a potem z samego rana wypływała do Danzig promem.

Teodor potrząsnął głową.

– Muszę się zbliżyć do profesora Nemmersdorfa. Nic więcej nie mam.

– Och, ten ekscentryczny naukowiec? – Jennifer uniosła brwi, zaskoczona. – A przecież wydawało mi się, że z nim pracują Erika i *Fahnenjunker* Keller?

– *Fahnrich*, jeśli już. Dokładnie dlatego nie mam pomysłu, jak do tego podejść: Gerhard to zbyt inteligentna bestia, nie mogę ryzykować, że zacznie cokolwiek podejrzewać. I tak szczęście, że na razie nie zorientował się, na ile nadużyłem naszej znajomości.

Jennifer puściła ramię Teodora, odeszła na bok, żeby powąchać jakiś szczególnie piękny kwiat. Nachyliła się nad kielichem, po czym szybko wyprostowała.

– Fuj! Jak to jest, że te najpiękniejsze albo nie pachną wcale, albo cuchną...

– Tylko ty jesteś wyjątkiem. – Grossmann wyciągnął do niej rękę. Wzięła jego dłoń, stanęła na palcach i ucałowała go w policzek. Ujęła znów pod ramię i ruszyli dalej.

Milczeli, każde pogrążone we własnych myślach. W końcu Jennifer odezwała się powoli, z namysłem:

– Więc, jeśli przeszkadza ci Keller, to go od profesora odsuń. Wtedy będziesz miał czystą drogę podejścia.

– Ha, „odsuń”! – parsknął Teodor. – Oni znają się chyba od zawsze, jeszcze przez rodziców Kellera. Nie wyobrażam sobie poza tym, jaki miałbym mieć wtedy pretekst, żeby się do pracowni Nemmersdorfa wkroczyć...

Jennifer uśmiechnęła się zagadkowo.

– A ja tak. Mówiłeś, że Keller ma swoją willę za miastem?

– Tak... – ostrożnie przytaknął Teodor. Zawsze czuł się niepewnie, gdy kobiety zaczynały coś knuć.

– Doskonale. Postaraj się zorganizować jutro u niego kolację pożegnalną. Dla mnie, rzecz jasna. Po koncercie. Powiedz, że chciałam się z nim i Eriką pożegnać w szczególny sposób.

– Moja Jenny, coś ty wymyśliła?

Dziewczyna zatrzymała się, stanęła przed nim. Spojrzała bardzo poważnie w oczy.

– Ufasz mi? – zapytała. – Więc po prostu powiedz mu tak, jak mówię. I pamiętaj, że robię to wyłącznie dla ciebie.

Nachylił się i pocałował ją – delikatnie, ale z uczuciem. Żadne z nich nie musiało mówić nic więcej.

Keller zdziwił się potężnie, gdy Grossmann powie-

dział mu, że *Miss Zoransky* pragnie pożegnać się z nimi osobiście, w wąskim gronie, jak ze swoimi prawdziwymi przyjaciółmi.

– Wiesz, ona nie chce robić z tego wielkiego wydarzenia, więc restauracje odpadają – skrzywił się Teodor. – Nad morze już nie zdążymy, tym bardziej że to wieczór będzie. Przejdziemy się po parku w takim razie, ja kupię jakieś wino...

– No nie żartuj! – zachnął się Keller.

– Jak to nie? Wybacz, Gerhardzie, ale chociaż tyle musimy zapewnić. Zaprosiłbym wszystkich do siebie, ale sam rozumiesz, że nie mam po temu warunków.

– Absolutnie i nieodwołalnie wszyscy przychodzicie do mnie!

– Do ciebie? – Grossmann poczuł w piersiach ukłucie tryumfu. – Ale przecież twoje zasady, dom...

Keller machnął ręką.

– Daj spokój. Dla takich dwóch kobiet i przyjaciela mogę poświęcić tę odrobinę luksusowej prywatności. Zaraz każę gospośi, żeby wszystko wypucowała i coś przygotowała na jutro!

– Och, naprawdę? To cudownie! – ucieszyła się Erika, gdy Keller przekazał jej zaproszenie. – Ale, zaraz, Gerhardzie! To ty masz dom? Myślałam, że to jakieś mieszkanie!

– Staram się z tym nie obnosić. W zasadzie to nie mówię nikomu, żeby nie... Ech, zobaczysz zresztą.

– Tak się cieszę! – Rzuciła mu się na szyję, uścisnęła

mocno. Po chwili zmitygowała się, odskoczyła i poprawiła sukienkę, patrząc wymownie na drzwi do pracowni profesora. Naukowiec mógł w każdej chwili wyjść, a gdyby ich zastał w takiej sytuacji, przycinkom i wymówkom nie byłoby końca. – Myślisz, że Jennifer założy którąś z tych swoich sukien scenicznych? Och, one są takie wyzywające!

– No... mam nadzieję. – przyznał Keller. Zreflektował się, po chwili szybko dodał: – Mam nadzieję, że będziesz mogła ją zobaczyć.

– Może i ja sobie coś kupię? Coś... równie ładnego?

Gerhardowi zrobiło się gorąco, ale postarał się tego nie pokazać. Dwie takie kobiety pod jednym dachem... Będzie musiał odpowiednio zaopatrzyć barek.

Po wieczornej rewii czekali na *Miss Jennifer* tam, gdzie im wskazała, przy bocznym wyjściu z teatru. Potężny, barczysty Murzyn stał z założonymi rękoma przy drzwiach i mierzył ich niechętnym wzrokiem, powodując coraz to nowe ataki chichotu Eriki. Grossmann i Keller ćmili papierosy, porównując błysk wypastowanych butów.

– Piękne – mruknął Teodor, po raz kolejny spoglądając na świeżutkie dystynkcje przyjaciela. – No, to teraz do pełnego oficera jeszcze tylko jeden mały krok. Szybko pójdzie.

– Daj spokój, daleko mi jeszcze do twoich, podporucznikowskich.

Grossmann wydmuchnął dym, przejechał palcami po wstążce od Krzyża Żelaznego.

– Nie spiesz się do nich za bardzo, bo nie ma do czego. Gdybym mógł je oddać, żeby przywrócić życie jednemu z ludzi z mojej kompanii, zrobiłbym to od razu.

– Ty się nawalczyłeś, teraz odpoczywasz. Ja od roku jestem tutaj na kursach, więc chciałbym trochę powalczyć.

– To już zupełnie inna wojna, niż kiedy byliśmy na froncie razem, Gerhardzie. Jeszcze bardziej brutalna i ponura.

– Wojna nigdy nie bywa wesoła – filozoficznie skwitował Keller. – Mimo że to kobieta... No, chyba jest nasza gwiazda!

Rzeczywiście, drzwi do teatru otwały się i ze środka wypłynęła tanecznym krokiem Jennifer. Papieros Kellera wyśliznął mu się z ust, odbił od klapy munduru i poleciał na bruk; Erika zamarła w pół kroku; Grossmann tylko uśmiechnął się. On był z nich trojga najlepiej przygotowany na to, jakie entree potrafi wykonać Amerykanka, gdy chce, by ją zauważono.

– Och, przepraszam was wszystkich, że musieliście tyle czekać! – Jennifer podeszła do Eriki, ucałowała ją w obydwie policzki, ledwo zauważalnym ruchem przeciągnęła po ciasnym koku splecionych włosów. – Jak ja ci zazdroszczę tej twojej grzywy...! Panie chorąży, moje najszczęśliwsze gratulacje!

Keller cmoknął ją w dłoń, ale ona roześmiała się tylko, zarzuciła mu ramię na szyję i ucałowała w oba policzki – raz, drugi i trzeci. Teodor zauważył, że jej usta przesunęły się i niemal musnęły wargi Gerharda, aż ten drgnął. W

końcu Jennifer podeszła do Grossmanna, zaplotła mu ręce wokół karku i pocałowała – długo, namiętnie, nie kryjąc się z tym wcale.

W końcu oderwała się od niego, przygryzła wargę i mruknęła, patrząc mu prosto w oczy:

– Mmm, jak bardzo mi tego brakowało... Ale teraz mam was wszystkich, moi przyjaciele, a ta noc się dopiero zaczyna! *Herr Fahrnich*, proszę prowadzić nas do swej willi, byśmy mogli zakosztować tam owoców zaiste dionizyjskiej uczyty!

Będący potomkiem naprawdę dobrej i szanowanej rodziny Keller chciał delikatnie, w zasadzie w żartach napomknąć, że jednak nie prosił ich na orgię, a tylko na przyjęcie pożegnalne... Ale spojrzał najpierw w oczy Eriki, potem na łydki *miss* Jennifer, i w zasadzie zmienił zdanie: a tam, skoro tego chcą, niech i tak będzie!

To znaczy w pewnych granicach.

Chyba.

Prowadzony przez równie ponurego, co wielkiego Murzyna samochód powiózł ich przez nocny Königsberg pod wskazany adres. Kierowca musiał już chyba wcześniej sprawdzić trasę, bo w miarę pewnie kluczył i lawirował po uliczkach, zerkając tylko na tabliczki z nazwami i numery domów.

– Nie bójcie się, Edwin doskonale da sobie radę – powiedziała Jennifer, wyciągając spod siedzenia szampa. – No, panie podporuczniku, w pańskie mocne, męskie ręce! Oczywiście, pierwsza pije panna Erika, ja po niej... A

jak się wy podzielicie, to już nie wnikamy, prawda?

Strzelił korek. Erika dzielnie spróbowała pić z gwinta, ale w końcu, ze śmiechu ledwo mogąc utrzymać butelkę w rękach, zaczęła chłeptać wylatującą wciąż górą białą pianę. Jennifer przyszła jej w sukurs, długimi ruchami języka zlizując od dołu do góry ciekący po palcach koleżanki musujący płyn. Keller trącił Grossmanna łokciem, nachylił się do przyjaciela i szepnął:

– Stary druhu, na co myśmy się zapisali?

– Nie wiem – skłamał Teodor.

Wiedział doskonale, przeczuwał od samego początku.

Butelka była już niemal pusta, gdy śmiejąc się i żartując, wysiedli pod willą Kellera. Jennifer objęła Erikę w pół i obie, głośno komentując okolicę i architekturę samego domu, weszły pierwsze do środka.

– *It's a palace!* – wykrzyknęła śpiewaczka. – Panie chorąży, pan ma tutaj prawdziwy pałac sułtana! A nie obnosił się pan wcale z tym, że jego ambicją jest posiadanie haremu!

Erika spojrzała na nią zdziwiona, klepnęła w ramię. Alkohol chyba mocno uderzył jej do głowy.

– Ale wy mówcie sobie po imieniu! Jennifer, to Gerhard; Gerhard, Jennifer! Dość tego czapkowania i oficjalności, panowie rozpinają guziki koszul.

– Wszystkie? – zapytał rozbawiony Keller.

Zasiedli przy stole. Gosposia zaczęła podawać dania, ale atmosfera nijak nie chciała dać się upchnąć w sztywne ramy konwenansu. Jennifer cały czas nalegała, żeby go-

spodarz oprowadził gości po domu.

– U nas, to znaczy, w Stanach, to normalna rzecz – zapewniała z kamienną twarzą. – Każdy chce zbudować jak najładniejszy dom, a potem się nim chwali. W pozytywnym znaczeniu, ma się rozumieć. Ja, na ten przykład, jestem bardzo ciekawa, co *Herr Fahrnich* ukrywa w sypialni.

– Jenny! – syknęła Erika, rumieniąc się lekko.

– No co? Jestem ciekawa i tyle, nie będę przecież was okłamywać. Teodorze, moja przyjaciółka znów ma pusty kieliszek!

Stojąca na uboczu gosposia patrzyła na to wszystko z pewną dezaprobatą, więc Keller w końcu wstał, zaprowadził kobietę do kuchni i bardzo grzecznie i spokojnie wytłumaczył jej, że ma wieczór wolny. Tak, może iść do siebie, do oficyny. Nie, na pewno nie będą jej potrzebować. Dobranoc, spokojnych snów.

– Teraz ja będę wam usługiwał! – zawołał od drzwi, wracając do towarzystwa. – Co komu podać?

Jennifer wybuchła śmiechem, potoczyła po nich wielkimi oczami.

– Ojej, na śmierć zapomniałam! Przecież ja mam dla was prezenty w samochodzie, a Edwin na pewno wciąż tam czeka!

– Tyle czasu? – Keller spojrział na zegarek. – Niemożliwe!

– Ha, nie znacie jeszcze nas, Amerykanów. Na pewno tam czeka. Panowie mundurowi, niech no panowie pójdą

do samochodu, a my tu z Eriką... poplotkujemy!

Radzi nieradzi, musieli pójść. Rzeczywiście, samochód stał tak, jak go zostawili. Murzyn siedział w szoferce. Gdy zobaczył, że idą, wysiadł i tym samym co zawsze gestem założył ręce na piersi.

– Ty z nim gadasz. – Keller szturchnął Grossmanna.

– Ja? Daj spokój, przecież ani słowa po angielsku...

Excusez moi, monsieur le negre! Parlezvous franqais?

Edwin nie poruszył się, nawet jeden mięsień nie drgnął w jego ogromnej twarzy.

– Słuchaj, jaki ty masz zabawny akcent – zwrócił uwagę Gerhard. – Nigdy tego nie słyszałem, a ty przecież mówisz po francusku z rosyjskim zaśpiewem.

Teodor zmitygował się, odchrząknął.

– Tak? No patrz, guwernantka była ponoć z Rosji...

– Z Rosji, w Magdeburgu? Ty coś kręcisz.

– Nieważne, trzeba do bagażnika się dostać. Prezenty, rozumiesz? – zwrócił się znów do kierowcy. – Prezenty. W bagażniku są!

Murzyn spojrział na nich pogardliwie, pokręcił głową. Potem przeszedł na tył, otworzył kufer i ruchem ręki pokazał na stojące w nim pudła.

– Ha, czyli jednak coś do niego dotarło! – ucieszył się Keller. – A myślałby kto, że to jakaś inna rasa... Słuchaj, wierzysz, że to ludzie tacy sami jak my?

Grossmann wyjął pakunki, skinął głową w geście podziękowania i spojrział na kolegę pytająco.

– A ty się nie boisz, że on nas rozumie? Nierozsądnie

jest zakładać, że to, co mówimy, nie może zostać podsłuchane.

– Jakbym słyszał Nemmersdorfa. Co ci przeszkadza, że jakiś czarnoskóry rozumie, co powiedziałem? To tak jak rozmawianie o polityce przy służbie. Słyszą, i co z tego? Nawet jeśli zrozumieją, to nie potrafią nic z tym zrobić.

Teodor nie skomentował. Dokładnie taka właśnie służba nie dalej jak w kwietniu tego roku zmusiła do abdykacji cara, coraz głośniejszymi domagając się praw do decydowania o tym, co do tej pory tylko słyszała w rozmowach lepszych od siebie.

– Chodźmy, nie wypada zostawiać dam samych – powiedział tylko.

Gdy wrócili, panie siedziały na kanapie, chichocząc i poszeptując między sobą. Jennifer ewidentnie tłumaczyła coś Ericie, na której policzkach pałał rumieniec ekscytacji; panna Scharfe obrzuciła ich obu wzrokiem, zerknęła na Amerykankę. Ta kiwnęła głową, jak gdyby zachęcająco, ale Erika spuściła wzrok, ledwo tłumiąc uśmiech.

– O, otóż i prezenty! – Jennifer klasnęła w dłonie. – Teodorze, daj je tutaj, na stół... Zaczniemy od najmniej ważnych, jeśli pozwolicie. To od razu dla ciebie, żebyś co najmniej kilka razy dziennie o mnie myślał.

Grossmann uśmiechnął się, otworzył pudełko i wyjął srebrną papierośnicę z grawerunkiem. „Na długą spaceru pamiątkę, dla Teodora od J.” – głosił napis, pod nim widniał wypełniony złotem autograf śpiewaczki.

– *Herr Fahrnich...* to znaczy Gerhardzie, to dla ciebie.

– Podała Kellerowi pięknie zapakowaną, również srebrzoną i złoconą piersiówkę. – Niezależnie od tego, czy zostaniesz w sztabie, czy ruszysz na front, i tak ci się przyda. Natomiast jeśli idzie o to, co mam dla mojej Eriki... Wypijmy jeszcze coś, a potem obejrzymy. Nie, nie rusz teraz! Nie wolno.

Erika odskoczyła, gdy Jennifer chciała trzepnąć ją po rękę. Zrobiła udawanie smutną minę, ale zaraz rozciągnęła się uśmiechem, przytuliła do Amerykanki i objęła ją mocno.

Grossmann podszedł do barku, wybrał jedną z karafek, odkorkował i powąchał. Polał po kieliszkach, stuknęli się i wypili. Keller nakręcił patefon, ustawił płytę.

– Zatańczymy?

Jennifer dopiła resztkę trunku i podniosła palec w górę, dając do zrozumienia, że jeszcze nie skończyła.

– Najpierw moje prezenty! Eriko, rozpakuj proszę, a panowie będą podziwiać... Tak, tak! Nie wstydź mi się fałszywie!

Panna Scharfe przez chwilę chciała chyba ukryć prezent z powrotem w papierze, zobaczywszy napisy i rysunek na opakowaniu. Potem jednak przemogła się, wyciągnęła kartonowe pudełko z naszkicowaną na wieczku damą w zwiewnej koszulce. Uchyliła, zajrzała, zamknęła. Popatrzyła na Jennifer spłoszona.

– No już, wyciągaj i pokazuj! – zachęciła ją śpiewaczka.

Erika w końcu sięgnęła dwiema rękami, ostrożnie

wyjęła i przyłożyła do siebie króciutki, sięgający nieledwie do kolan peniuar, wykończony absolutnie oszałamiającą koronką. Materiał był tak cienki i delikatny, że prawie nie było go widać, misternie ułożone zakładki i falbanki powodowały, że tkanina zdawała się płynąć i falować. Obdarowana zaczerwieniła się, ale jej oczy błysnęły ukrytym ogniem.

Jennifer wzięła się pod boki, potem pokazała na Erikę dwiema rękami, jak na rodzącą się gwiazdę estrady.

– I to jest ten duch! Nie każę ci tego przymierzać... JESZCZE nie każę, zauważ. Ale chcę ci dać nie tylko to. – Sięgnęła do torebki. – Proszę! Każda kobieta powinna mieć go zawsze przy sobie, szczególnie w tych czasach, gdy mężczyzn zaczyna brakować. Musimy umieć sobie radzić same!

Oczy panny Scharfe rozszerzyły się z podniecenia przemieszanego z przerażeniem – co jeszcze wymyśli ta rozpustna, nieokiełznana śpiewaczka?! Ale gdy Jennifer wyjęła i podała jej na otwartej dłoni dwustrzałowy pistolet, aż podskoczyła i pisnęła:

– Ojej, tak! Zawsze o czymś takim marzyłam, to tak bardzo... tak bardzo nowoczesne!

Amerykanka pokazała jej, jak przeładowuje się broń, ładuje i wyciąga wystrzelone gilzy, potem podała gustowne, cynowe pudełeczko z kilkoma nabojami.

– Tylko tyle mam. – Wzruszyła ramionami. – Ale to chyba aż nadto, seriami w co popadnie niech sobie strzelają nasi panowie... A my, moja kochana, ograniczajmy się do

jednego celu. – Popatrzyła na Kellera i Grossmanna, wzięła obydwu pod ramię. – No, maksimum dwóch!

– Hejże, ja też chcę! – Erika tupnęła nogą, wsuwając się pomiędzy panów z drugiej strony i domykając magiczne koło.

Popatrzyli po sobie wszyscy, uśmiechy z jakiegoś powodu zamarły na twarzach. Oczy nagle rozszerzyły się w przypiływie podniecenia, serca uderzyły mocniej.

Jennifer uśmiechnęła się szelmowsko, puściła do Kellera oko i delikatnie, jednym paznokciem podrapała go po włosach u nasady karku. Jednocześnie stanęła na palcach, żeby pocałować Grossmanna w usta; podporucznik objął ją ramieniem w talii, pociągnął za sobą trzymającą go mocno pod ramię Erikę. Ta przysunęła się do Kellera i wpiła chciwie w jego usta. Jej ręka przesunęła się po plecach Teodora, namacała dłoń Jennifer i ścisnęła mocno.

W tym samym czasie Gerhard, mając pełną świadomość surrealizmu rozgrywającej się przy jego udziale sytuacji, wplótł palce w rude loki *Miss Zoransky*.

Poczuł, jak krew burzy się w jego żyłach, gdy Amerykanka zamruczała niczym zadowolona kotka i puściła do niego oko, nie przestając namiętnie całować się z jego najlepszym przyjacielem. Widział, jak dłoń Grossmanna błądzi po plecach Eriki, a ta pręży się i wygina pod dotykiem.

Nie myśląc logicznie o tym, co robi, Keller złapał Jennifer mocniej, odciągnął od Teodora i przysunął ku sobie i Ericę. Ta na chwilę oderwała się od niego, popatrzyła

na śpiewaczkę – a potem obie naraz przysunęły się do niego. Dwoje rozpalonych ust zatańczyło po jego wargach, dwa języki walczyły o pierwszeństwo w jego ustach...

Wszystko dalej splotło się w jakiś przedziwny węzeł gordyjski, karuzelę ciężkich oddechów, stłumionych jęków i na wpół przytomnych spojrzeń obłąkanych pożądaniem oczu. Wylądowali wszyscy na kanapie. Najpierw oni dwaj siedzieli, a na nich wiły się na zmianę rudowłosa i brunetka; potem klęczeli przed kobietami, zamieniając się tylko miejscami i prześcigając w coraz to wymyślniejszych pieśczołach, jednocześnie po kawałku, na raty, ściągając z siebie mundury i rozpinając koszule.

Jennifer oderwała się od nich, z dziką chucią w oczach rozejrzała po pokoju. Pociągnęła za obrus, zrzucając na podłogę zastawę i rozchlapując niedopite wino, potem węzowym ruchem wśliznęła się na blat, rozpinając jednocześnie wiązania swojej sukni. Pokiwała na Kellera palcem: chodź tu. Ten niczym zahipnotyzowany podszedł ku niej, zdejmując po drodze koszulę. Grossmann zerknął na to kątem oka, a potem znów zanurkował w ramiona Eriki.

– Do nich – wydyszała panna Scharfe. – Chcę ciebie, ale i jego... i ją... Teraz.

Teodor złapał ją na ręce, całując po szyi, zaniósł na stół. Ułożył obok Jennifer, która zaraz zarzuciła na Erikę swoje smukłe ramiona, przyciągnęła do siebie i zatopiła język pomiędzy rozchylonymi wargami. Przekręciła się, usiadła na niej okrakiem i jednym ruchem ściągnęła przez głowę suknię.

Keller zrobił krok w tył, potknął się o leżący na dywanie imbryk, patrząc, jak Amerykanka wygina plecy w łuk, zsuwa się pocałunkami pomiędzy drobne, sterczące piersi Eriki. Teodor złapał za jej pośladki i ścisnął z całej siły, rozpinając guzik spodni, a potem Gerhard sięgnął ręką i pstryknął przełącznikiem światła.

Wille spowiała ciemność. Tylko księżyc wyglądał nieśmiało zza kotar, lejąc przez okna strugi eterycznej rtęci i srebrząc zarysy kłębiących się w salonie ciał.

ROZDZIAŁ XXVIII

Schweikart, chodź no tutaj na chwilę.

Egon zupełnie niezobowiązującym gestem wsunął rękę do kieszeni, wymacał rękojeść noża i dopiero wtedy odwrócił się i zwolnił – w tej właśnie kolejności. Przebiegł w myślach kartotekę lokalnych zakazanych mord, żeby zidentyfikować wołającego jako Berta Mańkuta, typa może i ciemnego, ale zasadniczo niegroźnego.

Schweikart przebiegł przez ulicę przed samym czołem dzwoniącego wściekle tramwaju, podszedł do dawno niewidzianego znajomego. Pozdrowił go ruchem głowy.

– Co tam. Bert? Kopę lat.

– Robota jest – skrzywił się Mańkut. – Bierzesz?

Egon pociągnął nosem i splunął, żeby pokryć zaskoczenie. Roztarł zielonkawą flegmę podeszwą buta. Cholerne zapalenie zatok, nie chciało się odczepić już od zeszłej jesieni.

– Tak po prostu? – zapytał, opierając się o ścianę.

– No. A co, chciałbyś, żebym upadł na kolana i ci obciągnął? Albo żeby dzwony na ratuszu zadzwoniły?

– Nie no, nie. Dawno po prostu nic nie dawałeś.

Mańkut popatrzył na Egona, jakby ten spadł z księżycy.

– Ja? To ciebie w mieście od roku nie było. Mnie nie wzięli, że niby leworęcznego nie dadzą rady przeszkolić.

– Mój sierżant by cię nauczył – warknął Schweikart. – Mieliśmy jednego takiego mądrałę, co mówił, że prawą ręką nie umie. To w latrynie mu pasek na lewą zawiązywali i trzymali na zewnątrz, żeby się prawą podcierał. Po czwartym razie się nauczył, szybko poszło.

Bert wyraźnie się zaciekawił.

– I co, radził sobie w boju?

– Czort wie, łeb mu przy pierwszym szturmie rozwa-
liło. Jak jajko, na pół. Co to za fucha?

– Występy gościnne.

Egon skrzywił się, jakby przegryzł cytrynę. Tak przynajmniej się mówiło, jego nigdy na cytryny nie było stać.

– Daj to komuś z miejscowych. Ja na przepustce je-
stem, człowieku! Jeszcze raptem dwa tygodnie wolności i
wracam tam, na front. Ile dajesz?

Mańkut wyrysował cyfry nogą w piasku, starł. Egon skrzywił się po raz drugi, ale już z mniejszym przekona-
niem.

Suma była niczego sobie – równowartość ćwierci kwoty, z którą wrócił do Gdańska po roku służby. W kie-
szeni pobrzękiwała cienką miedzią resztką tego, czego nie
zdążył przepić wczoraj wieczorem i przejeść dziś, do tego
ściął się przy wychodzeniu z mieszkania z tą starą, nie-
wydymaną rurą... Perspektywy na pozostające mu dni
wolne były raczej marne.

– Dokąd ten wyjazd? – zapytał nożownik, w zasadzie
już zdecydowany.

– Königsberg.

Zebrali się rano przy stole na spóźnione śniadanie. Jedli w pośpiechu, nie patrząc sobie w oczy. Nikt nie wiedział, o czym można porozmawiać, konwersacja nie kleiła się i umierała po krótkich wymianach replik.

Gosposia posapywała, dolewała herbatę i spoglądała na Kellera z wyrzutem i naganą w oczach: gdy przyszła rano, by napalić w piecu, salon musiał wyglądać jak po przejściu frontu. Po prostu zostawili tam wszystko tak, jak było, gdy przenieśli się w ratach najpierw na podłogę, potem na schody, w końcu do sypialni Kellera na górze... Plamy z wina na dywanie okażą się pewnie nie do sprania.

– Muszę jechać – odezwała się w końcu Jennifer, spoglądając na zegar. – Edwin pewnie już czeka pod domem. Gerhard, dziękuję ci za wszystko. To było cudowne.

Przechyliła się i pocałowała Kellera w usta. Potem zwróciła się do Eriki:

– Moja kochana, tobie należą się szczególne podziękowania. Nigdy nie spotkałam osoby o tak otwartym umyśle, zupełnie pozbawionej zazdrości i chętnej do odkrywania nowych horyzontów... Nigdy nie pozwól nikomu tego sobie odebrać.

Erika przysunęła się do niej, rozchyliła usta do pocałunku. Zerknęła jeszcze na Kellera, ale jego twarz nie wyrażała nic: patrzył przed siebie lekko nieobecny wzrokiem. Jennifer pogładziła ją po policzku, potem podrapała za uchem i pocałowała namiętnie, głęboko.

– Dziękuję wam jeszcze raz. Teodor, odprowadzisz

mnie? Nie chcę odjeżdżać sama.

Wstali, Grossmann podał dłoń Kellerowi, ucałował Erikę. Chciał w policzek, ale ona sama przesunęła się tak, żeby ich usta spotkały się, potem przesunęła mu dłonią po policzku i uśmiechnęła lekko, niepewnie.

Wyszli, stukając obcasami po parkiecie. Trzasnęły drzwi.

Keller i Erika zostali sami, w ciszy rodowej posiadłości wypełnionej tylko miarowym tykaniem ogromnego zegara.

– Kocham cię – odezwała się Jennifer do Teodora, kiedy stanęli w końcu na nabrzeżu portowym.

Grossmann popatrzył na nią, uśmiechnął się smutno.

– Ja ciebie też, moja ty nimfo. Ale to, co zrobiliśmy, było...

– Nie. – Położyła mu palec na ustach. – To była praca, rozumiesz? Mój prezent pożegnalny dla ciebie.

– Widziałaś twarz Kellera, kiedy wstaliśmy rano?

Wyjęła papierosa, podporucznik podał jej ogień.

– Widziałam ją wczoraj, Teodorze. W bardzo wielu różnych pozycjach i ustawieniach, nade mną, przed i... I w ogóle. Nie wypiliśmy aż tyle, więc nawet nie podnoś tego argumentu. Alkohol to doskonały pretekst, żeby człowiek mógł zrobić to, na co i tak ma ochotę, ale boi się do tego przyznać. Pan chorąży Keller da sobie radę.

– Przyznaj, że od początku miałaś ochotę do tego doprowadzić.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Ale Erika to naprawdę

fajna dziewczyna, zupełnie niewykorzystany talent. Keller jest zbyt wycofany, zbyt ostrożny, a ona by chciała więcej.

– I dlatego musiałaś im to zrobić?

Wzruszyła ramionami, wydmuchnęła dymek. Prom powoli podchodził ku nabrzeżu, sapiąc siwoszarą smugą.

– Wiesz co? Tak, bo chciałam pokazać Erice, że można wyrwać z życia tyle, ile się da. Poza tym... – uśmiechnęła się w taki sposób, że Teodorowi mimo woli też drgnęły kąciki ust – bardzo długo nie byłam już z inną kobietą. Zresztą twój kolega chorąży to też nie aniołek, Erika mi mówiła, dlaczego się rozeszli. Ile miał kobiet, odkąd tutaj jesteś? No widzisz. A ona tylko jednego mężczyznę.

– To znaczy...?

– No, samego Kellera, głuptasie! I teraz drugiego, w dodatku za tego pierwszego wiedzą.

– Oraz obecnością. – Grossmann pokręcił głową. Do niedawna był przekonany, że ma jaki taki temperament erotyczny i wyobraźnię, ale Jennifer postawiła jego świat na głowie, oblała naftą i podpaliła.

– Ona jeszcze wtedy, nad morzem, powiedziała mi, że miękną jej kolana, jak ciebie widzi. – Jenny zaciągnęła się ostatni raz i pstryknęła papierosem do wody. – Masz teraz czyste podejście do swojego profesora: przyjdiesz po prostu do niej. Keller się trochę podąsa, to typ zazdrośnika, ale to zapewni ci dodatkowo trochę czasu. Zrobiłam to dla ciebie, Teodor.

Prom dobił do brzegu, zrzucił trap. Pasażerowie wy-

sypali się na pomost, wsiadający na rejs do Danzig już tłoczyli się przy wejściu. Teodor pokiwał, pogładził ją po policzku.

– Wiem, moja ty walkirio. Nigdy cię nie zapomnę.

Jennifer chciała chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała, machnęła ręką. Uśmiechnęła się scenicznym uśmiechem, zatrzepotała rzęsami.

– *Au revoir, Herr Leutnant!*

Pocałowała go namiętnie, a potem wskoczyła na trap. Jej świta wraz z bagażami już czekała na promie, potężny Murzyn znów patrzył na Teodora tym samym ponurym wzrokiem.

Dziewczyna pomachała Grossmannowi jeszcze z pokładu, odwróciła się i odeszła, rozmawiając z witającym ją kapitanem. Nawet nie obejrzała się, nie zerknęła przez ramię.

Mówiła mu wcześniej, że nienawidzi pożegnań.

A on stał i patrzył za odpływającym statkiem tak długo, aż ten skrył się za zakrętem rzeki.

Zegar tykał miarowo, nieubłaganie odmierzając biegnące jałowo minuty.

– Eriko. To, co się stało wczoraj... – odważył się w końcu Keller.

Panna Scharfe drgnęła, wyrwana z zamyślenia. Popatrzyła na niego dziwnie nieobecny wzrokiem, potem odruchowo poprawiła włosy.

– Muszę iść do pracy – stwierdziła po prostu. – Zdążę się jeszcze uczesać, nim zjawi się profesor.

– Ale ja... to jest my... Chcę, żebyś wiedziała, że mimo wszystko...

Nachyliła się i pocałowała go. Głęboko, soczyście i z uczuciem, a mimo to – jakoś inaczej. Wzdrygnął się, gdy jej dłoń przesunęła mu się po nodze i zacisnęła na kroczu. Szepnęła mu na ucho:

– Musimy to powtórzyć. Pa, pa!

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Keller westchnął ciężko. Miał wrażenie, że coś się zmieniło. Nawet ten pocałunek był odmienny, obcy, jakby z nieznaną mu osobą.

Podszedł do stołu i odsunął serwetę. Przejechał palcami po politurze, zbliżył twarz do blatu i wciągnął powietrze, przymykając oczy.

To tutaj siedziała *Miss Jennifer*.

Horst wszedł do zadymionego wnętrza. Rozejrzał się, próbując wypatrzeć w słabo oświetlonej pijalni znajome twarze. Na szczęście Iwan podniósł się i pomachał do niego. Przeciskając się pomiędzy stojącymi i siedzącymi klientami, agent w końcu dotarł do kąta, w którym siedzieli jego ludzie.

– No i? – warknął, patrząc na Afanasija i Iwana. Tamci pospuszczali głowy, nie rwąc się do odpowiedzi. Śmierć młodego Wernbauera wstrząsnęła nimi mocno, morale upadło. Szczególnie źle przeżył to Afanasij, który pociągnął za spust. Raz tylko, zaraz po akcji, wspomniał, że Wernbauer prosił go o życie; więcej się o tym nie zająknął.

– No, coś wiemy – burknął w końcu Iwan. – Tam, o,

siedzi informator.

Horst przyjrzał się łasicowatemu typkowi w garniturze w kratkę, skrzywił złym uśmiechem. Wstał, podszedł i przywitał się:

– Witam pana. Dawno się nie widzieliśmy.

Klaucke dotknął róna melonika, pokazał mu miejsce przy swoim stoliku. Pociągnął piwa, demonstrując całym sobą, że nie czuje potrzeby zaczynania rozmowy o niczym. Miejsce spotkania było poniżej jego godności, a on miał do podtrzymania pewną renomę – przynajmniej we własnym mniemaniu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Rany boskie, panie! – syknął Horst, znający Klauckego jeszcze sprzed paru lat, jako drobnego cinkciarza i badylarza. – Mów pan, co pan wiesz! Zapłacę przecież, nawet ode mnie pieniądz chyba nie śmierdzi?

Informator pokiwał głową, ale przetrzymał jeszcze chwilę pauzy. W końcu podrapał się po podbródku, udając, że coś sobie przypomina:

– Freudenthal, tak? No, jest taki ktoś w mieście.

– I...?

– I to ciężka sprawa – skrzywił się Klaucke. – Do takich informacji nie było wcale łatwo dotrzeć, trzeba znać ludzi. To wszystko kosztuje, założyłem z własnej kieszeni.

Horst przesunął po stole w jego stronę banknot. Handlarz spojrział wymownie, czekając, aż drugi nominał dołączy do pierwszego. Rozprostował obydwie, chuchnął i zwinął w ruloniki.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał rzeczowo.

Oczywiście w ramach przygotowania do rozmowy poszedł po prostu do Freudenthala i wyciągnął z niego tyle informacji, ile zdołał, bez wkładania w to chociażby grosza. Klaucke był utajonym marksistą i wierzył, że zysk bierze się z nieopłaconej części pracy robotnika; w jego interpretacji oznaczało to, że im częściej nie musi za nic płacić, tym większe są jego zyski.

– Kto to, skąd się wziął i dlaczego łązi za niejakim Grossmannem.

Handlarz poruszył się niespokojnie. Ostatnio nazbyt wiele wydarzeń kręciło się wokół zbyt ograniczonej liczby osób.

– To przedsiębiorca, z tego, co wiem – zaczął ostrożnie, żeby przypadkiem nie chlapać czegoś niepotrzebnego. – Przyjechał z Niemiec, bodajże z Magdeburga. A co do pana podporucznika Grossmanna... A czemu wy się panem podporucznikiem interesujecie, panowie?

Sprzedawanie ludzi nie było dla Klauckego niczym nowym. Ale handlowanie informacjami o dowódcy równoległej kompanii... No, coś takiego byłoby nawet dla niego świętokradztwem.

A, jak wiadomo, za bluźnierstwa płaci się ekstra.

– Interesuje mnie ten Freudenthal. Grossmanna nawet nie znam, ale wiem, że za nim łązi.

Kłamstwo było codziennością Klauckego, więc rozpoznawał je na długo przed tym, zanim wyslizgnęło się węzowym ruchem z ust. Tym razem też od razu przeczuł,

że jego klient coś kręci, ale po prostu potraktował to jako dodatkową informację. Na każdy towar znajdzie się kiedyś kupiec.

– Freudenthal i Grossmann mieli kiedyś wspólny interes. Spółkę czy coś w ten deseń – zdecydował się rzucić informacją Klaucke. – I wasz Freudenthal przyjechał tu, żeby wyjaśnić jakieś wątpliwości natury biznesowej.

– Czyli... znają się?

– Na to wychodzi. – Handlarz rozłożył ręce, sam od rana próbując przetrwać tę informację.

Horst zasepił się, w zadumie przygryzł kostkę palca. Grossmann nie wspominał o tej znajomości... I w ogóle zdawał się coś ukrywać, nie mówić im co najmniej części tego, co było mu zapewne wiadomym.

– Dziękuję, panie Klaucke.

Skinął głową na pożegnanie, wstał i wrócił do swoich ludzi.

– Co dalej ze stacją radiową? – zagadnął go Afanasij. – Odpuszczamy?

Horst popatrzył mu głęboko w oczy. Grossmann wyraźnie zakazał jakichkolwiek działań na własną rękę.

– My nigdy nie odpuszczamy, towarzyszu – powiedział twardo.

Grossmann skoczył ku tyłowi maszyny, wspiął się po żelaznych płytach, czując, jak wibruje i podskakuje pancerz. Żelazo wyczuwalnie oddawało ciepło, w środku musiał panować nieopisany zaduch i upał, nie mówiąc o hałasie, który ogłuszał nawet na zewnątrz czołgu.

Teodor sięgnął po pistolet, ale kabura była pusta; przed oczami mignęła mu scena, gdy broń wypada mu z ręki, a on, szepiony z przeciwnikiem, leci na plecy. Nie mając nic lepszego, sięgnął po tkwiący w pochwie u pasa bagnet; ostrze akurat zaklinowało się, więc zaczął szarpać się i miotać...

– Panie sierżancie, uwaga! – zawołał Schoelss, wdrapując się na pancierz i sięgając po granat. Odkręcił już zawleczkę i miał właśnie wyciągać zapalnik, gdy czołgiem nagłe szarpnęło i zarzuciło; stracił równowagę, wrzasnął przeraźliwie i spadł prosto pod gąsienicę.

Wstrząśnięty do głębi Grossmann zamarł, patrząc na przesuwające się nieubłaganie segmenty żelaznego pasa, wśród których po chwili pojawiły się zmieszane z ziemią strzępy pokrytego buroczerwoną mazią munduru. Otrząsnął się ze stuporu, złapał wypuszczony przez Schoelssa karabin. Niewiele myśląc, wypalił w najbliższą szczelinę obserwacyjną, przeładował i strzelił jeszcze raz.

Kątem oka widział już, że kilku żołnierzy zdołało wdrapać się na czołg, chociaż o wiele więcej było tych, którzy zostali po drodze.

Dym akurat rozwiął się, więc widział dokładnie jeszcze trzy podobne, przysadziste i pokraczne maszyny, pełznące w ich bezpośredniej bliskości przez pole wałki. Jedna z nich błysnęła właśnie karabinami maszynowymi, kosząc jego biegnących po otwartej przestrzeni ludzi niczym zboże; do drugiej próbowała dobrać się grupa prowadzona przez Bernharda, ale ci z kolei natknęli się na większy opór

idącej przy czołgach piechoty.

Zaklął pod nosem: jeśli jego oddziałowi się nie uda, to cała akcja pójdzie na marne i zginą tu wszyscy bez sensu. Gdyby tak tylko mieć karabin maszynowy albo działo...

Działo.

– Nie używać granatów! – ryknął do wyciągającego już ładunek Gebera. – Bierzemy ich abordażem!

Grossmann wskoczył na pierwszy schodek i lekkim krokiem wbiegł na górę. Fasada wyczuwalnie oddawała późnoletnie ciepło, ale w środku Instytutu panował przyjemny chłód. Jego kroki odbiły się echem od pięknie wykończonych stropów, zadzwoniły pogłosem na potężnej klatce schodowej. Przystanął, rozejrzał się w lewo i prawo, po ciągnących się w obie strony korytarzach i przejściach. Zawahał się...

– Pan podporucznik szuka kogoś? – zapytał go wychodzący z kanciapy stróż.

– Ja do profesora Nemmersdorfa.

– Ach. To na górę pan wejdzie, potem schodkami na półpiętro trzeba i po lewej, w długim korytarzu będą drzwi w niszy. Pan pójdzie łącznikiem, potem w dół schodami i dalej w prawo. Jak tam zamknięte będzie, to pan wróci i wejdzie piętro wyżej... A najlepiej się dopyta kogoś.

Oczywiście było zamknięte. Naturalnie na całym piętrze nie było też chyba nikogo – Instytut był jak wymarły, kilka klamek nawet z lekka zarosło pajęczynami.

Teodor przeszedł się w tę i we w tę korytarzem, sprawdził jeszcze raz kratę: zamknięte na głucho. Spró-

bował wrócić tą samą drogą, którą przyszedł, ale z jakiegoś powodu wyszedł w zupełnie innym miejscu.

– Tak się nie uda... – mruknął sam do siebie. Uchylił okno, wyjrzał: nie, nie ta strona budynku. Okno po przeciwległej stronie korytarza: tak, na dachu nieopodal widać było maszt radiowy. Czyli musiał się dostać tam.

Ruszył na azymut, klucząc korytarzami w kierunku domniemanej lokalizacji pracowni Nemmersdorfa. Po kilku nieudanych próbach zszedł poziom niżej, dzięki czemu w końcu pokonał kilkanaście kolejnych metrów w linii prostej, aż w końcu nieco zziębnięty i uchodzony stanął przed drzwiami, które powinny być niemal dokładnie pod stojącą na dachu anteną. Zastukał w czarne deski, wypolerowane na lustro przez lata użytkowania. Nacisnął klamkę.

– Już, chwileczkę! – rozległ się głos panny Scharfe.

Grossmann zamknął za sobą ciężkie skrzydło, rozejrzał się: pracownia była bardzo duża i przestronna, pierwsze pomieszczenie zaadaptowano na coś w rodzaju recepcji. Biurko, wieszaki, karnie stojące na półkach te czki z papierami, dyskretnie schowana kuchenka z czajnikiem i błyszczącymi czystością filiżankami.

Rozległy się kroki, z kolejnego pomieszczenia pokażała się Erika.

– Dzień dobry, w czym... Och. Teodor, ty tutaj?

Zdjął czapkę, strzelił obcasami i skłonił się.

– Dzień dobry, *Fraulein* Scharfe.

Erika zarumieniła się, jej oczy błysnęły. Po chwili

jednak powściągnęła emocje, podała Grossmannowi dłoń. Teodor ujął same koniuszki jej palców i ucałował, spoglądając głęboko w oczy.

– To duże zaskoczenie, widzieć tutaj pana podporucznika. – Uśmiechnęła się. – Czym mogę ci służyć, Teodorze?

Grossmann nie odpowiedział, patrząc prosto na nią. Potem jak gdyby przypomniał sobie o czymś, rozejrzał po pracowni.

– Przyszedłem, żeby...

– Tak?

– Przyszedłem, żeby przekazać ucałowania i gorące pozdrowienia od Jennifer. Kazała raz jeszcze podziękować za wspaniały czas w Königsbergu i cudowne pożegnanie.

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem, wzięła się pod boki. Potrząsnęła głową.

– *Herr Leutnant!* To bezczelne, a w dodatku nieudolne kłamstwo. Jenny wszystko to powiedziała mi sama, a pan nie musiałby wcale po to przychodzić do mojej pracy.

– To prawda. Chciałem się z tobą zobaczyć.

Zastygła w bezruchu, jej oczy rozszerzyły się w zdumieniu. Potem zakręciła się, złapała z biurka jakieś dokumenty. Szybkim ruchem wyrównała ich brzegi, stuknęła kantem kart o stół i wsunęła do teczki, schowała na półkę.

Grossmann tylko patrzył na nią, jak krząta się po pokoju.

– Przepraszam, to było głupie – odezwał się w końcu.
– Do widzenia, panno Scharfe.

Skłonił się sztywno. Założył już czapkę, gdy Erika odwróciła się od regału, chyba chciała coś powiedzieć – ale Teodor już nacisnął klamkę, wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi tak, żeby aż poniosło się echo, a potem szybko zbiegł na dół po schodach.

Erika stała tak, jak stanęła, przyciskając do piersi segregator i patrząc na drzwi. W końcu zacisnęła usta, ze złością uderzyła piąstką o udo.

– Och, głupia...! Głupia, głupia, głupia!

Klapnęła na krzesło, zwiesiła głowę. Wystarczyłoby przecież powiedzieć coś, cokolwiek! Byle bzdurę, a ona zachowała się tak, że...

– Kto to był, panno Scharfe?

Nemmersdorf stał w drzwiach do swojego gabinetu i przyglądał się jej – pytanie tylko, jak długo? Podskoczyła, zerwała się z krzesła i zaczęła porządkować dokumenty.

– Kto taki, panie profesorze? – rzuciła, nawet nie patrząc.

– Ten młody człowiek, który właśnie wyszedł. Nie przypominam sobie, żeby był tu ktoś jeszcze.

– Ach. To tylko podporucznik Grossmann.

– Tylko, Eriko? – Nemmersdorf uniósł brew. – Bardzo nisko oceniasz przyjaciół chorążego Kellera. Nie mieliśmy jeszcze szansy się poznać, pan podporucznik i ja, prawda?

Odwróciła się do naukowca tyłem, czując, jak palą ją policzki. Głupia...!

– Nie, panie profesorze.

– Kiedy będziecie się znów widzieć, zaproś go, proszę,

na herbatę. Z chęcią poznam bohatera frontu zachodniego.

Drzwi do pracowni skrzypnęły i zamknęły się. Erika oparła się pięściami o parapet, zacisnęła mocno oczy. Głupia...

Przeciagnęła dłonią po karku i zadrżała, wyobrażając sobie, że to ręka Teodora.

ROZDZIAŁ XXIX

Notes Stiopana Awdiejewicza Jermakowa alias Dado Gablenza. Fragmenty wybrane.

22 stycznia

Nemmersdorf.

28 stycznia

Teraz jestem pewien, że to właśnie N. stoi za wydarzeniami, które śledziłem przez ostatnie tygodnie. Bałem się ostatnio nawet pisać, bo ktoś może obserwować moje mieszkanie. Radio schowałem u Prittwitza. Nieszczęśnik i tak do jutra wszystko zapomni, a tam będzie bezpieczne.

3 lutego

N. znów przyszedł do Prittwitza, przyniósł mu kolejne zegarki do wyregulowania. Biedak prawie płakał, że N. nosi je w jednym pudełku.

11 lutego

Jestem zdruzgotany, wpadł kolejny z naszych. Wystarczyła najmniejsza wzmianka o miejscu spotkania, a psy tego diabła Nicolai były tam po kilku godzinach. To tylko potwierdza, że N. dostaje meldunki ze stacji nasłuchowej, a potem zapewne deszyfruje je we własnym zakresie. Keller,

ten jego pies łańcuchowy, pędził z listem na złamanie karku.

13 lutego

Nie będę rozpracowywał K. – to tylko chłopak na posyłki, nie ma sensu marnować na niego sił ani środków. Przekonałem H., że stacja nasłuchowa jest celem, który nas najbardziej interesuje. Nie mam pewności, na ile słucha tego, co mówię, a na ile własnych pomysłów. I tak nie mam wyboru, muszę pracować z nimi.

15 lutego

N. znów był u Prittwitza. Wygląda na to, że nie zauważył braku bransolety, którą przyniósł zegarmistrzowi jeszcze jesienią. Jestem gotów odnieść ją w każdej chwili, gdyby tylko zaczął coś podejrzewać. Bez niej nie trafiłbym na trop jego szyfrów.

17 lutego

Przeprowadziłem wraz z H. serię kontrolowanych prowokacji. Wniosek: N. musi używać jakiegoś rodzaju maszyny do deszyfrowania naszych meldunków, bo z pięciu kodów złamał cztery w jeden dzień. W odpowiedzi ich stacja nadała cztery komunikaty z rzędu – nie próbowałem nawet ich łamać, bo wiadomość na pewno była ta sama, ale w innych kodach. Przedrzeźniają mnie, kpią w żywe oczy.

N. wie, że jestem w mieście, i bawi się ze mną.

23 lutego

Szyfry przeciwnika zmieniają się jak w kalejdoskopie. Mam wrażenie, że nagle zaprzęgli do pracy cały sztab zupełnie nowych ludzi – albo też przepuszczają komunikaty przez tę maszynę. Permutacje kodów są oszałamiające, jestem jakiegoś pięć wersji do tyłu, ale jest w nich coś znajomego.

24 lutego

Nie wiem, czy długo tak dam radę. Mam stertę zaległych meldunków, które boję się nadać. Muszę coś w końcu powiedzieć H.

Byłem u Prittwitza, rozmawiałem z nim – o tyle, o ile to możliwe. W jego notatkach nie ma ani śladu wzmianki o bransolecie, którą zostawił u niego N.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie byłem od samego początku wodzony za nos.

25 lutego

Beznadzieja. Wciąż walczę z szyframi N.

26 lutego

To działa! Mam za przeciwnika geniusza. Wszystko, co robiłem do tej pory instynktownie, ma swoje wytłumaczenie matematyczne. Dysk szyfrujący, sprzężony sam ze sobą... genialne! Teraz pójdzie z górki.

28 lutego

Ich stacja nadała dziś komunikat poprzednim szyfrem: „c2c4”. Odpowiedziałem „g7g5”. Mam już pewność, że to N. próbuje mnie wyczuć. Nie wiem, czy nie igram z ogniem, ale muszę to sprawdzić.

5 marca

Zaczynam przegrywać partię. Osiem ruchów, a ja już jestem w kozim rogu.

6 marca

N. po raz kolejny zmienił szyfr. Nadałem dwa meldunki, ale nawet nie liczę na to, że zdołają przejść przez ich sito. Szatańskie urządzenie! Cholerna, przeklęta, cudowna broń.

8 marca

Dostałem zaproszenie – N. proponuje dokończenie rozgrywki osobiście. Obawiam się, że mogę nie wrócić z tego spotkania, więc na razie milczę.

9 marca

Próbowałem ostrzec stolicę, żeby ograniczyli zasięg radiotelegrafu, bo przeciwnik podwyższa maszt nasłuchowy w stacji. Nie wiem, czy nie zagłuszają moich częstotliwości.

10 marca

Zmieniałem szyfr w trakcie transmisji. Ci idioci od nas

otwartym tekstem poprosili o powtórzenie meldunku! Zerwałem kabel od zasilania, teraz próbuję go naprawić. Nie wiem, czy ma to jeszcze jakiśkolwiek sens.

11 marca

Znów zaproszenie, podane pięcioma poprzednimi szyframi po kolei. Ktoś stał cały wieczór w bramie po drugiej stronie.

12 marca

Idę na spotkanie z N. Ten diabeł wcielony na pewno już wie. Niewykluczone, że czyta wszystkie moje meldunki. Muszę zaryzykować spotkanie z nim twarzą w twarz albo spróbować zlikwidować go o własnych siłach. Nadam ostatni komunikat, a potem zniszczę radio.

Nie mam pojęcia, gdzie trzyma prototyp swojej maszyny.

Jeśli nasi nikogo tu nie przyślą, to niech Bóg nas ma w opiece.

ROZDZIAŁ XXX

I co, i co?

Klaucke spokojnym ruchem pstryknął zapalką o podeszwę buta, zapalił papierosa.

– Spokojnie, panie Freudenthal. Takie rzeczy wymagają spokoju. Przedsiębiorca skulił się, wykrzywił w niemal bolesnym grymasie.

– Ale... ja mogę zapłacić więcej! Tylko niech to się stanie szybko.

Eugen popatrzył na frajera bardzo, ale to bardzo uważnie. Miał wrażenie, że przyjezdny z Magdeburga przez ostatnie dwa tygodnie postarzał się co najmniej o pięć lat, jakby zapadł w sobie. Trzęsły mu się ręce, fryzura była w nieładzie... Wrak człowieka.

Owszem, czasem tak reagowali ci, którzy najpierw płacili za zniknięcie kogoś niewygodnego, a potem dopadały ich wyrzuty sumienia. Przeważnie najbardziej męczyło ich oczekiwanie, a po fakcie uspokajali się, dochodzili do siebie. Potrafili przekonać samych siebie o nieuchronności i słuszności łotrostwa, jakiego się dopuścili.

Freudenthal jednak wyraźnie potrzebował wsparcia. A przecież Klaucke nie był człowiekiem okrutnym, zawsze umiał pomóc komuś w potrzebie, wyciągnąć pomocną dłoń.

Wyciągnął ją i teraz.

Przedsiębiorca gorączkowym ruchem sięgnął za pachę, drżącą ręką odliczył kilka banknotów i czym prędzej wcisnął Klauckemu w rękę. Jego oczy nieco poweselały, uśmiechnął się nawet słabo; ludzie tak bardzo potrzebowali nadziei i poczucia, że mają nad czymś kontrolę!

– Dobrze, załatwię to. – Klaucke schował gotówkę do kieszeni. Oczywiście nie miał nawet pojęcia, kim miałyby być ściągnięty z Danzig siepacz ani kogo dostał polecenie stuknąć... ale nie miał też serca jeszcze bardziej zasmucać Freudenthala.

Pomógł człowiekowi, zainkasował za to zapłatę.

Wszystko było w idealnym porządku.

Keller był wściekły.

Urządzili im ćwiczenia na placu. Tak po prostu, z dnia na dzień zwołali całą kompanię i skoszarowali! O ile wcześniej siedział tylko bez sensu ze swoimi ludźmi w kazarmie, to dziś kazali im przebrać się w mundury polowe, obwiesić kilogramami niepotrzebnego oporządzenia, założyć idiotyczne, ciężkie hełmy z żelaza i maszerować w tę i w tę po wypalanej słońcem, porośniętej suchą, żółkniętą trawą ziemi.

Potem były ćwiczenia ze strzelania, na których oczywiście stało się jasne, że na dwustu metrach większość jego podkomendnych nie widzi nawet tarczy.

Pot zalewał oczy, broń parzyła w ręce, w dodatku okazało się, że dostali felerną partię amunicji, zrobioną z tak miękkiego mosiądzu, że zamki karabinu zrywały kryzę! Idiota kapitan przerwał strzelanie dopiero, gdy jednemu

nieszczęśliwemu broń wybuchła w twarz, a jęczącego, zalewającego się krwią pechowca odtransportowali do lazaretu sanitariusze.

Za karę kapitana odesłano do domu, a oddanej pod dowództwo świeżo upieczonego *Fahnricha* kompanii kazano kopać rowy – i wtedy w Kellerze po prostu coś pękło.

– Jak trzymacie tę łopatkę, Jentzsch! – wydarł się na młodego kaprała, ledwo radzącego sobie w za dużym hełmie. – Czy tak wygląda niemiecki żołnierz? Wylazł z dziury, ale to już! Baczność!

Przerażony Jentzsch wygrzebał się z okopu, stanął przed zwierzchnikiem, poprawił hełm.

– Pa-pa-panie cho-chorąży, a-ale ja... – zaczął się jąkać. Keller trzasnął go w łeb szpicrutą, aż zadzwoniło, poprawił jeszcze raz po ramieniu i wrzasnął:

– *Verfluchte Nichtsnutz!* Za karę biegiem wokół placu treningowego, w pełnym oporządzeniu, pięć okrążeń! Wykonać, już!!

Kaprał podskoczył, potruchtał do zrzuconego na kupę wyposażenia i zaczął przerzucać plecaki. W końcu wyciągnął swój, założył na ramię, złapał karabin i niezgrabnie pobiegł. Żołnierze przestali kopać i patrzyli na to w milczeniu, ktoś splunął pod nogi. Keller odwrócił się do nich, potoczył zimnym, nienawistnym wzrokiem.

– Co to za przerwa, *Meinherren Soldaten?* Do wykonywania obowiązków, wróć!

– On astmę ma, *Herr Fahnrich* – odezwał się któryś.

Rzeczywiście, nawet stąd widać było, że twarz

Jentscha przybiera powoli odcień fioletowej purpury, a on biegnie z każdym krokiem coraz bardziej ociężale.

Keller przeszedł wzdłuż transzei, patrząc na zataczającego się i ledwo łapiącego dech kaprała. Zatrzymał się nad pyskaczem, nie spojrzął na niego, ale zapytał:

– Uważacie, że postąpiłem niesłusznie, szeregowy? Żołnierz niemiecki ma prawo nie biegać, jeśli dostanie zwolnienie od lekarza?

– *Herr Fahrnich*, ja mówię tylko...

Keller uśmiechnął się, a potem kopnął żołnierza podkutym butem w twarz. Ten poleciał na plecy, zalewając się krwią i gubiąc hełm, złapał za rozbite usta. Koledzy chcieli skoczyć ku niemu, podnieść, pomóc – ale Keller tylko wyciągnął w ich stronę szpicrutę. Stanęli jak wryci, niczym za dotknięciem magicznej różdżki.

Moment władzy był upajający. Na Kellera nagle spłynęło lodowate, kojące poczucie nienawiści do wszystkich i wszystkiego. Absolutny, zimny spokój – jak wtedy, gdy człowiek walczący na rozszalałym morzu przeciwko falom w końcu poddaje się i zapada w odmęty, zamiast ryku bałwanów słysząc już tylko jednostajny, dzwoniący szum. Nie było już palącego słońca, ciekący po plecach pot przestał przeszkadzać. Nawet przedwczorajszy wieczór przestał kłuć zazdrością w serce.

– Niezapięty hełm – zauważył ze złośliwym przekąsem. – Pan szeregowy uważa, że wie najlepiej, co jest dla was dobre. Powstań, żołnierzu!

Szeregowy zdołał podnieść się na czworaka, ale nie

udało mu się stanąć na nogi, bo zatoczył się i znów upadł twarzą w rozkopaną ziemię. Keller westchnął.

– Postawcie go do pionu, załóżcie plecak i dajcie karabin – polecił. – Szeregowy będzie trzymał honorową wartę... od teraz do jutra rana.

Struchleli. „Warta honorowa” była eufemizmem dla kary, polegającej na przywiązaniu do masztu flagi pośrodku placu do musztry. Maszt osadzony był na półtora-metrowej średnicy żeliwnej blasze, na której w naprawdę słoneczne dni można było smażyć jajka.

Keller obrócił się dookoła, szukając wzrokiem biegnącego Jentzscha. Kaprała nigdzie nie było widać... W końcu wypatrzył go, leżącego nieruchomo w dalekim rogu placu.

– Ty i... ty. – Wskazał dwóch żołnierzy z kompanii. – Pójdziecie i sprawdzicie, czy Jentzsch żyje. Jeśli nie, to go tam zostawcie. Jeśli tak, to pomożecie mu wykonać rozkaz. Pięć pełnych okrążeń.

Dwaj wyznaczeni na ochotnika wymienili spojrzenia, posłusznie wygramolili się z okopu i ruszyli przez spaloną trawę.

– Szybciej – nawet nie krzyknął, a po prostu powiedział. Żołnierze puścili się biegiem jak smagnięci batem.

Zmierzył wzrokiem kapitana, obserwującego jego poczynania z zacienionego stanowiska pod murem; przełożony wytrzymał tylko chwilę, a potem odwrócił wzrok, udając, że bardzo zajmują go czubki własnych butów. Keller wyprostował się, założył ręce za plecami.

On ich wszystkich postawi do pionu.

Grossmann czekał przy wejściu do budynku Institut fur Ingenieurmathematik od kwadrans po dziewiątej. Wiedział, że panna Scharfe zawsze przychodzi do pracy piętnaście minut później, ale nie chciał ryzykować, że się z nią minie.

Rozejrzał się po kampusie. Powoli nadchodziła jesień – kasztany zaczynały żółcić się barwami września, na ścieżkach i trawnikach zalegała poranna rosa. Dni nadał były ciepłe, ale czuć już było pierwsze tchnienie chłodów.

Erika zjawiała się za pięć wpół do, niosąc w ręku siatkę z zakupami. Zobaczyła go, zwolniła. Chciała się zatrzymać, ale potem spojrzała hardo przed siebie i ruszyła pewnym krokiem.

– Eriko. – Wyszedł z podcienia, gdy ona dochodziła do schodków. – Chciałem cię przeprosić.

Spojrzała na niego, odwróciła wzrok. Już prawie go wyminęła, ale Teodor delikatnie złapał ją za ramię.

– Poczekaj.

– Teodorze, nie mam teraz czasu, wybacz – rzuciła, nie patrząc mu w oczy.

– Eriko, poczekaj. Chciałem tylko porozmawiać.

Podniosła w końcu głowę, westchnęła ciężko. Skorzystał z okazji i wyciągnął zza pleców nieduży bukietek.

– To dla ciebie.

Drgnęła, popatrzyła z niedowierzaniem na świeżo zerwane, pachnące łąką polne kwiaty. Wzięła od niego wiązankę, przysunęła do twarzy i z lubością wciągnęła w

płuca aromat lata.

– Och, jakie piękne... Kiedy znalazłeś na to czas?

– Niedługo wyjeżdżam z miasta. Nie stać mnie na trwonienie go, więc koncentruję się na rzeczach naprawdę istotnych.

Nawet nie skłamał. Jeszcze poprzedniego wieczora znalazł siedzącą przy Steindammer Tor babcię-kwiaciarkę, która zgodziła się z samego rana pobiec na łąki i narwać dla niego kwiatów.

– Wyjeżdżasz? Już? Ale... dokąd?

Teodor rozłożył ręce.

– Wracam na front, *Fraulein Scharfe*. Zostało mi osiem dni urlopu, wczoraj dostałem z kancelarii pułku powiadomienie o przydziale miejsca w transporcie.

To też było prawdą – kapral Scheyenbach zapytał go grzecznie, czy woli pociąg pierwszej klasy, czy może kajutę oficerską na rejsowcu. Grossmann równie uprzejmie powiedział, że zastanowi się i da znać.

Weszli do środka, Erika poprowadziła go przez gmach sobie tylko znanymi przejściami. W końcu wspięli się na górę, stanęli przed wejściem do pracowni.

– Zamierzają tutaj wybijać drzwi – westchnęła Erika, pokazując na ścianę. – Ależ będzie gruzu, sprzątanina... Cały ten pył nanoszony na butach!

– Drzwi? Po co?

– Po drugiej stronie jest winda towarowa, a profesor stwierdził, że potrzebuje... jak to określił? „Szlaku komunikacyjnego dla dostaw wyposażenia do nowego zakresu

prac". No cóż, widać taki mój los. Wejdź, Teodorze.

Przekroczyła próg i obejrzała się, ale on popatrzył na nią pytająco. Uśmiechnął się.

– Na pewno?

– Nie dąsaj się, proszę. – Jej usta wygięły się w podkówkę. Teodor wszedł za nią do pracowni. – Zachowałam się wczoraj fatalnie, wiem. I jeszcze Gerhard się na mnie obraził... Chociaż ty mi tego nie rób!

Grossmann potrząsnął głową, zrobił zdziwioną minę.

– To niemożliwe. O co?

– Żebym to ja wiedziała! Już drugi dzień się nie odzywa, jakby się pod ziemię zapadł po prostu. Ja nawet nie wiem, gdzie go szukać, a poza tym...

– Nie chcesz się narzucać. – Teodor pokiwał głową.

– Wcale nie! – zaprzeczyła, ale po chwili skrzywiła się. – Tak. Mam wrażenie, że nigdy nawet nie zaprosiłby mnie do swojego domu, gdyby... Gdyby nie poprosiła go o to...

Grossmann ujął ją za rękę. Drgnęła, ale nie zabrała dłoni.

– Nie osądzaj go, proszę. Gerhard ma swoje powody i motywacje.

Podeszła do niego blisko, zajrzała w oczy. Wspięła się na palce, zbliżyła swoje usta do jego i zarzuciła ręce na kark.

– A ja? – szepnęła gorącym oddechem. – Zgadniesz, jakie są moje motywacje? Może chociaż ty zrozumiesz, czego chcę?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował – tak jak tamtej nocy, gdy kłębili się we czworo na skotłowanej pościeli, dyszący pożądaniem i alkoholem. Sięgnął dłonią ku jej pośladkom i ścisnął mocno. Erika zadrżała, cała się spięła. Gdy przesunął dłonią po jej biodrze ku podbrzuszu, ode-rwała od niego usta, wtuliła się w szyję i złapała zębami za płatek ucha.

– Nie teraz... Zaraz przyjdzie profesor – szepnęła.

Teodor wplótł rękę w jej włosy, kiwnął.

– Wieczorem.

Wyśliznęła się z jego objęć, kołysząc biodrami, po-deszła do swojego biurka. Usiadła na nim, rozsunała nieco nogi i przygryzła wargę.

– Chcę tutaj.

Ruszył ku niej, ale podniosła palec, pokręciła głową.

– A, a, a! Nie teraz, *Herr Leutnant*. Czy ja muszę panu rozkazywać?

– A chciałybyś?

Jej pierś zafalowała, na szyi wystąpiła wyraźnie arte-ria. Oczy błysnęły nieskrywanym pożądaniem... Ale potem na schodach rozległy się kroki.

Erika zeskoczyła z blatu, błyskawicznym ruchem po-prawiła spódnicę i złapała za siatkę; zakręciła się po pra-cowni z ledwo tłumioną paniką w oczach. Grossmann obrócił się ku wejściu, uniósł głowę i patrzył w napięciu na drzwi. Kroki zaskrzypiały na parkiecie podłogi, klamka poruszyła się, skrzypnęły zawiasy.

– Dzień dobry, panie profesorze! – zawołała Erika z

głębi pracowni.

Nemmersdorf wszedł, zauważył Grossmanna.

– Dzień dobry, panno Scharfe – powiedział, patrząc na niego uważnie.

Teodor strzelił obcasami, skłonił głowę.

– *Herr Professor! Leutnant* Teodor Grossmann, bardzo miło mi poznać pana profesora!

– Ach, to pan. No proszę, zatem nareszcie się spotykamy. – Naukowiec wyciągnął dłoń. – Słyszałem o panu bardzo dużo.

Jego uścisk był zaskakująco silny, pod włochatymi przedramionami musiały kryć się stalowe węzły ścięgien i mięśni. Spojrzał Teodorowi prosto w twarz, w jego oczach błysnęło... wyzwanie? Ścisnął rękę mocniej. Przez chwilę siłowali się w milczeniu, aż w końcu Teodor syknął – sygnet oficerski wbijał się mu boleśnie w palec.

Nemmersdorf od razu odpuścił, uśmiechnął się i pokijał głową z aprobatą.

– Dobry, mocny uścisk mężczyzny.

– Nie dość – skrzywił się Grossmann, masując dłoń.

– Każdy ma jakąś słabość, *Herr Leutnant*. Więc to pan jest tym tajemniczym podporucznikiem Grossmannem, no, no... Miło mi poznać.

– Tajemniczym?

Nemmersdorf wzruszył ramionami.

– Słyszę o panu od osób trzecich, czytam w gazetach. Pojawia się pan i znika, zanim zdążę wyjrzeć. Nieuchwytny niczym zjawą. A teraz wreszcie możemy spoj-

rzeń sobie w oczy.

Grossmannowi mogło się tylko wydawać, ale usłyszał w tonie profesora nutkę czegoś niepokojącego. Nemmersdorf był w trudnym do określenia wieku: nosił co prawda siwą brodę i wąsy, a w jego stroju było coś z roz-targnionego naukowca, ale Teodor nie mógł pozbyć się wrażenia, że to tylko poza. Wizerunek celowo stworzony i podtrzymywany po to, żeby stworzyć obraz naukowca, a ukryć... No właśnie, kogo?

– Napije się pan ze mną porannej herbaty, *Herr Leutnant*? Na niedawne upały najlepsza gorąca, doskonale gasi pragnienie.

– Będę zaszczycony.

Erika rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie, gdy chowali się w czeluściach prywatnego gabinetu profesora.

– Proszę, niechże *Herr Leutnant* spocznie. – Nemmersdorf wskazał gościowi fotel. Sam ściągnął marynarkę, narzucił biały kitel. Teodor podziękował, poczekał, aż starszy wiekiem i doświadczeniem usiądzie jako pierwszy w swoim fotelu, bokiem do okna. Naukowiec zaplótł dłonie, oparł się o podłokietniki i spuścił głowę, mierząc podporucznika wzrokiem spod krzaczastych brwi. – A zatem... po co naprawdę pan przyszedł?

Grossmann poczuł ukłucie niepokoju. Nagłe uświadomił sobie, że dał się zaprosić w sam środek jakiejś ledwo widocznej sieci, a teraz włochaty pająk kulturalnie pytał go, co na obiad.

Przez ostatnie dwa tygodnie intensywnie czytał i ana-

lizował wszystko, co tylko znalazł na temat Nemmersdorfa. Zdołał spotkać się z jego paroma znajomymi oraz wrogami po fachu, nieco porozpytywał.

Wnioski były równie proste, co przerażające: profesor był typem wysoce inteligentnego analityka o skłonnościach introwertycznych, człowieka zarazem skrytego, aspołecznego i chorobliwie wręcz ambitnego, przez lata pamiętającego najdrobniejsze urazy.

Na odczyty podczas konferencji przychodził pięć minut przed swoim wystąpieniem, wygłaszał je, po czym wychodził, przeważnie twierdząc, że niczego ciekawszego ponad to, co wymyślił, i tak się nie dowie.

Nigdy nie przyznawał się do błędów, bezlitośnie i bez cienia żalu wytykając je innym.

Za jego plecami mówiono, że bez mrugnięcia okiem zadusiłby dziecko gołymi rękami, gdyby tylko miało mu się to do czegoś przydać.

Słowem, Teodor siedział twarzą w twarz z socjopatą.

Kłamstwo byłoby zwyczajnie zbyt ryzykowne, więc zdecydował się na wariant najprostszy: prawdę.

– Przeszedłem spotkać się z panną Scharfe, *Herr Professor* – odpowiedział.

– Och. Czy chorąży Keller jest świadom, że na jego terenie pojawił się konkurent?

– Jesteśmy z Gerhardem przyjaciółmi, panie profesorze. Nie konkurentami.

Nemmersdorf uśmiechnął się zdawkowo.

– A prawdziwi przyjaciele zawsze dzielą się wszyst-

kim, tak? No cóż, nie wnikam w panów życie prywatne. Czy panna Zoransky już wyjechała z miasta?

Kolejne ukłucie niepokoju.

– Tak, panie profesorze, odprowadziłem ją na prom we wtorek. Zawsze przesłuchuje pan swoich gości podczas pierwszego spotkania czy też przeważnie zachowuje niezbędny okres karencji towarzyskiej?

Naukowiec nawet nie zareagował, przez dłuższą chwilę patrzył na Teodora. Analizuje warianty rozmowy! – Grossmannowi błysnęła w głowie myśl.

– *Herr Leutnant* nie odmówi partyjki – odezwał się w końcu Nemmersdorf, sięgając po szachownicę. Teodor podsunął stolik, zaczęli rozstawiać figury. – Pan gra białymi.

– *Herr Professor* preferuje działać reakcyjnie.

Naukowiec uśmiechnął się półgębkiem.

– Preferuję pozwolić przeciwnikowi, aby ten odkrył mi swoje zamiary... Albo od razu wysnuł wnioski na podstawie własnych przekonań, a nie zastanych faktów. Podobnie zresztą, jak zrobił to pan podporucznik. Mat w dziewięciu ruchach.

– Słucham? – Grossmann potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Jeszcze nie wykonałem ruchu.

– Tak. Teraz już w siedmiu.

Grossmann przesunął czwartego od prawej piona dwa pola naprzód; Nemmersdorf, nawet nie czekając, wykonał identycznie lustrzany ruch.

– Nie mam zwyczaju przesłuchiwania gości, panie

podporuczniku. Wynika to z tego prostego faktu, że zwyczajnie ich nie przyjmuję.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, do czego się pan profesor odnosi?

– Pytał pan o to wcześniej. Umiejętność prognozowania, *Herr Leutnant*, jest niczym innym, jak odwróceniem, ekstrapolacją zdolności wnioskowania. Jeśli nie mamy pamięci i świadomości wszystkiego, co doprowadziło do sytuacji bieżącej, jesteśmy niezdolni do działań wybiegających w przyszłość. Gdyby bardziej umiejętnie analizował pan fakty, lepiej przewidywałby przyszłość.

– Sugeruje pan profesor, że ich nie analizuję?

Koń Teodora skoczył dwa pola naprzód i jedno w bok, zasadzając się na pionka czarnych; lustrzany koń naukowca wykonał taki sam ruch, ubezpieczając zagrożonego biciem pionka.

– Bynajmniej. Po prostu konstatuje fakt – odpowiedział Nemmersdorf, zaplatając pałce. – Jak znajduje pan Königsberg?

– Piękne miasto. *Herr Professor* poza tym przesadza, mówiąc, że jestem tak znów tajemniczy. Mamy sporo wspólnych znajomych... W zasadzie: mieliśmy, powinienem powiedzieć.

Naukowiec nie pokazał po sobie nic, wpatrzony w szachownicę, skupiony i milczący. Teodor szukał w tej nieprzeniknionej twarzy jakiegoś śladu emocji, drgnięcia mięśnia, tiku, czegokolwiek... Ale równie dobrze mógłby wpatrywać się w spiżowy posąg. Gospodarz w końcu

uniósł brew, spojrzał na Teodora.

– Czyżby *Herr Fohn* wyjechał z miasta?

– Tak słyszałem – powiedział Teodor. – Do pana profesora przywiodły go wspólne zainteresowania, jak rozumiem?

Nemmersdorf wskazał ręką na przeszkloną gablotę, w której spoczywała na wyściełanych materiałem poduszkach okazała kolekcja chronometrów.

– Zegarek, panie podporuczniku, to najdoskonalszy i najbardziej precyzyjny mechanizm, jaki kiedykolwiek stworzył *homo sapiens*. Nie sądzę, żeby przez najbliższe pół wieku udało nam się przeskoczyć ten poziom zaawansowania technologicznego. Życzy pan sobie popatrzeć?

Grossmann kiwnął, więc wstali i podeszli do witryny. Naukowiec otworzył drzwiczki i podał Teodorowi jeden z leżących tam egzemplarzy.

– Angielski *waltham*, piękna rzecz. Sprężyna doskonale trzyma, ale niestety zdarza mu się czasem późnić. Wie pan, co jest fascynujące w zegarkach?

– Niech zgadnę: nieprzewidywalność?

– Brawo – pokiwał Nemmersdorf. – Skąd konkretnie się ona bierze?

– Myślę, że podobnie jak u ludzi: z interakcji. Człowiek jest doskonale logiczny i przewidywalny, o ile nie ma w swoim otoczeniu innych ludzi. Dlatego trzyma je pan profesor w oddzielnych kasetkach, odizolowane. Rezonans?

– Raczej sprzężenie. A jak pan sądzi, jakie osobowości oddziałują na nas najmocniej; kiedy rozedrganie osiąga największą amplitudę?

Teodor zastanowił się. W zasadzie znał odpowiedź od razu, ale nie chciał niepotrzebnie odkrywać kart.

– Identyczne z naszą, *Herr Professor*.

– Tak – potwierdził Nemmersdorf. – To właśnie przy sprzężeniu zwrotnym dwóch identycznych mechanizmów pojawia się największa ilość permutacji, które mają bardzo określony rytm. Pański ruch, podporuczniku.

Wrócili do szachownicy, Grossmann zastanowił się dłużej. Nemmersdorf grał lustrzanie, praktycznie imitując jego ruchy; podporucznik wyczuwał jednak, że zarówno w rozmowie, jak i w grze naukowiec prowadził równoległe zupełnie inną rozgrywkę. Sięgnął ręką ku figurze: do odważnych świat należy.

Biały goniec wystrzelił po przekątnej, zrównując się w szyku z pionkiem; jego przeciwnik z drugiej strony szachownicy zrobił to samo, ustawiając się naprzeciwko niego w niemym, wyzywającym ruchu.

– Widzę, że stosuje pan profesor tę samą zasadę również do szachów – uśmiechnął się Teodor. – Czy sprawdza się równie dobrze?

– Większość ludzi myli identyczność z tożsamością, *Herr Leutnant*. Wydaje się panu, wręcz widzi pan, że moje ruchy są takie same, jak pańskie; ale myli się pan. To tylko gra pozorów. Ten moment, kiedy zaczyna się początkowo niedostrzegalne nawarstwianie rezonansu.

Erika zapukała i weszła, postawiła na stoliku tacę z herbatą i wyszła bez słowa. Żaden z nich nawet nie spojrzał na kobietę, zatopiony we własnych myślach i planach taktycznych.

Drugi koń Grossmanna wysunął się przed szereg piechoty, Nemmersdorf też wyprowadził ze swej strony skoczka.

– Możemy tak grać w nieskończoność, profesorze.

– I znów się pan myli. Każda gra ma swój koniec, bo przy ograniczonej ilości pól i figur mamy do dyspozycji skończony zbiór możliwości. Bardzo podobnie jest ze sposobem, w jaki myśli człowiek: z pustego w próżne i Salomon nie należy, *Herr Leutnant*. Każdego można przejrzeć, poznać i przewidzieć ścieżki, którymi biegną jego myśli. Lubi pan zagadki?

Grossmann nie poruszył ani jednym mięśniem, nieruchomo patrząc w szachownicę.

– Łamigłówki? – zapytał niewinnie.

– Nazbyt prymitywne. Szyfry?

– Czemu nie. Pan profesor ma z nimi dużo do czynienia?

Prawy koń Grossmanna skoczył naprzód i w prawo, pokrywając swoje pole potencjalnego bicia z laufrem, już wcześniej zasadzającym się na odsłoniętego piona po przekątnej od czarnego króla.

– Zdarza się, *Herr Leutnant*. Nie są moją pasją, ale możliwe, że się wkrótce nią staną. Bardziej interesuje mnie mechanizacja procesu, który umożliwia ich tworzenie.

Naukowiec, jak gdyby niepomny zagrożenia, lekko-myślnie wprowadził dopiero co wysuniętego czarnego rumaka dalej, wystawiając się na uderzenie obydwu lustrzanych figur przeciwnika.

– Wierzy profesor, że maszyna może zastąpić człowieka?

– Człowiek jest maszyną. – Nemmersdorf odchylił się w fotelu. – Tyle tylko, że nie poznaliśmy jeszcze zasad, jakie nią rządzą, więc niesłusznie dopatrujemy się magii albo Boga tam, gdzie jest czysta matematyka.

– Królowa nauk?

– Królowa wszystkiego.

Grossmann zawahał się, potem podniósł konia z prawej flanki i sprzątnął czarnego piona, stojącego zaraz przy królu.

– *Gardę*. Albo pańska wieża, albo pańska królowa, *Herr Professor*.

Naukowiec drgnął, nachylił nad szachownicą. Wyraźnie zasepił się, pokiwał głową.

– Dama w opalach, panie podporuczniku. Lubi pan sprawiać kłopoty kobietom, prawda? No cóż, ta nie da się panu tak łatwo wziąć. – Królowa czarnych wysunęła się po skosie naprzód, ustawiając za koniem. – Poświęcam zatem wieżę, niech ją pan sobie weźmie. Mam jeszcze jedną, do której nie ma pan dostępu, ukrytą głęboko za liniami wojska.

Teodor spojrział na Nemmersdorfa. Ten znów uśmiechał się, ale tym razem... zachęcająco? *N. bawi się ze mną* –

przypomniał mu się wpis z dziennika Gablenza. Pytanie tylko, czy o Teodorze też już wiedział?

Sięgnął ręką.

– Zatem wieża.

Biały koń wskoczył na miejsce figury, strącając ją z planszy.

– Piękny atak, *Herr Leutnant*. – Nemmersdorf odchylił się w fotelu. – Bez strat po stronie własnej, brawurowy i dynamiczny. Na miarę prawdziwego Niemca. Czy tak właśnie prowadził pan swoich ludzi do ataku na tamten czołg?

Grossmann drgnął, zamrugął.

– Panie profesorze, nie widzę związku...

– Widzi pan go doskonale, *Herr Leutnant*. Proszę nie uwłaczać ani mojej, ani swojej inteligencji poprzez udawanie, że może być inaczej. Ilu ludzi stracił pan podczas tamtego ataku? Jak wielu musiało zostać tam, w błocie, żeby pan dostał swój Krzyż Żelazny? Ile żywotów kosztował już pański urlop tutaj, w Königsbergu?

Teodor poczuł, jak robi mu się gorąco. Kołnierzyk koszuli nagle zacisnął się na szyi stalową obręczą, odcinając oddech i sprawiając, że krew zadudniła w skroniach. Świat wokół zawirował, Nemmersdorf był coraz dalej, a on chyba przewracał się w tył albo gdzieś spadał, czując, jak w żołądku zaciska się supeł z namoczonych lin okrętowych.

Niczym z zaświatów rozległ się głos Kagenecka:

– *Panie sierzancie, nie damy rady! Nie damy...*

Złapał się podłokietników jak tonący samotnej deski,

nie pozwalając porwać się delirium. Rozejrzał się obłąkanym wzrokiem w lewo i prawo. Po jego lewej stronie klęczał na ziemi Schoenert, patrzący z przerażeniem na tkwiący mu w brzuchu fragment belki.

– *Panie sierżancie, chyba mnie trafili – wyszeptał żołnierz.*

Wysiłkiem woli Teodor skoncentrował wzrok na twarzy Nemmersdorfa. „Oddychaj, tylko oddychaj” – pamiętał słowa lekarza polowego, wyciągającego mu kulę z piersi wtedy, te dwa nieskończenie długie lata temu.

– *Panie sierżancie, uwaga!* – zawołał do niego Schoelss, wdrapując się na wyłaniający zza fotela Nemmersdorfa czołg i sięgając po granat. Odkręcił już zawleczkę i miał właśnie wyciągać zapalnik, gdy maszyną nagle szarpnęło i zarzuciło; stracił równowagę, wrzasnął przeraźliwie i spadł prosto pod gąsienicę.

– *Herr Leutnant, dobrze się pan czuje?* – usłyszał jeszcze tylko głos profesora, a potem pochłonęła go ciemność.

Doskoczyli w kilku do wjazdu, zaczęli szarpać się i mocować, próbując unieść pancerną pokrywę. Na darmo: mimo że klapa dygotała i podskakiwała, to zamek trzymał mocno. Grossmann podniósł głowę, rozejrzał się po polu bitwy: czołgi dotarły już niemal do ich linii umocnień.

– *Ognia w szczeliny!* – krzyknął, doskakując do najbliższej wizury.

Załoga jednak musiała już zorientować się, że Niemcy są na pancerzu, bo na jego oczach od wewnętrznej strony

zamknęła się żelazna klapka, zamykając na głucho i tak wąski otwór. W bezsilnej złości Grossmann uderzył w stal pięścią. Wyszarpnął w końcu z pochwy niepokorny bagnet, spróbował podważyć zamknięcie, ale na próżno. Ktoś trzymał zaślepkę od środka.

– Herr Spiess, zwolnić lewą burtę! – ponad łomot i huk wybił się głos Hindelanga. – Uwaga!

– Zwolnić lewą burtę! – powtórzył po żołnierzu, rzucając się plackiem na pancerz. Jego ludzie rzadko kiedy pozwalali sobie na przejawy inicjatywy, ale gdy już do tego się posuwali, to przyjmował je bezwarunkowo.

Po chwili sam Hindelang odskoczył od czołgu, rzucił się przez pole biegiem, niczym zając, wyciągając swe pałkowate nogi tak daleko, jak tylko miał siłę – a potem detonował granat, zasunięty przez niego w szczelinę pomiędzy armatą a burtą czołgu. Cała machineria aż zatrzęsła się, zarezonowała niczym ogromny dzwon. Leżącemu na jej szczycie Grossmannowi wydało się, że słyszy dobiegające z wnętrza pojazdu okrzyki przerażenia i bólu.

Czołg szarpnął i stanął, potem zakręcił tylko jedną gąsienicą, przekręcając się niezdarnie w miejscu, aż wreszcie zamarł w bezruchu.

– Królowa na f2, mat – głos nadpłynął niczym z zaświatów.

Teodor zamrugał, patrząc na Nemmersdorfa niewidzącym wzrokiem.

– Słucham...słucham? – dał radę wykrztusić.

– Królowa na f2, szach i mat – powtórzył naukowiec. –

W siedmiu ruchach. Reflektuje pan na jeszcze jedną partię, *Herr Leutnant*?

Grossmann pokręcił głową, podniósł się chwiejnie z fotela.

– Niestety... obawiam się, że muszę pana profesora opuścić. – Zdołał skłonić się i nie upaść, po czym odwrócił się i na sztywnych nogach wyszedł z gabinetu, czując, jak kręci mu się w głowie.

Nemmersdorf nie poruszył się, patrząc na niego uważnie spod krzaczastych brwi. Gdy Teodor wyszedł, przesunął swoją damę na wybrane miejsce. Zdjął z szachownicy pionka, podniósł i popatrzył na niego uważnie.

Pociąg szarpnął i stanął, prawie zbijając go z nóg. Egon zaklął siarczyście: nigdy nie lubił kolei żelaznej, a po dwóch latach spędzonych na froncie zupełnie odwykł od podróżowania w towarzystwie cywilów. Większość z nich pociła się i śmierdziała, a ci, którzy byli minimalnie czystszy od reszty, zachowywali się tak, jakby to on śmierdział.

Śmierdział zresztą na pewno, był o tym przekonany. Wiedział jednak, że nic nie zdradza czołgającego się nocą pod drutem kolczastym człowieka tak dobitnie, jak niosący się z wiatrem zapach mydła albo jeszcze gorzej: wody po goleniu! Pranie munduru, mycie zębów, pastowanie butów – wszystko to było dla niego idiotycznym wymysłem durnych konowałów i idiotów ze sztabu, którzy nigdy nie poznali ani życia w okopach, ani na ulicy.

Wojna była brudna. Życie było brudne. Czysty był tylko jego stryjek, zanim ubrali go w garnitur i włożyli do

trumny, a potem czteroletniego Egoną zabrali do sierocińca.

Morał płynął z tego jasny: wszystko, co nas otaczało, było brudem i nieczystością, więc najprostszym sposobem przeżycia było niewyróżnianie się z tła.

– Nie pchaj się, stara jędzo! – warknął na włączającą mu na plecy babę z dwoma koszykami, z których niosło się cokolwiek znamienne gdakanie. Przemytniczka kur odszczeknęła coś, co na szczęście umknęło jego uwadze, bo inaczej musiałby jej po prostu dać w ten krzywy ryj. Potem dopchał się do wyjścia i wyskoczył na peron.

Z godnością poprawił cokolwiek wymiętą bluzę, rozejrzał się. Ot, dworzec jak to dworzec. No fakt, torów faktycznie było więcej niż w Danzig, i budynek ciekawy, z wieżyczkami taki... I czysto nawet, śmieci nie za dużo. Ale Egon był zdeterminowany znaleźć coś, co prędzej czy później uzasadni jego a priori powziętą niechęć do tego miasta.

– Witam pana kaprała w Königsbergu! – Zamiatający peron dozorca uśmiechnął się szeroko. – W czymś pomóc może panu przyjezdnemu?

– Co się pan czepiasz! – ofuknął go Schweikart, wściekły, że został zidentyfikowany jako nietutejszy. Odwrócił się plecami do bezczelnego ciecica i ruszył pewnym siebie krokiem tam, gdzie jego zdaniem powinno znajdować się centrum miasta.

Zwolnił i stanął dopiero, gdy kręcący się wokół magazynów kolejowych robotnicy zaczęli patrzeć na niego

dziwnym wzrokiem. Nie miał zamiaru dać po sobie poznać, że nie ma pojęcia, gdzie zaszedł, więc przedelfilował przez środek hali remontowej, przeszedł pomiędzy rozmawiającymi o czymś majstrami przy wybebeszanej lokomotywie i wyłonił się z drugiej strony, kątem oka starając się nie stracić z oka gmachu dworca.

– E! Panie żołnierz, a pan to dokąd! – dobiegł go głos z boku. – Do kogo?! Przepustkę mamy? Tu nie wolno wchodzić!

– No to przecież nie wchodzę – z godnością rzucił przez ramię Egon i wyszedł za furtkę.

Kiedy udało mu się w końcu dotrzeć na plac przed stacją, zdecydował, że Königsberg to podłe miasto, więc trzeba wziąć je sposobem. Oparł się nonszalancko o słup skręcił i zapalił papierosa, jednocześnie obserwując wychodzących z poczekalni ludzi.

Po kilku minutach i paru podsłuchanych rozmowach miał już jakie takie pojęcie, w którą stronę powinien się udać. Delikatnie zgasił peta, wsunął niedopalonego do papierośnicy i spojrzawszy w przelocie na odlaną ze spiżu mapę miasta, przy której, jak się okazało, stanął, ruszył za bardziej zorientowanymi w temacie i topografii.

Gdzieś w tym mieście, nie będąc niczego świadomym, mieszkał człowiek, dla którego Egon przywiózł aż z Gdańska kilka centymetrów chłodnej, naostrzonej stali.

Horst popatrzył na siedzących obok Afanasija i Iwana.

– Musimy go zlikwidować – powiedział po prostu.

Dwaj konspiratorzy poruszyli się niespokojnie, zerk-

nęli po sobie.

– Tak... ten, i już? – niedowierzająco zapytał Iwan.

– Tak. Nie mamy wyboru, paraliżuje całą operację. Zaczyna węszyć, kombinować.

– A jeżeli to ktoś podstawiony? – wyraził wątpliwość Afanasij. – Nie możemy wykluczyć, że pracuje dla kogoś innego, towarzyszu.

– Wtedy tym bardziej należy go usunąć.

Nie byli przekonani. Horst to widział. Iwan pokręcił głową na boki, podrapał się w brodę i powiedział:

– Coś takiego spowoduje niezłe zamieszanie. Bardzo otwarty ruch.

Horst nachylił się do nich, zaszeptał gorączkowo:

– Ale to właśnie pora na otwarte ruchy! Towarzysz Lenin wrócił do Piotrogradu, coraz więcej jest naszych w armii i związkach! Kraj wrze, tylko patrzeć, jak płomień rewolucji strzeli wysoko – i co powiecie wtedy? Ze czekaliście, zamiast walczyć? Ze nie byliście pewni? Wstyd, towarzysze! Musimy działać, już, teraz!

Pokiwali, nawet z pewnym zapałem.

– Likwidujemy go – powtórzył jeszcze raz Horst. – Ochotnicy?

Obydwaj unieśli dłonie. Uśmiechnął się: dokładnie tacy ludzie byli mu teraz potrzebni.

Erika odwróciła się do Teodora, obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Już wychodzisz? Poczekaj, zostań chwilę... Jak wrażenia po spotkaniu z profesorem?

Odetchnął głęboko, uśmiechnął na tyle, na ile był w stanie. W uszach nadal miał huk i dudnienie toczącego się przez pole bitwy czołgu, dłonie wciąż drżały.

– Wstrząsające – powiedział zgodnie z prawdą.

– Ale że on cię zaprosił, tak od razu! – zeszła do szeptu, położyła mu dłoń na ramieniu. Własne emocje pochłaniały ją tak, że nawet nie zorientowała się, w jakim stanie znajdował się Grossmann. – Pierwszy raz widzę, żeby sam z siebie... O Boże, co by było, gdyby wszedł chwilę wcześniej! Nawet boję się myśleć.

Teodor zebrał w sobie całą pozostającą mu siłę i wolę walki. Dotknął jej twarzy, pogładził po policzku.

– Więc nie myśl.

Jej oczy rozjarzyły się ogniem pożądania, uśmiechnęła się dziko, zaczepnie.

– Dziś wieczorem? Tutaj, po pracy?

– Tak. O której mogę przyjść?

– Bądź... koło siódmej. Zostanę dłużej, upewnię się, że Nemmersdorf wyszedł.

Pocałował ją mocno, a potem założył czapkę i wyszedł z pracowni. Dopiero na korytarzu oparł się ciężko o ścianę. Zgarbił, przygnieciony brzemieniem wspomnień. Nemmersdorf.

ROZDZIAŁ XXXI

Grossmann? Ano tak, mieszka tutaj, o, na górze.

Schweikart zadarł głowę, patrząc w okna wąziutkiej kamienicy. Skrzywił się, possał psujący się ząb i splunął na ziemię: nie.

Najprościej było dojechać frajera na jego terytorium, gdzie mało kto się pilnował. Wejść pół piętra wyżej, a jak ten będzie bujać się z kluczami, spokojnym krokiem zacząć schodzić na dół. Nikt nie boi się, że przy samych drzwiach domu wsadzą mu kosę pod żebra – a wielu powinno.

Ale nie tu, nie w ślepym zaułku najeżonym oknami, w których siedziały wiecznie spragnione plotek, pomarszczone staruchy. Na pewno któraś go zdybie, jak będzie wchodził, dodadzą dwa do dwóch, że przecież nie przyszedł w gości. Kwadrans, góra dwa, jak jakiś włochaty, sapiący grubas zupełnie przypadkiem polezie do sąsiadki na poddaszu, bo żona albo teściowa pośle go po szklanekę mąki – i klops, będzie musiał się zbierać. Zbyt mało możliwości, zbyt duże ryzyko wpadki.

Musiał z niechęcią przyznać, że nawet mu się podobał ten cały Königsberg. Nie był co prawda w połowie tak dobry jak jego własne miasto, ale nawet, nawet porządnie go zaplanowano i dość zgrabnie postawiono. Brak większych dziur i niespójności w architekturze, od czasu do czasu jakiś spokojniejszy przerywnik w formie parku albo

skweru, a najważniejsze punkty połączone mknącymi z zawrotną jak dla Egona prędkością tramwajami. Jakby jeszcze został tu trochę dłużej, a nie tylko epizodycznie, to... kto wie? Może by się zadomowił?

Na pewno mieli tu więcej kobiet niż na froncie.

Pochodził po okolicy, porozpytywał trochę. Ot, takie niewinne rzeczy: gdzie ten cały Grossmann jada, co pije, jakie ma zwyczaje. Ku swemu zdziwieniu nie dowiedział się wiele. Wyglądało na to, że jego cel przychodził tutaj, na Lastadienstrasse, wyłącznie żeby spać!

– Co za dzicz – mruknął młodszy kapral. – Żeby piwa w miejscowym lokalu nie wypić. Zupełny upadek obyczajów.

On, na ten przykład, był człowiekiem bardzo do tradycji przywiązanym – więc w końcu zaszedł do pobliskiej pijalni, zamówił kufel jasnego pełnego i usiadł w cieniu, sącząc złocisty napój.

Patrzył na wejście w zaułek i czekał.

Teodor wrócił na kampus Instytutu pod wieczór. Miał jeszcze kwadrans do siódmej, więc zamiast ruszyć od razu na górę, pokręcił się po alejkach, a potem usiadł na tej samej ławce, gdzie spotkał się jakiś czas temu z Horstem.

Widział stąd doskonale okna pracowni i maszt na tle przedwieczornego nieba.

Nemmersdorf. Nie mógł przestać myśleć o swojej rozmowie z naukowcem, cały czas analizował ją i odtwarzał w pamięci, obracał i tak, i siak... Raz wydawało mu się, że profesor wiedział wszystko i grał z nim w kotka i

myszkę; potem znów dochodził do wniosku, że to przecież niemożliwe, a ich konwersacja była, owszem, ostra i cięta, ale zupełnie niewinna!

W gabinecie Nemmersdorfa były jeszcze jedne drzwi, prowadzące zapewne do jakiegoś rodzaju laboratorium albo warsztatu. Teodorowi wydawało się, że przez cykanie kilkunastu zegarów ściennych dosłyszał tam też inny dźwięk – nierówne, rwane postukiwanie radiotelegrafu. To zupełnie oczywiste, że wieża była tylko szpicą czegoś większego. Jakiejś maszynerii, która stała tam, na wyciągnięcie ręki.

A on nie wytrzymał i uciekł.

W bezsilnej złości uderzył pięścią w kolano. Szlag by to trafił! Teraz powinien mieć szansę zadośćuczynienia za swoją słabość, o ile oczywiście panna Scharfe nie wymyśli czegoś głupiego.

No i był jeszcze Keller, który od trzech dni jakby się pod ziemię zapadł. Nie pojawiał się, nie odzywał, nic. Czy mógł się aż tak strasznie zamknąć w sobie po tym, co urządzili? Nie, to nie było w stylu chorążego.

Tak czy inaczej, Grossmann musiał jak najlepiej wykorzystać jego nieobecność.

Zegar wybił siódmą, więc podniósł się i ruszył w kierunku Instytutu. Wchodząc na górę, klucząc w pustych, cichych korytarzach, wyobrażał sobie, co może teraz myśleć Erika, czekająca na niego w pracowni, nasłuchująca kroków na schodach.

Staął przed drzwiami, zawahał się. Zapukał, a potem

nacisnął kłamekę.

– Czekałam – powiedziała panna Scharfe, siedząca na brzegu biurka wyłącznie w botkach i półprzezroczystym peniuarze. – Chodź do mnie.

Teodor zamknął drzwi, a potem przekręcił i wyjął tkwiący w zamku klucz.

Schweikart zaczynał się nudzić. Po czterech kuflach piwa lekko mu już szumiało w głowie, zdążył pokłócić się z dwoma, a dać po ryju jednemu miejscowemu palantowi. Miał nadzieję na szerzej zakrojoną zadymę, ale potem okazało się, że pierwszy z niedoszłych przeciwników miał ciotkę na targu rybnym w Danzig, a drugi stryjka, który kiedyś służył w Piątym Grenadierskim. Zamiast bijatyki wyszła więc pijatyka – a Grossmanna nadał nie było.

Egon ziewnął, korzystając z okazji, spojrzął na zegarek siedzącego obok. Cholera, już ósma godzina, a on nie ma nawet gdzie spać... Miał nadzieję, że robota pójdzie rach-ciach, a tutaj trzeba sobie będzie zaraz szukać lokum na noc.

– Panienko, jeszcze jedno! – zawołał na przechodzącą kelnerkę, która już wcześniej uśmiechała się do niego mile.
– Panienka, zgadza się?

Młódka nic nie odpowiedziała, ale też nie zachnęła się.
Hm, może nie będzie tak źle.

– Och, Teodorze... mrrr...

Grossmann nachylił się i pocałował Erikę w ramię, przesunął dłonią po jej nagim udzie.

Leżeli na zrzuconej na podłogę narzucie pośrodku

gabinetu Nemmersdorfa. Z minuty na minutę panował coraz głębszy, granatowy półmrok, przez okno widać było podświetlone ostatnimi promieniami słońca chmury i powoli zapalające się gwiazdy.

– Jesteś absolutnie... ach! – Kobieta objęła go ramieniem, przyciągnęła ku sobie. – Mężczyzna, który wie, czego chce.

– To nie każdy tak ma? – na wpół żartem zapytał Teodor. Erika potrząsnęła włosami, dawno już wyzwolonymi z ciasnego upięcia koka.

– Nie. Niestety... a może i na szczęście.

– Pozwolisz odprowadzić się do domu? Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

Spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się.

– To całe miasto drogi. Chce ci się?

– Chwilowo nie... – Pocałował ją. – Ale jeśli poczekamy jakiś kwadrans, to kto wie.

– Pan jest świntuchem, *Herr Leutnant!* – Zaśmiała się.

– Tak. Rozumiem, że to oznacza zgodę?

Ubrali się, posprząтали w pracowni, przy czym Erika nalegała, żeby nie zapalać tam światła – ktoś mógł zobaczyć. W końcu ogarnęła wszystko jeszcze raz wzrokiem, kiwnęła: wychodzimy. Teodor puścił ją przodem przez drzwi, ale ona sięgnęła do torebki, potem cofnęła się do środka, spojrzała na mężczyznę, przerażona.

– Klucz! Gdzie jest klucz? Był w drzwiach, a teraz...

– Sprawdź na stoliku, tam go położyłem. – Grossmann wskazał palcem. – Na pewno tam będzie.

– Jest! – Erika złapała klucz, wyskoczyła na korytarz i zatrzasnęła drzwi. – Ufff... Gdybym go zgubiła, byłoby po mnie!

Zamknęła zamek, wrzuciła kluczyk do torebki i wzięta podporucznika pod ramię. Zeszli razem na dół, potem on wyjrzał pierwszy: recepcja była pusta, dozorca musiał kręcić się po zapleczu.

– Teraz! – szepnął.

Zlecieli pędem po schodach, śmiejąc się, wyskoczyli na dwór, zanim stróż zdążył wyjrzeć, co takiego się dzieje. Objęli się w pół i ruszyli przez wieczorny Königsberg.

Schweikart ziewnął. W dupie z taką robotą! Od siedzenia bolały go już wszystkie gnaty, przechlał niemal wszystkie drobne, a banknotu nie miał ochoty rozmieniać. Potrząsnął papierośnicą: cholera, ostatni. Przecież ostatniego nie będzie palić.

Przebrana już w normalne ciuchy kelnerka wyszła z lokalu, pożegnała się z koleżanką i ruszyła ciemną uliczką. Egon przez chwilę rozważał, którą opcję wybrać, ale w końcu instynkt przeważył: podniósł się i ruszył za panną.

Ta obejrzała się, słysząc jego kroki, i nawet uśmiechnęła.

Noc w tę, noc we w tę – co za różnica?

– Dobranoc. – Erika pocałowała Teodora, a potem schowała się w wejściu do klatki schodowej.

Podszedł bliżej drzwi, słuchając jej kroków: stuk-stuk-stuk-puk-stuk-puk... potem półpiętro, kolejny

ciąg schodów... Tak, mieszkała na drugim piętrze, chyba po lewej. Odsunął się, patrząc na okna: przez dłuższą chwilę światło nie zapaliło się w żadnym nowym, więc mieszkanie musiało wychodzić na wewnętrzny podwórzec.

Odetchnął głęboko chłodnym powietrzem wrześnie-
wej nocy i ruszył przez miasto na swoją kwaterę.

Ludzi było na ulicach relatywnie mało, podnosząca się
znad Pregoly wilgoć zganiała przechodniów do domów.
Czuć już było, że lato się kończy, nadchodziła jesień...
Przygoda podporucznika z tym miastem też dobiegała
nieuniknionego końca.

Tak, jego zadanie dobiegało końca, ale coś po sobie
zostawi. Wsunął dłoń do kieszeni i ostrożnie dotknął
drewnianego puzderka wypełnionego woskiem, w którym
odcisnął klucz do pracowni Nemmersdorfa. Będzie musiał
z samego rana znaleźć ślusarza, a potem dorobiony klucz i
plany przekazać Horstowi.

On wróci na front i będzie próbował przeżyć. Oni
niech kontynuują rozpoczętą operację.

Minął jakąś spóźnioną parkę – dziewczyna, chicho-
cząca i rumieniąca się na potęgę, do niej dosłownie przy-
klejony zarośnięty typ, pewnie szepczący jej na ucho
świństewka. Nawet nie zwrócili na niego uwagi, nazbyt
zajęci sobą.

ROZDZIAŁ XXXII

Wreszcie wolny! Keller obciągnął wyjściowy mundur, poprawił pasek i ruszył dziarskim krokiem po Wallstrasse, prowadzącej od bramy koszar piechoty w kierunku Steindammer Tor. Był brudny, niewyspany, bolały go nogi i piekł spalony słońcem kark – ale wolny.

Co za idiota wymyślił to nagłe koszarowanie? Po co? Cały regiment na chybcika ściągnięty i oderwany od codziennych zajęć. Niczego niespodziewający się ludzie zgarniani z domów, zmuszani w połowie dnia do przerwania pracy w sklepach i wyciągani bez mała siłą z gospodarstw, w których zostało do połowy przemłócone zboże. Wielkie zamieszanie, ogromny zamęt – i nic. Po trzech dniach puszczają ich z powrotem.

Nieważne. Miał kilka dni życia do nadrobienia.

Chciał już skręcić w stronę bramy miejskiej i złapać tramwaj w kierunku zielonych uliczek Mittelhufen, żeby ruszyć prosto do domu. Pomyślał jednak: a może by tak zrobić Erice niespodziankę? Instytut był stąd na wyciągnięcie ręki, a on miał akurat szampański humor. Kiedy człowiek sam się uśmiecha, zawsze jest pewien, że cały świat też odwzajemni ten uśmiech.

Przebiegł na drugą stronę Steindammerrechte Strasse, minął powozownię artyleryjską po lewej i skręcił w boczną bramę na teren kampusu. Pogoda była przepiękna, błękitne

niebo idealnie czyste i pogodne. Panował spokojny, wręcz idylliczny nastrój, jak gdyby świat zatrzymał się w ciepłej, zadowolonej z siebie sytości. Ostatnie tchnienie lata.

Keller wszedł w chłodne, ciemne wnętrze Instytutu, przywitał się z dozorcą i ruszył na górę.

Znał te korytarze i schody jak własną kieszeń, przecież przychodził tu jeszcze z ojcem, jako zupełny szczeniak! Wtedy bawił się w kącie szachami, jednym uchem słuchał rozmów i dyskusji dwóch matematyków i był tylko niejasno świadom, że dorośli rozmawiają o czymś naprawdę poważnym i mądrym.

Potem, gdy ojca zabrakło, zaczął przychodzić tutaj z własnej woli, marząc o tym, że kiedyś będzie mógł podobnie jak on zasiąść naprzeciwko Nemmersdorfa, jak równy z równym.

I co? I nic. Nawet nie pamiętał, gdy profesor po raz pierwszy zaprosił go, żeby zajął miejsce dyskutanta; o czym wtedy rozmawiali? Wszystko to stało się stopniowo, niezauważenie.

Podobnie zresztą jak z Eriką.

Uśmiechnął się do swoich myśli, zastukał i wszedł do pracowni.

– Dzień dobry! – odezwał się od drzwi.

– Och, Gerhard. – Erika wyjrzała. – Dzień dobry.

Przypomniałeś sobie o nas?

Keller popatrzył na nią zaskoczony. Zupełnie jak człowiek, któremu ni z tego, ni z owego ktoś daje na ulicy w pysk, a ten zastanawia się: co się stało?

– Ja... Erika, przecież pamiętałem cały czas. Skoszarowali nas, trzy dni ćwiczeń. Wyobrażasz sobie? W tym skwarze! Cała kompania do pionu, w kamasze i hajda: kopanie rowów, maszerowanie, musztra i ćwiczenia strzeleckie.

Twarz panny Scharfe pozostała niczym nieprzenikniona, antyczna rzeźba. Gerhard uśmiechnął się do niej: to, co było, było. Przemyślał sporo przez czas przymusowej, choć na szczęście krótkiej rozłąki.

– Wyobraź sobie, że razem z nami ćwiczyła też kompania lekkich karabinów maszynowych! – Postanowił podzielić się najciekawszym, co widział w koszarach. – Wreszcie zrezygnowali z tego idiotyzmu, żeby dziesięciu ludzi obsługiwało jedną maszynę, więc teraz jest raptem dwóch, którzy...

– Bardzo ciekawe, Gerhardzie – rzuciła Erika, przechodząc obok z tacką.

Zamrugał. Co się, do diaska, stało?

– Gniewasz się na mnie? – Podszedł do niej, chciał objąć w talii. Wykręciła mu się, odsunęła.

– Nie, mam po prostu pracę. Profesor też pytał o ciebie, dlaczego się nie odzywasz.

Poczuł, jak zęby same zaciskają się w mimowolnym skurczu złości. Poprzedni uśmiech spłynął już mu z twarzy, więc wysiłkiem woli przywołał nowy.

– Eriko, mówiłem ci przecież: skoszarowali nas. O piątej w nocy przybiegł do mnie do domu posłaniec.

– Ach, do domu? – Odwróciła się, rzuciła mu wielo-

znaczne spojrzenie. – Więc nawet wojsko ma twój adres tak? No cóż, to bardzo pouczające. I nie miałeś czasu, żeby chociaż zostawić kartkę? Albo poprosić kogoś, żeby powiedział mi, co się stało?

Wściekłość nadpłynęła znikąd, wezbrała mu w piersiach. Nie, wcale nie znikąd: była tam cały czas, tylko utajona, czekając na właściwą chwilę, żeby wynurzyć się na powierzchnię.

Tak, spędził te cholerne trzy dni ze swoją kompanią! Byli tam jednością, byli czymś więcej. Podobało mu się to, bo nie musiał myśleć, nie było tam konieczności ciągłego roztrząsania subtelnych odcieni znaczeniowych i ukrytych implikacji. Padał rozkaz „kop!” – i kopali, „biegnij!” – i biegli. Bez pytań, bez wyboru. Wiecznie pozbawieni oddechu i wytchnienia. Nieustannie zanurzeni w pragnieniu i bólu, które przytłaczały inne, niepotrzebne emocje.

Przypomniawszy sobie wczorajsze zajęcia z wałki na bagnety i ten moment, kiedy ciosem kolby od dołu trafił Wowereita prosto pod brodę. Tak bardzo chciał dorwać go teraz, w tej chwili, i rozkwasić mu ten pryszczaty, tępy ryj.

Odetchnął głęboko. Tylko spokojnie.

– Eriko, w wojsku nie ma czasu na...

Obróciła się do niego, teraz już ciskając z oczu gromy.

– No tak, przecież twoje wojsko jest najważniejsze, prawda? I rzeczywiście, nie ma w nim czasu na głupoty. Musisz się tam doskonale czuć, skoro nawet nie pomyślisz o mnie.

– Wcale tak nie powiedziałem, Eriko. Wszyscy je-

steśmy wojskowymi, więc...

– Owszem – przerwała mu. – Ale tylko część z was jest przy tym mężczyznami.

Kellera jakby ktoś obuchem w łeb strzelił. Zachwiał się, przed oczami zrobiło mu się ciemno. To, co przed chwilą było tylko bulgocącą gdzieś głęboko w gardle żółcią, nagle zamieniło się w wirujący huragan gniewu. Poczował, jak fala wściekłości zalewa mu mózg, ryczącą i kołującą masą obmywa całe jestestwo – a potem ustępuje.

Tak jak na ćwiczeniach. Został tylko zimny, popielisty chłód.

Uśmiechnął się z przekąsem, zmrużył oczy. Syknął:

– Na całe szczęście podporucznik Grossmann jest jednym z nich. Może następnym razem zaprosimy na orgię jeszcze kogoś, żebyś miała lepsze porównanie?

Podeszła do niego, zacisnęła usta i trzasnęła go w twarz. Echo odbiło się od stiuków na suficie, zadzwoniło w szybach okien i zamarło, przerażone.

Keller obrócił się do Eriki. Jego oczy błysnęły agresją, ale zamiast tego usta rozciągnęły się w złym uśmiechu.

Chorąży skłonił się, trzasnął obcasami i powiedział idealnie równym, wypranym z emocji tonem:

– Zegnam, panno Scharfe.

Naciągnął czapkę, wykonał przepisowy w tył zwrot i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Erika stała w bezruchu, dysząc nerwowo i słuchając jego kroków na schodach. Jej broda zadrżała, zdawało się, że zaraz wybuchnie płaczem... Ale wzięła się w garść, po-

trząsnęła głową i wyprostowała się.

Rozejrzała się, złapała stojący na półce spodeczek. Wzięła ścierkę i zaczęła wycierać go z taką pasją, że aż bieleły jej palce.

– Cztery dni, panie podporuczniku. Szybciej się nie da.

Grossmann stał w jednym z zakładów ślusarskich przy Lindendgraben Strasse – malutkiej klitce przyklejonej do ślepej ściany ceglanego budynku. W ciemnym wnętrzu z trudem mieściły się dwie osoby, przez mleczone szyby z ledwością wdzierało się do środka południowe słońce.

To właśnie tutaj, w widłach Starej i Nowej Pregoly, koncentrowało się życie przemysłowe miasta; tu mieściła się fabryka wyrobów stalowych i maszyn, tutaj można było znaleźć najlepszych rzemieślników.

Co wcale nie znaczyło, że najszybciej działających.

– Jest pan pewien? – Uśmiechnął się, mimo że wcale nie było mu wesoło. – Za pracę po godzinach jestem gotów zapłacić. Muszę dostać się do mieszkania po matce.

Ślusarz popatrzył na niego znad okularów w drucianej oprawce.

– A chce pan podporucznik w ogóle tam kiedykolwiek wejść, ale bez wyważania drzwi? – zapytał. – Sam klucz, owszem, w jeden dzień panu dorobię. Ale przecież tu trzeba najpierw model zrobić z tego, potem odlew z mosiądzu, obrobić, zeszlifować... Tego się nie robi z dnia na dzień.

– Trzy?

Teodor był doskonale świadom, ile ryzykuje – odcisk

w wosku był, najogładniej mówiąc, domeną raczej włamywaczy niż oficerów... Ale zwyczajnie nie miał już czasu na kombinowanie we własnym zakresie, urlop kończył się w przyszłym tygodniu. Horst... Horsta nie chciał w to mieszać, agent był nazbyt porywczy i zafiksowany wyłącznie na swej wąsko pojętej misji. Tym bardziej Grossmann nie mógł ryzykować, że dorobiony klucz może nie zadziałać albo co gorsza złamać się w zamku.

Ślusarz zrobił zafrasowaną minę, rozłożył ręce.

– Nic nie poradzę, panie podporuczniku. Może niech pan spróbuje u kogoś innego?

– Niech już będzie – zgodził się Grossmann. Nie było sensu rozpowiadać, że z innymi rzemieślnikami już rozmawiał, a tego polecono mu jako najlepszego specja w dziedzinie.

Cztery dni zatem. Zostaną mu niepełne dwa, żeby spróbować rozgryźć tajemnicę Nemmersdorfa.

Niech będzie.

– No i co?

– Co i co? – zdziwił się Klaucke. – Aaa, o to pan pyta. No, sprawy się przecież toczą, panie Freudenthal. Już bliżej jak dalej, zapewniam pana.

Przedsiębiorca otarł czoło chusteczką, uśmiechnął się niewyraźnie. Klaucke pomyślał sobie, że lepiej by było, gdyby facet po prostu został w swoim Magdeburgu: ciemne sprawy wyraźnie mu nie służyły, zapadł się w sobie i schudł. Ciemne wory pod oczami zwiastowały, że *Herr* Freudenthal nie sypia też najlepiej, o ile w ogóle.

– Ale... nie da się tego jakoś jeszcze przyspieszyć?

– Nie. – Klaucke zrobił zdecydowany ruch ręką. Miał jednak minimum uczciwości, nie będzie brał dwa razy za to samo; szczególnie jeśli i tak tego czegoś nie ma zamiaru zrobić. – Rozumie pan, to przecież nie takie proste. Nasz likwidator musi namierzyć obiekt, trochę go popaść...

Freudenthal aż drgnął na słowo „likwidator”, potem zaciekawiał się.

– Co takiego zrobić?

– Popaść – usłużnie powtórzył Klaucke. – Pochodzić za nim, popilnować. Pasał pan kiedyś gęsi?

– N-nie...

– No tak, pan z miasta. I jak trafi dobrą okazję, to dopiero wtedy może uderzyć.

– Okazję, powiada pan?

– No, na przykład zdybie go nocą w jakimś zaułku albo coś w ten deseń. Zapewniam pana, że nawet teraz nasz człowiek robi, co w jego siłach.

Oczy Freudenthala zalśniły niezdrowym blaskiem.

Egon podciągnął i zapiął spodnie, poprawił koszulę. Popatrzył raz jeszcze z dezaprobatą na wiszący na gwoździu „Königsberger Tageblatt” sprzed tygodnia: wszystko tu mieli gorsze niż w Danzig, nawet gazety na słabszym papierze drukowali.

– Gówniane miasto – warknął, po czym zrzucił haczyk i dziarskim krokiem wyszedł z ciasnej wygodki. Kolejka oczekujących już dłuższą chwilę mieszkańców kamienicy zamruczała coś niedobrego, ale Schweikart w najmniej-

szym stopniu się tym nie przejął. Miał prawo siedzieć w sraczu dokładnie tyle, ile chciał.

Zwolnił w podcieniu bramy, sięgnął do kieszeni po papierosa. Wnosząc po słońcu, było już prawie południe. Mocno zabarłóżył u kelnereczki, tym bardziej że okazało się, że miała też całkiem sympatyczną współlokatorkę. Wrażenie nieco zepsuło mu tylko to, że przy pożegnaniu obydwie dziewczyny solidarnie wyciągnęły ręce po pieniądze... Wyszło trochę drożej niż nocka w dormitorium, ale i tak było warto.

– Grossmann, gdzie jesteś? – mruknął, odpalając papierosa.

Pora była brać się do roboty.

Horst zerknął na siedzącego obok Grossmanna z niedowierzaniem.

– Już? W przyszłym tygodniu?

– Tak. – Teodor kiwnął głową. – Nic na to nie poradzę, nie dam rady załatwić sobie przedłużenia urlopu. Przekażę wam moje sprawy i będę się zbierać.

Jego rozmówca zasepił się wyraźnie.

– Cholera... Niedobrze.

– Ano niedobrze – zgodził się Grossmann. – Ale postaram się przez te kilka dni popchnąć pewne kwestie na przód. Macie co tu robić w mieście, mam nadzieję, że do czegoś się przydałem.

Horst pokiwał głową, udając, że interesuje go wyłącznie zawartość talerza.

– Jasna sprawa. A co z tym całym... Freudenthalem?

Odczepił się?

– Chwilowo tak. Mam nadzieję, że do mojego wyjazdu już nic nowego nie wymyśli... Macie coś na niego?

– Nie.

Teodorowi mogło się tylko wydawać, ale ta replika była zbyt krótka, przyszła nazbyt szybko. Jakby Horst czekał na to pytanie, mając na nie gotową odpowiedź. Czyżby kłamał?

– Będziemy w kontakcie, *Kamerad*. – Wstał od stolika, przy którym siedzieli obydwaj, nie patrząc na siebie nawzajem.

– Powodzenia, towarzyszu.

Odwrócił się jeszcze w drzwiach, zerknął na Horsta. Być może był jeden sposób, żeby przedłużyć urlop, ale... Potrząsnął głową: nie. Były pewne granice, nawet dla niego.

Egon wsunął się głębiej w podcień budynku, widząc, jak jego cel wychodzi na ulicę.

Znalezienie Grossmanna wymagało odrobiny akrobatyki, ale prędzej czy później każdego dawało się znaleźć. Ciekawe, kim był ten drugi? Usiedli razem, mimo że w knajpie były jeszcze dwa wolne stoliki. Żaden z nich ani szczególnie nic nie zjadł, ani nie wypił; zdawali się celowo nie zauważać sąsiada. Dziwne... ale niestety, niewnoszące wiele do jego zadania.

Mundurowy przeszedł się po mieście, odebrał z pralni paczkę, potem wszedł po coś do jednej z instytucji wojskowych. Schweikart nudził się, ale to też było częścią jego

pracy: musiał wyczekać albo do okazji, albo do zmroku.

Miał czas.

Erika powitała czekającego na nią Teodora z mieszaniną ulgi i wdzięczności.

– Och, jak się cieszę, że jesteś! – Rzuciła mu się na szyję. Podporucznik w pierwszej chwili nie odwzajemnił tak wylewnego powitania, zaskoczony, ale potem też ją objął.

– Co się stało? – zapytał, czując, że coś jest na rzeczy.

Panna Scharfe potrząsnęła głową, wtuliła się mocniej w jego ramię. Trwali tak kilka sekund, potem dziewczyna kiwnęła głową, pokazała ręką.

– Chodźmy. Nie będziemy robić scen pod Instytutem.

– Dobrze. Ale powiesz mi, o co chodzi?

Wyszli na Tiepoldt-Strasse, potem skręcili w Muhlenstrasse, idąc zaułkami i ścieżkami, o istnieniu których Teodor nie miał pojęcia. Wyglądało to tak, jakby Erika kierowała się do domu zupełnie inną trasą.

– Był u mnie dziś Gerhard – odezwała się w końcu, pozornie bez związku; widać było jednak, że już dłuższy czas zbierała się, żeby to powiedzieć.

– O?

– Twierdzi, że mieli jakieś ćwiczenia.

– To możliwe – zgodził się Teodor. – Słyszałem, że część ludzi dostała powołanie do koszar. Wszystko u niego w porządku?

– T... nie, nie wszystko. Przyszedł do mnie, zaczął opowiadać o wojsku, urządził straszną awanturę. Nie chcę

o tym mówić, wybacz.

Crossmann westchnął w myślach: kobiety! Czyli teraz to on powinien pewnie nalegać?

– Dobrze, jak sobie życzysz – powiedział po prostu. – Masz ochotę na coś słodkiego? Jest tu nieopodal dobra cukiernia.

Erika popatrzyła na niego, wyraźnie niezadowolona, że nie podjął jej sposobu prowadzenia rozmowy.

– Nienawidzę cię za to – warknęła. – Ze potrafisz być taki... taki idealny. A gdybym kazała ci skoczyć do Pre-goły?

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Skoczyłbym. Ale wyłącznie trzymając cię za rękę.

– Och ty! – W żartach pacnęła go w ramię. – Ech... No dobrze, powiem ci. Gerhard zrobił mi straszną awanturę, a na koniec spytał, cytuję, „czy może do kolejnej orgii powinniśmy zaprosić jeszcze kogoś”. Nie wiem, nie poznaję go. Jakby go ktoś podmienił od... od tamtej nocy. A przecież zdawał się bawić nie gorzej od reszty z nas.

Teodor uniósł brew, zaskoczony: panna Scharfe nawet się nie zarumieniła, mówiąc o tym.

– I co zrobiłaś?

– Dałam mu w pysk, jak przystoi kobiecie silnej i niezależnej. – Wzruszyła ramionami. – Chociaż może powinnam była najpierw zapytać, czy ma już gotową listę kobiet na wieczór. Wyjdziemy dziś gdzieś? Mam ochotę potańczyć i pozwolić się upić. Zaprowadź mnie do jednego z tych miejsc, do których chadzają tylko mężczyźni!

– Eriko, nie jestem pewien...

– Ale ja jestem pewna. – Stała, złapała go mocno za rękę. – Zrobisz to dla mnie? Dziś wieczorem nie chcę myśleć, nie chcę pamiętać. Nie chcę być twoją damą, tylko... tylko twoją...

Położył jej palec na ustach.

– Wyłącznie dla ciebie.

Kiwnęła głową. Jej oczy błyszczały już poprzednim blaskiem, jak u kobiety dopiero odkrywającej nowy świat doznań.

– Będzie tam ruletka? – zaciekawiała się, ujmując go pod rękę. – Chciałabym zagrać, a podobno kobietom nie wolno. I zapalić cygaro.

Teodor pokręcił głową z niedowierzaniem.

– *Fraulem* się rozkręca.

– Dopiero zaczynam. – Erika uśmiechnęła się wyzywająco. – Przyjdiesz po mnie wieczorem?

– Oczywiście.

Doszli do domu panny Scharfe, stanęli pod drzwiami na klatkę schodową. Erika już położyła dłoń na klamce z lwią głową, ale chyba wpadła na jakiś pomysł. Szepnęła do Teodora:

– Będę czekać o ósmej przy Herbartstrasse. To tutaj, niedaleko. Jest tam taki zaułek, gdzie zawsze... Będę tam, znajdź mnie.

Grossmann chciał zaproponować, ale dziewczyna stanęła na palcach, szybko pocałowała go w usta i schowała się do środka.

Popatrzył na zegarek: trzy godziny. Wyglądało na to, że powinien się przygotować... Po drodze był porządny zakład balwierski, a wcześniej jeszcze akurat zdąży się umyć.

Schweikart splunął z odrazą: łaźnia! Z wielu miejsc, do których mógł ten Grossmann wleźć, akurat wybrał łaźnię publiczną!

Egon miał na temat czystości swoją teorię, owszem, ale w sumie był w stanie uszanować to, że nie wszyscy się z nią zgadzali – o ile oni, oczywiście, byli w stanie uszanować jego zdanie.

Ale łaźnia?! Przecież ilość paskudztw, na jakie się w niej człowiek wystawiał, była przerażająca! Wszyscy ci ludzie naraz pocący się, sapiący, kaszlący i kichający, łażący boso po kamieniach i drewnie... Faj! Do tego ciało wyszorowane do różowego, pozbawione naturalnej powłoki ochronnej, bezbronne i narażone na atak setek niewidocznych gołym okiem, tajemniczych mikroobów, bakterii i innego paskudztwa, o którym opowiadała im jeszcze w sierocińcu ponura siostra Eulalia.

Poza tym był jeszcze inny problem: do łaźni nie dało się wnieść noża, a bez tego młodszy kapral Egon Schweikart czuł się zupełnie, ale to absolutnie nagi.

– Ohyda – warknął, sadowiąc się na kamiennej ławeczce po drugiej stronie ulicy.

Poczeka. Prędzej czy później ten pajac Grossmann będzie przecież musiał stamtąd wyjść.

Prawie dwie godziny później Egon był niemal pewien,

że okupi tę robotę nie tylko odleżynami na dupie, ale też zapaleniem pęcherza. Pod wieczór zrobiło się chłodno, kamień z ciepłego nie wiadomo kiedy zrobił się zimny jak grób, a w dodatku spadł deszcz.

– Cholerne cywilne ciuchy. – Splunął na ziemię. Po mundurze, szczególnie odpowiednio zaimpregnowanym, woda po prostu spływała. Natomiast młodszy kapral czuł teraz, że cienka marynarka i koszula kleją mu się do pleców, kradnąc coraz więcej deficytowego ciepła. – Cholerne, durne miasto.

Co można robić w łaźni tak długo? A może pan podporucznik tam zasnął albo umarł na zawał? No, to drugie nie byłoby takie złe, chociaż Egon wołał załatwiać swoje zlecenia osobiście.

W końcu w wyjściu mignęła znajoma sylwetka w mundurze. Nożownik podniósł się ze swojego miejsca, przeciągnął i niespiesznym krokiem ruszył za ofiarą.

Teodor usiadł wygodnie w fotelu balwierza.

– Pełne golenie i strzyżenie poproszę.

Golibroda zakręcił się wokół niego, podsunął bliżej miskę z wodą i zaczął ostrzyć brzytwę o wiszący na gwoździu przy lustrze pasek.

– Naturalnie, *Herr Leutnant*. Coś specjalnego dla pana podporucznika? Może jakiś zapach, bo rozumiem, że okazja jest tego warta?

– Kobieta – uśmiechnął się Teodor, taksując wystawione na półeczce wody kolońskie. W końcu wskazał stojącą na samym końcu szeregu buteleczkę 4711, naj-

słynniejszej z wód kolońskich.

– Doskonały wybór. To musi być naprawdę wyjątkowa dama.

– Zarówno ona, jak i jej pracodawca – mruknął Teodor i przymknął oczy, gdy rzemieślnik rozwinął na jego twarzy gorący ręcznik.

Schweikart patrzył na siedzącego w zakładzie balwierskim Grossmanna wzrokiem bezdomnego psa siedzącego przed witryną zakładu rzeźniczego.

Gdy golibroda przyłożył Teodorowi brzytwę do gardła, zaskamlał cicho i przygryzł kciuk: och, ile by dał, żeby znajdować się teraz na jego miejscu! Czuć pod dłonią chłodną i ostrą stał, pod którą delikatnie ugina się powierzchnia skóry, widzieć dokładnie pulsującą tętnicę i nieco mniej wyraźne żyły po drugiej stronie szyi!

Przełknął ślinę: weź się w garść, Egon.

Już niedługo.

Teodor wstał, przejrzał się w lustrze. Przeciągnął dłonią po idealnie gładkich policzkach, przekreślił głowę, żeby lepiej przyjrzeć się odświeżonej fryzurze. Sięgnął po portfel, zostawił godną usługi sumę z dość hojnym napiwkiem.

– Dziękuję. Naprawdę mistrzowska robota.

– Najlepszy zakład w mieście, *Herr Leutnant* – skwitował bez fałszywej skromności golibroda. – Polecam się łaskawej pamięci!

Egon ożywił się, widząc w drzwiach ciemniejszą sylwetkę. Było zupełnie ciemno, ale przez przeszkloną

fasadę lokalu wylewało się na ulicę dość światła, żeby miał pewność: to Grossmann. Zresztą nie po to wpatrywał się codziennie rano w otrzymane od Mańkuta zdjęcie, żeby nawet po ciemku nie poznać człowieka, za którego śmierć obiecano mu nielichą sumkę.

– Tuś mi, ptaszku – mruknął do siebie, gładząc przez materiał marynarki zimną stal noża.

Ruszył w pewnym oddaleniu za tamtym, starając się nie rzucać w oczy. Ulice były już prawie puste, tylko pojedynczy spóźnieni przechodnie, na tyle odważni albo bezczelni, żeby nie bać się godziny policyjnej, kręcili się po układającym się do snu Königsbergu.

Egon z każdym krokiem, cal po calu, skracał odległość. Nie spieszył się, nie przyspieszał tej chwili, bo wiedział, że to tylko on sam wyznacza rytm i tempo porównania. Teoretycznie mógłby doskoczyć do swojego celu już, teraz dźgnąć szybko w aortę, poprawić pod nerki i w serce... Aż zadrżał na samą myśl o tej chwili.

Wiedział jednak, że ekstaza będzie ulotna. Potrwa tak długo, jak długo trzepotać będzie się serce umierającego, utrzyma się wraz z resztkami ostatniego tchnienia w płucach, a potem zniknie. Uleci, a świat będzie taki sam, jak był zawsze: szary, brudny i nijaki.

Więc nie spieszył się, delektował nadchodzącym zwieńczeniem, niczym kochanek bawiący się ze swoją wybranką.

Jego cel przeszedł spory kawałek, aż wreszcie skręcił w boczny zaułek, a Egon mimo woli przyspieszył kroku.

Wiedział, że to już blisko, że lada chwila. Namacał w kieszeni rękojeść noża, rzucił na ulicę papierosa i oblizał nagłe suche wargi. Wszedł w ciemną uliczkę, widząc przed sobą sylwetkę, ujął mocniej nóż, wyrównując krok i powstrzymując powietrze....

Od ściany oderwała się druga postać, przebrzmiał urywek wypowiedzianej frazy, w ciemności rozjarzył się pomarańczom papieros. Jego ceł oparł się ręką o ścianę, nachylił do podpierającej jeden z budynków kobiety, zagadnął o coś. Szlag by to trafił! Egon zacisnął pięść z nożem aż do bólu. Powstrzymując się siłą woli, minął parkę, połączoną przez chuc, przeszedł uliczką do końca i skręcił za róg.

Odszedł jeszcze kilkanaście kroków, a potem schował w luk bramy, dysząc ciężko. Wsparł nagłe rozpalonym czołem o zimny, wilgotny mur, rozpiął dwa guziki pod szyją. Było tak blisko! O wyciągnięcie ręki, o włos, a tymczasem...

– Te, kolego. Kopsnij no piątaka dla weterana.

Słowa pozornie niewinne, w odróżnieniu od szorstkiego, pozbawionego emocji tonu. Wypowiadający te słowa doskonale wiedział, że są one wyłącznie dźwiękami pozbawioną realnego znaczenia zaczepką, pretekstem dla wszystkiego, co zwykle następowało dalej.

Nie tym razem.

Egon odwrócił się i nie zastanawiając, jednym płynnym ruchem wbił tamtemu nóż w podbrzusze. Nieszczęśnik sapnął, a on pociągnął ostrze ku górze, czując, jak

trzask rwącego się materiału i włókien ciała napelnia jego duszę iście niebiańską rozkoszą... Po ręku spłynęła gorąca krew, której dotyk był niczym nektar otulający podniebienie. Egon zajęczał cicho, wtórując osuwającemu się na ziemię niedoszłemu rzezimieszkowi.

– O tak, tak, tak... – szepnął, układając go na ziemi i czym prędzej moszcząc się obok, na twardych, zimnych kamieniach bruku w tej bezimiennej, cuchnącej szczynami bramie. Jego skroń dotknęła czoła umierającego, złapał za drżącą w konwulsjach dłoń i przycisnął do ust. – Taakkk...

Leżał tak, aż ustały śmiertelne drgawki. Podniósł się, otrzepał ubranie i popatrzył zupełnie beznamiętnie na trupa, niczym syty biesiadnik oceniający stół po ucztach.

Wiedział, że przynajmniej tej nocy da radę spokojnie zasnąć. Chociażby miał spać na ławce w parku albo pod mostem, to i tak zaśnie jak dziecko.

– Mrrr, *Herr Leutnant*, pachnie pan uwodzicielsko – mruknęła Erika, gdy ich usta rozłączyły się w końcu po pierwszym pocałunku. – Jak się panu podoba moja kreacja?

– Jest... chyba odważna – odrzekł zgodnie z prawdą Teodor; nie miał czasu ocenić sukni inaczej jak dotykiem.

– Więc proszę mnie zabrać w równie odważne miejsce i traktować adekwatnie. Czy to jasne?

Grossmann przyciągnął ją do siebie, pocałował jeszcze raz.

– *Fraulein* ma ochotę dominować tego wieczora? – zapytał. Erika potrząsnęła głową, zaplotła mu ręce na szyi.

– Nie. Chcę być pana... w pełni.

– Zatem ruszajmy, *Fraulein Scharfe*. Noc jest jeszcze młoda.

Egon patrzył, jak Grossmann odchodzi, obejmując kobietę. Może nie była to zwykła dziwka? Ale skąd w takim razie takie miejsce schadzki?

Nieważne.

Zapoluje ponownie kolejnego wieczora.

ROZDZIAŁ XXXIII

Erika zerwała się skoro świt, opłukała na szybko i wzięła taksówkę z powrotem do swojego mieszkania – w końcu musiała jeszcze zdążyć przebrać się w normalne ubranie i pobiec do pracy, do Nemmersdorfa! Teodor załegł w pokoju hotelowym nieco dłużej, wykąpał się i zwlókł z łóżka dopiero przed dziewiątą.

Dzień był rześki, po wczorajszym lekkim deszczu powietrze stało się świeże i lekko kłujące w nozdrza – znak nieubłagania nadciągającej jesieni.

– Trzy dni zostały... – Pokiwał głową, patrząc na panoramę porannego Königsberga. Zdążył nawet polubić to miasto, poznał je od podszewki, od tej najlepszej i najgorszej strony... A teraz przyszła pora wyjeżdżać.

Zszedł na dół, przekąsił jajecznicę w hotelowej restauracji, rozliczył się za pokój i ruszył na kwaterę, żeby zmienić chociaż bieliznę przed kolejnym intensywnym dniem. Miał do załatwienia parę spraw w administracji pułku, poza tym wypadałoby jeszcze spotkać się z Kellerem – o ile, oczywiście, tamten w ogóle będzie chciał z nim rozmawiać.

Czy szkoda mu było Gerharda? Nie był pewien. To, co wydarzyło się w jego willi, stało się za wiedzą i zgodą wszystkich obecnych. A to, że Erika okazała się drogą do Nemmersdorfa... No cóż, taka była już specyfika pracy

Grossmanna, jego zadania.

Jego samego.

Dotknął wciąż trochę bolącej cysty na żebrach z prawej strony. Wiele razy przez te dwa lata zadawał sobie pytanie: czy Nikołaj Nikołajewicz mógł go wtedy zastrzelić? „Zapewne tak” – brzmiała najbardziej prawdopodobna odpowiedź. Teodor nieraz zastanawiał się, dociekał, dywagował: może nabój był specjalnie spreparowany, z mniejszym ładunkiem prochu? Kto wie, może *Jego Wysoczystwo* był strzelcem tak wytrawnym, że wiedział, jaka rana nie będzie śmiertelna?

Istniała też możliwość, że Teodor był dla niego wyłącznie pionkiem na szachownicy, aktywem nabytym i zbywalnym – a jego misja warta podjęcia nawet takiego ryzyka. Słowem: choćby zginął, nikt by po nim nie zapłakał.

Nigdy nie miał dowiedzieć się prawdy.

Wspiął się na górę po schodkach, stanął przed drzwiczkami do mikroskopijnego mieszkanca. Już sięgnął po klucz, gdy... Stop! Pomiędzy drzwiami a futryną tkwiła wsunięta złożona na czworo kartka.

Obejrzał się przez ramię, czy aby sąsiad z naprzeciwka nie wygląda przez judasza, po czym wyciągnął notatkę, otworzył drzwi i schował się do środka. Od razu przytknął oko do przeziernika, obserwując korytarz i nasłuchując, czy ktoś nie stoi na schodach; potem w końcu odetchnął, powiesił na haku czapkę, rozpiął bluzę. Przeszedł do pokoju dziennego, rozłożył odręcznie zapisaną karteczkę.

Spotkajmy się o dziewiątej wieczorem na dziedzińcu zamku. Freudenthal.

Freudenthal – po raz kolejny. Człowiek, o którego miał podobno rozpytać na mieście Horst, a mimo to Teodor nadał nic o nim nie wiedział. Robiący nieudolne umizgi, wyraźnie czegoś chcący albo próbujący się o coś wywieźć. A teraz nagle wyszedł z propozycją otwartego spotkania, dostarczoną jednak w sposób co najmniej podejrzany.

Mało tego – wiedział, gdzie Grossmann mieszka. Już samo to powinno skłaniać do ostrożności.

Teodor pstryknął zapalniczką, przyłożył kartkę do ognia. Patrzył, jak papier czernieje i zwija się. W końcu wrzucił dopalający się fragment do popielniczki, roztarł palcem na popiół.

Nie miał wyboru, musiał to sprawdzić.

Erika była właśnie w trakcie alfabetycznego porządkowania książek na najwyższej półce przy oknie pracowni, kiedy Nemmersdorf wyjrzał ze swojego gabinetu.

– *Fraulein* Scharfe, będzie pani łaskawa do mnie na chwilkę.

– Już, panie profesorze.

Zeszła z drabiny, wytarła ręce z kurzu i poprawiła włosy, po czym zastukała do drzwi i wstąpiła w święte świętych Nemmersdorfa. Naukowiec siedział w swoim fotelu, zwyczajowo opierając brodę na zaplecionych dłoniach; gdy weszła, pokazał jej ruchem miejsce przy oknie.

– Proszę zasiąść, *Fraulein* Scharfe.

Popatrzyła na niego niedowierzająco, ale potem wzruszyła ramionami i usiadła naprzeciwko. Nigdy wcześniej nie zasiadała na fotelu przeznaczonym dla gości, przeważnie zajmowali go tylko...

– Mężczyźni – rzucił Nemmersdorf, spoglądając na nią uważnie spod krzaczastych brwi.

Erika poczuła, jak rumieniec uderza jej na policzki, ale zaraz powściągnęła emocje.

– Słucham?

– Mężczyźni, panno Scharfe. Ci, którzy rzekomo rządzą tym światem, zawsze widoczni i wyniesieni na piedestał. Nie przeszkadza to pani, że cały świat kręci się wokół nich?

– Nie myślałam o tym nigdy, *Herr Professor*.

– Tak, to niestety widać – pokiwał Nemmersdorf. – Uważam jednak, że powinna pani nareszcie zacząć. Bo potrafi pani myśleć, prawda? Mimo że jest kobietą?

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Zacisnęła usta, a potem powiedziała tak spokojnie, jak tylko umiała:

– Panie profesorze, niech sobie pan profesor nie pozwala na zbyt dużo. Płaci mi pan, owszem, a ja sprzątam, zbieram, układam i parzę herbatę, ale nie jestem pana niewolnicą. Raz już stąd wyszłam, więc...

Nemmersdorf uniósł tylko dłoń, a ona umilkła. Naukowiec uśmiechnął się.

– Cieszę się zatem, że możemy porozmawiać jak równy z równym... Albo równą raczej. Niech mi pani powie, czy *Herr Keller* będzie jeszcze pojawiać się w mojej

pracowni?

– To zależy wyłącznie od niego, panie profesorze – odparła bez namysłu.

– Ach. Więc dla pani nie jest to kwestia pryncypialnego wyboru?

– Ani dla mnie, ani dla niego, *Herr Professor*.

Na chwilę zapadła cisza. Słysząc było jedynie tykanie zegarów na ścianach i donoszące się z pokoju obok nierówne klekotanie radiotelegrafu, niestrudzenie wystukującego na taśmach papieru coraz to nowe wiadomości.

Nemmersdorf spojrział w okno, na falujące w delikatnym wietrze korony pożółkłych kasztanów.

– Podporucznik Grossmann to bardzo ciekawy młody człowiek, prawda? – odezwał się takim tonem, jakby poprzedniej części rozmowy w ogóle nie było.

– Tak, *Herr Professor*. Nie tylko dla mnie, jak widać.

– Hm?

– To pan zaprosił go do swojej pracowni przy pierwszym spotkaniu. Z nikim wcześniej pan profesor tego nie robił.

– Doprawdy? – szczerze zainteresował się Nemmersdorf. – No cóż. Widzę, że muszę częściej polegać na pani obserwacjach. Coś jeszcze nietypowego, co rzuciło się pani w oczy?

Erika zastanowiła się. Było coś, co sama nie do końca potrafiła zdefiniować, jakiś element, który do tej pory jej umykał... Coś związanego z samymi początkami jej znajomości z Grossmannem.

– Nie. – Potrząsnęła głową.

Profesor popatrzył na nią uważnie. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz przejrzy jej kłamstwo, zmusi ją do przyznania się – ale potem Nemmersdorf pokiwał głową i powiedział:

– Dziękuję za rozmowę, panno Scharfe. Musimy to jeszcze powtórzyć.

– Tak, *Herr Professor*.

Dopiero gdy wstała, poczuła, jak bardzo kręci się jej w głowie. Wyszła, zostawiając naukowca w towarzystwie jego zegarów i myśli.

Keller nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Jeszcze wczoraj wieczorem poszedł do mieszkania Eriki, żeby... sam nie był pewien, po co. Gotów był ją przeprosić, upaść na kolana i prosić o wybaczenie, byle tylko zmyć ten paskudny smak goryczy, który osiadł mu w gardle – ale jej nie było. Stał pod drzwiami, stukał i dzwonił tak długo, aż w końcu wyjrzała sąsiadka z naprzeciwka.

– Nie ma jej – powiedziała po prostu. – Wyszła na miasto i nie wróciła jeszcze.

– Dawno?

– No, z półtorej godziny będzie. Odstawiona taka, jak na bał jakiś. Albo na rewię raczej, he, he.

Nawet nie pamiętał, jak potem wrócił do domu. Szwendał się do późnej nocy po uliczkach Königsberga, potem zaniósł go na grób rodziców, przy którym chyba popłakał się jak dziecko, aż w końcu jakimś cudem złapał

ostatni tramwaj, który podwiózł go w okolice Mittelhufen.

Dom był pusty i cichy, a Gerhardowi wydawało się, że w powietrzu wciąż czuje zmieszany zapach perfum obydwu kobiet, którymi tamtej nocy podzielili się z Grossmannem. Wyjął z barku butelkę i usiadł na werandzie ze szczerym zamiarem upicia się w sztok.

Obudził się przed świtem, trzęsąc z zimna i potwornego bólu głowy. Zwlókł się z ławeczki i wdrapał na piętro, gdzie najpierw profilaktycznie zwrócił resztkę zalegającego w żołądku alkoholu, a potem zakopał się pod pierzyną i w końcu zasnął.

Teraz, już następnego dnia, siedział przy stole w salonie. Zegar tykał, dochodziła piąta. Migrena powoli mijała.

Keller myślał intensywnie i powoli dojrzywał do tego, co powinien zrobić.

– Jeszcze raz? – Kelnerka nachyliła się nad Egonem zapraszająco i puściła filuternie oko. Nożownik w pierwszej chwili nie załapał, o co chodzi, wybity z rytmu obskurnych myśli. Dopiero potem popatrzył na osuszony kufel, kiwnął głową.

– Ano, nie zaszkodzi. Tylko nie za dużo piany żeby było!

Dziewczyna zabrała puste naczynia, odeszła, kręcąc biodrami. Schweikart popatrzył jej w ślad, mruknął do siebie:

– Wszyscy w tym mieście to sprzedajne ladacznice.

Siedział tak w bezpośredniej bliskości lokum swojego

celu kolejny wieczór i zupełnie nie miał pomysłu, jak się do tego całego Grossmanna dobrać. Oczywiście można było to zrobić na rympał, w biały dzień, w tłumie... Ale Egon nie był przecież typem partacza i sam o sobie miał zdecydowanie wyższe mniemanie niż to, jakie żywili o nim inni.

Zrobi to tak, jak się powinno – jeden na jeden, patrząc ofierze w oczy.

To jest o ile się w końcu doczeka.

Obserwował zaułek już kwadrans, dwa, trzy. Godzinę... Ale wiedział, że cierpliwość to cnota. Kiedyś poza tym zdarzyło mu się przeleżeć cały dzień pod ciałem martwego towarzysza, kiedy ich atak rozbił się o francuskie zasieki. Ubrane na niebiesko żabojady chodziły wokół, gadały coś po swojemu, dobijały rannych – a on leżał w tej błotnistej kałuży pod trupem, wystawiając nad powierzchnię wody tylko usta, nos i oczy. Nie myślał wtedy o niczym, nie zastanawiał się, nie dywagował. Po prostu czekał.

Tak samo teraz.

Na stoliku przed nim pojawiło się kolejne piwo, więc od razu z lubością przytknął usta do złocistego płynu, będącego mu ostatnio jedyną pociechą. No, może z wyjątkiem kobiet. I papierosów. W zasadzie to w życiu Schweikarta było jeszcze sporo radości oprócz piwa, kobiet i papierosów – ale wszystkie one blakły w porównaniu z zabijaniem ludzi.

A teraz jego ulubiona przyjemność była w zasięgu rę-

ki, ale niedostępna.

– No wyleź żeż... – warknął, zwracając się do siedzącego gdzieś tam w trzewiach budynku Grossmanna. – To przecież nie do pomyślenia, żeby uczciwy człowiek... hopla!

Jak na zamówienie podporucznik wyszedł z uliczki i pomaszerował zwawym krokiem w kierunku Königsgarten. Schweikart z wrażenia aż oblał się piwem. Zaklął szpetnie, w trzech potężnych łykach osuszył kufel, rzucił na stół kilka monet i ruszył za żołnierzem, utrzymując bezpieczną odległość kilkunastu kroków od celu.

– *Heute nacht oder nie...* – zanucił pod nosem słyszaną kiedyś piosenkę. – Dziś wieczorem albo nigdy.

Nie tylko on jeden czekał, aż Grossmann wyjdzie tego wieczora na miasto.

Fahnrich Gerhard Keller czuł się tak, jakby oglądał świat przez oczy kogoś zupełnie innego. Mogła to być kwestia wypitego alkoholu, który po wcześniejszym pijaństwie teraz uderzał w mózg z mocą huraganu, wykręcając i przyćmiewając większość normalnych, logicznych myśli.

Wszystko układało się niemal idealnie: ledwo doszedł do uliczki, a z zaułka wyszedł Grossmann, oddalający się teraz w kierunku centrum miasta.

Miał ochotę od razu zakrzyknąć na niego, na oczach ludzi, publicznie... Ale coś w jego duszy ostrzegało go przed tym, resztki przytłumionego przez wódkę rozsądku krzyczały: to nie jest dobry pomysł! Więc na razie po pro-

stu szedł za Teodorem, wpatrzony w jego plecy, nie do końca jakby wiedząc, po co w ogóle to robi.

Chcę tylko zrobić to, co należy, przekonywał sam siebie, nie próbując nawet definiować, co konkretnie rozumie przez te słowa.

Pistolet w kaburze u boku ciążył mu niemiłosiernie.

Freudenthal miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

Kręcił się po dziedzińcu zamku już od ponad dwudziestu minut, co rusz nerwowo spoglądając w kierunku głównego wejścia. A co, jeśli Grossmann przyszedł wcześniej? Jeżeli już tu jest i go obserwuje?

Potrząsnął głową, próbując odgonić czarne myśli. Zabrnął w to już zbyt daleko, zbyt głęboko, żeby się teraz wycofywać. Musiał doprowadzić dzieło do końca, nawet jeśli oznaczało to, że musi pomóc człowiekowi, za którego usługi zapłacił niemałe pieniądze – albo dopełnić dzieła sam.

Wsunął się za obrośniętą bluszczem kolumnę, gdy zauważył, że Grossmann wchodzi na dziedziniec.

Teodor przeszedł przez główną bramę, zwolnił i zatrzymał się. Podwórzec niegdysiejszego Zamku Królewskiego był o tej porze cichy i pusty, w dzielonych szprosami wąskich okienkach odbijało się wieczorne niebo w odcieniach granatu i purpury.

Rozejrzał się. Czemu Freudenthal wybrał tak dziwne miejsce spotkania? Czy mogło chodzić o to, żeby nikt ich nie widział w miejscu publicznym razem? Czy może wręcz

przeciwnie?

Zauważył ruch gdzieś w arkadach, jakaś sylwetka przesunęła się pod ścianą. Ruszył w tamtym kierunku, trzymając się jednak otwartej przestrzeni wybrukowanego dziedzińca.

Czuł przez skórę, że coś się święci.

– *Herr* Freudenthal? – odezwał się, podchodząc bliżej. Jego głos poniósł się echem pod sklepieniami kruzgankami, odpowiedziało mu tylko echo i... kroki. Ktoś szedł, szybko przebierając nogami i oddalając się od niego.

Podporucznik wkroczył pomiędzy kolumny, spojrzał w lewo, w prawo – daleko przy zakręcie mignęła mu kraziasta marynarka Freudenthala. Ruszył w tamtym kierunku, jednocześnie poluzowując zapięcie kabury.

Egon zobaczył, jak jego cel wchodzi w bramę zamku, i przystanął. No co ten Grossmann, na zwiedzanie się wybrał po nocy? Przecież nie będzie tam wchodzić za nim, bo za cholerę się nie znajdą... Ale z drugiej strony, był sam zbyt blisko wejścia, żeby tak po prostu zawrócić w miejscu, więc nonszalanckim krokiem podszedł bliżej, udając, że kontempluje detale herbu nad bramą.

Nie był pewien, co oznacza słowo „kontemplować”, ale kiedyś pewna dama użyła go, gdy gapił się zbyt długo na tyłek jej córki.

Gdy najpierw usłyszał kroki, a potem zobaczył, że ktoś wychodzi z dziedzińca, po prostu zszedł na bok, rozkraczył się i rozpiął rozporek. Nie chodziło tylko o kamuflaż: robota robotą, a o zdrowie trzeba dbać... Wypuścił parującą

strugę na wiekowe kamienie, pilnując się, żeby nie zerknąć przypadkiem na przechodnia.

Nerwowy, szybki krok miękkich butów na skórzanej podeszwie najpierw zbliża się, narasta, a potem oddała... Gdy Schweikart spojrział w ślad za ubranym w kraciastą marynarkę cywilem, w przejściu bramy zadźwięczały podkute oficerki. O proszę, to pan podporucznik już się znudził zabytkami?

Począł, aż Grossmann go minie. Strząsnął wprawnym ruchem ostatnie kropelki i strzyknął śliną przez zęby, zapinając spodnie.

Polowanie trwało.

Teodor wyszedł za Freudenthalem z dziedzińca zamku, niemal już pewny, że ten coś kombinuje. Przedsiębiorca szedł szybko, powstrzymując się, żeby nie biec, i uporczywie nie oglądał się za siebie – jak gdyby wiedząc, że jest śledzony? Przeszedł przez plac, potem przebiegł na drugą stronę Bergstrasse i zanurzył się w ciemny labirynt wąskich uliczek starego miasta.

Nie przypominało to pogoni, bynajmniej – raczej grę w podchody. Odległość pomiędzy nimi to zwiększała się, to znów malała, ale Freudenthal chyba nie chciał go zgubić; wydawać by się mogło, że wręcz zwalnia i przystaje na rogach, pokazując się Grossmannowi akurat na tyle, aby ten wiedział, dokąd iść dalej.

Przeszli przez Holz-Brucke, zostawiając po prawej stronie gmach Starego Uniwersytetu i wysmukłą wieżę katedry. Teodor przyspieszył, chcąc zmniejszyć dystans,

ale wtedy Freudenthal zanurkował w lewo pomiędzy budynki, zaraz przed nową synagogą.

Rad nierad podporucznik podążył za nim, w zaułki należących do żydowskiej biedoty kamienic.

Keller doskonale widział, jak Teodor skręca w lewo zaraz za mostem i chowa się w płataninie rozsypujących się zabudowań i drewnianych baraków. Czego tam szukał? Dlaczego szedł taką dziwną trasą?

Obliział nerwowo usta. Aż dziwne było, że ten szczywany, frontowy lis do tej pory nie zorientował się, że Gerhard za nim idzie.

Odruchowo dotknął rękojeści pistoletu.

Nareszcie! Egon przyspieszył kroku, żeby ściąć zaułek przez śmietniki i przeciąć drogę swojemu celowi, nim ten przejdzie na drugą stronę kwartału zabudowań. Nie miał pojęcia, co zagnało Grossmanna w tę okolice, nie obchodziła go jego motywacja. Wojskowy ewidentnie za kimś szedł, a może kogoś śledził – ale nie miało to znaczenia.

Ważne było to, że nareszcie znalazł się sam w ciemnych uliczkach.

Schweikart wyciągnął z kieszeni znoszonej marynarki wąski, ostry niczym brzytwa nóż.

– *Hen* Freudenthal!

Przedsiębiorca poczuł, jak serce skacze mu w pierśsiach. Brakowało mu już tchu, a Grossmann znajdował się coraz bliżej! Walther kluczył i błędził w uliczkach, ale prędzej czy później musiał przecież trafić w ślepy zaułek – i co wtedy? Co mu powie, jak uzasadni tak idiotyczny

sposób przeprowadzenia spotkania?

Nijak, błysnęła mu nagle w głowie myśl. Miał nadzieję, że wyciągnie Grossmanna na cel opłaconemu zabójcy, ale mógł... przecież od początku mógł zrobić to sam!

– *Hen* Freudenthal, proszę poczekać!

Trzęsącą się ręką biznesmen wyciągnął malutki, niepoważnie wyglądający, jednostrzałowy pistolecik kieszonkowy. Jak to się uruchamiało? Tu trzeba naciągnąć i puścić, wtedy broń powinna stać się gotowa do strzału.

A co, jeśli spudłuje?

Keller zwolnił, słysząc wołanie. „Freudenthal”, o ile dobrze słyszał głos Grossmanna. Czyżby ten miał zamiar się z kimś tu spotkać?

Nieistotne.

Odpiął kaburę i ujął w dłoń rękojeść lugera.

– *Herr* Freudenthal! – zawołał Teodor po raz ostatni, a potem sięgnął po broń.

Panowała dziwna, niepokojąca cisza. Ponad dachami okolicznych kamienic niosły się zwyczajowe odgłosy miasta – nawoływania ludzi, sapanie idących rzeką barek, hurgot wieczornych tramwajów – ale tutaj, w uliczce, było zupełnie cicho. Istnieje taki szczególny gatunek ciszy, wydawany właśnie przez ludzi, którzy bardzo nie chcą, aby ich zauważyć.

Ostrożnie, krok po kroku Grossmann wyszedł zza węgła. Freudenthal stał przy śmietniku, ale jakoś nietypowo, bo bokiem, patrząc jednak prosto na niego.

– Chciał się pan spotkać – powiedział Teodor, a potem

przedsiębiorca uniósł prawą rękę, w której błysnęła lufa pistoletu.

Keller zamarł, widząc przed sobą sylwetkę stojącego tyłem Teodora. Przyjaciela, pomyślał niemalże...

Wspomniał Erikę, wygiętą lubieżnie w objęciach Grossmanna. Siarczysty policzek, nadal piekący bólem wstydu i ponizenia. Uda *Miss Jennifer*.

Wyszarpnął broń z kabury i wycelował Teodorowi pomiędzy łopatki.

Grossmann chciał rzucić się w bok, ale nie zdążył, bo w tej samej chwili ktoś skoczył na niego z ciemnego zaułka, zbił z nóg. Błysnęło, huknął strzał, a kula jęknęła, rykoszetując od kamiennej ściany. Po chwili trzasnął kolejny wystrzał, o wiele głośniejszy i donośniejszy – z zupełnie innej strony. Strzelał nie tylko Freudenthal, ale ktoś jeszcze!

Teodor poleciał na ziemię, prosto w jakieś spróchniałe skrzynki i deski, czując w przedramieniu piekący ból rozciętej skóry. Napastnik przetoczył się, poderwał na nogi i rzucił na niego, trzymając w prawym ręku złowieszczo pobłyskujący nóż.

Podporucznik odskoczył w bok, uniknął cięcia, spróbował kopnąć przeciwnika pod kolano, ale ten uniósł tylko nogę, przyjął cios na goleń i zrobił kolejny wypad, chcąc znów sięgnąć go nożem. Grossmann złapał stojące pod ścianą krzesło, zasłonił się nim niczym improwizowaną tarczą.

Co się działo? Tam jeszcze przed chwilą stał Freu-

denthal, który teraz biegł alejką na złamanie karku. Kim był drugi strzelec i do kogo celował?

Teodor sięgnął do kabury, ale palce zamknęły się na pustce – musiał zgubić pistolet, gdy upadał! Nożownik znów skoczył ku niemu, przerzucając ostrze do lewej ręki, więc podporucznik zrobił odstraszcający ruch krzesłem, szarpnął i wyrwał z niego solidną, dębową nogę, w której nadal tkwiły dwie grube śruby.

– No chodź, gnoju – warknął, ujmując tę prymitywną maczugę w obie ręce. – Pokażę ci, jak się zabijało w okopach.

Egon czuł się co najmniej równie zdezorientowany jak jego niedoszła ofiara.

Było już tak pięknie, tak blisko! Miał frajera jak na talerzu, wygodnie ustawionego prawym bokiem, idealnie do pchnięcia w wątrobę. Sprężył się, skoczył – i w tej samej chwili ktoś strzelił, a spłoszona ofiara przesunęła się w bok, przez co jego nóż nie zagłębił się płynnie w miękkie ciało, a ześliznął po grubym rękawie wojskowej bluzy Ba, mało tego! Praktycznie równocześnie gruchnął drugi strzał, i to z tyłu!

Schweikart nie był człowiekiem nadmiernie ostrożnym; ale gdy ktoś stał za nim z pistoletem, to raczej z założenia nie uważał go za usłużnego przyjaciela, pilnującego mu pleców.

W tym, co robił, był dobry – umiał zabijać. Niezwykle natomiast umiał i lubił walczyć, a ten podporucznik wyglądał na lepszego zawodnika. Nie udało się go

sięgnąć z pierwszego razu, nie było co liczyć na wykrwawienie... A na dodatek facet trzymał teraz w ręku solidną lagę i coś mówiło Schweikartowi, że będzie się umiał nią posłużyć.

Więc zachował się tak, jak zachowywał całe życie: nie mogąc od razu i zdecydowanie wygrać, podał tyły.

Gdy nożownik po prostu rzucił się do ucieczki, Teodor w pierwszej chwili chciał odpuścić – ale potem dał o sobie znać instynkt. To nie był zwykły napad rabunkowy, więc ten człowiek musiał, musiał coś wiedzieć!

Rozejrzał się na szybko za zgubionym pistoletem, a potem spisał go na straty i popędził za zbiegiem.

Keller odetchnął głęboko i wyszedł ze swego ukrycia między komórkami dopiero dłuższy czas po tym, jak stukot butów Grossmanna umilkł w oddali.

Co się w ogóle wydarzyło? Czego był świadkiem i... i co prawie że zrobił?

Żołądek nagle zwinął się w supeł, a on oparł się o beczkę na deszczówkę i wymiotował.

Mało brakowało, a z zimną krwią zastrzeliłby człowieka! Towarzysza, przyjaciela... I to jak ostatni tchórz, kulą w plecy! Wytarł usta rękawem, na miękkich nogach wyszedł z zaułka.

Bogu dzięki, że nie trafił.

„Freudenthal” – tak brzmiało nazwisko człowieka, za którym przyszedł tu Grossmann. A potem, na chwilę przed tym, jak Gerhard ściągnął spust, padł wcześniejszy strzał i ktoś rzucił się na Teodora. Zamach? Ale z jakiego powo-

du?

Keller stanął na ulicy, dysząc głęboko chłodnym powietrzem nocy. Począł, aż nudności miną, a potem chwiejnym krokiem ruszył w kierunku swego domu.

– Stój! Stój, bo strzelam! – krzyk poniósł się po pusty o tej porze nabrzeżu Pregoly.

Strzelaj, pomyślał sobie Egon, pędzący na złamanie karku wzdłuż rzeki. Jakbyś miał z czego, to już byś dawno...

Potknął się i wyłożył jak długi, ale za chwilę poderwał i nie zwracając uwagi na pościerane kolana, poleciał dalej. Wpadł pomiędzy stojące przy pomostach skrzynie, skręcił w bok, pomiędzy dwa magazyny... Skubaniec, nie chciał odpuścić! Tupot podkutych butów poniósł się echem pomiędzy dwiema ślepyimi ścianami, więc Egon zebrał się w sobie i wyciągnął nogi jeszcze mocniej.

Wyleciał pomiędzy budynków, nie myśląc, skręcił w lewo i jeszcze raz za róg, biegnąc prostopadle do rzeki. Wojskowy znajdował się zaraz za nim, nie odstawa! ani na krok – musiał mieć naprawdę niezłą kondycję!

– Bydlaku...! – sapnął Schweikart, skręcając w prawo i biegnąc samym skrajem nabrzeża. – Ja ci...! Zaraz...! Pokażę...!

Widział już nadpływający z nurtem rzeki ciemny, przysadzisty kształt spóźnionej barki z drewnem. Szła powoli, bo ciemność dawała się już sternikowi we znaki, ostrożnie przeciskając się pomiędzy gęsto stojącymi na cumie holownikami i innymi łodziami. Istniała szansa, że

zaraz będzie przechodzić nie dalej jak trzy metry od wychodzącego daleko ponad wodę pomostu załadunkowego.

Egon odbił od nabrzeża, kątem oka zerknął przez ramię: wojskowy nadal biegł za nim, co gorsza, zdawał się skracać dystans!

– Cholera! – warknął, a potem ostro skręcił w bok. Załomotał nogami po drewnianym pomoście, przeżegnał się w myślach, wybił mocno i skoczył ku barce – najmocniej, jak tylko potrafił.

Uderzenie o spięte łańcuchami drewniane bale wybiło mu oddech z piersi, przed oczami zrobiło się czarno i zamigotały gwiazdy, ale złapał się kurczowo jakiegoś sęka, zaczepił drugą ręką i znalazł oparcie dla czubka buta. Wwindował się na górę, wciągnął na szczyt sągu, a potem obrócił w kierunku nabrzeża: wojskowy nie zdążył, nie zdążył! Ścigający Schweikarta mężczyzna zahamował ostro, zatrzymał się na samym końcu pomostu i patrzył, dysząc ciężko, na odpływający statek.

– Ha! – Egon wzniósł pięść w geście tryumfu i wyzwania. – Ha! Masz za swoje, oficerku jeden nedorobiony! Żebyś wiedział, jak...

Okrzyk zamarł mu na ustach, gdy wojskowy odwrócił się i znów podjął bieg. Schweikart patrzył z niedowierzaniem, jak podporucznik nabiera prędkości wzdłuż nabrzeża, powoli, ale nieustępliwie dogania, a potem wyprzedza sunącą z nielichą prędkością barcę.

– Do samego morza będziesz tak biegł?! – zakrzyknął do niego. Chciał dodać jeszcze coś, ale potem dostrzegł

równie nieubłagane zbliżający się na jego trasie most. Pokręcił głową z niechętnym podziwem. – Uparty jest, cholera jasna.

Grossmann biegł. Widział siedzącego na szczycie sterty drewna zamachowca, słyszał, że tamten coś do niego woła, zapewne wyzywając go i naśmiewając się. Gniew był gdzieś na dnie, ale przede wszystkim Teodorem powodowała jedna, wszechogarniająca rzecz: konieczność.

Musiał go dorwać! Musiał złapać, wycisnąć informację o zleceniodawcy. Musiał, bo zawsze dawał radę, bo od tego był. Tym był.

Dobiegł do Holz-Brucke, stanął na środku mostu i czekał. Barka już prawie podpływała pod konstrukcję, stojący na przedzie sternik nawet nie zauważył, że ma pasażera na gapę – a na pewno już nie spodziewał się, że zaraz będzie miał drugiego.

Gdy niski komin plunął kłębem dymu pod przęsło, Grossmann przesadził barierkę i skoczył.

– Cię choroba... – mruknął Schweikart, widząc lecącego prosto na niego podporucznika. Miał na szczęście refleksu na tyle, żeby odtoczyć się na bok, a potem główki stalowych gwoździ na podszwach zdarły korę do żywego drewna dokładnie tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej Egon trzymał ręce.

Obaj mężczyźni przypadli do drewna plackiem, gdy barka skryła się pod niziusińskim mostem ze znitowanych stalowych dźwigarów. Wszystko wokół skryła ciemność i kłęby gęstego, gryzącego w oczy i zatykającego dech

dymu. Silnik zadudnił zwielokrotnionym echem, a potem nagle znów wychynęli na otwartą przestrzeń Pregoly.

Teodor poderwał się i skoczył na zamachowca, ale ten machnął dwa razy przed sobą nożem, próbując nie dopuścić go bliżej.

– Co, z gołymi rękami już nie taki chojrak! – szczeknął nożownik.

Grossmann wydał pogardliwie wargi, a potem rozpiął klamrę pasa. Strząsnął niepotrzebną już, pustą kaburę, zawinał skórę dwa razy wokół dłoni i zakręcił młyńca ciężką sprzączką.

Schweikart sam lubił używać w karczemnych bójkach wojskowego pasa. Doskonale wiedział też, że z nożem wiele teraz nie zdoła. Ten wojak to było jakieś lepsze ziółko, a on niemal żałował, że zapisał się na tę robotę. Niemal.

Spróbował raz i drugi szybkiego wypadu i zmyłki, ale Teodor był zbyt szybki, za każdym razem odskakując i uderzając sprzączką po palcach. Egon przerzucił nóż w lewą rękę, possał bolące kostki prawej; nie ma co, trzeba było wymyślić coś innego. Rozejrzał się dokoła, szukając albo dłuższej broni, albo drogi ucieczki.

– Hola, co to się dzieje! – rozległ się tubalny głos sternika, który w końcu zauważył, że po jego łajbie ganiają się jacyś ludzie. – Złazić mi stamtąd, ale to już!

Grossmann zawahał się, obejrzał – Egon nie mógł sobie odmówić takiej okazji! Skoczył, fingując cięcie od góry, a gdy przeciwnik zamachnął się pasem, upadł nisko

na ziemię i kopnął go od boku w nogę, celując na wysokości łydki.

Wojskowy stracił równowagę, zachwiał się i stoczył ze śliskiego sągu na dół.

– Ej, co ja mówiłem! – wydarł się właściciel barki.

Schweikart pokazał mu tylko łobuzerskim gestem język, odwrócił się i kopnął obcasem prosto w kłamrę zapięcia łańcuchów mocujących, zwalniając okowy utrzymujące ładunek w miejscu.

Góra drewna jęknęła i stęknęła, a potem jak gdyby osiadła. A potem potężne belki poleciały wachlarzem na bok, rozpychając się i tocząc po całej szerokości łodzi, miażdżąc i krusząc stalowe relingi niczym płotki z zapalek. Egon zaśmiał się jeszcze, przebiegając na tył łódki, po czym skoczył – prosto na akurat mijany pal do cumowania, a z niego na wąskie i chybotliwe czółno stojące przy nabrzeżu.

Nie było szans, żeby wojskowy nie został rozsmarowany na papkę.

Gdy Teodor zobaczył, jak spada łańcuch mocujący, instynktownie zakrył głowę rękami i zacisnął oczy – tak jak robi to każdy, nawet mający pełną świadomość bezsensowności takiego gestu człowiek.

Wtulił się w stalowy pokład, gdy belka dosłownie pół metra nad nim wystrzeliła w bok, sypiąc na wszystkie strony drewnianymi szczapami i korą. Na nią posypały się kolejne, łomocząc i hucząc niczym żarna w jakimś piekielnym młynie. Cała łódź bujnęła się na bok, tracąc ste-

rownosc po tak niespodziewanym przemieszczeniu srodka cięzkości.

Gdy zamęt ustał, jakimś cudem wygramolił się pomiędzy trzydziestocentymetrowej średnicy bali, chyba nie mniej od brodatego sternika zaskoczony tym, że jeszcze żyje. Po łodziach przy nabrzeżu niezgrabnie skakała figura nożownika.

– Do prawej! – ryknął Teodor, a potem po prostu doskoczył do steru i zakręcił kołem. Łódź przechyliła się jeszcze bardziej, niemal zahaczając wystającymi na boki belkami o pomniejsze łódeczki i czółna.

– Nie wolno tak! – wrzasnął sternik, łapiąc za koło z drugiej strony, ale Teodor już wyskoczył przez burtę, modląc się tylko, żeby zdołał złapać się chociaż jedną ręką takielunku. Udało mu się dolecieć do niedużej łódki rybackiej, bujnął się i byłby spadł, ale uchwycił się dłonią wanty, podciągnął i wskoczył na pokład.

Fala po przejściu barki zakołysała stojącymi przy brzegu łódeczkami, maszty zatańczyły nierówno. Ktoś krzyknął, przestraszony nagłym ruchem dotąd spokojnej rzeki, gdzieś poleciały z brzękiem elementy wyposażenia. Teodor rozejrzał się. Kątem oka dostrzegł w mdłym świetle gazowych latarni, jak Egon niezdarnie przeskakuje z łajby na łajbę, próbując dostać się do twardego lądu.

Wyskoczyli na kamienie nabrzeża prawie jednocześnie. Nożownik rzucił się w kierunku bliższych mu schodków, Grossmann po prostu podciągnął się i wtoczył na bruk, zerwał od razu i popędził za uciekającym już po

Fischmarkt zamachowcem.

– Ejże, uwaga! – niosący kosz z odpadkami tragarz krzyknął na Egona, odskoczył w bok i poleciał na ziemię, potrącony przez Teodora. Odcięte łby i wnętrzości młasnęły, potoczyły się po bruku. Z bocznych uliczek i okienek piwnic od razu wystrzeliły ku nim ciemne sylwetki kotów dachowców, niemogących przecież odpuścić sobie takiej uczyty na wieczór. Od strony starego ratusza już biegło kilka ujadających bezpańskich kundli.

Schweikart obejrzał się przez ramię, pędząc ile sił w płucach. Cholerny oficerek! Złapał się ręką balustrady i zakręcił ostro, wpadając w Kramer-Brucke przed samym nosem nadjeżdżającego tramwaju. Światła omiotły go żółtawym blaskiem, maszyna zadzwoniła wściekle, matorniczy szarpnął dźwignię hamulca – a Egon zakręcił się, chwycił za rurkę przy wejściu i podciągnął do środka.

– Ja tylko na chwilę! – zawołał do zdumionego maszynisty.

Przeskoczył przez barierkę, przepchnął pomiędzy oburzonymi, jakkolwiek nielicznymi o tej porze pasażerami i przywarł do szyby: biegł, biegł za nim, cholerny pagoniarz! Co prawda widać było, że odległości wreszcie zaczyna przybywać, a nie ubywać; jednak człowiek nie miał szans ścigać się z maszyną.

Klapnął na ostatnim siedzeniu, odetchnął z ulgą, otarł pot.

– Czego się jopisz, franco stara? – huknął na oglądającą się babę, a kiedy ta podskoczyła i odwróciła się, ro-

ześmiał się paskudnie, szczerząc żółte zęby.

Niech się bujają wszyscy, on się stąd zbierał.

Teodor biegł, ale widział, że przegrywa ten nierówny wyścig. Tramwaj skręcił we Fleischbankenstrasse, w podświetlonym przez latarnię oknie z tyłu mignęła mu jeszcze zarośnięta morda nożownika, a potem stracił go z oczu. Odległość rosła w oczach... a z naprzeciwka jechał akurat kurier wojskowy na motocyklu.

– *Halt!* – Grossmann wskoczył przed samą maszynę. Kierowca zahamował ostro, zarzucił tylnym kołem, ale udało mu się go nie potrącić. Zerwał gogle z twarzy, chciał wydrzeć się na Teodora, ale ten wyciągnął od razu papiery oficerskie. – *Leutnant* Grossmann, tu jest mój adres! Rekwiruję ten pojazd!

– Panie podporuczniku, ja muszę... – zaczął kurier, ale Teodor bezceremonialnie szarpnął go za ramię, ściągnął z siodełka.

– Już!

Przekręcił manetkę, silnik ryknął i plunął sinym obłokiem spalin. Grossmann zakręcił kołem, obrócił maszynę w miejscu i popędził za uciekającym tramwajem.

Schweikart obejrzał się jeszcze raz i drugi w tył, ale wojskowego nie było. Wstał, wielkopańskim gestem sięgnął do kieszeni i wrzucił do puszki na opłaty kilka monet.

– Dokąd toto jedzie, tak w ogóle? – zaciekawiał się.

– Kronenstrasse – odezwał się któryś z pasażerów. Egon wzruszył ramionami.

– I tak nie wiem, gdzie to.

Skręcili jeszcze raz w lewo, wjechali na kolejny most. Od strony drugiego brzegu motorniczy już wstrzymał ruch; rzeką nadchodził akurat masywny parowiec, sapiący i buchający kłębamii dymu, więc most pewnie miał się zaraz podnosić. Zdążyli akurat przejechać, gdy rozdźwięczyły się dzwonki i zapaliły czerwone lampki ostrzegawcze. Ukryty w nabrzeżu mechanizm zahuczał, a stalowa konstrukcja drgnęła i zaczęła powoli wybrzuszać się, przełamując pośrodku.

– No to z głowy – mruknął Schweikart, zadowolony z siebie. Odwrócił się, żeby popatrzeć, jak rozkłada się most – i wtedy zobaczył światło czołowe wyskakującego zza rogu motocykla. – Albo i nie...

Wojskowy motocykl, potężny neckarsulmer, ryczał silnikiem, pędząc po bruku Königsberga na maksymalnych obrotach. Snop światła z lampy miotał się wściekle, skakał po fasadach budynków i na ułamki sekund oświetlał twarze oglądających się na straceńca wieczornych przechodniów. Teodor miał już przed sobą tył tramwaju, ale widział też nadpływający Pregołą statek i podnoszący się most... Przycisnął gaz do końca i pochylił się nad kierownicą, czując, jak wiatr zrywa mu z głowy czapkę, która poleciała gdzieś w tył.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów... trzydzieści... dwadzieścia... Most unosił się coraz wyżej i wyżej, dróżnik musiał zauważyć pędzący motocykl, bo wyskoczył na drogę, rozkładając szeroko ręce, ale Grossmann wyminął go i wpadł na pochylnię drogi.

Statek zaryczał ogłuszająco syreną, a on tylko zacisnął oczy, żeby nie widzieć coraz bliższego końca trasy pod sobą i stalowych tegr konstrukcji na wprost.

– Nie wierzę... – sapnął Egon, widząc, jak maszyna wyskakuje srebrzystym szczupakiem ponad krawędź do połowy otwartego mostu zwodzonego.

Ludzie w tramwaju westchnęli, ktoś krzyknął przejmująco. Stojąca przy budce dróżnika kobieta złapała się za głowę i zemdlą... A potem motocykl huknął o nawierzchnię po drugiej stronie, krzesząc iskry dolną ramą. Przez chwilę wydawało się, że siedzący za kierownicą wojskowy nie utrzyma maszyny i przewróci się razem z pojazdem na ziemię, ale potem szarpnął ostro, skontrował i popędził za tramwajem.

– *Donnerwetter*, nie wierzę w to...!

Schweikart zerwał się, nie wiedząc, co robić. Zostać tu? Bzdura, tramwaj kiedyś przecież stanie! Skakać? Też głupota, zabije się!

Okoliczności jednak rozwiązały ten dylemat za niego: tramwaj zadzwonił i zaczął zwalniać przed kolejnym przystankiem. Młodszy kapral nie czekał, aż pojazd zatrzyma się, tylko od razu wyskoczył i pobiegł w zaułki miasta, ścigany przez zbliżający się warkot motoru.

Wpadł w pierwszą lepszą bramę, przewrócił kosz na śmieci i popędził na złamanie karku przez podwórko, modląc się tylko, żeby nie okazało się ślepe.

Motocykl ryknął głośno, wjeżdżając w sklepione przejście zaraz za nim, i potem zwolnił. Kierowca podjął

pościg pieszo.

Schweikart jednak wpadł już w wąski korytarzyk. Potknął się o stojące w przejściu skrzynki, przebiegł przez sień i wyleciał na drugi, bliźniaczy dziedziniec kamienicy. Rozejrzał się w szybko zapadającej ciemności, jak ścigany wilk.

Przez chwilę wydawało mu się, że może Grossmann zgubił się, pobiegł nie w tę stronę – ale potem usłyszał coraz głośniejsze stukanie wojskowych buciorów po drewnianej podłodze.

Odcharknął, splunął ze złością i pobiegł dalej.

Teodor porzucił motocykl na podwórku, krzyknął siedzącemu na ławeczce dziadkowi „pilnuj pan!” i popędził dalej, tropem uciekającego zabójcy.

Przebiegli dom na przestrzał, wybiegli na malusieńką Yorstadt-Feuergasse, wpadli na podwórce kolejnego kwartału kamienic. Wskoczyli na Knochenstrasse, gdzie Grossmann byłby wpadł pod przejeżdżającą ciężarówkę, a potem znów zanurkowali pomiędzy domy i komórki, przylegające do budynków urzędu pocztowego przy Klapper-Wiese.

Nożownik wspiął się na piętro, przeleciał niczym burza przez puste korytarze i skoczył w okno – prosto na samochód, pełny worków z listami! Teodor zawahał się, ale tylko przez krótką chwilę, a potem też wspiął na parapet i słysząc zza ramienia przerażony wizg sprzątaczkę, skoczył zaraz za nim.

Przekręcił się pośród zaskakująco twardych pakun-

ków, zsunął na ziemię i ścigany wrzaskami kierowcy, pobiegł za niedoszłym zabójcą. Ten jakby złapał drugi oddech, bo przyspieszył i znów zwiększał dzielącą ich odległość. Grossmann od razu zorientował się, co się dzieje – napastnik uciekał w kierunku stacji kolejowej. Zebrał się w sobie, sięgając do rezerw sił: musiał, musiał go dognać!

Przelecieli pomiędzy rosnącymi na skwerze drzewami, skacząc po klombach i tratując grządki kwiatów. Egon zagryzł zęby, biegnąc już ostatkiem sił. Jeśli tutaj nie zgubi wojskowego, to będzie po nim! Ostro skręcił w prawo, kierując się tam, gdzie pomiędzy budynkami z cegły widać już było cielska pociągów, przesuwane się po błyszczących nitkach szyn.

Dwaj wojskowi – jeden zabójca na przepustce, drugi szpieg w ostatnich chwilach urlopu – wpadli na torowisko. Zachrząścił rozrzucony butami żwir, kilku robotników ustawiających zwrotnicę popatrzyło ze zdziwieniem na biegnących na złamanie karku ludzi.

Schweikart rzucił się w bok, pomiędzy dwa stojące na bocznicach składy towarowe, popędził co tchu wąskim korytarzem między burtami drewnianych wagonów. Grossmann był zaraz za nim, nie odstając ani na krok.

Egon skoczył pod stojący pociąg, zanurkował pod wagonem i wychynął z drugiej strony; Teodor przetoczył się w ślad za nim, zerwał na nogi w samą porę, by odskoczyć przed zdradzieckim ciosem noża: przeciwnik postanowił zaatakować jeszcze raz!

Walczyli w skupieniu, dysząc ciężko, z twarzami

zalanymi potem.

Ich ruchy były już niezgrabne i nieskoordynowane, ciosy nie miały w sobie nic z niedawnej gracji, a nawet celne, ześlizgiwały się po ubraniu, pozbawione siły i dynamiki.

W końcu Schweikart zatoczył się ciężko w tył, zgiął wpół, czując, że ból w płucach staje się nie do wytrzymania. Grossmann był w nie lepszym stanie – oparł się o wagon, spazmatycznie łapiąc dech w osłabione płuca.

– Poddaj się... – wycharczał. – Nie będę... nie chcę... powiedz tylko, kto...

Egon odcharknął, splunął równie wściekłe, co nieumiejętnie. Wytarł flegmę z brody i warknął tylko:

– Nigdy! Stawaj, kończymy to jak mężczyźni!

Teodor pokręcił głową, ale stanął w pozycji do walki, w szerokim rozkroku i lekko ugiąwszy wystawione przed siebie dłonie. Egon natomiast schylił się i przyczaił, trzymając nóż za plecami.

Walka miała się rozegrać w dwóch, maksymalnie trzech ruchach – i żaden z nich nie mógł być pewien jej wyniku.

Schweikart myślał intensywnie, okrążając przeciwnika. Teoretycznie gołe ręce przeciwko nożowi, przewaga była po jego stronie... ale ten cholerny oficer zdążył już udowodnić, że potrafi zaskoczyć. Szanse wynosiły, jakkolwiek je przeliczyć, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

Czysta loteria. Egon natomiast nie lubił hazardu.

Od strony mostu kolejowego jechał w ich stronę pusty

skład towarowy – potężna, buchająca dymem lokomotywa bez trudu ciągnęła niezaladowane wagony, czekając tylko, by rozpędzić się na prostym odcinku torów poza stacją. Egon zerknął kątem oka ku nadjeżdżającemu pociągowi, potem wprawnie otaksował Grossmanna. Oceniał swoje szanse i ryzyko.

Uśmiechnął się wrednie do wojskowego i skoczył na tory – prosto pod nadjeżdżający parowóz.

– Nie...! – Teodor chciał rzucić się i złapać niedoszłego zabójcę, ale było już za późno.

Schweikart szczupakiem wturlał się na tor przed samą lokomotywą, ułożył na płasko pomiędzy szynami i zamknął oczy, modląc się tylko, żeby przypadkiem nie wystawał spod niej jakiś żelazny pręt albo łańcuch.

Grossmann patrzył z mieszaniną podziwu i przerażenia na leżącego nieruchomo pod przejeżdżającym składem nożownika. Ten powoli, z wyraźnym trudem odwrócił ku niemu głowę, skrzywił się paskudnie i pokazał dłonią wyjątkowo nieprzyzwoity gest – a potem złapał ręką za przewód hamulca i nagle zniknął, pociągnięty pod dnem dopiero nabierającego prędkości wagonu. Jeszcze jakiś czas widać było jego majtające się nogi, gdy wciągał się wyżej, na platformę, a potem i one rozmyły się w perspektywie toczących się kół.

Gdy pociąg już niemal schował się za zakrętem, ma-lusieńka figurka stanęła na jednej z lawet i wydała z siebie tryumfalny wrzask, unosząc wysoko ręce. Lokomotywa jak gdyby odpowiedziała przeciągłym gwizdem, a potem

przyspieszający skład skrył się pomiędzy budynkami stacji.

Teodor usiadł na poboczu toru – brudny, umorusany, spocony i zmęczony ponad wszelkie pojęcie. Popatrzył na rozcięty, zakrwawiony rękaw bluzy, dotknął gołej głowy, zastanowił się, gdzie mógł zgubić pas...?

Posiedział tak, aż serce jako tako się uspokoiło, a potem z trudem wstał i pokuśtykał z powrotem do miasta.

Miał tylko nadzieję, że dziadek z podwórka kamienicy nie zdążył jeszcze sprzedać motocykla na części.

ROZDZIAŁ XXXIV

Herr Walther Freudenthal był przerażony.

Absolutnie, dziko, zwierzęco przerażony. Nie bał się tak nigdy w całym swoim życiu, a z natury nie był przecież człowiekiem szczególnie odważnym – mimo że przeważnie potrafił zdobyć się na zrobienie tego, czego akurat wymagała sytuacja.

Tym razem jednak sytuacja zdecydowanie go przerosła.

Gdy wrócił, półżywy ze strachu, do swego pokoju w hotelu, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Większą część nocy przesiedział, schowany w kącie za łóżkiem. Nasłuchiwał, czy na schodach nie rozlegną się kroki policji. Podskakiwał i skamlał cicho za każdym razem, gdy ktoś trzasnął drzwiami na korytarzu.

Grossmann przechytrył go! Był z nim ktoś jeszcze; ktoś, kto zapewne od początku wiedział, że Walther planuje nie tylko wystawić swego niewygodnego współnika zabójcy, ale też dokończyć dzieła, jeśli zajdzie taka konieczność. A teraz okazało się, że wynajęty morderca zawiódł, a on sam chybił.

Ba! Może nawet teraz usłużny, ale dwulicowy Klaucke wyśpiewywał wszystko jak z nut policji, aby uniknąć oskarżeń o współudział w niedoszłym zabójstwie?

Freudenthal przesiedział tak do rana, to zapadając w

trwożliwy, pełen koszmarów sen, to znów budząc się na krótkie chwile, kiedy zaistniała z jego wyłącznej winy rzeczywistość okazywała się gorsza od majaków sennych. W końcu, gdy zegar wybił wpół do dziewiątej rano, zdołał zebrać w sobie tyle sił, żeby ogolić się i jako tako ułożyć włosy, a potem zejść na śniadanie.

Nawet nie był pewien, co jadł. Odruchowo wrzucał do ust kawałki i poruszał szczękami, cały czas rozglądając się trwożliwie na boki: na pewno go śledzili!

Stojący po drugiej stronie ulicy Iwan odgryzł kawałek jabłka i zaczął go równomiernie, leniwie przeżuwać. Patrzył prosto na siedzącego za przeszkloną ścianą hotelu Freudenthala, który właśnie upuścił sobie na spodnie kawałek jajecznicy i teraz miał pewnie nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

Prędzej czy później będzie musiał przecież z tego hotelu wyjść.

Keller obudził się w swoim łóżku i przez dłuższą chwilę usiłował zrozumieć, co konkretnie wydarzyło się poprzedniego wieczora. Uliczka, pistolet, strzał, szamotania... Uczucie palącego wstydu nadpłynęło razem z chłodną ulgą, że na szczęście nie udało mu się to, co zamierzył.

Czy to naprawdę był on? Z zimną krwią planował... tak idiotyczny, melodramatyczny postępek, rodem z durnych opowieści o półgłówkach, targanych wichrami namiętności?

Przypomniał sobie Jennifer – leżącą na tym samym

łóżku, co on teraz. A obok niej Erikę... Czemu, ach, czemu w życiu trzeba było wybierać: albo-albo?!

Pytanie powinno brzmieć inaczej, pomyślał Gerhard: czemu to on był przekonany, że istnieje konieczność takiego wyboru? Przecież miał je obie... A teraz obie stracił. Jennifer przez to, że wyjechała. Erikę przez... No właśnie, przez co?

Zazdrość? Tak, na pewno była tam obecna, i Gerhard wstydził się z tego powodu. Ale przecież to nie dlatego Erika zareagowała tak dziwnie, tak gwałtownie. Wcześniej, owszem, dało się wyczuć, że interesowała się Teodorem; zresztą wtedy nad morzem wszystko było tak swobodne i wyzwolone! Ale podporucznik zdawał się w ogóle jej nie zauważać. I teraz, nagle, przed samym odjazdem *Miss Zoransky*...

Potrząsnął głową: jałowe rozmyślenia nigdzie go nie doprowadzą. Wskoczył z łóżka, rozsunał kotary i popatrzył na piękno przedmieść Königsberga w oszałamiającej, różnokolorowej szacie jesieni.

Dziś kończył się urlop Teodora, a on musiał pogodzić się z przyjacielem, zanim tamten wróci na front.

Tymczasem Grossmann leżał w swym łóżku i już od pewnego czasu nie spał, targany zgoła odmiennymi rozterkami i trapiiony przez inne myśli.

Czy on w ogóle da radę się dziś podnieść?!

Bolał go każdy mięsień, każdy kawałek ciała. Wszystkie stawy wyły cierpieniem przy najdrobniejszym poruszeniu, mięśnie jakby ktoś przesypał potłuczonym

szkłem. Dziesiątki mniejszych i większych siniaków, stłuczeń i zadrapań odzywało się bólem, gdy usiłował przekręcić się w pościeli, rana na przedramieniu pulsowała i groziła zakażeniem. Co prawda sam nałożył kilka nieudolnych szwów, ale prędzej czy później będzie musiał z tym pójść do cyrulika.

– Przy froncie mnie połatają... – westchnął sam do siebie.

Miał dziś do zrobienia kilka jeszcze ważnych rzeczy musiał przede wszystkim odebrać dorobiony klucz do pracowni Nemmersdorfa i przekazać go Horstowi, zdać mu dokładny raport z działań i znalezisk w mieście, w końcu odebrać swoje papiery ze sztabu i... i wyjechać z Królewca.

Zwłóknął się z posłania, kawałek po kawałku zaczął rozgrzewać zastane mięśnie. Sięgnął po piersiówkę, pociągnął łyk i drugi wódki... O tak, to zawsze pomagało na wszystko. Ech, żeby tak wskoczyć teraz na godzinę, dwie do bani. Wysmagać się brzozą, natrzeć piaskiem, potem skoczyć w zimną rzekę – człowiek od razu by wyszedł jak nowo narodzony!

Spojrzał w lustro, szukając w odbitej twarzy rysów Wielikowa – ale patrzył na niego wyłącznie chłodny, wyrachowany Grossmann.

– Ruszył się. – Afanasij puknął stojącego w zaułku Iwana. – Patrz, patrz, wychodzi.

Rzeczywiście, z hotelu wyszedł Freudenthal, rozejrzał się po ulicy.

– Jest nasz – mruknął Rosjanin, ale potem zmrużył

oczy. – Ty, dokąd on idzie?

– To burzuj... – Afanasij sapnął z niedowierzaniem, widząc, jak biznesmen wsiada do taksówki.

– Zgubimy go!

– Nie, przecież taksa wróci tutaj. Spytamy kierowcę, dokąd wiozł ostatniego klienta.

Automobil zawarczał, a potem plunął obłoczkiem spalin i powoli potoczył się po bruku.

– To nie on!

Von Hohenfurst popatrzył na Freudenthala z niesmakiem.

– Dzień dobry, panie Freudenthal. – Uśmiechnął się wymuszenie. – Również cieszę się, że pana widzę. Nie, nie mam nic przeciwko temu, że wpada pan tak bez zapowiedzi w środku dnia. Rzeczywiście, pogoda ostatnio dopisuje, upały wszystkich zmęczyły. Kawa, herbata czy może coś mocniejszego?

– To nie Grossmann, to nie on... – powtórzył roztrzęsiony biznesmen.

– *Fraulein Arner!* – zawołał von Hohenfurst. – Podwójna kawa dla mnie, dla pana Freudenthala... niech będzie też podwójny, ale koniak.

Konsul odczekał spokojnie, aż asystentka przyniesie zamówione napitki. Ziewnął, uszczypnął się mocno w udo i wstał. Odkrył ostatnio, że na stojąco trudniej jest zasnąć – wcale nie było to niemożliwe, ale relatywnie trudniejsze. Gdy nieoczekiwany gość haustem opróżnił szklankę z rżniętego kryształu, czknął i nieco się uspokoił, von Ho-

henfurst zagaił:

– A więc, mój drogi panie. Czy mógłby pan powiedzieć mi, co zrobił pan z otrzymanymi ode mnie ostatnio pieniędzmi?

Siedzący na krześle przedsiębiorca podskoczył, wlepił w konsula zaskoczone spojrzenie. Ten rozłożył ręce w geście bezradności.

– Dostał pan ode mnie niemałą sumę na wydatki, że tak powiem, reprezentacyjne. I zniknął. Czy byłby pan łaskaw mi powiedzieć, co robił przez ten czas?

– Szukałem... – sapnął Walther. – Po antykwariatach bukinistycznych... Szukałem i znalazłem.

Von Hohenfurst uniósł brew; nie spodziewał się, że jego rozmówca znał tak wyszukane słownictwo.

– Cóż takiego? – zapytał najdelikatniej jak umiał.

Freudenthal położył na stole starą, pożółkłą i straszliwie wymiętą gazetę. Dźgnął palcem w zdjęcie na pierwszej stronie.

– To on... tutaj.

Konsul zacisnął pięści, zagryzł zęby. Odetchnął głęboko, policzył do dziesięciu.

– Panie Freudenthal – zaczął spokojnie – zdjęcie, które pan znalazł, nie jest dla mnie niczym nowym. Znajduje się ono w moim posiadaniu... Inaczej: egzemplarz gazety, którą przynosi tu pan jako wielkie odkrycie, znajduje się w moim posiadaniu...

Freudenthal podskoczył, zamachał rękami.

– Nie to! Ten podpis, to nie Grossmann! Poza tym, on

nie... Dziewczyna powiedziała, że to nie on! A potem zabił zabójcę!

Mannfried przymknął oczy, zacisnął zęby. Nie spał trzy noce z rzędu, wczoraj nakrzyczał na swojego sekretarza i wypisał mu naganę tylko za to, że tamten miał niezapięty guzik marynarki. Jego cierpliwość dawno już osiągnęła dno, przebiła je i odnalazła ukrytą jaskinię beznadziei.

– Zabójcę? – powiedział tak spokojnie, jak umiał.

– Ja... – Freudenthal zająknął się. – Wynająłem jednego z miejscowych... ee... ludzi do takich robót. I wczoraj on poszedł ze mną, żeby... To znaczy Grossmann... Nie Grossmann, bo to nie on, ale poszedł i...

Von Hohenfurst poczuł, jak coś w nim pęka.

– *Herr* Freudenthal. Proszę wyjść. Natychmiast.

Biznesmen z Magdeburga zamrugał.

– Ale...

– Won!! – ryknął von Hohenfurst. Aus! Weg! Proszę się wynosić i nie wracać! Nie życzę sobie, żeby pańska noga kiedykolwiek jeszcze postąpiła w tym gmachu... Franz!

Struchlały Walther Freudenthal skulił się w sobie i rozejrzał jak zaszczuty pies. Po schodach załomotały ciężkie kroki, przez drzwi wtoczył się dozorca o aparycji i posturze walca drogowego.

– Pan konsul wołał? – zamruczał spod sumiastych, siwych wąsisk.

– Franz, ten pan wychodzi – drżącym z wściekłości głosem powiedział von Hohenfurst. – Żegnam pana, *Herr*

Freudenthal.

– Ale przecież Grossmann... – zaczął nieszczęsny biznesmen, ale konsul tylko uniósł rękę. Walther zamilkł, spuścił głowę i wyszedł z gabinetu.

Jest.

Freudenthal wyszedł przed budynek, rozejrzał się z wyrazem pełnej bezradności na twarzy. Iwan chciał już ruszyć, ale towarzysz złapał go za rękę.

– A ty dokąd?

– No, przecież mamy go... – Rosjanin zmarszczył się, pokazał wymownym gestem. – Horst mówił, że to niebezpieczeństwo dla całej operacji.

– Ale nie tutaj! – Afanasij zamachał rękoma. – Pod konsulem? Dwa domy od rezydencji dowódcy garnizonu?

– Hmm... – zasepił się Iwan.

– Nie martw się, pójdziemy za nim. Prędzej czy później okazja się trafi.

– *Hen Professor!* – Gerhard stanął w drzwiach gabinetu Nemmersdorfa, skłonił głowę i strzelił obcasami. – Dzień dobry!

Naukowiec uniósł wzrok znad skomplikowanego diagramu, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i odezwał się:

– Przecież to chorąży Keller, dawno niewidziany u mnie gość. Zapraszam, *Hen Fahrnich*. Czy mam rozumieć, że wasze stosunki z panną Scharfe uległy już normalizacji?

Keller uśmiechnął się, chociaż pytanie zakłuło go w

sercu: czyżby aż tak bardzo było to widać?

– Można tak powiedzieć, *Hen Professor*.

Faktycznie, przywitał się z Eriką, zamienili kilka słów...

Próbowała traktować go oschle, ale ze średnim skutkiem: widać było, że poczucie winy tliło się w jej duszy. Gerhard czuł zadrę w sercu, ale widział, że dziewczyna jest gotowa ulec – i po prostu to wykorzystywał.

Teodor wyjeżdżał już dziś, Keller zostawał w mieście. Nie było sensu jątrzyć.

– I cóż, panie chorąży? Dziś kończy się przygoda pańskiego przyjaciela.

Gerhard drgnął, zaskoczony. Czasem miał wrażenie, że Nemmersdorf czyta w myślach.

– Tak – zgodził się ostrożnie. – Faktycznie, *Leutnant Grossmann* dziś wyjeżdża z miasta.

Naukowiec znów skłonił się nad rysunkiem, poprawił okulary. Potem jednak odchylił się w fotelu, pokazał Kellerowi, by ten również usiadł.

– Szkoda – powiedział, wyraźnie czekając na reakcję Gerharda.

– Tak pan profesor uważa?

– Nie mówiłbym tego, gdyby było inaczej.

Keller pozwolił sobie na nieduży uśmiezek: znów zaczęli prowadzoną od lat grę w słowa.

– Chyba że chciałby pan profesor osiągnąć w ten sposób inny cel.

– Trafne spostrzeżenie, Gerhardzie, ale nadal odbie-

rasz wszystko nazbyt osobiście. Albo raczej może...

– Egocentrycznie – odpowiedział Keller. – Ale to naturalne i nieuniknione, *Herr Professor*.

Nemmersdorf pokiwał głową, w jego oczach błysnęło uznanie.

– Zaczynasz być świadom własnych emocji, Gerhardzie. To dobrze. „Poznaj siebie”, jak to głosiła inskrypcja.

– Uważa się pan profesor za wyrocznie?

– Pytanie zatem, czy jesteś, Gerhardzie, młodym Aleksandrem... czy raczej może jego ojcem, Filipem? „Ofiarnik czeka, byk w gotowości” – to też dość znamienna fraza.

– Filip Macedoński pytający o losy wojny przeciw Persji, a następnie zarżnięty na oczach swojej rodziny w teatrze? Tak, coś w tym jest. Pan profesor chyba jednak wystrzega się dwuznaczności?

– W komunikacie tak. – Nemmersdorf się uśmiechnął.

– Za odbiór już nie odpowiadam. Powiedz mi, Gerhardzie, czy miałbyś dziś trochę wolnego czasu? Mam do załatwienia pewną sprawę.

– Naturalnie, *Herr Professor*.

– Doskonale. Poproszę cię, żebyś w wolnej chwili dostarczył do siedziby Abteilung IIIb ten oto list...

– Suka, *mat!* – zaklął Afanasij, widząc, gdzie wchodzi Freudenthal. – Widziałeś to?!

Przedsiębiorca wbiegał właśnie po schodkach do północnego skrzydła budynku *General – Kommando*. Proste drzwi bez ozdób, skromna fasada bez upiększeń.

„Urząd bez tabliczki”, jak to miejscowi nazywali siedzibę wywiadu.

Iwan pokręcił ponuro głową.

– Ten cholernik pewnie pobiegł na coś nakablować. Trzeba go było stuknąć od razu, jak mówiłem! A ty tylko: nie, nie, poczekamy, coś się trafi... No i masz babo placek, trafiło się!

– Szlag... – Afanasij przygryzł wargę w zadumie. – Trzeba powiedzieć szefowi.

– Horst nam łby poukręca! – wystraszył się wielki brodacz.

– Fakt, tak będzie. Trudno, nie powiemy mu nic.

– I co dalej?

– Dalej... – Afanasij pokazał na budynek. – Dalej zrobimy tak, jak się uda.

Freudenthal był przerażony. Tak przerażony, że chwilami aż przestawał wierzyć w realność całej tej sytuacji.

Kręcił się po tym upiornym, pełnym napiętej ciszy miejscu już chyba ze czterdzieści minut, nie mogąc się zdecydować, co dalej zrobić. Musiał, musiał donieść, o wszystkim zaraportować...! Ale przecież jak, jak to zrobić, nie przyznając się do winy?

Im dłużej jednak szwendał się po korytarzach gmachu, im bardziej podejrzliwie patrzyli na niego pracujący tu cywile i wojskowi, tym bardziej był pewny: inaczej się nie da.

– Dzień dobry, chcę rozmawiać z naczelnikiem – po-

wiedział w końcu, wchodząc do najpoważniej wyglądającego pokoju na końcu korytarza.

Sekretarka uniosła głowę, zmierzyła go wzrokiem.

– Z panem podpułkownikiem Nicolai?

– Może być – obojętnie zgodził się przedsiębiorca.

– Pan podpułkownik akurat wyjechał z miasta, ale powinien dziś wrócić. Poczekaj pan, panie...?

– Poczekam – zrezygnowany Freudenthal wyszedł z gabinetu i klapnął ciężko na ławce.

Iwan i Afanasij stali w bramie po drugiej stronie Yorder-Rossgarten, obserwując wyjście z budynku.

– Co on tam tyle robi? – nie wytrzymał w końcu ten pierwszy. – Trzy godziny! Przecież zdążyłby wsypać już pół Königsberga przez ten czas!

– Tfu! Wypluj te słowa, głupi. A ten to lepszy ptaszek – warknął jego towarzysz, dopalając taniego papierosa. – Nie pójdzie z nim tak łatwo. Stój tutaj i pilnuj.

– A ty dokąd?

– Ja? Ja podgonię nam transport. Trzeba będzie się stąd zbierać w podskokach!

Keller wszedł do siedziby Abteilung IIIb, trzymając w ręku paczkę od Nemmersdorfa. Był tu już kilkakrotnie, wykonując takie czy inne zlecenia swego mentora – przeważnie równie proste, co enigmatyczne. Ot, właśnie tak: weź szarą, zalakowaną kopertę, dostarcz podpułkownikowi Nicolai, i tyle.

Teoretycznie rola chłopca na posyłki mogłaby mu uwłaczać. Praktycznie pracę dla wizjonera pokroju profe-

sora poczytywał sobie za zaszczyt i wyróżnienie.

Przeszedł korytarzem na drugim piętrze, zapukał do sekretariatu. Zamienił kilka słów z sekretarką i miał już wychodzić, gdy ta odezwała się do kogoś zaglądnącego przez drzwi:

– Mówiłam panu, panie Freudenthal: podpułkownika nie ma. Jeśli wróci, będzie i tak musiał pana minąć na korytarzu. Proszę czekać!

– Dobrze, przepraszam... – mruknął człowiek i schował się z powrotem.

Nazwisko wydawało się znajome. Czy to możliwe, żeby...?

Keller wyszedł na korytarz, popatrzył na siedzącego w zrezygnowanej pozycji cywila.

– *Herr* Freudenthal? – zagadnął. Ten drgnął, popatrzył na niego szczerze zaskoczony. – Pan pozwoli: chorąży Keller, do pana usług.

– Znamy się?

– Myślę, że mogliśmy spotkać się... przez wspólnych znajomych. Czy mówi panu coś nazwisko Grossmann?

Oczy cywila rozszerzyły się, potem przez jego twarz przemknął cień strachu.

– Chyba pomylił mnie pan chorąży z kimś innym. – Freudenthal wstał, kiwnął na pożegnanie. – Do widzenia, muszę już iść.

Keller spojrzał w ślad za odchodzącym mężczyzną, po czym ruszył za nim. Ten przyspieszył, obejrzał się nerwowo przez ramię.

– Proszę poczekać, *Herr* Freudenthal! – Gerhard zawołał, ale tamten już leciał po schodach na dół.

Niewiele myśląc, chorąży zbiegł za nim, doskoczył pierwszy do drzwi wyjściowych i zagroził mu drogę.

– Stój pan! Bo wszystko powiem policji.

Freudenthal gwałtownie nabrał powietrza, poczerwieniał... A potem oklapł, zapadł się w sobie.

– Pan wie? – zapytał głosem pogodzonego z losem skazańca.

– Tak – zablefował Keller, nie mając pojęcia, o czym mowa. – I dlatego teraz pan opowie mi dokładnie swoją wersję wydarzeń. Czy to jasne?

– Tak... Ale nie tu, błagam. Powiem wszystko, wszystko, co wiem.

– To pan nasłał na Grossmanna zabójcę – błysnął domyślnością Gerhard. Freudenthal spojrzał na niego wzrokiem tak błagalnym i dojmującym, że od razu zrozumiał: trafił!

– Grossmann... nie, nie Grossmann. – Walther pokręcił głową, popchnął drzwi. – Grossmann przecież nie żyje. A ten oszust, on przybył tutaj chyba tylko po to, żeby...

Huknął i trzasnął strzał. Gołębie poderwały się z furkotem z chodnika, podniosły łopoczącą chmurą ponad dachy kamienic. Freudenthal zachwiał się, złapał ręką futryny i popatrzył na Gerharda – a wtedy stojący na ulicy człowiek strzelił po raz drugi i trzeci.

Jedna kula gwizdnęła Kellerowi nad uchem i odłupała kawał drewna z drzwi, druga ugodziła przedsiębiorcę pro-

sto w pierś. Nieszczęśnik pochylił się, poleciał głową naprzód na schody.

Przechodnie na ulicy rzucili się z wrzaskiem do ucieczki, rozbiegli na wszystkie strony. Gerhard sięgnął już po broń, ale w tej samej chwili z za zakrętu wypadła z piśkiem hamulców furgonetka, na chwilę zwolniła przed budynkiem.

Zamachowiec strzelił jeszcze raz i drugi, a potem wskoczył na stopień samochodu, który ryknął motorem i skoczył w przód, odjeżdżając jak najdalej od miejsca zbrodni.

Gerhard wyszarpnął z kabury pistolet, przeładował i dał ognia trzy razy – ale potem zrezygnował. Strzelaniem w mieście mógł uczynić więcej szkody postronnym niż przestępcom, a szanse trafienia były minimalne.

Doskoczył do leżącego na schodach Freudenthala, obrócił go na plecy. Na kredowobiałej twarzy na zawsze zastygł wyraz zdumionego przerażenia i bólu, szkliste oczy patrzyły w pustkę niewidzącym wzrokiem. Ciemnoszkarłatna krew rozlewała się po stopniach i ściekała w dół wąskimi strużkami.

– Lekarza! – wrzasnął Keller, wiedząc, że to wołanie na pustyni.

Nagle Freudenthal szarpnął się cały, jak gdyby ostatnia iskra życia jeszcze tliła się w jego ciele. Złapał Gerharda kurczowo za połe munduru, wycharczał:

– Grossmann...

A potem zwiotczał, opadł. Ostatnie tchnienie uleciało

z martwego ciała.

Keller podniósł się, wstrząśnięty. Popatrzył na zakrwawione ręce i pędzących ku niemu policjantów.

– Grossmann... – powtórzył.

Grossmann powoli zamykał swoje sprawy w Königsbergu. Od meldował się już w kwesturze i oddał klucze do mieszkania, odebrał też bilet na pociąg. Pożegnał się z większością znajomych, na sam koniec zostawiwszy sobie ostatnią wizytę u Nemmersdorfa i rozmowę z Kellerem.

Wcześniej jednak miał ważniejsze spotkanie.

W wewnętrznej kieszeni leżał bezpiecznie klucz, zrobiony przez ślusarza z dzielnicy fabrycznej. Teraz trzeba było tylko przekazać go Horstowi wraz z instrukcją, jak dostać się do pracowni naukowca i czego należy tam szukać. Dziś po południu Teodor miał wyjechać z Królewca. Jego dzieło tutaj będą kończyć inni – oby nie mniej skuteczni.

– *Kamerad* – przywitał Horsta, już czekającego w umówionym miejscu.

– *Tawariszcz* – odpowiedział konspirator, podając rękę na przywitanie. – To już dziś, jak rozumiem?

Teodor kiwnął, uśmiechnął się smutno.

– Wszystko ma swój koniec. Przekażę wam moje spostrzeżenia oraz... pewne bardziej materialne aktywa. Mam nadzieję, że zostawiam Königsberg w lepszym dla was stanie, niż gdy przyjeżdżałem.

– Z pewnością czystszy. – Horst pokiwał głową. Grossmann uniósł pytająco brew, więc dodał: – Freuden-

thal. Moi chłopcy zlikwidowali go dosłownie godzinę temu.

Grossmann miał nadzieję, że jego rozmówca nie zorientował się, jak bardzo wstrząsnęła nim ta wiadomość.

– Zlikwidowali? – powtórzył. – To dość... radykalna decyzja. Mogę zapytać, co na nią wpłynęło?

Horst wzruszył ramionami.

– Przeszkadzał. Węszył. Zadawał pytania. Między innymi o was, towarzyszu.

– Ale... ja przecież wyjeżdżam!

– Jednego Niemca mniej.

– Rozumiem. – Teodor pokiwał głową. – No cóż, przyznaję: słusznie. Ceł uświęca środki.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzacie. Pomimo pewnych początkowych nieporozumień dobrze się z wami pracowało.

– Mimo że robię wszystko w białych rękawiczkach? – roześmiał się Grossmann.

– No... tak, w sumie tak. Czas rewolucji nadchodzi, trzeba działać zdecydowanie. Tak jak z tym Freudenthallem. To co dla nas macie?

– Będę musiał jeszcze wziąć kilka rzeczy, nie dałem rady teraz. Spotkajmy się... za półtorej godziny? Przyniósłbym od razu wszystko. Och, i jeśli to nie problem: chcę podziękować waszym ludziom. Uścisnąć im rękę na pożegnanie.

– Jasna sprawa. Jest taka knajpka przy Armenhausie, zaraz nad Starą Pregolą. Będziemy tam siedzieć.

– Zatem do zobaczenia.

Grossmann wstał, założył czapkę i ruszył szybkim krokiem przez Jahrmarktsplatz.

Za półtorej godziny odchodził jego pociąg – ale właśnie uświadomił sobie, że nie może, nie wolno mu zostawić sprawy Nemmersdorfa w rękach tych prymitywnych siepaczy. Już widział, jak wymachując bronią, wpadają do pracowni naukowca, grożą wszystkim naokoło i niszczą, co tylko popadnie. Jako bezwolne narzędzia byli może i dobrzy, ale właśnie po raz kolejny udowodnili swoją nieprzewidywalność i bezzasadną brutalność w postępowaniu.

To nie Freudenthal stanowił zagrożenie dla całej operacji, ale oni.

Nie mógł im na to pozwolić. Musiał zostać w mieście. I chyba właśnie wymyślił, jak to zrobić.

Profesor Nemmersdorf siedział w swojej pracowni i czekał.

Za drzwiami krzątała się, nucąc pod nosem, panna Scharfe. Po wizycie Kellera humor jakby jej wrócił, ale naukowiec i tak wiedział, jak dobrze jego asystentka potrafi ukrywać swoje emocje; Erika uciekała w pracę, zamykała się w sobie, doskonale tłumiąc swe prawdziwe uczucia i targające nią rozterki.

Na pustej szachownicy przed nim stały tylko cztery figury: biały król, nieopodal niego biała dama. Po przeciwnej stronie czarny goniec i stojący daleko w tle czarny król.

Matematyk przesunął konia, pomyślał chwilę i odjechał w bok damą, która uciekła z linii bicia, a zarazem zagroziła drugiej figurze przeciwnika. Rozgrywka z wirtualnym przeciwnikiem trwała już dłuższą chwilę, ale prędzej czy później czarny laufer musiał stanąć oko w oko ze swym adwersarzem.

Radiotelegraf nadal milczał, czekając na wiadomość. Nemmersdorf był pewien: to musiało wydarzyć się dziś. Uśmiechnął się i skoczył czarnym gońcem naprzód.

– Szach – powiedział sam do siebie.

– Chcę rozmawiać z dowódcą zmiany. – Teodor oparł się o biurko oficera dyżurnego siedzącego w gmachu dowództwa. Młody kapral uniósł wzrok znad mozolnie kaligrafowanego raportu, poprawił zjeżdżające z nosa okulary i zapytał:

– W jakiejś konkretnej sprawie?

– Owszem. Chcę zadenuncjować siatkę rosyjskich szpiegów.

Igła radiotelegrafu nagle zaterkotała nierówno, wypływając spod siebie taśmę z komunikatem. Nemmersdorf zerwał się z fotela, potrącił szachownicę, która poleciała z łoskotem na podłogę, i dopadł do odbiornika. Popatrzył na ciąg znaków. Jeśli przyjąć, że szyfry zmieniano regularnie, a na zmianie siedział ten sam operator, co zawsze... Sięgnął po zeszyt i ołówek, zaczął szybkimi ruchami podstawiać właściwe symbole pod poszczególne znaki.

Uśmiechnął się, wyprostował: było dokładnie tak, jak się spodziewał.

Pstryknięciem włączył nadajnik. Począł, aż rozgrzeją się lampy, po czym ujął w dwa palce uchwyt manipulatora. Wprawnymi, szybkimi ruchami wystukał przygotowaną już zawczasu wiadomość, która od razu popłynęła na od dawna znanej częstotliwości poprzez bezmiar eteru nad dachami Königsberga. Skończył, wyłączył urządzenie.

Teraz pozostawało mu tylko czekać.

Siedzący przy stoliku Horst popatrzył na zegarek: dochodził kwadrans po czwartej, Grossmann powinien zjawić się lada chwila.

– No i co to za rewelacja? – zagadnął go po raz kolejny Iwan, ciekaw, co takiego miał przekazać im agent. – Znalazł tę broń pewnie, co?

– Nie wiem, mówiłem ci przecież! Wszystko nam powie, jak tylko przyjdzie.

Brodacz zmitygował się, spuścił głowę niczym skarcone dziecko.

– No dobra, dobra. Ale i tak będzie dobrze go poznać wreszcie. To niezły typ musi być, co? Tyle lat w utajeniu przesiedzieć.

– Tak – zgodził się Horst, myśląc o czymś zgoła innym. Zerknął znów na czasomierz: gdzie był Afanasij? Owszem, po śmierci młodego Wernbauera miał sporo pracy z samodzielną obsługą radiostacji, ale przecież chyba nie aż tyle?

W końcu dostrzegł go, pędzącego kłusem od strony przeprawy promowej. Na pąsowej z wysiłku twarzy ma-

lowało się niedowierzenie pomieszane ze strachem, w rękę ścisnął wyrwaną z notesu kartkę.

Jednocześnie na Kaiser-Strasse pojawił się Grossmann w mundurze, idący spokojnym, miarowym krokiem.

Afanasij dopadł do ich stolika, oparł się ciężko o blat, łapiąc powietrze rozwartymi ustami.

– Jesteś – skwitował Horst z przekąsem. – Dłużej się nie dało?

– Ja... musiałem... wiadomość. Na naszej częstotliwości... Nadana z miasta!

Horst spojrział na niego dziko, wyrwał z ręki zmięty świstek. Rozprostował, przebiegł oczami po krótkim tekście:

Idą po was.

Podniósł wzrok, spojrział na przerażonego szyfranta... a potem w kierunku kroczącego ulicą Grossmanna.

Stojący pod ścianą Armenhausu mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu uniósł głowę, popatrzył znacząco na zamiatającego ulicę ciecia, który pojawił się dosłownie znikąd kilka minut temu. Dwaj tragarze taszczący dziwnie lekką skrzynię wymienili spojrzenia, a potem jeden zerknął w stronę szpiegów, prosto w oczy Horsta.

Grossmann znajdował się już zupełnie blisko. Uniósł dłoń niczym na powitanie, też patrząc dokładnie na nich.

– Szlag... – warknął Horst, wstał i sięgnął po pistolet.

Teodor maszerował, czując, jak po plecach ścieka mu zimny pot.

Nigdy w ciągu ostatnich dwóch lat nie był bliższy

zdemaskowania się i położenia całej operacji. Zrobić coś takiego w biały dzień, w środku miasta, mając przed sobą uzbrojonych ludzi, a wokół agentów Abteilung IIIb, było niczym innym jak szaleństwem. W takich sytuacjach nie było dobrych rozwiązań – więc działał tak, jak nauczyła go wojna.

Szedł na szpicy.

Odległość do stolika konspiratorów malała: pięćdziesiąt kroków, czterdzieści, trzydzieści... Zauważył, że ktoś podbiegł do Horsta, coś powiedział i wręczył mu kartkę. Ten przeczytał, spojrział dziwnie na mężczyznę, rozejrzał się nerwowo. Zaczął wstawać – i wtedy Teodor zrozumiał, że akcja była spalona.

Nie przestając iść, uniósł lewą rękę, aby odciągnąć uwagę przeciwnika, i jednocześnie prawą sięgnął do kabury. Gdy Horst wyszarpnął zza pazuchy rewolwer, on już trzymał swego lugera w dłoni, nieskończenie powoli podnosząc ku górze, czekając, aż muszka i szczerbinka ułożą się w jedną linię... Drugi z Rosjan, zwalisty, barczysty brodacz też spróbował wyciągnąć pistolet, ale stojący zaraz za nim tajniak był szybszy: lufa błysnęła płomieniem, mężczyzna zwałił się na stół z przestrzeloną głową.

Horst pociągnął za spust na ułamek sekundy przed Teodorem. Dwa pistolety wypaliły niemal równocześnie, dwie kule pomknęły w przeciwnych kierunkach, prawie że muskając się w locie.

Grossmann zdążył jeszcze zobaczyć, jak w koszuli Horsta wykwitła krwawoczerwona dziura – a potem poczuł

potężne szarpnięcie w okolicy skroni i pochłonęła go
dzwoniąca ciemność niepamięci.

ROZDZIAŁ XXXV

Ze szczelin w pancerzu, otworów obserwacyjnych i spomiędzy pancernych płyt czołgu wydobywał się gęsty, siwy opar, przesączający się na zewnątrz długimi pasmami.

Coś szczęknięto i zgrzytnęto w stalowym cielsku, potem uchylił się, a następnie otworzył na całą szerokość jeden z włazów. Z otworu wychynęła w kłębach dymu czarna postać przerażonego czołgisty.

Stojący zaraz nad nim Boehlke już, już zamierzył się do pchnięcia bagnetem, ale potem chyba zmienił zdanie, trzasnął tylko wypełzającego wroga w potylicę kolbą, złapał za ramiona i wywlókł nieprzytomnego z włazu.

– Nie zabijać! Żywcem brać! – krzyknął jeszcze raz Grossmann, zeskakując z pancerza. Nie do końca o oszczędzenie załogi mu chodziło, ale to był najprostszy sposób trafienia do ogarniętych gorączką krwi ludzi... W samą porę, bo Kliemann miał już, już cisnąć do środka granat; teraz spojrzał tylko na dowódcę z wyrzutem i ciepnął „tłuczkiem” w bok, w jeden z wypełnionych wodą starych okopów.

W czołgu otwierały się kolejne klapy, z których wytańczyli się na wpół zaczadzeni, osmaleni czołgiści, podnoszący ręce nad głowę i gestami proszący o zmiłowanie. Teodor podbiegł bliżej do włazu bocznego, zajrzał do

środka...

– ...*Herr Leutnant? Herr Leutnant*, słyszy mnie pan?

Głos brzmiał niczym spod wody, falował i przelewał się echem. Poza tym głosem nie było nic, tylko jarząca się bielą plama światła pośród bezkresnego oceanu czerni.

– Jak długo taki stan może się utrzymać? Czy on... czy on z tego wyjdzie?

– Trudno powiedzieć, *Herr Fahnrich*. To i tak cud, że żyje: kilka milimetrów w prawo i cała kość skroniowa poleciałaby w drzazgi. Wyciągnęliśmy co większe odłamki, nie ma jednak gwarancji, że któryś nie uszkodził kory mózgu.

– A co z okiem?

– Wygląda to nieszczególnie, ale powinien widzieć. Na całe szczęście kula tylko drasnęła tęczęwkę, więc...

Teodor znów zapadł się w aksamitną czerń.

Dochodził do siebie powoli, stopniowo.

Najpierw w jego świat wkroczył podział na światło dnia i ciemność nocy, w której paliła się lampa na korytarzu. Potem pojawiły się twarze pielęgniarek w białych, przedziwnie ukrochmalonych czepkach; kobiety karmiły go pozbawioną smaku papką, stukając i szorując łyżeczką o zęby. Mówiły coś, ale Teodor nie potrafił odpowiedzieć, więc kręciły tylko głowami i zmieniały opatrunki.

Żył – tego miał pewność, tym bardziej że czuł ból. Palący, pulsujący ból w prawym oczodole i skroni, ciągnący się długą pręgą aż w kierunku ucha. Nie był pewien dnia, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, więc wołał za-

chować milczenie.

Miał tylko nadzieję, że w malignie nie bredził po rosyjsku.

Rzeczywistość powróciła do niego wraz z zapachem jaśminu i muśnięciem rudych kosmyków, tańczących po twarzy i łaskoczących w nos. Rozchylił powieki – lewą bez problemu, prawą z trudem, bo ropa wciąż sączyła się z kącika oka.

Ona pochylała się nad nim, pachnąc wczesnym latem, wiatrem i niczym nieskrępowanym szczęściem. Idealnie lazurowe oczy spojrzały na niego z mieszaniną szczęścia i obawy.

– Jennifer... – dał radę powiedzieć. Pierwsze słowo od niepamiętnego czasu.

– Mój rycerz – szepnęła *Miss Zoransky*, a potem pocałowała go delikatnie w usta.

Siedzieli we dwoje w ogrodzie szpitala przy Chirurgische-Klinik: on wciąż na idiotycznym foteliku z kółkami, ona na ławce. Pielęgniarka łaskawie dała im chwilę spokoju, udając, że jest bardzo zajęta lekturą.

– Wróciłaś – powiedział po prostu Teodor, ściskając jej dłoń. Jennifer uśmiechnęła się, potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Oczywiście, ty głuptasie. Jak tylko mi powiedzieli, co się stało.

Sięgnęła drugą ręką, dotknęła naramienników bluzy mundurowej, którą Teodor narzucił sobie na ramiona. I tak czuł się wystarczająco źle w szpitalnym przebraniu, więc

wywalczył u lekarza prowadzącego, żeby pozwolono mu nosić przynajmniej część uniformu.

Nowego uniformu, przysłanego dosłownie parę dni temu prosto z magazynu. Z nowymi dystynkcjami.

– *Herr Oberleutnant* – powiedziała Jennifer, smakując z przyjemnością brzmienie słów. – Pan pełny porucznik Teodor Grossmann. Miło mi poznać.

Teodor uniósł jej dłoń i pocałował delikatnie, patrząc głęboko w oczy.

– *Enchante, madame.*

– Lekarz mówi, że będziesz mieć bliznę – nieoczekiwanie zmieniła temat.

Grossmann dotknął koniuszkami palców nierównego, poszarpanego strupa, skrzywił się z bólu. Rana ciągnęła się od kącika prawego oka aż na skroń. Kula tylko otarła się o kość, a lekarze zrobili, co mogli, aby ponaciągać zerwaną przez pocisk skórę, ale na przebarwione oko nie mogli nic poradzić.

– Na szczęście prawe – spróbował żartować. – Więc nie będziesz na nie zbyt często patrzeć. Para idealna, co? Możemy iść po ulicy pod rękę, a każde z nas będzie gotowe wyciągnąć broń: ty lewą, ja prawą dłońią.

Amerykanka zarzuciła głowę. Rude płomienie loków zafalowały wokół jej twarzy, w promieniach jesiennego słońca lśnią niczym najprawdziwszy ogień z domieszką miedzi. Ujęła go pod brodę, przekręciła do siebie i powiedziała:

– W żadnym wypadku nie waz się jej ukrywać. Do

twarzy będzie ci z blizną. Bohatera powinno być widać... A ja lubię, jak mężczyzna wygląda na mężczyznę. Podnieca mnie to, wiesz?

Przełknął ślinę, czując, jak krew żywiej zagrała mu w żyłach. Jennifer potrafiła z taką lekkością skakać z tematu na temat, mówiąc do tego o rzeczach najbardziej skrytych tak, jakby były zupełnie naturalne i oczywiste. Zauważyła jego reakcję, pokiwała.

– Naprawdę, nawet teraz. Szkoda, że nie mamy tutaj odrobiny prywatności. Chyba że chcesz sprawdzić?

Ujęła jego dłoń i poprowadziła po swoim udzie, ale on pokręcił głową, uśmiechając się słabo.

– Jeszcze kilka dni, potem powinni mnie wypisać. Dostałem kolejne trzy tygodnie na rehabilitację, więc...

Urwał, ona kiwnęła. Wiele rzeczy nie musiało zostać dopowiedzianych, aby stały się jasne: zaryzykował cenę życia, kupił sobie jeszcze trochę czasu, aby rozwikłać zagadkę Nemmersdorfa.

Twarz Teodora ściągnęła się ponurym grymasem. Westchnął ciężko i rzucił w przestrzeń:

– Był tu u mnie.

– Kto?

– Profesor. Gdy obudziłem się któregoś razu, po prostu siedział przy łóżku i patrzył na mnie. Rozmawialiśmy... ale nie pamiętam nawet dokładnie, o czym.

– To chyba dobrze, że przyszedł. – Jenny wzruszyła ramionami. – Jeśli się przejął, to znaczy, że udało ci się do niego zbliżyć. O to przecież chodziło.

– Właśnie nie jestem pewien. Był tu też Keller, zamieniliśmy kilka słów, ale zachowywał się jakoś dziwnie, sztucznie. Natomiast jego zdziwienie, gdy wspomniałem o wizycie Nemmersdorfa, było absolutnie nieudawane.

Jennifer przysunęła się bliżej, oparła głowę na ramieniu Teodora. Konsul von Hohenfurst zdjął kapelusz. Złożył dłonie, opuścił głowę i popatrzył na prosty, kamienny nagrobek.